

**WILBUR SMITH**

**PTAK SŁOŃCA**

**Z angielskiego przełożył  
JACEK BUKSIŃSKI**

**WARSZAWA 1999**

Tytuł oryginału:  
THE SUNBIRD

Copyright © Wilbur Smith 1972 All rights reserved  
First published in 1972 by William Heinemann Ltd., London  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros 1999  
Copyright © for the Polish translation by Jacek Buksiński 1999

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski  
Opracowanie graficzne okładki: Andrzej Kuryłowicz  
Redakcja: Ewa Borowiecka

ISBN 83-88087-18-5  
Wydawnictwo ALBATROS Andrzej Kuryłowicz  
Adres do korespondencji:  
skr. poczt. 55, 02-792 Warszawa 78  
E-mail: wydawnictwo@prima.waw.pl

Zamówienia hurtowe:  
Internovator, Zwrotnicza i/3,  
01-219 Warszawa tel. (22)-632-2381, (22)-862-7011, 0-501-060-891  
Zamówienia wysyłkowe: Albatros, skr. poczt. 55, 02-792 Warszawa 78  
Księgarnia Wysyłkowa Faktor skr. poczt. 60,  
02-792 Warszawa 78, tel. (22)-649-599  
Warszawa 1999. Wydanie I Objętość: 28 ark. wyd., 35 ark. druk.  
Skład: Kolonel Druk: Prasowe Zakłady Graficzne, Koszalin

*Mojej żonie Danielle*

WILBUR SMITH urodził się w 1933 roku w Zambii. Ukończył Rhodes University w Rodezji (obecnie Zimbabwe). Jako pisarz debiutował w 1964 roku powieścią "Gdy poluje lew", która odniosła znaczny sukces w wielu krajach. Była to pierwsza pozycja z jego najbardziej znanego cyklu - historyczno-przygodowej sagi rodziny Courteneyów, w której skład weszły m.in. "Odgłos gromu" (1966), "Płonący brzeg" (1985), "Prawo miecza" (1986) i "Złoty lis" (1990). Smith napisał blisko 30 powieści. Do najbardziej znanych należą, oprócz wymienionych wyżej: "Zakrzyczeć diabła" (1968), "Ptak Słońca" (1973), "Oko tygrysa" (1975), "Bóg Nilu" (1993), "Siódmy papirus" (1995), "Drapieżne ptaki" (1997) oraz najnowsza "Monsun" (Monsoon, 1999).

Po prozę Smitha chętnie sięgają twórcy filmowi. Na duży ekran przeniesiono Gold Mine, "Zakrzyczeć diabła" (w obu filmach główną rolę zagrał Roger Moore) i "Ciemność w słońcu". Na podstawie kilku innych tytułów, m.in. "Płonącego brzegu", "Prawa miecza", "Siódmego papirusu" i "Łowców diamentów", powstały miniseriale telewizyjne.

Smith jest miłośnikiem dzikiej przyrody; pasjonuje się współczesną historią Afryki, co znajduje odzwierciedlenie w jego twórczości literackiej. Sporo podróżuje, zwykle w okresie zimowym - zarówno po kontynencie afrykańskim, jak po Australii i Europie; odwiedził nawet Alaskę. Mieszka w Kapsztadzie w Republice Południowej Afryki z żoną Danielle, której dedykował większość swoich książek.

# CZEŚĆ PIERWSZA

Smuga światła przecięła mrok sali projekcyjnej i rozjaśniła ekran, ale nie rozpoznałem, co przedstawia obraz. Oczekiwałem na to przez piętnaście lat, a kiedy wreszcie ujrzałem, nie potrafiłem rozpoznać. Obraz był poruszony i niewyraźny i nie oznaczał dla mnie nic, ponieważ oczekiwałem fotografii jakiegoś niewielkiego obiektu — może czaszki, garnka lub innego wytworu ludzkich rąk, ozdoby ze złota, paciorków — z pewnością nie tej surrealistycznej kompozycji szarości, bieli i czerni.

Krztusząc się z emocji Louren usiłował naprowadzić mnie na ślad.

— Zrobiono je z trzydziestu sześciu tysięcy stóp, o szóstej czterdzieści siedem czwartego września, czyli przed ośmioma dniami.

A więc fotografia lotnicza. Moje oczy i mózg przestawiły się i niemal natychmiast poczułem oznaki podniecenia. Louren kontynuował ochrypłym głosem:

— Wynająłem przedsiębiorstwo lotnicze do wykonania badań nad całym obszarem, na który mam koncesje. Chodziło o ustalenie układu i przebiegu formacji geologicznych. Ta fotografia jest tylko jednym z kilkuset zdjęć; pilot nawet nie wiedział, że fotografuje. Analitycy zorientowali się, co przedstawiają zdjęcia, i przysłali je do mnie. — Zwrócił w moją stronę twarz bladą i uroczystą w poświacie projektora. — Widzisz to, Ben, prawda? Z prawej strony u góry!...

Chciałem odpowiedzieć, ale głos uwiązł mi w gardle i dźwięk, jaki się z niego wydobył, zamaskowałem kaszlem. Ze zdziwieniem zauważyłem, że drzę.

— To klasyczny układ! Akropol, podwójne ogrodzenie i wieże falliczne.

Trochę przesadzał. Zarysy były niewyraźne i miejscami zanikające, niemniej ogólny kształt i układ był typowy.

— Północ — wyrzuciłem z siebie. — Gdzie jest północ?

— U góry zdjęcia. Fotografia jest poprawna, Ben. Czy te wieże mogą być usytuowane według położenia słońca?

Nie odezwałem się, bo opanowało mnie zwątpienie. Nic nie przyszło mi w życiu łatwo, stałem się więc podejrzliwy. Zacząłem szukać skaz w rozumowaniu Lourena.

— Układ warstw — powiedziałem — to prawdopodobnie wapień z granitem. Tak wynika z wzoru powierzchni.

— Bzdura! — W głosie Lourena wciąż słychać było podniecenie. Zerwał się i skoczył w kierunku ekranu, chwytając z pulpitu ebonitową pałeczkę i celując nią w elementy otaczające zarys tego, co z takim przekonaniem określił jako główne ogrodzenie. — Powiedz mi, gdzie widziałeś podobny układ geologiczny?

Nie chciałem znów bezkrytycznie poddać się nadziei.

— No nie wiem — westchnąłem.

— Niech cię diabli! — Teraz się śmiał, chociaż ostatnio nie miał ku temu okazji. — Powinienem był wiedzieć, że będziesz starał się zbić mnie z tropu. Bez wątpienia jesteś najbardziej nieszczęśliwym pesymistą w Afryce.

— To może być cokolwiek, Lo — stwierdziłem. — To tylko kompozycja światła, kształtu i cienia. Jeżeli nawet przyjąć, że jest dziełem człowieka, może to być ogród albo ziemia uprawna...

— Sto mil od najbliższego źródła wody? Zapomnij o tym, Ben. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że to...

— Nie mów! — Niemal krzyknąłem. Zerwałem się z obitego skórą fotela, przebiegłem przez pokój i chwyciłem Lo za ramię.

— Nie mów — powtórzyłem. — To... To... przynosi pecha. — Zawsze się jąkam, kiedy jestem podekscytowany, ale ponieważ to najmniejsza z moich fizycznych ułomności, dawno przestała mnie martwić.

Louren znów się roześmiał, ale znać w tym było ślad niepokoju, który okazuje zawsze, kiedy poruszam się szybko albo gdy musi uwalniać się z uścisku. Rozluźnił moje palce.

— Przepraszam. — Zwolniłem uścisk.

Masował sobie ramię, podchodząc do konsoly i gasząc projektor. Przekreślił wyłącznik na ścianie i przez moment obaj byliśmy oślepieni światłem.

— Mój mały hebrajski karzełku — uśmiechnął się. — Nie oszukasz mnie.

Przecież wszystko się w tobie gotuje.

— Gdzie to jest, Lo? Gdzie to znalazłeś?

— Chcę, żebyś się najpierw wypowiedział. Chcę, żebyś choć raz w życiu przestał się asekurować. Chcę, byś przyznał, że mam rację, zanim powiem ci coś więcej — drażnił się ze mną.

— W porządku. — Rozejrzałem się. — Na pierwszy rzut oka wygląda to całkiem interesująco.

Odrzucił do tyłu swoją wielką złocistą głowę i ryknął rubasznym śmiechem.

— Będziesz musiał lepiej się postarać. Spróbuj jeszcze raz. Nie mogłem oprzeć się jego radości i zawtórowałem śmiechem. Zdawałem sobie jednak sprawę, jak słabo brzmi.

— Wydaje mi się — wysapałem — że chyba znalazłeś... to.

— Spryciarzu! — zawołał. — Ty mały spryciarzu! Minęły lata, odkąd widziałem go takim. W momencie ekscytacji opadła z niego oficjalna maska bankiera, a troski imperium finansowego Sturvesanta uleciały w zapomnienie.

— Powiedz mi — prosiłem — gdzie to znalazłeś?

— Chodź — powiedział poważnie. Podeszliśmy do długiego stołu pod ścianą. Leżała na nim mapa, przypięta szpilkami do zielonej tkaniny. Stół był wysoki; wdrapałem się pospiesznie na fotel. Teraz sięgałem prawie poziomu Lourena, który stanął obok. Pochyliliśmy się nad mapą.

— Wydawnictwa Lotnicze. Seria A. Afryka Południowa. Arkusz 5. Botswana i zachodnia Rodezja.

Obejrzałem szybko mapę, szukając jakiegoś znaku: krzyżyka, może śladu ołówka.

— Gdzie? — zapytałem. — Gdzie?!

— Jak wiesz, mam dwadzieścia pięć tysięcy mil kwadratowych koncesji górniczych na południe od Maun...

— Przestań, Lo. Nie próbuj sprzedać mi udziałów w Sturvesant Minerals. Gdzie to jest, do diabła?

— Tutaj umiejscowiliśmy pas startowy, na którym może lądować odrzutowiec lear. Właśnie skończyliśmy budowę.

— To nie może być daleko na południe od złotych żył.

— Nie jest — zapewnił mnie Louren. — Uspokój się, naderwiesz sobie coś. — Bawiło go zęczenie się nade mną.

Przesunął palcem po mapie. Zdawało mi się, że moje serce stanęło w momencie, gdy zatrzymał palec. Wyglądało to coraz lepiej. Szerokość geograficzna była idealna, wszystkie poszlaki, jakie gromadziłem przez lata, wskazywały na ten właśnie obszar.

— Tutaj — oznajmił. — Dwieście dwanaście mil na południowy wschód od Maun, pięćdziesiąt sześć mil od południowo—zachodniego krańca rezerwatu zwierząt Wankie, wciśnięty między stoki niskich wzgórz, zagubiony w skałach i suchym buszu.

— Kiedy możemy wyruszyć? — zapytałem.

— Hej! — Louren potrząsnął głową. — Rzeczywiście w to wierzysz. Naprawdę wierzysz!

— Ktoś inny mógłby się pomylić.

— To spoczywa tam od tysiąca lat. Jeszcze tydzień możemy...

— Tydzień?! — zawołałem ze złością.

— Ben, nie mogę wyruszyć wcześniej. Mam walne zgromadzenie Anglo—

Sturvesant w piątek, a w sobotę muszę być w Zurychu, ale skrócę ten pobyt specjalnie dla ciebie.

— Odwołaj te spotkania — poprosiłem. — Poślij któregoś z tych swoich młodych bystrzaków.

— Jeśli ktoś pożyczyci dwadzieścia pięć milionów, uprzejmość nakazuje zgłosić się po czek osobiście.

— Lo, to tylko pieniądze. Naprawdę ważne jest tamto. Przez chwilę Louren spoglądał na mnie jasnoniebieskimi oczami, w których widniało zdziwienie.

— Dwadzieścia pięć milionów to tylko pieniądze? — Powoli pokręcił głową, a potem odezwał się, jak gdyby właśnie usłyszał nową prawdę: — Może masz rację, ale... — Uśmiechnął się. — Przykro mi, Ben. Wtorek. Odlatujemy o świcie, obiecuję ci. Obejrzymy to z góry. Potem lądowanie w Maun. Znasz Petera Larkina?

— Tak, bardzo dobrze.

Peter organizował safari w okolicach Maun. Dwukrotnie korzystałem z jego usług podczas wypraw na Kalahari.

— Już się z nim skontaktowałem. Pomoże nam w zorganizowaniu ekspedycji. Potrzeba nam czegoś niedużego i szybkiego: jeden land rover i para trzytonowych unimogów. Mam tylko pięć dni, ale wynajmę helikopter, który mnie stamtąd zabierze, i zostawię cię, żebyś mógł tam poskrobać...

Weszliśmy z sali projekcyjnej do długiej galerii. Słoneczny blask wlewał się przez wysokie okna, oświetlając obrazy i rzeźby. Dzieła południowoafrykańskich artystów przemieszane były z pracami światowych sław, zarówno żyjących, jak i tych z minionych epok. Louren Sturvesant, podobnie jak jego antenaci, mądrze wydawał pieniądze. Nawet teraz, w tak ważnej chwili, moje oczy przyciągał łagodny koloryt aktu Renoira.

Louren szedł lekko po tłumiących odgłos kroków wschodnich dywanach, a ja usiłowałem dotrzymać mu kroku, sadząc długimi susami.

— Jeśli to odnajdziesz, a obaj mamy nadzieję, że tak się stanie, będziesz mógł działać z większym rozmachem. Stały obóz, pas startowy, asystenci, wyposażenie; czego sobie tylko zażyczysz.

— Proszę Boga, niech się tak stanie — powiedziałem cicho.

U szczytu schodów zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo.

— Wiesz, ile to może być warte? — spytałem. — Mogliśmy kopać przez pięć albo sześć lat.

— Też tak sądzę — zgodził się.

— To mogło iść... w setki tysięcy.

— „To tylko pieniądze”, jak utrzymuje pewien człowiek. — I znów drgnąłem, słysząc wybuch gromkiego śmiechu. Zeszliśmy po schodach chichocząc, każdy na swój sposób.

— Wrócę w poniedziałek o siódmej trzydzieści wieczorem. Wyjdiesz na lotnisko? Alkalia, lot 3i0 z Zurychu. W tym czasie zdążysz już chyba załatwić swoje sprawy.

— Będę potrzebował kopii tego zdjęcia.

— Otrzymałem już powiększenie dostarczone przez posłańca do instytutu. Masz tydzień, żeby nacieszyć oczy widokiem. — Zerknął na złoty piaget. — Cholera, jestem spóźniony.

Odwrócił się w kierunku drzwi w tej samej chwili, gdy z patio wyłoniła się Hilary. Miała na sobie biały strój do tenisa, odsłaniający długie i piękne nogi. Była wysoką dziewczyną o złocistobrązowych, miękkich włosach.

— Kochanie, chyba nie wychodzisz?

— Przykro mi, Hil. Miałem ci powiedzieć, że nie będę mógł zostać na lunchu, ale



Ben potrzebuje kogoś, kto sprowadzi go na ziemię.

— Pokazałeś mu? — Pochyliła się, żeby pocałować mnie w usta ze zwykłą swobodą, bez najmniejszej oznaki skrępowania. Zawsze, kiedy to robiła, czyniła ze mnie swego niewolnika na następne sto lat.

— Co o tym myślisz, Ben? Czy to możliwe? — Nim zdołałem odpowiedzieć, Louren objął ją i oboje patrzyli na mnie z uśmiechem.

— Zaczyna wariować. Dostaje piany na ustach, a słowa więzną mu w gardle. Chce od razu pędzić na pustynię. — Przyciągnął Hilary i pocałował. Na długą chwilę zapomnieli o mojej obecności. Dla mnie byli kwintesencją kobiecego piękna i męskości; oboje wysocy, silni i zdrowi. Hilary, młodsza od Lourena o dwanaście lat, była jego czwartą żoną i matką najmłodszego z siedmiorga dzieci. W wieku dwudziestu kilku lat reprezentowała dojrzałość i powagę właściwą prawdziwym damom.

— Zrób Benowi jakiś lunch, kochanie. Wrócę późno.

— Będę za tobą tęskniła — powiedziała.

— A ja za tobą. Zobaczymy się w poniedziałek, Ben. Zatelegrafuj do Larkina, jeżeli potrzebujesz jakiegoś specjalnego sprzętu. Do zobaczenia, współniku. — I wyszedł.

Hilary ujęła mnie pod rękę i poprowadziła w stronę szerokiego patio. Pięć akrów trawy i kolorowych kwietników schodziło łagodnie ku potokowi. Oba korty tenisowe były zajęte, a hałaśliwa gromada na wpół nagich ciał rozbryzgiwała wodę w basenie. Dwaj służący w uniformach siedzieli obok zimnego bufetu rozstawionego na długich stołach ogrodowych, a ja ze wstydliwym uczuciem lęku ujrzałem kilka młodych kobiet w strojach tenisowych, wylegujących się na leżakach. Zarumienione z wysiłku, ze śladami potu na delikatnych tkaninach kostiumów, sączyły pimms z oszronionych, wypełnionych owocami szklanek.

— Chodź — powiedziała Hilary i pociągnęła mnie w ich kierunku. Wyprostowałem się, próbując dodać sobie choć cal wzrostu.

— Dziewczęta! Oto mężczyzna, który dotrzyma nam towarzystwa. Chciałabym wam przedstawić doktora Beniamina Kazina, dyrektora Instytutu Afrykańskiej Antropologii i Prehistorii. Ben, a to jest Marjory Phelps.

Zwracałem się do każdej z kobiet, której zostałem przedstawiony, odpowiadając na trochę zbyt wylewne pozdrowienia i prezentowałem to, co mam najlepszego: oczy i głos. Dla nich moment ten był tak samo trudny, jak i dla mnie. Nie wiadomo, jak się zachować, gdy ktoś przyprowdzi ci garbusa, a ty jesteś zajęty aperitifem.

Uratowały mnie dzieci. Bobby dostrzegła mnie i rzuciła się pędem wrzeszcząc: „Wujek Ben! Wujek Ben!” Zarzuciła mi na szyję chłodne, mokre ramiona, przywierając przemoczonym kostiumem kąpielowym do mojego nowego garnituru, a następnie wpadłem w objęcia reszty potomstwa Sturvesantów i hordy ich młodych przyjaciół. Z dziećmi idzie mi łatwiej. Wydają się nic nie dostrzegać albo podchodzą do tego w sposób bezpośredni: „Dlaczego jesteś taki wygięty?”

Byłem zbyt pochłonięty własnymi myślami, by poświęcić dzieciom więcej uwagi. Wkrótce więc odeszły, poza zawsze lojalną Bobby. Hilary wyciągnęła mnie jednak z ramion swojej pasierbicy i powróciłem do grupy młodych matek. Nie mogę się oprzeć miłym kobietom, szczególnie gdy mija początkowe onieśmienie.

Bobby Sturvesant nalewała whisky glen grant z tym samym wdziękiem trzynastoletniej osoby, z którym napełnia szklanekę coca—colą. W rezultacie o trzeciej po południu wróciłem do instytutu w doskonałym nastroju.

Na moim biurku leżała koperta z adnotacją: „Prywatne i poufne”, a do niej była przyczepiona karteczka o treści: „To przyniesiono w porze lunchu. Wygląda ekscytująco! Sal”.

Podejrzliwie sprawdziłem plombę na kopercie; nie była naruszona. Sally nie zajrzała do środka, ale wiedziałem, że wymagało to od niej nie lada samozaparcia, ponieważ charakteryzowała ją niemal chorobliwa ciekawość, którą ona nazywała dociekliwością umysłu.

Domyślałem się, że zaraz tu będzie, odszukałem więc w górnej szufladzie paczkę miętusów i wsunąłem jednego do ust, by zneutralizować opary whisky. Otworzyłem kopertę i wydobyłem lśniąca odbitkę o wymiarach dwanaście na dwanaście, włączyłem lampę nad biurkiem i ustawiłem ją wraz z soczewkami powiększającymi nad zdjęciem. Następnie rozejrzałem się po gabinecie. Ściany, zastawione regałami od podłogi aż do wysokości moich ramion, wypełnione były książkami; wszystkie oprawione w brązową i zieloną skórę cielecą, ze złoto wytłaczanymi tytułami. Nad książkami stały gipsowe popiersia stworzeń poprzedzających człowieka: australopitek, prokonsul, robusta, człowiek rodezyjski, pekiński — wszystkie typy aż po neandertalczyka i wreszcie człowieka z Cro-Magnon — homo sapiens we własnej postaci, w całej chwale i niesławie.

Półki na prawo od biurka zapełniały popiersia wszystkich typów etnicznych znanych w Afryce: Chamici, Arabowie, Pigmeje, negroidzi, Boskopowie, Buszmeni, Griqua, Hotentoci i inni. Kiedy przemawiałem do nich, patrzyli na mnie wyłupiastymi szklanymi oczami.

— Panowie — powiedziałem. — Myślę, że mamy tu coś ciekawego.

Mówię do nich głośno tylko wtedy, gdy jestem podekscytowany albo pijany, a teraz znajdowałem się pod wpływem obydwu tych czynników.

— Do kogo mówisz? — spytała Sally od drzwi. Aż podskoczyłem. To było pytanie retoryczne; cholernie dobrze wiedziała, do kogo mówię. Oparła się o framugę, z rękami w kieszeniach przybrudzonego białego prochowca. Ciemne włosy zebrała z wysokiego, wypukłego czoła. Była rosłą dziewczyną o długich, świetnie umięśnionych nogach. Dlaczego zawsze podobają mi się wysokie?

— Jak się udał lunch? — spytała i powolnym, powłóczystym krokiem zbliżyła się po dywanie do mojego biurka, starając się zająć najlepszą pozycję. Jak się przekonałem, ku mojej zgryzocie, potrafiła czytać dokumenty do góry nogami.

— Wspaniale — odparłem, z premedytacją przykrywając fotografię kopertą. — Indyk na zimno, sałatka z homarów, wędzony pstrąg, bardzo smaczna kaczka i trufle w galarecie.

— Ty draniu — szepnęła łagodnie.

Nie pozwalał jej zwracać się do mnie w ten sposób, ale jej to nie powstrzymuje. Wciągnęła powietrze.

— I słodowa whisky o zapachu mięty! Zarumieniłem się. Nie potrafię nad tym zapanować.

— To tak jak z jąkaniem — Wybuchnęła śmiechem, podeszła bliżej i usadowiła się na biurku. — Daj spokój, Ben. — Bezczelnie przyglądała się kopercie. — Cała się trzęsę, odkąd to przyniesiono. Mogłabym otworzyć ją nad parą, ale nóż jest złamany, niestety.

Doktor Sally Benator była moją asystentką od dwóch lat, co dokładnie odpowiada okresowi mojego zadurzenia się w niej.

Przesunąłem się i odwróciłem fotografię.

— W porządku — rzekłem. — Zobaczymy, co o tym powiesz.

Wcisnęła się za biurko, a jej ramię dotknęło mojej łopatki — kontakt, który przeszył dreszczem moje ciało. W ciągu tych dwóch lat zachowywała się tak, jakby nie zauważała garbu. Była swobodna i naturalna; z powodzeniem realizowaliśmy plan pracy. Musiałem postępować wolno, bardzo wolno, żeby jej nie wystraszyć, a wtedy przyzwyczaję ją do myślenia o mnie jak o kochanku i mężu. Te dwa ostatnie lata

trwały tak długo, że nienawidziłem myśli o kolejnych.

Opierała się o biurko, zerkając przez szkło powiększające, nieruchoma i cicha. Odbite światło padało jej na twarz, a kiedy wreszcie spojrzała na mnie oczarowana, zielone oczy błyszczały.

— Ben — powiedziała. — Och, Ben, tak się cieszę. — W jakiś sposób jej wiara i przekonanie sprawiły mi przykrość.

— Nie tak szybko — warknąłem. — Może być tuzin zupełnie innych możliwości.

— Nie! — Potrząsnęła głową, wciąż uśmiechnięta. — Nie próbuj zaprzeczać. To jest prawdziwe, Ben, nareszcie. Pracowałeś tak długo i wierzyłeś tak długo, nie bój się teraz. Uwierz!

Szybko podeszła do półki z książkami oznaczonej literą „K”. Leżało tam dwanaście tomów, na których widniało wytłoczone nazwisko: „Beniamin Kazin”. Wybrała jeden i otworzyła na stronie tytułowej.

[K] Osobiste badania prehistorycznej cywilizacji, używającej narzędzi ze złota, w centralnej Afryce, ze szczególnym uwzględnieniem miasta Zimbabwe i legend o starożytnym zaginionym mieście Kalahari.

Podeszła do mnie uśmiechając się.

— Czytałeś to? — spytała. — Całkiem niezłe.

— To jest szansa, Sal. Przyznaję. Po prostu szansa, ale...

— Gdzie tu może kryć się fałsz? — przerwała mi. — W uwarstwieniu minerałów, jak zakładałeś?

Skinałem głową.

— Tak, to leży w złotym paśmie. Może przynieść o wiele więcej niż Langebeli i Ruwane.

Uśmiechnęła się tryumfalnie i znowu pochyliła nad odbitką. Dotknęła palcem atramentowej strzałki w rogu zdjęcia, wskazującej kierunek północny.

— Całe miasto...

— Jeśli to jest miasto — wtrąciłem.

— Całe miasto — powtórzyła z emfazą — zbudowano w stronę słońca. Z akropolem z tyłu — słońce i księżyc, dwa bóstwa. Wieże falliczne — cztery, pięć, sześć, może nawet siedem.

— Sal, to nie są wieże, to po prostu smugi cienia widoczne na zdjęciu zrobionym z dużej wysokości.

Sal potrząsnęła głową.

— W takim razie jest ogromne! Mógłbyś zmieścić Zimbabwe pół tuzina razy w obrębie głównego ogrodzenia.

— Spokojnie, dziewczyno, na miłość boską!

— I dolne miasto poza murami. Rozciąga się na całe mile. Jest ogromne, Ben, ale zastanawiam się, skąd ten półkolisty kształt.

Oderwała się od kontemplacji fotografii i po raz pierwszy — naprawdę pierwszy! — spontanicznie zarzuciła mi ręce na szyję i uściskała mnie.

— Ach, jestem tak podekscytowana, że mogłabym umrzeć. Kiedy wyruszamy?

Nie odpowiedziałem; ledwie dosłyszałem pytanie. Po prostu stałem, delektując się ciepłem jej pełnych piersi, do których mnie przyciskała.

— Kiedy? Proszę? — spytałem. — Co powiedziałaś? — Czerwieniłem się i jąkałem.

Roześmiała się.

— Kiedy wyruszamy, Ben? Kiedy jedziemy odnaleźć twoje zaginione miasto?

— Cóż... — Zastanawiałem się, jak to delikatnie wyrazić. — Louren Sturvesant i

ja jedziemy sami. We wtorek. Louren nie wspominał o asystentach, więc nie wydaje mi się, żebyś mogła wziąć udział w rekonesansie.

Sally cofnęła się, oparła pięści na biodrach, spojrzała na mnie nieprzyjemnie i zapytała ze złudną łagodnością:

— Chcesz się założyć?

Kiedy się zakładam, potrzebne mi są rozsądne argumenty, powiedziałem więc Sally, żeby się pakowała. Jej rzeczy osobiste zmieściły się w niewielkiej walizeczce i plecaku. Notatniki i przybory do malowania zajmowały więcej miejsca. Przejrzeliśmy nasze książki, żeby uniknąć dublowania. Kolejną dużą pozycją było moje wyposażenie fotograficzne, a worki i pudełka na próbki wraz z moją brezentową torbą zwieńczyły straszliwy stos uformowany w kącie gabinetu.

Byliśmy gotowi w ciągu jednego dnia, przez następne sześć zabijaliśmy więc tylko czas, dyskutując, sprzecząc się i zadreńczając, ślęcząc nad fotografią, która zaczynała już tracić blask. Kiedy napięcie zbliżało się do punktu krytycznego, Sally zamykała się w swoim biurze, usiłując się skupić nad rozszyfrowaniem tekstów wyrytych w skałach Drie Koppen albo symbolicznych obrazów z Witte Berg. Malowidła skalne, ryty i przekłady starożytnych przekazów były jej specjalnością.

Wałęsałem się niespokojnie po salach wystawowych, śniąc o nowatorskich sposobach wystawienia skarbów, które zapełniały nasze magazyny i pokoje na poddaszu, licząc nazwiska w księdze zwiedzających, oprowadzając szkolne wycieczki, słowem, zajmując się wszystkim poza właściwą pracą. Wreszcie wędrowałem na górę, by zapukać do drzwi Sally. Czasem słyszałem: „Wejź, Ben”, a innym razem: „Jestem zajęta, czego chcesz?” Wówczas oddalałem się, by spędzić czas w sekcji języków afrykańskich w towarzystwie Timothy'ego Mageby.

Timothy zaczął pracę w instytucie jako sprzątaczkę dwanaście lat temu. Poza swoim południowym sotho władał również szesnastoma innymi dialektami. Nauczyłem go płynnego posługiwania się angielskim w ciągu osiemnastu miesięcy, a w dwa lata także pisania. Dwa lata później zdał maturę, a po trzech następnych uzyskał tytuł magistra sztuki. Po wymaganych dalszych dwóch otrzymał tytuł naukowy, a teraz pracował nad doktoratem z języków afrykańskich.

Obecnie posługiwał się dziewiętnastoma językami — a więc jednym więcej niż ja — i był jedynym człowiekiem, jakiego znam, nie licząc mnie samego (spędziłem dziewięć miesięcy na pustyni, żyjąc wśród małych żółtych ludzi), który mówi dialektami Buszmenów z północy i z Kalahari.

Jak na lingwistę jest nadzwyczaj milczący. Kiedy się odzywa, mówi głębokim basem dobrze harmonizującym z jego potężną sylwetką. Mierzy sześć stóp i pięć cali, jest umięśniony jak zawodowy zapaśnik, a mimo to porusza się z wdziękiem tancerza.

Fascynuje mnie i trochę przeraża. Jego głowa jest zupełnie pozbawiona włosów, wygolona i lśniąca jak najczarniejsza kula armatnia. Ma szeroki, płaski nos z wielkimi nozdrzami, grube i purpurowoczarne usta, spoza których lśnią duże, mocne i białe zęby. Zza tej niewzruszonej maski, przez szczeliny oczu, połyskujących czasem jak odległa letnia błyskawica, wyziera powstrzymane zwierzęce okrucieństwo. Jest w nim coś satanicznego i chociaż w ciągu tych dwunastu lat spędziłem w jego obecności mnóstwo czasu, nie pojąłem, co kryje za tymi ciemnymi oczami i jeszcze ciemniejszą skórą.

Pod moim, teoretycznym raczej tylko, nadzorem Timothy prowadził wydział języków afrykańskich instytutu. Pięcioro młodych Afrykanów, czterech mężczyzn i dziewczyna, pracujących pod jego zwierzchnictwem, opublikowało do tej pory fachowe słowniki siedmiu głównych języków używanych w Afryce Południowej. Zgromadzili również materiały pisemne i taśmy, które zapewniały im zajęcie na siedem kolejnych lat.

Z własnej inicjatywy, z niewielką tylko moją pomocą i zachętą, Timothy opublikował dwa tomy historii Afryki, które wzbudziły burzę protestów i ataków białych historyków, archeologów i recenzentów.

Jako dziecko Timothy został oddany pod opiekę swojemu dziadkowi, szamanowi i strażnikowi historii szczepu. Początkiem jego wprowadzenia w dawne tajemnice było poddanie go hipnozie i przekazanie mu całej historii plemienia. Nawet teraz, trzydzieści lat później, Timothy był w stanie wprawić się w trans i przywołać z pamięci tę masę legend, folkloru, opowieści i magicznych doktryn. Dziadek Timothy'ego został skazany przez białego sędziego i powieszony za udział w serii rytualnych mordów na rok przedtem, nim Timothy ukończył nauki i wszedł w szeregi przywódców duchowych. W spadku po straconym Timothy otrzymał ogrom materiału — w większości, rzecz jasna, fałszywego — w dużej części nie nadającego się do publikacji jako zbyt obsceniczny, ale reszta była fascynująca, zagadkowa i niepokojąca.

Posłużyłem się znaczną częścią nie publikowanych materiałów Timothy'ego przy pisaniu własnej książki o Ofirze, szczególnie nienaukowymi, „ludowymi” sekwencjami dotyczącymi legend o wyprawach jasnoskórych, złotowłosych wojowników zza mór, którzy wydobywali złoto, podporządkowali sobie tubylcze szczepy, budowali mury wokół miast i których cywilizacja rozkwitała przez setki lat, nim zniknęła niemal bez śladu.

Miałem świadomość, że Timothy poddaje własnej cenzurze informacje, jakie mi przekazuje. Niewiele z nich ma charakter poufny, a tabu, które je otacza, jest zbyt potężne, by można je było zdradzić innemu człowiekowi. Jestem przekonany, że większość z nie ujawnionych informacji odnosi się do legend o starożytnych ludach, ale nigdy nie zaprzestałem wysiłków zmierzających do wydobycia z Timothy'ego jak najwięcej.

W poniedziałkowy poranek, w dniu, kiedy Louren miał wrócić ze Szwajcarii, Sally, obawiając się, że postawi on weto przeciwko włączeniu jej w skład ekspedycji, była tak rozdrażniona, że stała się wprost nie do zniesienia. Żeby uniknąć jej humorów, poszedłem do Timothy'ego.

Pracuje w malutkim pokoiku (wszystkim nam jest trochę ciasno w instytucie), wypełnionym starannie ustawionymi broszurami, książkami, folderami i stosami papieru, sięgającymi pod sufit. Jest tam jednak miejsce na mój fotel — dziwactwo na długich nogach niczym stółek barowy. Chociaż moje nogi i ramiona mają normalną długość, to korpus jest zdeformowany, więc korzystając ze zwyczajnego krzesła, miałbym kłopot z utrzymaniem głowy ponad stołem.

— Machane! Błogosławiony! — Timothy uniósł się ze swoim zwyczajowym pozdrowieniem. Zgodnie z naukami Bantu, ci, którzy mają zdeformowane stopy, albinosi, zezowaci i garbaci są błogosławieni przez duchy i obdarzeni szczególną mocą. Znajduję jakiś dziwny rodzaj przyjemności z racji tej wiary i powitanie Timothy'ego zawsze podnosi mnie na duchu.

Wskoczyłem na mój fotel i rozpocząłem chaotyczną konwersację, przeskakując z tematu na temat, przechodząc od jednego języka do drugiego. Timothy i ja jesteśmy dumni z naszych talentów i obawiam się, że jest to trochę widoczne. Nie ma drugiego człowieka, o tym jestem przekonany, który dotrzymałby nam kroku od początku do końca naszych konwersacji.

— Będzie rzeczą dziwną — powiedziałem, już nie pamiętam, w jakim języku — nie mieć cię przy sobie podczas tej podróży. Pierwszy raz od dziesięciu lat, Timothy.

Natychmiast stał się ostrożny. Wiedział, że udaję się na poszukiwanie zaginionego miasta. Przed pięcioma dniami pokazałem mu fotografie i starałem się wyciągnąć z niego użyteczne komentarze.

— Ale pewno niewiele stracisz. To chyba jeszcze jeden pościg za cieniem. Bóg wie, jak tam będzie. Żebym tylko wiedział, czego szukać.

Przerwałem i zamarłem w oczekiwaniu. Gdy wzrok Timothy'ego staje się szklisty, mętne niebieskawe bielmo zaczyna powlekać gałki jego oczu, głowa opada, usta zaczynają drżeć, wtedy dostaję gęsiej skórki i włosy sztywnieją mi na karku.

Czekałem. Ilekroć Timothy wprawiał się w trans, nie potrafiłem zapanować nad dreszczami. Czasami odbywa się to nieświadomie — jakieś słowo, myśl może zainicjować proces i odruch jest niemal natychmiastowy. Albo inaczej, może to być rozmyślny akt autohipnozy, ale to wymaga przygotowań i rytuału.

Tym razem było to spontaniczne; czekałem w napięciu, wiedząc, iż jeśli materiał stanowi tabu, Timothy w ciągu kilku sekund zrzuci z siebie urok świadomym wysiłkiem woli.

— Zło... — powiedział drżącym, wysokim głosem starca, głosem swojego dziadka. Na jego ustach pojawiły się krople śliny. — ...Zło, które będzie na zawsze wygnane z ziemi i umysłów ludzi.

Potrząsnął głową. Świadoma część umysłu podjęła interwencję, usta otwierały się bezgłośnie. Jeszcze jeden wysiłek... i nagle jego oczy rozjaśniły się. Spojrzał na mnie.

— Przykro mi — mruknął po angielsku, odwracając wzrok, zakłopotany mimowolną manifestacją i pragnieniem odwrócenia mojej uwagi. — Napije się pan kawy, doktorze? Wreszcie naprawili nam czajnik.

Westchnąłem. Timothy wyłączył się, trudno mi będzie znów nawiązać z nim kontakt. Zamknął się w sobie, a używając jego własnego określenia: „przeobraził się w czarnucha”.

— Nie, dziękuję, Timothy. — Zerknąłem na zegarek i zsunąłem się z fotela. — Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

— Idź w pokoju, Machane, i niech duchy prowadzą twoje stopy. — Uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Pokój z tobą, Timothy, a jeśli duchy będą przychylne, przyślę po ciebie.

\* \* \*

Stojąc przy poręczy baru kawowego w głównym holu lotniska Jana Smutsa, miałem dobry widok na główne wejście do terminalu międzynarodowego.

— Niech to diabli! — zakląłem.

— Co się dzieje? — spytała niespokojnie Sal.

— MIL, cały pluton.

— Co to za jedni?

— Młodzi Inteligentni Ludzie. Pracownicy Sturvesanta.

— Skąd możesz wiedzieć, że to jego ludzie? — zapytała.

— Po tym, jak są ostrzyżeni, krótko z tyłu i na bokach. Garnitury z ciemnego kaszmiru i gładkie krawaty. Spięci, zdenerwowani, ale rozkwitający, gdy pojawia się wielki człowiek. — Po chwili dodałem w nieoczekiwanym przypiływie szczerości: — Poza tym poznaję dwóch z nich. Księgowi. Muszę błagać ich o pieniądze za każdym razem, kiedy potrzebuję rolki papieru toaletowego dla instytutu.

— Czy to on? — spytała Sally, wskazując palcem.

— Tak — odparłem. — To on.

Louren Sturvesant pojawił się w drzwiach terminalu z drepczącym u jego boku rzecznikiem prasowym lotniska. Dwaj MIL trzymali się o krok z tyłu. Oczekująca czwórka rozbłysła uśmiechami i pospieszyła do przodu, przestrzegając kolejności wynikającej z rangi i wieku. Po krótkich uściskach dłoni witający natychmiast zajęli swoje miejsca wokół Lourena. Dwóch pobiegło przodem, torując przejście szefowi, dwaj pozostali ulokowali się po bokach. Zdezorientowany rzecznik prasowy został z tyłu i formacja Anglo—Sturvesant ruszyła przez zatłoczoną salę niczym dywizja

pancerna do ataku.

Louren wyróżniał się jasną kędzierzawą czupryną, a jego opalona, prawdziwie pogodna twarz kontrastowała z otaczającymi go sztucznymi uśmiechami.

— Chodź! — Złapałem Sally za rękę i zanurkowałem w tłum. W tym jestem dobry. Toruję sobie drogę na niższym poziomie, a nacisk na tej nieoczekiwanej wysokości powoduje rozstąpienie się tłumu, niczym wód Morza Czerwonego. Sally spieszyła za mną jak Izraelici.

Zagrodziliśmy idącym drogę przy szklanych drzwiach wyjściowych. Puściłem Sally, aby rozerwać krąg wokół Lourena, który mało nie potknął się o mnie.

— Ben! — Od razu spostrzegłem, że jest zmęczony. — Przykro mi. Powinienem był cię uprzedzić, żebyś nie przychodził. Coś się wydarzyło. Idę prosto na naradę.

Zobaczył wyraz mojej twarzy i klepnął mnie w ramię.

— Nie wyciągaj żadnych pochopnych wniosków! Sprawa jest wciąż aktualna. Bądź na lotnisku jutro o piątej rano. Tam się spotkamy. Muszę już iść. Przepraszam.

Pospiesznie podaliśmy sobie dłonie.

— Zawsze razem, współniku? — zapytał.

— Zawsze razem — zgodziłem się, szczerząc zęby w głupawym uśmiechu. Cała grupa przeszła obok mnie i znikła za szklanymi drzwiami.

Byliśmy w połowie drogi do Johannesburga, nim Sally otworzyła usta.

— Spytałeś go o mnie? Czy to załatwione?

— Nie było czasu, Sal. Sama widziałaś. Za bardzo się spieszył.

Żadne z nas nie odezwało się już, dopóki nie skręciłem na teren instytutu i zaparkowałem mercedesa na opustoszałym parkingu obok małej czerwonej alfy Sally.

— Masz ochotę na filiżankę kawy? — spytałem.

— Już późno.

— Wcale nie. I tak nie zaśniesz tej nocy. Moglibyśmy zagrać w szachy.

— W porządku.

Otworzyłem frontowe drzwi i przeszliśmy przez sale wystawowe pełne szklanych gablot i woskowych figur do wejścia prowadzącego do mojego biura i mieszkania.

Sal rozpałała ogień i ustawiła figury na szachownicy, podczas gdy ja przyrządzałem kawę. Gdy wróciłem z kuchni, siedziała ze skrzyżowanymi nogami na skórzanym pufie, pochylona w zamyśleniu nad figurami z kości słoniowej i hebanu. Zaparło mi dech na widok jej urody uwydatnionej przez światło i otoczenie. Miała na sobie wielobarwne poncho, mieniące się kolorami jak orientalne dywany rozpostarte na podłodze wokół niej. Łagodne oświetlenie podkreślało jej delikatną opaleniznę. Kiedy się tak przyglądałem, miałem wrażenie, że mi serce wyskoczy z piersi.

Podniosła głowę, spoglądając na mnie ogromnymi, łagodnymi oczami.

— Chodź — powiedziała. — Grajmy.

W końcu przewróciła swoją królową z pomrukiem irytacji i wstała, by przejść niespokojnie przez pokój z ramionami skrzyżowanymi pod jaskrawym poncho. Sączyłem kawę i obserwowałem Sally ze skrywaną przyjemnością aż do chwili, gdy obróciła się na pięcie i stanęła naprzeciw mnie w rozkroku, z dłońmi zaciśniętymi na biodrach i łokciami sterczącymi pod poncho.

— Nienawidzę drania — powiedziała napiętym, zduszonym głosem. — Wielki, arogancki półbóg. Poznałam się na nim, gdy tylko go zobaczyłam. Dlaczego on musi być w to włączony? Jeśli dokonamy jakiegoś znaczącego odkrycia, wiesz, na kogo spadnie chwała.

Domyśliłem się, że mówi o Lourenie, i byłem zaskoczony, słysząc gorycz i złość w jej głosie. Później przypomniałem sobie ten wybuch i zrozumiałem jego przyczynę. Ale teraz byłem wstrząśnięty.

— Cóż ty wygadujesz? — zachnąłem się.

— Ta twarz, ten chłód, stado pochlebców, atmosfera wspaniałomyślności, w której rozdziela swe łaski, bezgranicznie przytłaczająca zarozumiałość...

— Sally!

— Bezmyślne okrucieństwo...

— Przestań, Sally. — Wstałem.

Widziałeś tych biedaków wokół niego, trzęsących się z przerażenia?

— Sally, nie będziesz więcej tak o nim mówiła, przynajmniej w mojej obecności.

— Czy widziałeś siebie? Jeden z najłagodniejszych, najbardziej uprzejmych i skromnych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałam. Jeden z najbystrzejszych umysłów, z jakimi miałam zaszczyt kiedykolwiek pracować. Czy widziałeś siebie skaczącego wokół niego? Boże, tarzałeś się u jego stóp, nadstawiając brzuch do podrapania!

Wpadła niemal w histerię, płakała, a łzy spływały po drżącej, pobladłej twarzy.

— Nienawidziłam ciebie i jego! Nienawidziłam was obu. Poniżał cię i... i...

Nie potrafiłem dorzecznie odpowiedzieć. Stałem wstrząśnięty i sparaliżowany. Jej nastrój zmienił się. Przycisnęła dłoń do ust. Patrzyliśmy na siebie.

— Chyba oszalałam — wyszeptała. — Dlaczego mówię takie rzeczy? Ben, przykro mi. Bardzo mi przykro.

Podeszła i objęła mnie, a ja stałem jak posąg. Czułem zimny strach i przerażenie przed tym, co miało się stać. Chociaż tak długo się o to modliłem, przyszło nagle, bez ostrzeżenia. Teraz znalazłem się daleko poza punktem, z którego nie było odwrotu, na terytorium mi nie znanym. Sally spojrzała mi w twarz.

— Wybacz mi, proszę.

Pocałowałem ją; usta miała gorące i wilgotne od łez. Wargi rozwarły się i mój strach uleciał.

— Kochaj mnie, Ben. Proszę. — Instynktownie wiedziała, że trzeba mi pomóc. Podprowadziła mnie do kanapy.

— Światło — wyszeptałem ochryple. — Proszę cię, zgaś światło.

— Jeśli tego chcesz.

— Proszę, Sally.

— Zgaszę — powiedziała. — Wiem, mój drogi. — I zgasiła lampę.

Dwa razy w ciemności rozległ się jej jęk:

— Och, proszę, Ben, jesteś taki silny. Wykończysz mnie!

Później w mroku brzmiały tylko nasze urywane oddechy.

Czułem się tak, jakby mój umysł uwolnił się z ciała i dryfował w ciepłe i ciemności. Po raz pierwszy w życiu byłem spokojny, zadowolony i bezpieczny. Zdawać by się mogło, że z tą kobietą przeżyję to jeszcze nieraz. Kiedy nareszcie Sally odezwała się, zadrzałem.

— Zaśpiewasz dla mnie, Ben? — Włączyła lampę stojącą na stoliku przy kanapie. Mrugaliśmy oboje, oślepieni światłem. Sally miała zaróżowioną twarz i niesfornie rozrzucone włosy.

— Tak — powiedziałem. — Zaśpiewam. — Poszedłem do garderoby i wyjąłem z szafy gitarę, a kiedy zamykałem drzwi, w dużym lustrze pojawiło się moje odbicie.

Uważnie przyjrzałem się sobie. Szorstkie ciemne włosy obramowywały kwadratową twarz z ciemnymi oczami i długimi rzęsami, mocną małpią szczęką i z wysokim, bladym czołem. Ten w lustrze uśmiechał się do mnie, na wpół zawstydzony, na wpół dumny.

Spojrzałem w dół obcego, zdeformowanego ciała, źródła mojej udręki od dzieciństwa. Nogi i ramiona były nadmiernie rozwinięte, grube i poznaczone węzłami mięśni jak kończyny giganta. Odruchowo spojrzałem na dźwignię w kącie pokoju, a potem znów w lustro. Na krańcach zbudowany byłem dobrze, ale w środku znajdował się przysadzisty, garbaty tors, pokryty kudłatym futrem kędzierzawych, ciemnych



włosów. Patrzyłem na to ciało i po raz pierwszy w życiu przestałem je nienawidzić.

Wróciłem do Sally, która wciąż leżała na kanapie. Usiadłem ze skrzyżowanymi nogami obok niej z gitarą w ręku.

— Coś smutnego, proszę, Ben — szepnęła.

— Ale ja jestem szczęśliwy, Sal.

— Zaśpiewaj smutną piosenkę — nalegała.

Kiedy rozległy się pierwsze tony, zamknęła oczy. Byłem jej za to wdzięczny, gdyż nigdy dotąd nie miałem sposobności napawać się widokiem nagiej kobiety.

Pochyliłem się i dotykając dźwięczących strun, pieściłem oczami smukłe ciało, jasne płaszczyzny i okrągłości oraz sekretne cienie. Ciało, które mnie ożywiło. Jakże je pokochałem!

Śpiewałem:

Na samotnej pustyni mojej duszy Noce są długie.

I żaden inny podróżny tam nie przejeżdża.

Ponad samotnymi oceanami moich myśli Wichry dmą mocno...

Po krótkiej chwili spod jej zaciśniętych powiek wypłynęły łzy. Śpiewałem, dopóki mój głos dźwięczał mocno, a palce uderzające struny nie utraciły czucia. Wtedy odłożyłem gitarę, lecz wciąż patrzyłem na Sally. Nie otwierając oczu, lekko obróciła głowę w moją stronę.

— Opowiedz mi o sobie i Lourenie Sturvesancie — poprosiła. — Chciałabym to zrozumieć.

Pytanie zaskoczyło mnie i na moment zapadła cisza. Sal otworzyła oczy.

— Przepraszam, Ben. Nie musisz...

— Nie, nie — odpowiedziałem pospiesznie. — Lubię o tym mówić. Myślę, że mylisz się co do niego. Nie wydaje mi się, by można oceniać Sturvesanta według standardowych wzorców. Mój ojciec pracował dla nich, dla Lourena i jego ojca. Umarł na zawał w rok po śmierci matki. Pan Sturvesant znał moje wyniki na uniwersytecie. Było nas kilkoro — sieroty Sturvesanta. Mieliśmy wszystko, co najlepsze. Uczęszczałem do Michaelhouse, do tej samej szkoły co Louren. Żyd w katolickiej szkole, i do tego ułomny! Możesz sobie wyobrazić, jak tam było! Chłopcy są pozbawionymi litości małymi potworami. Louren wyciągnął mnie z pisuaru, gdy chcieli mnie w nim utopić. Wybił im to z głów, ale od tego czasu stałem się dla niego ciężarem już na zawsze. On finansuje ten instytut, każdy pens pochodzi od niego. Na początku miało to być coś tylko dla mnie, ale krok po kroku angażował się w to coraz mocniej. Dla niego jest to hobby; dla mnie całe życie. Zdziwisz się, kiedy poznasz zasób jego wiadomości. Louren kocha ten kraj tak samo jak ty czy ja. Ale on jest związany z jego historią i przyszłością bardziej niż my... — Przerwałem, gdyż patrzyła na mnie tak, jakby chciała wnikać w moją duszę.

— Kochasz go, Ben, prawda? Zaczerwieniłem się i spuściłem wzrok.

— Jak możesz?

— Och, na miłość boską, Ben — przerwała niecierpliwie. — Miałam na myśli miłość w sensie biblijnym.

— Jest moim ojcem, opiekunem, dobroczyńcą i przyjacielem. Jedyne przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. Tak, można powiedzieć, że go Kocham.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła mojego policzka.

— Postaram się go polubić. Przez wzgląd na ciebie.

\* \* \*

Było jeszcze ciemno, kiedy przejechaliśmy przez bramę lotniska. Sally, otulona w

płaszcz, siedziała milcząca i jakby nieobecna po bezsennej nocy wypełnionej miłością i rozmowami.

Prywatny hangar Sturvesanta na wschodnim krańcu pasa startowego był oświetlony. Kiedy się zbliżyliśmy, dostrzegłem ferrari Lourena, zaparkowane w wydzielonej zatoczce, a obok jeszcze sześć innych nowoczesnych limuzyn, lśniących w blasku reflektorów.

— O Boże — jęknąłem. — Zabiera z sobą całą drużynę.

Zaparkowałem obok ferrari i rozpoczęliśmy wyładunek naszego sprzętu z bagażnika. Sally wyciągnęła swoje sztalugi i przewiesiła przez ramię, następnie z wielkim zwojem pergaminu w jednej dłoni i pudłem farb w drugiej zniknęła w bramie hangaru. Oczywiście powinienem iść razem z nią, ale byłem zbyt zajęty sprawdzaniem bagażu. Minęło kilka minut, gdy podążyłem za nią. Było już za późno.

Przecisnąłem się przez wejście do oświetlonego hangaru i żołądek podjechał mi do gardła. Lśniąca rekinowata sylwetka leara tworzyła dekorację dramatycznej sceny. Siedmiu ludzi Lourena, odzianych w przepisowe ubranka: idealnie skrojone stroje myśliwskie i wełniane płaszcze, otaczało Sally dyskretnym kręgiem.

Louren Sturvesant bardzo rzadko traci opanowanie, a gdy już do tego dochodzi, to tylko w wyniku wyjątkowo złośliwej prowokacji. W ciągu tych kilku minut Sally Benator dokonała tego, czego nie udało się nigdy przedtem licznym osobom. Louren kipiał z gniewu.

Sally zdążyła już rzucić swój sprzęt na betonową posadzkę i stała z dłońmi zaciśniętymi na biodrach i z płonącymi policzkami.

— Doktor Kazin powiedział, że mogę jechać.

— Nie obchodzi mnie to! Gdyby nawet cholerny król przeklętej Anglii powiedział, że może pani jechać, mówię, że samolot jest już pełny. Poza tym nie mam zamiaru wlec z sobą kobiety, i to w pierwszy wolny dzień, jaki mam od sześciu miesięcy.

— Nie wiedziałam, że to ma być przejażdżka dla zabawy!

— Czy ktoś może wyrzucić stąd tę panią?! — zagrzmiał Louren. MIL ocknęli się i zbliżyli ostrożnie. Sally złapała drewniane sztalugi i uniosła je oburącz. Wskoczyłem do środka, chwytając Lourena za rękę.

— Proszę, Lo. Możemy porozmawiać? — Prawie siłą wciągnąłem go do biura. Wydawało mi się, że dostrzegam na jego twarzy coś na kształt ulgi...

— Słuchaj, strasznie mi przykro z powodu tego zamieszania. Nie miałem okazji ci wyjaśnić!

Pięć minut później Louren wymaszerował z biura i nie patrząc na nikogo wspiął się na pokład odrzutowca. W chwilę później jego głowa pojawiła się w oknie kabiny; zakładał słuchawki.

Podszedłem do najstarszego z MIL i przekazałem mu słowa, które stały się dla niego rozkazem.

— Pan Sturvesant prosił, żebym polecił panu zorganizować sobie czarterowy lot do Gaborone. — Po czym odwróciłem się do pozostałych. — Czy nie mogliby panowie pomóc nam przy załadunku bagażu?

Podczas gdy brygada najlepiej w Afryce opłacanych sztauerów przenosiła bagaże, Sally przybrała pozę bezwstydnego tryumfu. Musiałem ją poskromić.

— Tylne siedzenie — warknąłem. — I spróbuj stać się niewidzialna. Nigdy się nie dowiesz, jak niewiele brakowało, by ominęła cię ta wyprawa. Pod znakiem zapytania stało także twoje dalsze zatrudnienie w instytucie.

Wszystko było gotowe na dziesięć minut przed przybyciem pilota. W przejściu między fotelami zatrzymał się obok nas i z nie ukrywanym podziwem spojrzął na Sally.

— Kobieto! — Potrząsnął głową. — Oddałbym miesięczną pensję, by móc to obejrzeć! Była pani podobno wspaniała!

Sally, która od chwili mojego ostrzeżenia była stosownie stonowana, momentalnie nabrała animuszu.

— Gwizdź na nich — oświadczyła.

Kilku z MIL, którzy ją usłyszeli, odwróciło się z lękiem.

Louren gawędził przez radio z kontrolą lotów, ale przywołał mnie gestem dłoni, wskazując fotel drugiego pilota. Wcisnąłem się za stery i czekałem. Louren zakończył rozmowę i odwrócił się do mnie.

— Śniadanie?

— Już jadłem.

Mimo odmowy wręczył mi nogę indyka, duży kawałek kurczaka i porcję ciasta wydobyte ze stojącego obok koszyka.

— Kawa w termosie. Obsłuż się.

— Otrzymałeś dwudziestopięciomilionową pożyczkę? — zapytałem podczas jedzenia.

— Tak, pomimo pewnych trudności.

— Nie myślałem, że musisz pożyczać pieniądze, Lo. Czyżby nadchodziły trudne czasy?

— Na poszukiwanie ropy. — Roześmiał się, słysząc moją sugestię. — To ryzykowne przedsięwzięcie. Wolę zaryzykować więc czyjeś pieniądze, a swoje stawiać na pewniaki.

Gładko zmienił temat.

— Przepraszam z powodu nadłożenia drogi. Zostawiam chłopców w Gaborone. Odbędą tam kilka spotkań z członkami rządu Botswany. Chodzi o uzgodnienie szczegółów koncesji. Ale nie schodzimy zbyt daleko z kursu. Później to nadrobimy. — Zaczął jeść i mówił dalej: — Prognoza meteo jest paskudna, Ben. Gruba warstwa chmur na niskim pułapie nad całym terytorium północnym. Tak niska pokrywa chmur nad pustynią zdarza się mniej więcej raz na trzy lata, no i dzisiaj jest właśnie ten dzień.

Był spokojny i opanowany, bez śladu wcześniejszego gniewu. Rozmawialiśmy pogodnie. Znałem ten jego nastrój, nastrój wakacji i odprężenia. Naprawdę z niecierpliwością tego oczekiwał. Zaginione miasto czy cokolwiek innego było jednak wystarczającym pretekstem do wyrwania się na pustkowie, które kochał.

— Tak jak kiedyś, Ben. Ile czasu minęło od chwili, gdy wyruszyliśmy gdzieś razem? Co najmniej dziesięć lat! Pamiętasz wycieczkę kajakiem wzdłuż Orange River? Kiedy to było? Pięćdziesiąty szósty czy siódmy? A wyprawa dla odnalezienia dzikich Buszmenów?

— Musimy to robić częściej, Lo.

— Tak — odparł, jak gdyby miał możliwość wyboru. — Musimy, ale czas ucieka tak szybko. W przyszłym roku skończę czterdzieści lat. — W jego głosie pojawiła się zaduma. — Boże, gdyby za pieniądze można było kupić czas!

— Mamy pięć dni — powiedziałem, chcąc oderwać go od tych rozmyślań. Ochoczo podchwycił temat. Minęło jeszcze pół godziny, nim wspomniął o Sally.

— Bojowa ta twoja asystentka. Jak jej na imię? Powiedziałem mu.

— Sypiasz z nią? — zagadnął. Zabrzmiało to tak naturalnie, tak niedbale, że przez moment nie miałem pojęcia, jak zareagować. Potem poczułem wściekłość, krew pulsowała mi w skroniach, twarz płonęła. Stłumionym głosem powiedziałem:

— Nie.

— I dobrze — mruknął. — To wariatka. Ale tymczasem niech nie przeszkadza.

Gdybym mu wtedy powiedział... Ale była to sprawa zbyt osobista, zbyt

drogocenna i krucha, by kalać ją słowami. Siedziałem rozdygotany, podczas gdy on swobodnie rozprawiał o czekających nas wspólnych dniach.

Kiedy przelatywaliśmy nad chmurami, one tężały i krzęły jak brudnoszary koc rozciągający się aż po horyzont. Przecieliśmy granicę pomiędzy Afryką Południową i niepodległym państwem Botswana. Kiedy lądowaliśmy w Gaborone, pokrywa chmur opadła do tysiąca stóp. Pomimo zapewnień Lourena, że wkrótce ponownie znajdziemy się w powietrzu, na lotnisku oczekiwała nas delegacja urzędników rządowych i powitanie z napojami i jedzeniem. Upalna, parna pogoda, a do tego białe twarze przemawiające łagodnie do lśniących czarnych twarzy i gęste kłęby dymu z papierosów i cygar.

Upłynęły cztery godziny, zanim Lear z naszą czwórką na pokładzie przebił pokrywę chmur i wznosił się ku słońcu.

— Bomba — stwierdził Louren. — Kosztowne party. Ten czarny drań, Ngelane, podniósł cenę swojego honoru o kolejne dwadzieścia tysięcy. Rzecz jasna, musiałem się z nim rozliczyć. Mógłby popsuć cały interes. Wszystko musi przejść przez jego ministerstwo. Okay, Ben. Lepiej pozwólmy Rogerowi zająć się przyrządami. Zejdziemy poniżej tej zupy i rozejrzemy się.

Sal i ja stanęliśmy za Lourenem i pilotem Rogerem van Deventerem, siedzącymi za sterami, podczas gdy samolot kierował się ukośnie w dół, ku podstawie brudnych chmur. Przemknęło kilka smug i nagle słońce zniknęło, a my pogrążyliśmy się w ciemnoszarej mgle.

Roger siedział za sterami całkowicie pochłonięty tablicą rozdzielczą, a gdy igła wysokościomierza opadała wolno, jego dłonie zaciskały się na drążkach. Opadaliśmy równomiernie. Teraz Roger włączył hamulce powietrzne. Wpatrywaliśmy się przed siebie i w dół, szukając widoku ziemi. Wciąż opadaliśmy. Napięcie pilota przerodziło się w strach. To było zaraźliwe. Jeżeli on, zahartowany lotnik, bał się, to ja byłem przerażony! Nagle zrozumiałem, że w obawie przed gniewem Lourena raczej wbije nas w ziemię, niż poderwie maszynę. Byłem zdecydowany interweniować, nie było to jednak konieczne.

— Przelecieliśmy — mruknął Louren, sprawdzając wskaźniki. — Odpręż się, Ro.

— Przepraszam, panie Sturvesant, ale to świństwo nie ma dna. — Zabrzmiało to jak westchnienie i Roger uniósł dziób leara. Otworzył przepustnicę i zwolnił hamulce.

— Starczy! — mruknąłem z ulgą. — Zapomnij o tym, Lo. Lecimy do Maun.

Louren odwrócił się, by spojrzeć na mnie, ale jego wzrok zatrzymał się na Sally. Nie widziałem wyrazu jej twarzy, ale mogłem się go domyślić z tonu głosu Lourena.

— Macie pietra? — Louren spoglądał na nią i uśmiechał się.

Chciałem przełożyć Sally przez kolano i stłuc jej ponętne pośladki. Gorąca fala strachu, jaka ogarniała mnie minutę wcześniej, zmieniła się w zimne, paraliżujące przerażenie, ponieważ widywałem już Lourena uśmiechającego się w ten sposób.

— Okay, Roger — powiedział. — Przejmuję stery. — Lear opadł na skrzydło, zataczając półkole. Manewr został wykonany tak płynnie, że Sally i ja jedynie ugięliśmy lekko nogi w kolanach na skutek siły ciężenia. Ukradkiem spojrzałem na Sally. Z roziskrzonymi oczami, zarumieniona z emocji, spoglądała w nieprzenikniony mrok przed nami.

Jeszcze raz Louren ostro położył samolot na skrzydło lecąc w kierunku przeciwnym do naszego poprzedniego kursu, po czym poprowadził maszynę ku dołowi. Nie zastosował wymaganych środków ostrożności podczas lotu, nie wysunął klap, nie zredukował przepustnicy. Sterował śmiało i szybko. Sally ujęła moją dłoń i ścisnęła ją. Bałem się i byłem zły na nich oboje, byłem za stary na te dziecinne zabawy, ale odwzajemniłem uścisk. Było mi to potrzebne w tym samym stopniu co jej.

— Chryste, Lo — wydukałem. — Zwolnij, proszę!

Nie zwrócił na mnie uwagi. Roger zamarł na swoim fotelu z rękoma zaciśniętymi na oparciu, wpatrzony przed siebie. Kamiennie spokojny Louren siedział przy tablicy kontrolnej, wiodąc nas ku śmiertelnemu niebezpieczeństwu, a Sally (niech ją diabli!), szeroko uśmiechnięta, kurczowo uczepliła się mojej zimnej ręce.

Nieoczekiwanie znaleźliśmy się w deszczu, a jego perłowe warkocze i węże wiły się na przedniej szybie. Wiał wiatr, zmagając się ze lśniącym kadłubem leara i kołysząc skrzydłami. Chciało mi się płakać. Nie miałem ochoty umierać.

Louren dojrzał ziemię i powstrzymał szaleńcze opadanie samolotu łagodnym manewrem, po czym wyrównał lot nad powierzchnią.

To było jeszcze bardziej przerażające niż opadanie na oślep. Końce skrzydeł samolotu niemal dotykały koron niskich drzew, a przed nami majaczyły potężne pnie baobabów. Lear prześlizgiwał się nad ich łapczywie wyciągniętymi konarami. Sekundy ciągnęły się jak wieki, gdy raptem zasłona deszczu rozsuneła się i weszliśmy w strefę dobrej pogody.

Przed nami, dokładnie na torze lotu, obmywane promieniami zażawionego jeszcze słońca, piętrzyły się czerwone skały. To było tylko przelotne mignięcie rdzawych skał, do których się zbliżaliśmy, gdy Louren szarpnął samolot w górę; zdawało się, że skały zaraz rozszarpia maszynie brzuch.

Nikt się nie odezwał, dopóki nie wynurzyliśmy się wysoko w słonecznym blasku. Sally delikatnie uwolniła dłoń z mojego uścisku. Louren odwrócił się i obrzucił nas spojrzeniem. Przez chwilę oboje patrzyli na siebie, a potem Louren roześmiał się głośno.

— Niech pani spojrzy na twarz Bena! — wykrzyknął, a Sally uznała to za zabawne. Kiedy skończyli się śmiać, Sally zapytała z entuzjazmem:

— Czy ktoś widział ruiny? Mignęły mi tylko wzgórze, ale czy ktoś z was widział ruiny?

Nikt jej nie odpowiedział.

Kiedy dolatywaliśmy do Maun, chmury ustępowały. Teraz Roger przejął stery i sprowadził nas na dół.

Peter Larkin już czekał.

Niewielu jest ludzi podobnych do Petera. Ten gość to kompletny przeżytek, podobnie jak i duże naboje uwieszone na piersi jego bluzy polowej i spodnie wpuszczone w cholewy wysokich butów. Miał wielką czerwoną twarz i olbrzymie ręce. Na wskazującym palcu prawej ręki widoczne były szramy po odrzutach karabinu. Jego głos przypominał ochrypy krzyk. Spędził w Afryce całe życie i nigdy nie zwracał sobie głowy nauką ojczystego języka. Znał język Afryki Południowej, mieszany fanagalo, a gdy zależało mu na podkreśleniu jakichś słów, posługiwał się gestykulacją. Jego wiedza o zwierzynie, na którą poluje, ogranicza się do tego, jak ją znaleźć i gdzie celować, by ją powalić. W tej jego słoniowatej niezdarności jest coś pociągającego.

Podczas gdy jego drużyna myśliwska ładowała nasze instrumenty na ciężarówkę, on wykrzykiwał pod adresem Lourena i moim sympatyczne idiotyzmy:

— Szkoda, że nie mogę jechać z wami. Jutro przyjeżdża zgraja Amerykanów z wielkim workiem dolarów. Niewiele mi pan powiedział, panie Sturvesant, ale oddaję panu moich najlepszych chłopców. Na południu pada, mnóstwo zwierzyny w okolicy. Powinniście zapolować na gazy. No i na słońca, rzecz jasna.

Używanie zdrobnień nazw w odniesieniu do zwierzyny łownej przyprawia mnie o mdłości, szczególnie kiedy poluje się na nie przy użyciu szybkostrzelnego karabinu. Podszedłem do Sally nadzorującej pakowanie sprzętu.

— Już po pierwszej — zwróciła mi uwagę. — Kiedy zabierzemy się do pracy?

— Prawdopodobnie dziś wieczorem dowleczymy się do krańca panwi Makarikari. To około dwustu mil nie najgorszej drogi. Jutro wędzemy się w busz.

— Czy ten Hemingway jedzie z nami? — zapytała, zerkając z niechęcią na Petera Larkina.

— Nie spotka cię to szczęście — zapewniłem. Usiłowałem wyrobić sobie zdanie o ludziach, którzy mieli nam towarzyszyć w wyprawie. Dwaj kierowcy podkreślali swój wyższy status białymi koszulami, długimi szarymi spodniami i wzorzystymi, dość jaskrawymi krawatami. Każdy z nich miał prowadzić trzytonową ciężarówkę. Był też kucharz, dźwigający przed sobą efekty swego łakomstwa, o skórze błyszczącej od dobrego jadła. Dwaj sękaci, siwowłosi opiekunowie broni, którzy pieczołowicie wyłowili sportowe strzelby Lourena z bagaży, pieścili je teraz miłośnie. Ci stanowili elitę i nie brali udziału w szaleńczej bieganiu chłopców obozowych, przenoszących nasz ekwipunek. Większość z nich była Bamangwatos; przez krótką chwilę słuchałem ich rozmowy. Jak można było oczekiwać, chłopcy od podawania broni byli Matabele, a kierowcy to Shangaans. To dobrze, będę rozumiał każde słowo wypowiedziane w czasie wyprawy.

— Przy okazji, Sal — powiedziałem cicho. — Nie zdradź przypadkiem, że znam ich język.

— Dlaczego? — Wyglądała na zdziwioną.

— Lubię wiedzieć, co się dzieje, a jeśli oni dowiedzą się, że ich rozumiem, będą uważać na każde słowo.

Poszliśmy pożegnać się z Rogerem.

— Nie wystrasz lwów — powiedział do Sally. Jasne było, że dokonała kolejnego podboju.

Pilot wspiął się do kabiny samolotu, a my, zbici w gromadę, obserwowaliśmy, jak odkołowuje na koniec pasa startowego, wreszcie odrywa się od ziemi i znika na południu.

— Na co czekamy? — zapytał Louren.

— Właśnie, na co? — przyłączyłem się do tego pytania. Louren zasiadł za kierownicą land rovera, a ja zająłem miejsce obok niego. Sally usiadła z tyłu, a nosiciele broni przycupnęli na ławkach.

— Czuję się o wiele bezpieczniej na ziemi niż w powietrzu — oznajmiłem.

\* \* \*

Droga wiodła prosto przez rozległą krainę gęstych zarośli i baobabów, krainę suchą i spaloną przez słońce. Land rover wznosił tumany pyłu i dwie ciężarówki podążające za nami trzymały się w znacznej odległości, by uniknąć jazdy w obłokach kurzu.

Gdzieniedzie pojawiały się strome, usiane skałami, suche łożyska rzek, które musieliśmy pokonywać. Mijaliśmy chaty ulepione z błota i trzciny, a nagie brzuchate brzdące ustawiały się na skraju drogi, witając nas machaniem dłoni i śpiewem, niczym monarchów. Sally szybko pozbyła się wszystkich pensów i obserwując, jakie wywołała ich rzucaniem zamieszanie, klaskała zachwycona. Kiedy jednak zaczęła wyrzucać za okno nasz lunch, wyciągnąłem z pudła gitarę, żeby odwrócić jej uwagę od dzieci.

— Coś wesołego, Ben — poprosiła.

— I sprośnego — dorzucił Louren. Myślę, że miał zamiar jej dopiec, a może tylko sprawdzić, jak zareaguje na tę propozycję.

— Tak — zgodziła się chętnie. — Niech to będzie jędrne, ale pogodne.

Zacząłem więc od sagi o „Dzikim, dzikim kaczorze”, a Sal i Louren wykrzykiwali

refren. Tego dnia zachowywaliśmy się jak dzieci jadące na piknik. Pokonaliśmy ładny kawałek drogi w głąb panwi. Słońce wyglądało jak wielka ognista kula wśród postrzępionych obłoków nad horyzontem, kiedy dotarliśmy do krawędzi solniska. Louren zaparkował land rovera i wysiedliśmy, żeby poczekać na ciężarówkę i popatrzeć w milczeniu na posępną, połyskującą równinę, rozciągającą się bezkresnie.

Nadjechały ciężarówka i wysypała się z nich grupa czarnych służących. Wystarczyło siedemnaście i pół minuty, jak sprawdziłem, by wszystkie namioty zostały rozstawione, łóżka polowe posłane, a nasza trójka siedziała przy ognisku, popijając glen granta z kawałkami grzechoczącego lodu. Dolatywał nas ostry zapach potrawy myśliwskiej, którą kucharz podgrzewał, obficie przyprawiając czosnkiem i oregano. Ludzie Larkina tworzyli zgraną, pogodną grupę, a kiedy posililiśmy się, zbrali się wokół swojego ogniska niedaleko nas, ożywiając ciszę nocy starymi pieśniami myśliwskimi.

Siedziałem zasłuchany na wpół w ich śpiew, na wpół w zawiłą dyskusję pomiędzy Sally i Lourenem. Powinienem ją ostrzec, że on z nią igra i prowokuje ją, ale bawiły mnie wzajemne riposty dwóch błyskotliwych umysłów. Kiedy dyskusja groziła przejściem w osobiste przytyki i napaści, interweniowałem i przywoływałem rozmówców do porządku, aczkolwiek niechętnie.

Sally zażarcie broniła wniosków wypływających z mojej książki o Ofirze, w której stawiałem tezę o podboju Afryki Południowej i Środkowej około roku 200 przed Chrystusem przez fenickich lub kartagińskich kolonizatorów, których cywilizacja rozkwitała do około 450 roku naszej ery, po czym zanikła.

— Oni nie byli odpowiednio wyposażeni do tak odległych wypraw odkrywczych — sprzeciwił się Louren. — Pozostawmy kolonizację w spokoju...

— Odnajdzie pan, panie Sturvesant, zapisy Herodota o wyprawie żeglarzy wokół Afryki za panowania króla Necho. Poprowadziło ją sześciu fenickich nawigatorów około 600 lat przed Chrystusem. Wyruszyli z Morza Czerwonego i w ciągu trzech lat wrócili przez Słupy Heraklesa.

— To była tylko jedna podróż — zauważył Louren.

— Niejedna. Hanno pożeglował od Gibraltaru do południowego krańca zachodniego wybrzeża Afryki około roku 460 przed Chrystusem. Była to wyprawa, z której przywiózł kość słoniową i złoto w ilości wystarczającej na zaostrzenie apetytów kupców.

Louren nie poddawał się.

— Skąd pani wzięła tę datę, skoro najwcześniejsze zapisy o Zimbabwie pochodzą z połowy piątego stulecia naszej ery?

— Nie mówiliśmy o Zimbabwie, ale o kulturze, która poprzedzała jego powstanie — odparowała Sally. — Zimbabwe mogło powstać pod koniec panowania starożytnych, będąc zamieszkane jedynie przez krótki okres, nim najeźdźcy zniknęli, a to dokładnie pasowałoby do śladów odnalezionych w pokładach węgla datowanych na rok 450 naszej ery. Poza tym znaleziska odkryte w kopalniach w Shala i Inswezwie ocenia się także na 250—300 lat przed Chrystusem.

Wreszcie zakończyła z typową kobiecą logiką:

— Ponadto kopaliny nie dają aż tak dokładnych danych. W rzeczywistości margines błędu może wynosić setki lat!

— Kopalnie były eksploatowane przez Bantu — przypomniał Louren. — A także Caton-Thomas i, naturalnie bliżej naszych czasów, przez Sumerów.

Zaatakowała go z furją.

— Czy Bantu, którzy prawdopodobnie przybyli na te tereny około 300 roku naszej ery, nieoczekiwanie odkryli w sobie dar znajdowania diamentów, co umożliwiło im lokalizowanie złóż metali tam, gdzie nic nie występuje inaczej niż ruda złota czy

miedzi? Czy w tym samym czasie rozwinęli technologię, która pozwoliła im wydobywać tony rudy ze skał głębinowych? Proszę pamiętać, że nigdy wcześniej nie ujawniali tych umiejętności. I wreszcie, czemu zaprzestali ich wykorzystywania w następnym tysiącleciu?

— No cóż, arabscy kupcy... Oni mogli... — zaczął Louren, ale Sally nie pozwoliła odebrać sobie głosu.

— Dlaczego wydobywali, mimo tak dużego ryzyka i zużycia energii? Złoto nie miało dla Bantu żadnej wartości. Miarą ich powodzenia było bydło. Gdzie się nauczyli używać skały jako materiału budowlanego? Bantu nie robili tego nigdy wcześniej. Nagle ich sztuka stała się dojrzała i zamiast stać się z kolei bardziej wyrafinowaną, zaczęła nieoczekiwanie zanikać i wreszcie zamarła...

Louren z wyraźną niechęcią cofał się przed szarżą Sally, ale zaparł się, kiedy przedmiotem dyskusji stała się moja teoria najazdu z zachodu, a nie ze wschodu. Czytał opinie i argumenty moich adwersarzy i krytyków, a teraz je cytował.

Zaakceptowano tezę, że punktem, od którego zaczęła się inwazja, było wybrzeże Sofala albo ujście Zambezi. Przedstawiłem teorię, opartą na świadectwach wczesnych tekstów i własnych prac wykopaliskowych, głoszącą, że ludzie zamieszkujący rejony Morza Śródziemnego opuszczali je przez Słupy Heraklesa i posuwali się wzdłuż zachodnich brzegów Afryki, prawdopodobnie zakładając faktorie na Złotym Wybrzeżu, Wybrzeżu Kości Słoniowej i w Nigerii, aż wyprawy na południe doprowadziły ich na pustkowia. Zakładałem, że było to ujście rzeki teraz już wyschniętej lub też płynącej w innym kierunku. Rzeki, która wysychając, utworzyła wielkie jeziora Makarikari, Ngami i inne, nim i one zniknęły w postępującym procesie wysychania Afryki.

Popłynęli w górę rzeki, być może Cunene albo Orange, w kierunku źródeł, a stamtąd rozesłali zwiadowców w poszukiwaniu starożytnych kopalń Manika. Kto wie, być może odkryli diamenty w piasku jezior i rzek? Z pewnością też polowali na ogromne stada słoni przemierzających te ziemie. Było to wystarczające bogactwo, by uzasadnić założenie miasta, wielkiej, otoczonej murami, fortecy i faktorii.

Gdzie mogli je umiejscowić? Najpewniej w zasięgu źródeł wody. Na brzegach najdalszego z jezior. Być może Makarikari? Albo nad jeziorem, które rozlewało się nad obecnymi granicami wielkiego solniska.

Sally i Louren spierali się ze wzrastającą zajadłością. Sally nazwała go niedowiarkiem, a on odwzajemnił się panią wszystkowiedzącą. Nagle Louren skapitulował i po chwili cała nasza trójka radośnie zajęła się szansą odkrycia zagubionego miasta Makarikari.

— Jezioro rozciągało się co najmniej pięćdziesiąt mil poza granice obecnej panwi — dowodził Louren. — Zaledwie przed stu laty Burchell opisywał jezioro Ngami jako morze śródlądowe, a obecnie jest to niemal kałuża, którą można bez trudu przeskoczyć. Wydaje się prawdopodobne, że starożytne jezioro rozciągało się aż do podnóża wzgórz, wśród których znajdują się nasze ruiny. Mamy wiele oznak stopniowego osuszania się południowych terenów Afryki. Przeczytajcie Cornwallisa Harrisa opisującego lasy i rzeki, których już dawno nie ma.

— Ben! — Sally niecierpliwie szarpnęła mnie za ramię. — Pamiętasz, jak dziwiłam się półkolistemu kształtowi miasta? To mógłby być brzeg zatoki, wokół której je zbudowano!

— Boże! — szepnął Louren. — Nie mogę się doczekać jutra.

Było już po północy, kiedy Louren i Sally udali się do swoich namiotów. Wiedziałem, że nie będę mógł zasnąć, więc uznałem, że lepiej się przejść. Mijając ogniska, wokół których spoczywali otuleni w koce służący, wyszedłem na teren panwi. Światło gwiazd nadawało upiorny szary blask soli chrześzczącej pod stopami.



Spacerowałem długo, przy-

stając czasem, by posłuchać odległego ryku lwa gdzieś na skraju buszu. Kiedy wróciłem do obozowiska, w namiocie Sally wciąż paliło się światło, a jej wyolbrzymiona sylwetka rysowała się na brezentowej ścianie. Czytała, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na łóżku polowym. Nagle wyciągnęła rękę i zgasiła lampę.

Odczekałem chwilę, zbierając odwagę, po czym podszedłem bardzo blisko namiotu. Serce waliło mi jak oszalałe.

— Sal?

— Ben... — odrzekła miękko.

— Mogę wejść?

Wahała się przez chwilę, zanim odpowiedziała:

— Dobrze, ale tylko na minutę.

Wszedłem do środka; w półmroku jej piżama lśniła jasną plamą. Po omacku wyciągnąłem rękę i dotknąłem ukochanej.

— Przyszedłem powiedzieć, że cię kocham — szepnąłem. Usłyszałem zwolniony oddech. Jej głos brzmiał łagodnie i delikatnie.

— Ben — wyszeptła. — Kochany, słodki Ben.

— Chciałbym być z tobą dziś w nocy.

Wydawało mi się, że słyszę żal w jej głosie, gdy odpowiadała:

— Nie, Ben. Wszyscy by się dowiedzieli, a nie chcę tego.

\* \* \*

Ranek rozpoczął się tak, jak zakończył się dzień poprzedni. Wszyscy byli w świetnych nastrojach i śmiali się przy stole. Służący dokazywali, zwijając obóz i ładując ciężarówki. O siódmej zjechaliśmy z drogi i rozpoczęliśmy podróż wzdłuż krawędzi panwi. Land rover sunął przodem, a naszym śladem posuwały się ciężarówki, pokonując gęste, wybujałe trawy i suche parowy.

Jechaliśmy już półtorej godziny, kiedy nagle dostrzegłem błysk pomiędzy drzewami na wprost nas. Trzy dorodne antylopy wypadły na otwartą równinę solniska i pognały jedna za drugą, oddalając się od nas. Poruszały się dość ociężale, jak tłuste kuczki; jasny kolor ich skór oraz czern i biel głów odcinały się wyraźnie od szarej powierzchni panwi.

Louren gwałtownie zahamował, a stary Matabele, nosiciel broni, ruchem znamionującym zawodowca podał mu wielki karabin, 375 magnum Wond and Wolland. Louren, biegnąc zgięty w pół, zniknął wśród traw, które porastały krawędź solniska.

— Czy on zamierza je zabić? — zapytała Sally z dziecięcym zdumieniem. Skinąłem głową, a ona dopytywała się dalej: — Ale dlaczego, dlaczego?

— To jest coś, co lubi robić.

— Ale one są takie piękne!

— Owszem — przyznałem. Daleko na panwi, około sześciuset jardów od land rovera, antylopy zatrzymały się. Stały zwrócone do nas bokiem. Spoglądały bacznie w naszą stronę, wysoko unosząc głowy ozdobione smukłymi rogami.

— Co on robi? — Sal wskazała Lourena, który wciąż biegł wzdłuż krawędzi solniska.

— Przestrzega reguł — wyjaśniłem. — Strzelanie z odległości mniejszej niż 500 jardów jest niezgodne z zasadami.

Prawdziwy sportowiec — mruknęła, przygryzając wargę i wodząc wzrokiem od Lourena do antylop. Wtem wyskoczyła nagle z land rovera i wdrapała się na maskę samochodu. Przyłożyła zwinięte dłonie do ust i zaczęła krzyczeć:

— Uciekajcie, głuptasy! Uciekajcie, niech was szlag!

Zerwała z głowy kapelusz i wymachując nim, podskakiwała na masce, wyjąc przy tym jak nawiedzona. Gazele zerwały się gwałtownie do biegu, galopując w zwartej grupie. Spojrzałem na niewielką sylwetkę Lourena i ujrzałem, że siada, opiera łokcie na kolanach i pochyla głowę nad teleskopowym celownikiem. Broń szarpnęła, z wylotu lufy trysnął dym, ale upłynęła jeszcze sekunda czy dwie, nim dobiegł nas głuchy odgłos wystrzału. Biegąca na czele gazela przekoziółkowała i stoczyła się w biały pył. Louren wypalił znowu i drugie zwierzę zważyło się, wierzgając nogami w powietrzu. Ostatnie pędziło dalej samotnie.

Stary nosiciel broni odezwał się do drugiego w języku sindebele.

— Ho! To wielki pan.

Sally zeszła z maski i siedziała już cicho. Podjechaliśmy do miejsca, gdzie czekał Louren. Podał karabin nosicielowi i gdy opuszczałem miejsce za kierownicą, po kabinie rozszedł się gorzki zapach spalonego prochu. Spojrzał na Sally.

— Dzięki — powiedział. — Wolę strzelać do ruchomego celu.

— Dlaczego nie zabił pan wszystkich trzech? — Głos Sal był pozbawiony złości.

— Na tyle opiewa licencja.

— Jakież to cholernie wzruszające! Nieczęsto zdarza się spotkać prawdziwego dzentelmena.

Znaleźliśmy się w miejscu, gdzie leżała powalona zwierzyna. Podczas gdy służący oprawiali łup, Sally pozostała na tylnym siedzeniu samochodu. Kapelusz nasunęła na czoło i wbiła wzrok w książkę.

Stałem obok Lourena w oślepiającym blasku słońca, wzmocnionym jasną powierzchnią panwi, i przyglądałem się nosicielom broni, oprawiającym antylopy z wprawą chirurgów z Harley Street.

— Mogłeś mnie uprzedzić, że mamy jedną z tych na naszej wyprawie — powiedział kwaśno Louren. — Żałuję, że ci uległem i pozwoliłem jej jechać z nami!

Nie odpowiedziałem, a on ciągnął dalej:

— Mam wielką ochotę odesłać ją do Maun jedną z ciężarówek, ale jest twoją asystentką, więc zechciej uważać na to, co ona robi, bardzo cię proszę!

Odszedłem, dając mu czas na uspokojenie, i wyjąłem mapę ze schowka w fotelu Sally. Nie podniosła wzroku znad książki. Obszedłem pojazd dookoła i rozpostarłem mapę na masce. Louren natychmiast pojawił się u mojego boku. Studiowanie map było jednym z jego ulubionych zajęć.

— Opuścimy solnisko w tym miejscu... — Wskazał punkt, w którym suche łożysko rzeki łączyło się z najdalej wysuniętym na wschód odcinkiem. — Dalej będziemy posuwać się według kompasu.

— Zastanawiam się, jaka droga nas czeka.

— Piaszczysta równina najpewniej. Nigdy tam nie byłem.

— Zapytajmy kierowców — zaproponowałem.

— Dobry pomysł. — Louren przywołał dwóch z nich, a nosiciele broni, którzy właśnie skończyli swoją fachową robotę, zostawiając resztę chłopcom obozowym, dołączyli do nas, jakby to było zupełnie naturalne.

— Chcemy się dostać do tego miejsca... — Louren pokazał na mapie. — ...Do tych wzgórz. Nie są tu oznaczone, ale ciągną się wzdłuż krawędzi solniska.

Oglądający wraz z nami mapę okazali niepokój i zdumienie. Milczeli.

— Jak wygląda obszar pomiędzy panwią i wzgórzami? — zapytał Louren.

Kierowcy wymienili ukradkowe spojrzenia.

— Więc?

— Nie znam tego kraju. Nigdy nie słyszałem o tych wzgórzach — wymruczał Joseph, starszy z kierowców, ale zaraz dodał: — Wiem tylko, że tam jest mnóstwo

piasku i nieprzebyte łożyska rzek.

— I nie ma wody — uzupełnił informację David, drugi kierowca. — Tak w każdym razie mówią. Ja nigdy tam nie byłem.

— Czego szukają biali ludzie? — zapytał stary nosiciel broni w języku sindebele. Było oczywiste, że mapa nic mu nie mówi.

— Chcą jechać do Katuba Ngazi — wyjaśnił szybko kierowca. Tubylcy byli przekonani, że nie znamy tego języka i że mogą swobodnie rozmawiać przy nas. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem tę nazwę: Katuba Ngazi — Wzgórza Krwi.

— Co mu powiedziałeś? — zapytał nosiciel.

— Że nie znamy tego miejsca.

— Dobrze — pochwalił go stary. — Powiedz mu, że tam nie ma żadnych słoni, a dzikie zwierzęta znajdują się na południe od panwi.

Kierowca posłusznie przekazał nam tę wiadomość i z rozczarowaniem odnotował naszą powściągliwą reakcję.

— W porządku! — Louren zwrócił się do nich z uśmiechem. — Czeka was więc coś nowego. Jeszcze dziś ujrzycie te wzgórza. — Zrolował mapę. — Teraz załadujcie mięso i ruszamy.

W ciągu pięciu minut dotychczasowy nastrój członków ekspedycji uległ zmianie. Wszyscy wyglądali na pogrążonych w depresji, przybrali posępny wyraz twarzy, uwagi wymieniano szeptem. Tempo pracy spadło, tak że upłynęło prawie pół godziny, nim załadowano sprawione antylopy. W tym czasie odciągnąłem Lourena na bok i pośpiesznie przekazałem mu treść rozmowy afrykańskich służących.

— Wzgórza Krwi! Cudownie! — oznajmił Louren. — To oznacza, że z pewnością wiedzą o ruinach, ale to jest prawdopodobnie tabu.

— Na to wygląda — zgodziłem się z nim. — Ale to nam utrudnia zadanie. Musimy liczyć się z próbami sabotowania naszych poleceń. Spójrz na nich! — Odwróciliśmy się w kierunku powolnej, niemal lunatycznie poruszającej się grupki. — Domyślałem się, że droga do Wzgórz Krwi zabierze nam więcej czasu, niż to zakładaliśmy.

Opuściliśmy solnisko, ponieważ jest tam wiele miejsc, w których wehikuły mogłyby ugrzęznąć, i podążaliśmy jego twardym skrajem. Pokonaliśmy kolejny stromy jar i jechaliśmy jeszcze przez dwadzieścia minut, zanim zdaliśmy sobie sprawę, że ciężarówki podążające dotąd za nami zniknęły. Po dziesięciu minutach niecierpliwego wyczekiwania zawróciliśmy i podążaliśmy z powrotem po własnych śladach.

Jedna z ciężarówek na wpół wisiała nad krawędzią parowu, jedno przednie koło i jedno tylne nie dotykało ziemi, ale podwozie opierało się na twardym gruncie. Drugi pojazd stał w pobliżu, a czternastu mężczyzn rozsiadło się wokół, nie czyniąc najmniejszej próby uruchomienia zagrożonego pojazdu.

— Joseph! — Louren zawołał kierowcę. — Jak to się stało? Ten wzruszył obojętnie ramionami, z trudem powściągając uśmiech satysfakcji.

— W porządku, panowie, wyciągniemy ją — orzekł Louren. Pół godziny później, pomimo wysiłków całej czternastki i skwapliwego przerzucania biegów przez Josepha, ciężarówka wciąż wisiała nad parowem. W końcu wszyscy wyleźli z wąwozu, z zainteresowaniem spoglądając na Lourena i na mnie.

— Okay, Ben? — Louren obrócił się w moją stronę, zdejmując kurtkę.

— W porządku, Lo — zgodziłem się. Z zachwytem patrzyłem na sprawne ciało Lourena. Wydawało się twarde jak skała.

Ja zostałem w koszuli. Moje ciało, jakkolwiek również użyteczne, nie przedstawiało najlepszego widoku.

— Najpierw przód — oświadczył Louren. Ciężarówka była już rozładowana,

zbiornik paliwowy wypełniony zaledwie w połowie. Szacowałem, jaki ciężar wypadnie nam podnieść. Rozważając ten problem, wymachiwałem rękami, rozgrzewając mięśnie. Służący przyglądali się zaintrygowani, któryś zachichotał. Nawet Sally odłożyła książkę i wysiadła, żeby popatrzeć na nasze zmagania.

Podeszliśmy do przedniej części ciężarówki i pochyliśmy się nad nią, ostrożnie podkładając dłonie, uginając kolana i lekko rozstawiając nogi.

— Zawsze razem, współniku?

— Zawsze razem, Lo. — Odwzajemniłem uśmiech i zaczęliśmy dźwigać. Powoli napręzałem mięśnie, równomiernie rozkładając napięcie, przenosząc ciężar na ramiona, uda i brzuch. To była wielka martwa, nieruchoma masa, wymagająca wyłożenia wszystkich sił. Czułem, że napięcie zamienia się w ból, a oddech zaczyna szarpać gardło.

— Teraz! — mruknął Louren. Zebrałem wszystkie siły, cofając się, ze wzrokiem utkwionym w niebo. Pojazd poruszył się gładko w naszych rękach; usłyszałem okrzyki obserwatorów.

Unieśliśmy przód ciężarówki znad parowu, przeszliśmy na jej tył i powtórzyliśmy operację. Po jej zakończeniu zaczęliśmy się śmiać, zrazu głosem drżącym, stopniowo dochodzącym do pełnej skali. Louren objął mnie ramieniem i poprowadził przed oblicze naszej świty o zażenowanych, niespokojnych twarzach.

— Jesteście bandą słabowitych staruszek i chichoczących dziewic. Przetłumacz im to, Joseph — powiedział.

Spostrzegłem, że kierowca wiernie oddał sens pochwały.

— A jeśli chodzi o ciebie, Joseph, jesteś głupcem. — Louren zbliżył się do niego szybkim, płynnym krokiem i otwartą dłonią uderzył go w twarz; mężczyzna obrócił się wokół własnej osi i upadł na ziemię. Usiadł chwiejnie, a z kącika ust spływał mu strumyczek krwi.

— Jak widzicie, jeszcze się śmieję — zwrócił się Louren do przestraszonej grupy. — Nawet się nie rozgniewałem. Pomyślcie jednak, co może się przytrafić temu, kto mnie naprawdę zdenerwuje.

Ciężarówka została ponownie załadowana i ruszyliśmy.

— Cóż — odezwała się Sally. — Możemy chyba być pewni ich chętej współpracy aż do końca podróży. Dlaczego wielki biały bwana nie użył pejcza, zamiast brudzić sobie ręce?

— Powiedz jej, Ben. — Louren nie spojrzał na nas, gdy szybko opowiadałem Sally o rozmyślnym oporze tubylców.

— Jestem pewny, że Lourena nie bawiło bicie tego człowieka, Sal, ale ciężarówka została umyślnie wykolejona. Zostało nam trzy i pół dnia na dotarcie do Wzgórz Krwi i nie możemy pozwolić im na żadne sztuczki.

Sally momentalnie zapomniała o swojej urazie.

— Wzgórze Krwi — szepnęła. — To przywodzi na myśl wizje ludzkich ofiar...

— Prawdopodobnie chodzi o czerwony odcień skał — wyraziłem przypuszczenie.

— I do tego tabu! — Snuła dalej swą myśl: — To z pewnością z powodu ruin! O Boże, czuję to! Świątynie pełne skarbów, zabytków i piśmiennych świadectw całej cywilizacji, grobowce, broń...

— Oto bezstronne, pozbawione romantyzmu, całkowicie naukowe podejście do sprawy — zwróciłem się do Lourena, a on uśmiechnął się.

— Mnie to też nie daje spokoju i chwilami czuję to samo co ona — przyznał.

— Dodaje ci to uroku, kochasiu — cierpko oznajmiła Sally.

Była druga po południu, kiedy osiągnęliśmy najdalej na wschód wysunięty punkt solniska, skąd mieliśmy ruszyć według kompasu w stronę wzgórz, i niemal natychmiast stało się jasne, że nie dotrzemy tam tego dnia. Droga była ciężka, ciężarówki sześć razy grzęzły w gęstym piachu i musiały być wyciągane przez land rovera o napędzie na cztery koła. Za każdym razem towarzyszyły nam gorzkie żale kierowców i załóg.

Piasek wchłonał wszelkie ślady deszczów, ale czasem pojawiały się one w postaci świeżej zieleni, zdobiącej cierń i drzewa akacjowe.

Nasiona i bulwy dzikich kwiatów, uśpione przez długie lata suszy, czekały na czas obfitości, ale jasnoczerwone Ognie Króla Czaki płonęły jaskrawo pośród stokrotek. Lilie, złociste gazanie i dwadzieścia innych odmian tworzyło wspaniały widok.

Na każdym z wymuszonych postojów, słysząc przekleństwa oraz ponaglenia, opuszczałem samochód, trzymając w dłoni aparat fotograficzny.

Zachód słońca zastał nas o piętnaście mil od wzgórz i gdy wdrapałem się na górne konary niskiej akacji, pod którą obozowaliśmy, dostrzegłem na horyzoncie ich zarysy. Urwiska odbijały ostatnie ukośnie padające promienie słońca, nadające im pomarańczowoczerwoną barwę. Siedziałem w rozwidleniu pnia, patrząc na nie, póki nie zaszło słońce.

Ogarnął mnie dziwny nastrój; tajemnicze uczucie nieuniknionego przeznaczenia napełniło mnie tęskną melancholią, przez którą przebijał lęk.

Kiedy zszedłem z drzewa, Louren siedział samotnie przy ognisku, wpatrując się w ogień i popijając whisky.

— Gdzie Sally? — zapytałem.

— Poszła spać. Nadałana w wyniku naszego dialogu o krwawych sportach i biciu czarnych. — Louren rzucił okiem na namiot Sally oświetlony od wewnątrz blaskiem latarni.

Kiedy posilaliśmy się pieczoną wątrobą i szynką antylopy, popijając je ciepłym czerwonym winem z Przylądka, od strony ogniska służących nie dobiegały żadne głosy. Skończyliśmy jeść i w milczeniu sączyliśmy wino.

— Jestem zmęczony — oznajmił wreszcie Louren i podniósł się. — Połączę się z Larkinem. Obiecałem mu zgłaszać się w co drugą noc. Do zobaczenia rano, Ben.

Obserwowałem go, gdy zajmował miejsce w land roverze i uruchamiał radionadajnik. Usłyszałem ochrypły głos Larkina, przebijający się przez zakłócenia. Przez kilka minut słuchałem, jak Louren składa sprawozdanie z naszych przygód. Wreszcie odszedłem od ogniska.

Byłem niespokojny i wciąż ogarniał mnie ten niewyjaśniony lęk. Znow zagłębiłem się w mrok. Mięso antylop przyciągnęło stado hien, które chichotały i skowyczały pośród cierniowców. Nie oddalałem się od obozu; przystanąłem obok namiotu Sally, by nacieszyć się jej bliskością, a następnie ruszyłem w kierunku ogniska służby. Moje stopy nie wydawały żadnego dźwięku na miękkim piasku. Kiedy podszedłem bliżej, usłyszałem głos jednego z nosicieli broni. Jego słowa docierały do mnie wyraźnie. Poczulem mrowienie wzdłuż kręgosłupa, jakby niewidzialne palce dotykały moich ramion i szyi, a włosy stanęły mi dęba.

— To zło zostanie wygnane z ziemi i umysłów ludzi na zawsze.

To były te same słowa, które wypowiedział Timothy Mageba; te same, ale wygłoszone w innym języku. Wpatrywałem się zafascynowany w pomarszczone, naznaczone upływem czasu rysy starego Matabele. Jakby wyczuwając moją obecność, podniósł wzrok i dostrzegł mnie stojącego w cieniu.

Odezwał się ponownie, ostrzegając swoich:

— Bądźcie ostrożni, pająk jest tutaj.

Nazwali mnie tak z powodu mojego małego korpusu i długich kończyn.

Ostrzeżenie starego uwolniło ich od uroku, jaki ich ogarniał; zaczęli szurać nogami i pokastywać, zerkając w moją stronę. Odwróciłem się i odszedłem, ale słowa Matabele nie dawały mi spokoju.

Namiet Sally był już ciemny, namiot Lourena również. Położyłem się do łóżka, słuchając głosów hien i rozmyślając, co przyniesie następny dzień. Jedno stało się pewne: w południe dowiemy się, czy wzory widoczne na fotografii są tworem natury, czy też stworzyła je ręka człowieka. Z tą myślą wreszcie zasnąłem.

\* \* \*

Wzgórza dostrzegliśmy następnego ranka o dziesiątej. Jawiły się w pomarańczowoczerwonych barwach, widoczne ponad akacjami, wysokie pośrodku horyzontu i malejące ku północy i południu.

Przejąłem kierownicę, gdyż Louren ślęczał nad mapą i fotografią, kierując mnie ku najwyższemu punktowi wzniesienia. Na tle urwiska widniała charakterystyczna kępa olbrzymich drzew, dobrze widocznych na zdjęciu. Louren używał ich jako punktu odniesienia podczas drogi w kierunku wzgórz.

Urwiska piętrzyły się na wysokość około trzystu stóp. Pobrużdżone i zniszczone przez klimat ściany wznosiły się niemal pionowo ku ganiom. Później miałem się przekonać, że były uformowane z twardego piaskowca, mocno zabarwione tlenkami minerałów. W dole rosły w niewielkich zagajnikach wysokie drzewa, co dowodziło, że znajdują się tam wody podziemne. Wystające z ziemi korzenie skręcały się i wiły ku ścianom niczym oszalałe pytony. Gęste ciemnozielone listowie przynosiło cień zielonoszarym cierniowcom i akacjom. Na około półmilowym pasie teren przed skałami był otwarty, z rzadka pokryty niskimi krzewami i jasną trawą.

Prowadziłem land rovera w kierunku urwiska w pełnej napięcia ciszy. Jechaliśmy powoli ku wypiętrzonemu czerwonym skałom; musieliśmy wykręcać głowy, by dojrzeć ich szczyty.

Ciszę przerwała wreszcie Sally, głośno wyrażając swe rozczarowanie:

— No cóż, powinniśmy znajdować się w obrębie murów głównego ogrodzenia, jeśli w ogóle może być o czymś takim mowa.

Zaparkowaliśmy u stóp skały i wyszliśmy, żeby się rozejrzeć, spoglądając na siebie niepewnie. Nie było żadnych śladów miasta; ani jednego obrobionego skalnego bloku, żadnego wyniesienia gruntu, najmniejszego zarysu muru czy warownej wieży. Tylko dziewiczy afrykański busz nie tknięty ręką człowieka.

— Jesteście pewni, że to jest właściwe miejsce? — zapytała przygnębiona Sal. Nikt jej nie odpowiedział. Podjechały ciężarówki. Służący wysypali się z nich małymi grupkami i przystanęli, spoglądając na szczyty skał i rozprawiając ściszonymi głosami.

— W porządku — oznajmił Louren. — Podczas gdy oni będą rozbijać obóz, my spenetrujemy teren. Ja pójdę wzdłuż urwiska w tę stronę. Wy dwoje idźcie w przeciwnym kierunku. Ben, weź karabin.

Ruszyliśmy przez zagajnik wzdłuż podstawy skał. Wystraszyliśmy stadko siedzących na najwyższych gałęziach małp, które rozbiegły się krzycząc. Ich groteskowe ruchy nie wywołały jednak uśmiechu na naszych twarzach. Zatrzymaliśmy się, by badać wyłomy w skałach, ale w naszych wysiłkach nie było ani zapału, ani nadziei. W odległości trzech mil od obozu zatrzymaliśmy się na odpoczynek, siadając na blokach piaskowca, które odpadły od skalnej ściany.

— Chce mi się płakać — oznajmiła Sally.

— Rozumiem cię. Czuję to samo.

— A zdjęcie? Niech to szlag! Z pewnością było coś widać! Nie myślisz chyba, że

to był żart?

— Nie! — Potrząsnąłem głową. — Lo nie zrobiłby tego.

— Więc co o tym myślisz?

— Nie wiem. Widocznie było to coś w rodzaju złudzenia optycznego. Cień urwiska, może chmury...

— Ale te wzory! — upierała się. — Były geometryczne i symetryczne.

— Światło tworzy czasem nieoczekiwane mirażę, Sal — przypomniałem. — Pamiętaj, że to zdjęcie zostało zrobione o szóstej wieczorem, prawie o zachodzie słońca. Słońce rzuca wtedy cienie, wywołując różnorodne efekty.

— To największe rozczarowanie, jakie mi się kiedykolwiek przytrafiło.

Sally rzeczywiście wyglądała tak, jakby miała zaraz zalać się łzami. Zbliżyłem się do niej i objąłem ją nieśmiało.

— Przykro mi — powiedziałem, a ona uniosła twarz, składając usta do pocałunku.

— Hej! — wykrzyknęła. — Doktorze Kazin, dobrze pan sobie radzi!

— Niewiele wiesz o tym.

— Myślę, że wystarczająco dużo. — Uwolniła się łagodnie z mych ramion. —

Chodźmy, Ben, wróćmy do obozowiska inną drogą. Może znajdziemy coś dalej od klifu.

Powoli dreptaliśmy w upale. Było tutaj mnóstwo kwiatów, zauważyłem też pszczoły oblepione pyłkiem, pracowicie pełzające w kwieciu. Odnaleźliśmy miejsce, gdzie deszcze wyżłobiły płytki parów, chociaż teraz nie było w nim nawet śladu wilgoci. Zsunąłem się na dno i zbadałem pokłady kamieni i ziemi. Trzy stopy poniżej powierzchni kamienie były zaokrąglone.

— Miałas dobre przeczucie, Sal — powiedziałem, podnosząc kilka z nich. W piaskowcu znalazłem podwójnie inkrustowaną muszlę. — Ten wąż w pewnym stopniu potwierdza naszą teorię. Tu było kiedyś dno jeziora, spójrz!

Sally z zapalem zsunęła się moim śladem.

— Co to jest?

— Afrykańska muszla słodkowodna.

— Szkoda, że nic ciekawszego. — Rzuciła wiekową muszlę na piasek.

— To prawda — zgodziłem się i wydostaliśmy się z wąwozu.

Moja zdolność logicznego myślenia została przyćmiona narastającym rozczarowaniem oraz podnietami erotycznymi związanymi z Sally. Zazwyczaj nie obchodzę się w tak beztroski sposób z dowodami naukowymi. Ani też nie przegapiam czterech z nich w ciągu godziny! Odeszliśmy, nie oglądając się za siebie.

Obóz był już urządzony i funkcjonował sprawnie. Kiedy przywlekliśmy się do niego, spoceni i zakurzeni, zasiedliśmy do lunchu złożonego z szynki konserwowej i piwa.

— Macie coś? — spytał Louren. Zgodnie potrząsnęliśmy przecząco głowami, unosząc szklanki z piwem.

— Ciepłe! — stwierdziła z niesmakiem Sally po pierwszym łyku.

— Kucharz zainstalował już lodówkę. Zaraz będzie zimne.

Jedliśmy w milczeniu, dopóki nie odezwał się Louren.

— Wywołałem Larkina przez radio. Przyśle tu jutro helikopter. Jeszcze raz przeanalizujemy teren z góry. To rozstrzygnie sprawę raz na zawsze. Jeżeli nie będzie nic do roboty, wrócę z nimi. Czeka na mnie parę ważnych spraw w Johannesburgu, a w helikopterze jest tylko jedno miejsce dla pasażera. Was czeka więc trudniejszy powrót.

Wtedy właśnie nadeszła prowadzona przez Josepha delegacja z oznajmieniem, że „jakiś głupiec zostawił otwarte zawory czterech zbiorników na wodę”. Do końca wyprawy pozostało jej nam trzydzieści pięć galonów na siedemnaście osób.

— Dlatego — dodał Joseph z wyraźną ulgą — będziemy zmuszeni opuścić jutro to miejsce i powrócić do najbliższego ujęcia wody na drodze do Maun.

Daliśmy wyraz oburzeniu z powodu tej rozmyślnej próby oporu, ale nikt z nas nie potrafił zdobyć się na prawdziwy gniew.

— W porządku — zgodził się Louren. — Zwijamy obóz jutro rano!

To oświadczenie spowodowało natychmiastową poprawę stosunków na linii pracodawca—pracownicy. Dostrzegłem nawet uśmiechy na czarnych twarzach, a od ogniska kucharza wręcz dobiegł nas śmiech.

— Nie wiem, co macie zamiar robić po południu. — Louren zapalił cygaro. — Zauważyłem tropy słoni podczas rekonesansu. Zabieram samochód i nosiciele broni. Nie przejmujcie się, jeśli nie wrócę na noc, być może podążymy śladem słoni.

Sally uniosła głowę; przez moment myślałem, że znów zamierza rozpocząć swoją kampanię przeciw krwawym rozrywkom, ale zmarszczyła jedynie brwi i zajęła się szynką. Obserwowałem land rovera oddalającego się wzdłuż urwiska, po czym zaproponowałem:

— Zamierzam znaleźć ścieżkę na szczyt. Pójdiesz ze mną?

— Wyłącz mnie z tego, Ben — odpowiedziała. — Zajmę się rysowaniem.

Ukrywając rozczarowanie, odszedłem ku podstawie skał i na przestrzeni pół mili odnalazłem ślady zwierzyny wiodące w kierunku jednego z zasłoniętych gąszczem żlebów.

Podejście było strome; wdrapywałem się mozolnie, wystawiony na słońce i okruchy skał spadające mi na głowę. Minęła godzina, nim doznałem do szczytu, podrapany przez cierniste poszycie i solidnie spocony. Znalazłem dogodny punkt obserwacyjny na krawędzi urwiska, pod rozległym cieniem gigantycznego drzewa i przede wszystkim przyjrzałem się okolicy przez lornetkę, poszukując śladów ruin. Ciernisty busz pode mną był skąpo porośnięty trawą. Można było z całkowitą pewnością stwierdzić, że nie kryje żadnych śladów siedzib ludzkich. Nie powinienem był oczekiwać niczego więcej, ale kolejne rozczarowanie pogłębiło uczucie klęski.

Skierowałem szkła lornetki w stronę obozu. Jeden z Bantu ścinał drzewo na opał i przez chwilę znajdowałem przyjemność w obserwowaniu uderzeń siekiery i w odgłosie padającego drzewa. Rozglądałem się dalej i wkrótce wyłowiłem wzrokiem różową bluzkę Sally na skraju zagajnika. Z pewnością porzuciła już nadzieję na wielkie odkrycie i (wrażliwa dziewczyna!) szukała innej satysfakcji, jakiej mogłaby dostarczyć jej ekspedycja. Przyglądałem się jej długo i zastanawiałem się, jak postępować, by stała się moją. Spędziłem z nią noc, ale nie byłem aż tak naiwny, by sądzić, że jej oddanie dowodziło żarliwej i nieśmiertelnej namiętności tej doświadczonej, inteligentnej, wykształconej i nowoczesnej panny. Była dla mnie aniołem, ale wiedziałem doskonale, że moja Sally grywała już w te klocki z innymi mężczyznami, zanim doktor Ben z roziskrzonym wzrokiem zabłądził do jej łóżka. Miałem prawo uważać, że kierował nią wówczas szacunek dla mojego umysłu, nie zaś pociąg do mego ciała. Być może w grę wchodziła również nieco chorobliwa ciekawość. Jedyne, co mogłem zrobić, to w dalszym ciągu starać się, by szacunek i litość przekształciły się w coś głębszego i trwalszego.

Kiedy siedziałem na swym wyniosłym tronie, ogarnęło mnie łagodne wrażenie spokoju; zrozumiałem, że wyprawa warta jest poniesionego trudu i że żal mi będzie opuszczać Wzgórza Krwi, ich piękno i tajemnicę. Wyobraziłem sobie Sally i siebie samych na tym pustkowiu; tu mógłbym nauczyć ją prawdziwej miłości.

Nagły ruch, jaki zarejestrowałem kącikiem oka, sprawił, że powoli odwróciłem głowę. Sześć stóp od miejsca, gdzie siedziałem, koliber marko wysysał nektar z kwiatu dzikiego aloesu; zielona główka połyskiwała, gdy zanurzał długi dziób w czerwonym kwiecie. Obserwowałem go z przyjemnością, a kiedy odleciał trzepocząc



maleńkimi skrzydełkami, poczułem się tak, jakbym coś przegapił. Uczucie to nasiliło się, nie dając mi spokoju. Odnosiłem wrażenie, że gdzieś blisko mnie kryje się jakaś wiadomość, której nie potrafię odczytać. Pozwoliłem myślom krążyć, wyobrażając sobie, że to „coś” czai się na obrzeżach mojej świadomości. Jeszcze sekunda i wiedziałbym, o co chodzi.

W gorącej i dusznej ciszy popołudnia głucho odbił się podwójny grzmot strzału karabinowego, rozpraszając moje skupienie. Nasłuchiwałem uważnie. Dźwięk rozległ się znowu i jeszcze raz. Louren dopadł słoni!

W szklach lornetki ujrzałem Sally. Na dźwięk strzałów znieruchomiła przy sztalugach, wpatrzona w busz. Ja, wciąż ogarnięty niepokojącym przeczuciem, rozpocząłem marsz w dół urwiska. Nie mogłem otrząsnąć się z potęgującego się nastroju. Coś tu jest dziwnego i niewytłumaczalnego — myślałem. „Ty i ja jesteśmy uprzywilejowani, przyjacielu — powiedział mi kiedyś Timothy Mageba. — Jesteśmy napiętnowani przez duchy, mamy oczy, które widzą to, co niewidzialne, i uszy, które słyszą ciszę”.

W ocienionym żlebie panował chłód, ale mimo to moja koszula była wilgotna od potu. Poczułem gęsią skórkę, choć wiedziałem, że nie chłód ją wywołuje. Zacząłem się spieszyć, chcąc jak najprędzej wrócić do Sally.

Na kolację jedliśmy tego wieczora pieczone serce słonia, pokrojone w cienkie paski i polaną ostrym sosem pieprzowym, z pieczonymi ziemniakami. Piwo było zimne, tak jak obiecał Louren. On sam był w doskonałym nastroju; polowanie udało się, rekompensując mu dotychczasowe rozczarowania. W blasku latarni zawieszanej nad ogniskiem widać było cztery długie, zakrzywione słoniowe kły.

Kiedy Louren postanawia być czarujący, nie można mu się oprzeć. Chociaż Sally usiłowała z początku zachować nieprzejednaną postawę, szybko uległa jego urokowi i śmiała się, kiedy wznosił toast: „Za miasto, którego nigdy nie było, i skarb, którego nie znaleźliśmy”.

Poszedłem spać trochę podпиты i śniłem dziwne sny, ale rano obudziłem się z trzeźwą głową i z wrażeniem podniecenia, wywołanego przez przeczucie czegoś, co tego dnia miało się wydarzyć.

\* \* \*

Od południa nadleciał helikopter, naprowadzany na obozowisko płomieniami z nasączonych ropą szmat. Hałaśliwie osiadł w pobliżu obozu, wznecając chmurę pyłu.

Po krótkiej naradzie z ciemnowłosym młodym pilotem Louren wspiął się na fotel i maszyna uniosła się w powietrze, rozpoczynając serię przelotów wzdłuż urwiska, wznosząc się za każdym razem coraz wyżej, aż stała się odległą ciemną plamką na bładobłękitnym, rozpalonym niebie. Te manewry tak wyraźnie świadczyły o niepowodzeniu, że Sally i ja, zrezygnowani, odeszliśmy usiąść w cieniu.

— Cóż... — powiedziała. — Myślę, że chyba już wszystko jasne.

W milczeniu poszedłem do lodówki i przyniosłem po puszcę piwa. Po raz pierwszy w ciągu ostatnich dni mój legendarny podobno umysł zaczął pracować na pełnych obrotach. Trzydzieści galonów wody na dwie osoby oznaczało galon dziennie przez dwa tygodnie. Woda? Co innego kołatało się w mojej głowie. Sally i woda...

Helikopter znów wylądował na obrzeżach obozu i Louren z pilotem weszli do namiotu.

— Nic. Zjemy coś i ruszamy. Zostawimy wam większość rzeczy.

Skinąłem głową, nie zdradzając mu swych planów, żeby zapobiec protestom.

— Cóż, Ben. Przykro mi. Nie mogę tego zrozumieć. — Louren zaczął komponować kanapkę z chleba i zimnych płatów pieczonego mięsa gazeli, smarując

je musztardą. — Nie będzie to ostatnie rozczarowanie, jakie nas czeka.

Dwadzieścia minut później podręczny bagaż Lourena został zapakowany do helikoptera i gdy pilot uruchamiał silnik, wymieniliśmy słowa pożegnania.

— Do zobaczenia w wesołym Johannesburgu. Zaopiekujcie się kłami!

— Dobrej drogi, Lo.

— Zawsze razem, współniku?

— Zawsze razem, Lo.

Zanurkował pod wirującym śmigłem i wspiął się na miejsce dla pasażera.

Maszyna wzniosła się w powietrze jak tłusty trzmiel i z klekotem poszybowała ponad koronami drzew. Jak trzmiel? Jak pszczoła? Pszczoła! Mój Boże, właśnie to nie dawało mi spokoju!

Pszczoły, ptaki, małpy!

Złapałem Sally za ramię. Moje podniecenie wystraszyło ją.

— Sally, zostajemy.

— Co? — Szeroko otworzyła oczy.

— Są rzeczy, które przeoczyliśmy.

— Na przykład?

— Ptaki i pszczoły — oświadczyłem.

— O co chodzi, stary rozpustniku? — zapytała.

\* \* \*

Podzieliliśmy wodę na racje, zapewniające służbie ponad pół galona dziennie dla każdego na dwa dni. Wystarczająco, by bezpiecznie mogli opuścić pustkowie. Sally i mnie zostało po pełnym galonie na każdy z dziesięciu dni. Zatrzymałem land rovera, upewniając się, że zbiorniki są pełne i że zapasowe kanistry zawierają dwadzieścia pięć galonów. Zatrzymałem również radio, namiot, pościel, narzędzia, czyli łopatę, siekierę, kilof, linę, latarnie gazowe i rezerwowe cylindry, latarki i zapasowe baterie, a także konserwowaną żywność, karabin i pół tuzina opakowań amunicji. Także cały bagaż Sally i własny. Reszta wyposażenia została załadowana na ciężarówkę, a kiedy wszyscy służący zajęli już w nich miejsca, odprowadziłem na bok starego Matabele.

— Stary i szacowny ojcie — przemówiłem w języku sindebele. — Słyszałem, co mówiłeś o wielkiej tajemnicy, która żyje w tym miejscu. Proszę cię teraz jak syn i jak przyjaciel, byś opowiedział mi o tym.

Minęło kilka sekund, nim oswoił się z tym, co rzekłem. Wówczas wypowiedziałem zdanie, które przekazał mi Timothy Mageba. Tajemny kod, sygnał używany przez wtajemniczonych. Stary człowiek westchnął; teraz już nie mógł mi odmówić.

— Mój synu — odezwał się łagodnie. — Jeśli znasz te słowa, powinieneś znać też legendę. Gdy skały były miękkie, a powietrze zasnuwane mgłą — co w jego języku oznaczało pradawne czasy — zło i obrzydliwość były w tym miejscu. Rzucono na nie przekleństwo śmierci i nakazano wygnać zło z ziemi i z dusz ludzkich. Na zawsze.

Znów to samo proroctwo w tym samym brzmieniu.

— Czy to wszystko? — zapytałem. — Nie ma nic więcej?

— Nie ma — odparł starzec.

Wiedziałem, że mówi prawdę. Wróciliśmy do czekających ciężarówek i wtedy zwróciłem się do Josepha w języku shangaan:

— Jedź w pokoju, przyjacielu. Jedź ostrożnie i dobrze dbaj o tych, którzy jadą z tobą. — Joseph wpatrywał się we mnie. Przeszedłem na sechuana: — Pająk przekazuje wam pozdrowienia i życzy wam spokoju.

Zmieszali się, bo użyłem przezwiska, które mi nadali, ale gdy ciężarówka ruszyła,

otrząsnęli się z szoku i wybuchnęli śmiechem. Za chwilę samochody zniknęły pomiędzy cierniowcami.

— Wiesz? — mruknęła Sally. — Czuję się, jakbym została porwana. Jestem tutaj bez możliwości jakiegokolwiek pomocy, dwieście mil od czegokolwiek, z człowiekiem o zdecydowanie podejrzaną opinią. — I nagle zachichotała. — Czy to nie urocze?

Znalazłem miejsce na szczycie urwiska, z którego mogłem się wychylić, przytrzymując się mocnego drzewa, i uzyskać dobry widok na skalne ściany po obu stronach. Sally była w dole, w pobliżu zagajnika. Widziałem ją wyraźnie.

Słońce oświetlało ją z prawej strony, chociaż mnie świeciło prosto w oczy. Znajdowało się tylko dziesięć czy piętnaście stopni ponad horyzontem, a jego złociste promienie wydobywały ze skał i liści nowe, delikatne barwy.

— Ju-hu! — Dotarło do mnie słabe echo okrzyku Sally, stojącej z rękami wyciągniętymi ku niebu. Ten sygnał miał oznaczać: „Zbliź się do mnie”.

— Dobrze — mruknąłem. Wyjaśniłem jej skrupulatnie, jak osłaniać oczy przed ukośnie padającymi promieniami słońca i obserwować proste jak strzała przeloty drobnych złotych okruchów światła. To była stara sztuczka łowców pszczół pragnących odnaleźć ul. Nauczył mnie jej pewien Buszmen.

Cofnąłem się od ściany i rozpocząłem pracowitą wędrówkę przez ciernie porastające szczyt. Domyśliłem się już, gdzie rozpocząć poszukiwania. Prawdopodobieństwo, że ul zlokalizowany jest w wysokiej ścianie czerwonej skały, pokrytej żlebami i pęknięciami, było spore. Teraz, gdy Sally wskazywała mi przybliżone położenie, spostrzegłem gwałtowne ruchy jej ramion i usłyszałem krzyk.

— To tutaj! Tuż pod tobą. — Jeszcze raz wychyliłem się nad przepaść i teraz widziałem pszczoły wracające do swojego skalnego domu, dokładnie pode mną. Wychylając się dalej, dojrzałem zarysy wlotu do ula i długą szczelinę o brzegach poplamionych starym woskiem. Mnogość wlatujących doń robotnic i ilość wosku wokół otworu świadczyły o tym, że ul musiał być wielki. W tym niedostępnym miejscu przetrwał prawdopodobnie nie tknięty przez człowieka czy zwierzę setki lat. Rzadkość w krainie, gdzie miód jest tak wysoko ceniony.

Przywiązałem białą chusteczkę do wystającej gałęzi, aby oznakować miejsce, i pośród szybko zapadających ciemności zszedłem do obozu. Sally była niesłychanie podekscytowana naszym małym sukcesem, którego implikacje omówiliśmy podczas kolacji.

— Pan jest rzeczywiście bardzo zdolny, doktorze Ben.

— Przeciwnie, byłem opieszalszy jak sprawiedliwość. Dwa dni głowiłem się nad tymi znakami, zanim dotarło do mnie, o co chodzi — powiedziałem. — Tu jest aż gęsto od ptaków, zwierząt i pszczół, które muszą przecież mieć stały dostęp do wód powierzchniowych. Wygląda na to, że w obrębie dwustu mil nie ma stałych źródeł wody, a to nie może być prawdą!

— Zastanawiam się, gdzie jest ta woda... — Jej oczy lśniły entuzjazmem.

— Tego nie wiem, ale kiedy znajdziemy źródło, obiecuję ci coś interesującego.

Wieczorem, gdy wszedłem do namiotu w pizamie, w którą skromnie się ubrałem, Sally była już w łóżku, z prześcieradłem podciągniętym pod brodę. Zawahałem się, stojąc między łóżkami polowymi, dopóki z figlarnym grymasem twarzy nie zlitowała się nade mną, unosząc koc w geście zaproszenia.

— Chodź do mamy — powiedziała.

\* \* \*

W chłodnym mroku przedświt kuliłem się w swojej skórzanej kurtce na skale ponad ułem, czekając na słońce. Znów byłem człowiekiem szczęśliwym. Tej nocy

rozwiały się niektóre z moich wątpliwości i obaw.

Na równinie pojawiły się pierwsze rozbłyski światła. Sally zajmowała miejsce na skraju zagajnika, prawdopodobnie odczuwając samotność i odrobinę strachu, gdy tak tkwiła wśród afrykańskich ciemności pełnych tajemniczych szelestów i odgłosów. Zapaliłem latarkę, kierując strumień światła w dół, by dodać jej otuchy.

W tym momencie przebił się brzask. Najpierw był kompozycją delikatnego różu i czerwieni, później słońce uniosło się nieco ponad horyzont i ukazały się pszczoły. Przyglądaliśmy się im, by uzmysłwić sobie kierunek ich lotu. Robotnice szybowały nad równiną. Ustaliłem to, śledząc ich powrót przez lornetkę, obserwując grona żółtego pyłku przy tylnych nogach owadów, kiedy siadały na wystającym progu szczeliny.

Przyglądając się im, odkryłem wzorzec lotu, który z początku przegapiłem. Równomierny potok robotnic opadał pionowo w dół, ku ciemnemu listowiu gaju, a gdy wracały, u ich nóg nie było już pyłku. A więc dostarczały wodę! Zasygnalizowałem Sally, by przyjrzała się podnózu skały. Tego ranka nasze role odwróciły się, bo zmienił się kąt nachylenia promieni słonecznych. Po chwili dała mi znać, że zauważyła owady, a ja rozpocząłem mozolną wędrówkę w dół, ku równinie.

Teraz Sally musiała pokazać mi tory niespokojnych lotów w dół urwiska, ale nawet wówczas cień rzucany przez skalną ścianę skrywał pszczoły przed naszym wzrokiem. Obserwowaliśmy je przez trzydzieści minut, wreszcie poddaliśmy się i weszliśmy między drzewa, zdając się na przypadek.

Okolo południa byłem gotów przysiąc, że w okolicy zagajnika nie ma nawet śladu wód powierzchniowych. Sally i ja klapnęliśmy na ziemię, opierając się plecami o pień dzikiego granatowca. Ten gatunek drzewa, jak mówi legenda, starożytni przywieźli ze swej ojczyzny.

— I znowu pudło! — Jej czoło i skronie pokrywał delikatny pot, a ciemne loki przylegały do skóry. Odsunąłem je delikatnie.

— To musi być gdzieś tutaj, znajdziemy to — powiedziałem z przekonaniem, którego wcale nie czułem. — To musi być tutaj. Po prostu musi.

Chciała coś odpowiedzieć, ale położyłem jej palec na ustach, nakazując milczenie. Dostrzegłem poruszenie za ostatnimi drzewami gaju. Stado małp z uniesionymi ogonami przecięło galopem otwartą równinę, a kiedy dotarło do zagajnika, zwierzęta wskoczyły na pień najbliższego drzewa. Ich małe czarne twarzyczki spoglądały niespokojnie w dół zza zbitych zielonych liści, ale nie zauważyły nas, siedzących nieruchomo pod drzewem.

Rozejrzawszy się, zaczęły sunąć po koronach drzew w stronę urwiska. Przodem szły wielkie samce, dalej matki z niemowlętami, a także tłumek młodzieży. Dotarły do górnych gałęzi monstrualnego dzikiego figowca — jednego z tych, których korzenie i pnie były osadzone w pionowej ścianie czerwonej skały i których gałęzie rozpościerały się szeroko pięćdziesiąt stóp nad ziemią — i zaczęły znikać.

Było to zdumiewające zjawisko; sześćdziesiąt małp wdrapało się na drzewo, a jego gałęzie pozostały puste. Nie widać było żadnego zwierzęcia.

— Co się z nimi stało? — szepnęła Sally. — Są na urwisku?

— Nie wydaje mi się. — Odwróciłem się do niej, radośnie szczerząc zęby. — Myślę, że wiem, o co chodzi, Sal. To chyba to, ale poczekajmy, aż małpy pojawią się znowu.

Dwadzieścia minut później nieoczekiwanie zaczęły ukazywać się ponownie między konarami figowca, po czym leniwie oddaliły się. Odczekaliśmy, aż ostatnia zniknie z pola widzenia, i ruszyliśmy w stronę drzewa.

Poskręcane i zbite korzenie dzikiego figowca tworzyły kaskadę nieregularnych stopni prowadzących w górę, ku miejscu, w którym pień wyłaniał się ze skały.

Wspięliśmy się i rozpoczęliśmy oględziny, obchodząc pień dookoła, przyglądając się gałęziom nad głowami. Pień był gigantyczny, mierzył w obwodzie pełne trzydzieści stóp. W miejscach zetknięcia z nierówną skałą był zdeformowany i spłaszczony. Omal nie przeoczyliśmy gładkiej ścieżki prowadzącej w kierunku skały, ścieżki od tysięcy lat wydeptywanej przez stopy, pazury i kopyta. Wciskała się pomiędzy wybijały pień a skalną ścianę. Tak jak często za huczącymi kaskadami wodospadu skrywa się jaskinia, tak nasz dziki figowiec osłaniał wejście.

Oczy Sally lśniły oczekiwaniem.

— Chodź! — Ujęła moją rękę i ruszyliśmy.

Otwór był długą pionową szczeliną w skale, dobrze oświetloną padającym z góry światłem. Rozglądając się spostrzegłem, że skała sprawia wrażenie oszlifowanej przez dotyk małych stóp przemierzających tę drogę.

Ruszyliśmy w dół przesmyku między skałami wznoszącymi się na dwadzieścia stóp aż do wąskiego prześwitu u sklepienia. Natychmiast stało się jasne, że nie jesteśmy pierwszymi istotami ludzkimi, które tu przebywały. Gładka czerwona powierzchnia pokryta była malowidłami skalnymi Buszmenów; najpiękniejszymi i najlepiej zachowanymi spośród tych, jakie oglądałem kiedykolwiek.

— Ben! Och, Ben! Spójrz na nie! — Jedną ze specjalności Sally była sztuka Buszmenów. — To prawdziwy skarb. Och, ty cudownie mądry człowieku! — Jej oczy błyszczały w półmroku jak szmaragdy.

— Chodź! — Pociągnąłem ją za rękę. — Później będziemy mieli mnóstwo czasu na oglądanie.

Ruszyliśmy powoli wzdłuż wąskiego korytarza, lekko opadającego w dół. Sklepienie ponad nami wznosiło się coraz wyżej i wyżej, aż niknęło gdzieś w cieniu. Z mrocznych zaułków przesmyku dobiegł nas szum skrzydeł nietoperzy.

— Przed nami jest światło — zauważyłem i weszliśmy do rozległej kolistej komory o średnicy około trzystu stóp. Wewnętrzne ściany zwężyły się niczym w muszli, aż do niewielkiego otworu wysoko ponad nami, przez który widzieliśmy skrawek błękitnego nieba.

Szybko zorientowałem się, że było to wciśnięcie się wapnia w czerwony piaskowiec, typowe wydrążenie, bardzo podobne do Śpiącego Basenu w Sinoia, w Rodezji.

Tutaj również dno groty było zagłębieniem prowadzącym do zbiornika. Woda była krystalicznie czysta, z pewnością bardzo głęboka, na co wskazywał jej bladozielonkawy kolor. Basen miał jakieś 150 stóp szerokości, a jego nieruchoma tafla wyglądała jak zwierciadło.

Stanęliśmy wpatrzeni w lustro jeziora. Piękno rozległej jaskini paraliżowało. Przez niewielki otwór w górze wlewały się do wnętrza promienie słońca niby snop światła z latarni, padając na ściany roziskrzzonego wapnia i rozświetlając pieczarę tajemniczą poświatą. Z łukowatego sklepienia i ścian zwiślały lśniące bielą stalaktyty.

Ściany głównej komory były również ozdobione do wysokości co najmniej piętnastu stóp wspianą sztuką Buszmenów. W niektórych miejscach woda sącząca się ze skał zniszczyła wprawdzie postacie i desenie malowideł, ale w większości były one dobrze zachowane. Oceniłem, że w tym cudownym miejscu czekają nas co najmniej dwa lata pracy.

Sally uwolniła rękę z mojej dłoni i zeszła w dół, do krawędzi szmaragdowego basenu. Zostałem u wylotu tunelu, oczarowany widokiem dziewczyny pochylającej się, by zajrzeć w nieruchomą toń.

Wyprostowała się i wolnymi, rozważnymi ruchami zaczęła zdejmować ubranie. Stała naga na krawędzi basenu; jej skóra była jasna i delikatna. Ciało, pomimo emanującej z niego siły, miało łagodne zarysy i delikatną strukturę, przypominającą

chińskie figurki z kości słoniowej.

Jak kapłanka pogańskiej religii stanęła na skraju basenu i uniosła ręce. Gest ten przywiódł mi na myśl zapomniany pradawny rytuał. Gdzieś w głębi mojej duszy pojawiło się coś, co zapragnąłem wykrzyknąć: błogosławieństwo czy może wezwanie?

Wdzięcznym łukiem jasnego ciała i rozwianych ciemnych włosów przebiła nieruchomą taflę i zanurzyła się głęboko. Kształt jej ciała pojawił się wyraźnie w kryształowej wodzie; po chwili uniosła się wolno z głębin i wypłynęła na powierzchnię. Długie ciemne włosy przylgnęły do szyi i ramion. Uniosła rękę i pomachała do mnie.

Byłem bliski łez. Zdałem sobie sprawę z obawy, że może nie wynurzyć się z tej tajemniczej zielonej otchłani. Podbiegłem do krawędzi basenu, żeby pomóc jej wyjść z wody.

Niebawem wędrowaliśmy niespiesznie wokół ścian jaskini i korytarza, oszołomieni mnogością malowideł i rytów. Wilgotne włosy Sally opadały jej na ramiona, a na twarzy odbijała się nieposkromiona ciekawość.

— Te prace powstawały przez dwa tysiące lat, Ben. To musi być najświętsze miejsce małych żółtych ludzi!

Ściemniało, nim obeszlśmy połowę pieczary, a w korytarzu, gdy po omacku zdążaliśmy w stronę wyjścia, stało się zimno i nieprzyjemnie. Dopiero na zewnątrz przytomniłem sobie, że tego dnia jeszcze nie jedliśmy.

Podczas gdy Sally podgrzewała siekaną wołowinę z cebulą, przywołałem przez radio Petera Larkina i z ulgą dowiedziałem się, że dwie ciężarówki bezpiecznie wróciły do Maun. Zakończyłem rozmowę prośbą o przekazanie wiadomości Lourenowi.

— Powiedz mu, że znaleźliśmy niezwykle interesujące malowidło skalne i zostajemy tutaj na jakiś czas.

— Macie wodę? — ryknął Larkin głosem zniekształconym zakłóceniami i szkocką whisky.

— Tak. Znaleźliśmy spory jej zapas.

— Znaleźliście wodę? — wrzasnął Larkin. — Tam nie ma żadnej wody!

— Nieduże rozlewisko w zagłębieniu skalnym po ostatnim deszczu.

— Aha, rozumiem. Wobec tego w porządku. Będziemy w kontakcie. Koniec.

— Dzięki, Peter. Koniec. Wyłączam się.

— Kłamczuch! — Sally patrzyła z uśmiechem, jak wyłączam radio.

— Wszystko dla dobra sprawy — oznajmiłem i zajęliśmy się przygotowaniem latarni, aparatów fotograficznych i szkicowników na następny dzień.

\* \* \*

Stary słoń był śmiertelnie ranny. Krew, gęsta i lśniąca, spływała z ran na gardle i łopatkę, a z masywnego ciała sterczało z pięćdziesiąt strzał.

Stał nad zatoką zgięty z bólu, a wokół mrowił się tłum żółtych myśliwych z naciągniętymi łukami, zasypujących go gradem strzał. Wielu z nich leżało wzdłuż trasy łowów; ich ciała były zmiażdżone przez wielkie nogi i okrutne ostrza słoniowych kłów.

Starożytny artysta zawarł w swym naskalnym obrazie tyle dramatyzmu, że poczułem się tak, jakbym był świadkiem prawdziwego polowania.

Niechętnie zdecydowałem się użyć lampy błyskowej. Staram się unikać tego z racji możliwości zniekształcenia barw i powstania złudnych odbić. Zacząłem ustawiać trójnog i aparat, kiedy Sally przywołała mnie.

— Ben! Podejdz tutaj, proszę!

Echo i załamania głosu, spowodowane przez wysokie sklepienie jaskini, potęgowały niecierpliwość i podniecenie słyszalne w jej nawoływaniu; ruszyłem z wawo.

Znajdowała się w głównej grocie ponad basenem, gdzie tylna ściana była ostro ścięta w formę płytkiej niszy. Panowała tam ciemność i tylko promień latarki Sally przeskakiwał szybko po gładkiej powierzchni skały.

— O co chodzi, Sal? — zapytałem zbliżywszy się.

— Spójrz. — Skierowała promień światła w dół i nagle ujrzałem tuż przed sobą wyobrażenie masywnej sylwetki ludzkiej.

— Dobry Boże! — westchnąłem. — Biała Dama z Brandberg! — Biała Dama z Brandberg jest jednym z najcenniejszych i najbardziej zagadkowych malowideł ściennych odkrytych dotąd w Afryce. Datę powstania malowidła szacuje się na lata pomiędzy i a 200 rokiem naszej ery. Jego interpretacja jest przedmiotem licznych polemik. Według jednych źródeł wyobraża ono kandydata ceremonii obrzezania Xhosa, przedstawionego za pomocą białej glinki (tysiąc mil od terytorium Xhosa). Sławny Abbe Breuil nazwał je Damą, a Credo Mutwa w swojej ostatniej książce Indaba My Children przedstawił intrygującą interpretację: „To nie dama, lecz uderzająco przystojny młody biały mężczyzna, jeden z wielkich imperatorów, którzy władali Imperium Fenickim”. Taka sama!

Sally omiotła latarką całą postać; w kręgu światła ujrzałem, że pomiędzy udami „damy” sterczy członek.

— Ta dama jest cudownie zbudowana — mruknęła Sal. Postać miała sześć stóp wzrostu, ubrana była w żółty napierśnik i wysoko sklepiony ozdobny hełm. Na lewym ramieniu nosiła okrągłą tarczę z żółtymi rozetami, otaczającymi środkowy guz. W drugiej dłoni dzierżyła łuk i pęk strzał, a u jej pasa wisiał miecz i topór bitewny. Nogi chroniły nagolenniki z tego samego żółtego metalu, stopy obute były w lekkie sandały.

Skóra postaci namalowana została bielą, ale opadająca aż na piersi gęsta broda miała kolor ogniście czerwony. Sposób przedstawienia narządów płciowych był z pewnością stylizowanym podkreśleniem wysokiego statusu portretowanego. Efekt nie był w żadnej mierze obsceniczny, lecz dodawał postaci dumy i arogancji.

— Biały człowiek — szepnąłem. — Zbroja i okrągła tarcza, łuk i topór wojenny. Czy to może być...

— ...król fenicki? — dokończyła za mnie Sally.

— Ale typ fenicki odznacza się ciemnymi włosami i zakrzywionym nosem. Ten człowiek musiał być niezwykłą postacią wśród starożytnych. Wiele wskazuje na to, że jego przodkowie wywodzili się z północnych obszarów rejonu Morza Śródziemnego. Ile to ma lat, Sal?

— Nie jestem pewna, ale powiedziałabym, że około dwóch tysięcy. Na ścianie są malowidła najstarsze w całej jaskini.

— Spójrz na to! — powiedziałem niecierpliwie. Wokół centralnej postaci widniała armia uzbrojonych sylwetek. Nie wykonano ich ze szczególną dbałością o detale, ale miecze i hełmy były dobrze widoczne.

— Popatrz też tutaj... — Sally skierowała promień latarki na rząd biało odzianych postaci, stojących u stóp króla. Drobne, może dziewięciocalowe figurki.

— Chyba kapłani i... och, Ben! Patrz!

Przesunęła światło po skalnym obrazie i przez chwilę nie wiedziałem, na co patrzę. Nagle serce drgnęło mi gwałtownie. Niczym ogromny fryz, zniekształcony przez wilgoć, mech i porosty, zasłonięty mnogością sylwetek ludzi i zwierząt na nim namalowanych, ale wciąż zachowujący niewątpliwy majestat i moc, rozciągał się

kamienny mur forteczny. Zbudowany był z bloków o wyraźnie zaznaczonych miejscach złącz, a wzdłuż jego szczytu widniał dekoracyjny deseń szewronu, identyczny jak ten, który wieńczy główny mur świątyni w ruinach Zimbabwe. Ponad murem wznosiły się zarysy wież fallicznych, których się tam zresztą spodziewaliśmy.

— To nasze miasto, Ben. Nasze zaginione miasto!

— I nasz zaginiony król, i jego kapłani, i wojownicy, i... o mój Boże! Sally, popatrz na to!

— Słonie! — zapiszczała. — Słonie wojenne z łucznikami na grzbietach, takie, jakich Hannibal używał przeciw Rzymianom. Kartagińczycy! Fenicjanie!

Było tego wiele; krzywa ściana miała sto stóp długości, wysokość wahała się od dziesięciu do piętnastu stóp, a każdy kawałek powierzchni pokryty był obrazami pędzla Buszmenów. Sylwetki i kształty przeplatały się z sobą, niektóre z wcześniejszych obrazów były starte lub przykryte późniejszymi, inne, jak nasz biały król, pyszniły się nietknięte i wolne od zniszczeń. Wyodrębnienie portretów związanych z naszym zaginionym miastem z masy tradycyjnej sztuki jaskiniowej zapowiadało się jako wielkie przedsięwzięcie. To była specjalna umiejętność Sally; moja kamera mogła jedynie rejestrować pogmatwane sceny, podczas gdy ona cierpliwie i starannie będzie wyławiać postacie i grupy szczególnie nas interesujące, by następnie odtwarzać je i przenosić na rolki woskowanego papieru.

Chociaż nie musieliśmy zaczynać tej pracy od razu, spędziliśmy resztę dnia na wspinaniu się i pełzaniu wzdłuż ściany grotu.

Wróciliśmy do obozu wyczerpani.

Peter Larkin miał dla nas wiadomość od Lourena:

— Mówi, że życzy wam powodzenia i że jeden z helikopterów kompanii naftowej będzie w waszej okolicy w ciągu kilku najbliższych dni. Jeśli czegoś potrzebujecie, przekażcie mi listę, a załoga wam to dostarczy.

Dziesięć następnych dni to był najszczęśliwszy okres mego życia. Tak jak obiecał Louren, helikopter dostarczył nam kompletny zestaw rzeczy niezbędnych, a także luksusowych; dostaliśmy drugi namiot, składane krzeselka, teodolit mierniczy, gaz do lamp, żywność, zapasowe ubrania, mnóstwo papieru i farb, błony fotograficzne, a nawet kilka butelek słodowej whisky glen grant, tego królewskiego specyfiku na wszystkie dolegliwości.

Louren listownie zachęcał mnie do kontynuowania pracy, jak długo będzie zwiastowała obiecujące efekty. Zapewniał swoje pełne poparcie, bylebym nie trzymał go zbyt długo w niepewności, gdyż „umiera z ciekawości”.

Wysłałem mu podziękowania, rolę filmu przedstawiającego malowidła, choć nie było tam jeszcze tych najstarszych, i partię woreczków zawierających próbki barwników z pieczary, z prośbą o badania laboratoryjne. Helikopter odleciał, a my kontynuowaliśmy naszą sielankę.

Pracowaliśmy codziennie od wczesnego rana aż do wieczornych ciemności, sporządzając plan jaskini, fotografując kolejne odcinki murów i nanosząc je na mapę. Pracowaliśmy w pełnej zgodzie i zrozumieniu, robiąc przerwy na lunch, spożywany nad brzegiem szmaragdowego basenu, a także pływając nago w przejrzystej, chłodnej wodzie. Czasami po prostu kładliśmy się na skałach i rozmawialiśmy.

Początkowo nasza okupacja jaskini wywołała zaniepokojenie miejscowej fauny, ale, zgodnie z naszymi nadziejami, wszystkie stworzenia wkrótce się przystosowały. W ciągu dnia ptaki wpadały przez otwór w sklepieniu, by zaspokoić pragnienie i wykapać się przy brzegu basenu. Wkrótce zaczęły nas ignorować i przystępowały do swych hałaśliwych i energicznych ablucji, piszcząc, szczebiocząc i rozpryskując wodę, podczas gdy my porzucaliśmy nasze zajęcia, by je obserwować.

Nawet małpy, gnane pragnieniem, zaczęły w końcu przekradać się skalnym



korytarzem, by schwytać łyk wody, a potem umykać w pośpiechu. Ich bojaźliwe podchody stały się śmielsze, aż wreszcie obecność tych zwierząt stała się kłopotliwa, gdy zaczęły kraść nam lunch albo elementy wyposażenia, ale wybaczyliśmy im, gdyż figle te były sympatyczne i zabawne.

To były cudowne dni, wypełnione satysfakcjonującą pracą, koleżeńską życzliwością i spokojem pięknego miejsca. Tylko raz zdarzyło się coś, co zburzyło pasmo mego szczęścia. Kiedy siedzieliśmy pod portretem naszego wspaniałego białego króla, powiedziałem:

— Nie będą mogli tego zlekceważyć, Sal. Ci dranie będą musieli to zmieścić w swych ciasnych rozumkach.

Wiedziała, że mam na myśli tych prześmiewców, polityko—archeologów, którzy każdą przesłankę dostosowywali do potrzeb swoich własnych przekonań; tych, którzy krytykowali mnie i moje książki.

— Nie bądź tego taki pewny, Ben — ostrzegła Sally. — Oni nie pogodzą się z tym. Już słyszę ich protestujące głosiki: to wtórne obserwacje Buszmenów, podatne na różne interpretacje. Nie przypominasz sobie, jak oskarżali Abbe Breuila o retuszowanie malowideł w Brandbergu?

— Tak. „Wielka szkoda, ale to jest wtórne”. Kiedy pokażemy im obrazy fortyfikacji, zapytają: „Tak, ale gdzie są te fortyfikacje?”

— A nasz król, nasz piękny wojownik? — Podniosła głowę i spojrzała na niego — Wykastrują go. Stanie się kolejną „Białą Damą”. Jego tarcza bitewna przeistoczy się w bukiet kwiatów, mlecznobiała skóra nabierze barwy gliny, ogniście czerwona broda zmieni się nagle w chustę albo naszyjnik, a wówczas powielą ten portret subtelnie odmienny od oryginału. Encyclopaedia Britannica wciąż będzie podawać, że... — Zmieniła głos, naśladując pedantycznego i napszonego wykładowcę: — „Współczesne opinie naukowe określają ruiny jako dzieło pewnej grupy Bantu, prawdopodobnie Shona albo Makalang”.

— Chciałbym, żebyśmy znaleźli jakiś niepodważalny dowód — westchnąłem smętnie.

Po raz pierwszy stanąłem wobec perspektywy podzielenia się naszym odkryciem z moimi uczonymi braćmi naukowcami, a pomysł ten był tak samo zabawny jak myśl o opuszczeniu się do dołu pełnego jadowitych węży. Podniosłem się.

— Popływajmy, Sal.

Pływaliśmy obok siebie spokojną żabką, później wspieliśmy się na brzeg i usiedliśmy w kręgu słonecznego blasku, wpadającego przez otwór w sklepieniu. Próbowałem ulżyć swemu cierpieniu, zmieniając temat rozmowy. Dotknąłem ramienia Sally i wyrzuciłem z siebie:

— Wyjdiesz za mnie?

Zwróciła w moją stronę wystraszoną twarz; na jej policzkach i rzęsach wciąż lśniły kropelki wody. Nagle roześmiała się.

— Och, Ben, mój staroświecki biedaku! To dwudziesty wiek. Fakt, że zgrzeszyliśmy, nie oznacza wcale, że musisz się ze mną żenić! — I zanim zdążyłem zaprotestować czy spróbować coś jej wyjaśnić, wstała i skoczyła do szmaragdowego basenu.

Przez całą resztę dnia była pochłonięta swoimi ranami i zadrapaniami; nie poświęciła mi nawet jednego spojrzenia ani słowa. Jej reakcja została odebrana przeze mnie prawidłowo: są obszary dyskusji, na które Sally spuściła zasłonę milczenia. Należało do nich małżeństwo.

To był bardzo kiepski dzień, ale przyjąłem tę lekcję do wiadomości i zdecydowałem zadowolić się tym, co było mi dane, nie prosząc o więcej.

Tego wieczoru Larkin przekazał kolejną wiadomość od Lourena: „Wasze próbki

1—16 badane izotopem C-14 dają przeciętny rezultat około 1620 lat. Gratulacje! Wygląda to dobrze. Kiedy dostąpię zaszczytu poznania tajemnicy?”

Te wieści dodały mi otuchy. Jeśli przyjąć, iż buszmeński artysta był świadkiem wydarzeń, które malował, to znaczy, że gdzieś pomiędzy dwusetnym a czterechsetnym rokiem naszej ery fenicki rycerz powiódł swe armie i słońce. Czułem się nie w porządku, nie zdradzając Lourenowi sekretów jaskini, ale na to było jeszcze za wcześnie. Chciałem na razie zatrzymać ten spokój i piękno dla nas dwojga, nie splamione cudzymi oczyma. Co więcej, miejsce to stało się świątynią mojej miłości do Sally. Jak dla dawnych Buszmenów stało się dla mnie miejscem świętym.

Następnego dnia odniosłem wrażenie, że Sally chce wynagrodzić mi udreki, których stała się przyczyną. Była przymilna, urocza, figlarna — wszystko naraz. W południe kochaliśmy się na skałach wokół basenu, leżąc w słonecznym blasku, a Sally, tak jak wcześniej, wprawnie, choć łagodnie przejmowała inicjatywę. To było wstrząsające i mistyczne; wypłukało gorycz z kielicha mojej duszy, napełniając go po brzegi szczęściem i spokojem.

Leżeliśmy spleceni z sobą, mrużąc coś sennie, gdy nagle uświadomiłem sobie czyjąś obecność w grocie. Przeszył mnie dreszcz trwogi; uniosłem się na łokciu i spojrzałem w kierunku wylotu tunelu.

W ujściu korytarza stała złotobrazowa postać ubrana w krótki skórzany kubrak. Zza jej pleców sterczał kołczan i krótki łuk, a na szyi wisiał naszyjnik z pereł. Była to drobna postać, o wzroście dziesięciolatka, ale o twarzy dorosłego mężczyzny. Skośne oczy i wysokie, płaskie kości policzkowe nadawały mu wygląd Azjaty, nos miał spłaszczony, wargi pełne i zmysłowo rzeźbione. Małą, okrągłą głowę pokrywały gęste czarne loki.

Przez mgnienie patrzyliśmy sobie prosto w oczy, aż wreszcie, w chwili krótkiej jak błysk skrzydła ptaka, karzeł znikł w mrocznym korytarzu.

— Co się dzieje? — Sally poruszyła się obok mnie.

— Buszmen — odpowiedziałem. — Był tu, obserwował nas.

Usiadła szybko i rozejrzała się dookoła.

— Gdzie?

— Odszedł. Ubieraj się, szybko!

— Czy on jest niebezpieczny, Ben? — Jej głos brzmiał ochryple.

— Bardzo! — Nerwowo wciągałem ubranie, szukając w pamięci słów, których mógłbym użyć. Przypomniałem sobie wreszcie rozmowy z Timothyem Magebą. To byli Buszmeni północni, nie Kalahari, których język był podobny, choć różnice wyraźne.

— Nie zaatakują nas, prawda, Ben? — Sally była już ubrana.

— Jeśli popełnimy błąd, to tak. Nie wiemy, jak wielką świętością jest dla nich to miejsce. Nie wolno nam ich wystraszyć; byli szykanowani i prześladowani przez dwa tysiące lat.

Przysunęła się bliżej mnie i mimo ogarniającego mnie strachu jej ufność sprawiła mi przyjemność.

— Ale oni nie... nie zabiją nas, prawda?

— To są dzicy Buszmeni, Sally. Jeżeli wystraszysz dzikie stworzenie, ono cię zaatakuje. Muszę mieć szansę porozmawiania z nimi. — Rozejrzałem się wokół siebie w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby stać się moją tarczą, czegoś mocnego, co wytrzymałoby trzciniowe strzały z zatrutymi grotami. Trucizna ta powodowała nieuchronnie powolną śmierć w niewysłowionych męczarniach.

Wziąłem skórzany futerał teodolitu i rozłożyłem go szeroko, zapewniając sobie osłonę.

— Idź za mną, Sally. Trzymaj się blisko.

Oparła rękę na moim ramieniu, gdy poprowadziłem ją wolno wzdłuż skalnego przejścia, oświetlając czterobaterijną latarką każdy mroczny kąt i załamane korytarze. Światło płoszyło nietoperze, które z trzepotem skrzydeł i z piskiem kołowały nad naszymi głowami. Bez przeszkód dotarliśmy do pnia, który strzegł wejścia do pieczary.

Skuleni precyzyjnie przeszliśmy przez wąski przesmyk między skałą a pniem i nagle jaskrawy blask słońca boleśnie uderzył nas w oczy. Dokładnie obejrzałem każde drzewo w zagajniku, każdą kępkę trawy, wszelkie zagłębienia i nierówności terenu, ale nic nie wywołało mego niepokoju. Wiedziałem, że oni są tam, ukryci, czekający z cierpliwością i skupieniem najsprawniejszych łowców, jakich nosiła ziemia.

Byliśmy dla nich zdobyczą; to nie ulegało wątpliwości. Obowiązujące ogólnie zasady prawa nie mają zastosowania tu, na obrzeżach pustyni Kalahari. Przypomniałem sobie los, jaki spotkał załogę dakoty południowoafrykańskich sił zbrojnych, która została zmuszona do lądowania na pustyni dziesięć lat temu. Schwymano buszmeńską rodzinę, w której ręce wpadli biali, a ja pełniłem obowiązki tłumacza podczas procesu. Ci na ławie oskarżonych wyróżniali się odzieniem zrobionym z jedwabiu spadochronów, mieli ufnie dziecięce twarze, pozbawione poczucia winy. Z całą otwartością odpowiadali na pytania, które im przekazywałem.

„Tak. Pozabijaliśmy ich” — mówili. Zamknięci w nowoczesnym więzieniu, niczym dzikie ptaki w klatce, wymarli w ciągu dwunastu miesięcy — wszyscy. Wspomnienie sprawiło, że przeszył mnie teraz lodowaty dreszcz.

— Posłuchaj mnie uważnie, Sally. Musisz zostać tutaj, niezależnie od tego, co się stanie. Wyjdę do nich. Będę do nich mówił. Jeśli... — Słowa na moment utknęły mi w gardle. — Jeśli mnie trafią, będę miał jeszcze pół godziny na dobiegnięcie do land rovera i powrót do ciebie. Umiesz prowadzić. Nie będziesz miała trudności, jeśli podążysz po naszych śladach z powrotem do panwi Makarikari.

— Ben, nie chodź tam. Boże, Ben, proszę.

— Oni będą czekać, Sally, aż do zmroku. Muszę wyjść teraz, w świetle dnia.

— Ben...

— Zostań tutaj. Cokolwiek się wydarzy, czekaj. — Uwolniłem się z jej uścisku i wyszedłem na równinę.

— Pokój — zawołałem w ich języku. — Nie ma wojny między nami. — Przesunąłem się krok do przodu. — Jestem przyjacielem.

Jeszcze jeden krok. Przeszedłem nad poskręcany korzeniami dzikiego figowca, trzymając rozłożony skórzany futerał na wysokości bioder.

— Przyjaciele! — zawołałem. — Jestem jednym z was. Jestem z waszego klanu.

Wolno wszedłem do milczącego wrogo gaju. Nie padła żadna odpowiedź, nie dobiegł mnie żaden dźwięk. Przede mną leżało zwalone drzewo. Zacząłem przesuwać się ku niemu, zmartwiały z napięcia i strachu.

— Nie mam broni! — krzyknąłem, ale zagajnik pozostał cichy i złowieszczy.

Gdy byłem już w pobliżu powalonego drzewa, usłyszałem brzęk zwalnianej cięciwy. Skoczyłem za martwy pień. Strzała świsnęła tuż przy mojej głowie. Przycisnąłem twarz do suchej ziemi z sercem zmrożonym przerażeniem wobec śmierci, która przeszła tak blisko. Usłyszałem odgłos szybkich kroków i w obronnym geście przewróciłem się na bok.

Sally pędziła w moją stronę, ignorując zakaz poruszania się, z bladą twarzą i ustami otwartymi w niemym krzyku. Widziała, że padam i leżę nieruchomo. Myśl o mojej śmierci uwolniła nagromadzony w niej strach. Widząc, że się poruszyłem, zdała sobie sprawę z pomyłki i wypadła z rytmu biegu, uświadamiając sobie wyraźnie swą bezbronność.

— Wracaj, Sally! — wrzasnąłem. — Wracaj!

Zatrzymała się, osaczona, w połowie drogi między wejściem do groty a zwalonym pniem, niepokorna, w którą stronę pójść.

Kątem oka spostrzegłem małego Buszmena podnoszącego się zza kępy jasnych traw. Na naciągniętej cięciwie łuku tkwiła strzała, a pierzaste lotki były wciśnięte w jego policzek. Stał o pięćdziesiąt kroków od zdezorientowanej Sally, kierując łuk ku niej.

Rzuciłem się do niej i w tej samej chwili Buszmen zwołał strzałę. Strzała i ja mknęliśmy po dwóch bokach trójkąta, na którego wierzchołku znajdowała się Sally.

Widziałem lot strzały i wiedziałem, że nie dotrę do Sally, nim zostanie trafiona. Z całą siłą rzuciłem skórzany futerał.

Wirował, leniwie obracając się w powietrzu, nim strzała uderzyła weń z trzaskiem. Straszliwy żelazny grot wypełniony trucizną wbił się w twardą skórę. Strzała i futerał upadły u stóp Sally. Porwałem ją na ręce i potykając się, zgięty wpół, pognąłem z powrotem za osłonę pnia.

Buszmen klęczał w trawie wprost przede mną. Wyciągnął kolejną strzałę i wprawnym ruchem założył ją, napinając łuk.

Tym razem nie było się czym zasłonić, pędziłem więc rozpaczliwie. Zaśpiewała zwolniona cięciwa i strzała znowu pomknęła; poczułem uderzenie w szyję.

Wiedziałem, że zostałem trafiony, i z Sally w ramionach zwałem się na ziemię.

— Chyba mnie trafił, Sal. — Kiedy przetaczałem się na bok, widziałem kołyszącą się strzałę. — Wyrwij ją!

Leżeliśmy twarzami ku sobie, nasze oczy znajdowały się zaledwie o kilka cali od siebie. To dziwne, że nie odczuwałem strachu. Sprawa była załatwiona i gdybym nawet został trafiony jeszcze pół tuzina razy, losu nie można już było odmienić. Pozostawało mi tylko zapewnienie Sally bezpieczeństwa, nim trucizna zacznie działać.

Wyciągnęła drżące dłonie i ujęła kruchą trzciniową strzałę, poruszając nią ostrożnie. Nagle jej twarz rozpromieniła się.

— Ben, ona utkwiała w kołnierzu kurtki. Nie drasnęła cię nawet!

Spłynęła na mnie ulga. Leżąc na boku, ostrożnie zdjąłem z siebie kurtkę myśliwską, podczas gdy Sally trzymała grot strzały z dala ode mnie. Przez moment z odrazą przyglądałem się ręcznie odlanej żelaznej główicy i lepkiej brązowej substancji, przylegającej do zdradzieckich haczyków, po czym odrzuciłem kurtkę.

— Boże, tak mało brakowało... — wyszeptałem. — Posłuchaj, Sal.

Prawdopodobnie on jest tylko jeden, młody, nerwowy człowiek, zapewne tak samo wystraszony jak my. Spróbuję jeszcze raz do niego przemówić.

Podczołgałem się do przodu, korzystając z solidnej osłony zwalonego drzewa i zacząłem przemowę, wydobywając najbardziej przekonujące tony, które mogły przecisnąć się przez moje wyschnięte gardło.

— Jestem twoim przyjacielem. Chociaż wysyłasz przeciw mnie strzałę, nie prowadzę z tobą wojny. Żyłem wśród twoich ludzi, jestem jednym z was. Skąd inaczej znałbym twoją mowę?

Martwa, nieprzenikniona cisza.

— Skąd znałbym mowę twojego plemienia? — zapytałem jeszcze raz, wyęzając słuch.

W końcu Buszmen przemówił. Miał wysoki, piskliwy głos, pełen miękkich, mlaszczących dźwięków.

— Leśne diabły mówią wieloma językami. Zamykam uszy przed twoimi sztuczkami.

— Nie jestem diabłem. Żyłem jako jeden z was. Czy nigdy nie słyszałeś o tym, którego nazywali Ptakiem Słońca? — Użyłem mojego buszmeńskiego imienia. — O

tym, który żył wśród ludzi Xhai i stał się ich bratem?

Znów nastąpiła cisza, lecz wyczuwałem, że młody Buszmen jest niezdecydowany, skonsternowany, ale już nie przerażony.

— Czy znasz starego człowieka o imieniu Xhai?

— Znam go — przyznał Buszmen. Zacząłem oddychać swobodniej.

— Czy słyszałeś o tym, którego nazywali Ptakiem Słońca? Jeszcze jedna długa pauza i wreszcie niechętne:

— Słyszałem, gdy o nim mówili.

— To ja nim jestem.

Teraz cisza trwała dłużej. Wiedziałem, że Buszmen rozważa moje słowa pod każdym możliwym kątem. Wreszcie znów się odezwał:

— Xhai i ja polujemy tego lata razem. Pojawi się tutaj przed zmrokiem.

Zaczekamy na niego.

— Zaczekamy — zgodziłem się.

— Ale jeśli się poruszysz, zabiję cię — ostrzegł, a ja wiedziałem, że mówi prawdę.

\* \* \*

Xhai, stary Buszmen, sięgał mi do ramienia, a wiadomo, że nie jestem gigantem. Miał charakterystycznie spłaszczone rysy twarzy, wystające kości policzkowe i orientalne oczy, jego skóra była sucha i pomarszczona jak stary żółty rodzynek. Zmarszczki pokrywały całe jego ciało, co wyglądało tak, jakby jego skóra była kruchym pergaminem. Drobne strączki włosów poszarzały ze starości, lecz nieskazitelnie białe zęby godne były pozazdroszczenia, a oczy czarne i błyszczące. Często myślałem, że przypominają mi oczy chochlika, psotne i pełne mądrej ciekawości.

Kiedy opowiedziałem, jak jego przyjaciel usiłował pozbawić nas życia, potraktował to jak doskonały żart i wybuchł salwą ochryplego śmiechu, skromnie osłaniając usta dłonią. Młody Buszmen miał na imię Ghal, a jego żona była jedną z córek Xhai, więc stary mógł bezkarnie wyzywać się na nim.

— Ptak Słońca jest białym duchem! — wysapał. — Zabij go, Ghal. Szybko, zanim odleci. — Ogarnięty wesołością, Xhai zaczął biegać dookoła, imitując odlatującego ducha. Zakłopotany Ghal patrzył na swe stopy rozgarniające pył. Zachichotałem niepewnie, gdyż śpiew wypuszczanej strzały wciąż brzmiał mi w uszach.

Nagle Xhai przestał się śmiać i zapytał niespokojnie:

— Ptaku Słońca, masz tytoń?

— O mój Boże — westchnąłem po angielsku.

— O co chodzi? — Sally, zaniepokojona moim tonem, spojrzała z przerażeniem w oczach.

— Tytoń — powiedziałem. — Nie mamy ani okruszynki. — Ani Sally, ani ja nie używaliśmy tej cennej dla Buszmenów substancji.

— Louren zostawił pudełko cygar w land roverze — przypomniała Sally. — Przydadzą się?

Ghal i Xhai byli mocno zaintrygowani aluminiowymi cylindrami, w których znajdowały się cygara. Kiedy pokazaliśmy im, jak je otwierać i wysypywać tytoń, zaczęli gruchać i szczebiotać z zachwytem. Wreszcie Xhai powąchał cygaro, jak przystało na prawdziwego konesera, skinął głową z aprobatą i odgryzł spory kęs. Żuł go przez chwilę, wreszcie wepchnął wilgotną prymkę pod górną wargę. Oddał kawałek Ghalowi, który również wgryzł się weń, naśladując Xhai. Usiedli obaj, promieniejąc zadowoleniem, a w moje serce wracało życie. Niewiele było trzeba, by

ich uszczęśliwić.

Zostali z nami przez noc, przygotowując przy naszym ognisku posiłek z pustynnych szcurków, nanizanych na patyki niczym szaszłyk, i piekąc je nad węglami bez patroszenia i obdzierania ze skóry. Sierść skwierczała w ogniu, wydając odór spalonych szmat.

— Chyba zwymiotuję — mruknęła pobladła Sally, widząc, z jakim apetytem nasi przyjaciele pałaszują przysmak. — Dlaczego nazywają cię Ptakiem Słońca? — zapytała później, a ja powtórzyłem pytanie Xhai.

Skoczył na równe nogi i odegrał scenę, udając kolibra, potrząsając głową i trzepocząc ramionami. Zrobił to bardzo plastycznie, ponieważ Buszmeni są wspaniałymi obserwatorami przyrody.

— Mówi, że tak się zachowuję, kiedy jestem podniecony — wyjaśniłem.

— Oczywiście! — wykrzyknęła Sally, klaszcząc w dłonie, gdyż rozpoznała moje charakterystyczne gesty, i wszyscy zaczęliśmy się śmiać.

Rano poszliśmy do grotty w czwórkę. W tym otoczeniu drobni myśliwi czuli się jak w domu. Fotografowałem ich, a Sally rysowała siedzących na skałach nad basenem. Fascynowały ją ich delikatne dłonie i stopy, duże pośladki — rozpoznana osobliwość anatomiczna nazywana steatopygią, pozwalająca im magazynować żywność, tak jak wielbłąd gromadzi wodę.

Ghał opowiedział Xhai scenę, jaką ujrzał, gdy nakrył mnie i Sally poprzedniego dnia, co wywołało dość prozaiczny komentarz starego i nawrót jego wesołości. Sally chciała poznać źródło tej radości, a kiedy jej powiedziałem, zaczerwieniła się jak niebo na zachodzie. Było to miłą odmianą, ponieważ dotychczas to ja się rumieniłem.

Buszmeni z entuzjazmem oglądali rysunki Sally, a to umożliwiło mi skierowanie rozmowy na skalne malowidła.

— To jest dzieło naszych ludzi — chełpił się Xhai. — To miejsce należy do nas od zawsze.

Wskazałem portret białego króla, a Xhai objaśniał szczerze, wbrew moim obawom, nie ukrywając niczego.

— On jest królem białych duchów.

— W jakich czasach żył?

— On żyje ze swoją armią duchów na Księżycu — wyjaśnił.

Z dalszych jego słów dowiedziałem się, że duchy latają pomiędzy Ziemią a Księżycem, gdy są dobrze usposobione wobec Buszmenów, chociaż trzeba uważać, gdyż czasem zwykle leśne diabły przebierają się za białe duchy. Za jednego z nich wziął mnie Ghał.

— Czy białe duchy były kiedyś ludźmi? — zapytałem.

— Nie, na pewno nie. — Xhai wydawał się trochę zaniepokojony pytaniem. — Zawsze były duchami i zawsze żyły na Księżycu i na tych wzgórzach.

— Widziałeś je kiedyś, Xhai?

— Mój dziadek widział króla duchów.

— A to? — Wskazałem malowidła na kamiennej ścianie, przedstawiające szewrony i wieże. — Co to jest?

— To Księżycowe Miasto — odparł ochoczo.

— Gdzie ono jest, na Księżycu?

— Nie. Ono jest tutaj.

— Tutaj? — Krew zaczęła mi żywiej krążyć. — To znaczy na tych wzgórzach?

— Tak. — Xhai skinął głową i odgryzł następną kawałek pięciodolarowego cygara.

— Gdzie? Możesz mi je pokazać?

— Nie! — Z żalem potrząsnął głową.

— Dlaczego? Jestem twoim bratem. Jestem członkiem twojego klanu — przekonywałem. — Twoje tajemnice są moimi tajemnicami.

— Jesteś moim bratem — przyznał. — Ale nie mogę pokazać ci Księżycowego Miasta. To miasto-widmo. Tylko gdy Księżyc jest w pełni, a duchy schodzą na ziemię, zjawia się na równinie poniżej wzgórz, ale o świcie znika.

Krew przestała się burzyć, emocje osłabły.

— Widziałeś Księżycowe Miasto, Xhai?

— Mój dziadek widział je kiedyś, dawno temu.

— Dziadzio był niespokojnym duchem — mruknąłem po angielsku.

— O co chodzi? — wtrąciła się Sally.

— Później ci wyjaśnię, Sal — powiedziałem i znów zwróciłem się do starego Buszmena: — Xhai, czy widziałeś kiedyś coś podobnego: miejsce o wysokich kamiennych murach i okrągłych wieżach? Nie mam na myśli miasta na wzgórzach, ale inne: na północy, wzdłuż wielkiej rzeki, na pustyni na zachodzie, gdziekolwiek.

— Nie — odparł Xhai. — Nigdy nie widziałem podobnego miejsca.

Zrozumiałem, że jeżeli w ogóle istniało zaginione miasto, to nie znajdowało się ani na północ od wielkiej panwi, ani na południe od Zambezi, gdyż Xhai napotkałby je w ciągu siedemdziesięciu lat swej nieustannej wędrówki. Ono musiało być tutaj.

— Prawdopodobnie jakiś stary Buszmen przebył dwieście siedemdziesiąt mil i ujrzał świątynię w Zimbabwe — rzekłem do Sally w nocy, gdy siedzieliśmy przy ognisku, dyskutując o opowieści Xhai.

— Więc jak wyjaśnisz obecność białego króla?

— Nie wiem, Sal — przyznałem uczciwie. — Być może to jest naprawdę biała dama z bukietem kwiatów.

Zawsze, gdy spotyka mnie poważne rozczarowanie — jak na przykład zlekceważenie przez Sally mojej propozycji małżeństwa czy opowieść Xhai o Księżycowym Mieście — mój mózg na pewien czas przestaje pracować. Popłatało mi się wszystko, a przecież sprawa była jasna. Na miłość boską, mój iloraz inteligencji wynosi 156; jestem, psiakrew, geniuszem!

Rano dwaj Buszmeni odeszli z powrotem do swych rodzin, które zostawili przy solnisku. Zabrali z sobą skarby, którymi ich obsypaliśmy: toporek, lusterko Sally, dwa noże i pół pudełka cygar. Pobiegli truchtem na pustkowie Kalahari, nie oglądając się nawet za siebie. Zostawili nas w podłych nastrojach.

\* \* \*

Helikopter przybył w następnym tygodniu, przywożąc zaopatrzenie i specjalne wyposażenie, o które prosiłem Lourena.

Przenieśliśmy do pieczary gumowe dinghy i napompowaliśmy je przy krawędzi basenu, dmuchając na zmianę aż do zawrotów głowy.

Sally zwodowała ponton i wiosłowała uszczęśliwiona, podczas gdy ja gromadziłem resztę wyposażenia. Była tam krótka wędka ze szklanego włókna — ciężka, dwudziestopięciuncyjowa — a w pudełku mieszczącym kołowrotek Penn Senator znaleźliśmy kartkę od Lourena: „Kimże w końcu jesteście, by wołać tak głośno? Rybą na piasku czy pstrągiem pustynnym? L.”

Przymocowałem kołowrotek do kija, przeciągnąłem linkę przez prowadnicę i doczepiłem do jej końca ołowiany ciężarek. Sally przyholowała ponton na środek basenu. Opuściłem ciężarek, zwolniłem blokadę na kołowrotku i pozwoliłem lince rozwinąć się.

Tak jak sobie życzyłem, pleciona linka była oznakowana co pięćdziesiąt stóp, a kiedy kolejne miarki z barwionej bawełny zniknęły w lśniącej zielonej wodzie, odliczaliśmy głośno.

— Pięć, sześć, siedem. Mój Boże, Ben, tu chyba nie ma dna!  
— Jeziora w wapiennych skalach mogą osiągać niewiarygodne głębokości.  
— Jedenaście, dwanaście, trzysta.  
— Mam nadzieję, że wystarczy linki. — Sally z powątpiewaniem zerknęła na szpulę.  
— Jest jej 800 jardów — przypomniałem.  
— Szesnaście, siedemnaście. — Nawet ja byłem zdumiony, ponieważ spodziewałem się, że jezioro ma około 400 stóp głębokości, podobnie jak Śpiący Basen w Sinoia. Ale linka wciąż rozwijała się równomiernie.  
Nareszcie poczułem, że ciężarek opada na dno, a linka wiotczeje. Spojrzeliśmy na siebie z niedowierzaniem.  
— Ponad 850 stóp! — obliczyłem szybko.  
— Czuję się nieswojo nad tak głęboką dziurą w ziemi.  
— No cóż — powiedziałem. — Planowałem zbadanie dna, ale nawet nie ma o czym mówić. Cokolwiek tam jest, zostanie nie spenetrowane. Nikt nie zanurzy się na taką głębokość.  
Sally zajrzała w zieloną otchłań, a cętkowane, drżące światło nadało jej twarzy niezwykle wygląd; w oczach pojawił się cień, a jej rysy odbijały oszołomienie. Nagle potrząsnęła gwałtownie głową, a następnie dreszcz przebiegł przez całe jej ciało. Wolno oderwała wzrok od zielonej toni.  
— Och! Miałam wrażenie, jak gdyby ktoś chodził po moim grobie.  
Zacząłem zwijać linkę, a Sally wyciągnęła się w pontonie, wpatrując się w wysokie sklepienie groty. Zwijanie linki okazało się żmudnym zajęciem, ale powoli zbliżałem się do końca.  
— Ben! — odezwała się nagle Sally — Spójrz w górę. Przestałem zwijać żyłkę i podniosłem głowę. Nigdy nie oglądaliśmy otworu w sklepieniu pod takim kątem. Kształt otworu był inny niż widziany dotychczas.  
— Tam, Ben. Z boku. — Pokazała ręką. — Ten odstający kawałek skały jest kwadratowy i zbyt regularny jak na dzieło natury.  
przyglądałem się przez chwilę.  
— Może... — rzekłem z powątpiewaniem.  
— Nie próbowaliśmy dotąd ustalić, w którym miejscu jaskinia wychodzi na szczyt wzgórz. — Sally usiadła podekscytowana. — Zróbmy to teraz. Wejdźmy na górę i przyjrzyjmy się temu kwadratowemu kamieniowi. Dobrze?  
— Dobrze — zgodziłem się z ochotą.  
— Dzisiaj? Możemy iść zaraz?  
— Do diabła, Sal. Już wpół do drugiej. Kiedy zejdziemy z powrotem, będzie ciemno.  
— Och, przestań! Możemy zabrać latarki.

\* \* \*

Roślinność porastająca wierzchołek była gęsta i nieprzebyta. Cieszyłem się, że zabrałem maczetę, którą wyrąbywałem ścieżkę w gęstwinie. Oznakowaliśmy przybliżone usytuowanie otworu, ale mimo to błędziliśmy przez dwie godziny.  
Nagle ziemia rozstała się tuż przede mną. Znaleźliśmy ten przerażający czarny szyb; cofnąłem się gwałtownie, mało nie przewracając Sally idącej tuż za mną.  
— Niewiele brakowało! — Trząśłem się, gdy zachowując rozsądną odległość od krawędzi wycinaliśmy gąszcz wokół kwadratowego kawałka skały.  
Ukląknąłem na skraju, by obejrzeć oryginalny kamień. Hen w dole lśniła powierzchnia szmaragdowego basenu. Wychyliłem się nieco, żeby dotknąć brzegów



otworu.

— Z pewnością jest regularny. — Przesunąłem po nim dłoń. — Nie wyczuwam jednak śladów żadnych narzędzi.

Podniosłem głowę i zamarłem ze zgrozy. Sally weszła na kamienną platformę, jakby to była trampolina. Wysunęła końce palców poza krawędź, a kiedy wpatrywałem się w nią z przerażeniem, uniosła ręce ponad głowę. Celowała nimi prosto w niebo, prostując palce w tym samym geście, który wykonała, gdy po raz pierwszy ujrzała szmaragdowy basen.

— Sally! — wrzasnąłem.

Odrzuciła głowę i zakołysała się nieznacznie. Z trudem podniosłem się z kolan.

— Nie, Sally, nie! — krzyknąłem jeszcze raz, wiedząc, że jest bliska skoku w głodną kamienną paszczę. Powoli nachylała się nad otworem. Podbiegłem i zacisnąłem dłoń na jej ramieniu. Przez kilka strasznych sekund szamotaliśmy się, balansując na skraju przepaści, wreszcie szarpnąłem Sally do tyłu, odciągając ją znad otchłani.

Nieoczekiwanie zaczęła drżeć i histerycznie łkać. Przytuliłem ją, ogarnięty lękiem. Stało się coś, co przekraczało moje zdolności pojmowania, coś mistycznego i bardzo niepokojącego. Kiedy szloch Sally ucichł, zapytałem łagodnie:

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Nie wiem, Ben. Poczulałam nagły zawrót głowy, usłyszałam ponury ryk i... och, nie wiem. Po prostu nie wiem.

Minęło trochę czasu, zanim wróciła do równowagi na tyle, byśmy mogli rozpocząć powrót do obozu. Tymczasem słońce zaczęło niknąć za horyzontem. Kiedy dotarliśmy do ścieżki prowadzącej w dół urwiska, było już zupełnie ciemno.

— Nie bawi mnie schodzenie w dół po omacku. Zaczekajmy. Księżyc wzejdzie za kilka minut — zaproponowałem.

Usiedliśmy na krawędzi urwiska, przytuleni, wciąż wstrząśnięci niedawnym przeżyciem. Księżyc objawił się najpierw jako srebrzysta poświata nad horyzontem, a potem wspiął się ponad drzewa — tłusty, żółty i okrągły, zalewając ziemię bladym światłem.

Spojrzałem na Sally; była srebrzystoszara, patrzyła nieobecny wzrokiem.

— Możemy już iść, Sally. — Dotknąłem jej ramienia.

— Jeszcze chwilkę; to takie piękne.

Odwrociłem się, żeby popatrzeć na skapaną w srebrnym świetle równinę. Afryka ma wiele nastrojów, wiele twarzy; kocham je wszystkie. Teraz, wprost przed nami, roztoczyła jeden ze swoich najczarowniejszych widoków. Chłoniliśmy go w milczeniu.

Wtem poczułem, że Sally drgnęła.

— Gotowa? — spytałem, podnosząc się.

— Ben! — Zacisnęła z zadziwiającą siłą dłoń na moim przegubie.

— Ben! Ben!

— O co chodzi, Sal? Dobrze się czujesz?

Jedną ręką potrzasała moje ramię, a drugą wskazywała równinę.

— Spójrz, Ben. Jest tam!

— Sally! — Objąłem ją, czekając, aż się uspokoi. — Spokojnie, moja droga.

Usiądź.

— Nie bądź głupi, Ben. Czuję się doskonale. Po prostu spójrz tam!

Wciąż przyciskając ją do siebie, rozejrzałem się, ale nie wiedziałem, o co jej może chodzić.

— Widzisz to, Ben?

— Ale c o?

I nagle, niczym kształt w obrazkowej układance, pojawiło się. Było tam, tak jak powinno być od początku.

— Widzisz?! — Trzęsa się. — Powiedz, że też widzisz, Ben. Powiedz mi, że to nie wytwór mojej wyobraźni.

— Tak — wymamrotałem, wciąż nie do końca przekonany. — Tak, myślę...

— To Księżycowe Miasto, Ben. Miasto-widmo, nasze zaginione miasto. To nie może być nic innego!

Było niewyraźne, zamglone. Mocno zacisnąłem oczy i znów je otworzyłem. Wciąż było.

Podwójne ogrodzenie wokół milczącego gaju, ogromny symetryczny wzór na srebrzystej równinie, niewyraźne linie. Były tam ciemne kręgi znaczące miejsca, w których stały falliczne wieże, niektóre przysłonięte drzewami. Ponad murami widniały podobne do plastra miodu zabudowania dolnego miasta, rozciągnięte w półkole wzdłuż brzegów pradawnego zaginionego jeziora.

— Księżyc! — wyszeptalem. — Taki kąt padania jego światła wydobywa zarysy fundamentów. Są tak niskie, iż nie dostrzegliśmy ich, mimo że przez miesiąc chodziliśmy po nich. Gdy księżyc jest w pełni, światło pada tak, że wydobywa zarys ruin.

— Zdjęcie!

— Tak. Gdy jest się na wysokości trzydziestu sześciu tysięcy stóp, światło pada pod odpowiednim kątem, co daje taki sam efekt jak ten, który widzimy — przyznałem.

— Helikopter leciał niżej — przypomniała.

— Poza tym lecieli w dzień — dodałem. — Słońce stało wysoko, nie było żadnych cieni. To dlatego Louren nic nie dostrzegł. — To było takie proste, a ja to przeoczyłem. Cholerny geniusz!

— Ale tu nie ma żadnych murów, Ben, żadnych wież, niczego. Tylko fundamenty. Co się stało z naszym miastem?

— Dowiemy się, Sal — obiecałem. — Ale teraz oznaczmy je, nim znowu zniknie.

Wyjąłem latarkę z plecaka.

— Jeden błysk oznacza: „idź w moją stronę”, dwa — „oddalaj się”, trzy — „idź w lewo”, cztery — „idź w prawo”, a światło zatoczone w koło oznacza: „zostań tam, gdzie stoisz”. — Szybko uzgodniliśmy prosty kod. — Zejdę na równinę, a ty będziesz dawać mi sygnały. Najpierw doprowadź mnie na szczyt wielkiej wieży, a potem prowadź mnie wokół zewnętrznych murów. Musimy zrobić to szybko; nie wiadomo, jak długo trwa efekt wywołany przez światło księżyca. Daj mi krótki przerywany znak, kiedy wszystko zniknie.

Zjawisko trwało jeszcze ponad godzinę; biegałem po równinie, posłuszny sygnałom Sally, a potem miasto jakby spłowiło i zaczęło znikać w miarę wspinania się księżyca ku zenitowi. Wszedłem na górę, żeby sprowadzić Sally z urwiska. Byłem goły do pasa, gdyż porwałem koszulę na strzępy, by paskami tkaniny przywiązanymi do kęp traw i zarośli oznakować tajemnicze kształty miasta.

Kiedy po powrocie do obozu rozpaliliśmy wielkie ognisko, wydobyłem butelkę glen granta, by uczcić sukces. Byliśmy tak poruszeni i tyle hipotez musieliśmy omówić, że nie pomyśleliśmy nawet o śnie.

Jeszcze raz przedyskutowaliśmy świetlne zjawisko, zgadzając się co do tego, w jaki sposób powstało. Doszliśmy do wniosku, że byliśmy bliscy prawdy już pierwszego dnia, gdy rozprawialiśmy o efekcie nisko padających promieni słonecznych. Wtedy, gdy odkryliśmy słodkowodne muszle. Teraz rozwodziliśmy się od nowa nad ich znaczeniem.

— Przysięgam, biorąc za świadków wszystkich bogów, że nigdy więcej nie

odrzucę tak istotnych poszlak naukowych — ogłosiłem.

— Wypijmy za to — zaproponowała Sally.

— Wspaniały pomysł — zgodziłem się i napełniłem szklaneczki.

Później przeszliśmy do opowieści starego Xhai.

— Widać wyraźnie, że legendy opierają się na faktach, chociaż docierają do nas w zniekształconej postaci. — Sally już po pierwszej kolejce zaczęła filozofować.

— Spójrzmy prawdzie w oczy. Mój cholerny brat Xhai jest mistrzem w przekręcaniu faktów, vide: Księżycowe Miasto.

— To urocza nazwa, zachowajmy ją — zaproponowała Sally. — A co myślisz o spotkaniu dziadka Xhai z białym duchem?

— Prawdopodobnie widział jakiegoś starego myśliwego albo poszukiwacza złota. Pamiętaj, że mało brakowało, by i nas wzięto za duchy.

— W przenośni — przypomniała Sally.

Rozmowa trwała i trwała, a księżyc przesuwiał się nad nami. Od czasu do czasu poważna rozmowa przekształcała się w okrzyki zachwytu: „Och, Ben. Czy to nie cudowne? Mamy całe fenickie miasto do zbadania! Tylko dla siebie”. „Mój Boże, Sal. Przez całe życie o tym marzyłem!”

Wreszcie Sally skierowała rozmowę na tematy przyziemne.

— Co robimy? Powiemy Lourenowi?

Rozważając ten problem, powoli nalewałem kolejnego drinka.

— Czy nie wydaje ci się, Sal, że powinniśmy zrobić naprzód niewielki wykop w okolicach fundamentów? Żeby się upewnić, że nie robimy z siebie głupców.

— Wiesz, jaka jest zasada numer jeden: nie rozgrzebuj ziemi na oślep, możesz zniszczyć coś cennego. Powinniśmy poczekać, aż będziemy mogli kontynuować badania w sposób zorganizowany.

— Wiem, Sal, ale nie mogę się powstrzymać. Tylko jedna mała dziurka?

— Okay — uśmiechnęła się. — Tylko jedna.

— Może spróbujmy teraz trochę pospać. Jest już po drugiej.

Nim jednak odpłynęliśmy w krainę snów, Sally wymruczała, tuląc się do mojej piersi:

— Wciąż zastanawiam się, co się stało z naszym miastem. Potężne mury i kamienne wieże tak po prostu rozpląnęły się w powietrzu?

— No właśnie... To będzie fascynujące: dociec, co się z nimi stało.

\* \* \*

Za pomocą siły charakteru, jaką rzadko potrafię przywołać, stanowczo odrzuciłem pokusę wykonania wykopu wewnątrz ogrodzenia świątyni. Wybrałem miejsce położone nad fundamentami zewnętrznego muru, gdzie moja praca nie groziła poważnymi zniszczeniami.

Pod czujnym spojrzeniem Sally, która pragnęła, aby jej udział w odkryciu nie ograniczał się jedynie do rad, oznakowałem strzępami podartego prześcieradła zarys planowanego wykopu. Miał to być rów o szerokości trzech stóp, na dwadzieścia stóp długi, usytuowany pod ostrym kątem do linii fundamentów.

Ponumerowaliśmy taśmy w przedziałach jednostopowych, a Sally zanotowała w zeszytce odsyłacze do każdego znaku. Przyniosłem aparaty fotograficzne, narzędzia i plandekę z land rovera. Nasz wykop znajdował się zaledwie trzydzieści jardów od namiotów. Obozowaliśmy więc niemal na szczątkach starożytnych murów.

Rozpostarłem plandekę, na którą mieliśmy rzucać ziemię z wykopu, i zdjąłem koszulę. Nie odczuwałem już wstydu obnażając ciało. Splunąłem w dłoń, stanąłem w rozkroku, dźwignąłem kilof i spojrzałem na Sally siedzącą obok w wielkim

kapeluszu o miękkim rondzie.

— Okay? — uśmiechnąłem się do niej.

— Zawsze razem, współniku? — spytała. Złakłem się. Słowa, które stanowiły hasło Lourena i moje, poruszyły mnie. Ale nagle pomyślałem: „Co, u diabła? Przecież ją kocham!”

— Zawsze razem, dziewczyno! — zgodziłem się i opuściłem kilof. Miło było poczuć jego ciężar w dłoni, a potem patrzeć, jak ostrze głęboko wbija się w piaszczyste podłoże. Pracowałem rytmicznie, z łatwością manewrując narzędziami, ale wkrótce strumienie potu zaczęły ściekać mi po plecach, nasączając wilgocią spodnie. Kiedy wydobywałem ziemię z wykopu, wsypywałem ją na plandekę, a Sally ostrożnie ją przesiewała. Pracując szczebiotała, uszczęśliwiona, ale moją reakcją były jedynie pochrząkiwania przy każdym zamachu kilofem.

Do południa wykopałem rów o głębokości trzech stóp. Na głębokości osiemnastu cali piaszczysta gleba ustąpiła miejsca ciemnoczerwonemu ilowi, wciąż wilgotnemu po ostatnich opadach. Zrobiliśmy przerwę na odpoczynek. Zjadłem posiłek naprędce sporządzony z konserw i wypilem butelkę piwa, uzupełniając wypocony płyn.

— Wiesz? — Sally obrzuciła mnie zamyślnym spojrzeniem. — Kiedy się przyzwyczaić, to okazuje się, że twoje ciało ma jakieś swoiste piękno — powiedziała. Zaczerwieniłem się i poczułem, że wilgotnieją mi oczy.

Pracowałem przez następną godzinę, gdy nagle ostrze kilofa pograżyło się w czerni. Wbiłem narzędzie ponownie — znów czerń. Odrzuciłem kilof i klęknąłem w wykopie.

— Co znalazłeś? — Sally poderwała się z klęczek.

— Popiół! — oznajmiłem. — Węgiel drzewny!

— Starodawne palenisko — domyśliła się.

— Może... — Nie byłem pewien. — Weźmy kilka próbek. Pracowałem teraz ostrożniej, by nie naruszyć pokładu

popiołu. Pobraliśmy próbki, stwierdzając, że grubość warstwy nie przekracza dwóch cali i ciągnie się na całej długości wykopu. Sally zapisywała głębokość i usytuowanie każdej pobranej próbki, podczas gdy ja fotografowałem rów i taśmy. Wreszcie spojrzeliśmy na siebie.

— Zbyt wielkie jak na palenisko — rzekła. Skinąłem głową.

— Nie powinniśmy kopać głębiej, Ben. W każdym razie nie w ten sposób, waląc kilofem i łopatą.

— Wiem — powiedziałem. — Zatrzymamy się w połowie wykopu, zostawiając pokład popiołu nienaruszony. Gdybym mógł, kopałbym aż do podłoża skalnego.

— Cieszę się, że tak uważasz — przyklasnęła Sally. — Myślę dokładnie jak ty.

— Zaczniemy z tamtego końca, ja z tego i będziemy posuwać się ku sobie — poleciłem i zaczęliśmy zdejmować popiół z połowy wykopu. Tuż pod nim odkryłem warstwę twardej gliny i chociaż nie powiedziałem tego głośno, domyśliłem się, że to podkład budowlany. Była to warstwa nawieziona, nie mogła powstać w sposób naturalny.

— Ostrożnie! — uprzedziłem Sally.

— Tako rzecz starszy łopatowy — wymruczała sarkastycznie, nie unosząc głowy, i niemal zaraz potem dokonała pierwszego znaleziska w Księżycowym Mieście.

Kiedy to piszę, mam przed sobą jej notatnik upstrzony śladami brudnych palców, zapisany niemal dziecinnym pismem.

Rów 1. Dotyczy AC 6. II. 4. Głębokość 4' 2,5" Opis: Jedna kulka szklana. Owalna. Błękitna. Obwód 2,5. Przedziurawiona. Lekko zniekształcona z powodu żaru. Uwagi: Znaleziono w pokładzie popiołu na poziomie I.

Nr indeksu CM. 1.

Lakoniczny charakter notatki nie oddaje naszego radosnego nastroju, kiedy to obejmowaliśmy się, roześmiani. To był typowy fenicki paciorek, przedmiot ówczesnego handlu. Kurczowo ścisnąłem w dłoni małą kuleczkę.

— Zamierzam wepchnąć im to w tyłek — zapowiedziałem, odnosząc to oczywiście do moich krytyków.

— Jeżeli z tamtej strony mają tak samo ciasno jak w głowach, to będzie dobrze pasowało.

Złapałem mniejszy kilof i po piętnastu minutach dokonałem kolejnego odkrycia: zwęglony fragment kości.

— Ludzka? — spytała Sally.

— Prawdopodobnie. Zakończenie kości udowej, reszta spalona.

— Kanibalizm? Kremacja? — zgadywała Sally.

— Próbuj dalej — zachęcałem ją.

— A co ty myślisz?

Milczałem przez długą chwilę, zanim oświadczyłem:

— Myślę, że na tym poziomie Księżycowe Miasto zostało splądrowane i spalone, a mieszkańcy wyrznięci. Mury zburzono, a budowle starto z powierzchni ziemi.

Sally gwizdnęła cicho, wpatrując się we mnie z szyderczym zdumieniem.

— I to wszystko odgadłeś na podstawie jednego paciorka i kawałka kości? Jesteś odkrywcą wszechczasów!

\* \* \*

Tego wieczoru w odpowiedzi na pytania wyrzaskiwane przez Larkina, mówiłem:

— Dzięki, Peter. Czujemy się dobrze. Nie, nic nam nie potrzeba. Tak. Powiedz panu Sturvesantowi, że nic się nie zmieniło, nie mam nic nowego do przekazania.

Wyłączyłem aparat, unikając wzroku Sally.

— No tak.... — skomentowała moją rozmowę. — Myślę, że powinieneś odczuwać wyrzuty sumienia...

— Sama powiedziałaś, że to tylko jeden paciorek i kawałek kości.

W dwa dni później nie miałem już żadnego usprawiedliwienia dla dalszych uników wobec Lourena, ponieważ pogłębiwszy rów do poziomu siedmiu stóp i pięciu cali odkryłem pierwszy z czterech ciągów kamiennych murów. Budulec był zręcznie oszlifowany i dopasowany. W złącza bloków nie mogłem wcisnąć nawet ostrza noża. Kamienie były większe niż te w Zimbabwie; najwidoczniej przewidziano wznoszenie na nich potężniejszych budowli. Przeciętnie bloki miały wymiary 4x2x2 stopy. Były wycięte z czerwonego piaskowca, pochodzącego najwyraźniej ze skalnego urwiska, i kiedy przyglądałem się ich obróbce, ustaliłem ponad wszelką wątpliwość, że było to dzieło rąk budowniczych należących do cywilizacji o wysokim stopniu rozwoju.

Tej nocy znów rozmawiałem z Larkinem.

— Jak szybko możesz przekazać wiadomość panu Sturvesantowi, Peter?

— Powinien dziś wrócić z Nowego Jorku. Zadzwońię do niego wieczorem.

— Powiedz mu, proszę, żeby zaraz tu przyjechał.

— To znaczy, że chce pan, by rzucił wszystko i pędził do was? To zabawne!

— Przekaż mu to, proszę.

\* \* \*

Helikopter przyleciał następnego dnia o trzeciej po południu. Wybiegłem

przyjacielowi na spotkanie, nakładając po drodze koszulę.

— Co masz dla mnie, Ben? — zapytał Louren, wychodząc z kabiny.

— Myślę, że coś, co ci się spodoba — odparłem.

Pięć godzin później siedzieliśmy wokół ogniska, a Louren uśmiechał się do mnie znad krawędzi szklaneczki.

— Miałeś rację, chłopie. Spodobało mi się! — To była pierwsza opinia na temat naszego odkrycia, jaką wygłosił od chwili przyjazdu.

Chodził za Sal i za mną od wykopu do groty i szczytu skały, uważnie słuchając wyjaśnień i potrząsając z niedowierzaniem głową, gdy wykladałem swoją teorię ruin oświetlanych blaskiem księżyca. Od czasu do czasu rzucał pytanie tym samym tonem, jakiego używał na posiedzeniach rady nadzorczej. Pytania były trafne i wnikliwe, a Louren sprawiał wrażenie człowieka szacującego jakąś transakcję.

Kiedy głos zabierała Sally, stawał blisko niej i patrzył jej w twarz, a jego wspaniałe klasyczne rysy zamierały w wyrazie zauroczenia. Gdy dotknęła jego ramienia, oboje uśmiechnęli się. Byłem szczęśliwy, widząc ich wreszcie zaprzyjaźnionych; jedynych ludzi na świecie, których kochałem.

Klęknął obok mnie na dnie rowu, pogładził obrobiony kamień, ujął w dłoń zwęgloną kość i nadtopiony paciorek i wpatrywał się w nie, jakby próbował wyczytać z nich przeszłość.

Tuż przed zachodem słońca, na prośbę Lourena, wróciliśmy do jaskini i podeszliśmy do tylnej ściany.

Zapaliłem gazową latarnię i ustawiłem ją tak, żeby światło padało na całą postać białego króla. Usiedliśmy wokół niej, oglądając każdy szczegół wizerunku. Głowa króla zwrócona była do nas profilem. Sally zwróciła uwagę na jego rysy.

— Człowiek o takiej twarzy nie może pochodzić z Afryki — powiedziała i wskazała inną sylwetkę, namalowaną nieco dalej. — Spójrzcie na to. To Bantu, nie ma wątpliwości. Artysta miał dość wprawy, żeby uchwycić różnice w rysach obu tych osób.

Louren nie odwracał wzroku od postaci króla. Znów wydawało się, że usiłuje przejrzeć jego tajemnicę. Władca spoglądał ze ściany z istic królewskim spokojem. Louren westchnął w końcu i podniósł się. Jego spojrzenie padło na białą odzianą postać widniejącą u stóp króla.

— Kim oni są? — zapytał.

— Nazwaliśmy ich kapłanami — wyjaśniłem. — Sally uważa jednak, że mogą być arabskimi kupcami albo...

— Ten w środku... — Wskazał na centralną sylwetkę, a jego głos był ostry i podekscytowany. — Co on robi?

— Kłania się królowi — wyraziła przypuszczenie Sally.

— Nawet pochylony jest wyższy od pozostałych? — Louren sprzeciwił się tej sugestii.

— Za pomocą rozmiarów postaci buszmeńscy artyści określali stopień ich znaczenia. Popatrz na sylwetkę króla; chociaż to Pigmeje, zawsze przedstawiają władców jako niemal gigantów. Wielkość centralnej postaci świadczy o tym, że był to najwyższy kapłan albo przywódca Arabów.

— Spójrz uważnie; to tylko lekkie pochylenie ciała i tylko on jest w tej pozycji. Pozostali stoją prosto. — Louren wciąż nie był przekonany. — Wygląda tak, jakby był... — Zawiesił głos i potrząsnął głową. Zadrżał, a ja spostrzegłem, że jego opalone ramiona pokrywa gęsia skórka.

— Robi się zimno — powiedział, jakby ją tłumacząc. Odezwał się ponownie dopiero wówczas, gdy ognisko zaczęło pogodnie trzaskać, sypiąc lśniącymi skrami.

— Masz rację, chłopie. Podoba mi się to! — Pociągnął łyk whisky. — Teraz

porozmawiajmy o umowie!

— Załatw to za nas, Lo — zaproponowałem.

— Będę negocjował z rządem Botswany i spróbuję ich trochę przycisnąć. Będziemy musieli zawrzeć formalny układ; prawdopodobnie w jego wyniku znalezisko zostanie podzielone na pół, a oni zagwarantują nam dostęp i prawo wyłączności badań.

— To twoja działka, Lo.

— Znając ciebie, Beniaminie, zakładam, że masz już przygotowaną listę ludzi, których potrzebujesz, oraz wyposażenia. Czy mam rację?

Roześmiałem się i rozpiąłem guzik kieszonki.

— Fakt — przyznałem, wręczając mu trzy arkusze papieru.

Przejrzał je szybko.

— Bardzo skromne żądania, Ben — pochwalił mnie. — Myślę jednak, że możemy pójść trochę dalej. Będę potrzebował lądowiska dla dakoty. Nie zapominaj, że nadchodzi pora sucha; nie pociągniecie długo, żyjąc pod namiotami. Będziemy potrzebowali solidnych pomieszczeń mieszkalnych oraz biura i magazynu z klimatyzacją. A to oznacza konieczność zainstalowania generatora, który będzie też niezbędny do zapewnienia oświetlenia i pompowania wody z basenu.

— Nikt nie ma prawa oskarżyć cię o skąpstwo, Lo — oznajmiłem i roześmialiśmy się. Sally znów napełniła moją szklankę. Tego wieczoru byłem rozradowany i ogromnie z siebie zadowolony. Nie codziennie przecież dokonuje się odkryć tej klasy! Louren zaś zamierzał wspomóc mnie jak prawdziwego współnika. Nic dziwnego, że whisky wchodziła mi do gardła jak woda.

Przywykłem zresztą do dużych ilości tego trunku. Picie było kiedyś dla mnie sposobem na zapomnienie tego, o czym nie chciałem pamiętać, i na łatwiejsze akceptowanie innych. Jakies sześć lat temu spostrzegłem, że przez ponad rok nie pracowałem nad żadną książką, że coraz rzadziej mogę polegać na swojej pamięci i intelekcie oraz że rankami ręce mi drżą. Wziąłem się w garść i obecnie wypijam lampkę albo dwie wieczorem, a tylko sporadycznie aplikuję sobie większą dawkę. Ale tego dnia piłem, ponieważ byłem po prostu szczęśliwy.

— Dalej, Ben. Dziś wieczorem mamy co oblać! — roześmiała się Sally i naląła mi kolejną dawkę.

— Hej! Spokojnie, pani doktor. — Sprzeciwiłem się wprawdzie, ale tej nocy upiłem się dokumentnie i radośnie. Z godnością odrzuciłem pomocną dłoń Lourena i powędrowałem do namiotu, w którym Sally dyskretnie rozdzieliła łóżka. Opadłem na posłanie w ubraniu i natychmiast zasnąłem. Ocknąłem się, kiedy wrócił Louren. Pamiętam, że otworzywszy jedno oko, ujrzałem poświatę blednącego księżyca; a może był to poblask świtu? Nie wydało mi się to wówczas istotne.

\* \* \*

Przy kompletowaniu personelu miałem szczęście. Peter Willcox otrzymał właśnie na Uniwersytecie Kapsztadzkiem urlop, który zamierzał wykorzystać na prowadzenie własnych badań. Polecałem spotkać się z nim i przez sześć godzin przekonywałem go, że europejskie wygody nie przypadną mu do gustu. Heather, jego żona, wahała się znacznie dłużej, aż w końcu pokazałem jej fotografię białego króla. Sztuka skalna jest jej wielką pasją.

Willcoxowie byli ludźmi, jakich potrzebowałem. Razem uczestniczyliśmy w odkrywaniu jaskiń w Slangkop. Oboje mieli po trzydzieści kilka lat; on dorobił się już niewielkiego brzuszka i zaczynał łysieć, nosił okulary w stalowych oprawkach i ciągle opadające spodnie. Ona była szczupła i kanciasta, miała szerokie usta i piegowaty nos.

Byli serdeczni, mądrzy i pracowici. Peter grywał na hałaśliwym akordeonie, a Heather śpiewała głosem dobrze harmonizującym z moim. Nie mieli dzieci.

Peter przedstawił mi dwójkę doktorantów, których rekomendował bez zastrzeżeń. Pierwsze spotkanie z nimi przeraziło mnie. Ral Davidson był dwudziestojednoletnim mężczyzną — chociaż ten fakt nie od razu rzucał się w oczy. Peter jednak zapewnił mnie, że pod szopą rozczochranych włosów Rala kryje się umysł obiecującego archeologa. Jego narzeczona, która ukończyła studia jako najlepsza studentka roku, nosiła okulary o grubych szklach. Chociaż wolę kobiety piękne, ta zjednała mnie sobie w jednej chwili, szepcząc: „Doktorze Kazin, uważam, że pańska Starożytna Afryka to najbardziej ekscytująca książka, jaką kiedykolwiek czytałam!”

I to przesądziło o zaangażowaniu obojga do prac przy Księżycowym Mieście.

Peter Larkin sprowadził z południowych terytoriów Botswany czterdziestu sześciu robotników, którzy nigdy nie słyszeli ani o Wzgórzach Krwi, ani o ciężającej nad nimi klątwie.

Moje jedyne rozczarowanie związane było z Timothyem Magebą. W drodze powrotnej z Kapsztadu spędziłem pięć dni w instytucie w Johannesburgu, większość czasu poświęcając na przekonanie Timothy'ego, że potrzebuję go na Wzgórzach Krwi.

— Machane — powiedział. — Tu czeka mnie praca, której nikt inny nie może wykonać.

Miałem później wspomnieć te słowa.

— Ma pan już zresztą wszystkich specjalistów, nie potrzebuje mnie pan.

— Proszę, Timothy. To potrwa około sześciu miesięcy. Twoja praca tutaj może zaczekać.

Potrząsnął przecząco głową, ale i ja nie ustępowałem.

— Naprawdę jesteś mi potrzebny. Są tam rzeczy, które tylko ty potrafisz wyjaśnić, na przykład ponad piętnaście tysięcy stóp kwadratowych malowideł skalnych. Większość z nich to symbole, stylizowane godła, które tylko ty...

— Doktorze Kazin, może pan przysłać mi zdjęcia, a ja panu przekażę swą interpretację. — Timothy przeszedł na angielski, co było u niego oznaką stanowczości. — Mam nadzieję, że nie będzie pan nalegał na mój wyjazd. Asystenci nie mogą pracować bez moich wskazówek.

Przez kilka sekund patrzyliśmy sobie w oczy. Utknęliśmy w martwym punkcie. Mogłem wprawdzie służbowo nakazać mu wyjazd, ale niechętny pomocnik jest gorszy niż żaden. W ciemnych oczach Timothy'ego tliły się iskierki Jego niezależnego ducha i wiedziałem, że musi istnieć jakaś głębsza przyczyna, dla której odmówił mi pomocy.

Byłem bliski zapytania go, czy powodem niechęci do wyjazdu jest pradawna klątwa. To niepokojące, gdy inteligentny i wykształcony człowiek wierzy w zabobony. Nie chciałem jednak pytać wprost, gdyż w rozmowie z Afrykaninem takim jak on bezceremonialne pytania uchodzą za nietaktowne.

— Proszę mi wierzyć, doktorze, będzie lepiej, jeśli tym razem nie będę panu towarzyszyć.

— W porządku, Timothy — zgodziłem się z rezygnacją i wstałem. Jeszcze raz wymieniliśmy spojrzenia i wydało mi się, że migoczące ogniki w jego oczach zapłonęły żywiej, a ja poczułem nagle niewytłumaczalny niepokój, a może obawę...

— Zapewniam pana, doktorze, że moje tutejsze zajęcia weszły w najważniejszą fazę.

— Bardzo ciekawi mnie wynik twych badań, Timothy.

Czwórka moich nowych asystentów przyleciała następnego ranka samolotem rejsowym i od razu pojechaliśmy do hangaru Sturvesanta, gdzie oczekiwała nas transportowa dakota.



Lot był wesoły i hałaśliwy. Peter zabrał akordeon, a ja zawsze podróżowałem ze starą gitarą. Zagraliśmy parę znanych kawałków, takich jak: Abdul Abulbul Emir czy Green grow the rushes, oh!, i z zadowoleniem przekonałem się, że Ral Davidson gwizdże z ogromnym wyczuciem melodii, a Leslie dysponuje miłym sopranem.

— Kiedy skończymy wykopaliska, zorganizuję wam wszystkim trasę koncertową — oznajmiłem i zacząłem uczyć ich niektórych moich kompozycji.

Upłynęły trzy tygodnie, odkąd opuściłem Wzgórza Krwi, i gdy krążyliśmy nad obozem, dostrzegałem zmiany, jakie zaszły podczas mojej nieobecności.

W pełni wyposażony pas startowy — był tam nawet wiatromierz — żłobił ślad w pyle równiny. Nie opodał wyrósł długi bungalow, otoczony kwaterami mieszkalnymi. Metalowa wieża podtrzymywała zbiornik na wodę o pojemności dwóch tysięcy galonów, wykonany z galwanizowanego żelaza. Dalej znajdował się obóz czarnych robotników.

Sally czekała na nas na lądowisku. Załadowaliśmy bagaż do land rovera i poszliśmy obejrzeć nasze nowe domy.

Oczekiwałem, że Louren też tu będzie, ale Sally powiedziała, że wyjechał poprzedniego dnia.

Z dumą oprowadzała nas po obozie. Centralny klimatyzowany bungalow podzielony został na kilka pomieszczeń, a na końcu znajdował się pokój wypoczynkowy. Pośrodku mieściło się duże biuro, do którego przylegał magazyn. Budynki przeznaczone na mieszkania wyposażono również w urządzenia klimatyzacyjne, chociaż umeblowanie było skromne. Sally przydzieliła jedno mieszkanie Willcoxom, drugie Leslie i sobie, trzecie Ralowi i mnie, a czwarte Lourenowi i ewentualnym gościom.

— Miałem nadzieję, że sensowniej nas zakwaterujesz — mruknąłem rozczarowany.

— Biedny Ben — powiedziała z okrutnym uśmiechem. — Dopadła cię cywilizacja. Jeśli już o tym mowa, to mam nadzieję, że przywiozłeś sobie kostium kąpielowy; skończyło się nurkowanie w basenie na golasa.

Żałowałem, że Louren dokonał tu udogodnień. Wzgórza Krwi nie były już odosobnionym, tajemniczym miejscem, ale rojnym siedliskiem pracowitej społeczności. Regularnie lądowały samoloty, land rover wzbijał tumany kurzu, a łoskot pompy elektrycznej burzył senny spokój groty, zakłócając zieloną toń szmaragdowej tafli.

Zabraliśmy się do przydzielonych zadań. Sally pracowała w jaskini z jednym z czarnych asystentów. Każdy z pozostałej czwórki objął kierownictwo nad zespołem dziesięciu robotników, pracujących na wyznaczonym obszarze.

Peter i Heather roztropnie wybrali zajęcie poza obrębem głównych murów, w ruinach dolnego miasta. To właśnie tam starożytni wyrzucali śmieci: zużyte wyroby garncarskie, starą broń, zbyteczne ozdoby i inne odpadki, z których teraz poznawaliśmy zaginioną cywilizację.

Rai i Leslie, śniąc o złocie i skarbach, skorzystali z możliwości prowadzenia prac wewnątrz murów, na obszarze, o schludność którego starożytni zabiegali, a przez to dającym mniejsze szansę dokonania interesujących znalezisk.

I to świadczyło o postępowaniu charakterystycznym dla ludzi z doświadczeniem i dla tych, którzy go nie mieli.

Pozostałem bez konkretnego przydziału, nadając sobie funkcję nadzorującego i doradcy, spędzałem czas w tych miejscach, gdzie mogłem być najbardziej przydatny. Z niepokojem obserwowałem Rala i Leslie, chcąc się upewnić, czy ich podejście do specyficznych zajęć i technika pracy są wystarczające, ale wkrótce odetchnąłem z ulgą, przekonawszy się, że rekomendacja Petera była zasłużona. Oboje byli

sprytnymi, entuzjastycznie nastawionymi młodymi ludźmi, a z wykopaliskami archeologicznymi stykali się nie po raz pierwszy.

Cztery zespoły trudziły się, by nawet najępsi spośród afrykańskich robotników osiągnęli jaki taki poziom. W czasie krótszym, niż mogłem oczekiwać, firma Kazin and Company wryła się w grunt, dając świadectwo dobrej roboty.

Była to praca powolna i żmudna, ale jakże frapująca! Każdego wieczoru, przed naszymi koncertami, omawialiśmy efekty całodziennego trudu.

Pierwszym ważnym odkryciem, jakiego dokonaliśmy, było stwierdzenie, że pokład popiołu rozciąga się na całym obszarze wykopalisk, nawet w dolnym mieście. Bynajmniej nie zalegał równą warstwą, lecz jego grubość była zróżnicowana. Badany metodą węglową, pozwolił na ustalenie daty powstania: około roku 450, co było zbieżne z czasem powstania najstarszych buszmeńskich malowideł w jaskini.

Zgodziliśmy się wszyscy z założeniem, że zasiedlenie pieczary przez Buszmenów nastąpiło tuż po odejściu czy też zniknięciu w inny sposób pierwotnych mieszkańców miasta. Skrupulatnie określaliśmy pierwszych mieszkańców mianem „starożytnych”, uważając termin „Fenicjanie” za nie udowodniony.

Wśród znalezisk dokonanych w warstwie popiołu znajdowały się liczne szczątki ludzkie, co spowodowało ogólne poparcie dla mojej teorii o gwałtownym końcu Księżycowego Miasta. Hipoteza zagłady tłumaczyłaby także tajemnicę zniknięcia murów i wież, których kamienne fragmenty występowały sporadycznie w pokładzie gliny ciągnącym się wzdłuż zarysu ogrodzenia świątyni.

Ral optował za istnieniem wrogów tak zajadłych, że zdecydowanych na starcie z powierzchni ziemi wszelkich śladów po starożytnych. Był to dość logiczny wniosek.

— Bardzo ładnie. Ale co się stało z tysiącami ton kamienia? — zapytała Sally.

— Rozrzucili go po całej równinie — zaryzykował przypuszczenie Ral.

— Herkulesowa praca, poza tym w owym czasie na terenie dzisiejszej równiny rozciągało się jezioro. Żeby się pozbyć szczątków miasta, musieliby rozrzuć bloki skalne pomiędzy urwiskiem a jeziorem. A tutaj brak jakichkolwiek śladów takiej działalności.

Peter Willcox przypomniał nam o książce Credo Mutwy Indaba My Children, traktującej o tym, jak pradawne miasto zostało, blok po bloku, przetransportowane przez mieszkańców i ponownie wzniesione w Zimbabwie.

— Tu wszędzie jest czerwony piaskowiec — wtrąciła szorstko Sally. — Zimbabwie zbudowane jest z granitu, wykute ze skał, na których stoi. Poza tym Zimbabwie leży 275 mil na wschód stąd. To niewykonalna praca. Mogę zrozumieć, że umiejętności budowniczych i technologie mogły zostać przeniesione, ale w żadnym razie cały budulec!

Po sześciu tygodniach odwiedził nas Louren Sturvesant. Wszelkie prace w terenie zostały zawieszono i dwa kolejne dni poświęciliśmy na seminarium, któremu przewodziłem i w czasie którego zapoznaliśmy Lourena z naszymi dotychczasowymi dokonaniem i wnioskami.

A było się czym szczyścić. Sama lista artefaktów, fragmentów ceramiki i innych relikwów zajęła 127 stron maszynopisu.

— Jak dotąd wykopaliska w obrębie murów ograniczają się do ich północnych krańców, nie dalej niż tysiąc stóp od zewnętrznych obrzeży. Przeważnie mamy do czynienia ze skupiskami niedużych budowli z gliny, krytych palami i trzcina.

Peter szczegółowo opisał omawiany obszar, podając przeciętne rozmiary pomieszczeń i dokładne położenie każdego z odkrytych obiektów. W swoim podejściu do pracy Peter jest nadzwyczaj skrupulatny. Louren niecierpliwie kręcił się w fotelu. Wreszcie referent doszedł do konkluzji:

— Wydaje się, że na tym obszarze znajdowało się rozległe targowisko.

Zaprosił nas do magazynu, byśmy mogli sami ocenić znaleziska. Były tam wyroby z brązu: grzebień, rękojeść noża wyrzeźbiona na kształt kobiecej sylwetki, czternaście rozetek, które, jak się domyślaliśmy, zdobiły skórzane tarcze, dwadzieścia pięć funtów płytek z brązu, przedmioty w formie słońca i gwiazd (z pewnością były to ozdoby), szesnaście kutych płytek, z których mieliśmy nadzieję złożyć część zbroi, wspaniały talerz o średnicy dwudziestu czterech cali z wrytym wizerunkiem słońca otoczonego wieńcem skomplikowanych wzorów oraz czterdzieści funtów kawałków brązu tak bardzo zniszczonych, że ich identyfikacja nie wydawała się możliwa.

— To wszystkie przedmioty z brązu, jakie dotąd wydobyliśmy — oznajmił Peter. — Wykonane są dość surowo i nie przypominają dzieł Bantu ani pod względem zdobnictwa, ani techniki wyrobu. W znacznie większym stopniu odpowiadają temu, co wiemy o rzemiośle Fenicjan. W przeciwieństwie do Rzymian i Greków nie przywiązywali oni wielkiej wagi do sztuki. Ich artefakty, tak jak budowle, były masywne i surowe. Kolejne, co rzuca się w oczy, to cześć, jaką oddawali słońcu. Najwidoczniej była to społeczność wyznająca wielobóstwo, ale główną rolę odgrywało słońce. Baal, bóstwo fenickie, był zaś personifikowany jako słońce.

Pomyślałem, że Peter wkracza na kruchy lód, ale pozwalałem mu kontynuować wywód. Po omówieniu każdego przedmiotu z brązu Peter zaprowadził nas do następnego rzędu stołów — ze szkłem i wyrobami garncarskimi.

— Sto dwadzieścia pięć funtów szklanych paciorków, dominujące barwy to niebieska i czerwona, kolory charakterystyczne dla Fenicjan. Barwę zieloną, białą i żółtą odkryto tylko na poziomie pierwszym i drugim. Innymi słowy: po roku pięćdziesiątym, co zgadzałoby się mniej więcej z końcową fazą wchłaniania cywilizacji fenickiej przez Rzymian...

Moje myśli błądziły wokół Sally. Była w szampańskim humorze, całkowicie odmiennym od ponurego nastroju, w jakim znajdowała się przez ostatnie sześć tygodni. Świeżo umyte włosy lśniły, rzucając złotawe refleksy, skóra również przybrała ten odcień, Sally umalowała usta i podkolorowała oczy. Ścisnęło mi się serce. Z trudem oderwałem od niej wzrok.

— ...sednem sprawy jest odkrycie wyrobów garncarskich — mówił wciąż Peter. Wskazał na stos kawałków i nielicznych przedmiotów zachowanych w całości. — Na żadnych, z jednym wyjątkiem, nie ma śladu inskrypcji. Oto ten wyjątek. — Wziął do ręki leżącą na honorowym miejscu skorupę i podał ją Lourenowi. Chociaż wszyscy wielokrotnie już napawali się jej widokiem, stłoczyliśmy się wokół. Na wypalonej glinie wryty był symbol.

— Fragment czary albo wazy. A ten symbol to prawdopodobnie punickie „T”.

Louren podekscytowany zwrócił się do mnie:

— To rozstrzygający dowód, Ben. Muszą go uznać, prawda?

— Bynajmniej, Lo. — Potrząsnąłem z żalem głową. — Będą wołać: „Przywiezione”. Stary sposób dyskredytowania wszystkiego, czego nie jesteś w stanie wytłumaczyć, bo nie potwierdza obowiązujących teorii.

— Wygląda więc na to, że nie wygrasz, Ben — powiedział współczująco Louren. Uśmiechnąłem się.

— W końcu nie odkryliśmy przecież czternastowiecznej chińskiej ani nocnika z portretem królowej Wiktorii.

Śmiejąc się przeszliśmy do wyrobów z miedzi. Były tam bransolety i broszki, zaśniedziałe i nadkruszone, a także, co ważniejsze, sztaby odlane na kształt krzyża św. Andrzeja, każda o wadze dwunastu funtów.

— To nic nowego — zauważył Louren.

— Nie — przyznałem. — Podobne wydobywano w całej Afryce Środkowej i Południowej. Ale ich kształt jest dokładnie taki sam jak z fenickich kopalni cyny w

Kornwalii i miedzianych sztab z kopalni na Cyprze.

— I wciąż brak ostatecznych dowodów? — Louren spojrzał na mnie, a ja pokręciłem głową. Poprowadziłem go z kolei ku wyrobom z żelaza. Wszystkie były mocno zardzewiałe i zniszczone, tak że ich pierwotnego kształtu mogliśmy się tylko domyślać. Były tam groty strzał znalezionych na poziomie pierwszym i drugim (głównie włócznie), a także miecze, topory i noże.

— Na podstawie liczebności broni albo tego, co uważamy za broń, można sądzić, że mieszkańcy naszego miasta byli ludem wojowniczym. Z drugiej strony mogli obawiać się napaści i starali się przygotować do obrony — wysunąłem przypuszczenie, wzbudzając pomruk aprobaty zebranych.

Następnie przeszliśmy do ekspozycji moich fotografii, przedstawiających poszczególne fazy wykopalisk, widoki dolnego miasta, świątynię, akropolis i jaskinię.

— Znakomicie, Ben — rzekł Louren. — Czy to już wszystko?

— Najlepsze zostawiłem na koniec. — Nie mogłem się powstrzymać przed drobnymi gestami teatralnymi, odsuwając zasłonę na końcu magazynu. Zaprowadziłem przyjaciela w głąb, a zespół niecierpliwie oczekiwał jego reakcji.

— Dobry Boże! — Louren stanął jak wryty, wpatrując się w falliczne kolumny z ornamentami na zwieńczeniach. — Ptaki Zimbabwe!

Niekompletne trzy egzemplarze miały po około pięć stóp wysokości, a w obwodzie mierzyły około trzydziestu cali. Tylko jeden był w niezłym stanie, dwa pozostałe z trudem dawało się rozpoznać. Rzeźby na szczycie każdej z kolumn z pewnością przedstawiały sępa z mocnym dziobem, uniesionymi skrzydłami i szponami. Sposobem stylizacji i wykonania przypominały te odkryte w Zimbabwe przez Halla i MacLvera.

— To nie są ptaki Zimbabwe — zaprzeczyłem.

— To są ptaki, na wzór których wykonano te w Zimbabwe — dodała Sally.

— Gdzie je znaleźliście? — zapytał Louren, podchodząc bliżej, by przyjrzeć się zielonkawym rzeźbom.

— W świątyni. — Uśmiechnąłem się do Rala i Leslie. — W obrębie wewnętrznego ogrodzenia. To prawdopodobnie obiekty kultu religijnego. Można zobaczyć symbole słońca rozmieszczone na obwodzie kolumny; z pewnością wiązały się z kultem.

— Nazwaliśmy je Ptakami Słońca — wyjaśniła Sally — ponieważ Ben uważał, że nazwa „Ptaki Ofiru” jest zbyt pretensjonalna.

— Skąd te uszkodzenia? — Louren wskazał miejsca, gdzie ciosy, zadane z premedytacją, zniszczyły kamień.

— Tego możemy się tylko domyślać. Ale wiemy, że posągi były poprzewracane i znaleźliśmy je w warstwie popiołu na poziomie pierwszym.

— To bardzo interesujące, Ben. — Louren spojrzał na zasłonę w samym końcu magazynu. — A teraz mów, ty tajemniczy draniu, co tam ukrywasz?

— To, na czym bazowało całe miasto. — Odsunąłem zasłonę. — Złoto!

W tym metalu jest coś, co pobudza wyobraźnię. Zapadła cisza. Wszystkie przedmioty zostały starannie oczyszczone i teraz lśniły ciesząc oczy patrzących.

Było tam piętnaście wałeczków rodzimego złota o grubości i długości palca, czterdzieści osiem egzemplarzy surowo kutej biżuterii, szpile, broszki i grzebień, a także statuetka przedstawiająca kobietę, wysoka na cztery i pół cala...

— Isztar Tanith — wyszeptała Sally gładząc rzeźbę. — Bogini Księżycy i Ziemi.

Ponadto była tam garść złotych paciorków, nanizanych zapewne niegdyś na nitkę, która dawno obróciła się w proch, tuziny słonecznych krążków oraz wiele odłamków i okruchów bez określonego kształtu czy dostrzegalnego dla nas przeznaczenia.

— A teraz popatrz na to. — Podniosłem ciężki kielich ze szczerego złota. Czasza

była zgnieciona, ale podstawa zachowała się w nienaruszonym kształcie.

— Spójrz — dodałem, wskazując wzór wyryty z niezwykłą precyzją.

— Ankh? Egipski symbol wiecznego życia? — Louren spojrzał na mnie pytająco. Skinąłem głową.

— Wiemy, że faraonowie korzystali czasem z usług Fenicjan przy uzupełnianiu skarbców imperium. Czy to był dar faraona dla króla Ofiru? — Uniosłem kielich i obróciłem go w dłoniach.

To wystarczyło, żeby pogąrzyć nas w dysputach do białego rana.

Następnego dnia Sally przy pomocy Heather Willcox zaprezentowała swoje rysunki i malowidła z jaskini. Kiedy pokazała skopiowany rysunek białego króla, Louren zmarszczył brwi i wstał, by przyrzeć mu się z bliska. Długo czekaliśmy w milczeniu, aż wreszcie spojrzał na Sally i rzekł:

— Chciałbym, żeby była pani uprzejma zrobić jeszcze jedną kopię do mojej prywatnej kolekcji, dobrze?

— Z największą przyjemnością. — Uśmiechnęła się radośnie.

Wciąż była w szampańskim nastroju i cieszyła się wrażeniem, jakie wywołały jej prace. Jak większość pięknych kobiet, nie czuje tremy stojąc w pełnym blasku. Wiedziała, że jej prace są cholernie dobre, i lubiła oklaski.

— Miałam trudności ze stwierdzeniem, co to jest. — Uśmiechnęła się, wieszając na tablicy następny arkusz. — Siedemnaście symboli podobnych do tych, które dotąd wyodrębniliśmy. Heather nazywa je spacerującymi ogórkami. Macie inne pomysły?

— Kijanki? — zaryzykował Rai.

— Stonogi? — Leslie była odrobinę bliższa prawdy. Na tym jednak skończyła się nasza wyobraźnia i wszyscy zamilkliśmy.

— Nie ma więcej propozycji? — spytała Sally. — Myślałam, że kwiat uczonych o światowej sławie mógłby się bardziej wysilić...

— Birema! — powiedział cicho Louren. — I trirema.

— Na Jowisza! — Spojrzałem uważnie na planszę. — Masz rację!

— „Okrety Niniwy z dalekiego Ofiru” — wyrecytował uradowany Peter.

— Kształt kadłuba i rzędy wiosł — kontynuowałem. — Oczywiście, o ile mamy rację, statki takie jak ten musiały regularnie przemierzać jeziora!

Mimo optymizmu liczyliśmy się z możliwością nieprzyjęcia w środowisku naszej hipotezy.

Po obiedzie udaliśmy się na obchód wykopalisk i Louren znów zainspirował nas do nowych przypuszczeń. Grupa Petera odkryła szereg dużych komórkowatych pomieszczeń w kącie uformowanym przez urwisko i mur ogrodzenia. Były połączone długim korytarzem i dawały się widzieć pozostałości kamiennych podłóg i systemu odwadniającego. Każde pomieszczenie miało w przybliżeniu dwadzieścia pięć na dwadzieścia pięć stóp. Odnosiło się wrażenie, że są to jedyne poza ogrodzeniem budowle z kamiennych bloków.

Nie mogąc odgadnąć przeznaczenia tych komórek, nazwaliśmy je więzieniem.

Czy to ja muszę wykonać całą robotę umysłową? — westchnął Louren. — Kiedy pokażesz mi obrazy słoni wojennych?

— Stajnie dla słoni? — zapytałem.

— Szybki jesteś, chłopie! — Louren poklepał mnie po ramieniu.

Zaczerwieniłem się. W Indiach pomieszczenia takie noszą nazwę stanowisk dla słoni.

Po kolacji pracowałem przez godzinę w ciemni, wywołując trzy rolki filmu, a kiedy skończyłem, wyszedłem poszukać Lourena. Wyjeżdżał następnego ranka, a mieliśmy jeszcze wiele do omówienia.

Nie było go ani w pokoju gościnnym, ani w świetlicy, a gdy o niego zapytałem,

Ral poinformował mnie:

— Wydaje się, że poszedł do jaskini, doktorze. Pożyczył ode mnie latarkę.

Poszedłem po latarkę i przedarłem się przez cichy zagajnik, omijając wykopy. Z wejścia do tunelu, pod wielkim dzikim figowcem, nie dochodziło żadne światło.

— Louren! — zawołałem. — Jesteś tam? — Mój głos odbił się głucho od urwiska. Kiedy echo umilkło, zapadła cisza. Zanurzyłem się w tunelu. Światło latarki rozpraszało mrok, płosząc trzepoczące skrzydłami nietoperze.

Zatrzymałem się i zawołałem znowu:

— Louren! — Głos zahuczał głucho w pieczarze. Nie usłyszałem odpowiedzi.

Ruszyłem dalej.

Kiedy wyszedłem z gardzieli tunelu, oślepił mnie potężny promień światła.

— Louren? — spytałem. — Czy to ty?

— Czego chcesz, Ben? — zapytał z ciemności. Wydawał się poirytowany, nawet zły.

— Chcę porozmawiać z tobą o następnych posunięciach. — Zastoniłem oczy przed blaskiem.

— To może poczekać do jutra.

— Przecież wyjeżdżasz rano, porozmawiajmy teraz. — Szedłem w jego stronę, mrużąc oczy. — Skieruj światło w inną stronę, proszę — powiedziałem łagodnie.

— Głuchy jesteś?! — Głos Lourena brzmiał szorstko, jak głos człowieka przyzwyczajonego do wydawania poleceń. — Powiedziałem: jutro! Niech cię szlag trafi.

Stanąłem jak wryty, oszołomiony i zdezorientowany. Nigdy nie zwracał się do mnie w ten sposób.

— Lo, czy wszystko w porządku? — zapytałem niespokojnie.

W głębi jaskini działa się coś niedobrego. Wyczuwałem to.

— Ben! — odezwał się stanowczym głosem. — Po prostu odwróć się i wyjdź stąd, bardzo cię proszę. Zobaczymy się rano.

Zawahałem się przez chwilę, ale wykonałem to polecenie. Rankiem Lo był czarujący jak zwykle. Przepraszał mnie wylewnie za poprzedni wieczór.

— Po prostu chciałem być sam, Ben. Przykro mi, czasem mnie to napada.

— Wiem, Lo. Ze mną bywa tak samo.

W dziesięć minut uzgodniliśmy, że mimo licznych świadectw fenickiej obecności w mieście, nie podamy wyników badań do publicznej wiadomości. Louren dał mi carte blanche w zakresie kontynuowania prac wykopaliskowych i badawczych.

Odleciał o świcie.

\* \* \*

Dwa tygodnie, jakie upływały po jego wyjeździe, były dla mnie rozczarowaniem. Chociaż prace w ruinach postępowały miarowo, a moi asystenci pracowali z niezmiennym entuzjazmem, to rezultaty okazywały się mierne.

Wśród licznych znalezisk nie odkryliśmy niczego, co dodałoby choć okruszek wiedzy do tego, co już zyskaliśmy. Krążyłem niespokojnie po terenie, wśród wykopów i odkrytych warstw, modląc się, by kolejne zanurzenie łopaty w ziemi przyniosło efekt w postaci pokrytej inskrypcjami tacy albo kamienia nagrobego. Gdzieś tutaj znajdował się klucz do pradawnej tajemnicy, ale nie mogliśmy wpaść na jego trop.

Moje stosunki z Sally pogorszyły się, choć nie rozumiałem, dlaczego. Oczywiście nie było żadnej sposobności na fizyczną intymność od czasu przybycia ekipy. Sally nie chciała czynić z naszej zażyłości przedmiotu powszechnego zainteresowania.

Moje manewry zmierzające do odseparowania jej od grupy kończyły się niepowodzeniem. Najbliższy sukcesu bywałem wtedy, gdy odwiedzałem ją w jaskini, ale i tam towarzyszyła jej zazwyczaj Heather Willcox lub któraś z czarnych dziewcząt.

Sally wydawała się zamyślona, stała się małomówna, a niekiedy bywała wobec mnie zgryźliwa. Całymi dniami pracowała przy sztalugach, a zaraz po kolacji wślizgiwała się do swojej chaty. Kiedyś poszedłem za nią, zapukałem delikatnie do drzwi, potem popchnąłem je lekko. Nie było jej. Czekałem ukryty w mroku, czując się dość głupio. Sal wróciła po północy, wyłaniając się niczym duch z gaju. Poszła prosto do swojego pokoju.

Byłem strapiiony, widząc tę pogodną zazwyczaj dziewczynę tak teraz pograżoną we własnych myślach. Wreszcie zdecydowałem się odwiedzić ją w grocie.

— Chcę z tobą porozmawiać, Sal.

— O czym? — Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Odesłałem młodą czarną asystentkę i nakłoniłem Sally, żeby poszła ze mną do skał przy szmaragdowym basenie, mając nadzieję, że jego piękno i związane z nim skojarzenia poprawią jej nastrój.

— Co się dzieje, Sal?

— O co ci chodzi?

Zabrzmiało to tak, jakby uważała, że wtrącam się w nie swoje sprawy. Czuję, jak ogarnia mnie gniew. Z trudem powstrzymałem okrzyk: „Jestem twoim kochankiem, do cholery, i obchodzi mnie wszystko, co cię dotyczy!”

Ale zwyciężył rozsądek. Pomyślałem, że takie słowa mogły przeciąć wątłe więzy naszego związku. Ująłem ją więc za rękę i powiedziałem miękko:

— Kocham cię, Sally. Pamiętaj o tym. Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić...

Chyba obrałem dobry sposób, gdyż jej dłoń zacisnęła się na mojej, twarz złagodniała, a oczy pokryła lekka mgiełka.

— Ben, jesteś taki kochany! Nie zwracaj na mnie uwagi przez jakiś czas. Po prostu mam chandrę i nikt nie może mi pomóc. To minie, nie denerwuj się!

Przez chwilę znów była moją dziewczyną. Niepewny uśmiech drżał w kącikach jej ust i w zielonych oczach.

— Dasz mi znać, kiedy będzie lepiej? — Wstałem.

— Tak, doktorze. Będziesz pierwszym, który się o tym dowie.

\* \* \*

W następnym tygodniu odleciałem do Johannesburga, gdzie miało się odbyć doroczne walne zgromadzenie członków Rady Nadzorczej Instytutu. Nie mogłem się nie stawić. Ponadto musiałem wygłosić serię wykładów na Wydziale Archeologii.

Moja nieobecność na terenie wykopalisk miała potrwać jedenaście dni. Złożyłem wszystko w dłonie niezawodnego Petera Willcoxa i uzyskałem od niego obietnicę, że powiadomi mnie natychmiast, gdy tylko odkryją coś nowego.

Wokół mnie krzątały się trzy kobiety. Spakowały mój bagaż, przygotowały lunch na drogę, po czym ustawiły się w szeregu na pasie startowym, by ucałować mnie na „do widzenia”. Muszę przyznać, że podobała mi się ta troskliwość.

Często przekonywałem się w życiu, że intensywne zajmowanie się fragmentami danej sprawy zawęża widzenie całości. Trzy godziny po opuszczeniu Księżycowego Miasta doznałem olśnienia: jeśli na zburzonych fundamentach stały niegdyś mury i wieże, materiał skalny musiał pochodzić z najbliższej okolicy, najprawdopodobniej z urwiska. Gdzieś blisko miasta musiały zatem znajdować się kamieniołomy. Odnajdę je i po starannych oględzinach będę mógł zapewne oszacować wielkość miasta.

Po raz pierwszy od kilku tygodni poczułem się podniesiony na duchu, a następane dni przyniosły mi nawet satysfakcję i sprawiły przyjemność.

Spotkanie mandatariuszy odbyło się w świetnej atmosferze, czego zresztą można oczekiwać zawsze, kiedy fundusze są nieograniczone, a perspektywy wyglądają zachęcająco. Zasiadający na fotelu przewodniczącego Louren sprawiał imponujące wrażenie, gdy odnawiał mój kontrakt dyrektora instytutu na dalsze dwanaście miesięcy. Aby uczcić trzydziestoprocentową podwyżkę mego wynagrodzenia, zaprosił mnie na obiad. Wśród czterdziestu osób zasiadających wokół stołu w olbrzymiej jadalni byłem gościem honorowym.

Hilary Sturvesant w sukni ze złocistego brokatu, obwieszona bajecznymi wprost diamentami rodzinnymi, poświęcała uwagę wyłącznie mnie. Mam słabość do piękna, szczególnie gdy chodzi o kobiety. Było ich około dwudziestu tego wieczoru, więc później, w salonie, stałem się obiektem zalotów. Wino rozwiązało mi język i rozmyło moją przekłętą nieśmiałość. Nie przeszkadzała mi świadomość, że Hilary i Louren poprosili prawdopodobnie swych gości, by zajęli się mną, i gdy o drugiej nad ranem eskortowali mnie do mercedesa, pęczniałem z dumy.

Ta nowo odkryta wiara w siebie pomogła mi swobodnie przejść przez cykl czterech wykładów na uniwersytecie. Zyskałem popularność i ostatnie spotkanie zostało przeniesione do jednej z głównych sal wykładowych, by pomieścić audytorium liczące ośmiuset nawróconych. Odniosłem niezwykle sukces. Nakłaniano mnie potem do szybkiego powrotu z terenu; prorektor subtelnie napomknął, że w przyszłym roku czeka na mnie stanowisko szefa katedry archeologii.

Z uczuciem ulgi stwierdziłem, że moja nieobecność w instytucie nie odbiła się na jego pracy; liczny personel należycie dbał o wszystko.

Wystawa sztuki Buszmenów w Izbie Kalahari była otwarta dla publiczności. Została znakomicie zaprojektowana, a centralna postać w głównej grupie wyraziście przypominała mi mojego małego przyjaciela Xhai. Model był przedstawiony jako artysta tworzący obraz na skalnej ścianie jaskini. Przyglądając się postaci otoczonej naczyniami na farby, wykonanymi z kozich rogów, i trzciniowymi pędzelkami, wyobrażałem sobie człowieka malującego wizerunek białego króla. Odniosłem wrażenie, że cofnąłem się o dwa tysiąclecia, a mój umysł dostrzega rzeczy dawno minione. Powiedziałem o tym Timothy'emu.

— Tak, Machane. Mówiłem ci już, że ty i ja jesteśmy naznaczeni. Nosimy znak duchów i mamy dar widzenia.

Uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową.

— Nie wiem jak ty, Timothy, ale ja nie uważam się za kogoś wyjątkowego.

— Mówię poważnie, doktorze — zapewnił. — Ma pan ten dar, ale nie nauczono pana, jak go wykorzystać.

Mogę ostatecznie zaakceptować hipnozę, ale gadanie o jasnowidztwie, nekromancji i tym podobnych rzeczach denerwuje mnie. Chcąc odwrócić uwagę Timothy'ego ode mnie zagadnąłem:

— Mówiłeś, że i ty jesteś naznaczony przez duchy...

Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. Przez chwilę wydawało mi się, że moja nieporadnie maskowana ciekawość uraziła go, ale on nagle wstał, przekreślił klucz w drzwiach i wrócił na swoje miejsce. Szybko zdjął but i skarpetkę z lewej nogi i pokazał mi swoją stopę. — Widok był wstrząsający. Widywałem już podobne deformacje na fotografiach; niemal powszechnie występowały wśród szczepu Batonga w dolinie Zambezi. Rozprawa na ten temat ukazała się na łamach *British Medical Journal* w roku 1969. Przypadek ten znany był jako „strusia stopa”, i polegał na znacznym odstepie pomiędzy dużym a drugim Palcem. W efekcie stopa przypominała raczej łapę jakiegoś ptasiego drapieżnika. Timothy był z całą pewnością bardzo czuły



na punkcie swojego kalectwa, gdyż zaraz nałożył skarpetkę i but. Później zrozumiałem, że pokazał mi to w rozmyślnej próbie zdobycia mojego współczucia, chcąc stworzyć między nami rodzaj więzi.

— Obie stopy? — zapytałem, a on potwierdził skinieniem głowy. — W dolinie Zambezi żyje wielu ludzi z takimi stopami — powiedziałem.

— Moja matka była ze szczepu Batonga — odparł. — Ten znak zapewnił mi dostęp do wtajemniczeń.

— Czy to ci nie przeszkadza? — spytałem.

— Nie — odparł szorstko, niemal wyzywająco, przechodząc na język batonga. — My, ludzie z rozszczepionymi stopami, możemy prześcignąć najszybszą antylopę.

Chciałem kontynuować rozmowę, ale wyraz twarzy Timothy'ego powstrzymał mnie od tego. Zdałem sobie sprawę, ile wysiłku kosztował go ten pokaz.

— Napije się pan herbaty, doktorze? — Znów przeszedł na angielski.

Kiedy jeden z jego czarnych asystentów nalewał do filiżanek mocną herbatę, Timothy zapytał:

— Proszę mi opowiedzieć, jak postępują prace w Księżycowym Mieście, doktorze.

Gawędziliśmy przez pół godziny, po czym się podniosłem.

— Musisz mi wybaczyć, Timothy. Odlatuję jutro wczesnym rankiem, a mam jeszcze mnóstwo pracy.

\* \* \*

Obudziło mnie ciche, ale natarczywe pukanie do drzwi. Zapaliłem lampę stojącą przy łóżku i spojrzałem na zegarek; była trzecia rano.

— Kto tam? — zawołałem i stukanie umilkło. Wyszedłem z łóżka, narzuciłem szlafrok i ruszyłem w stronę drzwi, gdy nagle zdałem sobie sprawę z ryzyka takiego postępowania. Wróciłem do sypialni i wyciągnąłem z szuflady groźnie wyglądający automatyczny pistolet kaliber 45. Przemaszerowałem przez sypialnię i podszedłem do drzwi.

— Kto tam? — powtórzyłem.

— To ja, doktorze. Timothy!

Zawahałem się — każdy mógł przedstawić się tym imieniem.

— Jesteś sam? — spytałem w języku Buszmenów Kalahari.

— Jestem sam, Ptaku Słońca — odpowiedział w tym samym języku. Wsunąłem pistolet do kieszeni i otworzyłem drzwi.

Miał na sobie ciemnoniebieskie spodnie i białą koszulę, a na ramiona narzucił wiatrówkę. Na koszuli dostrzegłem plamy świeżej krwi i szmatę opasującą lewe przedramię. Wydawał się mocno poruszony, jego oczy były rozszerzone i lśniące, a ruchy nerwowe.

— Wielki Boże! Timothy, dobrze się czujesz?

— Miałem okropną noc, doktorze. Musiałem zobaczyć się z panem natychmiast.

— Co z twoją ręką?

— Rozciąłem sobie o szybę w drzwiach wejściowych. Potknąłem się w ciemności — wyjaśnił.

— Pozwól mi rzucić na to okiem. — Podszedłem do niego.

— Nie, nie, doktorze. To tylko zadrapanie. O wiele ważniejsze jest to, o czym chcę panu powiedzieć.

— Usiądź. Nalać ci drinka?

— Dzięki, Machane. Jak pan widzi, jestem trochę wytrącony z równowagi. To dlatego się zraniłem.

Nalałem whisky do dwóch szklaneczek. Ujął swoją prawą ręką, chodząc wciąż nerwowo po salonie, podczas gdy ja usiadłem wygodnie w skórzanym fotelu.

— O co chodzi, Timothy? — przynagliłem go.

— Bardzo trudno mi zacząć, Machane, ponieważ nie jest pan człowiekiem wierzącym. Ale ja muszę pana przekonać.

Przerwał i upił łyk whisky. — Wieczorem omawialiśmy sprawę Księżycowego Miasta, doktorze. Powiedział pan, że niepokoi pana jego tajemnica.

— No tak... — Kiwnąłem zachęcająco głową.

— Cmentarze starożytnych — ciągnął Timothy. — Nie może ich pan odnaleźć.

— To prawda.

— Zastanawiałem się nad tym. — Mówił teraz w języku venda, mowie bardziej pasującej do rozważań okultystycznych. — Zacząłem sobie przypominać legendy naszego ludu. Ujrzałem coś jak cień ponad blaskiem ognia, mroczne wspomnienie, które jednak mi umknęło. — Potrząsnął głową i odwrócił się, wciąż chodząc, sącząc drinka i mrucząc do siebie, jak gdyby nadal przepatrywał mroczne zakamarki pamięci.

— Nie zdało się to na nic, doktorze. Wiedziałem, że to tam tkwi, ale nie mogłem tego uchwycić. Wpadłem w rozpacz i w końcu zasnąłem. Ale był to sen zakłócany przez demony snu, aż nareszcie... — zawahał się — ...przyszedł do mnie mój dziadek.

Poruszyłem się niespokojnie. Dziadek Timothy'ego od dwudziestu pięciu lat spoczywał w grobie.

Zauważył moje niedowierzanie i szybko przeszedł na angielski.

— Wiem, że nie wierzy pan w takie rzeczy. Proszę jednak pozwolić mi wytłumaczyć to za pomocą terminów, które jest pan w stanie zaakceptować. Wyobraźnia, rozpalona poszukiwaniami dawno zapomnianych obrazów, wywołała wizerunek dziadka, czyli człowieka, od którego przede wszystkim pochodzi moja wiedza.

Uśmiechnąłem się, skrywając swe odczucia. Ten czarny mężczyzna, opowiadający o sprawach kryjących się w mroku, wbrew mej woli wywierał na mnie niezrozumiały wpływ.

— Mów dalej, Timothy.

— Dziadek przyszedł, dotknął mnie i powiedział: „Idź z błogosławionym na Wzgórza Krwi, a tam dzięki mnie poznasz tajemnicę i odkryjesz tajemne miejsca”.

Poczułem mrowienie na plecach. Timothy powiedział „Wzgórza Krwi”, a przecież nikt nie zdradził mu tej nazwy.

— Wzgórza Krwi? — powtórzyłem.

— To nazwa, której dziadek użył — rzekł Timothy. — Mogę tylko przypuszczać, że miał na myśli Księżycowe Miasto.

Zamilkłem. Rozsądek walczył we mnie z chęcią ulegnięcia prymitywnym zabobonom.

— Chcesz wyjechać ze mną? — spytałem.

— Pojadę z panem — stwierdził. — I być może będę mógł wskazać panu to, czego pan szuka.

Nie miałem nic do stracenia. Timothy z pewnością mówił szczerze.

— Zapraszałem cię i byłem bardzo rozczarowany, gdy odmówiłeś. Oczywiście, możesz jechać ze mną; zobaczymy, czy widok ruin poruszy coś w twojej pamięci.

— Dziękuję, doktorze. O której godzinie pan wyjeżdża? Spojrzałem na zegarek.

— O Boże, już czwarta. Wyruszamy o szóstej.

— Wobec tego muszę pędzić do domu i spakować rzeczy. — Timothy odstawił szklaneczkę na komodę i odwrócił się w moją stronę. — Jest drobna przeszkoda, doktorze. Mój paszport jest nieważny, a będziemy musieli przekroczyć granicę Botswany.

— A niech to lichy! — mruknąłem zawiedziony. — Będziesz musiał go odnowić. Przylecisz później.

— Jak pan sobie życzy, doktorze — przystał zgodnie na tę propozycję. — Tyle że to musi potrwać, a do czasu załatwienia formalności te strzępy skojarzeń całkiem mogą zatrzeć się w mej pamięci.

Zazwyczaj przestrzegam wymogów prawa, ale wówczas nie widziałem nic złego w tym, co w końcu postanowiłem zrobić. Szansa, że Timothy doprowadzi mnie do starożytnych cmentarzysk, warta była wykroczenia przeciw prawu.

— Chciałbyś zaryzykować, Timothy? — zapytałem.

Formalności na lotnisku były ograniczone do minimum. Maszyny lądowały i startowały każdego dnia, a czynności urzędowe sprowadzały się do telefonicznej rozmowy z kierownictwem lotniska. Nazwisko Sturvesanta miało taką moc, że jego samoloty w ogóle nie były kontrolowane, związku z Księżycowym Miastem Louren uzgodnił specjalny status z rządem Botswany, co w zasadzie uwalniało nas od nudnej biurokracji.

Mogłem więc wywieźć Timothy'ego na trzy dni, a potem przywieźć z powrotem nie informując o tym czynników urzędowych. Rogerowi van Deventerowi starczyłoby zapewnienie, że Louren wyraził zgodę na ten lot. Nie przewidywałem żadnych problemów.

— Dobrze, doktorze. Jeśli uważa pan, że to bezpieczne... — odparł Timothy.

— Bądź w hangarze Sturvesanta przed szóstą. Jeżeli będą cię o coś pytać przy wjeździe na lotnisko, w co wątpię, pokaż im to pismo, upoważniające cię do dostawy zaopatrzenia. Zaparkuj samochód obok biura lotów i zaczekaj na mnie wewnątrz. — Dałem mu sporządzoną naprędce notatkę. Szybko uzgodniliśmy wszystkie szczegóły i kiedy stanąłem przy oknie sypialni, obserwując stary niebieski samochód Timothy'ego, wyjeżdżający z parkingu, odczuwałem na przemian uniesienie i obawę. Zastanawiałem się, jaką karę przewiduje prawo za pomoc w nielegalnym wyjeździe, po czym porzucając ten problem poszedłem zaparzyć sobie kawę.

\* \* \*

Chevy Timothy'ego stał w jednej z zatoczek parkingu, gdy Roger i ja podjechaliśmy mercedesem. Weszliśmy do hangaru. Wielkie rozsuwane drzwi były otwarte, a obsługa przygotowywała dakotę do startu. Przez przeszklone drzwi biura lotów dostrzegłem Timothy'ego pochylonego nad stołem. Podniósł głowę i uśmiechnął się do mnie.

— Załatwię odprawę, Roger — zaproponowałem. — Ty zapal silniki.

— Okay, doktorze. — Podał mi dossier lotu. Robiliśmy tak już nieraz, a więc nie była to nowa procedura. Roger wspiął się ku drzwiom samolotu, a ja pospieszyłem do biura.

— Cześć, Timothy. — Spojrzałem na niego z troską. Skulił się, a na czole i w kącikach ust rysowały się zmarszczki bólu. Jego skóra była szara, a usta bladocięte. — Dobrze się czujesz?

— Trochę boli mnie ręka, doktorze. — Rozchylił połą kurtki. Świeżo obandażowane ramię opierało się na temblaku. — Ale wszystko będzie w porządku. Zadbano o mnie.

— Uważasz, że nadajesz się do podróży?

— Wydobyłem się.

— Jesteś pewny?

— Tak, jestem pewny.

— Wobec tego w porządku. — Usiadłem za biurkiem i podniosłem słuchawkę

telefonu. Odpowiedziano już po pierwszym dzwonku.

— Policja lotniska!

— Tu doktor Kazin z firmy Sturvesant.

— Dzień dobry, doktorze. Jak się pan miewa?

— Dziękuję, dobrze. Chciałbym uzyskać zgodę na lot do Botswany na ZA—CEE.

— Chwileczkę, doktorze. Zapiszę dane. Są pasażerowie?

— Tylko ja. Pilotem jest, jak zawsze, Roger van Deventer.

Dyktowałem szczegóły spisywane przez oficera policji. Wreszcie powiedział:

— Okay. Dobrego lotu. Przekażę zgodę na start do kontroli lotów.

Odłożyłem słuchawkę i uśmiechnąłem się do Timothy'ego.

— Wszystko w porządku. — Podniosłem się. — Chodźmy.

Pierwszy wyszedłem z biura. Silniki dakoty już pracowały. Trzej czarni mechanicy nieoczekiwanie porzucili swoje stanowiska przy podwoziu i szybkim krokiem ruszyli w moją stronę.

— Doktorze! — rozległ się za mną głos Timothy'ego. Odwróciłem się. Minęło parę sekund, nim zdałem sobie sprawę, że mój asystent zdrową ręką trzyma chiński karabin maszynowy o krótkiej lufie, skierowany w mój brzuch. Spojrzałem na niego oszołomiony.

— Przykro mi, doktorze — powiedział cicho. — To konieczność.

Mechanicy chwycili mnie za ramiona.

— Proszę mi uwierzyć, doktorze: nie zawaham się zabić pana, jeśli nie zechce pan z nami współpracować.

— Idziemy! — zawołał głośno w narzeczu venda.

Pięć postaci wbiegło przez otwarte drzwi hangaru. Rozpoznałem parę młodych asystentów Bantu z instytutu i jedną z dziewczyn. Wszyscy dźwigali krótkie karabiny maszynowe, prowadząc nie znanego mi rannego; jego pierś i szyję okrywały przesiąknięte krwią bandaże.

— Zabierzcie go do samolotu — rozkazał szorstko Timothy.

Przez cały ten czas stałem otepiały. Patrzyłem teraz, jak grupa z rannym zaczęła przeciskać się pomiędzy moimi strażnikami i ścianą hangaru. Przeszkadzali sobie wzajemnie, wchodząc na linię własnych strzałów. Nagle pozbierałem się. Napiąłem mięśnie nóg, pochyliłem się nieco i wyrzuciłem ręce przed siebie. Ludzie trzymający mnie za ramiona wypadli do przodu jak rzutki w kierunku tarczy, wpadając na Timothy'ego i zbijając go z nóg.

— Roger! — wrzasnąłem. — Radio! Sprowadź pomoc! — Miałem nadzieję, że usłyszy mój głos przez hałas silników. Trzeci z mechaników skoczył na mnie od tyłu. Złapałem go za przegub i za łokieć i szarpnąłem. Łokieć trzasnął z nieprzyjemnym dźwiękiem, a poszkodowany zaczął wrzeszczeć. Jego ramię zwisało bezwładnie.

— Nie strzelać! — krzyknął Timothy. — Żadnego hałasu!

— Na pomoc! — zawołałem, lecz krzyk utonął w ryku silników.

Napastnicy porzucili rannego i podbiegli do mnie. Skoczyłem na nich. Kopnąłem w pachwinę ich przywódcę i poczułem, jak but zatapia się w miękkim ciele. Zgiął się wpół, a wtedy kolaniem uderzyłem go w twarz. Coś chrupnęło.

Timothy i mechanicy niezdarnie podnosili się z ziemi.

— Żadnej strzelaniny! — W głosie Timothy'ego brzmiała determinacja. — Bez hałasu!

Ruszyłem w jego stronę. Nienawiść do zdrajcy obudziła we mnie tygrysa. Pragnąłem zobaczyć krew Timothy'ego rozbryzgującą się po hangarze, poczuć, jak kości pękają pod naciskiem moich rąk.

Jedna z dziewczyn uderzyła mnie stalową kolbą automatu. Poczułem, że ostra krawędź rozcina mi skórę na głowie, ale moja wściekłość jeszcze wzrosła. Jeden z

mechaników przyskoczył do mnie, ale przycisnąłem go do piersi, otaczając jego ciało mocnym chwytem, i już po chwili usłyszałem trzask pękających żeber. Zawył.

Uderzyli mnie znowu i ciepła krew zalała mi oczy. Puściłem człowieka, którego wciąż przygniatałem, i odwróciłem się, chcąc zaatakować pozostałych. Oślepiony własną krwią, ogłuszony ich wrzaskami, zebrałem kolejne ciosy. Wymachiwałem po omacku ramionami, z nadzieją, że trafię któregoś napastnika. Deszcz razów spadał na moją głowę i ramiona. Kolana ugięły się pod mną i upadłem. Wciąż jednak byłem przytomny. Ogarniała mnie gorącą falą furia. Zaczęli mnie kopać, celując w brzuch; zwinąłem się w kłębek na zimnym, śliskim betonie, usiłując unikami uchronić się przed kolejnymi ciosami.

— Dość! — To był głos Timothy'ego. — Zabierzcie go na pokład.

— Moja ręka! Zabiję go! — Usłyszałem bolesny jęk.

— Dość tego! — To znów Timothy. — Potrzebujemy zakładników. Bierzcie go.

Powlekli mnie po podłodze, unieśli i rzucili na metalową podłogę. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Powiedz pilotowi, żeby startował — polecił Timothy — Przenieście doktora do kabiny radiowej.

Przepchnęli mnie przez całą długość przejścia między fotelami. Przez zalewającą mi oczy krew dostrzegłem pod ścianą inżyniera z obsługi naziemnej i jego załogę, związanych i zakneblowanych. Zdjęto z nich kombinezony, których napastnicy użyli jako przebrania.

— Tak, doktorze — rzekł. — Żołnierze wolności.

— Albo zwiastunowie mroku.

Moja riposta sprawiła, że nachmurzył się.

— Zawsze uważałem pana za prawdziwego humanistę. Oczekuję od pana zrozumienia i sympatii dla naszych dążeń.

— Trudno sympatyzować z gangsterami...

Przez kilka chwil mierzyliśmy się wzrokiem. Potem on wstał gwałtownie i podszedł do radiostacji umieszczonej obok mojego fotela. Włączył odbiornik, zerknął na zegarek i zaczął manipulować pokrętłami. Rozległ się głos spikera.

— Tu mówi Południowoafrykańska Rozgłośnia Radiowa. Jest godzina siódma. A oto wiadomości. Rzecznik prasowy policji południowoafrykańskiej oznajmił, że dziś o godzinie 2.15 oddział policji, na podstawie otrzymanej informacji, dokonał obławy na farmie w Randberg, peryferyjnej dzielnicy Johannesburga. Wywiązała się strzelanina pomiędzy policją a dużą grupą nie zidentyfikowanych osobników uzbrojonych w broń automatyczną. Członkowie gangu usiłowali zbiec czterema samochodami. Dwóm pojazdom udało się ująć pościgowi. Wstępne raporty donoszą, że ośmiu członków bandy zostało zastrzelonych, a czterech schwytanych. Policja prowadzi akcję poszukiwawczą na dużą skalę. Wszystkie drogi prowadzące z Witwatersrand są pod nadzorem, podobnie jak lotniska. Z głębokim żalem zawiadamiamy o śmierci trzech oficerów policji południowoafrykańskiej i o dwóch ciężko rannych.

W kabinie rozległa się hałaśliwa owacja; kilku członków bandy wzniosło nad głowę zaciśnięte pięści.

— Gratulacje — mruknąłem sarkastycznie do Timothy'ego. Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

— Śmierć jest zła, ale niewola gorsza — oznajmił dobitnie.

— Za bardzo boli mnie głowa, żeby wysłuchiwać twoich komunistycznych frazesów — powiedziałem. — Nie sil się na gładkie słówka, draniu. Chcesz spalić moją ziemię, nasaczyć ją krwią. Chcesz zniszczyć wszystko, co dla mnie święte i drogie. To jest mój kraj i kocham go takim, jaki jest. Jesteś moim wrogiem. Nie ma

nic, co by nas łączyło — oprócz noża.

Jeszcze raz zetknęły się nasze spojrzenia, a po dłuższej chwili Timothy kiwnął głową.

— Więc niech będzie nóż! — oświadczył i odwrócił się.

Dakota zdążyła ku północy. Rany zaczęły mi dokuczać.

\* \* \*

Mirage nadleciał od wschodu i ze lśniącem błyskiem przemknął przed naszym dziobem. Kiedy przelatywał z dużą prędkością, dostrzegłem na jego kadłubie kółka sił powietrznych i twarz pilota w goglach.

— ZA—CEE, tu Air Force, Red Striker Dwa. Jak mnie słyszysz?

Spojrzałem przez okienko i zobaczyłem błyszczący w promieniach słońca odrzutowiec. Timothy podbiegł do radiostacji i zawahał się przez chwilę. W kabinie zaczęło narastać napięcie; obecni zdawali sobie sprawę, że Timothy nie może odpowiedzieć, bo jego akcent bantu był trudny do ukrycia.

Odrzutowiec znów znalazł się przed naszą dakotą. Uzbrojony mężczyzna stojący za Rogerem kucnął, by ukryć się przed wzrokiem pilota wzywającej nas maszyny.

— ZA—CEE! — Rozległo się powtórne wywołanie. Timothy spocił się, jego twarz poszarzała z napięcia.

Oderwał wzrok od radia i skinął na dwójkę swoich ludzi.

— Dajcie go tutaj. — Wskazał na białego mechanika. Przywlekli go do kabiny radiowej i postawili przede mną.

Jego przerażone oczy zwróciły się na mnie z wyrazem błagania. W ustach miał knebel. Jeden z tamtych stanął obok i szarpnął do tyłu głowę przyprowadzonego tak mocno, że widać było pulsujące arterie. Przyłożył mu do gardła błyszczące ostrze noża.

— Nie żartuję, doktorze — zapewnił Timothy, rozwiązując mi ręce i wkładając w dłoń mikrofon. — Proszę go uspokoić. Niech pan powie, że na pokładzie są tylko dwie osoby i że lecicie do Księżycowego Miasta. — Położył palec na przełączniku, aby móc w każdej chwili przerwać połączenie.

Przerażony mechanik jęczał, a dłoń trzymająca nóż naciskała pulsującą na krtani skórę.

— Air Force Striker Dwa, tu ZA—CEE — wychrypiałem do mikrofonu, wpatrując się w mechanika.

— Podaj swoje dane i miejsce przeznaczenia.

— Tu doktor Kazin z kompanii Sturvesanta. Odbywamy rutynowy lot z... — Spostrzegłem, że bandyci oddychają z ulgą, napięcie opada, a dłoń Timothy'ego cofa się od przełącznika. Oczy mechanika wciąż szukały moich. Chciałbym mu powiedzieć, że jest mi przykro, lecz nie mogę go ocalić. Chciałbym wytłumaczyć, że stawiam jego życie przeciw życiu czteremastu najniebezpieczniejszych wrogów mojego kraju, że jego ofiara warta jest tego celu i że z ochotą oddałbym również własne życie, jeśliby to pomogło w złapaniu wrogów. Wrzasnąłem do słuchawki:

— Zostaliśmy porwani przez terrorystów! Strzelaj! Nie zważaj na nasze bezpieczeństwo!

Timothy skoczył w stronę wyłącznika, ale za późno.

Nóż przeciął głęboko naprężone gardło mechanika, krew bluznęła jak woda z pękniętego węża ogrodniczego, tryskając czerwoną fontanną na Timothy'ego i na mnie, a na ustach zamordowanego pojawiła się różowa piana.

Radio wciąż skrzeczało:

— Zawróćcie. Zastosujcie się do moich poleceń! Natychmiast wykonać polecenie

albo otworzę ogień!

Timothy, klnąc, wyrwał mikrofon z mojej dłoni. Wrzeszczałem, szarpiąc krepujące mnie więzy:

— Bydlaki! Brudne, mordercze bestie!

Jeden z członków bandy wycelował we mnie karabin, ale Timothy odtrącił jego rękę.

— Zabierzcie go stąd! — Ruchem głowy wskazał na drgające ciało mechanika. Odciągnęli je w głąb.

Mirage atakuje! — krzyknął Roger. Zobaczyliśmy samolot zbliżający się od dziobu; srebrny błysk pędzący wprost na nas.

Timothy przyłożył mikrofon do ust. Zauważyłem, że jego twarz pokryta jest plamkami krwi.

— Wstrzymać ogień! — zawołał. — Mamy zakładników na pokładzie.

— Atakuj! — wrzasnąłem, szarpiąc więzy. — I tak nas zamordują! Otwórz ogień!

Odrzutowiec wzniósł się ostro w górę, nie otwierając ognia, i z wyciem przeleciał nad nami. Dakota zakołysała się gwałtownie. Wrzeszczałem, szamocząc się z liną. Chciałem rzucić się na porywaczy. Stalowe krzesło kołysało się z boku na bok. Stopami dosięgnąłem ściany i odepchnąłem się od niej z całej siły. Fotel odchylił się tylko nieznacznie, a strażnik jeszcze raz podniósł karabin.

— Nie! — zawołał Timothy. — Musimy mieć go żywego. Powiedz Mary, żeby przyniosła morfinę.

Mirage ostro skrzył, a potem kołując znalazł się jakieś sto metrów od nas.

— Rozmawiał pan już z doktorem Kazinem — rzekł Timothy do mikrofonu. — A mamy jeszcze czterech innych zakładników. Wykonaliśmy już egzekucję na jednym z białych jeńców i nie zawahamy się zabić następnego, jeśli nie zostawicie nas w spokoju.

— I tak nas pozabijają! — krzyknąłem, ale Timothy przerwał połączenie.

Potrzeba było pięciu, żeby mnie unieruchomić, ale w końcu wbili mi w ramię igłę strzykawki i chociaż usiłowałem stawiać narkotykowi opór, poczułem, że zapadam w próżnię. Próbowałem jeszcze szarpać liny, ale moje ruchy stały się nieskoordynowane. Zdołałem jeszcze tylko usłyszeć, jak Timothy podaje Rogerowi nowy kurs.

Obudził mnie ból i pragnienie. W ustach czułem nieprzyjemny smak. Kręciło mi się w głowie. Spróbowałem usiąść i krzyknąłem.

— Dobrze się pan czuje, doktorze? — zapytał Roger van Deventer. Usiłowałem skupić na nim wzrok.

— Wody — poprosiłem.

— Przykro mi, doktorze. — Potrząsnął głową. Rozejrzałem się po pomalowanym na biało pokoju. Całe umeblowanie składało się z czterech drewnianych pryczy i wiadra w kącie. Drzwi zabezpieczała krata. Trzej Bantu, sprawiający wrażenie zrozpaczonych, siedzieli na jednej pryczy.

— Gdzie jesteśmy? — wyszeptalem.

— W Zambii. To coś w rodzaju obozu wojskowego. Wylądowaliśmy tu przed godziną.

— Co się stało z odrzutowcem?

— Zawrócił, kiedy przekroczyliśmy granicę. Nie mógł lecieć za nami.

\* \* \*

Siedzieliśmy w dusznym, gorącym pomieszczeniu, przy śmierdzącym wiadrze, aż przyszli po mnie strażnicy. Z wielkim hałasem i poszturchiwaniem poprowadzili

mnie do biura, którego jedyną ozdobą był portret przewodniczącego Mao. Timothy Mageba podniósł się zza biurka i skinieniem dłoni odprawił strażników.

— Proszę usiąść, doktorze. — Miał na sobie spadochroniarski mundur maskujący i szlify pułkownika Armii Ludowo—Wyzwoleńczej Chin.

Usiadłem na drewnianej ławce i utkwilem oczy w sześciu butelkach tuskera stojących na tacy. Butelki pokryte były chłodną rosą i poczułem, jak gardło kurczy mi się z pragnienia.

— Wiem, że bardzo lubi pan zimne piwo, doktorze. — Timothy otworzył jedną butelkę i podał mi ją. Potrząsnąłem głową.

— Dziękuję. Nie piję z mordercami.

— Rozumiem! — Skinął głową. Dojrzałem w jego ciemnych oczach cień żalu. Podniósł butelkę do ust i wypił łyk piwa. — Śmierć mechanika nie była zamierzona. Nie chciałem, by do tego doszło. Proszę mnie zrozumieć, doktorze.

Kiedy dym płonącej ziemi zaciemni niebo, a odór zwłok stanie się przykry nawet dla twoich mrocznych duchów, będziesz jęczał: „Nie chciałem, by do tego doszło”. Odwrócił się i podszedł do okna. Na dziedzińcu pod oślepiającym słońcem ćwiczyło kilka oddziałów umundurowanych Bantu.

— Udało mi się załatwić pańskie uwolnienie, doktorze. Będzie panu wolno odlecieć dakotę. — Stał przed mną i mówił znów językiem venda. — Moje serce będzie rozpaczać, gdy odejdiesz, Machane, ponieważ jesteś człowiekiem wielkiej łagodności, siły i odwagi. Miałem nadzieję, że się do nas przyłączysz.

Odpowiedziałem mu również w venda:

— Moje serce także łka, ponieważ człowiek, który był przyjacielem, któremu ufałem, związał się z kryminalistami. Dla mnie jest już martwy. Moje serce łka.

Zdałem sobie sprawę, że to w pewnym stopniu prawda. Gdzieś pod gniewem i nienawiścią drażył mnie smutek i poczucie straty. Widziałem dotąd w Timothy'ym nadzieję dla naszego biednego, udręczonego kontynentu.

Patrzyliśmy na siebie, a dzieląca nas odległość była szeroka jak bezmiar niebios i głęboka jak otchłań piekła.

— Żegnaj, doktorze — powiedział cicho. — Idź w pokoju, Machane.

\* \* \*

Na pas startowy, bosych i rozebranych do bielizny, zawieźli nas krytą ciężarówką. Uformowali podwójny szereg składający się z około dwustu osób, odzianych w mundury spadochroniarzy i szyderczo uśmiechniętych. Zostaliśmy zmuszeni do przejścia tym szpalerem. Wśród stojących znajdowało się kilku chińskich instruktorów. Słyszałem niemiłe komentarze na temat mego garbu. Przyspieszyłem kroku, lecz jeden z Chińczyków wysunął się z szeregu i stanął przede mną, po czym opluł mnie, wzbudzając huraganowy śmiech towarzyszy.

Odrzutowce Sił Powietrznych przechwyciły nas w godzinę po przekroczeniu przez nas rzeki Zambezi i eskortowały nas aż do bazy wojskowej w Voortrekker Hoogte. Ulga z powodu bezpiecznego powrotu do domu nie trwała długo. Kiedy lekarz oczyścił i zabandażował ropiejące ślady ciosów na mojej głowie, pospiesznie zapakowano mnie do samochodu i odstawiono na spotkanie z czterema ponurymi oficerami policji i wywiadu.

— Doktorze Kazin, czy to pański podpis? — Pokazali mi rekomendację, z jaką wystąpiłem w sprawie wydania paszportu Timothy'emu.

— Doktorze Kazin, czy pamięta pan tego człowieka? Chodziło o Chińczyka, którego spotkałem, gdy odwiedziłem Timothy'ego na uniwersytecie w Londynie.

— Zdaje pan sobie sprawę, że ten człowiek jest agentem rządu komunistycznych



Chin? — Zdjęcie przedstawiało mnie w towarzystwie Timothy'ego i Chińczyka; popijaliśmy piwo nad brzegiem Tamizy.

— Czy może pan nam powiedzieć, o czym rozmawialiście?

Timothy poinformował mnie wówczas, że Chińczyk jest specjalistą w dziedzinie antropologii. Omawialiśmy więc odkrycia Leakeya w wąwozie Olduvai.

— Czy poparł pan wniosek Mageby o stypendium Sturvesanta, doktorze?

— Czy wiedział pan, że przebywał on w Chinach, gdzie odbył szkolenie?

— Czy to pan podpisał zamówienie na dwadzieścia siedem beczek gliny z Hongkongu? — To były standardowe formularze instytutu. Rozpoznałem swój podpis, nie pamiętałem jednak, co zawierała przesyłka.

— Czy zdawał pan sobie sprawę, że ten transport zawierał sto pięćdziesiąt funtów materiałów wybuchowych?

— Czy pan to rozpoznaje? — Ulotki w tuzinie języków afrykańskich.

Przeczytałem pierwszą linijkę jednej z nich. Nawoływanie do zabijania, podpalania i niszczenia.

— Czy zdawał pan sobie sprawę, że drukowano je w instytucie?

Pytania ciągnęły się w nieskończoność. Byłem zmęczony, zdenerwowany, zaczynałem przeczytać sam sobie. Pokazywałem rany na głowie, otarcia na przegubach i kostkach spowodowane przez więzy, ale pytania nie ustawały. W głowie mi szumiało, a mózg przybrał już pewnie konsystencję galarety.

— Czy pan to poznaje, doktorze? — Pistolety maszynowe, amunicja.

— Tak! — wrzasnąłem. — Taki sam przytykali mi do głowy i brzucha!

— Czy pan wiedział, że ta broń jest schowana w skrzyniach z książkami przeznaczonymi dla pańskiego instytutu?

— Kiedy uzyskał pan zgodę na start dakoty, oświadczył pan...

— Skoczyli na mnie zaraz, gdy tylko skończyłem rozmowę telefoniczną.

Wyjaśniałem to już z tuzin razy, do cholery!

— Zna pan Magebę od dwunastu lat. Był pańskim protegowanym, doktorze.

— Chce nam pan wmówić, że Mageba nigdy nie próbował zjednać sobie pana? Że nie rozmawialiście o polityce?

— Nie jestem jednym z nich. Przysięgam... Proszę, musicie mi uwierzyć! — Poczulem, że brak mi tchu, i osunąłem się na podłogę.

\* \* \*

Przebudziłem się w szpitalnej sali, w czystej pościeli, a przy moim łóżku siedział Louren Sturvesant.

— Lo, o Boże, dzięki! — westchnąłem z ulgą. Louren jest ze mną, więc wszystko w porządku.

Pochylił się nade mną bez uśmiechu, a jego twarz przybrała niemal odpychający wyraz.

— Oni uważają, że należysz do gangu. Że wszystko zorganizowałeś, a instytut wykorzystywałeś przez całe lata jako kwaterę główną organizacji terrorystycznej.

Wpatrywałem się w niego oszołomiony, a on ciągnął bezlitośnie:

— Jeżeli naprawdę zdradziłeś mnie i swój kraj, jeżeli przeszedłeś na stronę wroga, nie oczekuj ode mnie litości.

— Na miłość boską, Lo!

— Czy to prawda?

— Nie! — Potrząsnąłem głową. — Nie! Nie! — I nagle poczułem, że łzy zalewają mi twarz, trząsałem się i płakałem jak dziecko.

Louren pochylił się i objął mnie swym opiekuńczym ramieniem.

— Okay, Ben — odezwał się łagodnie i serdecznie. — Okay, współniku. Załatwię to. Już po wszystkim.

\* \* \*

Louren nie pozwolił mi wrócić do kwater wykładowców w instytucie, lecz umieścił mnie w apartamencie gościnnym Kleine Schuur, rezydencji Sturvesantów.

Pierwszej nocy obudził mnie z koszmaru pełnego krwi i drwiących czarnych twarzy. Usiadł na skraju łóżka i rozmawialiśmy o dobrych, rozsądnych rzeczach, które razem zrobiliśmy, i o tym, czego jeszcze dokonamy, aż wreszcie zapadłem w spokojny sen.

Spędziłem tam dziesięć leniwych, idyllicznych dni, rozpieszczany przez Hilary i otoczony dziećmi, chroniony przed prasą, odseparowany od trosk i niepokojów świata zewnętrznego. Siniaki zniknęły, strupy odpadły, i z coraz większym trudem przychodziło mi opowiadanie dzieciom w kółko tej samej historii. Chórem wykrzykiwały puenty i poprawiały mnie w szczegółach. Nadszedł czas, by zanurzyć się znów w zwykłym życiu.

Podczas konferencji prasowej opowiedziałem historię uprowadzenia, stanąwszy naprzeciw przedstawiciele prasy całego świata. Następnie Louren odwiózł mnie odrzutowym lear do Księżycowego Miasta.

Po drodze opowiedziałem mu, w jaki sposób zamierzam odnaleźć kamieniołomy, a potem grobowce starożytnych. Uśmiechnął się.

— Prawdziwy tygrys! Pędź tam, chłopcze, i wyrwij wszystko aż po dno! — Zrozumiałem, że trochę się rozpędziłem w swym entuzjazmie. Przypomniałem sobie starego Xhai naśladowającego Ptaka Słońca i mocno przycisnąłem gestykujące dłonie do piersi.

W Księżycowym Mieście powitano mnie jak bohatera, ponieważ wszyscy śledzili moje przygody. Współpracownicy przynieśli karton piwa windhoek i usiedli wokół mnie, a ja jeszcze raz opowiedziałem o swych przeżyciach.

— Ten Timothy zawsze sprawiał na mnie dziwne wrażenie — stwierdziła Sally. — Było w nim coś podejrzanego. — Wstała i podeszła, by pocałować mnie publicznie w czoło, a gdy zalałem się szkarłatnym rumieńcem, ciągnęła dalej: — W każdym razie cieszymy się, że jesteś cały, Ben. Martwiliśmy się o ciebie.

Następnego ranka, kiedy odwiozłem Lourena na pas startowy, poszedłem rozejrzeć się za Ralem Davidsonem. Znalazłem go na dnie rowu, mierzącego płyty z piaskowca. Okrywała go para skąpych szortów, masa włosów niemal całkowicie przysłaniała mu twarz. Jego opalone ciało było szczupłe i sprawne. Bardzo lubiłem tego chłopaka. Usiedliśmy na krawędzi wykopu, kiwając nogami. Wyjaśniłem mu moją teorię kamieniołomów.

— Rety, doktorze! Dlaczego nie pomyśleliśmy o tym wcześniej?! — zachłystywał się entuzjazmem.

Tego wieczoru opracowaliśmy szczegółowy program poszukiwań, wraz z harmonogramem rozszerzania kręgów. Brygada Rala została tymczasowo odwołana z wykopalisk wewnątrz świątyni i uzbrojona w maczety stanęła do walki z gęstą, zwartą roślinnością na szczycie urwiska. Poszukiwania zostały zaplanowane jak operacja wojskowa. Szukałem sposobności do skorzystania z krótkofalówek, w które, wcale o to nie proszony, zaopatrzył nas Louren. Sprawdzaliśmy urządzenia, wykrzykując coś w rodzaju: „Skończyłem!” albo: „Rozumiem cię, pięć pięć!”

Peter Willcox mrucał coś o „skautach”, ale wydaje mi się, że był po prostu trochę zazdrosny, że nie zabraliśmy go z sobą. Leslie i Sally zaraziły się powszechnym entuzjazmem i wyposażyły nas w zapasy jedzenia i picia wystarczające dla całej armii

na tydzień. Wyszły na zewnątrz o bladym świcie, jeszcze w piżamach i szlafrokach, żeby pomachać nam i życzyć powodzenia. Stałem na czele mojego doborowego oddziału obładowanego żywnością i ekwipunkiem, czując się trochę jak Scott albo Cortez, i powiodłem go ku rozstępowi w skalnych urwiskach. Dziesięć godzin później, spocony, podrapany przez ciernie, pokąsany przez olbrzymie muchy i liczne insekty, przypieczony przez słońce i w podłym humorze, sprowadziłem swych ludzi na dół.

Przemierzaliśmy tę trasę codziennie przez następne dziesięć dni, a kiedy ostatniego wieczoru zatrzymaliśmy się w połowie drogi w dół, Ral spojrział nagle na strome skały i wykrzyknął zdumiony: — Rety, doktorze! To tutaj!

Przez dziesięć dni korzystaliśmy ze schodów wykutych przez starożytnych. Gęste poszycie przysłoniło tarasy, z których wyrzynali czerwony kamień. Odnaleźliśmy kilka na wpół uformowanych bloków, tylko nieznacznie naciętych i niemal zupełnie niezwiertających w żlebie chroniącym je przed działaniem czynników zewnętrznych. Pozostały ślady tak wyraźne, jak gdyby robotnicy porzucili narzędzia poprzedniego dnia, a nie dwa tysiące lat temu. Leżały też bloki ukończone, gotowe do transportu, jeszcze inne rozrzucone były wzdłuż skalnego wąwozu.

Oczyściliśmy otoczenie z roślinności, co pozwoliło nam Prześledzić krok po kroku proces wytwórczy. Cały zespół dołączył do nas. Wszyscy radowali się nowym sukcesem, gdyż byliśmy już nieco podłamani brakiem postępów. Robiliśmy teraz szkice i mapy, mierzyliśmy i fotografowaliśmy, argumentowaliśmy i teoretyzowaliśmy z entuzjazmem. Rozwiały się nasze obawy, że doszliśmy do martwego punktu.

Mam fotografię zrobioną przez jednego z brygadzystów Bantu, który uważał nas wszystkich za pomyleńców. Błądzimy na niej, pozując do zdjęcia na jednym z wielkich kamiennych bloków. Peter przybrał postawę Napoleona, chowając dłoń pod kurtkę. Kudłate oblicze Rala zdobi straszliwy zez. Leslie wstydliwie prezentuje swoje kształty i nogi, którymi mogłaby skopać słonia na śmierć. Ja siedzę u stóp Heather z palcem w ustach. Sally ma na nosie okulary Petera i mój kapelusz naciągnięty na uszy. To zdjęcie ilustruje nastrój owych chwil.

Kiedy pomoc całego zespołu nie była nam już potrzebna, tylko Ral i ja zostaliśmy w kamieniołomie. Przyniosłem teodolit i pograżyliśmy się w obliczeniach. Niemożliwe było dokładne zmierzenie nieregularnych wydrążeń, ale w przybliżeniu oszacowaliśmy, że wybrano stąd półtora miliona jardów sześciennych skały.

Następnie, badając metodę eksploatacji kamieniołomu i przyjmując objętość porzuconych bloków za podstawę obliczeń, założyliśmy, że stosunek wykończonych bloków do zniszczonego materiału ma się jak czterdzieści do sześćdziesięciu. Ostatecznie otrzymaliśmy wielkość rzędu sześciuset tysięcy jardów sześciennych.

Dotąd pracowaliśmy opierając się na wymiernych danych, ale teraz przyszedł czas na hipotezy.

— W końcu nie jest to gorsze od odtwarzania sylwetki dinozaura na podstawie odcisków jego stóp — rzekł Rai, kiedy porównywaliśmy mapę fundamentów świątyni z ilością materiału skalnego, rekonstruując wielkość zaginionego miasta.

— Daj, ja to zrobię. — Zirytowana Sally wyjęła mi z dłoni ołówek po kilkuminutowej obserwacji moich bezskutecznych wysiłków.

— Wydaje mi się, że przesadziłaś ze zniszczeniami głównych murów — mruknął z przyganą Peter, przyglądając się rysunkowi Sally. — Jeśli porównać je ze ścianami eliptycznych budowli w Zimbabwie...

— Przypomnij sobie świątynię Tarxien na Malcie — oponowała Heather. — Albo główne mury Knossos.

I zanim Ral albo ja zdołaliśmy zrobić cokolwiek, by temu zapobiec, nasz projekt stał się własnością ogółu, a dyskusja nad nim zastąpiła tradycyjny wieczór pieśni.

Każdy członek zespołu dokładał jakąś cząstkę swojej specjalistycznej wiedzy, co złożyło się w końcu na ciąg obrazów miasta.

Masywne czerwone mury ozdobione ornamentami, współtworzące wielkość Fenicji. Czerwone ściany odbijające promienie zachodzącego słońca, wieczorne błogosławieństwo wielkiego Baala. Wyniosłe wieże, symbole płodności i pomyślności wyrastały z ciemnozielonego listowia. Powyżej pionowe szczeliny w skalnym urwisku prowadziły ku sekretnemu wejściu do tajemniczej jaskini. Z pewnością musiała być poświęcona Isztar — czczonej przez Kartagińczyków pod imieniem Tanith — bogini Ziemi i Księżyca. Pomędzy wieżami i drzewami gaju ciągnęły długie szeregi biało odzianych kapłanów, idących oddać hołd bogini.

Wiedzieliśmy, że Fenicjanie składali swoim bóstwom w ofierze istoty ludzkie. W Starym Testamencie znajdują się opisy oddawania dzieci na pastwę Baala. Zadumaliśmy się nad okrucieństwem rytuałów dokonujących się nad spokojnym szmaragdowym basenem, gdzie ofiary, obwieszane złotem i kosztownościami, oczekiwały, aż najwyższy kapłan wzniesie ofiarny nóż.

— Gdyby ta woda nie była tak głęboka! — denerwowała się Sally. — Ben chciał sprowadzić nurków, ale nie mogliby pracować na takiej głębokości.

Na obszarze pomiędzy zewnętrznymi i wewnętrznymi murami świątyni, gdzie pokrywa popiołu zalegała grubsza Warstwa i gdzie odkrywaliśmy najwięcej złotych paciorków i bogatych ozdób, umiejscowiliśmy kwatery kapłanów i kapłanek. Wyobrażaliśmy je sobie jako gliniane domy, pokryte trzcina. Odtworzyliśmy ulice i pałace zamożniejszych mieszkańców.

— A co z królem i z jego pałacem? — dopytywał się Peter. — Czy władca mieszkał w obrębie głównych murów?

Podzieliliśmy więc cały teren na kwatery kapłanów i pałac królewski, i wykorzystując naszą wiedzę o Knossos, Kartaginie, Tyrze i Sydonie tchnęliśmy w obrazy trochę życia. Ral wskazał bramę w zewnętrznym murze, jedyne wejście skierowane ku zachodowi.

— Tu będzie droga wiodąca wprost do portu. — Sally naszkicowała jej przebieg.

— A tu powinien znajdować się plac targowy przy przystani — zaproponował Rai, wskazując punkt na mapie. — Gdzieś tutaj...

— Możecie sobie wyobrazić sterty kości słoniowej, miedzi i złota — westchnęła Leslie.

— I niewolników wystawionych na sprzedaż — dodała Heather.

— Hola! Hola! To miała być dyskusja naukowa — próbowałam pohamować wyobraźnię współpracowników.

— I statki. — Sally zaczęła szkicować zarysy. — Wielkie biremy z dziobami ukształtowanymi na podobieństwo baranich łbów, kryte złotem i emalią.

Wznosiły się kolejne ściany i wieże, jezioro wypełniło się skrzącymi wodami, nabrzeża i tawerny zaludniły się. Wojownicy kroczyli dumnie, niewolnicy lamentowali, wysoko urodzone damy noszono w lektykach, od wschodu ciągnęły karawany wiozące złoto i kosztowności, a biały król ze zdobioną tarczą na ramieniu i w zbroi maszerował przez wielkie kamienne wrota.

Wszystko to ożywiało naszą wyobraźnię. Nim Sally naniosła na papier wszelkie sugestie zespołu, minęły cztery tygodnie, a bezpośrednim rezultatem projektu było odkrycie stoczni przez Petera, któremu nie dawały spokoju statki na piasku.

Na pochylni leżał kil okrętu; również zasadnicze elementy konstrukcji kadłuba były na miejscu. Zwęglone części rozsypywały się nam w rękach. Tylko wyobraźnia i wiara mogły pomóc rozpoznać okręt w tych szczątkach. Wiedziałem, że autorytety naukowe odrzuciłyby naszą sugestię, ale zwęglone drewno badane metodą izotopową wskazało na rok trzechsetny, okres, który zdefiniowaliśmy jako „wielki pożar”.

Projekt dał mi okazję do częstego przebywania w towarzystwie Sally. Zacząłem zabierać do jaskini swój lunch i kąpielówki. Początkowo byliśmy skrepowani, ale wkrótce nasze stosunki ułożyły się na powrót na przyjacielskiej i nieco żartobliwej stopie. Tylko raz nawiązałem do naszej wcześniejszej zażyłości.

— Wciąż coś cię trapi, Sally? — spytałem. Zanim odpowiedziała, posłała mi długie, szczere spojrzenie.

— Proszę, daj mi jeszcze trochę czasu, Ben. Jest coś, z czym sama muszę sobie poradzić.

— Okay. — Uśmiechnąłem się tak pogodnie, jak tylko potrafiłem, przygotowując się na długie czekanie.

Czasami inni dołączali do nas w porze lunchu, gdy bowiem na zewnątrz panował upał, w grocie wciąż był chłód. Taplaliśmy się w wodzie i nawoływaliśmy, a nasze okrzyki powracały echem. Jedno z moich niezatartych wspomnień dotyczy Leslie, która biega rozczochrana wokół basenu w swoim różowym bikini ozdobionym falbankami, wyglądając niczym hipopotam w porze godów, ścigana przez niezmordowanego Rala.

Pięć tygodni po moim powrocie wkroczyłem do jaskini z dobrą nowiną.

— Właśnie odebrałem wiadomość od Larkina, Sal. Jutro przyjeżdża Louren.

Zaskoczyła mnie jej nerwowa reakcja, ponieważ byłem pewny, że przez wzgląd na mnie pokonała swoje uprzedzenia w stosunku do Lourena i polubiła go.

Kiedy wyszedłem na lądowisko, żeby powitać przyjaciela, byłem wstrząśnięty jego widokiem. Stracił na wadze ze dwadzieścia funtów, skóra przybrała szary odcień, a pod oczami miał ciemne plamy wyglądające jak siniaki.

— Ben! — Otoczył mnie ramieniem i serdecznie uściskał. — Dobrze cię znowu widzieć, stary. — Jego głos nie miał dawnej siły, a na skroniach dostrzegłem nowe siwe pasma.

— Mój Boże, Lo, wyglądasz okropnie.

— Dzięki. — Uśmiechnął się krzywo, wrzucając swoje rzeczy na tylne siedzenie land rovera.

— Mówię poważnie, Lo. Jesteś chory? — Byłem zmartwiony, oglądając go tak wynędzniałego.

— Miałem trudny okres — przyznał. — Cztery tygodnie negocjacji. Nie mogłem powierzyć tej sprawy nikomu. Druga strona przysyłała nowych ludzi, w miejsce zmęczonych, a ja ciągnąłem wszystko sam.

— Wykończysz się — zbeształem go jak gderająca żona. Lekko dotknął mojej ręki i roześmiał się.

— Jesteś nie do zniesienia, współniku.

— Czy warto było? Po co to wszystko?

— To wielka rzecz, Ben! Cholernie wielka! Miedź i żelazo, w Afryce Południowo—Wschodniej, w pobliżu rzeki Cunene, olbrzymie złoża! Rozłożyłem tych żółtych drani na stole i przypieklę im tyłki. Ich udziały pokryją budowę głębokowodnego portu i linii kolejowej wywożące urobek. To będzie ich kosztowało sto pięćdziesiąt milionów.

Był podniecony, a na blade policzki wróciły mu kolory.

— Oczywiście pracami konstrukcyjnymi zajmą się moi ludzie. — Przytknął palec do ust w konspiracyjnym geście i zachichotał.

Takim właśnie go lubiłem. Zaczął przedstawiać mi swój plan, śmiejąc się, a poklepywaniem mnie po ramieniu punktował każdy sukces.

— Co ci to da? — zapytałem nareszcie. Popatrzył na mnie trochę zbity z tropu.

— Chodzi ci o wymiar finansowy? — spytał.

— Oczywiście!

— Do diabła, Ben. Już ci to wyjaśniałem. To nie jest najważniejsze. Nie chodzi o pieniądze, ale o eksport i stworzenie nowych miejsc pracy, o zapewnienie nowych rezerw, o podwaliny dla przyszłości, o rozwój potencjału naszego kraju.

— To nie lada wyzwanie! — Znów się roześmiał.

— Jesteś cholernie przenikliwy, Ben. Przypuszczam, że w dużej mierze idzie właśnie o to: o samą grę, nie o wynik.

— Widziałeś Time'a z ostatniego tygodnia? — spytałem, choć wiedziałem, że poczuje się dotknięty.

— Och, na miłość boską, Ben! — zaprotestował.

— Twoje nazwisko widnieje na liście trzydziestu najbogatszych ludzi na świecie.

— Dranie — mruknął. — Dlaczego nie zajmą się własnymi sprawami i nie pozwolą mi dbać o swoje?

— Zabijasz się.

— Masz rację, czuję się wyczerpany. Dlatego robię sobie wolny tydzień. Cały tydzień wakacji.

— Świetny pomysł — zadrwiłem. — Wakacje w towarzystwie twoich młodych bystrzaków, przylatujących co pół godziny na konferencje. Resztę czasu spędzisz przy radiostacji.

— Zapomnij o tym. — Umiechnął się. — Wyjeżdżam stąd, a ty razem mną.

— Co masz na myśli? — zapytałem.

— Powiem ci później. — Uchylił się od odpowiedzi, ponieważ zbliżaliśmy się już do rozgałęzienia traktu. Zwolniłem i skręciłem w stronę chat.

— Jedź prosto, Ben — prosił Louren. — Chcę wejść do jaskini. Myślę o tym od tygodni. Kiedy negocjacje szły opornie, myślałem o ciszy i spokoju tego miejsca. Sprawia wrażenie... — Urwał i chrząknął zakłopotany. Louren rzadko mówił w ten sposób.

Sally pracowała przy tylnej ścianie pieczary. Miała na sobie zieloną jedwabną bluzkę i spodnie w stylu wojskowym. Rozpuściła lśniące włosy. Kiedy podniosła głowę, żeby powitać Lourena, z pewnym zaskoczeniem stwierdziłem, że po raz pierwszy od tygodni pomalowała usta.

Z miejsca spostrzegła marny wygląd Lourena i chociaż nie skomentowała tego, dostrzegłem troskę w jej oczach. Powitała go powściągliwie, niemal zdawkowo, po czym wróciła do sztalug.

Louren skierował się do portretu białego króla. Bezwiednie poszedłem za nim i usiedliśmy w przyjaznej ciszy, przyglądając się dziwnej postaci. Odezwał się pierwszy.

— Czy nie odnosisz wrażenia, Ben, że on usiłuje ci coś przekazać?

To było dziwne pytanie, ale odniosłem się do niego z respektem, gdyż zostało zadane z pełną powagą.

— Nie, Lo. Nie mogę powiedzieć, żebym coś takiego odczuwał.

— Tu coś jest, Ben — oświadczył z przekonaniem. — Coś, co przeoczyliśmy. Klucz do całej tajemnicy znajduje się w tej jaskini.

Sally usiadła obok i uważnie obserwowała twarz Lourena.

— To uczucie nigdy mnie nie opuszcza, Ben. Czy pamiętasz kopalnię w Opuszczonej Dolinie? Geologowie położyli na niej krzyżyk, ale ja miałem przecucie. Pamiętasz?

Kiwnąłem głową. Opuszczona Dolina dostarczała obecnie dwudziestu tysięcy karatów diamentów na miesiąc.

— Tu coś jest. Tego jestem pewny, tylko gdzie? — Odwrócił się i spojrzał na mnie, jak gdybym ja to coś ukrył. — Gdzie to jest, Ben? Na podłodze, w ścianach, pod sklepieniem?

— Może w basenie... — powiedziałem.  
— W porządku, zacznijmy od basenu — zgodził się.  
— Jest za głęboki, Lo. Żaden nurek...  
— Co wiesz o nurkowaniu? — zapytał.  
— Cóż, nurkowałem parę razy.  
— Och, na miłość boską, Ben! — przerwał niecierpliwie. — Gdybym miał się poddać operacji serca, zgłosiłbym się do Barnarda, a nie do miejscowego weterynarza. Kto jest najlepszym nurkiem na świecie?

— Cousteau, przypuszczam.  
— Dobrze. Wyślę po niego. To załatwi sprawę basenu. Teraz podłoga.  
Myśli Lourena przypominały huragan. W ciągu godziny naszkicował plan drobiazgowego zbadania jaskini, a w końcu zaproponował swobodnie:  
— Okay, Ben. Wracaj do obozu. Chciałbym posiedzieć tutaj sam.  
Niechętnie rezygnowałem z jego towarzystwa, ale posłusznie podniosłem się.  
— Idziesz, Sal? — spytałem.  
— W porządku — rzekł Louren. — Ona nie będzie mi przeszkadzała.  
Wyszedłem.

Chociaż pomieszczenia gościnne były od dawna przygotowane, udałem się z jednym ze służących, by doglądać rozpakowywania bagaży Lourena. Zauważyłem, że ktoś ustawił lilie w kuflu na piwo obok łóżka. Zamierzałem pogratulować Matabele, który pracował u nas jako kucharz, lokaj i zarządca, tego miłego gestu. Kwiaty łagodziły chłód wnętrza.

Po sprawdzeniu kwatery Lourena poszedłem do dużego bungalowu i upewniłem się, czy w lodówce jest lód i zimna woda. Później otworzyłem świeżą butelkę glen granta — obaj z Lourenem czuliśmy zamiłowanie do tego napitku. Kiedy zajmowałem się whisky, Ral i Leslie wrócili z wykopów. Usłyszałem, jak wchodzą do sąsiedniego pomieszczenia. Nie jestem nałogowym podsłuchiwcem, ale ścianki działowe były cienkie.

Ral warczał jak rozwścieczona bestia, a Leslie popiskiwała cicho.  
— Och, ty niedobry! — załkała bez tchu. — Ktoś nas kiedyś przyłapie.  
— Jak dotąd nikt mnie nie przyłapał! — oświadczył Ral. — Cii! — Leslie bezskutecznie usiłowała wymóc na nim milczenie.  
— Pięć tygodni! Myślałem, że już nigdy nie przyjedzie. Zaczynałem wariować.  
— Och, ty kawalarzu — wysapała namiętnie Leslie. — Ach, moja mała Toodles — stęknął Ral.

Zażenowany, cicho odstawiłem butelkę i wymknąłem się z pokoju. Byłem nieco zaskoczony, widząc, jak wpłynął na tę dwójkę przyjazd Lourena, ponieważ to z pewnością o nim wspomniał Ral. Zazdrościłem im, gdyż sam nie oczekiwałem podobnych wrażeń w najbliższej przyszłości.

Wszyscy mieliśmy już dość żywności z puszek. Louren przywiózł z sobą mnóstwo świeżych owoców, warzyw i mięsa. Tego wieczoru jedliśmy złotobrazowe prosię z chrupiącą skórką, pieczone ziemniaki, fasolkę i ogromne ilości świeżej sałaty. Konwersacja przy stole ograniczyła się do minimum.

Kiedy sprzątnięto nakrycia, Louren zapalił cygaro. Napełniłem kieliszki i usiedliśmy wokół niego. Opowiedziałem o odkryciu kamieniołomu i o naszych wnioskach. Sally zrekonstruowała miasto na rysunkach.

Spodziewałem się, że Lo będzie nieco zaskoczony, tak jak my byliśmy. Liczyłem się z tym, że może okazać sceptycyzm wobec naszych wniosków. On jednak wpadł w gorączkowe podniecenie. Zerwał się z krzesła, by obejrzyć ilustracje. Zasypywał nas wnikliwymi pytaniami, wpatrując się w szkice błyszczącymi oczyma. Jego blada i wyniszczona twarz przybrała wyraz niemal chorobliwego skupienia.

Sally zostawiła obraz białego króla na sam koniec pokazu. Kiedy umieściła go na tablicy, spostrzegłem, że Louren sztywnieje. Biały król był przedstawiony w pełnym uzbrojeniu, w hełmie i pancerzu z jasnego brązu. Na ramieniu dźwigał tarczę, a u pasa kołysał mu się krótki miecz. Czerwonozłota broda była starannie ufryzowana. Świta podążała za nim przez wrota w wysokim murze: jeden dźwigał topór, drugi łuk i kołczan pełen strzał, trzeci niósł złoty kielich wiecznego życia.

Sally właśnie temu szczególnemu obrazowi poświęciła najwięcej czasu i uwagi, i właśnie on wywarł na nas największe wrażenie. Patrzyliśmy nań w milczeniu aż do chwili, w której gwałtownie wychyliłem się do przodu, rozchlapując swą whisky. Nie zauważyłem tego wcześniej, ale teraz nagle zorientowałem się, kto był modelem Sally przy odtwarzaniu wizerunku białego króla. Odwróciłem się i spojrzałem na Lourena; ujrzałem to samo szerokie czoło, imponujące brwi ponad szeroko rozstawionymi, przenikliwymi jasnoblękitnymi oczami, ten sam prosty nos z delikatnie ukształtowanymi nozdrzami, wiernie oddaną dumną linię ust i lekko zmysłowe wydęcie dolnej wargi. Louren również wpatrywał się w portret.

— Niesłychane! Nie zdawałem sobie sprawy, co to oznacza, aż do dzisiejszego wieczoru. Dotąd były to po prostu zagadkowe kamienne bloki, kilka paciorków i kawałków złota. Nigdy tak naprawdę nie pomyślałem o ludziach. To bardzo ważne, Ben! Ci ludzie, którzy podróżowali na krańce świata i zbudowali coś tak cudownego na tym pustkowiu... — Przerwał i wolno pokręcił głową, wreszcie odwrócił się do mnie. — Ben, musimy dowiedzieć się, co się stało z nimi i ich miastem. Nie dbam o to, jak długo to potrwa, jak wiele będzie kosztowało. Muszę to wiedzieć.

Wyrzucił niedopałek cygara, podniósł się z fotela i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

— Zbliża się czas ogłoszenia komunikatu o naszych odkryciach. Zorganizuję konferencję prasową. Chcę, żebyście wszyscy wzięli w niej udział. Świat musi się dowiedzieć o mieszkańcach tego miasta.

Z trudem wyjąkałem:

— Ależ, Lo, nie możemy tego zrobić. Nie teraz, jeszcze nie, proszę cię.

— Dlaczego nie? — Spojrzał na mnie wyzywająco.

— Nie zebraliśmy jeszcze przekonujących dowodów. — zrobiło mi się zimno ze strachu, kiedy pomyślałem, co powiedzieliby moi krytycy, gdybym pojawił się z tak żalosną argumentacją. Zostałbym powieszony i poćwiartowany. — Oskalpują nas, Lo. Rozedrą na strzępy.

— Pokażemy im to! — Wskazał na szkice.

— Boże! — Zatrząsałem się na samą myśl o tym. — To tylko domysły, fantazje. Jedyne elementy rysunku, jaki jesteśmy w stanie udowodnić, to kielich.

Nieoczekiwanie Lo roześmiał się z miną winowajcy i klepnął się w czoło.

— Hej! — śmiał się. — Chyba jestem przemęczony. Przez chwilę te obrazki wydały mi się rzeczywistością. — Znów podszedł do szkiców i oglądał je z zainteresowaniem. — Muszę się dowiedzieć, Ben — powtórzył. — Po prostu muszę.

\* \* \*

Następnego dnia, gdy jedliśmy lunch nad basenem, Louren powiedział mi wreszcie, dokąd się udamy. Węgielkiem Sally naszkicował plan na płaskiej powierzchni skały.

— Jesteśmy tutaj. Sześćdziesiąt pięć mil na północny wschód znajdują się ruiny Domboshaba. Jeśli twoja teoria jest słuszna, to tędy przebiegała trasa starodawnych karawan łącząca oba miasta. Weźmiemy land rovera i pojedziemy na przelaj, starając się odnaleźć stary szlak.



— To dziki kraj — mruknąłem bez entuzjazmu. — W ogóle nie zbadany. Nie ma tam żadnych dróg ani wody.

— I żadnych młodych bystrzaków — uśmiechnął się Louren.

— To przesądza sprawę. — Przypomniałem sobie, że ma to być raczej relaks, a nie naukowa ekspedycja. — Kiedy wyruszamy?

— Jutro rano, o brzasku.

Kiedy się obudziłem, było jeszcze ciemno, a zegar koło łóżka wskazywał czwartą trzydzieści. Było za późno, żeby próbować znów zasnąć, i za wcześnie, by wstać. Roztrząsałem właśnie ten problem, kiedy drzwi chaty uchyliły się cicho, a kiedy już gotowałem się do odparcia ataku włamywaczy, na tle framugi pojawiła się sylwetka kudłatego Rala—

Wystraszył mnie, więc musiałem na niego krzyknąć.

— Co ty wyprawiasz?!

Mój strach był niczym w porównaniu z reakcją Rala—Wydając okrzyk zgrozy, podskoczył wymachując ramionami jak żuraw skrzydłami w tańcu godowym. Trwało chwilę, nim doszedł do siebie na tyle, by dowlec się do łóżka i odpowiedzieć drżącym głosem:

— Byłem w toalecie.

Wstałem, ubrałem się i wyszedłem na zewnątrz, by sprawdzić land rovera.

Dopiero po całym dniu jazdy zdołaliśmy z Lourenem odnaleźć wśród Wzgórz Krwi drogę, po której mógł swobodnie poruszać się samochód. Podążyliśmy na północ wzdłuż linii urwiska aż do miejsca, w którym skalne ściany zaczęły przechodzić w ciąg łagodnych pagórków o stokach pociętych żlebami; skierowaliśmy się w górę jednego z nich. To była trudna wspinaczka, która wymagałaby znacznie mocniejszego pojazdu niż nasz, gdyby szlak na szczycie nie wiódł przez otwartą sawannę pośród z rzadka rozrzuconych akacji. Tu tempo jazdy wzrosło; skręciliśmy na południe, szukając szlaku, który Louren z ufnością wykreślił na swojej dużej mapie.

Tej nocy zatrzymaliśmy się na szlaku, a przynajmniej tam, gdzie spodziewaliśmy się, że przebiega. Z niewielką ilością gazu i wody, jaką mogliśmy z sobą zabrać, trudno było marzyć o luksusach obozowego życia. Poza tym wyprawa była pomyślana jako ucieczka od uciążliwości cywilizacji; nostalgiczny powrót do ekspedycji organizowanych razem w młodości.

Upiekliśmy nad ogniskiem parę cietrzewi, piliśmy glen granta i wodę z emaliowanych kubków. Potem, wydrapawszy w twardej ziemi zagłębienia na biodra i ramiona, owinięci w śpiwory, ułożyliśmy się obok land rovera i gaworzyliśmy sennie z ukontentowaniem, aż po godzinie zapadliśmy w sen.

O świcie Louren energicznie rozmasowywał sobie plecy, usuwając sztywność mięśni.

— Właśnie sobie przypomniałem, że nie mam już dwudziestu lat — narzekał.

Z każdym dniem wyglądał lepiej. Słońce znów ozłociło Jego skórę, sińce pod oczami zniknęły i coraz częściej słyszałem jego śmiech.

Posuwaliśmy się powoli. Często musieliśmy wracać po własnych śladach, kiedy okazywało się, że pocięta rozpadlinami ziemia jest nieprzejezdna. Nie musieliśmy się zresztą spieszyć. Mogliśmy cieszyć się każdą przebytą milą. Kluczyliśmy ku północy i wschodowi przez kraj, który zmieniał charakter w sposób właściwy tylko Afryce.

Każda godzina podróży na wschód przynosiła coraz liczniejsze ślady ptactwa i zwierzyny. Pustynne ptaki ustąpiły miejsca perliczkom, pardwom i ogromnym żurawiom. Gdziekolwiek przemykały pomiędzy drzewami srebrnoszare kudu z długimi korkociągowatymi rogami.

— Gdzieś blisko jest woda — orzekł Louren, kiedy zatrzymaliśmy się na skraju

rozległej polany i obserwowaliśmy stadko znikających antylop. Były to okazałe sztuki. Ich dumnie uniesione głowy zdobiły zakrzywione szable rogów, a śnieżnobiała sierść piersi kontrastowała z resztą ciała.

— Kolejny gatunek zagrożony zachłannością ludzi — powiedziałem ze smutkiem.

— I wiesz co? Nie ma nawet jednego przedstawiciela homo sapiens choćby w połowie tak pięknego jak one — dodał Louren, włączając nagranie Raquel Welch.

Tej nocy obozowaliśmy w gaju drzew masasa przybranych w dziwaczne wiosenne listowie, którego kolorytu nie można porównać z żadnym innym na ziemi — róż, miękki lśniący beż i płomienna czerwień. Louren zastrzelił młodego samca impala i zawiąawszy filety w boczek, upiekł je w ciężkim żelaznym garnku, podczas gdy ja przyrządziłem sos z cebuli, pomidorów i dużej ilości czosnku. Zjedliśmy danie z grubymi pajdami ciemnego chleba. Smakowało nam jak chyba nic dotąd.

— Jeżeli kiedyś będziesz szukał pracy, Lo, mogę cię przyjąć na kucharza — powiedziałem z pełnymi ustami.

Uśmiechnął się i podszedł do land rovera włączyć radio.

— Jaka była umowa? — zapytałem.

— Tylko wiadomości... — Potrafił czasem przybierać zawstydzony wyraz twarzy.

— Nie możemy całkiem stracić kontaktu ze światem.

Słuchaliśmy więc o problemach, z jakimi borykał się pogrążający się w szaleństwie świat. W tym odległym i spokojnym miejscu kłopoty ludzkości wydawały się jednak nieistotne.

— Wyłącz to, Lo — prosiłem. — Komu to potrzebne? Sięgnął do wyłącznika, ale cofnął dłoń, kiedy spiker wymienił znajome nazwisko.

„Lusaka donosi, że przywódcą bandy terrorystycznej, która w dniu wczorajszym zastawiła pułapkę na oddział policji w rodezyjskiej prowincji Wankie, zabijając czterech ludzi i raniąc dwóch, jest samozwańczy pułkownik Timothy Mageba, który przed dwoma miesiącami trafił do nagłówków gazet po uprowadzeniu samolotu. Rzecznik prasowy policji rodezyjskiej oświadczył, że Mageba jest jednym z najniebezpieczniejszych terrorystów w Afryce. Za informacje, które mogą przyczynić się do jego schwytania lub śmierci, wyznaczono nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów”.

Nagłym gestem Lo wyłączył odbiornik i wrócił do ogniska. Zanim się odezwał, wypił łyk whisky.

— Działazaledwie sto mil na północ stąd. Oddałbym wszystko za szansę schwytania go.

Informacje o Timothyem poruszyły mnie głęboko. Tej nocy długo leżałem bezsenne z rękami pod głową, zapatrzony w rozgwieżdżoną wspaniałość nieba. Zanim zapadłem w niespokojny sen, Wenus skryła się za horyzontem.

Poranne słońce rozświetliło wierzchołki wzgórz, rozpędzając moje mroczne myśli. Podjęliśmy dalszą wędrówkę ku wschodowi, rozmawiając pogodnie. Dojrzeliliśmy kołujące sępy, małe punkciki zataczające szerokie kręgi na intensywnie niebieskim niebie. Śledzenie lotu tych pustynnych katów Jest jedną z najbardziej intrygujących atrakcji afrykańskich. Zawsze prowadzą do miejsca jakiegoś dramatycznego incydentu, typowego dla tego pustkowia.

Louren spoglądał przez przednią szybę, obserwując krążącego drapieznika. Dzieliłem jego ciekawość. Do diabła ze zrujnowanymi miastami i zaginionymi cywilizacjami! Tu panowało twarde prawo kłów i pazurów!

Ćwierć mili przed nami dostrzegliśmy zgarbione ptasie kształty, przycupnięte na wierzchołkach drzew i wyglądające jak jakieś niesamowite owoce.

— Coś trzyma je z dala od ziemi... — Louren był uradowany.

Zatrzymał land rovera i przekręcił kluczyk w stacyjce. Wyszliśmy, a on

sprawdził swój karabin i wymienił pociski na inne, zakończone miękkimi noskami, które zapewniały mocniejsze uderzenie podczas trafienia.

— Podejźmy je — powiedział i zatrzasnął zamek magnum. — Zabierz dubeltówkę i załaduj ołowianymi pociskami. Jeśli lew jest daleko, to nie mamy powodu do obaw. Jeśli zaś blisko, wołę broń, z której nie pudłuję.

Ruszył przez wysoką do pasa trawę, a ja podążyłem jego śladem, trzymając się nieco z boku, by mieć wolne pole strzału. Poruszaliśmy się ostrożnie, usiłując odnaleźć punkt, nad którym skupiały się sępy, gdyż widzieliśmy je na obszarze przekraczającym pół mili.

Z każdym krokiem narastało w nas napięcie. Louren sygnalizował mi każdą zmianę kierunku marszu; uważnie rozglądając się przemierzaliśmy teren wzdłuż. Z otaczających drzew podrywały się ptaki, których niezdarne w spoczynku sylwetki nabierały wdzięku w pięknym locie.

Czułem podniecenie i lęk. Zauważyłem pot na koszuli Lourena. Każdy jego ruch znamionował powstrzymaną energię, gotową lada chwila eksplodować. Uwielbiałem tę część łowów, gdyż w każdym z nas tkwi atawistyczny pociąg do polowania, ale część następna, czyli zabijanie, była dla mnie odpychająca.

Louren zastygł z karabinem przy piersi. Wpatrywał się przed siebie, a ja skuliłem się w oczekiwaniu strzałów, które zaraz miały paść.

Cicho zbliżyłem się do Lourena. Przed nami rozpościerał się obszar zdeptanej trawy, a w samym jego środku spoczywało cielsko martwego bawołu, którego brzuch był wzdęty od gazów, a wokół martwych oczu i otwartego pyska roiło się od lśniących much. Nie widziałem śladów pazurów na jego grubej skórze; czarna sierść usiana była łysinami i licznymi strupami.

Spojrzałem na ziemię, chcąc uniknąć nadeptnięcia na jakąś gałązkę, i zobaczyłem drobne, jakby dziecięce ślady stóp.

Poczułem, że jeż mi się włosy na głowie; weszliśmy w coś cholernie niebezpiecznego, znacznie bardziej niż legowisko lwów. Obejrzałem uważnie martwego bawołu i dopiero wtedy spostrzegłem tkwiącą w jego karku giętką trzciniową strzałę.

— Lo! — zaskrzeczałem ochryple. — Zwiewajmy stąd, to łup Buszmenów.

Louren wykonał gwałtowny obrót i utkwiał we mnie wzrok.

— Skąd wiesz?

— Ślady stóp pod twoimi nogami i strzała w karku bawołu.

To go przekonało.

— To twoja działka, Ben. Co robimy? — Pocił się tak samo mocno jak ja.

— Powoli! Powoli! — powiedziałem. — Nie odwracaj się i nie wykonuj gwałtownych ruchów. Obserwuj nas.

Zaczęliśmy się wycofywać, kurczowo ściskając broń w spotniałych dłoniach, rzucając niespokojne spojrzenia na boki.

— Przemów do nich, na miłość boską! — szepnął Lo. Zastanowiłem się nad myślą, że groźba trucizny zdolna jest wpędzić w panikę nawet kogoś takiego jak on.

— Nie chcę ryzykować. Wszystko może ich podrażnić.

— A jeśli są za nami? — Jego głos drżał, a ja poczułem, że bezwiednie kulę łopatki, oczekując świstu strzały. Każdy krok do tyłu napawał mnie większą otuchą i wreszcie, pięćdziesiąt jardów od zdobyczy, zaryzykowałem nawiązanie kontaktu z niewidzialnym nieprzyjacielem.

— Pokój! — zawołałem. — Nie mamy złych zamiarów. Odpowiedź nadeszła natychmiast, jakaś ptasia i bezcielesna, wprost z rozpalonego powietrza.

— Powiedz wielkiemu białogłowemu, żeby odłożył broń. Nie znamy go.

— Xhai! — zawołałem z ulgą i radością. — Mój bracie!

\* \* \*

Jego oko było jasne jak żółty księżyc, Jego kopyta krzesaly iskry z żelaznych wzgórz. Razem śpiewaliśmy pieśń bawołu, wszyscy mężczyźni siedzący wokół strzelających płomieni ogniska, wystukując dłońmi skomplikowany rytm. Kobiety tańczyły wokół nas, kołysząc się i przebierając nogami, naśladując bawołu i dzielnego myśliwego. Blask ognia lśnił na ich złotożółtych skórach i drobnych dziecinnych ciałach z obfitymi pośladkami i małymi piersiami podrygującymi w rytm kroków. Strzała jak ptak wyleciała z mojej ręki, Szybka jak pszczoła i spadający jastrząb. Gałęzie drzew wokół nas były ciężkie od girland surowego mięsa, zawieszonych do ususzenia, a szakale i hieny wyciem oznajmiały swą frustrację jasnemu niebu, dręczone dobiegającymi je woniami.

Płynąca krew była jasna jak kwiat I słodkie jak miód było mięso jego. Nareszcie skończyły się tańce i kobiety, chichocząc i podśpiewując, zbliżyły się do ognia, by napychać mięsem niewielkie krągłe brzuchy. Wysocy ludzie wzbudzają respekt Buszmenów, a Louren wydawał się im gigantem. Kobiety rozprawiły na jego temat otwarcie, badawczo mierząc go wzrokiem od złocistej grzywy w dół, wzbudzając tym moją wesołość.

— Co cię tak śmieszy? — zapytał Louren. Powiedziałem mu.

— Mój Boże, nie mogły tego powiedzieć... — Louren był skrepowany i patrzył ze zdumieniem na kobiety, które chichotały, zasłaniając usta.

Usiadłem pomiędzy Lourenem i Xhai — jeden z nich palił, a drugi żuł cygaro — służąc im jako tłumacz. Ponieważ obaj byli miłośnikami łowów, tematem rozmowy stała się zwierzyna i ptactwo.

— Mój dziadek opowiadał, że kiedy był młody, bawoły roiły się na ziemiach wokół wielkiej rzeki jak szarańcza, dopóki nie nadeszła czerwona choroba.

— Mór — wyjaśniłem Lourenowi.

— Umierały masowo i padały jedne na drugie. Sępy nie mogły unieść się z ziemi, bo tak były ciężkie od nadmiaru pokarmu. Kości padłych zwierząt białały w słońcu jak pola stokrotek.

Rozmawiali dalej, a kobiety i dzieci zasnęły, zwijając się na ziemi niczym żółte szczenięta. Ci dwaj mówili o wspaniałych zwierzętach i wielkich polowaniach, aż poczuli do siebie taką sympatię, że Xhai szepnął do mnie nieśmiało:

— Chciałbym zapolować razem z nim. Mógłbym pokazać mu słońca, takiego jak te, które znał dziadek, o kłach grubych jak ja i długich jak drzewce włócznie.

I skończy się udawanie, że poszukujemy ruin i szlaków karawan — pomyślałem, obserwując rozjaśnioną twarz Lourena.

— Ale — dodałem — Xhai mówi, że musimy zostawić samochód tutaj. Dziś usłyszał, jak się zbliżamy, pół godziny przed naszym przybyciem. Powiada też, że słoń jest stary i chytry, co oznacza, że musimy się trochę przespać. Mamy przed sobą cholerny dzień.

Kiedy weszło słońce, byliśmy już w drodze. Rosa przemoczyła nam spodnie aż po kolana, ale szybki marsz skutecznie rozgrzewał stawy. Mocno wyciągaliśmy nogi, by nie stracić z oczu dwóch drobnych postaci. Xhai i Ghal przeszli w swobodny trucht, który pozwalał im na przemierzanie wielu mil dziennie; ich drobne sylwetki majaczyły daleko Przed nami, za zasłoną coraz gęstszych cierni i zarośli.

— Jak leci, Ben? Te małe szelmy dobrze wyciągają nogi.

— Bracie, to dopiero początek — ostrzegłem go.

Buszmeni powiedli nas przez trudny, nierówny teren, gdzie z ziemi wystawały ostre krawędzie skalnych odłamów, ciernie były szare, zwarte i splecione, a głębokie

parowy rozdierały zniecałka skalny płaskowyż. Oślepiający żar wysysał z ciał wilgoć, pozostawiając na koszulach kręgi potu. To był właśnie rodzaj pustkowia, jakie sprytny słoń, ścigany przez ludzi, mógłby wybrać na miejsce odosobnienia.

W południe odpoczęliśmy przez pół godziny, szukając cienia pod osłoną głazów, które parzyły przy dotyku. Wypiliśmy po kilka łyków ciepłej wody i ruszyliśmy dalej, niemal natychmiast natrafiając na trop zwierza.

— Tam i tam. — Końcem zatrutej strzały Xhai pokazał nagle ślady nóg słonia na twardej jak żelazo ziemi. — Nie widzicie? — zapytał z rozdrażnieniem.

Chociaż krążyliśmy dookoła, pochylając z uwagą głowy, żaden z nas nie mógł ich dostrzec.

— Jeżeli to są ślady słonia — mruknął Louren — to ja jestem chiński druciarz.

Ale pewny siebie Xhai wskazał już nowy szlak i podjęliśmy marsz przez płaskowyż. W pobliżu szczytu leżało słoniowe łajno, wciąż wilgotne pomimo strasznego upału, a nad nim unosiły się żółte i pomarańczowe motyle, zwabione wonią odchodów.

— Baldzo psykło — szepnąłem do Lourena. — Ja naplawiać galnek, plędko plędko.

— Ten człowiek jest jakimś cholernym magikiem. — Kręcąc z podziwem głową, Louren zdjął z ramienia ciężki karabin i wetknął go pod ramię.

Szliśmy dalej, ale teraz już ostrożniej, zatrzymując się często, kiedy Xhai i Ghal przetrząsali nieprzenikniony gąszcz. W tym zwartym buszu było to zajęcie denerwujące. Ostrożnie stawialiśmy kroki, uważając na sygnały Buszmenów, postępując do przodu przynaglani gestem lub zamierając, gdy dłoń któregoś z nich nieruchomiała.

— Chodźcie! — Xhai dał znak ręką i ruszyliśmy do przodu, a wówczas nagle: — Stop! — Sygnał dłoni był, krótki i szybki jak błysk miecza. Potem stary wyciągnął zaciśniętą pięść, gdyż wskazywanie zwierzyny palcem przynosi pecha.

Zamarliśmy w bezruchu, zwracając spocone twarze w stronę cierni. Szare cielsko zamajaczyło niczym duch oddalający się od nas niespieszonym, rozkołysanym krokiem, pomarszczona skóra zwierza zwisała mu pod brzuchem i między tylnymi nogami na podobieństwo worków, a na grzbiecie wyraźnie rysowały się kości kręgosłupa. To był wielki, stary słoń.

— Zostańcie tutaj! — Xhai wskazał Ghala i mnie. — Chodź ze mną! — powiedział do Lourena.

Poszli dalej razem, zachodząc słonia z boku. Mały Buszmen i wielki Louren przedzierali się przez busz, szukając pozycji do oddania czystego strzału w głowę lub w łopatkę.

Słoń zatrzymał się przy kępie zarośli i zaczął jeść, delikatnie oskubując jasnozielone pędy końcem trąby i wpychając je sobie do pyska, nieświadomy zagrożenia. Louren dotarł już do stanowiska strzeleckiego i stanął tam z rozstawionymi nogami, lekko pochylony, gotując się do przyjęcia odrzutu ciężkiej broni.

Głosny strzał rozdarł ciszę. Usłyszałem odgłos kuli uderzającej w szare cielsko. Słoń zachwiał się, odwrócił przodem, wysoko uniósł poźółkłe kły i tuląc ogromne uszy, zaryczał. Był to objaw gniewu, jakby długo tłąca się nienawiść eksplodowała nagle.

Zakołysał się i zniknął w cierniowym gąszczu. Zobaczyłem, że Louren zawraca i pędzi w poszukiwaniu odpowiedniego pola strzału. Trafił na otwór wyryty przez mrówkojada. Potknął się w pełnym biegu i upadł. Karabin wypadł mu z dłoni, a on sam zamarł ze zgrozy na widok atakującego słonia.

— Louren! — wrzasnąłem, rzucając się w jego kierunku, zbrojony jedynie w

dubeltówkę. — Tutaj! — wrzeszczałem biegnąc. — Tutaj! — Staralem się odciągnąć bestię od Lourena. Kątem oka dostrzegłem przyjaciela pełzającego w kierunku karabinu.

— Heja! Heja! — wrzeszczałem, ile sił w płucach i wielki samiec powstrzymał szarżę na Lo, zwrócił głowę w moją stronę, wężąc czujnie.

Podrzuciłem dubeltówkę i z odległości trzydziestu jardów wycelowałem w te jego małe oczka, chcąc go oślepić.

Wypaliłem z obu luf, a on nagle ruszył w moją stronę. Poczułem wielką ulgę. Odciągnąłem go od Lourena! I tylko to się liczyło. Niezdarnie sięgnąłem po nowe ładunki, wiedząc, że nim zdążę załadować, słoń będzie już przy mnie.

— Uciekaj, Ben! Uciekaj! — Głos Lourena wzniósł się ponad głuchy tętent słonia. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Stałem na drodze szarży starego samca, bezradnie gmerając w kieszeni w poszukiwaniu nabojów, i tak bezużytecznych wobec szarej góry mięsa.

Huk karabinu Lourena otrzeźwił mój oślepiały umysł. Szara góra runęła martwa, gdy mózg jej został przesyty ciężkim pociskiem.

Nogi mi wrosły w ziemię, nie mogłem wykonać żadnego ruchu, nie potrafiłem się uchylić, gdy trąba padającego zwierza uderzyła we mnie z ogromną siłą. Poczułem, że wzlatuję w powietrze, po czym nastąpiło brutalne uderzenie o ziemię i zapadłem w ciemność.

— Och, ty niemądry, dzielny draniu! — Usłyszałem głos Lourena gdzieś z końca długiego, mrocznego tunelu. Echo tych słów odbijało się w mojej głowie. Otworzyłem oczy. Louren siedział na ziemi i trzymając moją głowę na kolanach, spryskiwał ją wodą z butelki.

— Kogo nazywasz draniem? — zachrypiałem. Uczucie ulgi malujące się na jego strapionym obliczu było wspaniałym widokiem.

Leżałem obolały, posiniaczony na ramionach i plecach, a guz na skroni powodował ból przy najlżejszym dotyku.

— Czy możesz chodzić? — zaniepokoił się Louren.

— Spróbuję. — Nie było to nawet bolesne. Odnalazłem w sobie chęć sfotografowania wielkiej martwej bestii, kłęczącej w pozycji modlitewnej, z łbem wspartym na zakrzywionych żółtych kłach. Louren i Buszmen usiedli na głowie słonia.

— Rozbijemy obóz przy Skalnej Wodzie — oznajmił Khai. — Jutro tu wrócę i wytnę mu kły.

— Jak to daleko? — spytałem.

— Blisko! — zapewnił mnie Khai. — Bardzo blisko! Rzuciłem mu groźne spojrzenie. Słyszałem już, jak używał tych samych słów, mówiąc o pięćdziesięciomilowym marszu.

— Niech tak będzie naprawdę — rzuciłem po angielsku.

Ku mojemu zaskoczeniu miejsce wyznaczone na obozowisko leżało rzeczywiście niedaleko. Nie spodziewałem się również wielu innych rzeczy.

Przekroczyliśmy grań, którą przebyłem kuśtykając uwieszony na ramieniu Lourena, i wyszliśmy na szeroką granitową płytę o kształcie kopuły. Spojrzałem tylko raz na rzędy płytkich okrągłych otworów pokrywających skalną powierzchnię i wydałem okrzyk radości. Nagle nie potrzebowałem już pomocy Lourena i razem zbiegliśmy na kamienne podłoże, rechocząc radośnie i oglądając zagłębienia.

— To musiało być wielkie, Ben! — tryumfował Louren, próbując odgadnąć liczbę otworów. — Tysiąc?

— Więcej! — odparłem. — Około dwóch tysięcy.

Wyobraziłem sobie długie, regularne rzędy nagich niewolników kłęczących na

skalistym podłożu, każdy przy jednym z zagłębień, przykuty do sąsiadów żelaznym łańcuchem, każdy z tłuczkiem rozkruszającym złotonośną rudę w kamiennych żarnach przytrzymywanych kolanami.

Oczami wyobraźni ujrzałem też nadzorców przechadzających się wzdłuż rzędów z rzemiennymi batami w dłoniach, doglądających rozdrabniania skały na proszek. Ujrzałem nieskończone kolumny niewolników wracających z wyrobisk z koszami wypełnionymi rudą na głowach. Tak tu Musiało być przed dwoma tysiącami lat.

— Zastanawiam się, gdzie znajduje się kopalnia. — Myśli Lourena były zbieżne z moimi.

— A woda? — uzupełniłem. — Potrzebowali wody do wypłukiwania złota.

— Do diabła z wodą! — krzyknął Louren. — Oto kopalnia, której szukałem. Oni wydobyli trochę i zatrzymali się na poziomie wody; gdzieś tutaj musi być prawdziwy skarbiec.

Należy oddać cześć umiejętnościom pradawnych metalurgów, ponieważ niemal wszystkie współczesne kopalnie w Afryce Środkowej znajdują się w miejscach eksploatowanych już przed dwoma tysiącami lat. Współcześni górnicy zatarli wszelkie ślady starożytnych wyrobisk, gnani żądzą odsłonięcia porzuconych żył, przez co zniszczono wszystkie te starożytne obiekty. Złożyłem sobie przyrzeczenie, że w tej będę pierwszy, nim dopadną ją wandalowie ze swoimi wiertłami i dynamitem.

Wodę znaleźliśmy na dnie głębokiej starożytnej studni, zgrabnie wykutej w skale i stanowiącej najświetniejszy przykład studni, jaki dotąd napotkałem. Najwyraźniej Buszmeni dbali o jej utrzymanie; gdy ją uważnie oglądałem, Xhai wy dostał z za sterty głazów prymitywnie splecioną linę i skórzane wiadro. Wyciągnął je napełnione po brzeg czystą wodą, na której powierzchni unosiło się kilka martwych żab i pustynnych szcurków. Stanowczo domagałem się, by każda kropla płynu została przegotowana.

Louren poświęcił trochę czasu na podziwianie studni, zanim oddalił się w kierunku wąskiego jaru biegnącego pomiędzy dwoma granitowymi grzbietami. Obserwowałem go, gdy zniknął wśród drzew, wypatrując czegoś pilnie, a w dwadzieścia minut później dobiegły mnie jego nawoływania.

— Ben! Chodź tutaj! Szybko!

Poderwałem się z krawędzi studni i z lekkim utykaniem podążyłem do wąwozu.

— To tutaj, Ben. — Louren nie mógł powstrzymać objawów entuzjazmu. Jeszcze raz uderzyła mnie siła, z jaką złoto ożywiało umysł, napełniając błyskiem pożądania oczy ludzkie. Nie zaliczam się do materialistów, ale nadzieja na ujrzanie złotonośnych złóż przyspieszyła mi oddech, kiedy stanąłem u boku Lourena i spojrzałem na dawną kopalnię w postaci wąskiego zagłębienia. Rów, położony trzy czy cztery stopy poniżej powierzchni ziemi, o łagodnie zaokrąglonych brzegach, wił się między drzewami jak ścieżka.

— Otwarty szyb — powiedział Louren. — Podążali wzdłuż złoża, a potem je zasypywali. — Osobliwym zwyczajem starożytni zasypywali bowiem swoje wyrobiska, zanim przenieśli się na nowy teren.

— Pójdźmy wzdłuż tego rowu — zaproponował Lo. Szliśmy przez las wzdłuż starej sztolni, aż dotarliśmy do miejsca, w którym nikła.

— Gdybyśmy tylko mogli odszukać chociaż jedno z wyrobisk! — mruknął Louren, kiedy przetrząsaliśmy wybujałą roślinność w poszukiwaniu kamieni. — Albo chociaż kawałek rudy.

Rozbolały mnie plecy, więc usiadłem na zwałonym pniu, żeby odetchnąć. Louren odszedł, klucząc wśród drzew, a ja mogłem wreszcie przenieść się myślami do dawno minionych lat, co zdarza mi się zawsze w podobnych okolicznościach.

Lustro wody znajdowało się na głębokości pięćdziesięciu stóp, z czego wywnioskowałem, że do tego poziomu sięgały wyrobiska. Starożytni nie mieli pomp

ani też innego sprzętu służącego opróżnianiu szybów, więc kiedy woda zaczynała je zalewać, zasypywali je ziemią i odchodzili szukać nowych złóż.

Ta kopalnia miała postać otwartego wykopu, długiego na półtorej mili. Wyrąbano go żelaznymi oskardami, wzmocniono takimiż klinami wbijanymi w skałę. Kiedy skała stawiała się zbyt twarda, niewolnicy rozniecali na niej wielkie ogniska, a potem polewali rozgrzaną powierzchnię mieszaniną wody i cierpkiego wina. Tej samej metody użył Hannibal, usuwając głązy zagradzające jego słońiom przejście przez Alpy. Kartagińska sztuczka — można powiedzieć. Z powierzchni złoża ówcześni górnicy odłupywali grudy złotego kwarcu i umieszczali je w wiadrach, wyciąganych za pomocą rzemiennych lin na powierzchnię.

Stosując tę metodę, wydobyli około siedmiuset ton czystego złota z wyrobisk rozciągających się na obszarze trzystu tysięcy mil kwadratowych w Afryce Środkowej i Południowej, razem z ogromnymi ilościami żelaza, miedzi i cyny.

To stanowi dwadzieścia dwa miliony uncji złota. Pomnożone przez czterdzieści dolarów za uncję daje osiemset osiemdziesiąt milionów dolarów — policzyłem. Nie byle co!

Louren wynurzył się spomiędzy drzew.

— Znalazłem odłamek złoża. — Podał mi skalną bryłę. — Co o tym myślisz?

Potarłem poślinionym palcem powierzchnię bryły i obróciłem ją w stronę słońca.

— Hej! — Zachłysnąłem się, kiedy szczere złoto zaiskrzyło się w drobnych szczelinach kwarcu.

— Masz rację — zgodził się Louren. — Niezły materiał. Przyślę tu paru chłopców, żeby przeczesali teren.

— Lo, nie zapominaj o mnie. Nachmurzył się.

— Dostaniesz swój udział, Ben. Czy kiedykolwiek próbowałem...

— Nie wygłupiaj się, Lo. Nie o to mi chodzi. Po prostu nie chcę, żeby sfera geologów rozkopała teren, zanim będę miał okazję mu się przyjrzeć.

— Okay. Obiecuję! — Roześmiał się. — Będziesz tutaj, gdy otworzymy wyrobiska. — Podrzucił w dłoni bryłę kwarcu. — Wracajmy, chcę to zważyć i oszacować wartość.

Używając jednego z kamiennych moździerz i bryły żelaznej rudy jako tłuczka, Louren rozkruszył kawałek kwarcu na biały proszek. Zebrał go do garnka i wodą ze studni wyflukał sproszkowany kamień. Kolistymi ruchami poruszał naczyniem, za każdym obrotem wylewając odrobinę wody. Zabrało mu to piętnaście minut, po czym ujrzeliśmy na dnie naczynia złote pasma, lśniące wilgotną żółcią.

— Śliczne! — zachwyciłem się.

— Nie może być śliczniej! — Uśmiechnął się. — To złożo daje pięć uncji kruszcu na tonę rudy.

— Skąpiec z ciebie — drażniłem się z nim.

— Pomyśl, Ben. Zyski z tego złoża wystarczą prawdopodobnie na utrzymanie twojego instytutu przez następne dwadzieścia lat. Nie krzyw się, współniku, pieniądze nie muszą być równoznaczne ze złem, jeśli korzysta się z nich w rozsądny sposób.

— Nie będę się krzywił — przyrzekłem.

Tej nocy obozowaliśmy w pobliżu studni, jedząc gotowany język słońia z ziemniakami i podtrzymując płomień ogniska.

Rankiem wycieliśmy słońiowi kły. Ukryliśmy je pod wielką stertą kamieni i zaraz po południu rozpoczęliśmy powrót do land rovera.

Noc zaskoczyła nas w buszu, ale następnego ranka dotarliśmy do samochodu. Nogi miałem pokryte pęcherzami, a guzy i siniaki przypomniały mi o katusze. Z ulgą opadłem na tylne siedzenie pojazdu.

— Nigdy dotąd tak naprawdę nie doceniałem wagi odkrycia silnika spalinowego



— oświadczyłem ponuro. — Możesz odwiedzić mnie do domu, Lo.

Pozostawiając Xhai i jego mały szczep, przybyliśmy do Księżycowego Miasta w osiem dni po jego opuszczeniu. Pociemnieliśmy od słońca i nawarstwionego brudu, wyrosły nam brody, a włosy były sztywne od kurzu. Broda Lourena przybrała czerwonożółtą barwę, połyskującą w słońcu.

Jak się okazało, od kilku dni poszukiwano go bezskutecznie. W pomieszczeniu radiowym czekał na niego stos depesz i nim zdążył się ogolić czy choćby wykapać, spędził godzinę przy nadajniku, zajmując się najpilniejszymi sprawami.

— Powiniennem natychmiast wracać do kopalni soli — oświadczył, wyłaniając się z pokoju radiowego. — Jest czwarta trzydzieści. Powinno mi się udać. — Zawahał się na moment i zmienił zdanie: — Nie, do cholery! Należy mi się jeszcze jedna noc! Wyciągnij butelkę glen granta, a ja pójdę się wykapać.

— Teraz mówisz do rzeczy — roześmiałem się. — Zawsze razem, współniku — klepnął mnie w ramię. — Zawsze razem, Lo — zapewniłem go.

Dużo mówiliśmy, trochę śpiewaliśmy, a po północy butelka była już pusta.

— Do łóżka! — powiedział Louren, zbierając się do wyjścia. Nagle zatrzymał się. — Ben, obiecałeś mi kilka fotografii portretu białego króla, żebyśmy mógł zabrać je z sobą.

— Jasne, Lo. — Podniosłem się trochę niepewnie i wszedłem do biura. Wyciągnąłem z moich akt plik błyszczących odbitek i wręczyłem je Lourenowi. Stojąc pod lampą, przejrzał je szybko.

— A to co, Ben? — spytał nagle, podając mi zdjęcie.

— Co? Nic nie widzę.

— Twarz, Ben. Jest na niej jakiś znak.

Teraz zobaczyłem: niewyraźny krzyż szpecący bladą twarz białego króla. Przyglądałem się mu przez chwilę. Byłem zaskoczony, bo nie dostrzegłem tego wcześniej.

— Prawdopodobnie skaza na odbitce, Lo — domyśliłem się. — Jest też na innych?

Szybko przejrzał pozostałe zdjęcia.

— Nie. Tylko na tej. Oddałem mu fotografię.

— Po prostu źle wykonana — powiedziałem.

— Okay. — Louren zaakceptował moje wyjaśnienie. — Dobranoc.

Nalałem sobie ostatniego drinka i kiedy Sally i inni członkowie zespołu wymknęli się za Lourenem, wysączyłem go powoli, jeszcze raz układając w myślach plany kompleksowego zbadania jaskini.

Przyznaję, że nie poświęciłem ani jednej myśli znakowi na twarzy białego króla. Za jedyne usprawiedliwienie niech posłuży mi fakt, że byłem bardziej niż zwykle pijany.

\* \* \*

Dwa następne miesiące minęły szybko. Zajęliśmy się badaniem podłoża jaskini. Rezultaty były zaskakujące. Doszliśmy do wniosku, iż grota nigdy nie była zamieszkana; nie odkryliśmy żadnego pokładu nieczystości ani popiołu. Odnaleźliśmy za to nagromadzone szczątki zwierzęce ciągnące się aż do skalnego pokładu. W samym podłożu znaleźliśmy pojedynczy blok ociosanego kamienia. Na tym zakończyły się nasze odkrycia.

Prace wykopaliskowe nadały jaskini wygląd czegoś wypatroszonego. Podłoże skalne tworzył nierówny pokład wapnia, nakazałem więc zasypanie i wyrównanie wykopów. Następnie, wykorzystując stare bloki skalne, wybrukowaliśmy ścieżkę

wokół szmaragdowego basenu. Miało to zapewnić wygodę zwiedzającym, którzy w przyszłości oglądać będą wspaniałą galerię sztuki Buszmenów, gdy jej istnienie zostanie światu ujawnione.

Louren zadeszował do mnie, zgodnie z obietnicą, gdy przygotował ekipę do prac przy starożytnej kopalni, którą odkryliśmy w czasie łowów na słonia. Przysłał po mnie helikopter i następne trzy tygodnie spędziłem wśród inżynierów badających wyrobiska.

Jak się spodziewaliśmy, złożone przebiegało pod lustrem wody, i chociaż jego wartość była zróżnicowana zależnie od miejsca, przeciętną należało uznać za nadzwyczajnie wysoką. Nie ukrywam, że cieszyłem się w duchu ze swojego dziesięcioprocentowego udziału. Odkryliśmy też wiele narzędzi: przerdzewiałe oskardy i kliny, kamienne młoty, fragmenty łańcuchów, kosze z włókien roślinnych i, jak zawsze, paciorki oraz naczynia.

Z tej masy przedmiotów największą przyjemność sprawiły mi kosze, których tworzywo pozwoliło na oszacowanie wieku znaleziska. Tylko nieznacznie poprzedzał czas wielkiego pożaru, co pozwoliło na ustalenie związku kopalni z Księżycowym Miastem.

Ale najciekawszym znaleziskiem było piętnaście ludzkich szkieletów, spoczywających wzdłuż rowu na jego najgłębszym poziomie. Regularność, z jaką się pojawiały, wykluczała prawdopodobieństwo śmierci w wyniku osunięcia się skał. Chociaż kości były zniekształcone ciężarem ziemi, mogłem określić pięć z nich jako kobiece, reszta należała do mężczyzn. Wszystkie zaś świadczyły o zaawansowanym wieku osób, których szkielety odkryliśmy. W jednym stwierdziłem oznaki artretyzmu, inny nie miał przedramienia. Większość była bezzębna. Na wszystkich odnalazłem resztki łańcuchów, co dało mi podstawę do przypuszczeń, że starych i niedołączonych niewolników ułożono wzdłuż wykopu przed jego zasypaniem.

Po zakończeniu katalogowania, pakowania i wysyłania znalezisk do instytutu wróciłem do Księżycowego Miasta, natychmiast udając się do groty. Jak się spodziewałem, zastałem tam Sally pogrążoną w pracy. Nie sądzę, żeby jej radość była udawana, kiedy wyszła mi naprzeciw i powitała pocałunkiem.

— Och, Ben, tęskniłam za tobą.

Przyglądałem się, jak marszczy nos, kiedy mówi, jak grzbietem dłoni odrzuca z policzków kosmyki włosów, i całe moje jestestwo aż pulsowało z miłości. Odczuwałem przy tym strach. Nasze dzieło w Księżycowym Mieście było na ukończeniu, wkrótce wracaliśmy do Johannesburga i do cichych korytarzy instytutu. Zastanawiałem się, jak wpłynie to na nasze wzajemne stosunki.

— Wkrótce wyjeżdżamy, Sal — wyraziłem głośno swe myśli.

— Właśnie — zgodziła się poważniejąc. — I to mnie smuci. Byłam tu taka szczęśliwa. Będę tęsknić do tego miejsca.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, po czym Sally podniosła się i podeszła do portretu białego króla. Wpatrywała się weń zamyślona, z rękami założonymi na piersiach.

— Tak wiele się tutaj nauczyliśmy — przerwała wreszcie milczenie. — To wszystko przypomina chwytnie chmur. Często myślałam, że to leży w zasięgu naszych rąk. — Potrząsnęła ze złością głową. — Wielu tajemnic jeszcze nie poznaliśmy, Ben. I nigdy nie poznamy.

Uklęła przy mnie i spojrzała mi prosto w oczy.

— Wiesz, że nie zdobyłeś żadnego poważnego dowodu, Ben! Czy zdajesz sobie sprawę, że wszystko, co tu znaleźliśmy, może zostać zdyskredytowane za pomocą starych argumentów? — Pochyliła się w moją stronę. — Mamy wprowadzić symbol na odłamku garnka, ale na pewno powiedzą: „Przywieziony w ramach wymiany

handlowej”. Mamy też złoty kielich. „Dzieło miejscowych złotników, przez przypadek używających motywu Ankh” — orzekną. Mamy obrazy. „To o niczym nie świadczy” — skomentują to odkrycie.

Usiadła i spojrzała na mnie.

— Czy wiesz, co mamy, Ben, po tych wszystkich wspaniałych badaniach? Po prostu wielkie nic.

— Wiem — przyznałem żałośnie.

— Nie mamy nawet jednego faktu, który mógłby zrzucić ich z wygodnych grzęd. Nasze Księżycowe Miasto, nasze cudowne miasto, stanie się po prostu jeszcze jednym niezrozumiałym przejawem kultury Bantu. I nie możemy nic zrobić. Nigdy nie dowiemy się, co się stało z murami i wieżami, nigdy nie znajdziemy miejsca pochówku naszego białego króla...

\* \* \*

Planowałem zakończenie wykopalisk na pierwszego sierpnia, więc ostatnie tygodnie spędzaliśmy porządkując teren, pozostawiając odsłonięte fundamenty — dla tych, którzy być może przyjdą po nas. Troskliwie pakowaliśmy nasze skarby, dopisując wstępy do notatek, przepisując długie listy katalogów, dopracowując setki drobiazgów.

Badania w terenie zostały ukończone, ale czekała mnie poważna praca, polegająca na powiązaniu z sobą wszystkich znalezisk, dopasowaniu ich do odpowiednich półek, porównaniu z dowodami zebranymi gdzie indziej, co ostatecznie zaowocuje napisaniem nowej książki. Kilka miesięcy wcześniej miałem nadzieję, że będę mógł ją zatytułować: Fenicjanie w Afryce Południowej. Teraz wiedziałem, że będę musiał wymyślić inny tytuł.

Przybyła dakota, by zabrać pierwszy ładunek, a wraz z nim odlecieli Peter i Heather Willcoxowie. Wciąż mieli przed sobą dwa albo trzy miesiące wakacji w Europie, ale było mi przykro patrzeć, jak odjeżdżają, ponieważ tworzyliśmy zgraną grupę.

Tego wieczoru Louren wywołał mnie przez radio.

— W końcu porozumieliśmy się z Cousteau, Ben. Krąży gdzieś po Pacyfiku, ale moje biuro w San Francisco nawiązało z nim kontakt. Uważa, że będzie mógł nam pomóc, nie wcześniej jednak niż w przyszłym roku, ponieważ ma wypełniony program na najbliższe osiem miesięcy.

Kiedy upadł jedyny powód, który pozwalał przedłużyć pobyt w Księżycowym Mieście, zacząłem porządkować swoje notatki. Sally zaproponowała mi pomoc. Pracowaliśmy do późna, sortując tysiące fotografii. Czasem zatrzymywaliśmy się, żeby dokładniej obejrzeć szczególnie interesującą nas odbitkę lub żeby się pośmiać, wspominając miłe chwile.

Na końcu dotarliśmy do zdjęć białego króla.

— Mój piękny, tajemniczy królu — westchnęła Sally. — Nie powiesz nam nic więcej? Skąd przyszedłeś? Kogo kochałeś? W jakich bitwach dźwigałeś tarczę? Kto łkał nad twoimi ranami, gdy przynieśli cię do domu z pola walki?

Powoli przeglądaliśmy gruby plik fotografii. Wykonane były pod różnym kątem, przy różnym natężeniu światła.

Pewien detal na jednej z fotografii przyciągnął mój wzrok. Jakiś podświadomy niepokój kazał mi wziąć ją do ręki. Wpatrywałem się w króla, jakbym widział go po raz pierwszy. Poczulem, że serce zaczyna mi kołatać jak uwięziony ptak, poczułem mrowienie przesywające ramię.

— Sal... — zacząłem.

— O co chodzi, Ben? — Usłyszała w moim głosie tłumione zdenerwowanie.

— Światło! — wykrzyknąłem. — Przypominasz sobie, jak odkryliśmy miasto w księżycowym blasku? Kąt padania i natężenie światła?

— Tak. — Skinęła ochoczo głową.

— Widzisz to, Sal? — Dotknąłem twarzy białego króla. Przyglądała się fotografii. Znak był słabszy niż na odbitce Lourena, ale był, ten sam niewyraźny kształt krzyża na bladej twarzy.

— Co to jest? — głowiła się Sally, obracając fotografię w stronę światła.

— Nie wiem — powiedziałem, spiesząc do szafki z ekwipunkiem i przewracając jej zawartość. — Ale zamierzam się dowiedzieć. — Wręczyłem jej jedną z czterobaterijnych latarek. — Weź to i chodź za mną, Watsonie.

— Zawsze najlepszych rzeczy dokonywaliśmy w nocy — przypomniała Sally, ale nagle zdała sobie sprawę ze znaczenia tych słów. — Nie o to mi chodziło! — zawołała, uprzedzając mój komentarz.

Jaskinia była cicha jak grobowiec, a echo naszych kroków odbijało się głośno od sklepienia, gdy okrążaliśmy basen, zmierzając ku portretowi białego króla. Światło latarki tańczyło na jego postaci, spoglądającej na nas z królewskim majestatem.

— Nie ma żadnego znaku na twarzy — stwierdziła Sally. Słyszałem rozczarowanie w jej głosie.

— Zaczekaj. — Wyjąłem z kieszeni chusteczkę. Złożywszy ją na czworo, zasłoniłem światło mojej latarki. Jasny promień skurczył się do niewyraźnej poświaty. Wspiąłem się na drewniane rusztowanie wzniesione przed obrazem.

— Wyłącz swoją latarkę — poleciłem Sally, a kiedy malowidło pograżyło się w półmroku, zacząłem przyglądać się twarzy króla.

Policzek był biały, bez żadnej skazy. Powoli przesunąłem światło, unosząc je i opuszczając, zataczając kręgi wokół królewskiego oblicza.

— Tam! — wrzasnęliśmy jednocześnie, gdy nieoczekiwanie pojawił się niewyraźny krzyż. Umocowałem latarkę we właściwej pozycji i przyjrzałem się znakowi. — To jest cień, Sal. Myślę, że to musi być jakaś nieregularność pod farbą. Coś w rodzaju wyżłobień krzyżujących się z sobą.

— Pęknięcia w skale? — zapytała.

— Może — powiedziałem. — Ale wydają się za proste, a kąt przecięcia za dokładny, żeby mogły powstać w sposób naturalny.

Odsłoniłem latarkę i obejrzałem się.

— Masz przy sobie kawałek jedwabiu?

— Jedwabiu? — Wyglądała na zaskoczoną, ale wnet się pozbierała. — Apaszka.

— Sięgnęła do szyi.

— Pożycz mi ją na moment, proszę.

— Co chcesz z nią zrobić? — spytała. — To oryginalny Cardin. Kosztowała mnie majątek.

— Nie zniszczę jej — obiecałem.

— Kupisz mi nową, jeśli coś się stanie — zagroziła, podając mi chustkę.

— Poświęć — poprosiłem.

Skierowała latarkę na wizerunek. Rozpostarłem apaszkę wokół głowy króla, przytrzymując ją palcami lewej dłoni.

— Cóż ty właściwie robisz? — dopytywała się Sally.

— Jeśli kiedykolwiek będziesz kupowała używany samochód i zechcesz się upewnić, czy nie był uderzony, to ten sposób pozwoli ci wyczuć skazy niewidoczne dla oka.

Koniuszkami palców prawej dłoni zacząłem badać powierzchnię malowidła przez jedwabną chustkę. Tkanina pozwoliła moim palcom z łatwością prześlizgiwać się po

skale, uwydatniając zarazem jej strukturę. Znalazłem niewielki rowek, przesunąłem palce wzdłuż niego aż do miejsca, w którym krzyżował się z innym, przesunąłem dłoń w dół południowej osi do następnego przecięcia, potem na wschód, na północ i z powrotem do punktu, w którym zacząłem. Opuszki palców obwiodły regularny prostokątny kształt.

— Wyczuwasz coś? — niecierpliwiła się Sally. Nie odpowiedziałem, czując, że serce podchodzi mi do gardła. Moje palce pracowicie przebiegały powierzchnię skały pod jedwabiem, odsuwając się od portretu w dół, niemal do poziomu podłogi, i ku górze, tak wysoko, jak zdołałem sięgnąć.

— Och, Ben. Powiedz mi wreszcie! Co to jest?

— Zaczekaj! — Serce trzepotało mi jak skrzydełka przestraszonej przepiórki, palce drżały ze zdenerwowania.

— Nie chcę czekać, do cholery! — krzyknęła. — Powiedz! Zeskoczyłem z rusztowania i złapałem ją za rękę. — Chodź.

— Dokąd?! — pytała, gdy ciągnąłem ją przez grotę.

— Po aparat fotograficzny. Zrobimy kilka zdjęć.

W małej lodówce, gdzie trzymałem zapas filmów, miałem dwie rolki błon lotniczych kodaka. Zamówiłem te klisze do zdjęć w podczewieni, żeby poeksperymentować z fotografowaniem nie odsłoniętych fundamentów miasta ze szczytu urwiska, ale rezultaty nie były zadowalające. Warstwa skał była zbyt gruba, a roślinność maskowała wszystko starannie.

Wpakowałem film do aparatu i założyłem filtr. Sally nie dawała mi spokoju, ale wszystkie pytania zbywałem obietnicą:

— Poczekaj, sama zobaczysz!

Zabraliśmy dwie lampy łukowe i krótko po północy znaleźliśmy się na powrót w jaskini.

Użyłem bezpośredniego czołowego oświetlenia, podłączając lampy do tablicy rozdzielczej elektrycznej pompy wodnej, znajdującej się przy basenie. Ustawiłem mojego rolleiflexa na trójnogu i wykonałem dwadzieścia ujęć przy różnej prędkości i przysłonie. Zlitowałem się wreszcie nad Sally.

— Ta technika stosowana jest do fotografowania płócien i ujawniania podpisów, jak również wszelkich szczegółów pokrytych kolejnymi warstwami farby, przy fotografiach lotniczych znad powłoki chmur, do fotografowania prądów morskich i innych rzeczy niewidzialnych dla oka ludzkiego.

— To prawie magia!

— To jest magia — przyznałem, pstrykając kolejne zdjęcia. Filtr przysłania wszystko oprócz promieni podczerwonych, na które wrażliwy jest film. Ukaże każdą różnicę temperatur czy struktury obiektu, przedstawiając je za pomocą innych barw.

Godzinę spędziłem w ciemni. Wszystkie kolory były dziwne i nienaturalne. Twarz króla była jadowicie zielona, a jego broda sina. Widniały na niej jakieś cętki, krosty i plamy, których nie spostrzegliśmy wcześniej. Zobaczyliśmy nieregularności na powierzchni, obce składniki barwników, kolonie porostów i inne skazy, które lśniły niczym jakieś nieznane klejnoty.

To, co przykuło moją uwagę i sprawiło przyspieszone bicie serca, było siecią regularnych prostokątnych kształtów, pokrywających cały obraz. Ukazywała się jakaś szachownica w postaci bladoniebieskich linii.

— Musimy szybko porozumieć się z Lourenem — oświadczyłem stanowczo.

— Co to jest? Wciąż nie rozumiem. Co to oznacza? — błagała o wyjaśnienia Sally.

Dla mnie było to tak oczywiste, iż nie przyszło mi do głowy, że ona się nie domyśla.

— To oznacza, Sal, że pod portretem jest otwór w skale, zamurowany dopasowanymi blokami piaskowca. Na nich został namalowany król.

\* \* \*

Louren Sturvesant tkwił przed malowidłem wpatrując się w białego króla. Staliśmy za nim w półkolu: Rai, Sally, Leslie i ja, z niepokojem go obserwując.

Nagle wyjął cygaro z ust i cisnął na kamienną podłogę. Gwałtownie rozdeptał je, podszedł do krawędzi szmaragdowego basenu i zapatrzył się w jego zamglone głębiny. Czekaliśmy w ciszy.

Po chwili wrócił, dziwną siłą przyciągnięty do obrazu jak ćma do świecy.

— To jedno z największych dzieł sztuki na świecie. Ma dwa tysiące lat. Jest bezcenne.

— Owszem — przyznałem.

— Nie jest naszą własnością. To część wspólnego dziedzictwa ludzkości. Należy do naszych dzieci, do przyszłych pokoleń.

Wiedziałem jeszcze coś. Obserwowałem Lourena przez te kilka miesięcy, w czasie których przywiązywał się do malowidła. Nabrało dla niego głębokiego znaczenia, którego mogłem się tylko domyślać.

— I chcecie, żebym to zniszczył?!

Milczeliśmy. Louren odwrócił się i zaczął energicznie spacerować tam i z powrotem u stóp obrazu. Obecni wodzili za nim wzrokiem niczym kibice za piłką na meczu tenisowym. Nagle zatrzymał się tuż przede mną.

— Ty i te twoje śmieszne fotografie! — rzucił i podjął dalszy marsz.

— Czy nie moglibyśmy... — zaczęła nieśmiało Leslie, ale kiedy Louren spojrział, głos jej zamarł.

— Tak?... — ponaglił ją.

— Cóż, może moglibyśmy okrążyć, to znaczy... — Znów zamilkła na moment i wreszcie dokończyła: — ...Przebić korytarz z boku, tak by oszczędzić malowidło?

Pierwszy raz w życiu zapragnąłem uściskać ją serdecznie.

Louren sprowadził jednego ze swoich inżynierów górniczych i zespół pięciu rębaczy z kopalni złota Little Sister koło Welcome. Przywieźli z sobą sprzęarkę, wiertarki pneumatyczne, rusztowania i wszelki potrzebny sprzęt. Brygadzysta, potężny rudy mężczyzna o wesołych błękitnych oczach i piegowatej dziecięcej twarzy, nazywał się Tinus van Vuuren i całym sercem poświęcił się nowemu zadaniu. — Uważam, że przebijemy się bez problemów, doktorze. Ten piaskowiec jest jak ser po tych wszystkich kwarcach, do których jesteśmy przyzwyczajeni.

— Ma to być najmniejszy otwór, w jakim da się pracować — oświadczyła srogo Sally. — Szkody wyrządzone malowidłu muszą być jak najmniejsze!

Przejęty Tinus odwrócił się do niej.

— Wytnę otwór nie większy niż mysia... — Urwał, szukając innego słowa. — ...Niż mysie ucho.

Sally i ja zaznaczyliśmy na ścianie jaskini zarys otworu. Wybraliśmy miejsce starannie, omijając najpiękniejsze i najważniejsze malowidła. Chociaż potraktowaliśmy deklarację Tinusa prawie dosłownie i wytoczyliśmy otwór ledwie na dwie stopy szeroki i wysoki na cztery, i tak zniszczyliśmy część malowideł.

Stanęliśmy trzydzieści stóp od białego króla, aby uniknąć nadmiernej wibracji wiertarek, które mogły spowodować odpryski skalnych odłamków i barwników. Tinus miał zagłębić się na jakieś trzydzieści stóp, a następnie zakręcić pod kątem prostym i przebić ścianę za postacią króla. Był gotów zacząć już następnego ranka, a tego wieczoru gościliśmy go w naszej świetlicy. Atmosfera była zbliżona do tej, jaka

panuje w mesie pilotów w przeddzień ryzykownego wypadu. Wszyscy byliśmy rozmowni, ale spięci.

Początkowo Tinus zachowywał się dość powściągliwie, przytłoczony towarzystwem legendarnego Lourena Sturvesanta, ale brandy dodała mu odwagi i przyłączył się do dyskusji.

— Po co panu maski przeciwigazowe, doktorze? — zapytał. — Spodziewa się pan gazu albo ognia?

— Maski? — Louren przerwał pogawędkę z Sally. — Kto zamówił maski?

Pytanie Lourena, skierowane bezpośrednio do Tinusa, przeraziło go.

— Tak mi powiedziano, proszę pana.

— To prawda, Lo — włączyłem się do wyjaśnień. — Ja o nie prosiłem.

— Dlaczego?

— No cóż, Lo. To, co mamy nadzieję znaleźć, to przejście do... — Byłem bliski powiedzenia „grobu”, ale nie chciałem kusić bogów. — ...Do czegoś w rodzaju pieczary.

Skinął głową. Wszyscy patrzyli na mnie, a mając tak uważnych słuchaczy, rzadko rezygnuję z dramatycznych akcentów.

— Ta pieczara była szczelnie zamknięta przez dwa tysiące lat, co oznacza, że istnieje niebezpieczeństwo...

— Kłątwa faraonów! — wtrąciła Sally. — Oczywiście pamiętacie, co stało się z ludźmi, którzy pierwsi weszli do grobowca Tutenchamona? — Przeciągnęła palcem po gardle, wywracając oczy. Była po dwóch glen grantach.

— Sally, powinnaś wiedzieć więcej — przerwałem jej ostro. — Kłątwa faraonów to oczywiście mit, ale istnieje groźba zapadnięcia na ostrą chorobę płuc.

— Cóż, muszę przyznać, że nie wierzę w kłątwy i tym podobne rzeczy. — Tinus roześmiał się odrobinę za głośno. Zapomniał już o skrępowaniu.

— Więc jest nas dwóch — rzekł Ral Davidson.

— Nie chodzi o coś nadprzyrodzonego — powiedziała Leslie z przyganą. — To choroba wirusowa.

Ponieważ zdawało mi się, że tracę kontrolę nad sytuacją, musiałem podnieść głos:

— Pozwólcie, że będę kontynuował! — Uwaga obecnych znów skupiła się na mnie. — Warunki w jaskini są wprost idealne do rozwoju cryptococcus neuromyces, grzybowatej narośli, której zarodniki są przyczyną groźnej choroby.

— Jak do tego dochodzi? — spytał Tinus.

— Zarodniki są wdychane do płuc, gdzie kiełkują niemal natychmiast i rozwijają się w gęste, granulkowate kolonie.

— Faj! — Tinus skrzywił się z obrzydzeniem. — Chce Pan powiedzieć, że to rośnie w naszych płucach jak pleśń na chlebie?

— Jakie są następstwa? — zapytał Louren. Starannie dobierałem słowa.

— Początkowo powstają zmiany patologiczne w tkance płuc, dochodzi do krwotoków, pojawia się wysoka temperatura i przyspieszony, bolesny oddech. Później wirusy wytwarzają szkodliwe substancje, które łączą się z krwią, a następnie przenikają do mózgu i centralnego układu nerwowego.

— Mój Boże! — Piegowaty Tinus pobladł. — Te substancje są neurotoksyczne i wywołują halucynacje. Następuje zapalenie opon mózgowych i poważne zakłócenia pracy mózgu, efekty podobne do działania LSD czy meskaliny.

— Bomba! — krzyknął Ral, a Leslie kopnęła go w kostkę.

— To znaczy, że wirus doprowadza do szaleństwa zaatakowane przez niego osoby? — chciał wiedzieć Tinus.

— Nie może być inaczej, skoro czyni takie spustoszenia w mózgu — oznajmiła Sally.

— Czy to śmiertelna choroba? — spytał Louren.  
— W siedemdziesięciu pięciu procentach, w zależności od indywidualnej odporności organizmu i proporcji przeciwciał oraz wirusa.  
— Do diabła, człowieku — rzekł Tinus, odstawiając szklanę. — Nie mogę powiedzieć, żebym się palił do tej roboty. Osuwające się skały, gaz metanowy, eksplozje — to mnie nie martwi. Ale te wirusy... Skóra mi cierpnie.  
— Jakie środki zapobiegawcze planujesz, Ben? — zapytał Louren.  
— Pierwsza grupa, która tam wejdzie, będzie miała maski przeciwgazowe — wyjaśniłem. — Pobiorę próbki powietrza i pyłu do zbadania pod mikroskopem.  
Louren skinął głową i uśmiechnął się do Tinusa.  
— Zadowolony?  
— A jeśli pan nie trafi akurat na te wirusy, jeśli się ukryły, żeby skoczyć na nas z nienacka? Wie pan, jak w tych książkach fantastyczno—naukowych? — Tinus był wyraźnie przejęty.  
— Jeżeli tam są, to wszędzie. Każda próbka kurzu będzie je zawierała.  
— Jest pan pewny, doktorze?  
— Jestem pewny, Tinus.  
Wziął głęboki oddech, wahał się jeszcze przez chwilę, wreszcie kiwnął głową.  
— Okay. Wierzę panu.

\* \* \*

Rozdzierający łoskot wiertarek wtargnął w najdalsze zakątki mej czaszki. Party zakończyło się dopiero wczesnym rankiem.

— Jak się pan czuje, doktorze? — zapytał Tinus van Vuuren, przekrzykując zgiełk. Moje nerwy wibrowały jak struny gitary. Tinus zaś wyglądał tak świeżo i niewinnie, jak gdyby wczoraj pił tylko gorące mleko z miodem i spał przez dwanaście godzin. Znałem ten typ ludzi; Louren był podobnie niezniszczalny.

— Cholernie paskudnie! — odkrzyknąłem.

— Nie będzie tu nic do oglądania na razie. Może pójdzie pan się trochę zdrzemnąć?

— Będę w pobliżu — zapowiedziałem.

Louren kontrolował bieg wypadków w imperium Sturvesantów przez radio, niezdolny wyrwać się z Księżycowego Miasta. Sally zmusiła się do kilku chaotycznych prób skatalogowania wyników badań, ale za każdym razem nie trwało to dłużej niż godzinę, i jak przyciągana magnesem wracała do jaskini. Ral i Leslie nie udawali nawet, że coś robią, i całe dni spędzali w grocie, poza krótkimi przerwami, w czasie których znikali oboje na jakieś „eksperymenty”.

Tinus był specjalistą w swoim fachu i jego grupa przebijała tunel szybko i sprawnie. Ściany były gładko zaokrąglone. Podparli je ciężkimi drewnianymi stemplami, a wzdłuż sklepienia przeciągnęli kabel elektryczny. Z tego tunelu rozpoczęto nowy odwiert bezpośrednio za portretem białego króla.

Tinus i ja dokonaliśmy starannych pomiarów i obliczeń, precyzyjnie określając miejsce kolejnego odwiertu.

Robotnicy Bantu zostali uprzedzeni o konieczności używania masek, a kiedy rozpoczęli atak na ostatnie kilka stóp skały, Tinus i ja skuliliśmy się w ciasnym tunelu tuż za ich plecami. Kiedy unosili ciężkie wiertarki, na ich nagich grzbietach łśniły napięte mięśnie. W ograniczonej przestrzeni hałas był ogłuszający, a duchota, pomimo zainstalowanych wentylatorów, ogromna. Pot ściekał mi po osłoniętej maską twarzy, zaparowując szkła.

Napięcie stawało się niemal wyczuwalne, gdy długie stalowe wiertła wrzynały się



w skałę, zatapiając się w niej cal po calu. Z otworów ściekała gęsta, oleista woda. Zerknąłem na Tinusa. W czarnej gumowej masce wyglądał jak monstrum, ale za szklami migotały błękitne oczy. Mrugnął do mnie i pewnym siebie gestem uniósł kciuk.

Nieoczekiwanie wiertacz zachwiał się na nogach, kiedy wiertarka wymknęła mu się z rąk. Wiertło wślizgnęło się bez oporu w otwór, a robotnik, szamocząc się, usiłował odzyskać kontrolę nad ciężkim urządzeniem. Tinus klepnął go w ramię i przesunął zawór wiertarki.

Przebiliśmy się — pomyślałem. — Przebiliśmy się, Bóg wie do czego.

Moje podekscytowanie udzieliło się Tinusowi. Skinąłem mu głową, a on odwrócił się, stuknął w ramię jednego z wiertaczy i gestem dłoni odesłał całą grupę do tyłu. Wycofali się, powłóczęgając nogami, pochyleni w niskim tunelu, i zniknęli za zakrętem. Podeszliśmy do przodu i kucnęliśmy przy ścianie. Delikatnie wydobyliśmy wiertło z otworu. Za nim ukazała się smuga pyłu przysłaniająca ostre światło żarówki. Wymieniliśmy spojrzenia. Ruchem głowy wskazałem wylot tunelu. Tinus skinął potwierdzająco i podążył śladem swojej brygady. Zostałem sam.

Długim plastikowym prętem, do którego końca przytwierdzony był strzep czystej białej tkaniny, wysondowałem głębokość otworu. Dopiero na głębokości czternastu stóp napotkałem opór, a kiedy wyciągnąłem pręt, tkanina pokryta była grubą warstwą szarego kurzu. Umieściłem ją w butelce, a do pręta przywiązałem następny kawałek materiału. W ten sposób pobrałem sześć próbek. W skalnej komnacie przygotowana już była ławka i lampa, pod którą stał mikroskop z odpowiednio nakierowanymi lustrami.

Tylko parę minut zabrało mi rozproszanie próbek pyłu po płytkach i powleczenie ich czerwonym barwnikiem.

Nie było łatwo zajrzeć we wzornik mikroskopu przez zaparowane okulary. Wprawdzie już pobieżne zbadanie wystarczyło, by zyskać pewność w kwestii wirusów, ale wnikliwie analizowałem każdą z sześciu próbek, zanim zdarłem maskę z twarzy i z ulgą wciągnąłem do płuc powietrze. Potem popędziłem korytarzem w kierunku jaskini.

Wszyscy czekali na mnie.

— Przebiliśmy się do groty — krzyknąłem. — Jest czysta!

Oczekujący podbiegli do mnie i poklepując mnie po plecach, śmiali się i rozmawiali podnieceni.

\* \* \*

Louren nie pozwolił nikomu oprócz siebie pracować ze mną w tunelu, chociaż Ral i Sally rwali się do pomocy.

Pracowaliśmy więc we dwójkę, ostrożnie powiększając otwór dłutem i czterofuntowym młotkiem, poszerzając go stopniowo, aż dotarliśmy do ręcznie ociosanych bloków, stanowiących masywny mur z czerwonego piaskowca, zamykający koniec tunelu. Z całą pewnością była to obudowa groty, do której się przewierciliśmy.

Wiertło wyźłobiło w środku niewielki otwór. Wszystkie nasze wysiłki, by do niego zajrzeć, sprowadziły się do widoku nieprzeniknionej czerni. Musieliśmy zająć się powolnym, pracochłonnym drażeniem skały.

Przez trzy dni pracowaliśmy ramię przy ramieniu, rozebrani do pasa, równomiernie odłupując odłamki skały. Pomimo rękawiczek nasze ręce pokryły się pęcherzami. Powoli odsłanialiśmy kamienne płyty na całej ich szerokości i wysokości. Odkrywając, że z każdego końca stykają się z identycznymi blokami. Wydawało się,

że każda dźwiga na sobie końce dwóch dopasowanych do siebie identycznych bloków.

Użyliśmy pięćdziesięciotonowej dźwigni, aby podeprzeć sklepienie. Później wywierciliśmy otwory i umocowaliśmy w nich obręcze i łańcuchy. Dwa ciężkie wyciągi posłużyły nam do ruszenia płyty z podstawy.

Kłęcząc obok siebie, każdy przy jednym z kołowrotów, cał po cału zaczęliśmy obracać kołem. Każdy obrót zwiększał naprężenie łańcucha, aż stał się on sztywny jak stalowa sztaba. Korby kołowrotu znieruchomiały.

— Okay, Ben. Spróbujmy razem zabrać się do jednego — wydyszał Louren. Jego złociste loki pociemniały od potu i pyłu, ciasno przylegając do głowy, a na potężnych mięśniach ramion, napiętych i nabrzmiątych, lśnił pot. Naparliśmy na kołowrót.

Klang! — Szczęknęła zapadka i łańcuch przesunął się o szesnastą część cała. Klang! — Znów drgnął. W ciszy słychać było nasze świszczące oddechy.

— Zawsze razem, współniku — wysapał Louren.

— Zawsze razem, Lo. — Moje ciało wygięło się w łuk; miałem wrażenie, że mięśnie na plecach zaraz mi pękną, a oczy wyjdą z orbit.

Z cichym zgrzytliwym dźwiękiem wielka kamienna płyta wysunęła się powoli ze ściany i z ciężkim tąpnięciem opadła na podłogę tunelu, a przed nami pojawił się kwadratowy otwór.

Położyliśmy się obok siebie, aby odzyskać oddech, skąpani w strumieniach potu, z mięśniami wciąż rozedrganymi z wysiłku. Wreszcie spojrzeliśmy w złowieszczo czarny otwór.

Nasze nozdrza poraził stęchły, suchy odór, gdy powietrze uwieszone od dwóch tysięcy lat wydostało się z zamknięcia.

— Chodź! — Louren pierwszy poderwał się, schwycił jedną z żarówek osłoniętych drucianymi siatkami i odszedł, ciągnąc za sobą kabel elektryczny. Ruszyłem za nim i wczłogałiśmy się do środka.

Podłoga komory znajdowała się o cztery stopy niżej. Louren podniósł światło ponad głowę i rozejrzeliśmy się wokół, otoczeni tajemniczymi, ruchomymi cieniami.

Znajdowaliśmy się w długim korytarzu biegnącym prosto od końca groty do ślepej kamiennej ściany. Strop wyłożony był płytami piaskowca, ułożonymi równolegle, ściany pokrywały płyty podobne do tej, którą usunęliśmy. Podłogę stanowiły również kamienne płyty.

W ścianach po obydwu stronach korytarza znajdowały się nisze sięgające od podłogi po sklepienie. Każda z nich wypełniona była kamiennymi półkami, na których stały setki glinianych dzbanów.

— To coś w rodzaju magazynu — powiedział Louren, wysoko unosząc światło i przesuwając się powoli wzdłuż korytarza.

— Prawdopodobnie wewnątrz jest wino albo kukurydza. — Nigdy nie odzwyczaiłem się od głośnego myślenia, a serce waliło mi ze zdenerwowania. Mimo ogromnego podniecenia starałem się zarejestrować każdy szczegół oglądanej komnaty.

— Otwórzmy jeden z nich... — Lourena zżerała niecierpliwość laika.

— Nie, Lo. Nie możemy tego zrobić, dopóki nie będziemy mieli odpowiednich warunków po temu.

Wszystko pokryte było grubym całunem pyłu, który łagodził zarysy i krawędzie przedmiotów. Poruszony, unosił się leniwie wokół naszych nóg jak morska mgła.

— Musimy tu posprzątać, zanim przystąpimy do innych czynności — powiedziałem kichając, gdyż kurz zakreślił mi w nosie.

— Poruszaj się wolno — poradził Louren. Zrobił kolejny krok i zatrzymał się. — Co to?

Rozrzucone bezładnie wzdłuż podłogi korytarza, leżały bezkształtne obiekty, nierozpoznawalne pod okrywającym je kurzem. W przeciwieństwie do starannie ustawionych na półkach dzbanów te przedmioty zdradzały pośpiech osób układających je.

— Potrzymaj lampę — poprosiłem Lourena i pochyliłem się nad jednym z niekształtnych obiektów. Dotknąłem go, lekko rozgarniając pył, aż rozpoznałem i odskoczyłem z mimowolnym okrzykiem.

Zza miękkiej warstwy pyłu ukazała się ludzka twarz. Martwa od wieków, zmumifikowana twarz! Z oczu pozostały tylko mroczne otwory, a skurczone usta odsłaniały żółte zęby.

— Zwłoki... — powiedział Louren. — Dziesiątki zwłok.

— Ofiary? — zastanawiałem się.

— Wygląda, że zostali zabici w walce.

Teraz, kiedy wiedzieliśmy już, z czym mamy do czynienia, dostrześliśmy całe sterty ciał wyglądających jak drzewa powalone huraganem. Okryte płaszczem pyłu jedne zwłoki były oparte o ścianę; głowa zwisała na piersi, obok leżały cztery przewrócone dzbany.

— Tu musiała się odbyć cholerna walka — powiedziałem z trwogą.

— Była cholerna — potwierdził cicho Louren. Jego oczy lśniły wewnętrznym podnieceniem, a na rozchylnych ustach błąkał się półuśmiech.

— Co masz na myśli? — spytałem.

Louren podniósł wzrok, ale przez moment jego oczy nie dostrzegały mnie.

— Słucham? — spytał w końcu, zakłopotany.

— Powiedziałeś to tak, jakbyś miał pewność!

— Tak powiedziałem? — zapytał. — Nie wiem przecież nic...

Ruszył wolno wzdłuż korytarza, omijając sterty wyschniętych ciał i zaglądając do każdej z nisz. Poszedłem za nim. Myśli tłukły mi się po głowie, chwyciłem się jakiejś ulotnej idei, porzucałem ją i rozpatrywałem następną. Wiedziałem, że nie ma mowy o spokojnym rozumowaniu, dopóki nie ucichną miotające mną emocje.

Jednego i tylko tego byłem pewny. Dokonaliśmy wielkiego odkrycia! Porównywalnego z odkryciami Leakeya w wąwozie Olduvai. Było to coś, co olśni środowisko archeologów. Coś, o co modliłem się i o czym marzyłem przez dwadzieścia lat.

Dotarliśmy do końca korytarza. Zamykająca go ściana była kolejną płytą z piaskowca, ale ozdobioną stylizowaną rzeźbą słońca, co wywołało we mnie uczucie powagi, spokoju ducha, jakiego doświadczam czasami w synagodze czy w krużgankach katolickich katedr. Staliśmy zapatrzeni w symbol przez długą chwilę. Wreszcie Louren odwrócił się i rozejrzał dokoła.

— I to wszystko? — zapytał. W jego głosie pojawiła się nuta irytacji. — Tylko korytarz, garnki i stare kości? Musi być coś więcej!

Doznałem wstrząsu. Wszechświat nie mógł mi ofiarować piękniejszego daru; przeżywałem najważniejszą chwilę w życiu, a Louren był rozczarowany. Ogarnął mnie gniew.

— Czego ty, u diabła, chcesz?! — zapytałem. — Złota i diamentów, sarkofagów z kości słoniowej?

— Czegoś w tym rodzaju.

— Nawet jeszcze nie wiesz, co tutaj mamy, a już ci tego za mało.

— Ben, tak nie powiedziałem.

— Wiesz co, Louren? Jesteś do cna zepsuty. Masz wszystko, więc nic nie jest dla ciebie dość dobre. Planowałem, oszczędzałem i pracowałem przez całe życie. Teraz spełniają się moje marzenia, a ty jesteś zawiedzony?!

— Hej, Ben! — Nieoczekiwanie dostrzegłem w jego oczach błysk zrozumienia.  
— Nie to miałem na myśli. Nie neguję wagi twojego osiągnięcia. Naprawdę uważam, że to najbardziej niesamowite odkrycie, jakiego kiedykolwiek dokonano w Afryce; ja po prostu... — Starał się mnie ułagodzić, aż wreszcie skrzywiłem usta w wymuszonym uśmiechu.

— Okay — ustąpiłem. — Ale nie mów więcej w ten sposób, Lo. Różni dranie podważali już moje odkrycia i teorie, więc ty nie próbuj robić tego samego!

— Jednego nikt nigdy nie odważy się o tobie powieść: że nie mówisz tego, co myślisz! — Lekko klepnął mnie w ramię. — Chodźmy. Zobaczmy, co mamy w tych garnkach.

— Nie powinniśmy ich ruszać, Lo. — Zawstydzilem się swojego wybuchu i chciałem mu to teraz wynagrodzić zwracając się do niego w łagodnych słowach.

— Niektóre leżą na podłodze, zrzucone z półek — zauważył Louren. — Po prostu gwizdniemy jeden z nich. Do diabła, Ben, nie narobimy bałaganu! Są ich tysiące.

Nie pytał o pozwolenie. Wydawał polecenie w możliwie najogłędniejszej formie.

— Okay — wyraziłem zbędną zgodę, starając się zachować pozory spokoju. — Zabierzemy jeden. — Poczulem w gruncie rzeczy ulgę, że została podjęta taka właśnie decyzja. Ja przecież równie niecierpliwie jak Lo zerkałem w stronę dzbanów.

\* \* \*

Dzban stał na środku stołu w naszym prowizorycznym magazynie. Zapadła już noc i nad naszymi głowami lśniły lampy. Stanęliśmy wokół stołu: Sally, Rai, Leslie i ja. Tinus van Vuuren zmienił się z brygadzystą w nocnego stróża; Louren postanowił postawić go jako strażnika u wejścia do tunelu.

Przez cienkie ścianki działowe bungalowu słyszałem głos Lourena krzyczącego do mikrofonu radia.

— Odkurzacz. ODKURZACZ! O jak opój, D jak dureń; no właśnie, odkurzacz, ciężki jak do sprzątania fabryk. Dwie sztuki. Masz? Dobrze! Chcę też, żebyś połączył się z Robesonem, szefem służby bezpieczeństwa w Sturvesant Diamond Mines. Ma mi przysłać dwóch swoich najlepszych ludzi i pół tuzina strażników Bantu. Tak. Tak, chcę, żeby byli uzbrojeni!

Nikt z nas nie zwracał uwagi na krzyki Lourena; wszyscy jak zahipnotyzowani wpatrywaliśmy się w gliniany dzban.

— No cóż, na pewno nie wypchano go złotem — powiedział Rai. — Jest na to za lekki.

— Ani nie jest to płyn, wino czy olej — dodała Leslie. Umilkliśmy. Dzban miał około osiemnastu cali wysokości. Wykonany był z nie glazurowanej glinki, pozbawiony inskrypcji i ornamentów, a wieczko przypominało pokrywkę dzbanka do herbaty, z gałką w charakterze rączki, z warstwą czarnej substancji wokół, prawdopodobnie wosku.

— Załadujecie wszystko do dakoty i dostarczycie jutro z rana, słyszysz? — Louren wciąż był zajęty wydawaniem dyspozycji.

— Niechże on się pospieszy! — Sally wierciła się niecierpliwie. — Umieram z ciekawości.

Nagle poczułem strach. Nie chciałem się przekonać, że dzban wypełniony jest prosem czy innym miejscowym ziarnem. Słyszałem już niemal głosy krytyków wyjących jak wilki osaczające ofiarę. Nagle zwątpiłem, czy odkrycie, jakiego dokonałem, ma doniosłe znaczenie. Usiadłem na skraju fotela i zacierając nerwowo brudne dłonie, wpatrzyłem się w dzban. Może Louren miał rację, może wszyscy powtórzymy w końcu jego okrzyk: „I to wszystko?!”

Wreszcie Louren wszedł do pokoju. Był dość brudny po pracy w tunelu, jego złociste włosy zeszywniały od kurzu i zaschniętego potu. Ale mimo to emanowała z niego niezwykła ciekawość i nadzieja na coś niecodziennego. Pomyślałem, że wygląda jak pirat. Wszystkie głowy obróciły się ku niemu.

— Okay, Ben. Co tam masz dla nas? — zapytał, podchodząc bliżej. Pozostali również instynktownie skupili się w ciasnym kręgu.

Podniosłem chirurgiczny skalpel i dotknąłem nim miejsca, w którym wieczko przylegało do dzbana. Pierwsze dotknięcie upewniło mnie, że moje przypuszczenia były słuszne.

— Wydaje mi się, że to pszczeli wosk.

Zeskrobałem go ostrożnie, po czym odłożyłem skalpel i delikatnie spróbowałem poruszyć wieko. Odeszło z zaskakującą łatwością.

Wszyscy wyciągnęli głowy, ale pierwszy rzut oka na zawartość dzbana był rozczarowujący. Amorficzna substancja pokryła się przez lata żółtymi plamami.

— Co to jest? — spytał Louren, ale nikt nie potrafił odpowiedzieć.

Nie byłem pewny, czy mam odczuwać rozczarowanie, czy ulgę, bo z pewnością nie było to zboże...

— To śmierdzi — odezwała się Sally. Zapach był rzeczywiście nieprzyjemny, ale jakby znajomy.

— Znam ten zapach — powiedziałem. — Pachnie jak garbarnia.

— To jest to! — zgodziła się ze mną Sally.

— Skóra? — spytał Louren.

— Zobaczmy — powiedziałem i ostrożnie przewróciłem dzban na bok. Zacząłem delikatnie wysuwać jego zawartość. Okazało się, że jest to coś o cylindrycznym kształcie i kruchej strukturze.

Zdawało mi się, że to przylgnęło do wewnętrznej ścianki dzbana, ale obracałem nim ostrożnie, aż to coś na cał wysunęło się z naczynia. Rozległy się komentarze:

— Wygląda jak parówka.

— Jest owinięta w materiał.

— Płótno, mam nadzieję.

— W każdym razie to tkanina, co wyklucza pochodzenie z kultury Bantu!

— Materiał jest przegniły, odchodzi całymi płatami.

Położyłem przedmiot na stole i przyglądając mu się, wiedziałem, że ziściły się moje marzenia. Wiedziałem, co to jest. Skarb cenniejszy niż złoto i diamenty, o których śnił Louren. Spojrzałem szybko na Sally, żeby się przekonać, czy ona też odgadła, ale jej spojrzenie, chociaż zachłanne, wciąż odzwierciedlało zakłopotanie. Raptem jej oczy napotkały mój wzrok i odczytały w nim zachwyt.

— Ben! — Zrozumiała. — Czy to jest to? Nieprawdopodobne! Och, Ben, odwiń to. Na miłość boską, odwiń!

Wziąłem do ręki szczypce, ale rozdygotane dłonie nie pozwoliły mi od razu przystąpić do pracy. Zaciśnąłem mocno dłonie i wziąłem kilka głębokich oddechów, próbując zapanować nad sobą.

— Może ja to zrobię — zaproponował Ral, sięgając po szczypce.

— Nie! — Myślę, że mógłbym go uderzyć, gdyby obstawał przy przyjściu mi z pomocą. Ujrzałem zaskoczenie na twarzy Rala; nigdy nie widział podobnej reakcji z mojej strony.

Wszyscy czekali, aż odzyskam kontrolę nad dłońmi. Gdy to wreszcie nastąpiło, zacząłem delikatnie rozcinać kruchy żółty materiał, okrywający cylinder. Zobaczyłem, jak wyłania się spod tkaniny, i pozbyłem się resztek wątpliwości. Usłyszałem ciche westchnienie Sally, ale nie podniosłem wzroku, dopóki nie skończyłem swej pracy.

— Ben! — westchnęła Sal. — Jestem taka szczęśliwa! Udało ci się! —

Spotrzałem, że płacze. I to przesądziło sprawę. Gdyby ona nie zaczęła, ze mną również wszystko byłoby w porządku, ale nagle poczułem pieczenie oczu i łzy przysłoniły mi widok.

— Dzięki, Sal — powiedziałem nosowym głosem. Wytarłem ze złością łzy i sięgnąłem po chusteczkę. Wydmuchałem nos, co zabrzmiało jak trąbka sygnalizująca rozpoczęcie polowania.

Leżał przede mną mocno zrolowany cylindryczny zwój skóry. Zewnętrzne krawędzie były postrzępione i jakby nadgryzione. Ale cała reszta zachowała się wspaniale. Zwój pokryty był szeregami znaków biegnących jak kolumny małych czarnych robaczków. Natychmiast rozpoznałem symbole, identyfikując poszczególne litery alfabetu punickiego. Pierwszych trzydzieści linii spisanych było punickim stylem. Nie rozpoznawałem języka, więc znów spojrzałem na Sally. To była jej specjalność; miała za sobą pracę z Hamiltonem w Oxfordzie.

— Sal, czy możesz to odczytać?

— To kartagiński — oświadczyła z przekonaniem. — Punicki!

— Jesteś pewna? — spytałem.

W odpowiedzi przeczytała głosem wciąż jeszcze przerywanym i stłumionym przez łzy wzruszenia:

— Do Opetu tego dnia karawana z... — Zawahała się. — Ta część brzmi niejasno, ale dalej jest napisane: Sto dwadzieścia pięć sztuk złotych sztabek, z których dziesiąta część...

— O co tu chodzi? — zapytał Louren. — Co to wszystko znaczy?

Odwrociłem się w jego stronę.

— To znaczy, że odnaleźliśmy archiwum naszego miasta; nietknięte i możliwe do odszyfrowania. Mamy tu całą historię naszej martwej cywilizacji, spisaną przez jej członków własnymi słowami.

Louren wpatrywał się we mnie i widziałem, że nie dociera do niego znaczenie odkrycia.

— O taki dowód modlą się archeologowie: dowód w najcenniejszej postaci, najbardziej szczegółowej i dokładnej. W jednej linijce pisma mamy niepodważalny dowód istnienia ludu, który posługiwał się w mowie i piśmie antycznym językiem punickim. Ludu, który handlował złotem, nazywał swoje miasto Opet, który...

— To wszystko wiemy z jednej linijki tekstu — przerwała Sally. — A tam są tysiące dzbanów, każdy wypełniony zwojami pisma. Poznamy imiona mieszkańców miasta, rozporządzenia ich królów, religię, ceremoniału...

— Ich bitwy i czyny, dowiemy się, skąd przybyli i kiedy! — Przejąłem piłeczkę od Sally, ale zręcznie mi ją odbiła:

— Jak również, dokąd odeszli i dlaczego!

— Mój Boże! — Louren pojął wreszcie istotę odkrycia. — To jest to wszystko, czego szukaliśmy, Ben!

— Tak. To ich dzieła! — zgodziłem się. — Wszystkie razem!

W ciągu godziny mojego tryumfu, w zenicie mojej kariery, kiedy rysowały się przede mną perspektywy chwały i wspaniałego sukcesu, doktor Sally Benator zadbała o to, by wszystko wokół mnie runęło.

Siedzieliśmy w tym samym zwartym kręgu wokół rulonu, rozmawiając z zapalem, tocząc jedną z tych dyskusji, które zwykle kończą się o świcie, a ponieważ wydobyto już butelkę glen granta i wszystkie gardła były naoliwione, słowa gładko toczyły się z naszych ust.

Sally przetłumaczyła już cały tekst widniejący na zwoju. Był to bilans wymiany handlowej, katalog dóbr i kosztowności intrygująco nawiązujący do nie znanych nam miejsc i narodów.

— Dwadzieścia dużych amfor czerwonego wina z Zeng, zabrane przez Habbakuka Lala, których dziesiąta część należy do Wielkiego Lwa — tłumaczyła.

— Co za lew? — W Lourenie odezwał się instynkt myśliwego.

— Prawdopodobnie chodzi o tytuł króla albo gubernatora miasta — wyjaśniła Sally. — Z morza traw na południu sto dziewięćdziesiąt dwa kły słoniowe, razem ważące dwieście dwadzieścia jeden talentów, z czego dziesiąta część dla Wielkiego Lwa i drugie tyle na wywóz.

— Ile waży talent? — zapytał Louren.

— Około pięćdziesięciu sześciu funtów.

— Mój Boże, toż to ponad dziesięć tysięcy funtów kości słoniowej w jednym transporcie! — Louren gwizdnął. — Musieli być nielichymi myśliwymi...

Przedyskutowaliśmy każdy szczegół odsłoniętego fragmentu rulonu, kiedy znów doszła do głosu niecierpliwość Lourena.

— Rozwińmy do końca — zaproponował.

— To zadanie dla eksperta, Lo. — Z żalem potrząsnąłem głową. — Ta skóra była zwinięta przez dwa tysiące lat. Jest tak sucha i łamliwa, że jeżeli nie będziemy się z nią należycie obchodzić, rozleci się na kawałki.

— A i tak każdy zwój zabierze mi kilka tygodni pracy — dodała Sally.

Pewność siebie, z jaką wypowiedziała te słowa, zdumiała mnie. Jej praktyczna wiedza o paleografii i starożytnym piśmie opierała się na trzech latach przepracowanych w charakterze trzeciej asystentki Hamiltona. Czy posiadała wystarczające doświadczenie do konserwacji zwojów skóry i papirusu? Czytanie w języku punickim przychodziło jej wprawdzie z taką samą łatwością, z jaką przeciętny dziesięciolatek czyta Szekspira, ale niepokojące było, że uznała za pewnik, iż to ona sprawować będzie wyłączną kontrolę nad jednym z największych zbiorów starożytnego pisma.

Musiała wyczytać zdziwienie w mojej twarzy, ponieważ dała wyraz swemu zaniepokojeniu.

— Bo to ja będę wykonywać tę pracę, prawda, Ben? Chciałem jakoś osłodzić jej gorzką pigułkę. Nie lubię ranić nikogo, a szczególnie dziewczyny, którą kocham.

— To kolosalna i ciężka robota, Sal. Uważam, że powinniśmy znaleźć kogoś takiego jak Hamilton albo Levy z Tel Awiwu czy Rogers z Chicago. — Ujrzałem, że jej twarz układa się w bolesny grymas, a usta zaczynają drżeć, lecz kontynuowałem pospiesznie: — Ale jestem pewny, że możemy załatwić ci stanowisko pierwszej asystentki przy kimś, kto poprowadzi te prace.

Na parę sekund zapadła martwa cisza, ale w tym czasie rozpacz Sally zmieniła się w ślepe wściekłość. Jej oczy zaczęły ciskać pioruny.

— Beniaminie Kazin — zaczęła ze zwodniczą łagodnością. — Myślę, że jesteś najobrzydliwszym draniem, jakiego miałam nieszczęście spotkać. Przez trzy długie, ciężkie lata wykazywałam wobec ciebie niezachwianą lojalność... — Straciła panowanie nad sobą i zaczęło się wspaniałe przedstawienie. Chociaż jej słowa chłostały moje serce do krwi, wciąż podziwiałem jej lśniące oczy, zarumienione policzki i mistrzowski dobór inwektyw. — Jesteś małym człowiekiem, zarówno na ciele, jak i na umyśle. — Użyła przymiotnika z rozmysłem. Nikt nie powinien nazywać mnie w ten sposób, ponieważ takie słowa rozdierają mi duszę. Wiedziała o tym. — Nienawidzę cię! Nienawidzę cię, mały człowieczku!

Poczułem krew napływającą do twarzy, zacząłem się jękać, usiłując znaleźć coś na swoją obronę, ale zanim zdołałem to uczynić, Sally zwróciła się do Lourena:

— Niech pan coś zrobi, żeby mi je oddał! Niech pan mu każe to zrobić!

Pomimo strapienia poczułem lęk o biedną Sally. Już nie zwracała się do kalekiego doktora archeologii o miękkim sercu. Ten atak przypominał rzucanie kamieniami w

Iwa ludożercę. Nie mogłem uwierzyć, że Sally okazała się tak niemądra, by nadużyć sympatii, jaką Louren jej okazywał. Nie mogłem uwierzyć, że ośmiela zwrócić się do niego takim tonem, jakby miała jakieś szczególne prawo do jego względów. Nawet ja, który dysponowałem takim prawem, nigdy nie korzystałem z niego w niejasnych okolicznościach i nie znam nikogo, kto miałby tyle śmiałości, by tak postąpić.

Oczy Lourena załśniły zimnym blaskiem przypominającym błysk ostrza włóczni. Zacisnął usta w groźną linię i pobladł silnie.

— Kobieto! Panuj nad językiem...

Kiedy Louren zareagował tak, jak się spodziewałem, moja rozpacz jeszcze się pogłębiła. Dwie osoby, które kochałem, znalazły się w konflikcie, a każdą z nich znałem na tyle dobrze, znałem ich dumę i upór, że wiedziałem, iż żadna z nich nie ustąpi. Nie wróżyło to nic dobrego.

Chciałem zawołać do Sally: „Proszę, przestań! Zrobię to, na czym ci zależy. Zrobię wszystko, żeby zapobiec temu, co może się stać”.

Ale Sally nagle załamała się. Opuściła ją złość i żądza walki. Zdawała się kulić pod chłuszczącymi słowami Lourena.

— Proszę odejść do swojego pokoju i zostać tam tak długo, aż zrozumie pani, jak należy się zachowywać. — Wydał polecenie tym samym zimnym, nieprzejednanym głosem.

Sally wstała ze wzrokiem utkwionym w podłogę i opuściła pomieszczenie.

Nie mogłem uwierzyć w to, co się stało. Wpatrywałem się w drzwi, przez które wyszła; moja zuchwała, buntownicza Sally okazała się raptem potulna jak zbesztane dziecko — Ral i Leslie byli wyraźnie zakłopotani.

— Czas spać — mruknął Ral. — Proszę wybaczyć. Chodźmy, Les. Dobranoc. — Wyszli, zostawiając Lourena i mnie.

Louren wstał i odezwał się swobodnym, naturalnym głosem:

— Przykro mi, Ben. Zobaczymy się rano. — I wyszedł, znikając w mroku.

Siedziałem samotnie z moim nagle bezwartościowym zwojem i z pękniętym sercem.

„Nienawidzę cię, mały człowieczku!” Te słowa odbijały się echem w mej duszy. Sięgnąłem po butelkę glen granta.

Długo trwało, nim osiągnąłem stan zamroczenia, w którym słowa tracą zjadliwość, a kiedy chwiejnie zszedłem po schodkach na zalaną jasnym srebrem księżycą równinę, wiedziałem, co chcę zrobić. Zamierzałem przeprosić Sally i pozwolić jej na wykonanie tej pracy.

Poszedłem do chaty, gdzie sypiała samotnie, bo Leslie przeniosła się do pomieszczenia Petera i Heather. Cicho skrobałem do drzwi, ale z wewnątrz nie było odpowiedzi. Zastukałem mocniej i zawołałem:

— Sally! Proszę, otwórz, muszę z tobą porozmawiać. W końcu spróbowałem otworzyć drzwi. Uchyliły się, ukazując ciemny pokój. Nagle opuściła mnie odwaga. Cicho zamknąłem drzwi i powlokłem się do mojej chaty. Opadłem na łóżko brudny i kompletnie ubrany.

\* \* \*

— Ben! Ben! Obudź się. — Sally potrząsała mną łagodnie, ale natarczywie. Odwróciłem głowę i otworzyłem piekące oczy. Był jasny poranek. Sally siedziała na krawędzi mojego łóżka, pochylając się nade mną. Była ubrana i chociaż jej skóra lśniła po kąpieli, a włosy były świeżo uczesane i przepasane żółtą wstążką, miała opuchnięte oczy, jak gdyby źle spała albo płakała.

— Przyszłam przeprosić cię za wczorajszy wieczór, Ben. Za głupie, nienawistne słowa, i w ogóle za moje okropne zachowanie...



Poczułem, że roztrzaskane cząstki mojego życia wracają na swoje miejsca, a ból w głowie i sercu słabnie.

— Nawet gdybyś zmienił zdanie, to chociaż na to nie zasługuję, będę zaszczycona mogąc pracować jako asystentka Hamiltona czy kogoś innego.

— Będiesz nią. — Uśmiechnąłem się. — Obiecuję.

\* \* \*

Naszym pierwszym zadaniem w archiwach było usunięcie powłoki kurzu. Byłem zaskoczony ilością pyłu nagromadzonego w szczelnej, pozbawionej dostępu powietrza przestrzeni korytarza, ale wkrótce spostrzegłem, że złącza płyt, którymi wyłożono sklepienie, nie były tak precyzyjne jak te na ścianach, i przez całe stulecia pył przesączał się przez szczeliny.

Kiedy dakota dostarczyła sprzęt zamówiony przez Lourena, a razem z nim przybył oddział ochroniarzy, mogliśmy rozpocząć pracę.

Służba bezpieczeństwa została zainstalowana w chacie u wejścia do tunelu, gdzie nieustannie czuwał jeden z wartowników. Tylko nasza piątka mogła wchodzić do środka.

Odkurzacze znacznie usprawniły sprzątanie archiwów. Ral i ja, jak dwie pracowite gosposie, zaczęliśmy czyszczenie od zewnętrznego końca korytarza. Duszące chmury pyłu usprawiedliwiały konieczność noszenia masek.

W końcu mogliśmy oszacować dokładniej nasze odkrycie. W skalnych załomach doliczyliśmy się tysiąca stu czterdziestu dwóch dzbanów, z czego sto dwadzieścia siedem tyło potłuczonych bądź pękniętych, a skórzane zwoje znajdowały się w bardzo złym stanie. Pokryliśmy je parafiną, żeby zapobiec rozpadnięciu, a następnie pozbieraliśmy je, Znakowaliśmy i zapakowaliśmy.

Później zwróciliśmy uwagę na świadectwa śmiertelnej walki, która rozegrała się w archiwach i w wyniku której uszkodzono dzbany.

Spoczywało tam trzydzieści osiem zwłok rozrzuconych wzdłuż korytarza, pomiędzy półkami, wszystkie z oznakami znamionującymi gwałtowną śmierć. Godzien uwagi był stan, w jakim się zachowały. Kilku napadniętych wpełzło do skalnych niszy i tam skonało, chwytając ostatnie hausty powietrza. Umierali szybko, bo większość z nich otrzymała śmiertelne razy.

Były to świadectwa jakiejś diabolicznej furii, niemal nadludzkiej siły niszczycielskiej.

Wszystkie ofiary miały wyraźnie negroidalne rysy, a ich odzienie stanowiły przepaski na biodrach albo fartuszki z wyprawionej skóry oraz ozdoby z paciorków i kości. Na stopach zabitych znajdowały się lekkie skórzane sandały, a na głowach czapki lub przybrania ze skóry, piór czy plecionych włókien, również udekorowane paciorkami, muszlami i kośćmi.

Wokół zwłok leżały porzucone hartowane groty żelazne, osadzone na drzewcach z polerowanego, twardego drewna. Wiele włóczni było złamanych albo rozszczepionych ciosami jakiejś ostrzejszej broni. Obok widniały setki trzcinowych strzał z lotkami z piór dzikich kaczek, zakończone haczykowatymi grotami z ręcznie kutego żelaza. Strzały wyszczerbiły miękkie ściany z piaskowca i łatwo było odgadnąć, że zostały wystrzelone spoza gardzieli korytarza, nim został on zablokowany. Żadna z nich nie zostawiła śladu w ciałach, z czego wynioskowaliśmy, że huragan strzał poprzedzał atak tych, których ciała ścieliły się teraz wzdłuż korytarza.

Piętnaście stóp od zaplombowanego ujścia korytarza odnaleźliśmy ślady dużego ogniska, którego płomień poczerniły posadzkę, ściany oraz strop. Stos zwęglonych

kłoców wciąż tam leżał. Brak powietrza zdławił ogień, gdy zamknięto wylot tunelu. To ognisko zaskoczyło nas. Staliśmy nad nim zadumani aż do chwili, gdy Louren zrekonstruował hipotetyczny przebieg walki. Chodził niespokojnie tam i z powrotem wzdłuż korytarza; odgłos jego kroków odbijał się od kamiennych płyt, a groteskowo monstrualny cień drżał na kamiennej ścianie.

— Zapędzili do tego miejsca garstkę ostatnich obrońców Opetu, niewielką grupę najdzielniejszych i najsilniejszych. — W jego głosie wyczuwało się pewność, opowieść brzmiała tak, jakby Lo był trubadurem śpiewającym legendę o dawnych bohaterach. — Wysłali swoich najlepszych wojowników, by dokończyli rzezi, ale mieszkańcy Opetu wyróżnili ich, a inni uciekli. Wtedy napastnicy wezwali swoich łuczników, którzy posłali w ujście korytarza grad strzał, a następnie weszli do środka, ale obrońcy miasta czekali już tu na nich. Tak zginęli.

Odwrócił się i stanął obok mnie pod kołyszącą się żarówką. Przez chwilę milczeliśmy, wyobrażając sobie tę bitwę.

— Mój Boże, Ben. Pomyśl o tym, jaką chwałą okryli się ci ludzie w ostatniej walce!

Ja, człowiek usposobiony pokojowo, byłem poruszony. Poczulem, że serce zaczyna mi bić przyspieszonym rytmem, i zwróciłem się do Lo jak dziecko domagające się dalszego ciągu bajki:

— Co stało się potem?

— Umierali, osłabieni od ran. Nie mieli sił, by kontynuować walkę, i stanęli ramie przy ramieniu, towarzysze zarówno za życia, jak i w obliczu śmierci, ze znużeniem wsparci o broń, ale wrogowie już nie atakowali. Rozpalili natomiast wielkie ognisko u wejścia do korytarza, chcąc, aby dym zmusił obrońców do opuszczenia kryjówek. Kiedy się to nie udało, zrezygnowali z dalszych ataków i zamurowali wejście, zamieniając korytarz w grobowiec dla martwych i żywych.

Pograżyliśmy się w ciszy, rozmyślając o opowieści Lourena. Brzmiała sensownie, pasowała do odnalezionych śladów, z jednym wszakże wyjątkiem. Nie chciałem mówić tego głośno, by nie psuć tak poruszającej wizji, ale Sally nie skrupułów tego typu.

— Jeśli to prawda, to co się stało z pańskimi bohaterami? Czy zamienili się w smugi księżycowego blasku i ulecieli w przestworza? — Jej ton był odrobinę drwiący, ale spostrzeżenie bezbłędne.

Louren roześmiał się, lekko zakłopotany.

— Więc pani wie lepiej? — Brzmiało to jak wyzwanie. Po bohaterach pradawnego dramatu rzeczywiście nie pozostał żaden ślad oprócz tego, co leżało na podłodze korytarza pod wrytym symbolem Baala — nasze ostatnie odkrycie dokonane w archiwum. Był to topór wojenny, broń urzekającej piękności i wielkiej użyteczności. Kiedy pierwszy raz podniosłem go z posadzki, na której leżał przez prawie dwa tysiące lat, moja dłoń odruchowo zacisnęła się na rękojeści, a palce trafiły na wyźłobienia wykonane jakby specjalnie dla mnie. Z końca rękojeści zwiślał pęknięty pasek.

Trzon wykonano z rogów nosorożca, połączonych w całość o sprężystości i sile stali. Był długi na czterdzieści siedem cali. Rękojeść stanowiła kość słoniowa, owinięta sznurem zarówno wzmacniającym, jak i chroniącym przed ciosami wrogich mieczy. Ostrze miało kształt podwójnego półksiężyca, a każda ostra jak brzytwa krawędź liczyła siedem i pół cala. Z wysuniętego końca sterczał dwunasto—calowy kolec, więc broń mogła być użyta zarówno do cięcia, jak i do dźgania.

Głownia była precyzyjnie odlana i ozdobiona sylwetkami czterech sępów z rozpostartymi skrzydłami na każdej ze stron podwójnego ostrza. Ptaki wyobrażone były z taką starannością, że widać było niemal każde pióro. Ponad nimi widniało

wschodzące słońce, z promieniami przypominającymi kształt kwiatu. Ryty wyłożone były stopem złota i srebra, a blask ostrzy dowodził, że poddano je hartowaniu.

Kiedy trzymałem topór w dłoniach, ogarnęło mnie nieoczekiwane szaleństwo. Nie byłem w pełni świadomy swoich zamiarów aż do chwili, gdy ostrze topora zawirowało lśniącem kręgiem nad moją głową. Wyważenie i ciężar brom były tak doskonałe, że bez wysiłku obracałem nią w górze i opuszczałem. Ostrze ze świstem przecinało powietrze, a rękojeść zdawała się ożywać w mojej dłoni po blisko dwudziestowiecznym bezruchu.

Gdzieś w atawistycznych głębiach duszy usłyszałem pełen uniesienia ryk, który zdawał się współbrzmieć ze śmiertelną pieśnią topora. Z wysiłkiem powstrzymałem lot ostrza i krzyk wzbierający w płucach i spojrzałem na otaczające mnie twarze.

Moi towarzysze patrzyli na mnie z przerażeniem, gdyż na usta wystąpiła mi piana. Pospiesznie opuściłem broń. Stałem tam, czując się głupio, strwożony faktem, że tak lekkomyślnie obszedłem się z prehistorycznym przedmiotem. Topór tak traktowany mógł ulec zniszczeniu.

— Tylko próbowałem... Przepraszam.

\* \* \*

Do późnej nocy głowiliśmy się nad zagadką archiwów. Nie znaleźliśmy wszakże rozwiązania. Było już po północy, gdy Louren odprowadził mnie do chaty.

— Jestem tu już dwa tygodnie i nie mogę zostać dłużej. Boże, kiedy pomyślę, jak bardzo zaniedbałem swoje obowiązki, odkąd zaczęliśmy wykopaliska!

Przystanęliśmy przed drzwiami. Louren zapalił cygaro.

— Co takiego jest w tym miejscu, co sprawia, że zachowujemy się tak... dziwnie, Ben? Czy ty też to czujesz? Irracjonalne uczucie... przeznaczenia.

Moje nieme potwierdzenie ośmieliło go do snucia dalszych rozważań.

Ten topór na przykład. On zrobił coś z tobą, Ben. kilka minut byłeś kimś zupełnie innym.

— Wiem.

— Jestem zdecydowany jak najszybciej odczytać zwoje. Musimy zacząć zaraz!

— To praca na dziesięć lat, Lo. Będziesz musiał uzbroić się w cierpliwość.

— Cierpliwość nie jest moją cnotą, Ben. Ostatniej nocy czytałem o odkryciu grobu Tutenchamona. Lord Carnarvon dokonał odkrycia, ale zmarł, nim zdołał zobaczyć sarkofag faraona.

— Bądź rozsądny, Lo.

— W porządku — zgodził się. — Ale nie traćmy czasu, Ben.

— Załatw mi Hamiltona — poprosiłem. — Bez niego nie ruszymy z miejsca.

— Będę w piątek w Londynie — powiedział Louren. — Zobaczę się z nim.

— To uciążliwy stary dziwak — ostrzegłem. Louren uśmiechnął się.

— Zostaw go mnie. A teraz posłuchaj. Jeśli znajdziecie tu cokolwiek nowego, zaraz mnie zawiadomisz, dobrze? Chcę być tutaj, gdy to się stanie.

— Kiedy c o się stanie?

— Nie wiem. Coś. Tu jest coś jeszcze, Ben, wiem to.

— Może masz rację...

Kiedy pracowaliśmy w archiwach, zbierając ludzkie szczątki i stopy broni, na placu pojawiła się brygada budowlana, która miała wznieść magazyn do przechowywania rulonów. To był kolejny duży skład zbudowany z prefabrykatów, wyposażony w szczelne drzwi i potężny klimatyzator, którego zadaniem było utrzymywanie zwojów w optymalnej temperaturze i wilgotności. Ze względów bezpieczeństwa wokół budowli wzniesiono wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego.

Przedsięwzięto także inne środki ostrożności.

Brygada budowlana postawiła też dla rozszerzonego zespołu następne kwatery, których pierwszymi mieszkańcami byli czterej wysocy urzędnicy reprezentujący rząd Botswany — To właśnie rząd zakazał wywozu zwojów ze swego terytorium. Delegacja została dwa dni, a potem opuściła nas, przekonana, że interesy narodowe nie doznają uszczerbku. Zanim urzędnicy wyjechali, wymogłem na nich uroczystą obietnicę dochowania tajemnicy. Ujawnienie znaleziska mogło nastąpić tylko na mój sygnał.

Zaczęliśmy znakować i zdejmować gliniane dzbany z półek, dokładając wszelkich starań, by za pomocą fotografii i ręcznych notatek określić dokładne usytuowanie każdego z nich. Układano je w porządku chronologicznym, a to powinno ułatwić interpretację znalezisk.

W poniedziałek otrzymałem lakoniczną depeszę od Lourena: „Hamilton niedostępny. Proszę o inną sugestię”.

Byłem rozczarowany, urażony i zły. Rozczarowany, ponieważ Hamilton był najlepszy na świecie i jego obecność natychmiast nadałaby mojemu odkryciu szczególnego znaczenia. Urażony, ponieważ Hamilton z pewnością uważał, że moje odkrycia są niewiele warte. Moja reputacja była przecież nadszarpnięta przez złośliwe ataki krytyków i przeciwników naukowych. Hamilton uległ ich wpływom. Wreszcie byłem zły, ponieważ odmowa tego uznanego autorytetu stanowiła dla mnie osobistą zniewagę. Potraktował mnie jak pariasa, zniechęcając w ten sposób innych do udzielenia mi pomocy, której tak rozpaczliwie potrzebowałem.

— Nie dał mi żadnej szansy — poskarżyłem się Sally. — Nie chciał mnie nawet wysłuchać. Nie zdawałem sobie sprawy, że traktują mnie jak trędowatego. Jakby rozmowa ze mną mogła zrujnować ich reputację!

— Chudy, łysy, stary kozioł — pocieszyła mnie Sally. — Lubieżny podrywacz i...

— I największy autorytet na świecie w zakresie starożytnych pism — dokończyłem cierpko. Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy.

Nagle Sally ożywiła się.

— Jedźmy i namówmy go!

— Nawet nie zechce rozmawiać z nami.

— Nie odmówi spotkania ze mną — zapewniła. Za tymi słowami kryła się nie opowiedziana historia, przyprawiająca mnie o zazdrość. Sally pracowała z Hamiltonem przez trzy lata i mogłem się jedynie pocieszać, że jej wymagania są na tyle wysokie, by wykluczyć Eldridge'a Hamiltona jako kochanka.

\* \* \*

Trzy dni później siedziałem w Bell at Hurley przy kuflu przedniego angielskiego piwa, niespokojnie zerkając na podjazd dla samochodów. Znajdowałem się zaledwie piętnaście minut jazdy od Oxfordu i Sally już dawno powinna być z powrotem.

Czułem się zmęczony, zirytowany i przygnębiony po denerwującym nocnym locie z Johannesburga na Heathrow. Sally zadzwoniła do Hamiltona z lotniska.

— Profesorze Hamilton, mam nadzieję, że nie przeszkadzam panu — gruchała. — Sally Benator, czy pan sobie przypomina? Pracowałam pod pana kierunkiem w 1966... Właśnie, Sally-Zielone Oczy — zachichotała. — Jestem w Anglii przejazdem, dzień albo dwa. Poczulałam tęsknotę za dawnymi laty. To były cudowne czasy!... Lunch? Znakomicie, profesorze. Może przyjadę po pana? Wynajęłam samochód. — Tryumfalnie uniosła kciuk. — Bell at Hurley? Tak, oczywiście, pamiętam. Jak mogłabym zapomnieć! — Spojrzała na mnie, przybierając udęczony wyraz twarzy. — Czekam niecierpliwie.

Srebrny jaguar wślizgnął się na parking. Za kierownicą dostrzegłem Sally. Z przepaską na włosach nie wyglądała na osobę, która spędziła czternaście godzin w ciasnym siedzeniu międzykontynentalnego odrzutowca.

Zsunęła się z siedzenia, obdarowując mnie krótkim błyskiem pięknie opalonych ud, i zbliżała się ku mnie, uwieszona u ramienia Eldridge'a Hamiltona.

Hamilton był wysokim, lekko przygarbionym pięćdziesięciolatkiem. Obszerny tweedowy garnitur ze skórzanymi łatami na łokciach wisiał na jego wychudzonym ciele niczym worek. Łysa czaszka świeciła jak wypolerowana. Koniec końców nie był groźnym konkurentem, ale kiedy zerkał na Sally, jego oczy błyskały zza ciężkich rogowych okularów, a usta układały się w wyraz pożądania, ukazując przy okazji fatalny stan uzębienia. Wysoką cenę przyszło mi płacić za jego ewentualną współpracę.

Sally przyprowadziła go do mojego stolika i dopiero wtedy rozpoznał mnie. Stał jak wmurowany i zobaczyłem, że mruga intensywnie. Zorientował się, iż podeszliśmy go. Przez chwilę miałem wrażenie, że zastanawia się, czy nie odwrócić się na pięcie i wyjść.

— Eldridge! — Poderwałem się z krzesła. — Jak wspaniale znowu cię zobaczyć!  
— A kiedy jeszcze się wahał, ująłem go za łokieć, zaciskając dłoń jak imadło. — Zamówiłem dla ciebie duży dzin Gilbeya i tonic. Tym lubisz się truć, nieprawdaż?

Od naszego ostatniego spotkania minęło pięć lat, więc moja pamięć o jego upodobaniach trochę go zmiękczyła. Pozwolił Sally posadzić się na krzesło i wziął szklaneczkę z dzinem. Podczas gdy Sally i ja, używając całego swego wdzięku, staraliśmy się go urobić, zachowywał pełen rezerwy dystans, póki pierwsza szklaneczka dzinu nie zniknęła w jego gardle. Zamówiłem następną, i zaczął mięknąć, a w połowie trzeciej był już filuterny i gadatliwy.

— Czytałeś w Journalu replikę Wilfreda Snella na twoją książkę Ofir? — zapytał. Wilfred Snell był najbardziej wrzaskliwym i bezlitosnym z moich naukowych adwersarzy. — Zabawne, co? — zarżał, kładąc łapę na jednym z przepięknych ud Sally.

Mam spokojne usposobienie, ale w tym momencie z trudem pamiętałem o tym. Na mojej twarzy musiał pojawić się grymas zazdrości, paznokcie wbiłem w dłoń niczym szpony. Z trudem zwalczyłem chęć włóczenia Eldridge'a za resztki włosów wokół całego pomieszczenia.

Sally umknęła jego dłoni i zaproponowała zduszonym głosem:

— Chodźmy na lunch, dobrze?

W jadalni rozegrał się błyskawiczny pojedynek pomiędzy Eldridge'em, który usiłował zająć miejsce tuż przy Sally, a mną, gdyż z całych sił usiłowałem mu w tym przeszkodzić. Przechytryliśmy go. Pozwoliliśmy mu rozsiaść się z tryumfującą miną obok Sally wciśniętej w kąt, po czym zawołałem z troską:

— Sally, siedzisz w przeciagu! — I zgrabnie jak baletnice zamieniliśmy się miejscami.

Wówczas dopiero mogłem się rozluźnić i poświęcić uwagę bażantowi, który z pewnością zasługiwał na zainteresowanie.

Z typowym dla siebie taktem Eldridge wrócił do tematu.

— Spotkałem się niedawno z waszym przyjacielem, tym wielkim facetem, kimś pomiędzy okazowym modelem samca a zawodowym zapaśnikiem. Ma wymowę jak zagrypiony Australijczyk. Opowiadał jakieś bajdy o zwojach, które znaleźliście w jaskini blisko Kapsztadu. — Zarżał, przerywając rozmowy w sali jadalnej. — Cholerny cwaniak, miał czelność proponować mi pieniądze! Znam ten typ ludzi. Na niczym się nie zna, a gada, jakby pojadł wszystkie rozумы. Miał wypisane na całym ciele „ignorant”, i to wielkimi literami.

Patrzyliśmy na niego oszołomieni wnikliwością i mistrzowską wprost oceną cech Lourena.

— Posłałem go, rzecz jasna, do wszystkich diabłów — oświadczył i z zadowoleniem wepchnął do ust kawałek bażanciej piersi.

— No cóż, pewnie słusznie postąpiłeś — powiedziałem. — Nawiasem mówiąc, to miejsce znajduje się w Botswanie, tysiąc pięćset mil od Kapsztadu.

— Ach, tak? — mruknął Eldridge, okazując brak zainteresowania tak uprzejmie, jak tylko może uczynić to człowiek mający usta pełne jedzenia.

— Louren Sturvesant figuruje na liście Time'a wśród trzydziestu najbogatszych ludzi na świecie — wspomniała Sally.

Eldridge przestał gryźć i otworzył usta, obdarowując nas widokiem na wpeł przeżutego mięsa.

— To on finansuje moje badania. Wyłożył już dwieście tysięcy dolarów, a nie ustanowił górnego limitu — dodałem.

Eldridge zwrócił ku mnie udręczoną twarz. Louren należał do mecenasów badań naukowych tak rzadkiego rodzaju jak jednorożec i Eldridge poniewczasie zorientował się, że kogoś takiego odprawił z kwitkiem. Opuściło go nagle zadowolenie!

Dałem znać kelnerowi, żeby zabrał mój talerz, i przysięgam, że czułem szczere współczucie dla Eldridge'a, gdy otworzyłem neseser i wyjąłem z niego cylindryczną paczkę, owiniętą w ochronną warstwę płótna.

— Jutro mam spotkanie z Rubenem Levym w Tel Awiwie. — Rozwinąłem opakowanie. — Mamy tysiąc sto czterdzieści dwa takie rulony. Ruby będzie miał zajęcie na ładnych parę lat. Oczywiście Louren Sturvesant odwdzieczy się mu za pomoc dotacją dla Wydziału Archeologii Uniwersytetu w Tel Awiwie. W grę wchodzi sto tysięcy dolarów, a nie zdziwię się, jeśli wydział otrzyma również kilka zwojów.

Eldridge przełykał bażancie mięso, jakby to było tłuczone szkło. Wytarł usta i palce w serwetkę, po czym pochylił się nad zwojem.

— Z południowych równin traw — przeczytał szeptem, przy czym zauważyłem różnicę między jego przekładem a tym dokonany przez Sally — otrzymano sto dziewięćdziesiąt dwa duże kły słoniowe ważące dwieście dwadzieścia jeden talentów. — Jego głos ucichł, ale usta wciąż się poruszały. Kiedy odezwał się wreszcie, nie mógł opanować drżenia głosu. — Styl punicki z drugiego wieku przed Chrystusem. Widzicie użycie połączeń środkowego „M” i pochylenie liter? To poprzedza pierwszy wiek przed Chrystusem. Tutaj, Sally, widzisz archaiczną kreskę w „A”?

— Mamy ponad tysiąc takich rulonów ułożonych w porządku chronologicznym. Levy jest zachwycony — przelałem mu delikatnym kłamstwem.

— Levy! — prychnął Eldridge, a w szklach jego okularów odbiła się złość. — Levy! Poza hebrajskim i egipskim staje się bezradny jak niemowlę w lesie! — Zacisnął dłoń na moim przegubie. — Ben! Nalegam, bezwzględnie nalegam na powierzenie mi tej pracy!

— A co z opinią Wilfreda Snella na temat moich teorii? Wydawało mi się, że tobie też wydają się zabawne... — Już był mój, mogłem sobie pozwolić na odrobinę złośliwości. — Jak czułbyś się pracując z kimś o tak podejrzanych poglądach?

— Wilfred Snell — powiedział z przejęciem Eldridge — to kompletny bałwan. Czy on znalazł tysiąc punickich zwojów?

— Kelner! — zawołałem. — Proszę nam przynieść dwie duże brandy cordon argent.

— Proszę przynieść trzy — sprostowała Sally.

Kiedy brandy rozlewała się po moim ciele łagodnym ciepłem, przysłuchiwałem się Eldridge'owi, roztkliwiającemu się nad naszym znaleziskiem i wypytywającemu

Sally o dokładne miejsce i datę odkrycia. Doszedłem do wniosku, że zaczynam lubić tego faceta. To prawda — miał zęby jak pnie w lesie spustoszone przez pożar, ale i ja nie jestem doskonałym okazem mężczyzny. Prawdą również było, że czułem słabość do dzinu Gilbeya i do ładnych dziewcząt, ale pod tym względem różniło nas tylko upodobanie do rodzaju trunku. Kimże w końcu jestem, by twierdzić, że glen grant jest alkoholem najdoskonalszym?

Zdecydowałem w duchu, że będę z nim pracował tak długo, jak długo będzie trzymał swoje kościste szpony z daleka od Sally.

Eldridge dołączył do nas w tydzień po naszym powrocie do Księżycowego Miasta. Powitaliśmy go na lądowisku. Niepokoiłem się, czy przybycie z opanowanej przez zimę północy w sam środek naszego lata nie nadweręży jego odporności. Nie potrzebowałem się jednak martwić. Był jednym z tych facetów, którzy przekrzywiwszy na bakier tropikalny hełm wychodzą w południową spiekotę i nawet się nie pocą. Jego bagaż składał się z niewielkiej walizki, mieszczącej rzeczy osobiste, i z tuzina dużych skrzyń wypełnionych chemikaliami i pozostałym niezbędnym wyposażeniem.

Zorganizowałem obchód terenu wykopalisk, nadaremnie wszakże usiłując zainteresować profesora miastem i jaskinią. Eldridge był naukowcem o bardzo wąskiej specjalizacji.

— Tak — powiedział tylko. — Bardzo interesujące. A teraz pokaż mi zwoje.

Myślę, że nawet wtedy miał jeszcze wątpliwości, ale zaprowadziłem go do archiwum. Mruczał jak stary kocur, spacerując wzdłuż kamiennych półek.

— Ben — powiedział w końcu. — Jest jeszcze jedno do uzgodnienia. Ja napiszę rozprawę o tych zwojach, zgoda?

Jesteśmy dziwnym gatunkiem; pracujemy nie dla pieniędzy, ale dla sławy. Eldridge chciał zyskać pewność, że nic mu w tej dziedzinie nie umknie.

— Zgoda! — Uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Wobec tego nic już nie przeszkadza mi w natychmiastowym rozpoczęciu pracy — oznajmił.

— Nic — powiedziałem. — Teraz już nic.

\* \* \*

Obchodzenie się ze zwojami było raczej kwestią sztuki niż samej nauki. W każdym kolejnym przypadku Hamilton stosował odmienny sposób podejścia, uzależniając go od stanu zachowania dokumentu, jakości skóry, składu atramentu i innych czynników. W momencie słabości Sally przyznała mi się, że nie podołałaby zadaniu wymagającemu doświadczenia, jakim dysponował Hamilton.

Eldridge pracował jak średniowieczny alchemik, zaparowując i nasączając, spryskując i malując obiekty swych zabiegów. W jego pracowni panował zapach odczynników chemicznych i inne dość przykre wonie. Palce jego i Sally pokryły się plamami. Sally doniosła mi, że zaabsorbowanie pracą zredukowało zwierzęce instynkty Eldridge'a do zdawkowych uścisków.

Każdy z rulonów był rozwijany, badano jego stan, a potem rozpoczynano drobiazgowo tłumaczenie tekstu. Dokumenty okazywały się księgami handlowymi miasta albo proklamacjami Wielkiego Lwa i Rady Dziewięciu Rodzin. Autorami byli bezimienni urzędnicy, piszący stylem zwięzłym i suchym, pozbawionym poetyckich uniesień i drobiazgowych opisów. Wybitnie utilitarne obserwacje piszących odzwierciedlały styl ich życia. Dyskutowaliśmy o tym podczas naszych nocnych spotkań.

— To typowo punickie — twierdził Eldridge. — Nie przykładali wagi do sztuki

zdobniczej. Ich garncarstwo było prymitywne i nastawione na produkcję masową. Według mnie ich rzeźba jest szkaradna.

— Tworzenie prawdziwych dzieł sztuki wymaga zamożności, czasu i poczucia bezpieczeństwa — skomentowałem jego opinię.

— To prawda, przykładem są Grecy i Rzymianie. Kartagina, a wcześniej Fenicja, często zagrożone, musiały walczyć o przetrwanie. Fenicjanie byli kupcami i wojownikami, dbającymi raczej o powiększanie swojej potęgi niż o subtelności życia codziennego.

— Nie musimy cofać się aż tak daleko. Współczesna sztuka również rozwija się głównie w krajach bogatych i o silnym poczuciu bezpieczeństwa.

— A my, biali Afrykanie, jesteśmy jak dawni Kartagińczycy — powiedziała Sally.  
— Złoto jest dla nas cenniejsze niż sztuka.

Zwoje potwierdziły nasze teorie. Złoto z Zimbao i Puntu, kość słoniowa, skóry i suszone mięso, solone ryby z jezior, wino i olej, miedź ze wzgórz Tuya, sól z panwi ciągnących się wzdłuż zachodnich brzegów jezior, cyna ze zbiegu dwóch rzek, ziarno w koszach z plecionej wikliny — ze środkowego królestwa, kamienie słoneczne z południowych rzek pełnych krokodyli, żelazne sztaby z kopalni Sala, i niewolnicy, dziesiątki tysięcy istot ludzkich traktowanych jak zwierzęta domowe.

Kroniki datowały się od jakiegoś nie skonkretyzowanego punktu w czasie, a każdy zapis poprzedzało określenie w rodzaju: „W roku sto sześćdziesiątym dziewiątym, miesiącu słonia”. Na tej podstawie doszliśmy do wniosku, że ich rok — na który składało się trzysta sześćdziesiąt pięć dni — podzielony był na dziesięć miesięcy.

Kiedy już ustaliliśmy naturę rulonów, zaproponowałem Eldridge'owi, zamiast systematycznego przedzierania się przez zbiór, pobranie próbek i opracowanie na ich podstawie historii miasta. Przystał na moją sugestię i w ten sposób ułożyliśmy obraz rozległego skolonizowania Afryki Środkowej i Południowej przez naród wojowniczy i energiczny, osiadły w mieście Opet i rządzony przez dziedzicznego króla

— Wielkiego Lwa — oraz oligarchię dziewięciu rodów szlacheckich. Dekrety Rady rozciągały się na dziedziny tak rozległe jak pogłębianie kanałów na jeziorze i zapobieganie rozprzestrzenianiu się roślinności wodnej, aż po wybór posłańców do bogów Baala i Isztar. Imię Isztar było stosowane powszechniej niż kartagińska forma Tanith. „Posłańcy”, jak przypuszczaliśmy, byli ofiarami składanymi z ludzi.

Odkrywaliśmy pieczołowicie sporządzone drzewa rodów, skonstruowane podobnie jak system żydowski. Każdy szlachetnie urodzony mężczyzna i kobieta mogli prześledzić swoje linie genealogiczne aż do początków założenia miasta. Z kronik wynikało jasno, że religia mieszkańców Opetu była częścią porządku życia, formą wielobóstwa, w której główne role odgrywały dwa bóstwa: męskie — Baal i żeńskie — Isztar.

Kiedy wędrowaliśmy przez czas, odnajdywaliśmy wpływ nowych okoliczności, nowych wypadków na decyzje rządzącego władcy. Nagłe wezbranie wód jeziora Opet zaczęło zagrażać istnieniu miasta, i w roku dwieście dziewięćdziesiątym szóstym Wielki Lew posłał siedem tysięcy niewolników do pomocy przy utrzymaniu przepustowości kanałów łączących jezioro niewolników morzem. Wysłał również kolumnę tysiąca swoich gwardzistów pod dowództwem kapitana Ramose, z poleceniem podążania na wschód, ku wschodzącemu słońcu, niezatrzymywania się i niepoddawania determinacji, póki nie dotrą do wschodniego morza i nie odkryją drogi do lądów północy. Istnienie tych lądów zakładał kapitan i nawigator Habbakuk Lal.

Rok później Ramose powrócił jedynie z siedemdziesięcioma ludźmi. Reszta zginęła w krainie zabójczych bagien i śmiertelnej gorączki. Wyprawa dotarła jednak do wschodniego morza, gdzie odnaleziono miasto kupców i morskich podróżników — ludzi ciemnych i brodatych, odzianych w piękne tkaniny i owijających czoła tym



samym materiałem. Ramose został nagrodzony dwudziestoma palcami złota i dwudziestoma niewolnikami.

Mieszkańcy Opetu napotkali Arabów, których znali pod nazwą „Drawów” (osiedlali się oni na wybrzeżu Sofala).

Śledziliśmy coraz bardziej desperackie poszukiwania przez Wielkiego Lwa nowych źródeł niewolników. Do nadzorców kopalni rozesłano rozkazy, aby przedsięwzięli wszelkie środki przedłużające życie niewolników. Zwiększono przydzielane im racje mięsa i ziarna, podnosząc wprawdzie w ten sposób koszty produkcji, ale polepszając zarazem kondycję niewolników. Właścicielom polecono regularne zapładnianie wszystkich niewolnic. Ekspedycje poszukujące nowych niewolników wysyłano wciąż dalej i dalej. Z opisów łapanych żółtoskórych Yuye domyśliśmy się, że byli oni przodkami Hotentotów.

Później Wielki Lew okazywał zachwyty z powodu powrotu północnej ekspedycji z pięciuset dzikimi Nubijczykami, wysokimi i silnymi, a dowódca wyprawy nagrodzony został dziesięcioma palcami złota. Zachwyty króla przemijały z wolna w ciągu następnych lat, gdy potężna masa czarnej społeczności rozprzestrzeniła się na północ od wielkiej rzeki — Rozpoczęły się wielkie migracje Bantu i od tej pory troską Wielkiego Lwa stało się zatrzymanie ludzkiej powodzi płynącej ku południu. Legiony bezustannie patrolowały granicę.

Próbki zwojów dawały nam pewne ulotne migawki z przeszłości, ale sporządzone były w formie sprawozdań. Jakże pragnęliśmy odnaleźć zapisy w stylu Pliniusza albo Liwiusza, które tchnęłyby nieco życia w te skrupulatne, lecz suche rejestry.

Każdy odczytany fakt wywoływał setkę pytań, na które nie znajdowaliśmy odpowiedzi. Najbardziej intrygowało nas, skąd przybyli ludzie Opetu i kiedy? Dokąd odeszli i dlaczego?

Mieliśmy nadzieję, że odpowiedzi na te podstawowe pytania są ukryte gdzieś w labiryncie zapisów, a tymczasem zadowalaliśmy się wyjaśnianiem mniej istotnych zagadnień.

Nie było trudno zlokalizować miejsca wspomniane w kronikach. Zimbao i Punt były południowymi i północnymi terytoriami współczesnej Rodezji; wielka rzeka to Zambezi; jeziora zniknęły; ogrody Zeng to z pewnością tarasowate zbocza w okolicach Inyanga we wschodniej Rodezji, wzgórze Tuya musiały być bogatymi w miedź prowincjami Sinoia. Krok po kroku dowodziliśmy obecności mieszkańców Opetu w niemal wszystkich starożytnych miejscach, a jednocześnie odtwarzaliśmy proces gromadzenia bezmiernego skarbu. Choć większa część tego bogactwa została wywieziona „na zachód”, to jednak wszędzie występował zapis: dziesiąta część dla Wielkiego Lwa.

Gdzie złożono ten skarb i co się z nim stało? Czy zniknął Razem z miastem, czy wciąż był gdzieś tutaj w jakimś sekretnym skarbcu, ukrytym na Wzgórzach Krwi?

Traktując to jak ćwiczenie, pokusiłem się o teoretyczne oszacowanie wielkości owego skarbu. Zakładając, że palec złota oznaczał sztabkę w kształcie palca, jaką znaleźliśmy wśród fundamentów miasta, spisałem z rejestrów ogólny napływ cennego metalu w wybranych dwudziestu kilku latach, począwszy od roku trzysta czterdziestego piątego, a skończywszy na pięćset pierwszym. Zorientowałem się, że poprzednie szacunki były niezgodne z zapisami. W miejsce siedmiuset pięćdziesięciu ton złota wstawiłem więc nowe dane — globalne wydobycie z dawnych kopalni nie mogło być mniejsze niż cztery tysiące ton, z czego dziesiąta część przypadła Wielkiemu Lwu.

Przyjmując, że połowa z tego została wydana na utrzymanie armii, budowę świątyni i inne prace publiczne, wciąż pozostawała oszałamiająca ilość dwustu ton złota, które mogło być schowane w mieście albo w jego pobliżu. Dwieście ton

przedstawiało fortunę o wartości prawie osiemdziesięciu milionów funtów.

Kiedy pokazałem swoje wyliczenia Lourenowi, który odwiedził nas po raz kolejny, zobaczyłem chciwość w jego jasnoniebieskich oczach. Zabrał mi kartkę, na której dokonywałem obliczeń, a następnego ranka, tuż przed wejściem na pokład leara odlatującego do Johannesburga, rzucił niedbale:

— Wiesz, Ben, naprawdę wydaje mi się, że ty i Ral powinniście spędzać więcej czasu na przetrząsaniu terenu wzdłuż urwiska, zamiast tkwić wciąż w archiwach.

— Czego mielibyśmy tam szukać?

— Cóż, starożytni mieli zręczne pomysły, jeśli chodzi o chowanie różnych rzeczy. Musieli być niesłychanie tajemniczym ludem; wciąż na przykład nie odnaleźliśmy ich cmentarzy.

— A więc chcesz zrobić ze mnie hienę cmentarną? — Uśmiechnąłem się krzywo, a on roześmiał się i powiedział:

— Gdybyś przypadkiem natrafił na skarbiec, nie miałbym ci tego za złe. Ostatecznie osiemdziesiąt melonów to nie byle co...

Przenieśliśmy do naszego składu dwieście sześćdziesiąt jeden dzbanów. Eldridge i Sally mieli dość materiału na dwa albo trzy miesiące, zdecydowałem się więc odłożyć pracę w archiwach na rzecz drobiazgowego przeszukania terenu.

Nastał listopad, nazywany w Afryce „miesiącem samobójców”. Słońce niczym młot atakowało kowadło ziemi, ale my, nie zważając na to, wytrwale kontynuowaliśmy pracę. Odpoczywaliśmy tylko dwie godziny w środku dnia, gdy skwar był wręcz zabójczy, a urok zielonych, chłodnych wód szmaragdowego basenu — nieodparty.

Byliśmy już przygotowani na sztuczki i podstępny starożytnych mieszkańców Opetu. Gorzkie doświadczenie nauczyło nas, że zręcznie zacierali za sobą wszelkie ślady. Ral i ja jeszcze raz sfotografowaliśmy każdy kawałek jaskini, używając filmu do zdjęć w podczerwieni. Nie odkryliśmy jednak żadnych zamaskowanych przejść.

Pracowaliśmy więc na zewnątrz. Codziennie oznakowywałem odcinek, który następnie drobiazgowo przeczesywaliśmy. Nie zadowolając się tylko oglądaniem, wodziliśmy rękami po skałach jak niewidomi.

Każdy dzień przynosił drobne sensacje. Ścigała mnie na przykład czarna mamba o oczach jak paciorki i drgającym czarnym języku, którą oburzyło moje szperanie wokół szczeliny będącej jej domem. Ral był pod wrażeniem szybkości, jaką osiągnąłem uciekając, i zaproponował, żebym poświęcił się bieganiu zawodowemu.

Tydzień później mogłem mu się odplacić, wyrażając podziw wobec zmian, jakie uczyniły na jego twarzy żądła chyba dwudziestu dzikich pszczoł. Wyglądał jak włochata dynia z wąskimi szparkami oczu. Przez pięć dni biedny Ral był zupełnie bezużyteczny jako pomocnik.

Przeminał listopad, a w połowie grudnia spadło trochę deszczu, w ilości przeciętnej dla tej części Afryki. Kurz został lekko spłukany i na tym skończyła się pora deszczowa. Domyślałem się, że kiedyś jezioro Opet gwarantowało obfitsze i bardziej regularne opady.

Ral i ja pracowaliśmy dalej, niestety, bez żadnych rezultatów. Pomimo wyniszczającego, morderczego słońca, większość wieczorów spędzaliśmy nad mapą fundamentów miasta. Próbowaliśmy dociec, w którym miejscu starożytni mogli zlokalizować swoje grobowce. Wtedy właśnie szczerze polubiłem Rala, widząc w tym niestrudzonym młodzieńcu zadatki na jednego z wielkich w naszej profesji. Postanowiłem po zakończeniu wykopalisk zaproponować mu stałą posadę w instytucie.

Natomiast Eldridge Hamilton, wspomagany przez Sally i Leslie, zbierał obfite żniwo. Każdego wieczoru spędzałem z nimi godzinę w klimatyzowanym magazynie,

podziwiając ich codzienne dokonania. Stos arkuszy przepisanych na maszynie przekładów piętrzył się wciąż wyżej i wyżej, a marginesy każdej strony były gęste od notatek profesora.

\* \* \*

Nadeszły święta. Usiedliśmy pod księżycem wielkim i lśniącym jak srebrny gong, obdarowując się prezentami i deklarując przyjaźń. Zaśpiewałem White Christmas, naśladując Binga Crosby'ego, chociaż temperatura tej nocy wynosiła około dwudziestu pięciu stopni. A potem Eldridge i ja wykonaliśmy w duecie Jingle Bells. Eldridge zapomniał słów, ale jodłował ślicznie, szczególnie po dziesiątym dużym dzinie. Ciągle jeszcze jodłował, gdy nieśliśmy go z Ralem do łóżka.

Krótko po Nowym Roku wydarzyło się coś, co można by porównać z wizytą królewską. Hilary Sturvesant zmusiła wreszcie Lourena, by przywiózł ją na teren wykopalisk. Mieliśmy tydzień na przygotowanie się na ich przybycie. Hilary zabierała z sobą starsze dzieci, a ja wychodziłem z siebie na myśl, że będę miał przy sobie kobiety, które darzę największym uczuciem. Pozostawiłem przeszukiwanie urwisk Ralowi i zakrzętałem się wokół przygotowań na przyjęcie gości. Sprawdzałem nasze zapasy coca-coli i czekoladek — artykułów pierwszej potrzeby, czyniących życie Bobby Sturvesant w miarę znośnym.

Przybyli w porze lunchu. Atmosfera zaczęła błyskawicznie gęstnieć. Sally nie stawiała się na posiłek; przekazała tylko wiadomość, że boli ją głowa. Później spostrzegłem ją przemyskającą z ręcznikiem w kierunku basenu.

Eldridge i Louren wspominali swoje ostatnie spotkanie. Odnosili się do siebie wrogo jak para jeleni na rykowisku. Przypomniałem sobie przechwałki Eldridge'a, opowiadającego, jak to posłał Lourena do wszystkich diabłów. Wymieniali kunsztowne docinki, a ja z całych sił próbowałem zapobiec otwartej walce. Kiedy Eldridge powiedział coś o ludziach posiadających „więcej pieniędzy niż wychowania i rozumu”, pomyślałem, że właśnie tracę eksperta.

Było oczywiste, że Hilary i Louren są uwikłani w jakiś spór rodzinny, który uniemożliwiał im zwracanie się do siebie bezpośrednio. Komunikowali się za pośrednictwem Bobby, wygłaszając uwagi w rodzaju: „Zapytaj, proszę, matkę...” albo: „Jeśli ojciec chce...”

Przy stole Hilary nosiła ciemne okulary i mogłem się domyślić, że kryje za nimi oczy zaczerwienione od płaczu. Była milcząca i powściągliwa. Ralem i Leslie oświadczyło onieśmielenie spowodowane towarzystwem Sturvesantów, więc gdy Louren i Eldridge zdecydowali się na zawieszenie broni, tylko ja i Bobby dyskutowaliśmy zawzięcie.

Bobby w pełni wykorzystwała załamanie się rodzicielskiej kontroli i stała się naszym utrapieniem. W czasie całego posiłku popisywała się bezwstydnie albo bezczelnie sprzeciwiała wszystkiemu. Z największą radością przełożyłbym ją przez kolano i sprął.

Gdy posiłek dobiegł wyczekiwanego końca, Eldridge wycofał się do magazynu, a Ral i Leslie ulotnili się. Louren poprosił mnie o kluczyki od land rovera, a po chwili zobaczyłem go odjeżdżającego z dubeltówką na północ. Hilary i dzieci zostały pod moją opieką. Zabrałem żonę Lo na obchód muzeum i wkrótce zafascynowanie naszymi eksponatami przyćmiło jej zdenerwowanie.

Już wcześniej wyczyściłem i wypolerowałem topór wojenny. Błyszczą srebrem, złotem i kością słoniową, a więc nim udaliśmy się do składu zwojów, przestudiowaliśmy jego mistrzowskie wykonanie. Kiedy weszliśmy do składu, Sally ledwie raczyła unieść głowę, a Hilary skierowała cały swój czar ku Hamiltonowi. Nie

potrafił się jej oprzeć; zanim wyszliśmy, zyskała następnego wielbiciela.

Poszliśmy z kolei do jaskini i usiedliśmy nad basenem, a dzieci pluskały się w chłodnej, zielonkawej wodzie. Rozmawialiśmy jak para starych i dobrych przyjaciół, ale minęło trochę czasu, zanim Hilary zmusiła się do zadania mi nurtującego ją pytania.

— Ben, czy zauważyłeś, jak on się zmienił? — Pradawne pytanie nieszczęśliwej kobiety, na które udzieliłem równie starej odpowiedzi.

— Pracuje bardzo ciężko, Hil.

— Tak. Buduje sieć luksusowych hoteli na wyspach: Komory, Seszele, Madagaskar. To go wyczerpuje.

Kiedy szliśmy powoli w kierunku pogrążających się w mroku chat, zapytała nagle:

— Czy myślisz, że ma inną kobietę, Ben?

— Dobry Boże, Hil! Cóż ci przychodzi do głowy?

— Nie wiem. On robi się taki... — Przerwała i westchnęła.

— Gdzie znajdzie coś więcej, niż ma teraz? — spytałem łagodnie.

Ujęła moją dłoń i uściśnęła.

— Ben, co byśmy bez ciebie zrobili?

Poszedłem pocałować Bobby na dobranoc i powiedziałem, co myślę o jej zachowaniu w czasie lunchu. Pociągając nosem, oznajmiła, że jest jej przykro. Ucałowaliśmy się, przytulili i uzgodniliśmy, że wciąż się kochamy. Zasnęła, zanim zgasiłem światło, a ja ze zmartwiałym sercem powędrowałem do świetlicy.

W progu zamarłem ze zdziwienia: Louren, Eldridge i Sally stali stłoczeni w przyjacielskim i ożywionym kręgu nad plikiem tłumaczeń, a Ral i Leslie ochoczo omawiali swoje małżeńskie plany z Hilary. Przemiana była cudowna. Z uczuciem ulgi skierowałem się ku butelce glen granta i napełniłem szklaneczkę.

— Dla mnie też! — Sally podeszła do mnie. Nie było po niej widać żadnych oznak migreny. Na jej twarzy ostro lśniła jaskrawa szminka, a jedwabna sukienka ukazywała mocno opalone plecy i ramiona. Spięła włosy; rzadko wyglądała tak uroczo.

Nalałem jej drinka i przyłączyliśmy się do rozmowy na temat zwojów. Zwalczywszy swój popołudniowy nastrój, Louren stał się tak czarujący, że nawet Eldridge nie był w stanie oprzeć się jego wdziękowi.

— Profesor Hamilton wykonał znakomitą pracę, Ben. Muszę pogratulować ci wyboru współpracownika.

Eldridge uśmiechał się skromnie.

— Jest coś, czego nie możemy dłużej odkładać — kontynuował Louren. — Musimy wkrótce ujawnić nasze odkrycie. Nie możemy dłużej utrzymywać go w tajemnicy. Myślałeś już o tym?

— Cóż, prawdę mówiąc... — Zawahałem się. Nienawidziłem prosić Lourena o pieniądze. — Myślałem o czymś na dużą skalę.

— Tak?... — zachęcił mnie do dalszej wypowiedzi.

— Myślałem o zwołaniu w Królewskim Towarzystwie Geograficznym sympozjum na temat prehistorii Afryki. Eldridge jest członkiem rady. Jestem pewny, że mógłby to zorganizować... — Spojrzałem na profesora. Skinął głową. — Może Sturvesant International mogłoby pełnić rolę gospodarza, dowieźć delegatów do Londynu i opłacić ich wydatki?

Louren odrzucił głowę w tył i roześmiał się serdecznie.

— Wiem, co knujesz, Ben. Przejrzałem cię. Chcesz zebrać wszystkich swoich krytyków i wrogów w uświęconych murach towarzystwa i zabawić się w Ala Capone'a archeologii. Mówiąc wprost, masz zamiar publicznie skopać im tyłki. Czy tak?

Zaczerwieniłem się, bo bezbłędnie rozszyfrował moje intencje.

— Myślę, że właśnie o to chodzi, Lo.

— To mi się podoba! — Sally klasnęła w dłonie. — Ułóżmy listę gości.

— Zrobimy to w wielkim stylu — obiecał Louren. — Zwieziemy ich pierwszą klasą i ulokujemy w Dorchester. Zorganizujemy lunch z szampanem, a potem wpuszczymy między nich Bena i Eldridge'a jak parę wygłodniałych wilków. Jak długo potrwa zorganizowanie wszystkiego? — zapytał Hamiltona.

— Najpierw rada musi zatwierdzić projekt, porządek obrad, ale naturalnie pańska oferta pokrycia wydatków wiele ułatwi. Spróbuję wpłynąć na kilku członków rady. — Eldridge'owi przypadł do gustu ten pomysł. — Myślę, że uda się nam zorganizować to w kwietniu.

— Pierwszego kwietnia — podsunąłem.

— Znakomicie! — roześmiał się Louren.

— Musimy mieć Wilfreda Snella — przypomniała Sally.

— Jest na samej górze listy — zapewniłem ją.

— I tego lizusa Rogersa.

— I De Vallosa.

Kiedy siadaliśmy do pikantnego curry z bażanta, wciąż napawaliśmy się naszymi planami. Kilka dzbanów zimnego piwa sprawiło, że posiłek przekształcił się w długą ucztę. Ciągłe jeszcze rozkoszowaliśmy się sytuacją, w jakiej znaleźć się mieli nasi wrogowie, gdy Sally zwróciła się w stronę Hilary:

— Musi nam pani wybaczyć, pani Sturvesant. To wszystko jest pewnie dla pani okropnie nudne. Czy choć jedno nasze zdanie jest dla pani zrozumiałe? — Głos Sally brzmiał słodko i troskliwie.

Byłem zaskoczony, ponieważ na tyle dobrze rozumiałem tajny kod kobiet, by odczytać słowa Sally jako wypowiedzenie wojny. Miałem nadzieję, że się mylę, ale Sally atakowała dalej:

— Z pewnością upał i prymitywne warunki, jakie tu mamy, są dla pani niesłychanie uciążliwe. To nie to samo co na pani tenisowych przyjęciach, prawda?

Tym razem Hilary nie dała się już zaskoczyć i z twarzą bladą jak anioł, głosem równie słodkim jak głos Sally, odpowiedziała zdecydowanym kontratakiem:

— Jestem pewna, że tutejsze warunki są bardzo niezdrowe. Po dłuższym czasie słońce strasznie niszczy cerę. Wciąż nie wygląda pani najlepiej po tej migrenie. Martwiliśmy się o panią. Czy już czuje się pani lepiej?

Sally zrozumiała, że pomimo łagodnego i niewinnego wyglądu Hilary jest godną przeciwniczką. Szybko zmieniła kierunek ataku. Całą uwagę poświęciła teraz Lourenowi, śmiejąc się po każdym jego słowie i nie odrywając oczu od jego twarzy. Wobec tej taktyki Hilary była bezsilna, aż do chwili, gdy rzuciła swoją kartę:

— Louren, kochanie, to był tak pracowity i podniecający dzień. Chciałabym iść już do łóżka, proszę cię.

Wygrała! A ja musiałem przyznać, że moja Sally została potraktowana tak, jak na to zasłużyła.

\* \* \*

Obudziłem się z przeświadczeniem, że w mojej sypialni ktoś jest. W drzwiach stała Sally.

Miała na sobie przewiewną koszulę nocną, ukazującą zarysy nagiego ciała: długie nogi, wydatne biodra, wąską kibić, pagórki piersi.

— Ben?

— O co chodzi, Sal?

W odpowiedzi pocałowała mnie, rozchyłając usta i wysuwając język. Kompletnie

zaskoczony, zamarłem w jej objęciach. Przytuliła się do mnie i cichym, lecz porywczym głosem wyszeptała:

— Kochaj mnie, Ben.

Działo się coś złego. Nie czułem pożądania, a jedynie gorącą falę współczucia.

— Dlaczego, Sally? — spytałem. — Dlaczego teraz? — Bo potrzebuję tego, Ben.

— Nie, Sally. Wydaje mi się, że to ostatnia rzecz pod słońcem, jakiej ci teraz potrzeba.

Zaczęła płakać, a ja tuliłem ją do siebie. Kiedy się uspokoiła, ułożyłem ją na łóżku i przykryłem kocem.

— Wstrętna jestem, prawda, Ben? — szepnęła i zapadła w sen. Nie spałem, czuwając przy niej do rana. Wiedziałem już, co się dzieje, ale nie chciałem się do tego przyznać.

Przy śniadaniu Louren oznajmił, że rodzina bezzwłocznie wraca do Johannesburga. Z trudem skrywałem rozczarowanie, ale gdy zapytałem Lourena o powód, uniósł wzrok ku niebu i zatrzęsł się z rozdrażnieniem.

— Szczęściarz z ciebie, że się nie ożeniłeś, Ben. Mój Boże — kobiety!

Życie w Księżycowym Mieście wróciło do normalnego trybu. Któregoś dnia siedzieliśmy z Ralem w cieniu cierniowca, gdy nagle spośród zarośli wyłoniła się karzełkowata figurka.

— Ptaku Słońca — powiedział łagodnie Xhai. — Podróżowałem wiele dni, by znaleźć światło twojej obecności. — Wygłosił najmiłszy komplement, który uradował moje serce.

— Ral — poprosiłem. — Podaj mi swój woreczek z tytoniem.

Usiedliśmy razem pod cierniowcem i przegadaliśmy całe popołudnie. Konwersacja ludów prymitywnych Afryki przybiera artystyczne formy, pełne wyszukanego rytuału, pytań i odpowiedzi, było więc już już dość późno, kiedy Xhai poruszył temat, który przyszedł omówić.

— Czy Ptak Słońca przypomina sobie wodę w skałach w miejscu, w którym zabiliśmy słońca?

Ptak Słońca pamiętał bardzo dobrze.

— Czy Ptak Słońca pamięta małe dziury, które białe duchy wywierciły w skale?

Ptak Słońca nigdy ich nie zapomni.

— Te dziury sprawiły Ptakowi Słońca i wielkiemu złotowłosemu dużą przyjemność, czy tak?

Rzeczywiście tak było.

— Czy Ptak Słońca życzy sobie zobaczyć miejsca, gdzie znajduje się wiele podobnych otworów?

Czy życzyłbym sobie?!

— Zaprowadzę cię tam — obiecał Xhai.

— A ja dam ci tyle tytoniu, ile tylko zdołasz udźwignąć — przyrzekłem mu w zamian. — Jak odległe jest to miejsce? — zapytałem, a on zaczął wyjaśniać.

To jest za „wielkim drutem”, powiedział. Miał na myśli ogrodzenie wzniesione wzdłuż granicy rodezyjskiej, co miało zapobiec migracjom zwierząt. Będziemy więc potrzebowali zgody Rodezyjczyków. Xhai zaczął opisywać tereny, które rozpoznałem jako przyległe do rzeki Zambezi. Sąsiadowały one ze strefami aktywności terrorystów. Uzgodniliśmy, że spotkamy się pod cierniowcem za trzy dni, kiedy Xhai zakończy obchód zastawionych przez siebie pułapek.

Louren przed godziną powrócił z Madagaskaru.

— W czym problem, Ben?

— Nie ma problemów, Lo. Nasz przyjaciel Buszmen odnalazł następną starożytną kopalnię złota. Z przyjemnością mnie tam zaprowadzi.

— To wspaniale! W pierwszej kopalni już rozpoczęto prace, a prognozy brzmią znakomicie.

— Jest tylko jeden kłopot, Lo. To miejsce znajduje się w Rodezji, w strefie zamkniętej.

— Żaden problem, załatwię to.

Następnego wieczoru znów nawiązaliśmy kontakt.

— Zezwolenie jest ważne na tydzień. Policja rodezyjska zapewnia nam eskortę na przejściu granicznym w Panda Matenga.

— Nam? — spytałem.

— Wygospodarowałem kilka dni, Ben. Nie mogłem się oprzeć. Zabierz Buszmena i jedźcie land roverem do Panda Matenga. Tam się spotkamy. Przylecę z Bulawayo helikopterem.

\* \* \*

Dowódca eskorty policyjnej był jednym z tych muskularnych rodezyjskich chłopców o nieskazitelnych manierach, Otaczała go aura spokoju i fachowości. Miał stopień podinspektora, dowodził sierżantem Askari i pięcioma konstablami. Skład eskorty dał mi pewne wyobrażenie o tym, do jakich osobistości zwrócił się Louren z prośbą o współpracę. Mieliśmy dwa land rovery z zamontowanymi na maskach karabinami maszynowymi. Uzbrojenie eskorty mogło nasuwać przypuszczenie, że jej zwierzchnicy żywią przekonanie, iż granice państwa są nieustannie nękane przez terrorystów z północy.

— Doktorze Kazin. — Inspektor zaszalutował i uścisnęliśmy sobie dłonie. — Nazywam się Alastair MacDonald. Czy mogę przedstawić swoich ludzi?

Wszyscy pochodzili z plemienia Matabele — wielcy potomkowie dzielnych wojowników Czaka, których sto pięćdziesiąt lat temu przywiódł tutaj zbuntowany generał Mzilikazi. Ubrani w maskujące mundury i miękkie kapelusze, przeżyli się w postawie na baczność, kiedy MacDonald prowadził mnie wzdłuż szeregu.

— To jest sierżant Ndabuka. — Kiedy na pozdrowienie odpowiedziałem płynnie w języku sindebele, srogie miny wojskowych rozpląnęły się w radosnych uśmiechach.

Xhai czuł się nieswojo w tym towarzystwie. Biegł przy mojej nodze jak psiak.

— Czy pan wie, doktorze, że w dalszym ciągu Brytyjską Policję Południowej Afryki obowiązuje rozkaz polowy, który nie został uchylony? — zapytał mnie MacDonald, spoglądając z zainteresowaniem na Xhai. — A nakazuje on strzelanie do każdego Buszmena, jaki pojawi się w zasięgu wzroku. Biedne małe nicponie...

Słyszałem o tym rozkazie, który zachował się jako relikwium poprzedniego stulecia, kiedy to odbywały się wielkie polowania na Buszmenów. Setka konnych tworzyła wówczas jednostkę specjalną powołaną do łowów i zabijania żółtych karzełek, jakby byli niebezpiecznymi zwierzętami. Biali i czarni polowali na nich bez litości: strzelano, zabijano włóczniami. Bywało i gorzej. W 1869 król Khama zwabił cały szczepek Buszmenów na ucztę, a gdy zasiedli przy stole, odłożywszy broń, wojownicy królewscy rzucili się na nich. Khama osobiście doglądał tortur, do których przystąpiono niezwłocznie. Wspominając tę historię, nie dziwiłem się, że Xhai trzyma się przy mnie na wyciągnięcie ręki, obserwując wielkich nieznajomych pełnymi strachu oczami.

Wyjaśniłem MacDonaldu nasz przybliżony cel, wskazując obszar na jego mapie z taką dokładnością, z jaką ustaliłem to na podstawie opisu Xhai. Inspektor spoważniał. Zanim odpowiedział, zdjął z czubka nosa płatek spalonego przez słońce naskórka.

— To nie jest dobre miejsce, doktorze. — Odszedł porozmawiać ze swoimi

ludźmi.

Było już koło południa, kiedy helikopter z hukiem wyłonił się znad wierzchołków drzew. Louren z torbą w ręku wyskoczył z kabiny.

— Przepraszam za spóźnienie.

Zbliżył się MacDonald, dotykając runda kapelusza.

— Dzień dobry, sir. Premier prosił mnie o przekazanie panu wyrazów szacunku, panie Sturvesant. Jestem do pańskiej dyspozycji.

Zjechaliśmy z utartego szlaku, zanim jeszcze dotarliśmy do ziem uprawnych w pobliżu Tete, i skręciliśmy ku Zambezi. MacDonald jechał pierwszy w land roverze, z kierowcą i spadochroniarzem przy karabinie maszynowym. Nasz pojazd znajdował się w środku. Louren prowadził, obok niego siedział uzbrojony żołnierz, a Khai i ja z tyłu.

Wolno pokonywaliśmy kolejne mile, kolumna wiła się Pomiędzy lasami i wspinała na niewysokie granitowe wzniesienia. W momencie, gdy trzeba było obrać dalszą drogę, Khai sygnalizował kierunek i znów ruszaliśmy, podskakując na nierównym gruncie lub mknąc przez rozległe polany. Zorientowałem się, że Khai prowadzi nas wzdłuż szlaku słoni, ścieżką, którą te wielkie bestie wydeптаły od rzeki do rezerwatu Wankie na południu. Ci wytrawni wędrowcy wybierali szlak wymagający najmniej wysiłku.

Obozowaliśmy nad suchym korytem rzeki upstrzonym wypolerowanymi czarnymi głazami, lśniącymi w słońcu jak wygrzewające się gady. Brzegi pokryte białym piaskiem porośnięte były wysokimi trzcinami, a spod zwieszonych gałęzi drzew połyskiwała zielona, mulista woda.

Za rzeką teren wznosił się ostro ku następnej ze skalnych grani, usianej drzewami i kępami zarośli. Po naszej stronie busz był otwarty, stanowiąc dobre pole ostrzału. MacDonald ustawił trzy pojazdy w obronny trójkąt, a kiedy wyznaczał strażę, Louren i ja usiedliśmy na skałach i przyglądaliśmy się koloniom wodnego ptactwa trzepoczącego się wokół gniazd uwitych tuż nad wodą.

Louren wręczył Khai cygaro, a kiedy rozmawialiśmy, mały Buszmen patrzył na nas jak wierny pies. Rozmowa rwała się, przeskakiwaliśmy z tematu na temat. Louren opowiedział mi o budowie hoteli na wyspach. Był przekonany o sukcesie tego przedsięwzięcia.

— To jeden z moich najlepszych projektów, Ben. Kiedy pomyślałem o innych jego projektach: farmach bydła, kopalniach diamentów, złota, chromu i miedzi, zacząłem pojmować skalę zamierzeń Lo.

Delikatnie nawiązałem do jego kłopotów z Hilary.

— Mój Boże, gdyby one były w stanie zrozumieć, że nie kupują cię za pomocą umowy małżeńskiej! Były już trzy inne, które dowiedziały się o tym w dość brutalny sposób, i miałem nadzieję, że Hilary nie będzie tą czwartą.

MacDonald zszedł na brzeg.

— Przepraszam, panie Sturvesant. Prosiłbym, żeby wrócił pan już do obozu. Nie lubię niepotrzebnego ryzyka.

Louren wrzucił niedopałek cygara do wody i podniósł się — To był kiedyś kraj, w którym mężczyzna mógł zaspokoić wszystkie swoje marzenia. Czasy się zmieniają, Ben.

W obozie nad niewielkim, osłoniętym ogniskiem parzyła się kawa. Sączyliśmy ją z parujących kubków, omawiając środki bezpieczeństwa, jakie przedsięwziął MacDonald. Wyglądał na fachowca i jego wygląd nie kłamał. Facet był naprawdę kompetentny. Zakończył obchód straży i podszedł do nas.

— Powinienem być zapytać panów wcześniej, ale czy wiecie, jak posługiwać się sztucerem i sześćdziesięciomilimetrowym karabinem maszynowym?



Obaj z Lourenem potwierdziliśmy.

— To dobrze. Im bardziej zbliżamy się do granicy, tym większe jest ryzyko niepożądanego spotkania. Aktywność terrorystów gwałtownie wzrosła.

Nalał sobie kawy i upił łyk, zanim zadał następne pytanie:

— Jakie macie plany, panowie, na jutro? Jak daleko jesteśmy od miejsca przeznaczenia?

— Jak daleko jesteśmy od dziur w skale, mój bracie? — zapytałem Xhai.

— Będziemy na miejscu, nim słońce tam dotrze. — Drobną dłonią Buszmen wskazał południe. — Moi ludzie obozują przy studni w pobliżu dziur. Najpierw odszukamy ich, ponieważ długo oczekują na mój powrót.

Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę ze szczerej przyjaźni, jaką Xhai nas darzył. Odwróciłem się do Lourena.

— Czy wiesz, Lo, że ten mały czort pokonał piechotą sto pięćdziesiąt mil, żeby powiedzieć nam o czymś, co być może sprawi nam przyjemność?

— Co masz na myśli?

— Odkrywszy stare wyrobiska, zostawił swój szczep i poszedł mnie szukać.

Tej nocy Xhai spał pomiędzy Lourenem i mną. Ani trochę nie ufał Matabele.

Następnego ranka ujrzeliśmy sępy na północnej stronie. MacDonald zatrzymał kolumnę i podszedł do naszego pojazdu.

— Coś się dzieje. Prawdopodobnie to tylko lwi łup, ale lepiej nie ryzykujemy.

Xhai wspiął się na dach land rovera. Przez minutę obserwował ptaki, po czym rzekł do mnie:

— Moi ludzie zabili duże zwierzę, być może bawołu, ponieważ ptaki krążą nad naszym obozem. Nie ma powodów do obaw. Jedźmy!

Przetłumaczyłem jego słowa MacDonaldowi.

— Okay, doktorze, ale miejmy oczy otwarte.

Kiedy zbliżaliśmy się do obozowiska, nie dostrzegliśmy dymu ani innych śladów życia. Xhai wyglądał na zaskoczonego, rzucał szybkie, niespokojne spojrzenia w stronę buszu i gwizdał cicho przez zęby. Sępy rozsiadły się na wierzchołkach drzew wokół obozowiska, a gdy podjechaliśmy bliżej, powstało wśród nich poruszenie i dwadzieścia albo nawet więcej szpetnych ptaków uniosło się w powietrze, ciężko trzepocząc skrzydłami.

Xhai wydał żalorny jęk. Nie rozumiałem, co się stało, wydało mi się tylko dziwne, że sępy siedziały wśród chat. Xhai odgadł prawdę, zaczął kołysać się powoli na siedzeniu, obejmując kolana ramionami i zawodząc wysokim głosem.

Dla Bantu buszmeńskie dziewczęta są obiektem szczególnego pożądania. Zgwałcili wszystkie kobiety Xhai, nawet niepełnoletnie dziewczynki. Potem zakłuli je bagnietami i porzucili w charakterystycznych pozach miłości. Ghal i dwaj inni mężczyźni zostali zastrzeleni. Salwy karabinów maszynowych porozrywały ich ciała, a z okaleczonych korpusów sterczały strzępy kości. Krew zastygła w czarnych kałużach. Wielkie lśniące muchy, brzęczące jak pszczoły wokół ula, zaczęły siadać na moich wargach i oczach. Odganiałem je ze złością. Ptaki już były przy ciałach, co tworzyło przerażający obraz.

— Boże! — krzyknął Louren. — Dlaczego?! Dlaczego to zrobili?

— Mają broń. Chcą jej użyć. To łatwiejsze niż atakowanie rancz czy posterunków policji.

Dwóch żołnierzy przyniosło z land rovera plandekę. Zaczęli zawijać w nią ciała. Odszedłem do naszego pojazdu i oparłem się o drzwi. Poczułem duszności i zwymiotowałem, po czym wytarłem usta rękawem i podniosłem głowę.

Xhai obserwował mnie. W jego ciemnych oczach widniało takie cierpienie, taki żal zmienił mu rysy, że poczułem ból serca.

— Dowiedzmy się, kto to zrobił, Ptaku Słońca — wyszeptał i poprowadził mnie w trawę wokół obozu.

Wszędzie leżało mnóstwo mosiężnych łusek noszących chińskie znaki. Były ich setki, widocznych na ubitym gruncie i zdeptanej trawie.

— Przyszli nocą — wyjaśnił cicho Xhai. — Spójrz! Tu się czaili. — Wskazał wydeptane miejsca w zaroślach. — Było ich wielu. Uderzyli wczoraj o brzasku.

Teraz mogli być już o wiele mil stąd. Kiedy wróciliśmy do obozu, ciała owinięte w brezent leżały w równym rzędzie jak paczki przygotowane do wysłania. Czterech żołnierzy kopało płytką zbiorową mogiłę.

Xhai milczał, a jego milczenie było straszniejsze niż najbardziej rozpaczliwe zawodzenie. Raz pochylił się i nieśmiało dotknął jednego z zielonych tobołków. Zastanawiałem się, jak wielu Buszmenów opłakiwało tak masakrę swojego plemienia. Nienawidziłem dzikiego okrucieństwa naszego kraju. Nie mogąc patrzeć na rozpacz Xhai, poszedłem do Lourena.

— Tu była duża grupa, Ben — powiedział.

— Xhai mówi, że około trzydziestu.

— Bardzo prawdopodobne. Inspektor uważa, że powinniśmy zawrócić, i ja się z nim zgadzam.

MacDonald wyjaśnił swoje stanowisko:

— Przewyższają nas liczebnością. Te świny są dobrze wyszkolone i uzbrojone w najnowocześniejszą broń. To nie to samo co kilka lat temu, gdy przysyłano tu nieopierzonych wyrostków. Teraz ci ludzie są naprawdę niebezpieczni, a my nie jesteśmy przygotowani na starcie z nimi. Powinniśmy zawrócić i wezwać helikoptery. Gdy tylko zlokalizują bandę, odrzutowce hunter dadzą im powąchać napalmu.

W obliczu grozy sytuacji starożytne kopalnie straciły znaczenie. Żołnierze opuszczali zawiniątka do grobu, a Xhai stał, obserwując ich. Kiedy grób przysypano ziemią, podszedłem i objąłem go.

— Chodź, mały bracie — powiedziałem i zaprowadziłem go do land rovera. Kolumna zawróciła i skierowała się na południe.

Wciąż rosło napięcie. Wiadomo było, że ślady naszych pojazdów są wyraźnie odcisnięte i wracając musimy się ich trzymać. Banda mogła wziąć to pod uwagę i czekać na nas. Było też prawdopodobne, że dysponuje minami. Wypatrywaliśmy więc uważnie wszelkich zniekształceń drogi przed nami. Louren prowadził w ponurym milczeniu, niespokojnie obracając w kąciku ust nie zapalone cygaro. Żołnierz siedzący obok niego nie zdejmował ręki z karabinu maszynowego. Czujnym wzrokiem obserwowaliśmy zarówno drogę, jak i jej otoczenie

— Zauważyłeś, że nie ma nawet śladu zwierzyny? — zapytał nagle Louren.

Miał rację. Odkąd opuściliśmy obozowisko Buszmenów, nie dostrzegliśmy dzikiej zwierzyny, która urozmaicała przedtem naszą podróż.

— Nie podoba mi się to, Lo. W ciągu trzydziestu dwóch godzin ci dranie mogli pokonać całe mile. Mogą być wszędzie. — Niespokojnie przebierałem palcami w okolicy spustu karabinu. MacDonald wymógł na nas, abyśmy wzięli zapasową broń od dwóch żołnierzy obsługujących ciężkie karabiny maszynowe. Teraz byłem z tego zadowolony. Kawał stali dodawał mi otuchy.

Land rover przed nami zarzucił, hamując gwałtownie. Louren również nacisnął na pedał hamulca i zerwał z podpórki karabin automatyczny. Siedzieliśmy, trzymając w dłoniach broń i wpatrując się w otaczającą nas gmatwaninę skał i krzewów. Wolno mijały sekundy; w skroniach czułem dudnienie pulsu.

— Przepraszam! — zawołał z przodu MacDonald. — Fałszywy alarm!

Znow zawyły silniki i pojechaliśmy dalej.

— Na miłość boską, przestań bawić się tym draństwem! — warknął Louren. Nie

zdawałem sobie sprawy, że wciąż przestawiam regulator ognia.

— Przepraszam — mruknąłem. Napięcie udzieliło się wszystkim. Jego symptomem był wybuch Lourena, który jednak zaraz spojrział przez ramię i uśmiechnął się przepraszająco.

Zdawać by się mogło, że minęły całe godziny, nim dotarliśmy do grani i lawirując zjechaliśmy w dół pomiędzy drzewa nad brzeg basenu w wyschniętym łożysku rzeki, gdzie obozowaliśmy poprzedniej nocy. MacDonald dał sygnał do postoju i podszedł do nas.

— Uzupełnimy paliwo, panie Sturvesant. Czy może pan zabrać z sobą ludzi i napełnić pojemniki wodą?

Louren zszedł na brzeg z dwoma żołnierzami dźwigającymi pięciogalonowe kanistry, a ja zostałem, przyglądając się MacDonaldowi, który zabrał się do tankowania zbiorników. Wyziewy benzyny unosiły się w gorącym powietrzu, jej zapach wiercił w nosie. Jeden z żołnierzy ochlapał cieczą burtę pierwszego pojazdu i MacDonald zbeształ go ostro.

— Zostań tutaj — powiedziałem Khai. — Nie ruszaj się. Zostawiłem go i poszedłem za Lourenem w kierunku basenu. Wokół panował spokój: wysoka trzcina ospale pochylająca puszyste korony, czarne błoto pobrużdzone kopytami tysiąca bestii, zielona, gęsta od szlamu woda, kipiąca posepnie od gazów błotnych, ptaki wodne zwisające głowami w dół przy rozkołysanych gniazdach. Żołnierze rozmawiali cicho, napełniając wodą pojemniki, a Louren stał przy nich z automatycznym karabinem w dłoni.

— Jeszcze godzina i wyjedziemy na otwarty teren — zauważył.

Wyciągnął cygaro z górnej kieszeni i zaczął odwijać je z folii, nie przestając obserwować otaczających nas drzew i zarośli.

Skały nad wodą nakrapiane były plamkami bieli. Przyjrzałem się im i w pierwszej chwili zlekceważyłem, uznając je za ptasie odchody. Nagle zauważyłem coś więcej i poczułem dreszcz strachu, przesuwający się wzdłuż kręgosłupa. Zerknąłem w dół i poczułem, że oddech zamiera mi w piersi. W pierwszym impulsie chciałem ostrzec krzykiem Lourena i pognać do land rovera, ale opanowałem się. Pomimo trudności z oddychaniem zdołałem pochylić się, podnieść kamień leżący na skraju basenu i cisnąć go w wodę. Znowu spojrzałem w dół. Biała plamka była kawałkiem mydła, wciąż jeszcze otoczonego delikatną koronką pianki. Na skałach widniały wilgotne ślady, których nie wysuszyło jeszcze słońce, a w błocie na skraju wody znajdował się dziwny, na wpół ludzki ślad, wyglądający jak odcisk łapy gigantycznego ptaka. Wielki palec był wyraźnie oddzielony od reszty stopy, rozszczepionej aż do połowy pięty. Pojąłem, że Timothy Mageba obserwuje mnie przez celownik swojego karabinu.

Powoli wycofałem się do miejsca, w którym stał Louren. Włożył do ust cygaro i zapalił zapałkę. Kiedy zapłonęła w jego dłoniach błękitnym płomieniem, pochylił się nad nią.

— Lo! — powiedziałem cicho. — Nie wykonuj nagłych ruchów. Zachowuj się naturalnie. Oni są tutaj. Obserwują nas.

Zaciągnął się parę razy, po czym potrząsnął zapałką, gasząc płomień, i rozejrzał się.

— Gdzie są? — spytał.

— Nie wiem, ale bardzo blisko. Musimy zostać tutaj, póki Mac nie będzie gotowy.

— Powiedz to żołnierzom — powiedział Louren. Kiedy przechodzili obok nas, zatrzymałem ich.

— Idźcie spokojnie, nie przyspieszajcie kroku, nie oglądajcie się za siebie. Żli

ludzie są tutaj. Idźcie do inspektora i powiedzcie mu, żeby zapalał silniki. Przybiegniemy, gdy tylko je usłyszymy.

Skinęli głowami, momentalnie pojmując sytuację. Zrozumiałem, dlaczego cieszą się sławą najlepszych żołnierzy w Afryce. Spokojnie wspinali się po stoku, pochyleni pod ciężarem pojemników.

— Czuję się jak mechaniczna kaczka na strzelnicy — powiedziałem, próbując się uśmiechnąć, ale usta ułożyły mi się w grymas. — Na co czekają?

— Prawdopodobnie nie mieli czasu, żeby się odpowiednio przygotować. Teraz zajmują pozycje. Zaczekają, aż będziemy w grupie.

— Boże, nie mam pojęcia, skąd spodziewać się ataku!

— Jak wpadłeś na ich obecność? — zapytał Louren. Każde pytanie było dobre, żeby podtrzymać rozmowę mającą wyglądać naturalnie.

— Zauważyłem resztkę mydła w wodzie i mokre ślady na skałach. Kapali się, gdy usłyszeli, że nadjeżdżamy.

Na wysokim brzegu rozległ się łoskot startera, a potem równomierny rytm silnika. Jeden, drugi i trzeci. Louren upuścił tłące się cygaro w błoto i położył rękę na moim ramieniu.

— Zawsze razem, współniku? — zapytał.

— Zawsze razem, Lo. — Odwróciliśmy się i pognaliśmy ścieżką w górę stoku, zdejmując z ramion karabiny. Poczułem ulgę. Zaczęło się! Miałem dziwne uczucie, że wcale się nie poruszam, że raczej tylko wybijam stopami takt.

Wbiegliśmy na szczyt.

Sierżant Ndabuka siedział za kierownicą samochodu sunącego w naszą stronę.

Dwa pozostałe land rovery jechały tuż za nim, gotowe zapewnić nam osłonę, a ich strzelcy manewrowali przy ciężkich karabinach.

— Skaczcie! — krzyknął MacDonald. — Znikamy stąd! Wskoczyliśmy.

— Jedź! — warknął Louren do sierżanta. Silnik ryknął i samochód ruszył.

I w tym momencie otworzyli do nas ogień. Rozległa się kanonada. Pojazd MacDonalda wiózł nas z powrotem na szlak, który członkowie bandy również obstawili. Trafili strzelca. Jego głowa odskoczyła do tyłu, jak gdyby otrzymał mocny cios, a kapelusz sfrunął na ziemię. Strzelec osunął się na siedzenie, a jego broń zawirowała na podpórce.

Zajmowali pozycje wzdłuż rzeki, ukryci w porastających brzeg trzcinach i krzewach. Dostrzegłem lufy, połyskujące niczym obnażone miecze. Wypuściłem w tamtym kierunku serię, ale dzikie harce land rovera sprawiły, że poszła za nisko. Chmury kurzu wzbity się w powietrze. Skorygowałem cel i jeszcze raz wypaliłem z rozedrganej broni. Przeczesane ogniem trzciny zadrżały. Rozległ się czyjś piskliwy wrzask. Pusty magazynek szczęknął głucho.

Gorączkowo sięgnąłem po następny, rozglądając się wokół, by ocenić, jak długo jeszcze będziemy pod ostrzałem. MacDonald już prawie dojeżdżał do lasu, gdzie wielkie drzewa po obu stronach ścieżki wyznaczały drogę. Spostrzegłem przed pojazdem MacDonalda miątką, starannie zamiecioną ziemię i wiedziałem już, że napastnicy wstrzymali ogień, póki się nie upewnią, że skierujemy się w stronę pułapki.

Otworzyłem usta, żeby ostrzec kierowcę pierwszego samochodu, ale mój krzyk zginął w huku wybuchu i ryku silników.

Kiedy MacDonald wpadł na minę umieszczoną na naszych starych śladach, rozległa się detonacja poprzedzona o ułamek sekundy białym błyskiem. Land rover MacDonalda ryknął jak zraniony lew. Przednia część rozleciała się, jedno z kół wystrzeliło w powietrze i opadało powoli, wirując. Samochód przewrócił się, przygniatając pasażerów. Drugi land rover najechał na nich z prędkością trzydziestu

mil na godzinę i powietrze wypełnił zgrzyt pękającego metalu.

— Uwaga! — wrzasnął Louren i sierżant gwałtownie szarpnął kierownicą, aby uniknąć losu zgruchotanych pojazdów. Nasz land rover zawisł na moment na dwóch kołach, po czym przewrócił się na bok. Spadliśmy na skalistą ziemię.

Zapadła kłująca uszy cisza, gdyż nawet wróg zamarł, zaskoczony efektem zasadzki. Znajdowaliśmy się może pięćdziesiąt jardów od koryta rzeki, w którym kryli się ludzie Timothy'ego. Teren z rzadka porastały drzewa, które wraz z wrakami pojazdów dawały nam pewną osłonę.

Zgubiłem broń i teraz szukałem jej po omacku, natrafiając ręką na skulonego obok mnie Xhai. Rzuciłem okiem na jego przerażoną twarz i podczołgałem się do Lourena.

— W porządku?

— Spójrz! — Wyciągnął dłoń.

MacDonald leżał na plecach przygnieciony ciężarem land rovera, którego krawędź wrzynała się w jego biodro. Drżącymi rękami usiłował zepchnąć z siebie masę metalu, jęcząc cicho.

Poderwałem się, by przyjść mu z pomocą, ale w tej samej chwili znowu odezwały się karabiny. Pociski zagrzechotały o karoserie zniszczonych samochodów. Louren pociągnął mnie w dół.

Uświadomiłem sobie nagły ruch tuż obok, odwróciłem się w tamtą stronę i ujrzałem Xhai, zawodzącego cicho jak skrzywdzone dziecko. Wyciągnąłem rękę, żeby go uspokoić, ale ten gest spłoszył go. Skoczył na równe nogi i przerażony pobiegł przed siebie.

— Zaczekaj, mały bracie! — zawołałem i chciałem go gonić, lecz Louren przytrzymał mnie. Leżałem więc patrząc, jak Xhai pędzi w sam środek piekielnej strzelaniny.

Natychmiast stał się celem ukrytych strzelców. Ich ogień ścigał go, pociski wzniewały tumany kurzu. Xhai biegł jak królik schwytny w reflektory samochodu, nie czyniąc nawet żadnej próby, by się ukryć.

— Nie! — krzyknąłem. — Zostawcie go! Nie! Nie! Pociski już go dopadły, ciskając nim o ziemię, aż poturlał się po kamienistym podłożu jak brązowa piłka. Jeszcze raz poderwał się i biegł z lewym ramieniem odstrzelonym poniżej łokcia. Trafili go znowu, tym razem już celniej, pomiędzy łopatki. Upadł ciężko na ziemię. Leżał cicho i mały w białym blasku słońca.

Burza pocisków znów zaczęła ryc ziemię wokół nas. MacDonald wciąż jęczał. Nikt nie mógł przedrzeć się do niego. Klęknąłem na twardej ziemi i patrząc na wątłe ciało Xhai, poczułem ogarniającą mnie wściekłość.

Poderwałem się i podbiegłem do przewróconego land rovera. Dźwignąłem ciężki karabin maszynowy, przerzuciłem przez ramię cztery pasy z amunicją, lekceważąc niebezpieczeństwo. Opierając broń na biodrze, ruszyłem na wrogów.

Usłyszałem własny krzyk i świst pocisków przeszywających powietrze wokół mnie. Biegłem krzycząc, a ciężka broń wstrząsała moim ciałem jak wielka pięść. Puste łuski tryskały z magazynka błyszczącym strumieniem, dźwięcząc jak srebrne dzwoneczki.

Ogień napastników słabł. Ujrzałem ruch w trzcinach, gdy rzucili się do ucieczki. Jeden z nich odwrócił się i wystrzelił, trafiając na szczęście w drzewo, z którego odprysnęły kawałki kory. Zwróciłem broń w jego stronę. Miał na sobie mundur, a na głowie duży płaski hełm. Skulił się, wylot lufy mrugnął do mnie gorącym czerwonym okiem; dziwiłem się, że strzelec chybił z tak niewielkiej odległości.

Jeden z moich pocisków trafił go prosto w twarz, zrywając z głowy hełm, a mózg wyprysnął w postaci różowej piany.

— Za nim! Ostańcie go! — Usłyszałem za plecami krzyk Lourena. Dotarłem do

brzegu rzeki i spojrzałem w dół, na wyschnięte koryto. Banda uciekała w panice ku odległemu brzegowi. Jeszcze raz wycelowałem i patrzyłem, jak wrogowie padają wśród fontann białego piasku. Krzyczałem nieprzerwanie.

Ostatni pas z amunicją ześlizgnął mi się z ramienia i karabin zamilkł. Cisnąłem nim o ziemię. Gniew i rozpacz wyniosły mnie daleko poza granice rozsądku i strachu. Kiedy tak stałem bezbronny, Timothy Mageba zatrzymał się i odwrócił w moją stronę. W prawej dłoni trzymał pistolet wycelowany we mnie.

— Morderca! — wrzasnąłem, a on wystrzelił, raz i jeszcze raz. Było to tak, jakby anioł otulił mnie swoimi skrzydłami, osłaniając przed strzelającym, ponieważ nawet nie słyszałem świstu pocisków. Widziałem, jak Timothy wpatruje się we mnie przerażonymi, zamglonymi oczami osaczonego zwierzęcia.

Nagle znalazł się przy mnie Louren. Chyba trafił Magebę, ponieważ zobaczyłem, że ten zachwiał się lekko, po czym zniknął w gęstych zaroślach. Żołnierze minęli nas, idąc szeregiem w dół stromego brzegu i przez łożysko rzeki, w którym pozostały ciała zabitych. Kilka razy wystrzelili w stronę buszu.

Louren spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— Nawet cię nie drasnęli. Mój Boże, Ben! — Potrząsnął głową. — Wystraszyłeś mnie, ty zwariowany draniu. — Otoczył mnie ramieniem i powiodł z powrotem w stronę wehikułów.

MacDonald wciąż jęczał. Dźwignęliśmy wrak land rovera. Kiedy żołnierze wyciągali go spod pojazdu, MacDonald krzyknął. Miał nogi wykręcone pod dziwnym kątem i bardzo bladą twarz, na górnej wardze lśniły kropelki potu.

Zostawiłem Lourena, żeby zaaplikował mu morfinę oraz spróbował złożyć fatalnie strzaskaną kość, i podszedłem do miejsca, gdzie leżał Xhai.

Kula przeszła przez sam środek pleców Buszmena. Leżał w kałuży gęstniejącej krwi i widziałem, jak straszliwe spustoszenie spowodował pocisk rozrywający się w jego piersi. Nie odwróciłem go, nie zdobyłbym się na to, ale jego głowa była odwrócona na bok. Kucnąłem przy zabitym i opuszkami palców zamknąłem wytrzeszczone skośne oczy.

— Odejdź w pokoju, mały bracie — szepnąłem. — Chodź, Ben. Oni mogą wrócić. Musimy się pospieszyć — zawołał Louren. Ciała dwóch żołnierzy sierżant owijał kocami.

— Buszmena też — powiedziałem.

Zawahał się, ale widząc wyraz mojej twarzy, poszedł pospiesznie po zwłoki Xhai.

Postawiliśmy pojazd na kołach i kiedy żołnierze układali w nim naszych zabitych i rannych, sprawdziliśmy uszkodzenia. Dwie opony były przestrzelone, zbiornik paliwa podziurawiony jak rzeszoto, kierownica przeszyta kulą, inna strzaskała pokrywę miski olejowej, tak że olej wyciekał na ziemię.

Louren szybko rozstawił sierżanta i trzech pozostałych żołnierzy na stanowiskach obronnych pomiędzy drzewami, a my dopchnęliśmy uszkodzony samochód za osłonę z wraków.

W samochodzie była skrzynka z narzędziami. Zmieniliśmy koła i ogołociliśmy wraki z przydatnych części. Kiedy dokręciliśmy ostatnie śruby, odezwały się strzały, z daleka, zza odległego grzbietu. Napastnicy zapamiętali widać ostatnią lekcję i teraz trzymali się w należytej odległości. Nasi strzelcy odpowiedzieli niezwłocznie serią z dwóch ciężkich karabinów maszynowych, pozbawiając wroga resztek odwagi.

Uwijaliśmy się przy naszym pojeździe, z rękami wysmarowanymi po łokcie.

Z wywróconego kołami do góry land rovera wyciągnęliśmy pokrywę miski olejowej i leżąc na plecach przytwierdziliśmy ją do naszego wozu. Uszczelka była pęknięta i z pewnością będzie przeciekać, ale zatrzyma olej na tyle długo, byśmy zdołali dostać się w bezpieczne miejsce.

Louren wymienił puszkę kierownicy, a ja, znalazłszy w mojej torbie kawałek mydła, pozatykałem nim dziury po pociskach w zbiorniku paliwa. Pracując błogosławiłem Chińczyków, którzy wyprodukowali tak lichą broń o małym zasięgu i celności.

Uzupełniliśmy paliwo i olej, z konieczności wystawiają się na cel snajperom na wzgórzu.

Louren wskoczył za kierownicę i wcisnął rozrusznik, który zawirował raz i drugi. Zamknąłem powieki i zacząłem się modlić. Louren zwolnił przycisk startera. Ciszę, jaka nagle zapadła, wypełniły jego dosadne przekleństwa. Spróbował znowu, ale baterie osłabły, silnik krztusił się.

Jakiś zabłąkany pocisk strzaskał przednią szybę, obsypując nas lśniącymi odłamkami szkła. Louren przeklinał bez przerwy. Rozpaczliwie spojrzałem na zachodzące słońce; do zmierzchu zostało nie więcej niż pół godziny. W ciemnościach hieny zejdą z grani. Już teraz ogień z góry nasilił się. Usłyszałem uderzenie pocisku o metalową obudowę land rovera. Louren zeskoczył z siedzenia i znów podniósł maskę. Zawołałem Ndabukę.

— Dlaczego nie strzelacie, sierżancie? Przyciśnijcie im głowy do ziemi, u licha!

— Amunicja jest na wyczerpaniu, sir — odkrzyknął. Louren zatrzasnął pokrywę silnika i wskoczył na fotel kierowcy. Spojrzał na mnie.

— Zmów jeszcze jedną modlitwę, Ben. Ta ostatnia nie była wystarczająco dobra. — I nacisnął starter, który sapnął, ale silnik ani drgnął.

— To koniec, Ben. Obie baterie są kaput.

— Sierżancie, chodźcie tu wszyscy. Pchajcie! — krzyknąłem.

Podbiegli do mnie.

— Spróbuj na dwójce! — zawołałem do Lourena. Seria pocisków zryła ziemię wokół moich nóg, raniąc je odłamkami kamieni.

Naparliśmy połączonym ciężarem naszych ciał na samochód, a ten, podskakując na nierównościach, potoczył się w kierunku rzeki.

— Teraz! — krzyknąłem. Land rover zatrząsł się dziko i zwolnił, a my naparliśmy z całych sił, pokonując opór.

Zapalił na moment.

— Pchajcie dalej! — wycharczałem. I nagle silnik z rykiem zaczął pracować, a my zawyliśmy tryumfalnie.

— Wskakujcie! — wrzasnął Louren, obracając pojazd w kierunku szlaku.

Podbiegłem do niego z boku.

— Zapałki — wydyszałem.

— Co?

— Daj mi zapałki, do cholery! — Wyrwałem mu je z ręki i pobiegłem do wraków. Zapaliłem zapałkę i cisnąłem ją w płamę benzyny. Wysoki płomień liznął mi twarz i osmalił rzęsy. Odwróciłem się i uciekłem do samochodu, wskoczyłem spadając twarzą w dół na rannych i zabitych, leżących z tyłu wozu.

Louren torował sobie przejazd przez pasmo ciernistych krzewów, unikając zaminowanego traktu. Dopiero po jakimś czasie skręcił i wrócił na utarty szlak.

Kanonada dobiegająca z grani ucichła; las oddzielił nas od napastników. Przyglądałem się słupowi czarnego, kopącego dymu, wzbijającego się ku wieczornemu niebu, ciesząc się, że pozbawiłem wroga łupu, i nagle spostrzegłem, że drzę jak w gorączce.

— W porządku, Ben? — zawołał Louren.

— Tak, świetnie — odparłem, spoglądając na ciała owinięte w pledy.

Przez całą noc jechaliśmy na południe, trzęsąc się na nierównym gruncie, często gubiąc szlak, szukając drogi, dygocąc w chłodzie afrykańskiej nocy.

Kiedy nastał zamglony świt, poprosiłem Lourena, żeby się zatrzymał. Żołnierze pomogli mi wykopać płytką mogiłę w piaszczystym dnie parowu pomiędzy dwoma wzgórzami. Dźwignąłem Xhai spowitego w ciemnoszary koc policyjny. Był lekki jak dziecko. Złożyłem go w grobie i stanęliśmy wokół. Krew przesączała się przez koc czarnymi plamami.

Skinąłem głową żołnierzom.

— W porządku. Zasypcie go.

Zrobili to szybko i wrócili do land rovera. Było chłodno i trząsałem się w cienkiej bawełnianej koszuli. Na szczycie wzgórza rozkrzyczał się stary pawian, a jego głos huczał w całej dolinie.

Kiedy odjeżdżaliśmy, obejrzałem się i zobaczyłem stado bawołów wyłaniające się z buszu. Pasły się ze zwieszonymi łbami, kołyszając ogonami nad grobem Xhai. To było miejsce, do którego należał mój mały brat — wśród zwierząt, na pustkowiu.

\* \* \*

— Prawdopodobnie prześlizgnęli się z powrotem za rzekę — powiedział zastępca komisarza policji. — Niczego więcej nie pragniemy niż dostać w ręce pana Magebę.

Przed trzema dniami przylecieliśmy z MacDonaldem z Bulawayo policyjnym helikopterem. Louren zostawił mnie, żebym pomógł rodezyjskiej policji, a sam wezwał swojego leara i odleciał do Johannesburga. Trwało właśnie ostatnie przesłuchanie, a na lotnisku oczekiwał już wyczarterowany samolot, który miał mnie zabrać z powrotem do Księżycowego Miasta.

Zastępca komisarza był wysokim mężczyzną ze starannie przystrzyżonymi włosami. Jego pobrużdżoną i spaloną słońcem twarz pokrywały blizny, a na piersi lśniły baretki, zaszczytne symbole szczególnej odwagi.

— Mageba znajduje się na samym początku listy facetów, z którymi chcielibyśmy jak najpilniej pogadać. Groźny typ, ale to akurat pan wie najlepiej. — Spojrzał na mnie stalowoszarymi oczami, a jego wzrok dał mi jasno do zrozumienia, że to nie towarzyska rozmowa, lecz przesłuchanie.

— Znam go — przyznałem. Mój udział w „porwaniu” samolotu był zresztą powszechnie znany.

— Co pan myśli o nim?

— Jest inteligentny i ma dobrą prezencję. Coś w nim jest. — Usiłowałem znaleźć odpowiednie słowa. — To typ człowieka, który osiąga to, czego chce. Facet, za którym idą inni.

— To właściwa ocena. — Zastępca komisarza skinął głową. — Od kiedy się do nich przyłączył, mamy do czynienia z eskalacją wrogiej aktywności zza rzeki. — Westchnął masując siwe skronie. — Myślałem, że tym razem go dostaniemy. Porzucili jednak swoich zabitych nie pogrzebanych i uciekli. Spóźniliśmy się zaledwie o kilka minut...

Zszedł ze mną na dół, gdzie pod drzewami jacaranda, obsypanymi gęstwą purpurowego kwiecia, czekał samochód policyjny.

— Jakie są wieści o MacDonaldzie? — zapytałem, gdy zatrzymaliśmy się przy samochodzie.

— Wydobrzeje. Nogi dadzą się uratować.

— Cieszę się.

— Ja także — przyznał zastępca komisarza. — To dobry człowiek. Szkoda, że nie



mam takich więcej. Przy okazji, doktorze: prosilibyśmy o dyskrecję. Nie chcemy, żeby rozeszła się fama o tych incydentach. Wszelkie wiadomości tego typu działają na ich korzyść. Zapewniają im rozgłos, którego pragną.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, zastępca komisarza odwrócił się i wszedł do budynku. Kiedy jechaliśmy ruchliwymi ulicami i widziałem uśmiechy na twarzach przechodniów, zastanawiałem się, dlaczego ktoś chce podbić to społeczeństwo. A jeśli zwycięży — co proponuje?

Pomyślałem o Księżycowym Mieście. Rozwinięta cywilizacja, ludzie, którzy zbudowali wielkie miasta z kamienia i posyłali swoje statki handlowe na krańce świata. Wszystko, co po nich pozostało to kilka marnych pamiątek, które teraz tak pracowicie zbieramy. Żaden inny kontynent nie był tak niestały w pomocy udzielanej ludziom, by wynieść ich tak szybko, a potem pochłonąć, odmawiając im nawet miejsca w swej pamięci. Okrutna ziemia, dzika i bezlitosna. I dziwne było to tylko, że wielu z nas kochało ją tak głęboko.

Powrót do Księżycowego Miasta rozczarował mnie. Odniosłem wrażenie, że ledwie zauważono moją nieobecność.

— Dobrze się bawiłeś? — spytała Sally znad maszyny do pisania.

— Cóż, nie nudziłem się.

— To dobrze. Co się stało z twoimi rękami? — zapytała, i nie czekając na odpowiedź, zaczęła stukać w klawisze, przygryzając koniuszek języka.

— Cieszę się, że wróciłeś — powiedział Hamilton. — Chciałem porozmawiać z tobą o tym. — Podprowadził mnie do stołu, na którym rozpostarto częściowo rozwinięty zwój. Nagle, po raz pierwszy w życiu, poczułem, jakie to wszystko stare i nieistotne wobec krwi, którą tak niedawno przelano.

Ral i Leslie wykorzystali moją nieobecność do uporządkowania własnych spraw. Ral mówił za oboje, a Leslie uzupełniała wypowiedź, kiedy tracił wątek.

— Więc jak pan widzi, doktorze, nie wydaje się nam słuszne pobierać się, póki choć jedno z nas nie zdobędzie stałej pracy. Pomyśleliśmy więc, że zwrócimy się do pana o radę. Podoba się nam tutaj. Chcielibyśmy tu zostać, ale zarazem poważnie myślimy o małżeństwie... Bardzo cenimy pańskie zdanie, więc prosimy, by zechciał nam pan poradzić, co zrobić.

Wieczorem rozmawiałem z Lourenem, a później zawołałem tę dwójkę do stołu.

— Oferuję ci pracę za trzy i pół tysiąca — powiedziałem do Rala. — Natomiast Leslie dostanie dwa. Oczywiście dostaniecie mieszkanie w instytucie, a w ramach prezentu ślubnego pomogę wam je umeblować.

Leslie pocałowała Rala, a potem mnie. Pomyślałem, że to dość nowatorski sposób akceptowania oferty zatrudnienia.

Ral rzucił się w wir przeszukiwania okolicy urwisk z nową energią, ale nie spędzałem z nim wiele czasu. Zacząłem przygotowywać swe wystąpienie w Królewskim Towarzystwie Geograficznym. Powinno to być zajęcie miłe i ekscytujące, ja zacząłem w nim grzęznąć. Zwoje zawierały mnóstwo szczegółów, ale nie odpowiadały one na pytania, skąd mieszkańcy Opetu przybyli i kiedy, dokąd odeszli? I dlaczego?

Moje rozważania stawały się tak rozwlekłe zawiłe, że nudziły mnie samego. Wrywałem arkusz z maszyny, gniołem i ciskałem nim o ścianę. Nie ma chyba smutniejszego widoku niż pusta kartka papieru. Przerazało mnie, że moje niesforne uczucia stają na przeszkodzie porządkowaniu myśli i faktów. Wmawiałem sobie, że to reakcja na przeżycia doznane podczas wyprawy na północ; że martwi mnie zagadkowe zachowanie Sally; że to obawa przed nadciągającą konfrontacją z moimi przeciwnikami.

Próbowałem wszystkich sztuczek, zmuszając się do siedzenia przy maszynie tak

długo, aż skompletowałem dziesięć tysięcy słów, albo też wstając o północy i usiłując uwolnić myśli z otępiełego mózgu.

Wystąpienie pozostawało jednak wciąż nie napisane, a ja przyłapywałem się na bezmyślnym krążeniu po biurze lub polerowaniu wielkiego topora wojennego, aż blask jego ostrza raził wzrok, albo też na nerwowym brzdąkaniu na gitarze i komponowaniu smutnych piosenek. Czasami przesiadywałem godzinami przed portretem białego króla, pogrążony w marzeniach, a czasem pętałem się całymi dniami wzdłuż klifów, mimo słońca i skwaru. Zdawało mi się często, że towarzyszy mi coś ulotnego, poruszającego się jak psotny brązowy skrzat nieuchwytny dla oka. Albo inaczej: siadywałem samotnie w archiwum, pogrążony w rozpacz, przypominając sobie nienawiść w oczach Timothy'ego, gdy patrzył na mnie przez rzekę. Ani on, ani ja nie byliśmy w pełni tymi, za kogo nas uważano, w każdym z nas kryły się mroczne i groźne głębie. Przypominałem sobie straszliwie okaleczone ciała Buszmenów, pozostawione ptakom, i moje własne szaleństwo, gdy wrzeszcząc kładłem pokotem uciekających mężczyzn na białym piasku koryta rzeki. Nie wiem, jak długo trwałoby to moje przygnębienie, gdyby nie odkrycie, które pozwoliło rozwiązać część tajemnic wciąż otaczających nasze miasto.

Zespół Eldridge'a, którego nie dręczyły problemy, z jakimi ja miałem do czynienia, osiągnął znaczne postępy w pracach związanych ze zwojami. Sally pogłębiła swoją znajomość języka starożytnych i dorównywała już niemal w szybkości i płynności jego odczytywania profesorowi.

Przy śniadaniu, które w tych dniach stanowiło jedyną okazję do wspólnych spotkań, Eldridge poprosił mnie o dostarczenie kolejnych dzbanów z archiwów. Prawdę mówiąc, z radością powitałem tę możliwość uwolnienia się od maszyny do pisania, a Ral był równie jak ja ucieszony perspektywą odmiany po bezowocnych przeszukiwaniach urwiska.

W chłodnym, przyjaznym mroku archiwów pracowaliśmy według ustalonego porządku. Ral mówił za nas dwóch, gdyż wciąż nie opuszczało mnie otępienie. Wyjął z kamiennej niszy dzban i z ciekawością zajrzał w głąb odsłoniętej w ten sposób półki.

— Hej! — zawołał. — A to co?!

Podszedłem szybko i spojrzałem na rząd niewielkich przysadzistych naczyń, wykonanych z tej samej co dzbany glinki, ukrytych w starannie zamaskowanych wgłębieniach. Wiedziałem, że oto dokonaliśmy kolejnego odkrycia, równoznacznego z następnym krokiem zbliżającym nas do pradawnych tajemnic.

Ral przysunął lampę łukową, by lepiej oświetlić wgłębienie, i natychmiast spostrzegliśmy, iż każdy z nowo ujawnionych dzbanów był zapieczętowany odmiennie niż dotychczas znalezione — wieczko i korpus oplatała siatka ze złotego drutu, a na glinianych plombach odbito sylwetkę Ptaka. Nachyliłem się i delikatnie starłem kurz okrywający pieczęć. Wyłonił się sęp, klasyczny ptak kultury Zimbabwe, na tle słońca. Nie ukrywam, że poczułem się wstrząśnięty odkryciem godła współczesnej Rodezji na plombie o bezdyskusyjnie punickim pochodzeniu. Podobnie zareagowałbym znajdując na przykład brytyjskiego lwa czy jednorożca w egipskim grobowcu.

Pracowaliśmy tak szybko, jak pozwalała nam na to konieczność wykonania rutynowych czynności. Znakowaliśmy i fotografowaliśmy duże dzbany, po czym wyjmowaliśmy je, odkrywając za każdym pięć mniejszych. Moje podniecenie wzrastało wraz z nadzieją dokonania wielkiego odkrycia którego byłem coraz bardziej pewien.

Staranne ukrycie dzbanów oraz plomby świadczyły, że chodzi o coś szczególnie ważnego.

Czułem się tak, jakbym przez cały czas pobytu w Księżycowym Mieście czekał na te właśnie dzbany. Duszę przepęłniała mi radość. Kiedy w końcu byliśmy gotowi, by wydobyć te starannie zabezpieczone naczynia z niszy, zarezerwowałem ten honor dla siebie, pomimo protestów Rala: „Ale to ja je znalazłem!”

Balansując na najwyższym szczeblu drabiny, sięgnąłem w zagłębienie i spróbowałem podnieść pierwsze z naczyń.

— Jest przymocowane. Musieli zastosować jakieś sworznie... — Pochyliłem się głębiej i ostrożnie obmacałem otoczenie dzbana, szukając przytrzymujących je bolców. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że niczego takiego nie ma.

— Niech pan spróbuje wziąć jakiś inny — zaproponował Ral, ciężko dysząc mi w kark z wysokości swojej grzędy. — Mogę pomóc?

— Posłuchaj, Ral, jeśli nie zrobisz mi odrobiny miejsca, zaraz się tu uduszę.

— Przepraszam, doktorze — mruknął, cofając się. Spróbowałem podnieść następny dzban, ale z takim samym skutkiem.

— Bardzo to dziwne... — roztrąpnie zauważył Ral. Wróciłem do pierwszego z naczyń i mocno oparłszy łokcie na półce, zacząłem obracać nim w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Wymagało to użycia całej mojej siły, napięcia wszystkich mięśni, lecz w końcu dzban poruszył się. Przesunął się w moją stronę i zorientowałem się, że nie trzymały go żadne sworznie, ale ciężar naczynia nie pozwalał na podniesienie go.

Razem przysunęliśmy dzbanek do krawędzi półki, po czym, ułożywszy go sobie w ramionach pieczołowicie jak noworodka, zniosłem zdobycz na posadzkę. Później stwierdziliśmy, że dzban ważył sto dwadzieścia dwa funty, chociaż nie był większy od butelki szampana.

Ral pomógł mi delikatnie ułożyć go w kołysce z włókna szklanego, którą wykonaliśmy do przenoszenia dzbanków. Każdy z nas ujął jedną rączkę nosidełka i wynieśliśmy dzban z tunelu, mijając posterunek straży. Byłem zaskoczony, gdyż stwierdziłem, że jest już ciemno, a w otworze sklepienia jaskini migoczą gwiazdy.

Różnica wzrostu utrudniała nam dźwiganie naszego ciężaru, mimo to pospiesznie schodziliśmy w kierunku obozu. Z uczuciem ulgi stwierdziłem, że w magazynie wciąż pali się światło. Kiedy wnieśliśmy do środka nasze cenne brzemie, obecni ledwie unieśli głowy znad swojej pracy.

Mruknąłem do Rala i zasłaniając dzban swoimi ciałami, unieśliśmy go i postawili na środku ławy. Wówczas odwróciłem się i zawołałem w stronę trzech schylonych nad pracą osób znajdujących się w drugim końcu pomieszczenia:

— Eldridge, mógłbyś rzucić na to okiem?

— Jedną chwilę. — Eldridge dalej pochylał się nad zwojem. Czekaliśmy cierpliwie, aż nareszcie odłożył lupę i podniósł głowę. Zareagował błyskawicznie. Dostrzegłem błysk w jego oczach i różowy żar rozlewający się po łysej czaszce, co skojarzyło mi się z blaskiem zachodzącego słońca na kopule Taj Mahal. Szybko podszedł do stołu.

— Gdzie to znaleźliście? Ile ich jest? Zapłombowany! — Rozdygotanymi rękami dotknął glinianej pieczęci. Ton jego głosu zaalarmował dziewczęta, które błyskawicznie dołączyły do nas. Staliśmy nad dzbanem w nabożnej ciszy.

— Otwórz to! — Sally przerwała wreszcie milczenie.

— Już prawie pora kolacji. — Zerknąłem na zegarek. — Lepiej zostawmy do jutra — zaproponowałem.

Obie dziewczyny skoczyły na mnie z furją.

— Nie możemy... — zaczęła Sally, ale widząc wyraz mojej twarzy, odetchnęła z ulgą. — Nie powinieneś żartować sobie w ten sposób — oznajmiła surowo.

— Cóż, profesorze Hamilton, na co czekamy? — spytałem.

— Właśnie, na co? — zawtórował mi.

Pochyliliśmy się nad pieczęcią. Za pomocą nożyczek przecięliśmy złoty drut i ostrożnie zdjęliśmy plombę. Wieko uchyliło się łatwo. Pod nim znajdował się, jak zwykle, owinięty w płótno cylinder. Ale tym razem nie poczuliśmy przykrew woni skóry. Eldridge nie był w stanie unieść dzbana. Położyłem go więc delikatnie na boku i przy pomocy profesora przytrzymującego naczynie wyciągnąłem ze środka ciężki rulon. Opakowanie było dobrze zachowane i składało się z jednego kawałka tkaniny.

Nikt nie odezwał się, kiedy wpatrywaliśmy się w cylinder. Domyślałem się, co może zawierać; tylko metal jest tak ciężki. Z drżeniem oczekiwałem potwierdzenia swych przypuszczeń. Nie myliłem się. Zwój był długim, zrolowanym arkuszem czystego złota. Miał grubość jednej szesnastej cala, szerokość osiemnastu cali i trochę ponad dwadzieścia osiem stóp długości. Ważył 1954 uncje, co pozwalało oszacować jego przybliżoną wartość na ponad osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. A było ich tam pięć.

Miękki rulon rozwinął się z taką łatwością, jak gdyby chciał podzielić się z nami swoimi pradawnymi sekretami. Znaki zostały wryte w metalu z wielką wprawą za pomocą ostrego narzędzia grawerskiego, a światło odbite od powierzchni rulonu raziło oczy czytających.

Zafascynowani, patrzyliśmy, jak Eldridge rozprowadza po oślepiającej powierzchni czarną farbę i ostrożnie ściera jej nadmiar. Każda litera wyróżniała się teraz czernią od złotego podłoża. Hamilton nałożył okulary i pochylił się nad tajemniczym pismem. Zaczął wydawać pomruki i chrząknięcia, a my stłoczyliśmy się wokół niego jak dzieci czekające na opowiadanie bajki.

W końcu wybuchnąłem:

— Na miłość boską, przeczytaj to!

Eldridge podniósł wzrok i uśmiechnął się złośliwie.

— To bardzo interesujące. — Trzymał nas w niepewności jeszcze przez długie sekundy. Zapalił papierosa i zaczął w końcu czytać. Od razu stało się dla nas jasne, że rulon jest pierwszy z całej serii. Eldridge czytał:

Wejdz do mojego składu i weź stamtąd pięćset palców najprzedniejszego złota Opetu. Wykonaj z niego zwój niezniszczalny, by te pieśni przetrwały wieczność. By chwała naszego narodu przetrwała przez wieki w słowach naszego ukochanego Hu Ben-Amona, wielkiego kapłana Baala i ulubieńca Isztar, nosiciela czary życia i topora wszystkich bogów. Czytajcie te słowa i radujcie się tak, jak ja się radowałem. Słuchajcie jego pieśni i łkajcie tak, jak ja łkałem. Niech jego śmiech odbije się echem przez stulecia, a jego mądrość trwa po wieczność. Tako rzecze Lannon Hycanus, czterdziesty siódmy Wielki Lew Opetu, król Puntu i czterech królestw, władca południowych mórz i strażnik dróg wodnych, pan traw nizin i gór, które się nad nimi wznoszą.

Eldridge przerwał czytanie i spojrzał na nas. Wszyscy pogrążeni byliśmy w milczeniu. Tekst był tak bardzo odmienny od suchych wyliczeń, spisów handlowych i poleceń rady. Ten zwój był przesycony żywym tchnieniem, istotą narodu i jego ziemi.

— Hej! — westchnął Ral. — Oni mieli rzeczników prasowych!

Zirytował mnie jego lekceważący ton.

— Czytaj dalej — powiedziałem.

Eldridge skinął głową, zgniótł niedopałek w popielniczce i znów rozpoczął czytanie, przerywając tylko po to, by rozwinąć i poczernić każdy nowy fragment zwoju. Czytał rytmicznie, a my słuchaliśmy w oszołomieniu. Godziny mijały, a my wciąż słuchaliśmy pieśni Ben-Amona, recytowanych znów po dwóch tysiącach lat.

Opet miał swego filozofa i historyka. Kiedy słuchałem słów dawno zmarłego poety, poczułem dziwną więź łączącą moją duszę z jego. Rozumiałem jego dumę i

lekką próżność, podziwiałem śmiało wizje, przebaczałem mu porywy fantazji i oczywiste wyolbrzymienia, porwany snującym się wątkiem. Jego opowieść rozpoczęła się w Kartaginie otoczonej wojskami Rzymu, obleganej i krwawiącej, gdy legiony Scypiona Emilianusa napierały na jej mury, wznosząc okrzyk: „Kartagina musi polec!”

Kronikarz opowiedział o tym, jak Hasdrubal posłał szybki okręt mknący wzdłuż śródziemnomorskiego wybrzeża do miejsca, w którym Hamilcar, ostatni potomek rodu Barka, od dawna pozbawiony władzy i wpływów politycznych, czekał ze swoją flotą wojenną złożoną z pięćdziesięciu siedmiu statków w pobliżu Hippo, na północnym wybrzeżu Afryki.

Mówił, jak oblegany wódz poprosił o odsiecz, a także o sztormie i przeciwnych wiatrach, które ją uniemożliwiły. Scypio wdarł się do miasta, a Hasdrubal poległ ze skrwawionym mieczem w dłoni, rozdarty na strzępy przez rzymskich legionistów pod wielkim ołtarzem w świątyni Ashmun.

Kiedy Eldridge przerwał, odezwałem się:

— To daje nam ważną wskazówkę: trzecia wojna punicka i ostateczna zagłada Kartaginy to sto czterdziesty szósty rok przed Chrystusem.

— Myślę, że to zarazem data rozpoczynająca kalendarz Opetu — dodał Eldridge.

— Dalej — powiedziała Sally. — Proszę dalej.

Dwie biremy uszły rzezi, plądrowaniu i gwałtowi. Umknęły dzięki silnemu wiatrowi do miejsca, w którym czekał Hamilcar, niespokojny i wstrzymywany przez sztorm. Powiedzieli mu, że Hasdrubal nie żyje i że Scypio poświęcił miasto bogom piekieł, spalił i zburzył mury, sprzedał w niewolę pięćdziesiąt tysięcy ocalałych mieszkańców, posypał pola solą i zakazał pod karą śmierci pozostawiania w ruinach.

Taka wielka nienawiść i tak okrutny czyn mogły wypłynąć tylko z serca Rzymianina — wołał poeta, a Barka Hamilcar opłakiwał Kartaginę przez dwadzieścia dni i dwadzieścia nocy, nim posłał po swoich kapitanów.

Przybyli do niego w dziewięciu i poeta Hu wymienił ich imiona: Zadal, Hanis, Philo, Habbakuk Lal i inni. W jaki sposób te żałosne resztki kartagińskiej potęgi mogły stawić czoło legionom Rzymu i ich potężnej flocie?

Wydawało się, że nie ma miejsca, w którym mogliby się schronić, gdyż Rzym trzymał pod swoimi zbrojnymi stopami cały świat. Wtedy Habbakuk Lal, stary lew morski i wielki nawigator, przypomniał im o wyprawie, jaką przedsięwziął Hanno trzysta lat wcześniej, wyprawie wiodącej poza Słupy Herkulesa, do ziemi, na której pory roku były odwrócone, złoto wyrastało ze skał niczym kwiaty, a na równinach pasły się stada słoni. Wszyscy czytali sprawozdania z podróży, jakie Hanno spisał na tablicach w wielkiej świątyni Baal Hammona w Kartaginie, teraz zniszczonej przez Rzymian. Przypominali sobie, jak mówił o rzece i potężnym jeziorze, gdzie łagodni żółci ludzie powitali ich przychylnie i wymieniali złoto i kość słoniową na paciorki i tkaniny.

To dobra ziemia — napisał — i bogata.

Tak więc w pierwszym roku eksodusu Barka Hamilcar powiodł flotę złożoną z pięćdziesięciu dziewięciu wielkich statków, każdy ze stu pięćdziesięcioma wioślarzami i oficerami na pokładzie, ku zachodowi, pod piętrzącymi się Słupami Herkulesa, a potem na południe, ku nieznanym morzom. Wraz z nim wyruszyło dziewięć tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Podróż trwała dwa lata, w czasie których wolno posuwali się wzdłuż zachodnich wybrzeży Afryki. Nękały ich niewygody i niebezpieczeństwa, dzikie szczepy czarnych, zwierzęta i choroby, gdy schodzili na ląd, pływiczny i prądy, wiatry i cisze na morzu.

Dwa lata później dopłynęli do ujścia szerokiej, spokojnej rzeki i przez szesnaście dni żeglowali w górę jej biegu, Przeciągając okręty przez mielizny, aż wreszcie dotarli

do potężnego jeziora. Wylądowali na najdalszym brzegu, pod wysokim czerwonym urwiskiem kamiennym. Barka Hamilcar zmarł w wyniku gorączki, której nabawił się na zdradliwych ziemiach północy. Jego nieletniego syna Lannona Hamilcara wybrano na nowego króla, a dziewięciu admirałów zostało jego doradcami. Nazwali swój nowy kraj Opetem, tak jak nazywała się legendarna kraina złota, i zaczęli budować swoje pierwsze miasto w miejscu, gdzie wśród skał lśniły wody głębokiego basenu. Basen i miasto poświęcone zostały bogini Isztar.

— Mój Boże, już czwarta. — Ral Davidson przerwał czar, który owładnął nami na prawie całą noc.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczony, ale i szczęśliwy. Znalazłem swego Pliniusza. Teraz mogłem tryumfujący pojawić się w Londynie. Miałem wszystko.

Jakże szybko mijały dni. Każdego dnia rozpoczynałem pracę przed świtem. Moja maszyna do pisania klekotała równomiernie, a obok niej piętrzył się stos zapisanych kartek. Pracowałem do południa; popołudnia i wieczory spędzałem w magazynie, słuchając pieśni ze złotych ksiąg poety. Nie mieliśmy złudzeń, że zdołamy skompletować przekłady przed pierwszym kwietnia. Bylibyśmy szczęściarzami, gdyby udało się nam odtworzyć do tego czasu treść pierwszych dwóch spośród pięciu zwojów. Nie było również nadziei, żeby wniosek o przesunięcie terminu sympozjum spotkał się z przyzwoleniem Rady Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Biuro londyńskiego oddziału Anglo-

Sturvesant zakończyło już przygotowania, zaproszenia zostały rozesłane i potwierdzone, załatwiono noclegi, transport i sto innych spraw.

Spieszyłem się, by uporządkować i opisać tyle spośród tej nieprawdopodobnej masy faktów i legend, ile zdołam w tym krótkim czasie, jaki mi pozostał do sympozjum. Musiałem przy tym strzec się pokusy romantyzowania, do czego mam skłonność. Słowa poety rozpałały moje emocje, starałem się kopiować jego porywczy styl, wychwalać herosów i karcić rzezimieszków, tak jak on to czynił.

Wszystkich mieszkańców Księżycowego Miasta głęboko wciągnęła ta opowieść, nawet Eldridge'a Hamiltona, który jako jedyny z nas nie pochodził z Afryki. Pozostałych, dla których Afryka zarówno pod względem naukowym, jak i uczuciowym była oazą, pieśni te olśniewały tętniącym w nich życiem.

Jakże często odczytywałem nasze dzieje jako echo wysiłków i dokonań mieszkańców Opetu. Jakże blisko wydawali się związani z nami, pomimo upływu tylu lat!

Przez pierwsze pięć lat osada na brzegach jeziora rozkwitała. Wznoszono budowle z pni i błota, a mieszkańcy oswajali się ze swoim nowym krajem. Nawiązali stosunki handlowe z Yuye. To byli zółci ludzie, z całą pewnością przodkowie Hotentotów. Byli narodem pasterskim, mieli stada kóz i bydła. Byli też myśliwymi i tropicielami, zbieraczami grudek złota ze złotonośnych piasków rzek. Habbakuk Lal w imieniu nieletniego króla zawarł z królem Yuye traktat przyznający Opetowi całą ziemię pomiędzy wielką rzeką a wzgórzami Tuya w zamian za pięć bel tkaniny i dwadzieścia żelaznych mieczy.

Usatysfakcjonowany Habbakuk Lal, dla którego prądy i zapachy morza były niemal obiegiem własnej krwi w żyłach, udał się na środkowe morze pięcioma swoimi najszybszymi statkami załadowanymi złotem i kością słońsiową Opetu. W ciągu dziewięciu miesięcy zakończył rejs, zakładając strażnice wzdłuż zachodniego brzegu Afryki, i powrócił z ładunkiem paciorków, tkanin i innych „luksusów” cywilizacji. Wytyczył szlak, którym skarby Afryki Południowej napływać miały do świata.

Przywiózł z sobą zwerbowanych dla kolonii Opet metalurgów, kamieniarzy,

budowniczych statków, jak również poszukiwaczy przygód. Ale kiedy wyczerpały się zapasy gromadzone latami, strumyczek złota i kości słoniowej wysechł, Habbakuk Lal poprowadził setkę ludzi do miasta Yuye. Chcieli otrzymać prawa do prowadzenia poszukiwań i łowów na obszarze całego królestwa Yuye; ich król zgodził się chętnie, kładąc swój znak na skórzanym zwoju. Wówczas też wydał ucztę, by zabawić swych znakomitych gości. Przynoszono piwo w wielkich tykwach, nad dołem wypełnionym żarzącymi się węglami piekł się wół, gibkie dziewczęta Yuye tańczyły nago, a ich naoliwione żółte ciała lśniły w słońcu.

W samym środku biesiady król Yuye wstał i zaciśniętą pięścią wskazał ludzi, których żądania stawały się coraz bardziej nieumiarkowane.

— Zabić te białe diabły! — krzyknął, a jego wojownicy wyskoczyli z ukrycia.

Habbakuk Lal zdołał umknąć, torując sobie drogę toporem wirującym nad głowami wojowników królewskich, zataczającym szaleńcze kręgi. Trzech jego ludzi ruszyło za nim, ale resztę powalono na ziemię, a czaszki ich zgruchotane zostały przez wojenne pałki Yuye.

Habbakuk Lal i jego waleczna trójka uszli ścigającym i dotarli do brzegu wielkiej rzeki, gdzie czekał przycumowany okręt. Umknęli pod białymi żaglami i przywieźli ostrzeżenie do Opetu. Kiedy wojownicy Yuye w sile czterdziestu tysięcy ludzi zaroił się wśród czerwonych urwisk, czekała już na nich pięcioletnia armia Opetu.

Przez cały dzień żółta horda załamywała się jak morskie fale na szeregach łuczników Opetu; przez cały dzień powietrze aż gęste było od strzał przypominających chmary szarańczy. W chwili kiedy Yuye cofnęli się wyczerpani, a ich upór załamał się, Habbakuk Lal rozwarł swoje szeregi i wypuścił rębaczy. Jak charty króliki, jak wilki owce, ścigali napastników, aż ciemność położyła kres rzezi. Yuye zginął w płomieniach płonącego miasta, a jego ludzi pojmano w niewolę. Takie jest prawo Afryki, krainy która sprzyja silnym, i gdzie dumnie stąpa lew.

Rozwijająca się kolonia umocniła swoją bazę i rozkwitała.

Metalurgowie odkrywają złoża metali, łowcy poszerzają tereny myśliwskie, hodowcy łączą bydło Yuye z czystokrwistymi bykami, które Habbakuk Lal przywiózł z północy. Rolnicy sieją ziarno i podlewają je wodą z jeziora. By chronić mieszkańców i bogów, zaczęto wznosić mury. Ziemia i jej skarby zostają rozdzielone między dziewięć szlacheckich rodów, członków królewskiej rady.

Habbakuk Lal, o ciele zniekształconym artretyzmem, którego płonące czerwienią włosy i broda poszarzały jak popiół, umiera. Ale jego najstarszy syn, admirał floty Opetu, przybiera imię ojca; wiedzie rozrastającą się flotę na wyprawy handlowe i badawcze. Jego statki mkną nieustannie utartymi szlakami na północ, ale wyruszają też na południe, gdzie ziemia zakręca, a południowego przylądka strzeże płasko zwieńczona góra. Tutaj nagły wiatr z północnego wschodu rozbija połowę flotylli Opetu o skały u podnóża góry. Kapłani odczytują to jako znak bogów i żaden statek Opetu nie zapuszcza się już nigdy tak daleko na południe.

Mijają stulecia. Królowie zasiadają na tronie i opuszczają go. Powstają nowe zwyczaje, starych bogów czci się inaczej, uwzględniając wymogi tej ziemi. Z połączonej krwi Opetu i Yuye powstaje nowa rasa. Wszyscy mieszkańcy są obywatelami, ale tylko szlachetnie urodzeni mogą rządzić. Wszyscy mogą cieszyć się wszelkimi przywilejami i dźwigać brzemień odpowiedzialności różnego typu — z wyjątkiem kierowania sprawami kraju. To ostatnie zarezerwowane jest dla osób, w żyłach których płynie stara krew, czysta i nie skażona. Jako odgałęzienie tych klanów powstaje ród kapłanów wojowników. Są oni synami Amona. Ubawił mnie fakt, że zapoczątkował ów ród człowiek ze starego królestwa Tyru i Sydonu na granicach Kany. Kapłani najprawdopodobniej więc wywodzili się z żydowskiego rodu. Niełatwo utrzymać nas z dala od korzystnych interesów, prawda?

Nowi herosi ruszają do walki wzdłuż granic albo tłumią rewolty niewolników bądź zabijają dzikie bestie. Wskrzyszona zostaje stara sztuka tresury słoni. To one wiedzą do boju armię króla i ułatwiają pracę budowniczych oraz górników.

Złote księgi dostarczały nam chwilami ekscytującego wrażenia fizycznego wręcz kontaktu z przeszłością. Hu przedstawia szczegółowo układ murów i wież. W innym miejscu opisuje prześwietny dar złożony przez egipskich pośredników w Kadyksie Wielkiemu Lwu, bo tak nazywany był teraz król. Wśród skarbów znajdował się złoty kielich, kunsztownie zdobiony symbolami wiecznego życia. To właśnie nasz kielich, znaleziony wśród ruin świątyni! Tej nocy poszedłem obejrzeć go jeszcze raz.

Przedzieranie się przez pieśni poety było zarazem grą w odgadywanie współczesnych nazw zwierząt i miejsc, o których wspominał. Miasta i garnizony przed wiekami zmiecione zostały z powierzchni ziemi albo obróciły się w stopy kamieni.

Oczarowała nas opowieść o tym, jak mieszkańcy Opetu zaczęli poszukiwania krainy, w której mogłaby wyrosnąć winorośl i oliwka. Kiedy przywieziono sadzonki z północy na pokładach okrętów piątego Habbakuka Lala, były warte więcej niż ich waga w złocie.

Ogrodnicy i nadzorcy winnic Wielkiego Lwa odkryli daleko na wschodzie pasmo wysokich gór, gdzie występowały mgły i chłodne, czyste powietrze. Dziesiątki tysięcy niewolników rozpoczynają dzieło przekształcania łagodnych stoków w tarasowate pola. Sadzonki w glinianych dzbanach przewieziono na pokładach najszybszych okrętów, a potem na grzbietach słoni do gór Zeng. Z nich to pochodzi słodkie czerwone wino Zeng, które z takim uczuciem wychwala poeta. Dalej następuje opis tarasowatych ogrodów, które po dziś dzień pokrywają zbocza gór Inyanga.

Z opisów zwierzyny, dzikiego ptactwa Puntu i czterech królestw zidentyfikowaliśmy większość. Święty ptak, który zanosił ofiary mięsa Baalowi, wzlatając wysoko ku bezchmurnemu niebu, aż nikał poza zasięgiem ludzkiego wzroku, to z pewnością sęp. Zdaliśmy sobie też sprawę ze znaczenia wyrytych sylwetek sępów i ich obecności na częściach złotych zwojów. Ptak ten został wybrany na godło kapłanów wojowników, synów Amona.

Wśród opisywanych zwierząt znalazły się też gatunki wymarłe, z wielkim lwem na czele. Był to ogromny drapieżny kot, żyjący wśród trzciny na południowych brzegach jeziora. W dwieście szesnastym roku wydano prawo chroniące to zwierzę, już wówczas zagrożone wyginięciem. Ochrona była niezbędna z powodu roli, jaką odgrywało ono w rytuale koronacji kolejnych królów, ceremonii, którą Hu określał mianem „łowów na wielkiego lwa”. Opisywał go jako czerwonawobrazowego koloru bestie o pysku w białe i czarne pasy, wysoką na pięć stóp. Z paszczy sterczały jej długie na dziesięć cali kły. Pomimo wątpliwości, z jaką moi towarzysze odnieśli się do spostrzeżeń poety, wydawało mi się, że rozpoznaję w tym zwierzęciu wielkiego rysia. Szkielet opisywanego zwierza został wykopany wśród górnych warstw kości w jaskiniach Sterkfontein.

Hu opisuje także handel żywymi zwierzętami. Dawny wróg mieszkańców Opetu — Rzym — ogołaca Afrykę Północną z lwów i słoni, które odsyła do cyrków. Hanis, łowczy z południowych nizin, odkrywa sposób chwywania ich żywcem i oszołamiania wyciągiem z dzikich konopi. W stanie śpiączki umieszczane są na statkach Habbakuka Lala i przewożone szybko na północ, do garnizonów rozlokowanych wzdłuż wybrzeża. Hu donosi, że tę męczącą podróż przeżywała połowa zwierząt, za które uzyskiwano następnie astronomiczne ceny, gdyż dostarczały rozrywki głodnym sensacji Rzymianom.

W czterysta pięćdziesiątym roku naród Opetu osiąga szczyt potęgi i dobrobytu. Granice królestwa rozszerzają się, niewolnicy z trudem wystarczają do realizowania



jego niezliczonych przedsięwzięć. Zdesperowany król wysłała więc ekspedycję mającą na celu dostarczenie nowych niewolników. Hasmon Ben-Amon, udawszy się na północ o dziesięć dni marszu od wielkiej rzeki, powraca ze wspaniałymi Nubijczykami i domaga się należytej nagrody.

Dotarliśmy do końca drugiej złotej księgi Hu Ben-Amona, gdy przyleciał po nas lear. Musieliśmy przerwać lekturę i opuścić Księżycowe Miasto.

Zostawiliśmy zatem Rala z Leslie, by doglądali obozu, a Eldridge, Sally i ja odlecieliśmy, by zdążyć na międzykontynentalne połączenie lotnicze z Luandy. Musieliśmy pokryć koszty 200—funtowego ponadnormatywnego bagażu i biletu szefa policji Botswany, wysłanego przez jego rząd, aby strzegł starożytnych zwojów, które zabraliśmy z sobą.

\* \* \*

W Londynie mieliśmy jeden dzień tylko dla siebie, i jak zwykle, wiązałem z nim wiele planów. Na trawnikach przed Lincoln Inn kwitły krokusy, piwo w Barley Mow miało lepszy smak, niż pamiętałem, a nowe fryzury dziewcząt były ładniejsze niż te, które widziałem ostatnio. Kiedy

o szóstej zamknęto Galerię Narodową, Sally i ja pojechaliśmy taksówką do San Lorenzo w Beauchamp Place i zjedliśmy doskonale osso bucco, które popijaliśmy czerwonym chianti. Do Teatru Królewskiego zdążyliśmy tuż przed podniesieniem kurtyny. Tu żyło się inaczej niż w Księżycowym Mieście.

Do Dorchester wróciliśmy po północy, ale Sally wciąż była pod wrażeniem pierwszego kontaktu z tym bajecznym miastem.

— Jestem zbyt podekscytowana, żeby spać, Ben. Co będziemy robić?

— Cóż, mam w pokoju butelkę szampana... — napomknąłem.

Spojrzała na mnie i mrugnęła z rozbawieniem.

— Ben Kazin, mój ulubiony skaut. Zawsze gotowy. Okay, chodźmy.

Kiedy butelka była na wpół opróżniona, kochaliśmy się po raz pierwszy od sześciu miesięcy. Było to dla mnie jeszcze bardziej wstrząsające doświadczenie niż za pierwszym razem. Już po wszystkim położyłem się wyczerpany fizycznie i duchowo, a Sally zabrała puste kieliszki i wyszła do salonu. Wróciła ze szkłem wypełnionym po brzegi bladym winem i stanęła nade mną naga i piękna.

— Nie wiem, dlaczego to zrobiłam — powiedziała i podała mi kieliszek w kształcie tulipana.

— Żałujesz? — spytałem.

— Nie, Ben. Nigdy nie żałowałam tego, co jest między nami. Chciałam tylko... — Przerwała i podnosząc kieliszek do ust, usiadła obok mnie na łóżku.

— Wiesz, że cię kocham — powiedziałem.

— Tak. — Spojrzała na mnie wzrokiem, którego wyrazu nie potrafiłem odczytać.

— Zawsze będę cię kochał — dodałem.

— Bez względu na wszystko? — zapytała.

— Bez względu na wszystko.

— Wierzę ci, Ben. — Skinęła głową. — Dziękuję.

— Sally... — zacząłem, ale położyła na moich wargach szczupły palec i potrząsnęła głową, aż miękkie, ciemne pukle spadły jej na twarz.

— Bądź cierpliwy, Ben. Proszę, bądź cierpliwy.

— Sally...

Pochyliła się nade mną i zamknęła mi usta swoimi. Wciąż złączeni byliśmy pocałunkiem, kiedy odstawiła swój kieliszek na podłogę, wyjęła drugi z moich nie stawiających oporu palców i postawiła obok swojego. Potem kochała się ze mną z

taką wprawą i subtelnością, że nie zdobyłem się już na żadne pytania.

\* \* \*

Następnego dnia o dziewiątej wsiedliśmy do taksówki, zmierzając do salonu fryzjerskiego Elisabeth Arden przy Bond Street. Byłem cokolwiek załęczniony, nie wiedziałem bowiem, co Sally każe zrobić ze swoimi ciemnymi, jedwabistymi włosami. Przesiadłem się do innej taksówki i ruszyłem w kierunku M4 i Heathrow. Zdenerwował mnie zaraz korek. Jazda po brytyjskich ulicach staje się z tego powodu niezmiernie uciążliwa.

Samolot Lourena akurat lądował, gdy pędziłem przez terminal kipiący mrowiem ludzi.

Usłyszałem okrzyk:

— To muszą być Dicky i Liz!

Uświadomiłem sobie, że musi chodzić o miejsce, w którym znajdowała się grupa Sturvesanta. Przebiłem się w kierunku świąty, którą pomyłono z obstawą Burtonów, i zorientowałem się, że miałem rację. To był Louren Sturvesant, ciężko i dostojnie brnący przez tłum, poprzedzany przez swoich ochroniarzy torujących mu drogę.

Dotarłem wreszcie do nich. Bobby Sturvesant wydała pisk radości i zarzuciła mi ręce na szyję, a dostojnie kroczący orszak zatrzymał się na chwilę, by mnie powitać. Hilary ubrana była w miękką suknię koloru miodu, wyglądającą nobliwie. Louren górował jak zwykle nad tłumem. Jego spłowiałe od słońca włosy miały kolor białego złota, a twarz opalona była na ciemny brąz.

— Ben, stary draniu! — Objął mnie. — Dzięki Bogu, że ci się udało. Zajmij się, proszę, Hil i dziećmi. Muszę załatwić parę spraw, a potem dołączę do was w Dorchester.

Przed wyjściem czekały dwie długie limuzyny lśniące czernią. Grupa rozdzieliła się zgrabnie, a Louren pochylił się nade mną i oznajmił z dumą:

— Złapałem na Seszelach czarnego marlina. Ważył ponad 400 kilogramów.

Piękna sztuka!

— Ależ tygrys z ciebie! — pogratiulowałem mu.

— Przygotuj glen granta. Zaraz do was dotrę.

Zająłem miejsce naprzeciw Hilary i z radością zauważyłem, że wygląda promiennie. Roztaczała jasną aurę szczęśliwości, czego nie da się osiągnąć za pomocą kosmetyków.

— Spędziliśmy dziesięć dni na wyspach, Ben. Było cudownie! To była nasza rocznica. Spójrz! — Uniosła lewą rękę ukazując pierścionek z czerwonego złota, z diamentem. Było to w stylu Lourena, ale tym razem nawet ja patrzyłem oniemiały. Diament połyskiwał błękitem i wyglądał wspaniale. Z pewnością miał nie mniej niż dwadzieścia pięć karatów.

— Jest piękny, Hilary. — I tak jakoś pomyślało mi się: Im większa wina, tym wspanialszy prezent.

Kiedy dotarliśmy do Dorchester, Hilary wydała okrzyk podziwu, zdumiona barokowym wprost przepychem apartamentu Olivera Messela.

— To nie może być prawda, Ben — roześmiała się. — Niewiarygodne!

— Nie śmiej się — ostrzegłem ją. — Z pewnością kosztuje ponad sto funtów za dobę.

Usiadła w jednym z obszernych foteli.

— Przynieś mi drinka, Ben, kochany. Potrzebuję tego.

— Twoje problemy już nie istnieją, prawda?

— Zapomniałam, że w ogóle jakieś miałam, Ben. Lo jest lepszy niż kiedyś.

Kiedy wrócił Louren, zrozumiałem, co miała na myśli. Był we wspaniałym humorze, roześmiany, opalony mocno i widać było, że rozpiera go energia. Gdy nalewałem mu glen granta, pozbył się dwóch ostatnich bystrzaków, zarzucił marynarkę i krawat na oparcie krzesła, podwinął rękawy koszuli i usadowił się z drinkiem w dłoni.

— Okay, Ben. Pokaż mi je. — I obaj pograżyliśmy się w studiowaniu zwojów i omawianiu przekładu.

Louren wskazał pierwszą linijkę tekstu. — Idź do moich składów i weź stamtąd pięćset palców najprzedniejszego złota... — powtórzył i spojrzał na mnie. — To sływa prosto z ust naszego starego kolegi, Ben. „Mój skład”! Ten stary strup, Hamilton, źle to przetłumaczył. Powinien był użyć słowa „skarbiec”.

— Twój punicki stał się nagle całkiem niezły — pochwaliłem go.

— Ben, czy kiedykolwiek posyłałeś po złoto do składu? Przyjmijmy, że nasze miasto spotkał gwałtowny koniec. Zostały zgliszcza i trupy, ale archiwa, które otaczali szczególną pieczę, są nietknięte. Istnieje więc duża szansa, że skarbiec jest również nienaruszony. Musimy go tylko znaleźć!

— Pięknie! — Skinąłem głową, uśmiechając się z sarkazmem. — Wreszcie coś nowego! Przeoczyłeś, że przez ostatnie sześć miesięcy łamię sobie nad tym głowę?

— On tam jest, Ben. — Nie zareagował na moją ironię.

— Gdzie jest, Lo? Gdzie?

— Niedaleko. Gdzieś w obrębie głównych murów, prawdopodobnie w jaskini.

— Do diabła, Lo! Przejrzałem każdy jej cal po piętnaście razy — odparłem, z trudem hamując wybuch irytacji.

— A kiedy będziesz przeglądać ją po raz setny, zdasz sobie sprawę, jak ślepy byłeś dotąd...

— Psiakrew, Lo! — Nie wytrzymałem. — Nie wydaje mi się...

— Nalej sobie drinka, współniku, zanim wybuchniesz. Zrobiłem, jak radził, a on kontynuował:

— Nie podważam twoich osiągnięć, Ben. Ale pozwól mi przypomnieć sobie, że w roku tysiąc dziewięćset dziewiątym Theodore Davis zakończył swoją książkę słowami: Boję się, że Dolina Królów jest już opróżniona.

— Wiem, Lo, ale... Ignorując mnie, ciągnął:

— A trzynaście lat później Howard Carter odkrył grobowiec Tutenchamona, największy skarb tej doliny.

— Nikt nie mówi o rezygnowaniu z poszukiwań, Lo. Będę je kontynuował tak długo, jak długo będziesz finansował to przedsięwzięcie...

— Mogę się założyć, że moja książeczka czekowa jest mocniejsza niż twoja stanowczość.

— Na twoim miejscu nie ryzykowałbym takiego zakładu! — ostrzegłem go i roześmialiśmy się.

Rozstaliśmy się po południu.

Eldridge Hamilton, który przyjechał z Oxfordu jaskrawoczerwonym mini, oczekiwał mnie na chodniku przed gmachem Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

Ubrany był jak zawsze w tweedowy garnitur z łatami na łokciach. Był rozgorączkowany.

— Nie mogłem się ciebie doczekać, Ben — zarechotał ze złośliwą radością. — Czy zjawili się już w hotelu?

— Nie, ale Snell spodziewany jest dziś wieczorem.

Eldridge powiedział:

— Hipopotam pakujący się w śmiertelną pułapkę.

Okrutne, ale trafne — pomyślałem.

Przeszliśmy przez podwójne dębowe drzwi do wyłożonego boazerią holu. Panowała w nim dostojna cisza, stwarzająca atmosferę stabilności w naszym szalonym współczesnym świecie.

Ramię przy ramieniu wspinaliśmy się szerokimi schodami, mijając portrety wielkich ludzi i listy osób nagrodzonych medalami towarzystwa.

— Powinieneś już pomyśleć, kto namaluje twój portret, Ben — rzekł Hamilton, wskazując obrazy. — Powiadają, że Johnny Annigoni jest całkiem niezły.

— Nie pleć byle czego — warknąłem. Zirytowała mnie przenikliwość Eldridge'a. Jestem człowiekiem skromnym i nieśmiałym, ale gdy tylko tu wszedłem i spojrzałem na portrety, wyobraziłem sobie wśród nich własny wizerunek zdobiący tę ścianę sławy. Wybrałem już sobie nawet pozę: siedzącą — maskującą nieco deformację mojego ciała — z lekko odwróconą głową. Mam całkiem niezły prawy profil. Na skroniach widziałem już pasma dostojnej szarości, a w klapie jaskrawą wstążeczkę jakiegoś zagranicznego orderu, może Legii Honorowej. Zamyślony wyraz twarzy, zmarszczona brew...

— Chodź! — ponaglił mnie Eldridge i podeszliśmy do miejsca, w którym prezydent w towarzystwie kilku członków rady oczekiwał nas z kieliszkami sherry. W zasięgu wzroku nie było jednak śladu przyzwoitej whisky.

Omawialiśmy otwarcie sympozjum, co miało nastąpić o drugiej trzydzieści po południu następnego dnia.

— Jego wysokość wygłosi przemówienie powitalne — wyjaśnił jeden z członków rady. — Prosimy go, żeby ograniczył się do czterdziestu pięciu minut i, o ile to możliwe, o unikanie takich tematów jak uprawa orchidei czy biegi przełajowe.

Później ja miałem wygłosić referat. Został przedstawiony w programie sympozjum jako kontynuacja tego, który wygłosiłem przed sześcioma laty: „Śródziemnomorskie wpływy w Afryce Środkowej i Południowej ery przedchrześcijańskiej”. Referat, który dostarczył wówczas Wilfredowi Snellowi i jego paczce tak wiele rozrywki. Na jutro przydzielono mi cztery godziny.

Eldridge wygłosi wykład kolejnego dnia rano. „Niektóre starożytne pisma i symbole Afryki Południowo—Zachodniej” — tytuł wybrany przez Eldridge'a był świadomie nie sprecyzowany.

Upewniliśmy się, że eksponaty, które przywieźliśmy z Afryki, są bezpieczne w skarbcu towarzystwa, po czym Eldridge odwiózł mnie do Dorchester przez zatłoczone ulice Londynu. Cztery razy objechaliśmy Hyde Park. Eldridge kłął wprawnie, jego łysa czaszka lśniła jak boja ostrzegawcza, a ja przywierałem kurczowo do drzwi, gotów w każdej chwili wyskoczyć na zewnątrz. Wreszcie profesor wyrwał się ze strumienia samochodów w kierunku Park Lane.

Poszliśmy do baru i zaaplikowawszy mu podwójny dzin zostawiłem go tam. Miałem własne plany na wieczór, a było już po szóstej.

Zbliżałem się do windy, gdy wyłoniła się z niej Sally. Fryzjer ułożył jej włosy, które opadały swobodnie i lekko. Z twarzą także zrobiła coś magicznego. Widziałem tylko ogromne oczy i delikatnie różowe usta. Miała na sobie długą suknię z miękkiego zielonego materiału.

— Ben... — Podeszła do mnie. — Tak się cieszę, że cię znalazłam. Zostawiłam ci kartkę pod drzwiami. Chodzi o dzisiejszy wieczór. Strasznie mi przykro, ale nic z tego. Przepraszam cię.

— W porządku, Sally. Nie umawialiśmy się konkretnie — powiedziałem, pokrywając uśmiechem rozczarowanie, gdyż moje plany rozsypały się jak domek z kart.

— Muszę się z nimi zobaczyć. To starzy przyjaciele, przyjechali aż z Brighton.

Poszedłem do apartamentu Lourena i snułem się po nim, przekomarzając się z Hilary i dziećmi. Lo zadzwonił o siódmej trzydzieści, a Hilary, zamieniwszy z nim parę słów, oddała mi słuchawkę.

— Miałem nadzieję, że zjemy razem kolację, Ben, ale utkwilem tu, nie wiem na jak długo — tłumaczył. — Zrobili kompletny galimatias w klauzulach podatkowych kontraktu. Próbujemy go odtworzyć. Może zabrałbyś Hilary na kolację?

Wymówiła się zmęczeniem i ogłosiła zamiar położenia się wcześniej. Zjadłem więc sam u Isowa prawdziwie koszerny posiłek, który zacząłem od siekanej wątróbki z cebulą. Później przeszedłem na drugą stronę ulicy do Raymonda i za pięć funtów oglądałem najładniejsze dziewczęta Londynu, pozbywające się ubrań. Nie był to dobry pomysł. Po wyjściu z lokalu poczułem się jeszcze bardziej samotny i przygnębiony, i choć nie jestem rozpustnikiem, zmagalem się z pokusą, kiedy dziewczęta kiwały do mnie z mrocznych bram.

Zadzwoniłem do pokoju Sally, gdy kilka minut przed północą wróciłem do hotelu, a godzinę później porzuciłem nadzieję na zaśnięcie. Sal nie odpowiadała, a telefon brzęczał ponuro jak owad bezskutecznie wysyłający godowy zew. Nastawał już świt, gdy nareszcie zasnąłem.

Louren obudził mnie, rześki i wypoczęty, o ósmej, rycząc do słuchawki:

— To wielki dzień, Ben. Chodź na śniadanie, właśnie zamawiam. Co dla ciebie?

— Kawę — wymamrotałem.

Kiedy zjawiłem się w jego apartamencie, miał przed sobą olbrzymią tacę, na której znajdowały się stek i bekon, nerki i jajka, wędzony łosoś i owsianka jako przystawka oraz tosty, marmolada i kawa na zakończenie. Typowe śniadanko Lourena.

— Będziesz potrzebował dużo siły, współniku. Siadaj i jedz.

Pokrzepiwszy się solidnie, przetrwałem poranek na grzbiecie fali oczekiwania. Kiedy w południe schodziliśmy powitać naszych gości, czułem się jak lew. Kiedy mówię „lew”, mam na myśli lwa ludożercę. Skropiłem gładko ogolone policzki połową zawartości butelki płynu po goleniu Diora, włożyłem ciemny kaszmirowy garnitur, białą koszulę i kasztanowy krawat, a Hilary wpięła mi goździk w klapę. Pachniałem jak ogród różany, mój krok był sprężysty, czułem dreszcz emocji jak myśliwy przed polowaniem.

Louren i ja wkroczyliśmy do salonu razem i szmer rozmów przycichł. Nie mogę rościć sobie pretensji do mniemania, że to moje wejście do pomieszczenia nakazuje ciszę, ale pojawienie się Lourena z pewnością tak. Tylko jeden perorujący pewnie głos wciąż dawał się słyszeć. To Wilfred Snell przemawiał stojąc w kręgu swoich pochlebców, górując nad nimi czymś więcej niż tylko wzrostem. Przypominał mi źle wykonany monument. Szeroko rozstawił nogi, przybierając pozycję ciężarnej kobiety, by utrzymać swój monstualny brzuch. Wyglądało to tak, jakby nosił pod kamizelką wypełniony bukłak na wino. Perłowoszarego materiału, z jakiego wykonano jego garnitur, żeby okryć to wybrzuszenie, starczyłoby na kurtynę w teatrze. Twarz Snella była biała i nalana, jak gdyby pod skórą znajdowało się brudne mleko. Wśród tej bieli usta wydawały się głęboką siną blizną, zawsze otwartą, nawet wtedy, gdy nic nie mówił. Włosy miał dziko poskręcane. Obwieszony był mnóstwem przedmiotów — okularami do czytania, wiszącymi na szyi jak lornetka dowódcy czołgu, złotą obcinarką do cygar, monoklem na czarnej wstążeczce, zegarkiem na łańcuszku i kółkiem z kluczami.

Zbliżałem się do niego okrężną drogą, zatrzymując się, by przywitać się z przyjaciółmi, ale moment dotarcia do niego był coraz bliższy. Ktoś wetknął mi w dłoń szklanekę, więc rozejrzałem się wokół siebie.

— Szkocka na odwagę — uśmiechnęła się Sally.

— Nie potrzebuję tego, kochanie.

— Chodźmy z nim porozmawiać — zaproponowała.

— Tę przyjemność zostawiłem sobie na koniec. Spojrzałem na tego samozwańczego znawcę archeologii, którego pół tuzina książek sprzedano w nakładzie pięciuset tysięcy każda. Lawirował w nich na krawędzi plagiatu i oskarżenia o zniesławienie, frazes udawał w nich erudycję, fakty zaś autor naginał albo zmieniał dowolnie, by odpowiadały jego argumentacji.

Nie jestem człowiekiem zawziętym, jednym z tych, którzy długo żywią urazę, ale kiedy patrzyłem na tego opasłego oprawcę, no więc kiedy na niego patrzyłem, poczułem krew napływającą mi do twarzy. Ruszyłem prosto w jego stronę.

Zobaczył, że się zbliżam, ale zignorował mnie. Wszyscy zebrani byli świadomi tego, co się rozgrywa, i prawdopodobnie z góry cieszyli się na tę konfrontację już od dnia, w którym otrzymali zaproszenie. Krąg wokół mistrza rozluźnił się, co dało mi możliwość zajęcia miejsca przed obliczem Snella.

— Nie ma żadnych wątpliwości — grzmiał nadal Wilfred. — Jak zawsze mówiłem... — Jego głos niósł się do najdalszych krańców pomieszczenia.

Czekałem cierpliwie. Przywołałem na twarz pieczołowicie wypracowany uśmiech, którego używam w podobnych sytuacjach, wstydlivy i bezradny.

— Ogólnie wiadomo... — Takie sformułowanie ze strony Wilfreda oznacza zazwyczaj, że omawiana teoria stanowi przedmiot zaciekłych kontrowersji. — Prawdę mówiąc... — Przeszedł do następnego kłamstwa.

W końcu spojrzał przed siebie, przerwał perorę w pół zdania, umieścił monokl w oku i ku swojemu zaskoczeniu odkrył obecność starego kolegi i przyjaciela.

— Beniaminie, mój drogi koleżko! — wykrzyknął. Zdrobnienie zakłuło mnie jak pika byczy kark. — Jak miło znów cię zobaczyć!

Następnie zrobił bardzo nieroztropną rzecz. Niedbale wyciągnął w moją stronę miękką białą łapkę. Przez moment nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. W tej samej chwili Wilfred przypomniał sobie swe przeżycie, gdy ostatni raz uścisnęliśmy sobie dłonie przed sześciu laty, i usiłował cofnąć rękę. Ale jego reakcja była spóźniona. Miałem go!

— Wilfred! — zagruchałem. — Drogi, drogi kolego. — Jego dłoń sprawiała wrażenie rękawiczki wypełnionej gorącą galaretą. — Jesteśmy zachwyceni, że mogłeś przybyć — dodałem. Kilka kropli śliny zaślśniło na jego obwisłych sinych wargach. — Miałeś dobrą podróż? — spytałem, wciąż uśmiechając się nieśmiało. Wilfred zaczął przestępować z nogi na nogę. — Musimy znaleźć chwilę na prywatną rozmowę przed zakończeniem sympozjum — kontynuowałem, a z niego zaczynało uchodzić powietrze. Wydawał cichy świszczący dźwięk, a jego oblicze marszczyło się jak przekłuty balon. Nagle zawstydziłem się swej brutalności. Puściłem ścisną dłoń. Przycisnął ją z czułością do piersi, wielkie oczy wypełniły się łzami, a usta drżały jak u rozżalonego dziecka.

— Chodź — zwróciłem się do niego łagodnie. — Postawię ci jeszcze jednego drinka.

Wilfred Snell jest stworzeniem dość elastycznym i szybko wraca do siebie. Przez cały lunch docierały do mnie strzępy jego monologu. W najlepsze rozdzielał swoje „bez ceregieli” i dopuszczał słuchaczy do tajemnicy. Z tego, co mogłem usłyszeć, powtarzał własne przekonanie co do średniowiecznego i wywodzącego się z kultury Bantu systemu ruin w Afryce Środkowej, z lekkością i humorem wykpiwając moje poglądy. W pewnej chwili, spojrzawszy w tamtą stronę, dostrzegłem, że obok jego talerza leży otwarty egzemplarz Ophiru, który cytuje ku powszechnej wesołości swoich kompanów.

Ale wkrótce pojawiło się następne niebezpieczeństwo. Sally była moją partnerką

w czasie posiłku, a naprzeciwko nas usiedli Sturvesantowie. W ciągu pięciu sekund od zajęcia miejsca Sally zauważyła nowy diament Hilary. Nie sposób zresztą było go przeoczyć, gdyż rozrzucał po całym pokoju lśniące refleksy. Milczała, ale wciąż spoglądała na wspaniały kamień. Toczyliśmy dyskusję przeplataną śmiechem i docinkami. Louren wydawał się wyjątkowo czuły wobec Hilary. W pewnej chwili zapadła cisza.

Sally pochyliła się w stronę Hilary i swoim najśłodszy głoŝem rzekła:

— Cóż to za śliczny pierścione! Ma pani ŝczęście, że może pani nosić tego typu biżuterię, moja droga. Moje palce są na to zbyt ŝczupłe. Obawiam się, że nie mogłabym go nosić. — Odwróciła się w moją stronę i zaczęła ŝczebiotać.

Dostrzegłem zmarszczone brwi i rumieniec gniewu u Lourena. Hilary ŝciągnęła usta. Ujrzałem w jej oczach setkę ciętych ripost, które jednak zdołała powstrzymać. Spróbowałem rozproŝyć nieprzyjemną ciszę, ale nawet mój wdzięk nie mógł odbudować poprzedniego nastroju. Louren zerknął na zegarek i skinieniem głoŝy dał znak jednemu z bystrzaków, który odpowiadał za sprawy organizacyjne. Dżentelmen ten zerwał się na równe nogi i zaczął zaganiać niesforną grupę w kierunku czekających samochodów.

Kiedy przechodziliśmy przez sień, Wilfred Snell przebił się do mnie przez rój swoich wielbicieli, biegnących za nim w radosnym podnieceniu.

— W czasie lunchu jeszcze raz przejrzałem twoją książkę. Zapomniałem juŝ, jaka jest zabawna, drogi kolego.

— Dziękuję ci, Wilfred — odparłem z wdzięcznoŝcią. — To miłe.

— Będziesz musiał mi ją podpisać.

— Zrobię to, zrobię.

— Niecierpliwie czekam na twój referat, koleŝko.

— Mam nadzieję, że ci się spodoba.

— Na pewno, Beniaminie. — Zachichotał i odszedł na bok. Usłyszałem, jak mówi do De Vallosa, gdy zajmowali miejsca w limuzynie: — Wpływy ŝródziemnomorskie! Mój Boŝe, dlaczego nie eskimoskie? Przejechaliśmy przez park jak ŝalobnicy na pogrzebie głoŝy państwa, po czym konwój czarnych limuzyn wyjechał przez bramę na Kensington Gore. Wysiedliśmy przed budynkiem towarzystwa i weszliśmy do sali odczytów.

Mówcy i członkowie rady siedzieli juŝ na podium, a większa część holu była solidnie zatłoczona. Wilfred zajął swoje miejsce w ŝrodku pierwszego rzędu, gdzie mogłem widzieć wszelkie reakcje na jego twarzy. Poplecznicy rozsiedli się wokół niego.

Wprowadzono jego wysokość, zalatującego cygarami i dobrym portwajnem. W ciągu czterdziestu pięciu minut omówił orchidee i sezon biegów przełajowych. Prezydent zaczął dyskretnie pociągać go za poję surduta, ale minęło jeszcze dwadzieŝcia minut, nim skończył.

— ŝeść lat temu miałem zaszczyt przemawiać w tym towarzystwie. Tematem mojego referatu były „ŝródziemnomorskie wpływy w Afryce Centralnej i Południowej ery przedchrzeŝcijańskiej”. Staję przed państwem znowu z tym samym tematem, ale uzbrojony w dalsze dowody, które wypłynęły niedawno na ŝwiatło dzienne — zacząłem swe wystąpienie. Wilfred kręcił się, kierując uwagi do siedzącego za nim Rogersa i De Vallosa. Używał scenicznego szeptu, osłaniając usta programem. Zignorowałem go i brnąłem dalej.

— W marcu ubiegłego roku pan Louren Sturvesant pokazał mi pewną fotografię. — Zmieniłem ton, by wywołać zaciekawienie słuchaczy. Ujrzałem iskiarki zainteresowania na obojętnych dotąd twarzach. Rozniecałem je stopniowo. Nagle okazało się, że opowiadam pasjonującą historię. Przerwy pomiędzy uwagami

Wilfreda zaczęły się wydłużać. Prychanie jego wielbicieli ucichło. Trzymałem słuchaczy za gardła. Byli z Sally i ze mną w blasku księżyca, spoglądali na zarysy dawno umarłego miasta. Dzielili nasze podniecenie, gdy odsłanialiśmy pierwsze bloki ociosanego kamienia.

W tym momencie światła przygasły, a na ekranie ukazało się pierwsze z przezroczy.

To był biały król, dumny i powściągliwy, majestatyczny w swej wybujałej męskości i złotym pancerzu. Z mroku wyłaniały się kolejne obrazy. Audytorium siedziało w pełnej oszołomienia ciszy. Twarze słuchaczy lśniły w odbitej przez ekran poświacie, a jedyny ruch na sali pochodził od notujących dziennikarzy. Urok opowieści owładnął wszystkimi. Doprowadziłem do momentu, w którym badaliśmy równinę i jaskinię przed odkryciem tunelu zamurowanego za portretem białego króla.

Na mój znak zapalono światła i całe audytorium wróciło do teraźniejszości. Wszyscy, z wyjątkiem jego łaskawości, który uległ portwajnowi i spał jak zabity. Wilfred wyglądał na oszołomionego, jak ciężko pobity bokser usiłujący podnieść się przed gongiem. Musiałem jednak przyznać, że trzymał się dzielnie. Odchylił się ku De Vallosowi i przenikliwym szeptem oznajmił:

— Bardzo interesujące. Umacnia to moje teorie dotyczące migracji.

Czekałem w milczeniu, zaciskając dłonie na pulpicie i pochylając głowę. Czasami myślę, że byłbym naprawdę dobrym aktorem. Wolno uniosłem głowę i spojrzałem na Wilfreda ze strapioną miną. Dodało mu to otuchy.

— Oczywiście malowidła niczego nie dowodzą. Mówiąc prawdę, prawdopodobnie są to inicjacje Bantu, podobne do Białej Damy z Brandberg. — Zamilkłem, pozwalając Snellowi na przeciągnięcie liny na swoją stronę, jakby był marlinem. Chciałem, żeby połknął haczyk. Udało mi się.

— Obawiam się, że w tym miejscu nie ma żadnych nowych dowodów... — rzekł i rozejrzał się z głupkowatym uśmiechem satysfakcji, a jego poplecznicy zaczęli kiwać głowami i szczyrzyć zęby.

Zwróciłem się bezpośrednio do niego.

— Profesor Wilfred Snell zauważył właśnie, że wszystko to jest fascynujące, ale nie dostarcza nowych świadectw.

Obecni przytaknęli gorliwie. Zdecydowałem się więc na kolejny krok.

Ponownie zagłębiłem się w opisach odkrycia zablokowanego tunelu, opowiadałem o decyzji zachowania białego króla i przebicia się przez skałę od tyłu, potem znów umilkłem i spojrzałem na Wilfreda. Nagle zrobiło mi się go żal: tam, gdzie przed chwilą znajdował się mój nieprzejednany wróg, rak drążący moje życie zawodowe, teraz widać było jedynie tłąstą i pocieszoną figurę.

Jak poeta Hu, topór wszystkich bogów, dobijałem go. Rozszarpałem go na strzępy cytując sprawozdania ze zwojów, prezentując sępi topór i pięć złotych ksiąg.

Kiedy mówiłem, jeden z członków personelu wtoczył do sali wózek przykryty zielonym atłasem. Gdy wszystkie oczy zwróciły się w tamtą stronę, gestem poleciłem zdjąć tkaninę, pod którą leżał wielki, błyszczący topór wojenny.

Wilfred Snell zapadł się głębiej w fotel.

— Niech ludzie czytają jego słowa i radują się tak, jak ja się radowałem, niech usłyszają jego pieśni i zapłaczą jako i ja płakałem. — Zakończyłem i rozejrzałem się dookoła.

Wszyscy siedzieli w napięciu. Nawet Louren, Hilary i Sally, którzy znali już to wszystko, wpatrywali się we mnie błyszczącymi oczami.

Z zaskoczeniem stwierdziłem, że już po wpół do ósmej. Przekroczyłem mój czas o godzinę, nie otrzymując wszakże żadnego upomnienia od siedzącego obok przewodniczącego.



— Nasz czas dobiegł końca, ale nie wyczerpaliśmy tematu. Jutro rano profesor Hamilton wygłosi odczyt na temat zwojów i ich zawartości. Mam nadzieję, że będą państwo mogli w nim uczestniczyć. Wasza wysokość, panie przewodniczący, panie i panowie, dziękuję.

Cisza była kompletna. Nikt się nie poruszył ani nie odezwał przez dziesięć sekund i nagle wszyscy zerwali się z dzikim aplauzem. Po raz pierwszy od założenia towarzystwa referat przyjęto jak występ sceniczny. Zebrani stłoczyli się wokół, by uścisnąć mi dłoń albo zadać pytanie. Z wysokości podium dostrzegłem Wilfreda Snella podnoszącego się z krzesła i ociężałe człapiącego w kierunku drzwi. Odchodził samotny, stronnicy opuścili go, aby przyłączyć się do otaczającego mnie tłumu. Chciałem go zawołać, powiedzieć, że żałuję, iż musiałem go dotknąć, ale przecież już nic nie było do powiedzenia...

Następnego ranka nasze odkrycie znalazło się na łamach wszystkich gazet. The Times pozwolił sobie nawet na odrobinę dramatyzmu: „Odkrycie kartagińskiego skarbu — jedno z najbardziej znaczących znalezisk archeologicznych od czasów otwarcia grobowca Tutenchamona”.

Louren posłał po wszystkie tytuły. Siedzieliśmy w morzu gazet, spożywając gargantuiczne śniadanie. Ujęła mnie duma Lourena, który głośno czytał artykuły, przeplatając je własnymi komentarzami:

— Poruszyłeś ich, współniku, skopałeś im tyłki. Powiedziałeś to tak, że nawet ja byłem podniecony. Do diabła! Ja tam byłem!

Wyciągnął ze stosu jedną z lewicowych gazetek i rozłożył ją. Nagle nachmurzył się gniewnie.

— O co chodzi, Lo?

— Masz! — Niemal rzucił we mnie gazetą. — Przeczytaj sam, a ja skończę się ubierać. — Wyszedł do sypialni, trzaskając drzwiami.

Znalazłem od razu. Cała strona zdjęć i wielki tytuł: „Siły wolności”. Czarni mężczyźni w czołgach i piesi z karabinami, w nieskończonych szeregach. Jajowate hełmy, mundury, nowoczesne karabiny maszynowe, marszowy krok. Ale nie to mnie poruszyło. W samym środku strony znajdowało się zdjęcie wysokiego mężczyzny o szerokich ramionach i łysej jak kula armatnia głowie. I podpis pogrubionym drukiem: Czarny krzyżowiec. Major generał Timothy Mageba, nowo wybrany dowódca Armii Ludowo—Wyzwoleńczej ze swoimi doradcami”.

Ogarnął mnie dreszcz, kiedy spostrzegłem ogrom nienawiści na jego twarzy, siłę i skrajną determinację.

Zdałem sobie sprawę, że ten człowiek nie jest wyjątkiem, Afryka zrodziła wielu takich jak on. Mroczni niszczyciele, rozrzucający po równinach ludzkie kości. Czaka, Mzilikazi, Mamatee, Mutesa i setki innych, zapomnianych już przez historię. Timothy Mageba był jednym z ostatnich w długim szeregu wojowników.

Louren wyszedł z sypialni w towarzystwie Hilary. Podeszła do mnie, pocałowała i pogratulowała mi jeszcze raz. Wypuściłem gazetę z ręki.

— Przykro mi, że nie będę mógł być z tobą dziś rano, by wysłuchać twojego przyjaciela Eldridge'a, Ben. Nie mogę wykręcić się od spotkania. Zabierz Hil na dobry lunch, dobrze? — poprosił Louren, gdy zjeżdżaliśmy windą.

Eldridge, w tweedowym ubraniu z łatami na łokciach, zmasakrował temat. Przez trzy i pół godziny mamrotał o „skrótach”, od czasu do czasu wybuchając syczącym śmiechem, który budził drzemiących. Patrząc na opustoszałą salę i ziewających dziennikarzy byłem mu wdzięczny, że nie zagroził mojej sławie.

Godzinę przed lunchem siedząca za mną Sally podała mi liścik: „Nie mogę już dłużej. Wychodzę po zakupy. Do zobaczenia. S”.

Uśmiechnąłem się, widząc, jak wyślizguje się z wdziękiem przez boczne wyjście.

Hilary odwróciła się do mnie i mrugnęła. Uśmiechnęliśmy się.

Eldridge doznał do rozwlekłego i nieprzekonywającego finału i z promiennym uśmiechem spozjrzał na opustoszałe audytorium.

— No cóż — powiedział. — Myślę, że to by było wszystko.

Z ulgą ruszyliśmy do wyjścia. W westybulu otoczył nas tłum, przez który wolno przesuwaliśmy się w kierunku wyjścia.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do taksówki i zasiedliśmy wraz z Eldridge'em po bokach Hilary, i gdy miałem już podać kierowcy adres Trattoria Terrazza, Hilary spojrzała na swoje dłonie i jęknęła.

— Mój pierścionek!

Wielki diament nie lśnił na jej palcu. Z przerażeniem spozjrzałem na nią; fortuna przekraczająca moje marzenia zniknęła.

— Kiedy miałaś go po raz ostatni? — zapytałem.

— Och, teraz sobie przypominam. W hotelu, gdy malowałam paznokcie.

Położyłam go na alabastrowej popielniczce stojącej na krześle.

— W którym pokoju? Na którym krześle?

— W saloniku, na krześle obok telewizora.

— Eldridge, jedź, proszę, z panią Sturvesant do restauracji. Ja wezmę drugą taksówkę i pojadę do hotelu, nim pierścionek znajdzie któraś ze sprzątaczek. Masz przy sobie klucze, Hil?

Sięgnęła do torebki.

— Tak. Ben, jesteś kochany. Przykro mi z powodu tego wszystkiego. — Wręczyła mi klucz.

— Strapione niewiasty to moja specjalność. — Wysiadłem. Przez następne pięć minut zachowywałem się jak oszalały semafor, wymachując rękami w stronę pełnącego strumienia samochodów. Nigdy nie potrafię odgadnąć, czy małe żółte światełka na dachach palą się, czy nie, więc kiwałem na wszystkie taksówki.

Otworzyłem w końcu drzwi apartamentu kluczem Hilary i pospiesznie przeszedłem korytarzem. Z westchnieniem ulgi znalazłem pierścionek wśród niedopałków w popielniczce. Podszedłem do okna, by przez chwilę podziwiać go w świetle dnia. Był to przedmiot niepowtarzalnej piękności. Poczulem przelotną zazdrość, że nigdy nie będę mieć czegoś tak zachwycającego. Szybko odpędziłem od siebie tę myśl, przywiązałem pierścionek do rożka chusteczki i skierowałem się do wyjścia.

Kiedy przechodziłem obok uchylonych drzwi sypialni, słyszałem kobiecy głos, ochrypliwy z podniecenia, przerywany. wysoki i drżący.

— Tak. Och, Boże, tak. Rób to! Rób to! — I zlewający się z nim głos mężczyzny, wznoszący się w okrzyku przypominającym ryk zranionego zwierzęcia.

— Kochana! Moja kochana! — Głosy rozmyły się, ucichły na wysokiej fali namiętności. Usłyszałem inny odgłos rytmiczny, niecierpliwy, ciężki, odgłos odwieczny, niezmienny jak drogi gwiazd. Stałem znieruchomiały z ręką wyciągniętą w kierunku klamki, z zamartwym sercem wsłuchując się w urywane oddechy, westchnienia i jęki.

Zawróciłem jak lunatyk.

Cały lunch przesiedziałem w milczeniu, zapominając o jedzeniu, nie słysząc toczącej się rozmowy. Głosy, które dobiegły mnie zza drzwi apartamentu, należały do Sally Benator i Lourena Sturvesanta.

Nie pamiętam nawet powrotu do Towarzystwa Królewskiego, a przemówienia zamykające sympozjum docierały do mnie w strzępach.

Siedziałem w pierwszym rzędzie i wychylony z fotela wpatrywałem się w rysę na wypolerowanej drewnianej podłodze. Moje myśli wciąż wracały do przeszłości,

krażyły wokół wspomnień jak kraży pies myśliwski tropiący ukrytego ptaka.

Przypomniałem sobie noc w Księżycowym Mieście, kiedy położyłem się do łóżka pijany, pijany od whisky, której dolewała mi Sally. Przypomniałem sobie przebudzenie, kiedy Louren wszedł do namiotu i blady róż brzasku za jego plecami. Przypomniałem sobie nocną wizytę w jaskini, kiedy Louren oślepił mnie latarką i odesłał z powrotem. Przypomniałem sobie zasłyszana niechcący rozmowę Rala i Leslie. Przypomniałem sobie „przyjaciół” Sally oraz jej gwałtowne, pozbawione podstaw ataki na Hilary, nastroje — nagłą wesołość i nieoczekiwaną posępność, niejasne deklaracje, niezrozumiałe aluzje, nocną wizytę przy moim łóżku i setkę innych faktów. Zdumiewałem się własną ślepotą. Jak mogłem tego nie zauważyć, nie wyczuć?

\* \* \*

Wymieniono moje nazwisko. Podniosłem się ciężko, usiłując słuchać tego, o czym mówiono. Graham Hobson, prezydent towarzystwa, przemawiał, patrząc na mnie z uśmiechem. Wokół dostrzegłem przyjaźnie uśmiechnięte twarze.

— Nagrodzony Medalem Patrona i Założyciela Królewskiego Towarzystwa Geograficznego — powiedział Hobson. — Ponadto rada poleciła mi ogłosić, że z odpowiedniego funduszu wyasygnowano pewną sumę, która zostanie wręczona znakomitemu artyście, który wykona portret doktora Kazina. Podczas stosownej uroczystości portret ten zostanie zawieszony...

Potrząsnąłem głową, by odzyskać jasność myśli. Czułem się niewyraźnie i głupio. Głos Hobsona zanikał i musiałem skoncentrować się, żeby dotarły do mnie jego słowa.

— Mowa! — wołali zebrani, śmiejąc się i bijąc brawo.

Stałem przed nimi. Czułem zawroty głowy, sala wirowała mi w oczach, jej kontury rozmazywały się lub na powrót wyostrzały.

— Wasza wysokość — zacząłem i zakrztusiłem się. Słowa z trudem dobywały mi się z gardła. — Jestem zaszczycony. — Przerwałem, desperacko szukając odpowiednich słów. Wszyscy siedzieli w ciszy, oczekując tego, co mam do powiedzenia. Rozpaczliwie rozejrzałem się po sali, szukając inspiracji.

Sally Benator stała w pobliżu bocznego wyjścia. Nie wiem, od jak dawna. Uśmiechała się; białe zęby lśniły w opalanej pięknej twarzy, ciemne włosy opadały połyskliwymi puklami na ramiona.

Patrzyłem na nią.

— Jestem wdzięczny — wymamrotałem.

Kiwnęła głową, dodając mi odwagi, ale moje serce pękło. Było to jak fizyczne doznanie, ostry ból nie pozwalający złapać tchu. Straciłem moją jedyną miłość, i wszystkie te zaszczyty i oklaski nie miały żadnego znaczenia.

Patrzyłem na Sally pozbawiony celu życia. Poczułem, że łzy napływają mi do oczu. Nie chciałem, żeby je widziano, i zeskoczyłem z podium, kierując się do drzwi. Znów rozległy się brawa. Gdzieś z boku dobiegły mnie głosy: — Biedak, jest zupełnie wykończony.

— Jakie to wzruszające!

— Ma zupełnie dość.

Wybiegłem na ulicę. Padał drobny kapuśniaczek. Biegłem szybko, niczym zraniony zwierz szukający spokojnego kąta. Chciałem w samotności uporać się ze swym bólem. Zimny deszcz chłodził moje rozpalone czoło.

\* \* \*

Pragnąłem odosobnienia i ukojenia. Znalazłem je w Księżycowym Mieście. Eldridge miał obowiązki wykładowcy w Anglii, a Sally zniknęła. Nie rozmawiałem z nią od tamtej nocy, ale Louren napomknął, że wzięła dwa tygodnie zaległego urlopu i wyruszyła na wycieczkę do Włoch i na wyspy greckie. W Księżycowym Mieście dostałem od niej wysłany z Padwy list, wyrażający żal, że nie udało się jej spotkać ze mną w Londynie, choć bardzo się starała. Wiedziałem, dlaczego mnie nie spotkała — nie wróciłem do Dorchester, ale kazałem przysłać bagaże na lotnisko i odleciałem porannym samolotem do Afryki. Sally dołączyła w liście gratulacje i poinformowała, że wraca do Johannesburga pod koniec miesiąca i skorzysta z pierwszej sposobności, by wrócić do Księżycowego Miasta.

Słowa te wywołały we mnie wrażenie nierzeczywistości, czułem się tak, jakbym otrzymał list z zaświatów. Dla mnie ta kobieta była martwa. List spałem.

Któręś dnia odwiedził nas Louren. Zrozumiałem, że nie mam mu nic do powiedzenia. Jego rysy, tak przecież znajome i lubiane, wydały mi się teraz obce. Wyczuł otchłań, jaka nas dzieli, i usiłował przerzucić nad nią kładkę. Nie potrafiłem mu w tym pomóc. Widziałem jego zakłopotanie, ale nie było mi go żal. Nie zdobyłem się ani na potępienie, ani na nienawiść.

Ral i Leslie stali się cieniami krążącymi na obrzeżach mojej samotności. Nie ingerowali w mój obecny świat. A był to świat Hu Ben-Amona, który prznosił mnie ponad cierpienie i smutek. Codziennie śledziłem szczegóły przekładów Eldridge'a. Zdolność do opanowania języków to mój największy talent; poznawanie ich przychodzi mi bez większego wysiłku. Lawrence z Arabii nauczył się posługiwać arabskim w ciągu czterech dni, a ja w dziesięć dni przyswoiłem sobie punicki, zyskując klucz do baśniowej krainy złotych ksiąg.

Były tam poematy i pieśni Hu Ben-Amona. Znalazłem też Hu — wojownika, piszącego odę do swojego topora wojennego. Przedstawiał on cały proces powstawania tej broni — od rudy dostarczanej z kopalni na południu, przetapiania jej w piecach o kształcie łona, czemu towarzyszyła woń iskrzących węgla i struga płynnego metalu. Poeta opisywał, jak topór oczyszczano i topiono, hartowano i kształtowano. Kiedy prezentował wizerunki czterech sępów i czterech słońc, ze zdumieniem spojrzałem na wielki topór wiszący nad stołem w mojej pracowni.

Usłyszałem świst błyszczącego ostrza przeszywającego powietrze, usłyszałem jego dźwięk, gdy zatapiał się w kości, ssący odgłos towarzyszący wydobywaniu go z ludzkiego ciała. Ze zgrozą odczytywałem listę wrogów, którzy zginęli pod jego ciosami.

Potem nastrój poety ulega zmianie, co wiąże się zapewne z faktem, że staje się on hulaką wychylającym dzbany czerwonego wina z Zeng, ryczącym ze śmiechu, otoczonym towarzyszami broni. Był wówczas dandysem wystrojonym w białe sukna, wyperfumowanym wonnymi olejkami, siedzącym przy płonącym ogniu.

Potem staje się kapłanem, spacerującym ze swoimi bogami, strzegącym ich tajemnic i oddającym im hołd.

Później znowu jest przyjacielem, wspaniałym kompanem; opisuje radość płynącą z towarzystwa drugiego człowieka. Jego teksty odbijają splot osobowości, posmak przeżywanych wspólnie rozkoszy, jak również niebezpieczeństw wspólnie napotykanych i pokonywanych. Z czcią opisuje brutalną piękność swego władcy: szerokość ramion, czerwoną brodę, opadającą na klatkę piersiową pokrytą węzłami mięśni gładkich i twardych jak głazy na wzgórzach Zamboa, nogi odzwierciedlające siłę, uśmiech przypominający błogosławieństwo słonecznego boga Baala. Lannonie Hycanusie, jesteś kimś więcej niż królem Opetu, jesteś moim przyjacielem. Czytając te słowa, czułem, że przyjaźń tych dwóch mężczyzn miała nadzwyczajną wartość.

Następnie poeta jest kochankiem oszołomionym urodą swojej wybranki Tanith, której twarz lśni bielą i jest pełna jak księżyc, włosy są delikatne i jasne jak dym z papierusów płonących na bagnach, a oczy błyszczą zielenią jak głęboki basen w świątyni bogini Isztar.

Potem Tanith umiera, a poeta płacze z żalu, widząc jej śmierć jako lot ptaka; pełne blasku alabastrowe ramiona jako rozpostarte skrzydła. Ostatni jego krzyk odbija się echem od sklepienia niebios, uderzając w serca samych bogów. Lament poety był również moim płaczem, jego obawy i tryumfy stały mi się tak bliskie, że zdawało się, że Hu jest mną, a niekiedy czułem, że jestem nim.

Wstawałem wcześniej i kładłem się późno, jadałem niewiele, moja twarz zmizerniała i zbladła, a w lustrze widziałem swe szalone spojrzenie. Pograżyłem się bez reszty w dawno umarłym świecie.

I nagle dopadła mnie rzeczywistość zagrażająca kruchym kryształowym ścianom mojej krainy baśni. Louren i Sally przylecieli do Księżycowego Miasta na pokładzie tego samego samolotu. Męka, którą na pewien czas udało mi się przytłumić, zaczęła się od nowa. Znow próbowałem więc się ukryć.

Archiwa były moim sanktuarium i tam spędzałem dni, chcąc uniknąć kontaktu z nowo przybytą dwójką. Wciąż jednak pozostawała okropna godzina wieczornego posiłku, wymuszone uśmiechy, żarty i rozmowy, podczas których starałem się nie dostrzegać poufalej wymiany spojrzeń i uśmiechów tych dwojga.

Dwukrotnie przychodził do mnie Louren.

— Stało się coś niedobrego, Ben?

— Nie, Louren. Jesteś w błędzie. — I uciekałem w ciszę archiwów.

Pozostało mi milczące towarzystwo Rala i wyteżona praca przy katalogowaniu, fotografowaniu i pakowaniu dzbanów, podczas której spostrzegłem pewną ciekawostkę. Grota, szczelnie zamknięta przez wiele lat, była sterylnie czysta, pozbawiona jakichkolwiek oznak życia. Teraz jednak powstawała w niej jej własna ekologia, pojawiły się drobne muszki, potem piaskowe pchły, mrówki, pająki, ćmy i wreszcie małe brązowe jaszczurki.

Pracowałem sam w najdalszym końcu archiwum, blisko ściany, na której wyryto słońce. Jedna z jaszczurek zbiegła w dół ściany i przemknęła po kamiennej podłodze. W miejscu, gdzie znaleźliśmy wielki topór wojenny, jaszczurka zatrzymała się. Stała, wysoko unosząc łebek; widziałem pulsowanie miękkiej skóry na gardle i błyszczące z podniecenia czarne paciorkowate oczka. Spostrzegłem owada, na którego polowała — biała ćma siedziała spokojnie z rozpostartymi skrzydłami na wrytym słońcu.

Szybko podniosłem aparat, nastawiłem lampę błyskową i przesłonę. Bardzo mi zależało, żeby uchwycić jaszczurkę w chwili, gdy zabija. Wolniutko przesunąłem się na miejsce, z którego wyraźnie widziałem ofiarę i jej kata, i zastygłem, podczas gdy jaszczurka podkradała się szybkimi ruchami. Blisko ćmy zatrzymała się, jakby zbierała siły przed decydującym atakiem. Czekałem bez tchu z palcem na spuście migawki. Wreszcie jaszczurka skoczyła, a ja włączyłem lampę.

Jaszczurka zamarła z ćmą w pyszczku. Nagle odwróciła się i skoczyła głową w dół, a kiedy dotarła do kąta między ścianą i podłogą, zniknęła. Roześmiałem się, widząc jej lęk.

Przewinąłem film, wymieniłem żarówkę lampy, umieściłem aparat w futerale i już zabierałem się z powrotem do pracy, kiedy nagle coś wzbudziło moje zainteresowanie. Wróciłem do miejsca, w którym zniknęła jaszczurka, i dokładnie obejrzałem styk ściany i podłogi. Wydawał się solidny, bez żadnych szczelin czy pęknięć. Zaintrygowany zniknięciem zwierzątka ściągnąłem jedną z lamp łukowych i ustawiłem tak, by oświetlała ścianę.

Opierając się na rękach i kolanach, przeczołgałem się wzdłuż ściany. Czułem serce zaczynające dudnić jak bęben wojenny i szum krwi w uszach. Drżącą ręką sięgnąłem po scyzoryk. Zacząłem badać niewyraźny zarys zapchanej kurzem szczeliny między ścianą i podłogą. Nóż wślizgnął się w tę szparę na głębokość ostrza.

Kołysząc się na piętach, wpatrywałem się w ścianę, widząc wizerunek słońca, rzucający w blasku lampy łukowej niesamowite cienie.

— Może... — wyszeptałem ochryple. — To jest całkiem możliwe. — I znów rozpląsałem się przed wizerunkiem Baala, jakbym był jednym z jego czcicieli. Gorączkowo badałem szczelinę, pełzną wzdłuż niej aż do miejsca, w którym zakręcała pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i pięła się w górę ściany. Tutaj była zasklepiona i zamaskowana, co czyniło ją niewidoczną. Przebiegłość, z jaką ukryto złącze, przekonała mnie, że musi za nim kryć się coś bardzo ważnego. Moją pewnością potwierdzał fakt, że wykonanie tej części muru bardzo różniło się od surowych złącz płyt, jakimi wyłożone było sklepienie, a przez które przenikał kurz.

Zerwałem się i zacząłem spacerować niespokojnie wzdłuż ślepej ściany. Wracałem do życia, pierwszy raz od dnia powrotu do Księżycowego Miasta. Świerbiła mnie skóra, mój krok był sprężysty, dłonie zaciskały się i rozwierały, mózg pracował na pełnych obrotach.

Louren! — pomyślałem. — On powinien tutaj być. Niemal biegiem pokonałem przestrzeń archiwum i tunel prowadzący na zewnątrz. W drewnianej chacie strażników strzegących wejścia do tunelu jeden z wartowników siedział rozparty na krześle, z nogami na blacie stołu. Miał rozpięty guzik kołnierza niebieskiego uniformu i czapkę zsuniętą na

tył głowy. Na ścianie za jego plecami wisiał na haku pas, z którego wystawała czarna kolba rewolweru.

— Cześć, doktorze. Spiesz się pan?

— Bols, czy mógłbyś znaleźć pana Sturvesanta? Poproś go, żeby zaraz tutaj przyszedł.

Kiedy Louren wszedł, klęczałem na podłodze pod wizerunkiem słońca.

— Lo, podejdź tutaj. Chcę ci coś pokazać.

— Ben! — Roześmiał się, a ja odniosłem wrażenie, że na jego twarzy odbija się ulga. — Uśmiechasz się po raz pierwszy od dwóch tygodni. Martwiłem się o ciebie.

— Lo, spójrz na to!

Klęknął obok mnie. Dziesięć minut później już się nie uśmiechał, jego spojrzenie było chłodne i uważne. Blando-niebieskie oczy wpatrywały się w ścianę, jakby chciały przeniknąć zwartą skałę.

— Lo... — zacząłem, ale uciszył mnie stanowczym gestem ręki.

Nie odrywał oczu od ściany i kiedy myślę o tym teraz, wydaje mi się, że wsłuchiwał się w głos, którego ja nie mogłem usłyszeć. Obserwowałem tę twarz o pięknych rysach z nagłym uczuciem niemal zabobonnego lęku. Miałem przeczucie, że zaraz stanie się coś niesamowitego.

Powoli, krok po kroku, Louren zbliżał się do wizerunku słońca. Wyciągnął dłonie i oparł je na środku dysku. Rozwarł palce, jak gdyby układając je w kształt wizerunku. Zaczął napierać na ścianę. Zobaczyłem opuszki palców rozpląszczające się na skale, zniekształcone lekko pod wpływem nacisku ramienia.

Przez kilka sekund nie działo się nic, a potem nagle ściana zaczęła się odsuwać. Nie towarzyszył temu żaden dźwięk, zgrzyt ani pisk stawiającej opór skały. Cała ściana zaczęła się obracać wokół ukrytej osi. Ociężały, powolny ruch odsłonił czarny kwadratowy otwór wiodący do dalszej części Korytarza ukrytego za wizerunkiem Baala.

Wpatrując się w prehistoryczne wejście, wyszeptałem:

— Skąd wiedziałeś, Lo? Jak się domyśliłeś?

— Wiedziałem, po prostu wiedziałem, to wszystko. Zamilkliśmy obaj zapatrzeni w otwór. Ogarnął mnie nagły niewytłumaczalny strach przed tym, co tam znajdziemy.

— Podaj światło, Ben — polecił Louren, nie odrywając oczu od wejścia. Złapałem przenośną lampę łukową, ale Louren wyjął mi ją z dłoni. Poszedłem za nim, kiedy zanurzył się w tunelu.

Korytarz opadał w dół pod kątem czterdziestu pięciu stopni. W podłożu wycięto szereg kamiennych stopni, a każdy z nich nosił ślady częstego użytku, był wygładzony i zaokrąglony. Ściany i sufit wykonano z nie zdobionego kamienia. Czełuście tunelu kryły się przed naszym wzrokiem w cieniu i mroku.

— Co to jest? — Louren wskazał dwa duże koliste przedmioty, leżące na szczycie schodów. Dostrzegłem na nich błysk brązowych rozet.

— Tarcze — powiedziałem. — Tarcze wojenne.

— Ktoś porzucił je w pośpiechu. Przekroczyliśmy je ostrożnie i zaczęliśmy schodzić w dół.

Sto sześć stopni, każdy wysoki na sześć cali.

— Nie ma kurzu — zauważył Louren.

— Nie — przyznałem. — Dokładnie zasklepieno drzwi. Powinienem się nad tym zastanowić, ale byłem rozkojarzony i podniecony nowym odkryciem. Powierzchnia schodów była tak czysta, jak gdyby świeżo ją zamieciono.

Na dole korytarz rozchodził się w dwóch kierunkach. Po naszej prawej stronie prowadził do wrót z kutego żelaza, zamkniętych i zaryglowanych. Po lewej zstępował ku kolejnym spiralnym schodom, niknącym w skale.

— Które? — spytał Louren.

— Zobaczmy, co jest za tymi drzwiami — zaproponowałem zduszonym głosem. Podeszliśmy do wrót.

Ciężkie zasuwki nie były niczym umocowane do framugi; ale framugę okręcono złotym drutem, a wejście zaplombowano ciężką glinianą pieczęcią z podobizną zwierzęcia i słowami: Lannon Hycanus, Wielki Lew Opetu, król Puntu i Czterech Królestw.

— Daj mi nóż — powiedział Louren.

— Lo, nie możemy... — zacząłem.

— Daj mi go, do cholery! — Jego głos był teraz szorstki od pożądliwości i pasji.

— Wiesz, co to jest? To skarbiec, złote krypty Opetu!

— Poczekaj, zrobmy to umiejętnie, Lo — błagałem, ale on ujął plombę gołą dłonią i po prostu zerwał ją z drzwi.

— Nie rób tego! — protestowałem, ale on już odsunął zasuwki i całym ciałem naparł na drzwi. Ustąpiły, przesuwając się na tyle, by Lo mógł się przecisnąć. Pobiegł przed siebie, a ja za nim. Tunel zakręcił w prawo i znaleźliśmy się w dużej komnacie.

— Boże! — zawołał Louren. — O Boże! Spójrz, Ben. Po prostu popatrz na to!

Skarby Opetu leżały przed nami w całym swoim nietkniętym bogactwie. Staliśmy i patrzyli.

Kość słoniową złożono wzdłuż jednej ze ścian. Było tam tysiąc szesnaście wielkich kłów. Teraz rozsypywały się ze starości jak kreda, ale przed dwoma tysiącami lat musiał to być ogromny skarb.

Ujrzeliśmy duże amfory zaplombowane woskiem. Cenne olejki, jakie się w nich znajdowały, ulotniły się, pozostawiając po sobie zakrzepłą czarną maź.

Były bele importowanych tkanin i jedwabiu, które przy dotknięciu rozsypywały się w pył.

Metale leżały spiętrzone wzdłuż przeciwległej ściany krypty: miedź odlana w sztaby o kształcie krzyża świętego Andrzeja, cyna, srebro, ołów i antymon.

Przeszliśmy do środka krypty zapatrzeni w to niewiarygodne bogactwo.

Złoto — mruknął Louren. — Gdzie jest złoto?

Pod ścianą piętrzył się stos drewnianych skrzyń wyrzeźbionych z hebanu, o wiekach inkrustowanych kością słoniową i masą perłową. Były to jedyne artystycznie wykonane przedmioty, jakie znaleźliśmy w krypcie, ale nawet one ozdobione były topornie wykonanymi scenami z bitew i polowań.

— Nie, Lo, nie rób tego! — zawołałem, kiedy Louren zaczął kolejno podważać wieka skrzyń.

Wypełniały je półszlachetne kamienie, ametyst, beryl, tygrysie oczy, nefryt i malachit. Niektóre były surowo oszlifowane i połączone ze złotem w grube, niezgrabne krezy, brosze, naszyjniki i pierścionki.

Louren ruszył szybko wzdłuż przejścia i naraz zatrzymał się. W innej niszy wychodzącej z głównej komnaty, za innymi żelaznymi drzwiami, było złoto. Odlane w zwyczajową formę „palców”, leżało spiętrzone w równych stosach. Nie wyglądało szczególnie imponująco, ale kiedy zważyliśmy je później, okazało się, że waga „palców” przekracza sześćdziesiąt ton, co wynosiło ponad sześćdziesiąt milionów funtów szterlingów. W tej samej niszy znajdowały się dwie małe drewniane skrzynki. Te zawierały nie przecięte i nie oszlifowane diamenty w różnych odcieniach i kształtach. Żaden nie był lżejszy niż półtora karata, a największy był ciemnożółty olbrzym o wadze trzydziestu ośmiu karatów. Diamenty powiększyły wartość skarbu o następne dwa miliony funtów.

Tu spoczywały bogactwa czterdziestu siedmiu królów Opetu, gromadzone cierpliwie przez czterysta lat. Żaden odkryty dotąd skarb starożytności nie mógł się z nimi równać!

— Musimy być cholernie ostrożni, Ben. Wyobrażasz sobie, co by się mogło stać? Jest tego tyle, by zabijać o to, żeby rozpocząć wojnę!

— Co chcesz, żebyśmy zrobili, Lo? Muszę mieć tu jakąś pomoc. Może Ral czy nawet Sally.

— Nie! — Odwrócił się do mnie gwałtownie. — Nikt inny nie ma prawa tu wejść. Wydam rozkaz strażnikom. Nikt oprócz ciebie i mnie.

— Potrzebuję pomocy, Lo. Nie zrobię nic sam, zbyt wiele tu wszystkiego.

— Ja ci pomogę — oznajmił.

— To nam zajmie całe tygodnie.

— Ja ci pomogę — powtórzył. — Nikomu ani słowa!

Aż do szóstej zwiedzaliśmy skarbiec.

— Sprawdźmy, dokąd prowadzi druga odnoga tunelu — zaproponowałem.

— Nie — zatrzymał mnie Louren. — Nie możemy przebywać tu zbyt długo. Nie chcę, żeby ktoś zaczął się czegoś domyślać. Zejdziemy teraz do obozu, a jutro obejrzymy sobie odgałęzienie tunelu. Nie znajdziemy tam niczego innego niż to tutaj.

Zamknęliśmy za sobą kamienne drzwi, pieczętując sekretny pasaż, a posterunkowi straży Louren przekazał swoje rozkazy, powtarzając je i zapisując w książce poleceń.

To był dla mnie trudny wieczór. Wyczerpany wzruszeniami mijającego dnia, otrząsnąłem się z apatii i przesadnie reagowałem na wszystko. Zorientowałem się, że śmieję się zbyt głośno, piję zbyt dużo, a zazdrość powraca intensywniejszą falą niż zwykle.

Kiedy Louren i Sally patrzyli na siebie, chciałem krzyknąć: „Wiem! Wiem o was i niech was diabli porwą, nienawidzę was za to!”

Ale tak naprawdę nie czułem do nich nienawiści, co czyniło wszystko jeszcze trudniejszym do zniesienia.

Nie potrafiłem zasnąć w nocy. Kiedy ogarnia mnie pewien stan napięcia nerwowego, jestem w stanie obyć się bez snu przez dwie albo i trzy noce, nie mogąc



ukoić przegrzanego mózgu. To był przypadek, że stałem przy oknie, patrząc na oświetlone księżycem niebo, kiedy Sally opuściła swój bungalow. Miała na sobie pastelową suknię, a jej włosy ciemną falą opadały na ramiona. Zatrzymała się w drzwiach i ostrożnie rozejrzała się dookoła, upewniając się, że obóz pogrążony jest we śnie. Potem szybko przemknęła przez oświetlone blaskiem księżycy podwórce do chaty, w której mieszkał Louren. Otworzyła drzwi i weszła bez wahania do środka, a dla mnie zaczęło się długie, dręczące czuwanie.

Stałem w oknie przez dwie godziny, patrząc na księżyc przesuwający się po niebie, obserwując gwiazdy, tak duże i jasne, jakie można oglądać tylko w czystym powietrzu pustyni. Tej nocy ich piękno marnowało się tylko dla mnie. Patrzyłem na bungalow Lourena, wyobrażając sobie każde wyszeptane w nim słowo, każde dotknięcie, każde poruszenie, nienawidząc siebie i ich. Myślałem o Hilary i dzieciach, zastanawiając się, jakie szaleństwo popycha człowieka do zaryzykowania utraty wszystkiego w zamian za kilka godzin przyjemności. Ileż zaufania zdradzali ci dwoje w zaciemnionej chacie, ileż szczęścia innych ludzi niszczyli!

Nagle zdałem sobie sprawę, iż zakładałam, że cały ten romans jest tylko rozrywką dla Lourena. A przecież to może być coś tak szczególnego, że on opuści Hilary i odejdzie z Sally. Nie mogłem znieść tej myśli. Nie mogłem stać tak i czekać; musiałem temu jakoś zaradzić. Ubrałem się pospiesznie i pobiegłem do magazynu.

Nocny strażnik pozdrowił mnie sennie; otworzyłem drzwi i wszedłem do krypty, w której przechowywano złote księgi. Wyciągnąłem czwartą z ksiąg Hu Ben-Amona. Zaniósłem ją do swojego biura i zanim zabrałem się do lektury, poszedłem po butelkę glen granta. Moje dwa narkotyki: słowa i whisky.

Otworzyłem zwoj na chybił trafił i jeszcze raz przeczytałem odę poety do topora bitewnego, lśniącego skrzydła Ptaka Słońca. Kiedy skończyłem, w nagłym impulsie wziąłem topór z honorowego miejsca. Gładziłem jego migoczące ostrze, studiując je z nową uwagą. Trzymałem broń na kolanach, żałując, że nie mogę wyczytać z niej historii ostatnich dni Opetu. Byłem pewny, że używano go w ostatecznej tragedii. Dlaczego porzucono przedmiot tak umiłowany? Co się stało z Hu Ben-Amonem, jego królem i jego miastem?

Czytałem i śniłem, coraz rzadziej nękany myślami o Sally i Lourenie. Podczas przerw w lekturze przychodzili do mnie, wślizgując się jak cień zazdrości i rozpacz. Tkwiłem tak przez całą noc, rozdarty między teraźniejszością i odległą przeszłością.

Czytałem dalej, zagłębiając się w te części zwoju, które stanowiły dotąd nieznanne terytorium, a poziom whisky w butelce obniżał się.

Gdy rodził się nowy dzień, dotarłem do fragmentu, który wzbudził we mnie nowy odzew. Z samych głębin swego jestestwa Hu zdobył się na nagły szczerzy płacz. Długo tłumione wzruszenie, którego nie był w stanie powstrzymać i które musiało wreszcie znaleźć ujście: jego ciało było ułomne. Na niegodziwej ziemi wykwita najszczerze złoto. Hu opłakiwał swą zniekształconą powłokę, w której krył się tak wielki skarb.

Przeczytałem ten fragment wiele razy, upewniając się co do poprawności mojego tłumaczenia, zanim zrozumiałem, że Hu Ben-Amon był podobny do mnie. Był kaleką.

\* \* \*

Pierwszy blask świtu kładł na zarysach urwiska bladioróżowe cienie, kiedy odłożyłem złotą księgę i wolno ruszyłem w kierunku swojej chaty.

Sally wynurzyła się z drzwi bungalowu Lourena i szła przez półmrok w moją stronę. W jasnej sukience podobna była do ducha, zdawała się płynąć ponad ziemią. Stałem nieruchomo, mając nadzieję, że mnie nie dostrzeże, ponieważ stałem w cieniu chaty.

Usłyszałem bardzo blisko szelest jej sukni, a potem gwałtowne wciągnięcie powietrza, gdy mnie zobaczyła. Widziała mnie, ale nie poznawała. Z twarzą pobladałą ze strachu przyciskała dłoń do ust.

— W porządku, Sally — powiedziałem. — To tylko ja. Poczułem ten zapach. W czystym powietrzu pustyni była to wyraźnie wyczuwalna woń rozgniecionych płatków róży, pomieszana z gorącym zapachem potu i miłości.

— Ben? — zapytała.

Przez chwilę milczeliśmy oboje, patrząc na siebie.

— Od jak dawna tu jesteś? — Wystarczająco długo — odparłem i znów zapadła cisza.

— Więc wiesz? — Powiedziała to głosem cichym i zawstydzonym.

— Nie miałem zamiaru cię śledzić.

— Wierzę ci, Ben, chcę to wytłumaczyć.

— Nie musisz tego robić.

— Muszę. I chcę.

— To nie ma znaczenia, Sally.

— To ma znaczenie. — Stailiśmy twarzą w twarz. — To ma znaczenie — powtórzyła. — Nie chcę, żebyś myślał, że jestem obłudna. Nie mogłam nic na to poradzić, naprawdę. Usilnie próbowałam z tym walczyć. Nie chciałam, żeby tak się stało. — Płakała cicho, jej ramiona drżały.

— To nie ma znaczenia — powiedziałem i ująłem ją delikatnie pod rękę. Zaprowadziłem ją do pokoju i ułożyłem na łóżku. Widziałem jej usta, obrzmiałe i rozpalone od pocałunków.

— Och, Ben, oddałabym wszystko, żeby tak się nie stało.

— Wiem, Sally.

— Próbowałam, ale to było silniejsze ode mnie. Rzucił na mnie jakiś urok, gdy tylko zobaczyłam go po raz pierwszy.

— Tamten wieczór na lotnisku? — Nie mogłem oprzeć się chęci zadania tego pytania, przypominając sobie, w jaki sposób patrzyła wtedy na Lourena i jak się później o nim wyrażała.

— Och, Ben, tak mi przykro. Nie chciałam cię zranić. Jesteś taki dobry, łagodny, zupełnie inny niż on. — Pod oczami miała cienie z bezsenności, a brzoskwiniowy atłas jej policzków był zaróżowiony w miejscach, gdzie ocierały się o zarost Lourena.

— Ben, co ja mam zrobić? — zawołała zrozpaczona. — Nie mogę od tego uciec.

— Czy Lo powiedział, co zamierza? Czy powiedział ci, że zostawi Hilary i poślubi ciebie?

— Nie. — Potrząsnęła głową.

— Czy dał ci jakiś powód...

— Nie! Nie! — Złapała mnie za rękę. — Dla niego to tylko rozrywka, po prostu przygoda.

Nie powiedziałem nic, patrząc na tę udręczoną twarz, zadowolony, że Sal przejrzała Lourena. Że zdała sobie sprawę, iż padła ofiarą wytrawnego łowcy. Lew musi zabijać. W życiu Lourena było już wiele podobnych przygód; będą też następne.

— Czy mogę coś dla ciebie zrobić, Sally? — zapytałem wreszcie.

— Nie, Ben. Nie wydaje mi się.

— Jeżeli będę ci przydatny, powiedz mi. — Odszedłem w stronę drzwi.

— Ben... — Zatrzymała mnie i usiadła. — Ben, czy nadal mnie kochasz?

Bez wahania skinąłem głową.

— Tak, nadal cię kocham.

— Dziękuję ci. — Westchnęła cicho. — Nie wiem, jak bym to zniosła, gdybyś się ode mnie odwrócił.

— Tego nie zrobię, Sally — odpowiedziałem i wyszedłem.

\* \* \*

Zeszliśmy schodami ukrytymi za wizerunkiem słońca. Najpierw skierowaliśmy się do skarbcza. Kiedy Louren pożerał oczami sztaby złota, przyglądałem się jego twarzy. Znać było na niej zmęczenie bezsennością. Obserwując go, próbowałem doszukać się w sercu nienawiści do niego, ale bezskutecznie. Kiedy podniósł głowę i uśmiechnął się do mnie, nie mogłem zdobyć się na nic innego jak tylko odpowiedzenie mu tym samym.

— Dobrze, Ben — powiedział. — Chodźmy popatrzeć na resztę.

Domyślałem się, co znajdziemy w drugiej odnodze tunelu, a gdy tylko zostawiliśmy za sobą ostatnie spiralnie zakręcone schody i weszliśmy do ostatniego krótkiego pasażu, opuściły mnie wszelkie wątpliwości.

Korytarz kończył się solidną ścianą. Tutaj jednak nikt nie próbował już niczego ukrywać; w kamieniu wyryta była inskrypcja. Stanęliśmy przed nią, a Louren oświetlił ją lampą.

— Co tu jest napisane? — zapytał.

Wolno przeczytałem napis: Ty, który tu wchodzisz, by zakłócić sen królów Opetu i plądrować ich groby, wystawiasz się na niebezpieczeństwo, a kłątwa Isztar i wielkiego Baala ścigać cię będzie aż po grób.

— Przeczytaj jeszcze raz — poprosił. Uczyniłem to, a on skinął głową.

— Tak... — powiedział i podszedł do kamiennych drzwi. Zaczął szukać punktu osi obrotu, gdzie, jak już wiedzieliśmy, znajdował się mechanizm zwalniający blokadę. Nie mieliśmy tyle szczęścia co na progu drzwi słońca. Po dwóch godzinach nieugięty kamień wciąż zagrażał nam drogę.

— Rozwalę te cholerne drzwi! — zagroził Louren, ale wiedziałem, że nie dopuści się takiej profanacji świętego miejsca. Odpoczywaliśmy, omawiając ten problem, nim powróciliśmy do prób otwierania drzwi. Musiał tu być zastosowany jakiś prosty system dźwigni i cała sztuka polegała na znalezieniu właściwego punktu nacisku i kąta nachylenia.

Kiedy go nareszcie znaleźliśmy, przekląłem swoją głupotę. Tak powinien wyglądać już mój pierwszy ruch. Jeszcze raz symbole imienia Baala okazały się najważniejszym punktem.

Drzwi uchyliły się, niechętnie i powoli, i znaleźliśmy się w grobowcu królów Opetu.

Dotąd widziałem tylko jedno miejsce o podobnej atmosferze — Opactwo Westminster, gdzie znajdują się groby władców Anglii. Tutaj odnalazłem to samo przyciszone katedralne wrażenie minionego czasu.

Żaden z nas nie odezwał się, gdy przechodziliśmy środkiem długiego, nisko sklepionego grobowca. Cisza drażniła uszy, cisza absolutna, tak głęboka, że aż złowroga i przerażająca. Powietrze było stęchłe i woń pleśni intensywniejsza niż po drugiej stronie kamiennych drzwi.

Wzdłuż ścian znajdowały się sarkofagi królów Opetu, wszystkie wykute z granitu; mocne, kwadratowe i szare. Wieka przytrzymywane były własnym ciężarem, a na ich wypolerowanej powierzchni wyryto imiona i tytuły tych, którzy pod nimi spoczywali. Imiona, które znaleźliśmy ze złotych kart ksiąg Hu Ben-Amona. Rozpoznawałem je: Hamilcar, Hannibal, Hycanus. Czterdzieści siedem sarkofagów. Ale ostatni był pusty, jego wieko stało oparte o ścianę. Wnętrze wykute było na kształt męskiego ciała, gotowe na przyjęcie ostatniego władcy Opetu.

U stóp sarkofagu spoczywały szczątki mężczyzny, rozciągnięte na posadzce. Nie

miał hełmu na głowie, a jego czerwonozłote włosy i broda tworzyły miękkie obramowanie pomarszczonej, zmumifikowanej twarzy. Nie miał też zbroi; na wychudzonej, szkieletowatej klatce piersiowej widać było wyschniętą, podobną do pergaminu skórę. Z piersi sterczało ułamane drzewce strzały. Biodra przysłonięte były skórzaną spódniczką, nabijaną brązowymi rozetami, a golenie ochraniaczami z brązu; stopy tkwiły w lekkich sandałach.

Broń zabitego leżała przy nim; nogi pieczołowicie wyprostowano. Widać było, że ciało zostało złożone tu z czcią.

Nad nim pochylała się inna postać, klęcząca jak człowiek pogrążony w modlitwie. Postać w pełnym uzbrojeniu, jedynie hełm i napierśniki leżały na podłodze obok pustego sarkofagu. Długie czarne włosy opadały na niewidoczną twarz. Obie dłonie kurczowo zaciskały się na klatce piersiowej, z której sterczało stalowe ostrze miecza.

Postawa klęczącego wyrażała ulgę z ostatecznego uwolnienia się od hańby klęski. Były to szczątki człowieka, który w geście rozpaczy przebił się własnym mieczem. Broń utrzymywała jego ciężar, podpierając go w pozycji klęczącej.

Ani Louren, ani ja nie byliśmy w stanie przemówić, oglądając ten obraz pradawnej tragedii. Nie miałem żadnych wątpliwości co do tożsamości tych zasuszonych ludzkich powłok.

Lannon Hycanus, ostatni król Opetu, leżał na kamiennej podłodze. Nad nim klęczał jego przyjaciel i kapłan, Hu Ben-Amon.

Dławiłem się w poczuciu nieuchronności przeznaczenia i ogarniał mnie zimny ból trwogi, albowiem Hu Ben-Amon był garbusem.

Musiałem spojrzeć na jego twarz. Musiałem ją zobaczyć! Podbiegłem i klęknąłem obok.

Dotknąłem wysuszonego ramienia, okrytego tuniką z kruchej poźółkłej tkaniny. To było lekkie dotknięcie, łagodne jak tchnienie, ale wystarczyło, by zniszczyć mumię.

Korpus Hu Ben-Amona opadł na szczątki króla i rozsypał się. Stal i brąz zbroi zadźwięczały na kamieniach podłogi, odbijając się echem od sklepienia grobowca. Ciała zmieniły się w tuman brudnożółtego pyłu, wirującego w blasku lampy. Po chwili nie zostało z nich nic oprócz broni i zbroi oraz pukli włosów, złotawych i czarnych.

Podniosłem się, krztusząc się pyłem. Oczy łzawiły mi i piekły.

Staliśmy, patrząc na siebie w milczeniu. Byliśmy świadkami cudu.

\* \* \*

Obudziłem się ciężko dysząc, a poczucie panicznego strachu i śmiertelnej trwogi gnębiło mnie jeszcze długo po tym, gdy spostrzegłem, że znajduję się w swojej chacie pogrążonej w ciemności.

Włączyłem stojącą przy łóżku lampę i spojrzałem na zegarek. Był dopiero późny wieczór, dochodziła jedenasta. Odrzuciłem przykrycie i wstałem, ze zdziwieniem stwierdzając, że drżą mi nogi, a oddech rwie się niespokojnie. Każdy wdech powodował ukłucie bólu, a oczy piekły, sprawiając wrażenie tępego ucisku. Czułem, że moje ciało płonie jak w gorączce. Podeszedłem do umywalki i wytrząsałem ze słoiczka trzy tabletki aspiryny. Przełknąłem je, popijając wodą, ale uczucie pieczenia w płucach nasiliło się. Kaszałem, jakbym wypalał sześćdziesiąt papierosów dziennie, a najdrobniejszy ruch powodował, że drżałem i pocilem się.

Nie wiedząc, po co to robię, zdjąłem ubranie z haka za drzwiami, włożyłem je i wyszedłem na plac. Na niebie kotłował się księżyc, rogaty i żółty. Cienie pod drzewami i wokół budynków zdały mi się mroczne i złowrogie. Wciąż odczuwałem strach, gdy

szedłem pospiesznie w stronę biura, rozglądając się nerwowo. W nocnym powietrzu wyczułem drażniący zapach dymu. Wciągałem powietrze, czując głęboko w płucach ukłucia.

Kiedy dotarłem do drzwi biura, dojrzałem, że coś czai się w głębokim mroku czyhając na mnie. Kątem oka dostrzegłem, jak rzuca się w moją stronę coś wielkiego i czarnego, bezkształtnego i milczącego. Odwróciłem się, by stanąć twarzą na wprost tego czegoś, osłabły ze zgrozy, opierając się o ścianę chaty. Krzyk zamarł mi w krtani, gdy przekonałem się, że niczego nie ma koło mnie. Potwór zniknął jak wytwór wyobraźni, ale dla odmiany w głowie odezwał się ból — dudniący jak młot kowalski.

Szarpnięciem otworzyłem drzwi, wpadłem do biura, zatrzasnąłem drzwi za sobą i przekręciłem klucz, dysząc ciężko, opanowany irracjonalnym strachem. Coś zaskrobało z drugiej strony drzwi. Przerazający odgłos szponów rozorał moje napięte nerwy.

Cofałem się w kierunku biurka, kuląc się i drżąc, czując, że słabnę.

Dźwięk rozległ się znowu, tym razem za moimi plecami. Odwróciłem się ku temu czemuś, a z gardła dobył mi się skowyt przerażenia.

Potrzebowałem broni. Desperacko rozejrzałem się dokoła i mój wzrok napotkał wielki topór bitewny, wiszący na ścianie. Porwałem go i zaszyłem się w kąt, trzymając broń w pogotowiu na wysokości piersi. Kaszałem.

Na moim biurku leżał stos białych arkuszy. Nagle poruszył się, a ja poczułem gęsią skórę, rozchodzącą się po całym ciele. Biała sterta papieru drżała i chwiała się, zmieniała kształt, pełzła po biurku, rozpościerając nietoperzowe skrzydła. Potem nagle uniosła się w powietrze i z łopotem skrzydeł poszybowała ku mnie. Ujrzałem szeroko otwartą paszczę pełną ostrych wampirzych zębów, usłyszałem przenikliwy skowyt. Wrzasnąłem ze strachu i zamachnąłem się toporem. Biały obiekt zatrzepotał skrzydłami, piszcząc tuż przy moim gardle i twarzy. Walczyłem i krzyczałem, spychając go na podłogę, gdzie pełzł i ślizgał się obrzydliwie. Uderzyłem napastnika ostrzem topora i trysnęła czarna krew plamiąc podłogę chaty.

Cofnąłem się i oparłem o ścianę. Byłem bardzo słaby i straszliwie przerażony. Kaszel trząsł moim ciałem, a ból łamał mnie w pół. Kaszałem tak długo, aż świat przed moimi oczami wybuchł w oślepiającej bieli, a w ustach poczułem słonawy smak.

Osunąłem się na kolana i spluwałem na podłogę krwawą flegmą. Patrzyłem, nie pojmując, co się ze mną dzieje. Uniosłem dłoń do ust i wytarłem wargi. Na ręce ujrzałem krwawe ślady.

I wtedy zrozumiałem. Louren i ja weszliśmy przez zaplombowane drzwi w głąb grobowca, gdzie oddychaliśmy powietrzem pełnym zarodników *cryptococcus neuromyces*, które stało się kłutwą faraonów.

Było za późno na zastanawianie się, dlaczego nie zastosowaliśmy środków bezpieczeństwa. Zapomniałem o tej konieczności, ponieważ archiwa były zbadane i okazały się bezpieczne, podobnie jak cała wcześniej odkryta reszta pomieszczeń. Żądni odkryć i podekscytowani, nie pomyśleliśmy o ochronie nawet wówczas, kiedy poczułem przykrą woń w grobowcu królów.

Teraz moje płuca były zaatakowane przez całe kolonie błyskawicznie rozwijających się grzybów, karmiących się delikatną tkanką mojego ciała i sączących truciznę do krwi, która zaniesie ją do mózgu.

— Antidotum! — jęknąłem. — Muszę znaleźć antidotum. — Powlokłem się w stronę półki z książkami. Usiłowałem odczytać napisy na grzbietach, ale litery zmieniały się w małe czarne owady i rozpełzały wokół. Nagle z najwyższej półki zsunął się gruby cętkowany wąż, zawisając tuż nad moją twarzą. Była to wielka, opasła kobra z migoczącym czarnym językiem. Odskokczyłem, po czym odwróciłem się i wypadłem w nocną ciemność.

Wokół zacieśniały się mroczne cienie i dawały się słyszeć tajemnicze odgłosy. Dostrzegłem chatę Lourena i pobiegłem ku niej.

— Louren! — wrzasnąłem, wpadając gwałtownie. — Louren! — wołałem dysząc i kaszląc.

Zabłyśło światło. Sally była sama w łóżku Lourena. Usiadła zaspana, oszołomiona i naga.

— Gdzie on jest? — zawołałem. Wyglądała na zmieszaną.

— Ben, co się dzieje? Ty krwawisz!

— Gdzie jest Lo? — To było teraz rozpaczliwie ważne. Musiałem go odnaleźć. On też był zaatakowany przez grzyb. Musiałem go odnaleźć!

Sally popatrzyła na miejsce obok siebie. Na poduszce widać było wgłębienie, w którym jeszcze niedawno spoczywała głowa Lourena.

— Nie wiem — powiedziała zmieszana. — Był tutaj. Musiał wyjść...

Znów zaniosłem się kaszlem. Usta wypełniła mi świeża krew. Sally rozbudziła się wreszcie. Wpatrywała się we mnie rozszerzonymi przerażeniem oczami.

— Ben, co to jest?

— Neuromyces — powiedziałem.

Westchnęła, widząc krew spływającą po moim policzku.

— Louren i ja otworzyliśmy tajemne przejście pod wizerunkiem słońca w archiwach. Było zainfekowane zarodkami. Nie przedsięwzięliśmy żadnych środków bezpieczeństwa. Grzyby dopadły nas. Louren na pewno jest tam teraz. Idę do niego. — Przerwałem, żeby odetchnąć.

Sally wyslizgnęła się z łóżka i narzucając szlafrok podeszła do mnie.

— Sprowadź Rala Davidsona. Weźcie maski przeciwgazowe. Zachowajcie najwyższą ostrożność. Idźcie za mną. Podeprę drzwi. Zejdźcie schodami. Korytarzem w lewo. Idźcie moim śladem. Louren też to musiał złapać. To przyprawia o szaleństwo. Idźcie szybko. Rozumiesz mnie? — upewniałem się.

— Tak, Ben.

Wybiegłem w dym, płomień i ciemność, pędząc w stronę urwiska. Nade mną piętrzyły się wielkie ściany świątyni, ściany, których od wieków nie było. Potężne falliczne wieże Baala celowały w księżyc, rozświetlane płomieniami palącego się miasta; wieże, które wyrosły tu znów po dwóch tysiącach lat. Słyszałem krzyk. Krzyczały kobiety palone żywcem razem ze swoimi dziećmi. Droga, którą biegłem, usłana była trupami, leżącymi jak diabelskie żniwo, a ich martwe twarze lśniły przerażająco w świetle księżyca.

— Louren! — krzyknąłem, biegnąc przez świątynię. Stali przede mną, czarni i dzicy, gromadząc się, by mi przeszkodzić w dalszej drodze. Czarni, bezkształtni, przerażający. Wpadłem między nich z obcym mi okrzykiem wojennym, dobytym z zalanego krwią gardła. Potężny topór zataczał w mojej dłoni srebrzyste kręgi; przebijałem się przez tłum, wciąż biegnąc.

Dotarłem do jaskini. Ujrzałem ją w świetle pochodni, zobaczyłem kamienny chodnik, okalający zieloną piękność szmaragdowego basenu. Rzędy kamiennych ław wznosiły się wokół niego jak przed dwoma tysiącami lat. Ostatnim wysiłkiem woli zmusiłem mózg do odrzucenia fantazji i postrzegania rzeczywistości.

Naprzeciw mnie stała drewniana chata strażników. Powłokłem się w jej stronę. Jeden ze strażników siedział przy stole czytając. Podniósł wzrok, a na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

— Dobry Boże, co się z panem dzieje? — zapytał.

— Czy pan Sturvesant jest w tunelu?

— Tak.

— Kiedy tam wszedł?

— Przed godziną. — Strażnik zbliżył się do mnie. — Czy coś się stało? Pan krwawi, doktorze!

— Niech pan tu czeka — powiedziałem. — Zaraz przyjdą inni. Oni wiedzą, co robić.

Pospieszyłem do archiwów, wciąż czując zapach dymu i słysząc wrzawę uśmiercanego miasta.

Przed wizerunkiem Baala pozwoliłem wielkiemu toporowi wyslizgnąć się z mojej ręki i lec na kamiennej podłodze. Pchnięciem otworzyłem kamienne drzwi i wsparłem je jedną z tarcz, by nie zatrzasnęły się za mną.

Zbiegłem w dół. W połowie drogi spostrzegłem poświatę dochodzącą z grobowca.

Drzwi zawierające wyrytą klątwę były otwarte, zablokowane przy zawiasach kablem lampy łukowej, która leżała przewrócona na środku grobowca, tam, gdzie wypuścił ją z dłoni Louren. Żarówka wciąż się paliła, oświetlając pomieszczenie jaskrawym blaskiem.

Louren leżał na plecach u stóp wielkiego granitowego sarkofagu Lannona Hycanusa, ostatniego króla Opetu.

Był nagi do pasa; twarz miał śmiertelnie bladą, oczy przymknięte, a w kącikach ust widniały jasne krople krwi, które spływały powoli.

Ostatkiem sił doznałem do Lo i ukląknąłem przy nim. Pochyliłem się i spróbowałem go podnieść.

Jego skóra była wilgotna i rozpalona, głowa opadła bezwładnie do tyłu. Z ust trysnęła mu krew, wprost na moje dłonie.

— Louren! — zawołałem, przyciskając go do piersi. — Boże, proszę, pomóż mi! Pomóż mi! Wciąż kołatało się w nim życie, choć gdy otworzył jasnoblękitne oczy, widziałem, że ma cię śmierci. — Ben... — wyszeptał, krztusząc się krwią. Zaczął kasłać.

— Ben — szeptał tak cicho, że ledwie go słyszałem. — Zawsze razem?

— Zawsze razem, Lo — odpowiedziałem, obejmując go jak śpiące dziecko. Jego złociste loki rozsypały się. Przez chwilę milczał, po czym nagle poruszył się znowu i przemówił czystym, silnym głosem.

— Leć! — powiedział. — Wzleć dla mnie, Ptaku Słońca. — I życie z niego uszło. Osunął się w moje ramiona, a jego wielki, swobodny duch uleciał.

Kłęczałem nad nim, czując szaleństwo. Świat obrócił się i zakołysał. Osuwałem się w coś, co było zarazem rodzajem śmierci i rodzajem życia, gdyż umierając śniłem. Śniłem o ludziach dawno zmarłych i o czasach dawno minionych...

# CZEŚĆ DRUGA



Z trzydziestu dni, o których mówiło proroctwo, pozostały tylko dwa, kiedy Lannon Hycanus i jego orszak dotarli wreszcie do Zatoki Małej Ryby na najdalej wysuniętym na południe brzegu jeziora. Było już ciemno, gdy dziesięć okrętów floty zakotwiczone na płytkich wodach zatoki. Pochodnie i lampiony rzucały długie różowe smugi światła.

Lannon stał przy drewnianej okrężnicy na pokładzie sterowym, spoglądając ponad polami papirusów i ukrytymi kanałami ku południu, gdzie zaczynał się łąd ciągnący się bez końca ku nieznanemu. Tam było jego przeznaczenie i los narodu. Połował od dwudziestu ośmiu dni, a teraz odczuwał na ramionach i karku niezwykle chłód strachu. Strachu nie przed straszliwą bestią, lecz przed konsekwencjami, które nastąpią, jeśli zwierz nadal będzie mu się wymykać.

Na drewnianym pokładzie dały się słyszeć kroki i Lannon szybko się odwrócił. Rozluźnił dłoń zaciśniętą na rękojeści sztyletu pod skórzanym płaszczem, gdy w świetle pochodni dostrzegł znajomą postać.

— Hu! — powitał przybysza.

— Wasza wysokość, musisz coś zjeść i przespać się. — Czy już przybyli?

— Jeszcze nie, ale będą tu przed świtem — odparł garbus, podchodząc do księcia.

— Chodź. Jutro będzie ci potrzebna pewna ręka i jasny wzrok.

— Czasem wydaje mi się, że mam dziesięć żon zamiast dziewięciu — roześmiał się Lannon, ale zaraz pożałował żartu, widząc chmurną twarz garbusa. — Rozpieszczasz mnie, stary przyjacielu, ale myślę, że tej nocy szukać będę snu z takim samym nikłym powodzeniem, z jakim szukam wielkiego lwa od dwudziestu ośmiu dni, od dnia śmierci mojego ojca.

Spojrzał na pozostałe dziewięć statków. Dziewięć rodzin przybyło obserwować, jak Lannon poradzi sobie z dowiedzeniem słuszności swych roszczeń do tronu Opetu i do czterech królestw. Obserwować, jak zabija wielkiego lwa.

— Spójrz na nich. Wielu składa ofiary bogom, pragnąc mojej klęski...

— Trzech z nich na pewno. Wiesz, kogo mam na myśli. Być może jest ich więcej.

— A ci, którzy są wierni domowi Barka, czy na nich możemy na pewno liczyć?

— Znasz ich, mój panie. Habbakuk Lal będzie stać przy tobie, póki morze nie zamieni się w piasek. Dom Amona, dom Hasmona...

— Tak — przerwał mu książę. — Znam każdego z nich, każde za i przeciw.

Chciałem po prostu, żebyś dodał mi otuchy. — Dotknął ramienia garbusa przyjaznym gestem, nim odwrócił wzrok, by jeszcze raz spojrzeć na pustkowie południa.

— Kiedy uczynili to proroctwo, czy przewidywali, że nadejdzie dzień, w którym jakiś książę będzie szukać wielkiego lwa przez trzydzieści dni przeznaczonych na ten cel, nie widząc nawet śladu pazurów bestii na ziemi Opetu? - zapytał z nagłym gniewem Lannon. Odrzucił płaszcz z ramion i skrzyżował je na nagiej piersi. Jego skóra była świeżo naoliwiona i mięśnie lśniły w świetle pochodni. — Mój ojciec zabił go dwudziestego piątego dnia, a było to przed czterdziestoma sześcioma laty. Nawet wtedy mówiono, że nie ma już wielkich lwów. O ilu donieśli od tamtego czasu nasi zwiadowcy?

— Panie, bogowie zadecydują. — Hu starał się ułagodzić księcia.

— Przetrzęsaliśmy każdą kryjówkę, w której widywano wielkiego lwa. Pięć legionów przeczesало mokradła na północy, trzy inne obrzeża wielkiej rzeki. — Przerwał i zaczął krążyć po pokładzie, zatrzymując się, by spojrzeć w dół, gdzie leżały pograżone we śnie rzędy nagich, przykutych łańcuchami niewolników, opierających się na potężnych wiosłach. Odór z pokładów wiosłarzy docierał aż do rozmawiających. Lannon odwrócił się.

— Te bagna są ostatnim miejscem w moich królestwach, w których może ukrywać się wielki lew. A jeśli nie, to co się stanie, Hu? Czyż nie ma innej drogi, bym

dowiódł swoich praw? Czy zwoje nie skrywają innego rozwiązania?

— Nie, mój panie.

— Władza musi upaść?

— Póki nie zostanie zabity wielki lew, Opet nie będzie miał króla.

— Kto będzie wówczas rządził?

— Rada Dziewięciu.

— A królewski dom? Co się stanie z domem Barka?

— Nie mówmy o tym — zaproponował miękko Hu. — Chodźmy, mój panie.

Niewolnik przygotowuje duszoną rybę i wino, które pomoże ci usnąć.

— Czy zdradzisz mi wyrocznię na jutrzejszy dzień, kapłanie Baala?

— A jeśli wyrocznia nie będzie ci przychylna? — spytał Hu.

Księżę spoglądał na niego przez moment, po czym wybuchnął gardłowym śmiechem.

— Jak zawsze, masz rację. Chodźmy więc, jestem głodny.

Z wielkim apetytem jadł rybę z dużej misy, siedząc nago na okrytym skórąmi łożu. Rozpuścił włosy, pozwalając im opaść na ramiona, kędzierzawe i lśniące złotym blaskiem w świetle wiszącej lampy. Był podobny bogom.

Skórzane zasłony rozsunięto, a lekki wiatr z południowego wschodu chłodził kabinę, wymiatając z niej odór galery. Statek kołysał się, wręgi skrzypiały i trzeszczały cicho. Jakiś niewolnik zaczął krzyczeć przez sen, a z pokładu dobiegał odgłos kroków nocnego strażnika — znajome i pokrępowane dźwięki flagowego okrętu na morzu.

Lannon wytarł dno misy kawałkiem chleba z prosa, zjadł go i popił resztką wina. Westchnął z zadowoleniem i uśmiechnął się do przyjaciela.

— Zaśpiewaj mi, mój Ptaku Słońca.

Hu Ben-Amon przykucnął u łoża księcia. Ułożył lutnię na kolanach i schylił się nad nią. Wygięcie pleców wyolbrzymiało jego sylwetkę; długie, czarne jak smoła włosy opadły, zasłaniając twarz, a jego mocno rozrośnięte ręce wydawały się zbyt potężne przy długich, delikatnych palcach, trzymających lutnię. Uderzył w struny. Kroki nad głowami umilkły, dwie młode niewolnice porzuciły swoją pracę i uklękły przy łożu Lannona.

Hu zaczął śpiewać. Jego słodki głos niósł się ponad ciemnymi wodami. Mroczne cienie na najbliższym statku podchodziły do relingów i zastygały tam. Na policzkach jednej z powabnych niewolnic pojawiły się łzy, gdy Hu śpiewał o zagubionej miłości, a potem uśmiech, kiedy zabrzmiała sprośna marszowa pieśń Szóstego Legionu.

— Dość! — Hu podniósł wzrok znad lutni. — Jutro czeka cię praca, mój panie.

Lannon przytaknął i dotknął policzka jednej z niewolnic. Ta podniosła się natychmiast i rozluźniwszy w ramionach tunikę, pozwoliła jej opaść. Była młoda i gibka, jej ciało w blasku lamp było niemal chłopięco szczupłe. Pochyliła się, podniosła odzież i rzuciła ją na ławę stojącą obok drzwi, po czym naga weszła do łoża Lannona. Druga z dziewcząt podeszła, żeby zgasić lampę, a Hu podniósł się z lutnią przewieszoną przez ramię.

W ciemności rozległ się głos, potężny i dudniący, dobiegający ze skrajów papirusowych zarośli i niosący się ponad wodami aż do okrętu.

— Otwórzcie szeregi przed przyjacielem!

— Kto nazywa siebie przyjacielem? — zapytał jeden ze strażników i zaraz odpowiedział mu ochryply okrzyk:

— Mursil, pierwszy łowczy domu Barka. Lannon jednym susem wy dostał się z łoża.

— Przyszedł! — wykrzyknął, zarzucając płaszcz na ramiona i spiesząc w stronę zejścia. Hu postępował tuż za nim.

Małe czółno kołatało już o burtę statku, a kiedy Lannon ze swym towarzyszem wybiegli na pokład, pojawiła się tam wielka postać Mursila, masywna, o dużej twarzy, poczerwieniałej od słońca i wina.

Nikt na statku już nie spał. Pokład zaroił się oficerami, rozbłyskiwały płomienie kolejnych pochodni, aż zrobiło się jasno jak w dzień. Na twarzach zebranych widniało zaaferowanie.

Mursil pospiesznie skierował się ku księciu przez szpaler utworzony na zatłoczonym pokładzie. Tuż za nim dreptała pigmejowata figurka; był to drobny, brązowy, nagi karzeł, wodzący dookoła skośnymi oczami, przerażony nieznanym otoczeniem.

— Mój panie! — Mursil rozchylił płaszcz i ciężko opadł na kolano przed Lannonem. — Przynoszę dobre wieści.

— Wobec tego witamy cię.

— Ten tutaj... — Mursil sięgnął za siebie i przyciągnął opierającego się Buszmena. — ...Ten tutaj znalazł to, czego szukamy.

— Widziałeś go? — zapytał Lannon.

— Tylko ślady pazurów, ale on widział samą bestię.

— Jeśli to prawda, zostaniecie obaj sowicie wynagrodzeni — przyrzekł Hycanus i odwrócił się z tryumfalnym uśmiechem do Hu Ben-Amona. — Bogowie zdecydowali. Dom Barka otrzyma jeszcze jedną szansę.

\* \* \*

Niebo było jaśniejsze od ponurych czarnych bagnisk. Niewidoczne w mroku kaczki trzepotały skrzydłami jak widma. Z każdą minutą przybywało światła.

Pół mili dalej, na otwartej równinie, pasło się stado bawołów. Zwiesiwszy łby, leniwie wywijając ogonami przesuwały się w kierunku gęstych, wysokich traw.

Im silniejsze było światło dnia, tym szybciej posuwało się dwieście wielkich, ociążałych sylwetek o potężnych łbach spieszących ku swemu sanktuarium w trzcinowych zaroślach. Blask świtu wydobył z mroku ptaki łowiące kleszcze. Znad bagnistej ziemi unosiły się opary, a nie kończące się papirusowe zarośla trwały nieruchomo w ciszy brzasku. Ich puszyste białe głowy nie potakiwały i nie tańczyły — póki w trzcinach coś się nie poruszyło.

Korony papirusów zaszeleściły, rozwierając się i zamykając, a potem znów zamarły w bezruchu. Mocne poruszenie zdradzało rozmiary zwierzęcia, które się między nimi przekradało.

Wielki bawół wiodący stado zatrzymał się nagle pięćdziesiąt jardów od skraju papirusowego gąszczu. Wysoko uniósł pysk i szeroko rozstawił uszy pod ciężkimi wybrzuszeniami rogów. Małymi oczkami badał podejrzliwie kępy papirusów przed sobą. Stado również zatrzymało się, zaalarmowane zachowaniem przewodnika.

Wielki lew wypadł z trzcin przypominając rozmazaną plamę czerwonego brązu; wysoki i ciężki jak łup, na który polował. Pokonał otwartą przestrzeń z taką szybkością, że byk ledwie zdołał odwrócić głowę, gdy wielki lew dopadł go.

Wylądował na grzbiecie ofiary, zakrzywionymi żółtymi pazurami przebił grubą czarną skórę i zatopił je w ciele bawołu. Długie kły wpił w kark, unieruchamiając zwierza, podczas gdy jedną z łap zacisnął na jego nozdrzach. Potężnym szarpnięciem skrzył czarną szyję do tyłu. Kręgosłup pękł z ostrym trzaskiem i byk zwinął się.

Zanim zwałił się na ziemię, wielki lew zeskoczył z niego, lekko spadając na grunt długim, łukowatym skokiem, by znów poderwać się w powietrze. Delikatny brąz jego skory załśnił na tle różowiejącego nieba, gdy kat opadł na grzbiet starej czarnej krowy, biegnącej obok samca.

Z lekkością kolibra przemykającego z kwiatu na kwiat wielki lew znów zabił. Kość trzasnęła ostro, a kiedy ofiara, która na swym grzbiecie zniosła go między galopujące blisko siebie bawoły, padła, lwa już przy niej nie było. Przemykał ku następnej, zabijał jednym płynnym ruchem i przeskakiwał dalej. Zabił sześć zwierząt. Wtedy pozwolił stadu umknąć; łoskot kopyt ucichł, kępy papirusów ukryły uszłe z życiem bawoły. Wielki lew stanął w atłasowej poświacie dnia. Długi, zakończony czarną kitą ogon wciąż jeszcze chłostał boki rozgorączkowanego łowami zwierzęcia. Każdy jego mięsień był napięty, a gdy wielka bestia na wpeł przysiadła, uniosła płaską, węzowatą głowę, jak gdyby chciała zademonstrować swe długie białe kły, zakrzywione ku dołowi, dotykające niemal puszystego futra na piersi.

Na pysku pogromcy bawołów widniał deseń czarnych i białych pasów, wzmagający efekt dzikości lśniącej złotem w szeroko rozstawionych ślepiach, ale długa szczecina białych wąsów zdawała się łagodzić dziki wygląd. Gdy jednak lew podniósł się z przysiadu, prezentując krótką kryzę brązowej grzywy, złudzenie łagodności zniknęło.

Wysoki jak człowiek, ciężki jak koń, uzbrojony w kły i pazury, był najniebezpieczniejszym kotem stworzonym przez kapryśną naturę.

Zawrócił i podszedł do miejsca, gdzie w niskiej trawie równiny leżała pierwsza z ofiar. Kiedy znieruchomiał nad martwym bawołem, wydawało się niemożliwe, by ten wielki zwierz poruszał się jeszcze przed chwilą jak błyskawica.

Wielki lew uniosł łeb, masywne szczęki rozwarły się, długi różowy jęzor wysunął się spomiędzy przerażających kłów.

Bestia ryknęła. Dźwięk zdawał się wstrząsać purpurowym niebem świtu, wprawiać w drżenie ziemię i wicherzyć ciche wody wielkiego jeziora.

\* \* \*

Stojąc na wąskiej błotnistej plaży w pobliżu gęstwy trzciny Hu Ben-Amon pozdrowił swojego boga. Miał na sobie lekką myśliwską zbroję, skórzany napierśnik i naramienniki a pod nimi krótką tunikę i nabijany brązem skórzany kitel. Odłożył broń na bok, gotując się do złożenia ofiary i wysłania posłańca do wielkiego Baala. Posłańca, który zanieśie bogu prośbę Lannona Hycanusa. Książę i wysoko urodzeni zebrali się w półkolu wokół kapłana, zwracając twarze ku wschodowi. Baal ukazał się nad horyzontem, a oni unieśli ręce ku niemu. Rozpostarli palce, czyniąc nimi znak słońca.

— Wielki Baalu! — zawołał Hu melodyjnym, dźwięcznym głosem, który wydawał się nieść aż do niebios. — Twoje dzieci pozdrawiają cię! — Smagłe krzywonose oblicze kapłana rozświetlał mistyczny blask, nadając mu tajemnicze piękno. — Przybyliśmy do tego miejsca, aby wybrać króla twojego ludu. Prosimy cię, byś pobłogosławił nasze wysiłki.

Hu dobrze znał swoich bogów i chociaż ich wielbił, znał też ich słabostki. Byli próżni, niekonsekwentni, drażliwi, chciwi, a czasami i leniwi. Należało im schlebiać i przymilać się, przekupywać ich, a do tego rozbawiać. Wymagali specjalnej ceremonii i pokazu, który przyciągnąłby ich uwagę i wzbudził zainteresowanie — ofiary, która kapłanowi wydawała się oburzająca, składanej dla zaspokojenia ich żądzy krwi. Nie wystarczyło dokonać obrzędu, musiał być przeprowadzony według odpowiedniej formuły, by bogowie zechcieli przyjąć ofiarę. Kiedy jeden z niższych kapłanów wiódł ku niemu białego byka, Hu zastanawiał się, czy nie było błędem wyperswadowanie Lannonowi idei ludzkiej ofiary i skłonienie go do złożenia w ofierze zwierzęcia. Bogowie woleli ludzką krew, ale Hu przekonał Lannona, że byk teraz i obietnica złożenia później niewolnika mogą być chętniej przyjęte.

Hu nie miał skrupułów targując się z nieśmiertelnymi, szczególnie, jeżeli mogło to opóźnić chwilę, w której musiał spojrzeć w przerażone oczy skazanego niewolnika. W ciągu ostatnich pięciu lat wysłano do bogów nie więcej niż stu ludzkich posłańców, aczkolwiek zdarzało się niegdyś w historii miasta, że taką ich liczbę poświęcano podczas jednej ceremonii.

— Wysyłamy ci czystego białego byka, by dostarczył nasze posłanie. — Hu odwrócił się i podszedł do zwierzęcia. Był to byczek miejscowej rasy, niski, w białe i szare cętki, z grubym garbem między łopatkami i szerokimi prostymi rogami. Stał spokojnie. Hu wziął sępi topór z rąk jednego z kapłanów. Krąg wielmożów odsunął się nieco od miejsca, gdzie trysnąć miała krew.

— Wielki Baalu, przyjmij naszą ofiarę! — zawołał Hu i wznosił w górę lśniące ostrze. Opuścił je, rozcinając gruby kark byka. Zdawać by się mogło, że wielki łeb odskoczył od kadłuba, a bezgłowe ciało opadło na kolana, tryskając krwią.

Hu wsparł się na swej broni w typowej pozie odpoczywającego wojownika.

— Znak, wielki Baalu! — zawołał. Było to raczej żądanie niż prośba. — Daj swym dzieciom znak! — Głos kapłana odbijał się echem od bezmiaru wód, a potem zaległa odwieczna cisza mokradeł.

Nad głowami przeleciał sznur gęsi trzepoczących skrzydłami, wyciągających długie szyje; ich kształty były tylko cieniami na tle różowych mgieł. Hu obserwował je z nadzieją, nęcony chęcią przypisania im boskich przymiotów.

— Znak, wielki Baalu! — Jego irytacja wzrastała. Ceremonia ofiarna została przeprowadzona skrupulatnie, aż do pojedynczego ciosu topora; czyż miałby to być jeden z tych przypadków, gdy bóg bywał szczególnie zawzięty?

W zatoce prychał rozchlapujący wodę hipopotam. Hu z nadzieją odwrócił się w jego stronę, ale tłuste szare stworzenie zatrzepotało uszami jak pszczoła skrzydłami i zanurzyło się w wirze.

— Znak, wielki Baalu! — Trzecia i ostatnia prośba spotka się z niemal natychmiastowym odzewem.

Spoza papirusów rozległ się dźwięk, który spłoszył stada wodnego ptactwa, zatrzęsł puszystymi, białymi koronami trzciny i zdawał przetaczać się przez niebiosy niczym trzask pioruna. Dźwięk, jakiego żaden ze zgromadzonych nie słyszał nigdy przedtem. Ryk wielkiego lwa.

Gniewne oblicze Hu Ben-Amona rozjaśnił dziękczynny uśmiech. Kapłan odwrócił się i spojrzał na swego księcia gazelimi oczami, okolonymi długimi rzęsami.

— Bogowie ci odpowiedzieli, Lannonie Hycanusie.

Widział zwrócone ku sobie twarze kapłanów i dostojników, wojowników i myśliwych, na których widniał zabobonny lęk. Później złoży Baalowi swoją własną ofiarę, nic ostentacyjnego ani kosztownego, rzecz jasna, może kurczę, jako gest wdzięczności za tak wspinałomyślną współpracę. Odegrał przecież swoją rolę znakomicie dorównując swym największym osiągnięciom. Hu był tak zadowolony z sukcesu, że nie mógł się oprzeć kolejnemu teatralnemu gestowi.

— Idź, księżę Opetu, i zdobądź swojego wielkiego lwa — rzekł.

\* \* \*

Mały Buszmen poprowadził ich jedną ze ścieżek bawołów. Szli przez zielony tunel trzciny. Papirusy zwierzały się nad ich głowami, skrywając niebo, stopy zapadały w wilgotny torf, a nozdrza wypełniał zapach pleśni i bagiennej zwierzyny. Wreszcie wyszli na otwarte łąki ogołocone niemal gruntownie z niskiej jaskrawozielonej trawy przez stada bawołów nawiedzające okolice jeziora.

Ciągnęli się daleko za grupą Lannona, którą tworzyli: łowczy Mursil,

rozsiewający bogate wonie wina z Zeng, Buszmen, Hu, sam księżę i jego dwaj nosiciele broni.

Bogowie byli tak przychylni, jak obiecali. Buszmen powiodł swą grupę wokół papirusowych zarośli, a kiedy osiągnęli szczyt pagórka, zeszli w kolejną zatokę otwartych łąk, które tworzyły naturalną arenę, zamkniętą z trzech stron trybunat ciemnych trzcin, ogromny kolisty obszar soczystych traw. W centrum okręgu leżało w regularnych odstępach sześć dużych ciemnych obiektów, wyraźnie widocznych na otwartej równinie, ale zbyt odległych, by dało się rozpoznać je od razu.

Łowczy Mursil przemówił pospiesznie do małego zwiadowcy w jakimś dialekcie. Hu obiecał sobie nauczyć się tego języka, jedyne spośród narzeczy wszystkich czterech królestw, którego jeszcze nie opanował.

— Mój panie, on mówi, że tam są martwe bawoły, zabite przez wielkiego lwa — przełożył Mursil słowa Buszmena.

— Gdzie jest bestia? — zapytał Lannon, a Buszmen wskazał palcem.

— Jest tam, za drugim ścierwem. Zobaczył i usłyszał nas, a teraz przyczał się — odparł Mursil.

— Czy on go widzi? — zapytał Lannon.

— Tak, mój panie. Widzi czubki jego uszu i oczy. Lew obserwuje nas.

— Z tej odległości? — zapytał nieufnie Lannon, spoglądając na Buszmena. — Nie wierzę, by mógł widzieć zwierza.

— To prawda, mój panie. On ma oczy orła.

— Dużo ryzykujesz, jeśli on się myli — ostrzegł Lannon.

— Tak, panie — powiedział Mursil, a Lannon zwrócił się do kapłana:

— Przygotuj się, Ptaku Słońca.

Kiedy zdejmowali z niego ubranie, obwiązywali biodra kawałkiem tkaniny, a nogi obuwali w lekkie sandały, douczyła do nich reszta towarzystwa. Niektórzy ze starszych zasiadali w lektykach. Wąty i białowłosey Asmun zatrzymał lektykarzy u boku Lannona.

— Łatwego łupu — życzył mu. — Takiego, jaki trafił się ojcu.

Odnieśli go do miejsca, z którego mógł obserwować pole. Cała grupa rozciągnęła się wzdłuż skraju trzcinowisk; broń i broje lśniły w słońcu, szaty — purpurowe, czerwone, białe — kontrastowały z szarością trzcin. Kiedy Lannon wystąpił do przodu, zaległa cisza i wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

Oprócz przepaski na biodrach jego ciało było nagie, skóra gładka i przeraźliwie biała — z wyjątkiem twarzy i kończyn opalonych przez słońce. Miał piękne ciało, o wdzięcznych proporcjach, mocne w ramionach i wąskie w talii. Włosy ujmowała purpurowa opaska, a czerwonozłota broda była zapleciona i zawinięta na szyi.

Spojrzał na wyczekujące szeregi.

— Domagam się prawa do miasta Opet i czterech królestw — oświadczył z prostotą, a jego głos zabrzmiał donośnie.

Hu przyniósł mu broń, tarczę stanowiła skóra bawołu, ukształtowana w owal, wysoka jak mężczyzna i szeroka jak jego ramiona. Na środku znajdowały się „oczy”, para zawziętych sowych oczu, namalowanych białym i żółtym barwnikiem. Ukazanie bestii tego agresywnego spojrzenia popychało zazwyczaj drapieżcę do szarży.

— Niechaj ta tarcza dobrze cię chroni — powiedział miękko Hu.

— Dziękuję ci, stary przyjacielu.

Następnie Hu podał księciu włócznię. Była to broń ciężka i nieporęczna, którą władać mógł tylko człowiek o ogromnej sile. Drzewce wykonane było ze starannie dobranej twardego drewna, hartowane w ogniu i owinięte wilgotną skórą, która wysychając zacisnęła się na nim. Było grube jak przegub ręki Lannona, a długość dwukrotnie przewyższała jego wzrost.

— Niech to ostrze odnajdzie serce — wyszeptał Hu, po czym dorzucił głośniejsze: — Zarycz dla mnie, Wielki Lwie Opetu.

Lannon wyciągnął dłoń i uściśnął ramię kapłana.

— Wzleć dla mnie, Ptaku Słońca — powiedział i odwrócił się. Z tarczą na plecach, starając się nie pokazać na razie „oczy”, ruszył w stronę czyhającej bestii. Kroczył dumnie wyprostowany w słonecznym blasku, król w każdym calu, oprócz imienia. Radowało się serce Hu Ben-Amona, zaczął się modlić cicho, ufając w przychylność bogów.

Lannon szedł przez miękką trawę sięgającą mu do kolan. Idąc, przypominał sobie rady najstarszych i najznakomitszych łowczych, powtarzał w myśli ich słowa.

„Czekaj, póki nie zacznie warczeć, nim pokażesz mu oczy”.

„Spraw, żeby podchodził do ciebie z ukosa”.

„Atakuje z nisko pochyloną głową. Musisz trafić w jego pierś z boku”.

„Jego czaszka jest jak żelazo, a kości łopatkowe powstrzymają najtwardszy metal”.

„Jest tylko jedno miejsce do ugodzenia: podstawa karku, pomiędzy kręgosłupem i łopatkami”.

Potem przyszły mu do głowy słowa jedyne spośród nich, który stanął naprzeciw wielkiego lwa, Hamilcara Barki, czterdziestego szóstego Wielkiego Lwa Opetu.

„Kiedy włócznia utkwi już w ciele bestii, trzymaj ją, mój synu, trzymaj ją ze wszystkich sił. Lew jest wciąż żywy i drzewce jest wszystkim, co utrzymuje go z dala od ciebie, póki nie padnie”.

Lannon szedł dalej, spoglądając na ścierwo bawołu, leżące ze wzdętym brzuchem. Wypatrywał śladu bestii.

Pomylili się — pomyślał. — Nie ma go tutaj.

W ciszy słyszał bicie własnego serca, odgłos swoich kroków i świst oddechu. Mocniej ścisnął włócznię.

Nie ma go tutaj. Wielki lew odszedł — pomyślał.

Nagle przed sobą dostrzegł jakiś ruch, parę uszu momentalnie położonych po sobie. Teraz już wiedział, że on tam jest i czeka na łowcę. Poczł, że stopy zaczynają mu ciążyć, ale zmusił się do dalszego marszu.

„Strach to zguba” — przypomniał sobie ostrzeżenia. Usiłował go zwalczyć, ale lęk ciążył w jego trzewiach, rozlewając się po nich jak zimny olej. Szedł dalej, gdy nagle wielki lew podniósł się zza martwego bawołu. Stanął, patrząc na człowieka, obserwując go ze wzniesionym łbem i ze sterczącymi uszami, leniwie wywijając ogonem. Lannon głośno wciągnął powietrze. Nie spodziewał się, że zwierzę będzie tak ogromne. Zmylił krok, zawahał się. Bestia była niewiarygodnie olbrzymia, jak z nocnego koszmaru.

Dzieliło go od niej około dwustu kroków. Ruszył dalej, skrywając „oczy” i obserwując coraz szybsze ruchy ogona wielkiego kota.

Jeszcze sto kroków; lew zaczął ze złości chłostać się ogonem po bokach i skulił się nieco, kładąc uszy po sobie. Lannon widział już jego płonące żółto oczy na ozdobionym deseniem pysku.

Szedł dalej; grzywa wielkiego lwa zaczęła się prostować, wyolbrzymiając zarys jego łba, ogon z furią smagał boki.

Dzieliło ich najwyżej pięćdziesiąt kroków. Wielki lew zawarczał. Brzmiało to jak groźny pomruk odległego grzmotu, dudnienie targanej wstrząsem ziemi, szarpiący nerwy dźwięk, przypominający huk fali załamującej się o brzeg. Lannon nie mógł iść dalej, gdy ten odgłos wypełniał mu uszy. Zamarł więc, wpatrując się w straszliwego zwierza, w którym wzbierała wściekłość.

Wahał się przez długie sekundy, wtem nagłym ruchem spowodowanym strachem

zerwał tarczę z pleców i ukazał „oczy”. Lśniące krążki wyzwoliły nieopanowany gniew bestii. Czarno zakończony ogon zeszywniał, uniósł się lekko ponad linię grzbietu; bestia zaszarżowała.

W tej samej chwili Lannon zaczął biec. Opadły pęta strachu. Biegł lekkim skosem, zmuszając wielkiego lwa do skręcenia w jego kierunku i eksponowania karku oraz bocznej powierzchni klatki piersiowej.

Ostrze włóczni tańczyło tuż nad ziemią. Wielki lew pędził szybko, zwiesiwszy głowę. Żółtawe jak kość słoniowa, niewiarygodne kły niemal dotykały jego piersi. Poruszał się ze zręcznością węża, pędził, by dopaść łupu, aż jego ogrom wypełnił pole widzenia Lannona.

W ostatnim momencie Lannon uniósł lekko szpic włóczni, celując nim w punkt u podstawy karku. Lew wpadł na ostrze, napierając nań całym swym ciężarem.

Ostrze zanurzyło się w pokrytym brązową sierścią ciele, zatapiając się w nim bez oporu. Wstrząs uderzenia przeniósł się przez drzewce na Lannona, powalając go na kolana, ale on nie wypuścił włóczni z dłoni.

Ogarnęły go potężne fale dźwięku rozrywającego uszy. Wielki lew ryczał w śmiertelnym bólu. Drzewce włóczni miotane przez ugodzonego zwierza uciskało i siniaczyło ciało Lannona, szarpiąc nim. Zacisnął z całej siły zęby, kalecząc język. Jeszcze mocniej przywarł do włóczni.

Potężna siła uniosła go raptem w powietrze. Płynął wysoko, uczepiony końca drzewca, gdy wielki lew się cofał, i ciężko opadał na ziemię, kiedy bestia znów skakała do przodu. Czuł rozciągające się mięśnie i ścięgna ramion oraz barków. Czuł, że zwierzę rozdrapuje kruchą skórzaną tarczę, czuł słabość ogarniającą ciało i mrok rozlewający się w głowie, ale lew wciąż szalał wprawiając ciało łowcy w drżenie.

Jeszcze raz zaryczał i cofnął się. Lannon poczuł, że nieprawdopodobna siła ciska nim ku niebu, a drzewce trzaska jak krucha gałązka, on zaś unosi się w górę dzierżąc w dłoniach złamany koniec włóczni. Leciał przez długie sekundy jak ptak, po czym ciężko spadł. Uderzenie o ziemię pozbawiło go tchu. Przewyciężając ból dźwignął się do pozycji siedzącej i rozejrzał się oszołomiony, przyciskając złamane drzewce do piersi.

Dziesięć kroków dalej wielki lew pełził ku niemu przez trawę. Złamana rękojeść włóczni sterczała mu z karku. Gwałtowne ruchy powodowały, że ostrze bezlitośnie zagłębiało się w jego ciele, poszerzając paskudną ranę, z której tryskała jasna krew. Żółte ślepie wciąż wlepione były w Lannona, a wielkie zakrzywione kły lśniły.

Bestia pełzła wolno, jej oddech narastał w potężnym gardle, gdy wlokła za sobą tylną część ciała; była umierająca, ale wciąż śmiertelnie groźna.

Padnij! — błagał w myśli Lannon, obserwując swój łup z zafascynowaniem, wyczerpany walką, niezdolny się poruszyć. — Padnij. Proszę, padnij.

Nagle ciało kota przeszył ostatni spazm. Grzbiet wygiął się w pałąk, łapy zeszywniały, pazury zaczęły drzeć ziemię z otwartej paszczy dobył się długi, bolesny ryk i bestia skoła.

Zebrani w półkolu obserwatorzy krzyknęli, ale owacja zabrzmiała głucho w ciszy mokradeł. Ruszyli wolno w kierunku drobnej postaci króla stojącego na środku łąki. Biegł tylko Hu. Na nogach zbyt długich w stosunku do zniekształconego korpusu wydawał się tańczyć nad ziemią. Biegł z rozwianymi włosami, ściskając na ramieniu sępi topór.

Był w połowie drogi do miejsca, w którym siedział zmęczony Lannon, kiedy zza ścierwa najbliższego bawołu wyłonił się kryjący się tam dotąd drugi wielki lew. Hu dostrzegł go i krzyknął:

— Za tobą! Uważaj!

Lannon odwrócił się. Dojrzał samicę, o jaśniejszej barwie, delikatniejszą w



budowie, ale jeszcze bardziej dziką niż samiec. Zbliżała się do Lannona cichym, zdecydowanym krokiem.

— Baalu, dodaj mi sił! — modlił się Hu, biegnąc do księcia i widząc, jak ten niezręcznie usiłuje się podnieść. Wielki lew był coraz bliżej, sunąc krótkimi skokami.

Hu pędził, ile sił w nogach, gnany przez trwogę i strach o księcia. Lannon już stanął i zataczając się, usiłował oddalić od skradającego się zwierza. Ruch rozdrażnił wielkiego lwa.

— Tutaj! — wrzasnął Hu. — Chodź! — Dopiero teraz samica spostrzegła go. Uniosła łeb i spojrzała na kapłana. Błysnęły długie kły i dumne żółte oczy.

— Tak! — wołał Hu. — Tu jestem! — Kątem oka zobaczył, że Lannon słania się i pada, znikając wśród traw, ale jego wzrok wciąż utkwiony był w bestii. Spostrzegł sztywniejący ogon i opuszczony łeb, a w następnej chwili samica zaatakowała.

Hu z całej siły wsparł się na długich, mocnych nogach, pozwalając napastnikowi podejść bliżej.

Kiedy bestia zbliżyła się, utkwił wzrok w czarnym diamentowym deseniu pomiędzy jej ślepiami, mocniej ujmując rękojeść broni.

Topór wzniosł się w powietrze. Ciało lwa załśniło w powietrzu miękką rdzawą plamą, gdy bestia jednym skokiem zawisła nad garbatym człowiekiem.

— Na Baala! — zawył Hu i ostrze jęknęło w locie. Topór rozłupał czaszkę wielkiego lwa, tonąc w jego mózgu. W tej samej chwili, kiedy martwa bestia zwała się na pierś Hu, rękojeść broni wypadła z dzierżącej je dłoni.

Hu wracał z ciemnej otchłani niepamięci; a gdy otworzył oczy, Lannon Hycanus, czterdziesty siódmy Wielki Lew Opetu, klęczał nad nim w blasku słońca.

— Ty głupcze — powiedział król. Jego twarz była opuchnięta i posiniaczona, pokryta plamami wysychającej krwi. — Dzielny głupcze!

— Dzielny, tak — szepnął Hu. — Ale nigdy głupi, wasza wysokość.

\* \* \*

Skóry dwóch wielkich lwów rozpostarto na głównym maszcie okrętu flagowego i Lannon odebrał przysięgę posłuszeństwa od głów dziewięciu rodzin Opetu, wpił je na poduszkach z miękkiego futra. Pomimo protestów króla Hu Ben-Amon przyniósł kielich życia.

— Musisz odpocząć, Hu. Jesteś ranny, z pewnością masz poobijane żebra...

— Mój panie, ja jestem nosicielem kielicha. Czy chciałbyś odmówić mi tego honoru?

Asmun był pierwszym z dziewięciu, którzy składali przysięgę. Jego synowie pomogli mu wysiąść z lektyki, ale odepchnął ich dłonie, zbliżając się do króla.

— Ze względu na mój szacunek dla twojej siwizny i szram na twoim ciele nie musisz klękać, Asmun.

— Uklęknię, królu — odparł ten, opadając na pokład skąpany w słońcu. Baal musiał być świadkiem przysięgi wątłego starca. Kiedy Hu przytknął kielich do jego ust Asmun wypił odrobinę, a Hu zaniósł kielich królowi. Ten, wypiwszy wino, zwrócił kielich kapłanowi.

— Wypij i ty, kapłanie.

— To wbrew zwyczajom — sprzeciwił się Hu.

— Król Opetu i czterech królestw sam ustanawia zwyczaje. Wypij!

Hu wahał się przez dłuższą chwilę, nim podniósł kielich do ust. Nim Habbakuk Lal, ostatni z dziewięciu, wystąpił z szeregu, po raz piąty napełniono kielich ciężkim, słodkim winem z Zeng.

— Czy rany wciąż ci dokuczają? — spytał król, gdy Hu po raz ostatni przyniósł

mu czarę.

— Wasza wysokość, nie czuję bólu — odparł kapłan i zachichotał nieoczekiwanie, roniąc kroplę wina na pierś króla.

— Wzleć wysoko, Ptaku Słońca — roześmiał się Lannon.

— Rycz głośno, Wielki Lwie — rzekł Hu, śmiejąc się wraz z nim.

Lannon zwrócił się do możnych stłoczonych na pokładzie rufowym:

— Oto jadło i napoje.

Ceremonia była zakończona, Lannon Hycanus został królem.

— Habbakuk Lal! — Wskazał wielkiego rudobrodego żeglarza o piegowatej ogorzalej twarzy.

— Tak, mój panie?

— Czy możesz podnieść kotwicę i obrać kurs na Opet?

— W nocy?

— Tak, życzę sobie dotrzeć do miasta jutro przed południem i wierzę w twoje umiejętności.

Habbakuk skłonił głowę, słysząc komplement, i ciężki złoty kolczyk opadł na jego policzek. Potem odwrócił się na pięcie i odmaszerował, wyrzaskując rozkazy do oficerów.

Kiedy kotwice zostały wciągnięte, siedzący na dziobie okrętu flagowego dobosz uderzył drewnianą pałką w wydrążony pień, wystukując rytm.

Trzy szybkie, dwa wolne, trzy szybkie. Rząd wiosel zanurzył się i przesunął, wynurzył, przesunął się w przód i zanurzył się w rytm uderzeń, w doskonałej zgodzie, w rozfalowanym rytmie, jak srebrzyste lotki wielkiego wodnego ptaka. Długi, wąski kadłub ciął śmiało wodę zabarwioną odbłaskiem zachodzącego słońca, zostawiając za sobą prosty ślad. Sztandar domu Barka dźwignięto na saling głównego masztu, a wysokie, dumne nadbudówki wznosiły się ponad papirusy porastające oba brzegi.

Kiedy przemykali obok innych okrętów floty, te pochylały swoje proporce. Każdy z nich kolejno zajmował swoją pozycję w szyku, a rytm bębnowy niósł się szeroko ponad wodami jeziora.

Jedynie nierówny chód zdradzał złe samopoczucie Hu Ben-Amona, gdy przechodził od grupy do grupy na oświetlonym pochodniami pokładzie. W każdej wychylał czarę wina i rzucał kawałki słoniowych kłów.

— Niech piekło pochłonie twoje szczęście — roześmiał się Philo, ale śmiech nie ukrył złości wykrzywającej jego cygańską, ciemną twarz. — Czyżbym oszalał, że gram w kości z ulubieńcem bogów? — Ponownie ułożył złote monety obok złota kapłana. Hu zebrał kości do kubka i rzucił je, wygrywając po raz kolejny. Philo owinął się ciasniej w swoje szaty i odszedł, odprowadzany śmiechem i docinkami widzów.

Biała gwiazda Isztar już zaszła, kiedy Lannon i Hu jeszcze raz stanęli pod rozpostartymi skórami wielkich lwów i spojrzeli na pokład. Wyglądał jak pole bitwy. Ciała spoczywały rozrzucone wokół pochodni, leżąc tam, gdzie padły, bezwładne i pozbawione czucia. Czara po winie toczyła się tam i z powrotem po kołyszącym się pokładzie mknącego okrętu.

— Jeszcze jedno zwycięstwo — powiedział ochryple Lannon patrząc łzawiącymi oczami na pobojowisko.

— Znakomite zwycięstwo, wasza wysokość.

— Myślę... — zaczął Lannon, ale nie dokończył. Nogi ugięły się pod nim.

Zachwiał się i poleciał do przodu. Hu złapał padającego i zarzucił go sobie na ramię. Lekceważąc ból w piersi zaniósł króla do głównej kabiny pod pokładem. Opuścił go na łóżko i wygodnie ułożył mu głowę i kończyny. Został jeszcze przez chwilę, chwytając się nad leżącą postacią.

— Słodkich snów, mój piękny królu — wyszeptał i odwróciwszy się, mozolnie pomaszerował do swojej kabiny. Kiedy wszedł, młoda niewolnica podniosła się z miejsca.

— Ustawiłam twoją paletę do pisania — powiedziała. Hu zerknął na zwój, czarkę z atramentem i pióro ustawione pod wiszącą lampą.

— Dziś nie. — Ruszył w stronę łoża, zgubił kierunek, uderzył o grodz i odbił się od niej. Niewolnica podbiegła i pokierowała jego krokami.

Hu leżał na plecach i patrzył na nią. Była własnością Lannona. Hu żałował, że nie może sobie pozwolić na choćby taką jak ta, ale dziewczyna z pewnością była warta nie mniej niż dziesięć palców złota.

— Czy jeszcze coś, mój panie? — zapytała. Była pięknym drobnym stworzeniem o ciemnych miękkich włosach i cerze barwy kości słoniowej.

— Być może — rzekł wstydliwie. — Jeśli mi trochę pomożesz...

Ale jego zamiary okazały się zbyt ambitne i po kilku chwilach dało się słyszeć chrapanie. Dziewczyna wstała, ubrała się i jeszcze przez chwilę patrzyła na niego z uśmiechem, po czym wyslizgnęła się z kabiny.

W ciemnościach poprzedzających świt Hu stał na nadbudówce galery i ćwiczył ciosy toporem, chwytając go w locie. Czuł, że stare wino w jego żyłach zaczyna szybciej krążyć, że na ciało występuje pot, którego chłodne powietrze jeziora nie jest w stanie osuszyć. Przerzucił broń z ręki do ręki, aż topór zaświstał. Otepienie ustępowało, obfity pot zaczął zalewać ciało, ściekając po muskularnych nogach i ramionach, po zniekształconych garbem plecach, mocząc opaskę na biodrach. Hu zaczął tańczyć, wirować i podskakiwać zwinnie, wciąż wywijając toporem.

Świt różowił niebo, kiedy Hu nareszcie zaprzestał ćwiczeń i wsparł się na toporze. Oddychał ciężko, oddech zamieniał się w parę w zimnym powietrzu, ale krew znów żywo krążyła po ciele i znów czuł się prawdziwym mężczyzną.

W kabinie jedna z niewolnic zeskrobała pot z ciała Hu złotym nożykiem, darem Lannona. Potem namaściła go wonnym olejkiem, zaplotła mu włosy i brodę, a wreszcie odziała w białą szatę.

Wyszedł na pokład w chwili, gdy flocie przekazywano rozkaz rzucenia kotwic. Statki zwróciły się dziobami na wschód, by oczekiwać pojawienia się słońca. Wioślarze trzymali wiosła. Kiedy słońce ukazało się nad horyzontem, kapłan zaintonował modlitwę ku czci Baala. Później zasiedli do śniadania na otwartym pokładzie, kucając na matach z plecionych trzciny. Hu spoglądał na poszarzałe i zabiedzone twarze, podkrążone oczy i słuchał zrzędliwych głosów. Nawet Lannon był blade, a jego dłonie drżały, gdy unosił czarkę z gorącym mlekiem zmieszonym z miodem.

Hu zaczął od placków z prosa ociekających miodem i oliwą, potem zjadł dużego wędzonego leszcza, a kiedy zażądał pieczonej kaczki ostro przyprawionej czosnkiem i więcej placków, towarzystwo spojrzało na niego ze zgrozą. Hu rozerwał kaczkę na części i jadł, zmuszając się do zachowania błogiego wyrazu twarzy, gdyż dbał o swą reputację.

Philo przemówił za wszystkich, kiedy wykrzyknął wreszcie:

— Wielki Baalu! Znieważasz nie tylko swój żołądek, ale i mój. — Zerwał się na nogi i zbiegł pod pokład.

— On ma rację. — Lannon roześmiał się pierwszy raz tego dnia. — Wyglądasz jak dziecko, które nie piło nic bardziej niewinnego od mleka matki.

— On wykarmił się na czerwonym winie z Zeng, a zęby ostrzył na krawędzi wojennego topora.

— Gdyby jezioro wypełnione było winem, obniżyłby jego poziom tak, że moglibyśmy przejść je pieszo.

Hu mrugnął do nich i oderwał kaczą nogę.

Rankiem dotarli do płycizn i Habbakuk Lal poszedł na dziób, aby przeprowadzić okręt przez wąski kanał. Wodne hiacynty, papirus i tuzin innych odmian roślinności groziły zablokowaniem dróg prowadzących do Opetu. Małe łodzie ustępowały z drogi, kiedy dziesięć wielkich okrętów przemykało na swych srebrzystych skrzydłach. Oficerowie salutowali sztandarowi Barka zaciśniętymi pięściami, ale brygady niewolników, skazanych po wsze czasy na walkę z wodnym zieleńcem, stały oziębiałe, obserwując płynących cierpliwymi, zwierzęcymi oczami.

Blżej Opetu mijali flotylle łodzi rybackich, u ich burt wyłaniały się sieci pełne lśniących ryb, a nad nimi unosiły się mewy.

Potem na horyzoncie pojawiły się urwiste skały, jarzące się w słońcu zamgloną czerwienią, i przy relingach zrobiło się tłoczno od tych, których radował powrót do domu.

Mursil podszedł do Lannona stojącego na pokładzie rufowym i przyklęknął na moment.

— Wzywałś mnie, wasza wysokość.

— Tak, i Pigmeja.

— Jest tutaj, królu.

— Obiecałem ci nagrodę. Wybierz ją sobie.

— Panie, mam trzy żony. Wszystkie są chciwe.

— Złoto?

— Jeśli tak ci się spodoba, panie.

— Hu, pošlij do skarbcza po pięć palców złota.

— Niech Baal zawsze obdarza cię swym blaskiem!

— A co z Pigmejem?

Mursil przywołał do siebie małego Buszmena, a Lannon przyjrzał mu się z ciekawością.

— Jak go zwać?

— Xhai, panie.

— Czy on rozumie nasz język?

— Nie, panie, mówi tylko swoim prymitywnym narzeczem.

— Zapytaj go, czego pragnie; może wolności?

— On nie pojmuje idei wolności. On jest jak pies, wasza wysokość. Pozbawiając go pana, pozbawiasz go sensu życia.

— Zapytaj, czego chce.

Mursil i Buszmen rozmawiali przez dłuższą chwilę jakby w ptasim szczebioczącym języku, po czym łowczy odwrócił się do króla.

— To raczej dziwna prośba.

— Mów.

— Chce polować z zabójcą wielkiego lwa.

Król spojrział na Buszmena, który przyglądał mu się ze szczerym uśmiechem dziecka.

— On myśli, panie, wybac mi zuchwalstwo... on myśli, że jesteś bogiem i chce należeć do ciebie.

Lannon ryknął głośnym śmiechem, klepiąc się po udach.

— Więc niech tak będzie. Mianuję go królewskim łowczym, z odpowiednią płacą i przywilejami. Zabierz go, Hu. Naucz go naszej mowy, a jeśli ci się nie uda, ty naucz się jego języka!

Jak wszyscy zbłąkani i kalecy — pomyślał ze smutkiem Hu. Jego domostwo było ich pełne, ilekroć bowiem ubierał dość złota, by sprowadzić słodką młodą niewolnicę, wydawał je na innych, starych czy zbyt niedołącznych, by mogli sami

zapewnić sobie środki utrzymania. Pigmej otrzymywać będzie zapłatę i może ulży w wydatkach Hu.

Lannon porzucił temat i odwrócił się w stronę relingu. Zza horyzontu wylaniało się rodzinne miasto. Ściany świątyni połyskiwały w promieniach słońca rudawym różem, a położone niżej miasto lśniło jaskrawym blaskiem. Domy bielono popiołem ze skorup mięczaków.

Na spotkanie wypłynęła flota wojenna Opetu. Tarcze i hełmy legionistów błyszcząły w słońcu, kiedy jej jednostki kolejno robiły zwrot, przechodząc przed dziobem okrętu flagowego. Słoneczny blask odbijał się w ostrym jak strzała dziobie okrętu. Legioniści dostrzegli surowe skóry zawieszane pod sztandarem domu Barka i ponad wodami poniósł się ich radosny okrzyk.

Okręt flagowy poprowadził wszystkich w kierunku portu wciąż mknąc na rzędach wiosel. Habbakuk Lal kierował się w stronę kamiennego nabrzeża poniżej miasta, gdzie gromadził się tłum. Mieszkańcy wylegli na powitanie powracającej floty, przywdziali najlepszą i najbardziej jaskrawą odzież; krzyczeli i pozdrawiali nowego króla.

Habbakuk Lal opuścił rękę, dając znak dobozowi i sternikowi. Wszystkie wiosła wparły się w wodę, okręt skręcił pochylając się, a jego burta lekko dotknęła kamiennego nabrzeża. Lannon i jego świta zeszli na brzeg.

Jako pierwsze powitały go żony. Było ich dziewięć, po jednej z każdego ze szlchetnych rodów, młode, dumne i piękne. Podchodziły i klękały przed Lannonem, pierwszy raz tytułując go „wasza wysokość”.

Hu spoglądał na nie z bólem serca. To nie były uległe, bezmózgie niewolnice, których towarzystwo było wszystkim, czego dotąd zaznał. To były prawdziwe kobiety. Tak bardzo pragnął choć jednej z nich, by dzielić z nią życie. Ubiegał się o żonę w każdym z wielkich domów Opetu i w każdym odrzucano go. Nie widzieli nic oprócz jego garbu, ale nie mógł ich za to potępić.

Podniosły nastrój został nagle zburzony przez zgodny okrzyk: „Hoo! Hoo!”, i para bliźniaczek, wyrwawszy się z rąk opiekunek, popędziła przez nabrzeże. Podbiegły do Hu Ben-Amona i zaczęły tańczyć wokół niego, szarpiąc skraj jego szaty, domagając się, by poświęcił im swoją uwagę. Kiedy uniósł je w górę, z taką zawziętością rywalizowały o pocałunki, że przerodziło się to w poważną walkę z targaniem za włosy. Opiekunki przybiegły na ratunek i odciągnęły dziewczynki na bok.

Ręce Imilce wciąż zaciskały się na złocistych lokach Helency, a ze srogiej miny Lannona Hu wywnioskował, że spotka je za to kara.

Hu wszedł w tłum. Po drodze do świątyni targował się z kupcem o kurczaka i dobił korzystnego targu. Po złożeniu ofiary udał się do swego domu, sąsiadującego z domostwami innych kapłanów, pomiędzy wewnętrznymi i zewnętrznymi murami świątyni. Wszyscy domownicy zeszli się, by go powitać, trzęsąc się i chwiejąc na niepewnych nogach, kiwając siwymi głowami i mamrocząc bezzębnymi dźwiękami. Wszyscy niecierpliwie czekali na wieści o ostatnich wyczynach swego dobroczyńcy, domagali się szczegółów polowania. Wykapali go i nakarmili.

Gdy wreszcie uciekł do swojej sypialni, nie odpoczywał długo, gdyż wkrótce przybyły cztery najstarsze księżniczki, liczące od sześciu do dziesięciu lat. Przebiły się przez słabą straż niewolników i objęły pokój Hu w posiadanie.

Hu z westchnieniem porzucił myśl o wypoczynku i posłał jedną z dziewcząt po swoją lutnię, a kiedy zaczął śpiewać, niewolnicy wkradali się do komnaty i siadali cicho pod ścianami. Hu Ben-Amon był znowu w domu.

Sześć miesięcy po zabiciu wielkiego lwa i udowodnieniu swych roszczeń do czterech królestw Lannon Hycanus opuścił miasto i udał się na przemarsz wzdłuż granic. Tej wiosny miał dwadzieścia dziewięć lat, rok więcej niż jego kapłan.

Wyruszył z czwórką swoich żon, jeszcze bezdzietnych, mając nadzieję, że przed końcem dwuletniej podróży ich stan ulegnie zmianie. Zabrał ze sobą dwa legiony — każdy w sile sześciu tysięcy hoplitów — lekkiej piechoty, wojowników z toporami i łuczników. Legiony składały się głównie z wyzwolenców Yuye, którymi dowodzili oficerowie ze szlachejnych rodów Opetu. Zorganizowane były na sposób rzymski, który to zwyczaj wprowadził Hannibal. W skład legionu wchodziło dziesięć kohort, a każda z nich składała się z sześciu centurii. Żołnierze nosili skórzane zbroje i stożkowate hermy, a ich okrągłe skórzane tarcze wysadzane były brązowymi rozetkami. Na nogach mieli skórzane nagolenniki i nabijane gwoździami sandały. Maszerując śpiewali.

Oficerowie byli wyekwipowani bardziej wyszukanie, stosownie do zamożności swoich rodzin; zbroje mieli wykonane z brązu, a płaszcze z kosztownych tkanin farbowanych na purpurowo. Maszerowali na czele swoich dywizjonów.

Nie było kawalerii. W ciągu pięciuset lat żadna próba sprowadzenia wierzchowców z północy nie zakończyła się powodzeniem. Zwierzęta te nie były w stanie przeżyć podróży morskiej, a nieliczne, którym się to udało, wkrótce po przybyciu do Opetu zapadały na tajemniczą chorobę, która jeżyła im sierść, a oczy zamieniała w krwawą galarete.

Miejsce jazdy zajęły więc słonie. Ogromne, złośliwe bestie, napełniające strachem serca wrogów Opetu, niosące na grzbietach łuczników ze strumieniami strzał. W bitewnym szale potrafiły wyładować swą wściekłość równie dobrze na własnej armii, jak i na szeregach wroga. Ich opiekunowie byli uzbrojeni w drewniane młotki i ostre kołki, gotowi zatopić je w mózgach oszalałych zwierząt. Lannon zabrał z sobą dwadzieścia pięć wielkich bestii.

Wraz z nim wyruszył: jego najwyższy kapłan i kilkunastu niższych, inżynierowie, zbrojmistrzowie, kucharze, niewolnicy i ogromna rzesza przedstawicieli najróżniejszych profesji, jacy zazwyczaj towarzyszą wojsku: kupcy, poszukiwacze skarbów, szulerzy, wróżbici, sprzedawcy likieru i prostytutki. Kawalkada wołów niosących namioty i zaopatrzenie rozciągała się na siedem mil, a cała niezdarna kolumna miała piętnaście mil długości. Nie stanowiło to żadnego problemu na rozległych, nie zaludnionych stepach południa o bogatych zasobach wody i paszy. Kiedy Hu Ben-Amon stanął u boku swego króla na szczycie niewysokiego wzgórza i ujrzał wolno toczącą się kolumnę, ciągnącą z północy pomyślał o dniu, w którym skręcą z powrotem na północ i zataczając wielkie koło, zanurzą się w lasy rosnące wzdłuż wielkiej rzeki. Takie nagromadzenie bogactwa stanowić będzie pokusę dla pogańskich szczepów żyjących w nieznanymi ziemiach. Zdradził swoje obawy Lannonowi, ale ten roześmiał się głośno.

— Twoje myśli są myślami żołnierza, a nie kapłana.

— Jestem żołnierzem.

— Oczywiście. — Lannon położył dłoń na jego ramieniu. — Nie na darmo jesteś dowódcą szóstego legionu, Hu. Długo zastanawiałem się nad tym marszem. W przeszłości było to tylko marnowanie czasu i daremny uszczerbek dla skarbcza Opetu. Mój marsz będzie inny. Chcę, żeby przyniósł korzyści. Na południu będziemy polować. Będą to łowy, o jakich nawet nie śniłeś. Będziemy wędzili mięso, suszyli je i sprzedawali w domostwach i kopalniach, by wykarmić niewolników. Będziemy też chwycić słonie. Chcę, żeby moja armia liczyła dwieście tych zwierząt, by mogła stawić czoło zagrożeniu z północy.

— Zastanawia mnie liczba pustych wozów, które za nami podążają.

— Wypełnią się, nim znów skrećimy ku północy — zapewnił Lannon. — A kiedy będziemy przechodzić przez ogrody Zeng, wymienię obsady garnizonów, zastępując je ludźmi, którzy z nami jadą. Oddziały zbyt długo pozostające w jednej kwaterze stają się leniwe i zepsute. W Zeng spotkam się z emisariuszami Drawidów ze wschodu, z którymi odnowię nasz traktat.

— Ale co z północą? — Hu powrócił do podstawowej kwestii.

— Z Zeng pomaszerujemy na północ w szyku bitewnym. Kobiety i wszyscy poza żołnierzami odesłani zostaną do domu, do Opetu. Zbliżymy się do rzeki, by wzmocnić dwa legiony, które obecnie się tam znajdują. Przejdziemy rzekę, pałac i chwytając niewolników, by uświadomić plemionom, że Opetem włada nowy król. Lannon odwrócił się i zapatrzył na północ.

— Przez sto lat naprzykrzali się nam, a my byliśmy wobec nich pobłażliwi. Każdego roku stają się coraz liczniejsi i coraz śmielsi. Poznają teraz moją żelazną rękę, Ptaku Słońca. Pokażę im, że strzeżemy rzeki barierą stali, a jeśli na nią naprą, poznają smak ryzyka.

— Zastanawiam się, skąd nadejdą i jak wielu ich jest.

— Są panami ciemności, są czarni, ponieważ nie pochodzą od Baala, boga słońca, jak my. Mnożą się w lasach, gdzie panuje wieczny mrok północy. Jeśli potrafisz policzyć żarłoczną szarańczę, możesz policzyć również ich.

— Czujesz lęk, królu? — zapytał Hu.

Lannon odwrócił się ku niemu z twarzą pociemniałą od gniewu.

— Za dużo sobie pozwalasz, kapłanie — warknął.

— Nazywaj mnie przyjacielem, a nie kapłanem. Pozwalam sobie przypomnieć ci, że bezrozumna nienawiść zawsze opiera się na strachu.

Gniew Lannona przygasł. Władca zaczął bawić się rękojeścią broni, zerkając na boki, by się upewnić, że doradcy znajdują się poza zasięgiem głosu.

— Mam powody, by się obawiać — powiedział wreszcie.

— Tak sądziłem — rzekł Hu.

\* \* \*

O brzasku Hu zaintonował modlitwę do Baala. Potem zaś poprosił bogów, by przychylnym wzrokiem patrzyli na łowy, obiecując, że część zdobyczy zostanie pozostawiona Ptakom Słońca, które uniosą ją ku niebu. Następnie Hu i Lannon wypili razem czarę wina i zjedli suche placki z prosa. Czekali na rozpoczęcie łowów.

Mursil, pierwszy łowczy na południu, wybrał teren starannie i sprytnie. Ze skarpy, na której siedzieli, widzieli rozległe lejkowatą równinę, okoloną wzgórzami. Na szczytach wzniesień od wczesnego ranka dymiły ogniska, dając sygnał, że wojownicy zajęli już swoje pozycje.

Daleko przed nimi, poza zasięgiem wzroku, rozciągnęły się wzdłuż całej równiny dwa legiony. Kilka tysięcy ludzi przesuwało się do przodu, przeczesując równinę, przypominając falę rozlewającą się po plaży. Kurz wzniesany przez ich stopy wznosił się bladym obłokiem, a pod tym całunem można było czasem dostrzec błysk światła odbitego od hełmu albo włóczni.

— Zaczęło się — oznajmił Lannon z satysfakcją.

Hu spojrział na stada pasących się zwierząt. To były dziesiąte wielkie łowy w ciągu pięćdziesięciu dni i nie kończąca się rzeź zaczynała przyprawiać go o mdłości. Tysiąc łuczników Lannona leżało w zasadzce, każdy ze strzałami i zapasowym łukiem.

Za nimi znajdowała się podwójna linia sieci, mocno splecionych oczek na kruchych słupach, które będą padać pod naporem szarżujących ciał, zatrzymując

zwierzęta do chwili, aż któryś z hoplitów wyskoczy ze swej kryjówki i przybiegnie z oszczepem, by pozbawić je życia.

— Powinniśmy zejść na dół. — Lannon wysączył resztę wina i strząsnął z płaszcza okruchy śniadania.

— Jeszcze chwilę — zaproponował Hu. — Chciałbym to zobaczyć.

Przez stada pasące się na równinie przebiegł dreszcz niepokoju, poczynając od tych, które znajdowały się najbliżej naganiaczy. Szeregi gnu o długich, rozwianych grzywach zaczęły biegać bezładnie, grzebiąc w ziemi nosami. Stada zebr gromadziły się w zwartych grupach i patrzyły w kierunku zbliżających się naganiaczy. Ich bliscy krewni, guagga, zwierzęta niższe i mocniejsze, zbierały się w mniejszych stadach. Mieszały się z nimi żółte i czerwone gazele, antylopy eland, pasiaste, grzywiaste i majestatyczne. Cała ta ogromna masa zaczęła się poruszać i krążyć, wolno przesuwając się wzdłuż doliny w kierunku wyrwy. Wokół osaczonych stworzeń kłębiły się tumany kurzu.

— Cóż za zdobycz! — westchnął z podziwem Lannon.

— Nie było większej w całej historii polowań — przydał Hu.

— Jak myślisz, ile ich jest?

— Nie wiem; pięćdziesiąt, sto tysięcy, niepodobna policzyć.

Wzrastający niepokój pobudził długoszyje żyrafy. Porzuciły schronienia pod drzewami i wraz z młodymi przyłączyły się do masy sunącej wzdłuż doliny. Wśród tej chmary truchtały na masywnych nogach nieliczne wielkie i niezdarne nosorożce.

Wśród całej tej ogromnej masy zwierząt mknęły ciemnobrazowe stada zgrabnych gazeli. Zwierzęta coraz szybciej, niczym fale powodzi, przesuwały się wzdłuż doliny, wzniesając coraz gęstsze chmury pyłu. Wzgórza zmusiły stada do ściśnięcia się w zwartą masę. Kiedy zwierzęta spróbowały wspiąć się na szczyty pagórków, napotkały szeregi wrzeszczących, potrząsających bronią mężczyzn, którzy zawrócili je w dół stoków i biegli za nimi, siejąc panikę wśród stad stłoczonych poniżej.

Zwierzęta rzuciły się do ucieczki z narastającym łoskotem kopyt. Ziemia zaczęła drżeć.

— Chodź! — krzyknął Lannon. Zerwał się i potykając pobiegł w dół zbocza. Jeszcze przez moment Hu przyglądał się nieprawdopodobnej falandze stworzeń pędzącej z hukiem w stronę szczeliny, po czym zarzucił topór na ramię i pobiegł za Lannonem. Długie włosy rozwiewały się za nim, gdy sadił potężnymi susami. Jednocześnie z Lannonem wbiegli na równinę. Hu ruszył pierwszy w kierunku środka wyrwy, gdzie wykopano dla nich dół, w którym leżał już tuzin wiązek oszczepów.

Lannon wskoczył za nim do dołu.

— Dobrze, że się nie zakładaliśmy! — roześmiał się.

— Powinniśmy byli — powiedział Hu. Podszedł do krawędzi wykopu i spojrzał wokół. Widok był przerażający. Cała dolina, od końca do końca, była zajęta wzbierającą falą stworzeń, a ponad nimi kłębiła się ruchoma ściana kurzu, przez którą z rzadka przebłykiwało słońce.

Łby i grzywy zwierząt biegnących na czele unosiły się i opadały jak powierzchnia rwącego potoku, a nad nimi górowały długie szyje żyraf i strusi. Wszystko to parło w ich kierunku, ziemia drżała, a ludzie patrzyli z obawą i zdumieniem.

Lannon starannie wybierał właściwy moment, czekając, aż pierwsza fala zwierzyny minie ustawione znaki. Chwila nadeszła i Lannon rzucił krótki rozkaz trębaczowi. Rozległ się pojedynczy, nagły ton, powtarzany raz za razem.

Jak spod ziemi wyłoniły się szeregi łuczników. Czterokrotnie zwolnili cięciwy łuków, nim pędząca ściana zwierząt przetoczyła się nad nimi. Cztery tysiące strzał w ciągu dwudziestu sekund. Nadbiegające szeregi padały na rzędy martwych towarzyszy.



Niesione siłą pędu masy zwierzyny parły do przodu, podczas gdy kolejne serie strzał dziesiątkowały ich szeregi, piętrząc nowe stosy martwych i zranionych.

Mniejsza zwierzyna została zmieciona przez łuczników, ale większe, gruboskórne zwierzęta, z bokami najeżonymi strzałami, przebiły się dalej. Wielkie szare nosorożce z wściekłością parły ku linii sieci, potrząsając zakrzywionymi rogami. Za nimi mknęły długonogie żyrafy i grupy czarnych bawołów, biegnące w zwartej masie, jeden przy drugim, jak w zaprzęgu.

Wplątywały się w sieci i padały. Kiedy tarzały się z rykiem, do akcji przystąpili oszczepnicy. Lannon i jego ludzie desperacko usiłowali usunąć martwe ciała z sieci i na powrót rozstawić słupy. Daremny wysiłek, było ich zbyt wiele. Oszalałe od nękających je strzał zwierzęta atakowały każdego człowieka, jaki pojawił się w ich polu widzenia.

Hu zobaczył żołnierza wyrzuconego w górę przez rozżłoszczonego nosorożca. Przez chwilę wirował w powietrzu, po czym spadł na twardą ziemię, gdzie został stratowany przez pędzące zwierzęta.

Lannon miotał oszczepy z niesłychaną dokładnością i siłą, celując w miękkie zebra przebiegających zwierząt. Piętrzył martwe ciała wokół dołu, krzycząc i śmiejąc się, podniecony szaleństwem łowów.

Hu także uległ w końcu temu nastrojowi. Tańczył, krzyczał i wywijał toporem, miotał oszczepem, gdy jakieś wielkie zwierzę zbliżało się, grożąc zniszczeniem kryjóWKi.

Obaj przesiąknięci byli potem i pokryci kurzem. Kamień, który wypadł spod pędzących kopyt, rozciął czoło kapłana ale oderwawszy skraj tuniki Hu przewiązał je szybko, nie przerywając tańca.

Kiedy skończyły się strzały, łucznicy skulili się w wykopach, pozwalając, by zwarte szeregi przegalopowały nad ich głowami.

Hu spostrzegł nową falę pędzącą w ich kierunku i schwyciwszy króla, ściągnął go na dno dołu. Padli na ziemię, przykrywając głowy rękoma, gdy nagle krawędzie wykopu zaczęły się rozpadać pod kopytami pędzącej zwierzyny. Przysypywani osuwającą się ziemią, zakryli głowy brzegami tunik, rozpaczliwie walcząc o każdy haust powietrza.

Tumult zaczął przycichać. Hu przeturlał się do Lannona.

— Cały jesteś?

Lannon z trudem wyczołgał się spod martwej zebry. Wydostali się z dołu i rozejrzeli zdumieni.

Ziemia w paśmie około pięciuset kroków szerokim i równie długim była pokryta warstwą martwej i konającej zwierzyny. Z dołów rozsianych na polu tej straszliwej masakry wyłaniali się łucznicy i oszczepnicy, patrząc w osłupieniu na swe dzieło.

Linia nagonki zdawała się brnąć ku nim z obłoków szarego kurzu. Nawet niebo pociemniało od pyłu.

Naganiacze zbliżali się szeregami, krocząc wśród krwawiących ciał, a ich miecze to wznosiły się, to opadały, gdy dobijali ranne sztuki. Hu sięgnął pod tunikę i wyciągnął skórzaną flaszkę wina z Zeng.

— Zawsze wiesz, jak dodać mi otuchy — uśmiechnął się Lannon i napił się łapczywie. Krople wina zalśniły na jego brodzie jak krew. — Czy było kiedyś podobne polowanie? — zapytał i podał wino przyjacielowi.

Hu wypił i rozejrzał się po pobojowisku.

— Nie wierzę, żeby kiedyś mogło być podobne.

— Mięso uwędzimy i ususzemy, a potem zapolujemy znowu — przyrzekł Lannon i odszedł wydać rozporządzenia.

\* \* \*

Przez popołudnie i całą noc armia trudziła się nad oprawianiem niespodziewanie obfitej zdobyczy. Mięso cięto na pasy i rozwieszano na skałach wokół dymiących ognisk. Słodkawy zapach surowego mięsa, przegniły zaduch wnętrzości i skwierczenie smażącego się mięsiwa unosiły się nad obozowiskiem.

Pod markizą namiotu siedział Hu pracujący przy migoczącym świetle lampki oliwnej.

Lannon wyłonił się z ciemności, wciąż pokryty warstwą kurzu i zaschniętej krwi.

— Wina, Ptaku Słońca, w imię przyjaźni! — Udawał, że słańia się na nogach z pragnienia. Hu podał mu amforę i czarkę. Król napił się wprost z dzbana i wytarł brodę ramieniem. — Przychodzę z nowinami. — Wyszczrzył zęby. — Zdobycz liczy tysiąc siedemset sztuk.

— A ilu ludzi zginęło?

— Piętnastu nie żyje, kilku jest rannych, ale czyż nie było warto?

Hu nie odpowiedział, więc Lannon ciągnął dalej:

— Mam też nowe wieści. Inne moje żądło również trafiło w cel. Annel nie dostała krwawienia.

— Powietrze południa ma zbawienny wpływ. Wszystkie w ciągu dwóch miesięcy!

— To nie powietrze, Ptaku Słońca — roześmiał się Lannon i ponownie chwycił amforę.

— Cieszę się — powiedział Hu. — Opet otrzyma świeży zastrzyk starej krwi.

— Czy kiedykolwiek dbałeś o krew, Hu Ben-Amonie? Cieszysz się, że będziesz mógł rozpieszczać następnych brzdąców, znam cię. — Lannon stanął za jego plecami.

— Piszesz. Co to jest?

— Poemat — odparł skromnie Hu.

— O czym?

— O dzisiejszym polowaniu.

— Zaśpiewaj mi — polecił Lannon i opadł na futrzane posłanie poety, ściskając w dłoni amforę.

Hu wydobyl lutnię i usiadł na trzciniowej macie. Zaczął śpiewać, a kiedy skończył, Lannon przez chwilę trwał w milczeniu.

— Nie widziałem tego w ten sposób — odezwał się wreszcie. — Dla mnie były to po prostu łowy, mięsne żniwa. — Znów zamilkł.

— Uraziłem cię? — zapytał Hu. Lannon potrząsnął głową.

— Czy naprawdę wierzysz, że to, co dzisiaj zrobiliśmy, zniszczyło coś, co nigdy już nie zostanie odtworzone?

— Nie wiem, może nie, ale jeśli będziemy urządzać takie polowania, to czyż wkrótce nie obrócimy tego ładu w pustynię?

Lannon zadumał się przez długą chwilę nad wpółopróżnioną amforą, po czym spojrział na kapłana i uśmiechnął się.

— Zdobyliśmy już dość mięsa. Nie będziemy więcej polować w tym roku. Tyle tylko, by zdobyć kość słoniową.

— Mój panie, czy dzban przywarł do twojej dłoni? — zapytał łagodnie Hu. Lannon patrzył na niego przez moment, po czym roześmiał się.

— Zawrzyjmy układ. Jeszcze jedna pieśń i oddam ci wino.

— To dobry układ — zgodził się Hu.

Kiedy amfora była pusta, Hu posłał jednego ze swych sędziwych służących po następną.

— Przynies od razu dwie — zawołał za nim Lannon. — To zaoszczędzi nam czasu.

O północy Hu osłabł od wina i żalu, wzruszony pięknem własnego głosu i smutkiem wycichłych pieśni. Zaczął łkać, a Lannon załkał razem z nim.

— Nie chcę, by to piękno zostało zapisane na skórach bestii — zawołał Lannon, a łzy złościły ścieżki na jego zakurzonych policzkach i skąpy wały na brodę. — Każę wykonać zwoje ze szczerzego złota i na nich wryjesz swoje pieśni, mój Ptaku Słońca. Będą trwały po wieczność, radując moje dzieci i wnuki.

Hu przestał łkać. Obudził się w nim artysta, a jego umysł szybko docenił propozycję, o której — jak się obawiał — Lannon zapomni do rana.

— Jestem prawdziwie zaszczycony, mój panie. — Hu opadł na kolana przy krawędzi łoża. — Czy podpiszesz rozkaz dla skarbcza?

— Napisz go, Hu, napisz w tej chwili — polecił Lannon. — Podpiszę go.

\* \* \*

Kolumna wolno zataczała łuk ku południu i wschodowi, wędrując przez sawanny. Była to ziemia bezkresna, tak że piętnastomilowa kolumna znaczyła na niej tyle co rząd mrówek. Wędrowcy mijali rzeki i pasma gór, lasy i równiny obfitujące w zwierzynę łowną. Jedynymi napotkanymi ludźmi były załogi królewskich garnizonów myśliwskich. Zaopatrywali oni w suszone mięso niezliczonych niewolników, którzy stanowili podstawę istnienia narodu.

Sześć miesięcy po opuszczeniu Opetu orszak królewski pokonał rzekę Limpopo, a po kolejnych stu milach dotarł do pasma pokrytych gęstym lasem błękitnych gór, które wyznaczały granicę królestwa.

Rozłożyli obóz w gardzieli mrocznego skalistego wąwozu, bodącego aż do serca gór. Lannon i Hu, zebrawszy kohortę piechoty i łuczników, ruszyli urwistą ścieżką przez wąwóz. Było to niesamowite miejsce, w którym czarne kamienne ściany wisiały ponad spienionymi potokami, huczącymi w mrocznych czeluściach; miejsce zimne i ciemne, do którego z rzadka docierały promienie słońca. Hu zadrżał, nie tylko z zimna, i mocniej ścisnął rękojeść topora. Modlił się niemal bezustannie w ciągu trzech dni marszu przez góry było to bowiem miejsce z całą pewnością nawiedzane przez demony.

Rozbili obóz na południowych stokach i rozpalili ognisko sygnałowe, ślące wysokie kolumny dymu widoczne z odległości pięćdziesięciu mil.

Ku południu rozciągały się ziemie równie rozległe jak te na północy. Spoglądając na falującą złocistą sawannę i ciemnozielone lasy, Hu poczuł dreszcz obawy.

— Chciałbym stanąć na tej ziemi — powiedział Lannonowi.

— Będiesz na niej pierwszy — zgodził się Lannon. — Ciekaw jestem, co skrywa. Jakie skarby, jakie tajemnice?

— Wiemy, że na dalekim południu jest przylądek i płasko zwieńczona góra, gdzie uległa zagładzie flota Hycanusa IX, ale na tym nasza wiedza się kończy.

— Myślę o przeciwstawieniu się prorocztwu i poprowadzeniu ekspedycji na południe, poza te góry. Co ty na to, Hu?

— Odradzałbym ci to, panie. Wyzywanie bogów nie prowadzi do niczego dobrego; mają niezwykle dobrą pamięć.

— Prawdopodobnie masz rację — ustąpił Lannon. — Choć mam okrutną chęć, żeby to zrobić.

Hu zmienił drażliwy temat.

— Zastanawiam się, kiedy nadejdą. — Spojrzał na dym z ogniska, wznoszący się ku spokojnemu błękitowi nieba.

— Przyjdą, kiedy będą gotowi. — Lannon wzruszył ramionami. — Ale chciałbym, żeby przybyli jak najrychlej. Czekać możemy zapolować na lamparta.

Dziesięć dni polowali na wielkie cętkowane koty, w które obfitowały mgliste urwiska i zadrzewione wąwozy. Polowali używając specjalnie wytresowanych psów oraz włóczni. Sfora ścigała zdobycz, osaczała ją i zacieśniała krąg.

Wówczas wybrany człowiek kierował na warczące, chłoszczące boki ogonem zwierzę ostrze włóczni. Dwaj myśliwi polegli w czasie dziesięciodniowych łowów, jednym z nich był wnuk Asmuna. Był dzielnym chłopakiem i chociaż poległ śmiercią przynoszącą zaszczyt, wszyscy pograżyli się w smutku. Spalili ciało, jako że młodzieniec umarł w polu, a Hu złożył ofiarę na rzecz bezpiecznej drogi jego duszy ku słońcu.

O świcie jedenastego dnia, gdy zjedli śniadanie i szykowali odzież i broń na kolejne łowy, Hu spostrzegł poruszenie i niepokój małego Buszmena.

— Co cię martwi, Xhai? — spytał go w jego języku, którym posługiwał się już swobodnie.

— Moi ludzie są tutaj — powiedział Buszmen.

— Skąd możesz wiedzieć? — dopytywał się Hu.

— Wiem! — odparł Xhai.

Hu pospieszył przez obóz do namiotu Lannona.

— Nadeszli, panie — oznajmił.

— Dobrze. — Lannon odłożył włócznie i zaczął pozbywać się myśliwskiej zbroi. — Zawołaj poszukiwaczy kamieni.

Po chwili wezwani zaczęli się zbierać.

Miejsce spotkania znajdowało się u podnóża gór, gdzie gęsty las urywał się nagle na skraju szerokiej polany.

Lannon sprowadził swój orszak między skałami w dół. Zatrzymali się na skraju polany, wysuwając przed siebie osłonę z tarcz. Pośrodku polany, poza zasięgiem strzału z łuku ze skraju lasu albo skalistego zbocza, znajdował się wbity w miękką ziemię pal, do którego przywiązano powiewający niczym sztandar ogon kozła. Był to znak, że targ może się rozpocząć.

Lannon skinął towarzyszącemu mu człowiekowi o imieniu Aziru oraz Rib-Addiemu, zarządcy królewskiego skarbu. Ci dwaj wyszli na polanę bez broni, a za nimi szli dwaj niewolnicy dźwigający skórzany worek.

U stóp pała stała sucha tykwa, zawierająca garść jaskrawych kamieni o różnych kolorach.

Dwaj zbieracze zbadali każdy z kamieni, odrzucając niektóre na osobny stos na ziemi, a inne wkładając na powrót do tykwy. Następnie ze skózanego wora wydzielili skąpo parę garści szklanych paciorków do glinianego dzbana który postawili obok tykwy, i wycofali się na skalne zbocze gdzie czekał Lannon z łucznikami.

Czekali, aż tuzin drobnych postaci opuścił skraj lasu i zbliżył się do słupa. Grupa Buszmenów przysiadła przy tykwie i dzbanie. Rozgorzała gorąca debata, po czym jeszcze raz wycofali się do lasu. Dwaj urzędnicy króla wyszli na polanę i znaleźli nie tkniętą zawartość dzbana. Oferta została odrzucona. Dodali więc tuzin żelaznych grotów do strzał.

Przy trzecim podejściu dobito targu, gdy Buszmeni zaakceptowali paciorki, żelazne groty i miedziane bransoletki, zostawiając kamienie.

Wówczas przedmiotem targu stała się następna partia kamieni. Było to nudne zajęcie, które ciągnęło się przez cztery dni, a podczas jego trwania Hu znacznie pogłębił swoją wiedzę geologiczną.

— Skąd pochodzą słoneczne kamienie? — zwrócił się do Aziru, oglądając żółty diament wielkości żołądźcia, który otrzymano za szklane paciorki.

— Gdy słońce i księżyc ukazują się razem na niebie, może się zdarzyć, że ich promienie mieszają się z sobą, stając się gorące i ciężkie. Padają na ziemię, a gdy

trafią na wodę, stygną i krzepną w jeden z tych słonecznych kamieni.

Hu uznał to wyjaśnienie za nadzwyczaj przekonujące.

— Kropla miłości Baala i Isztar — wyszeptał z czcią. — Nie dziw zatem, że są tak piękne. — Spojrzał na Aziru. — Gdzie Pigmeje znajdują je?

— Mówi się, że przeszukują szlam w łożyskach rzek, jak również brzegi jezior — wyjaśnił Aziru. — Ale nie potrafią biegle rozpoznawać prawdziwych słonecznych kamieni i ich oferta zawiera zwykle mnóstwo zwyczajnych kamyków.

Kiedy Buszmeni wymienili już cały zbiór diamentów, zaoferowali do sprzedaży nie chiane dzieci szczepu. Małe kruszynki zostały przywiązane do palów. Nadzorczy niewolników, eksperci od szacowania ludzkich ciał, wyszli na polanę, by obejrzyć dzieci i zaproponować zapłatę. Pigmejów wysoko ceniono jako niewolników, ponieważ byli posłuszni, lojalni i wytrzymali. Wspaniale wywiązywali się z roli myśliwych, przewodników, gospodarzy i, rzecz niezwykła, towarzyszy zabaw dzieci.

Xhai stał za plecami wysokiego złotowłosego króla i przyglądał się wymianie przypominającej targ, któremu i jego poddano, kiedy był dzieckiem.

Pod koniec czwartego dnia skarb Opetu powiększył się o pięć dużych glinianych dzbanów wypełnionych diamentami. Handel tymi kamieniami był strzeżonym monopolem rządzącego domu Barka. Uzupełnieniem zdobyczy było sześćdziesięcioro czworo buszmeńskich dzieci między piątym i piętnastym rokiem życia. Były dzikimi stworzeniami, musiano więc je związać i ujarzmić.

Podczas powrotnej wędrówki przez góry Hu poświęcił się opiece nad młodocianymi niewolnikami. Z pomocą Xhai i innych obłąskawionych Buszmenów zdołał ocalić większość dzieci. Tuzin tych drobnych stworzeń zmarło z dręczącego serce strachu, nim przekazano je niewolnicom w głównym obozie.

Zwinęli obozowisko u stóp południowych gór i skręcili na północny wschód, ponownie przekraczając rzekę i kierując się ku majaczącym na horyzoncie górcom Bar-Zeng. Rozpoczęli marsz przez królestwo wschodnie, gdzie chłopcy Yuye uprawiali proso wzdłuż Rzeki Lwów.

W każdej osadzie wyzwolenicy wylegali z domostw, by powitać orszak i oddać hołd nowemu królowi. Byli to pogodni ludzie, a ich ogrodzone murami z błota wioski sprawiały wrażenie czystych i szczęśliwych. Nawet niewolnicy na polach byli zadbani, ponieważ tylko głupiec nie sprawuje pieczy nad swą cenną własnością. Niewolnikami w większości byli czarni, pojmani na północy, ale między nimi dało się dostrzec kilku mieszańców, spłodzonych przez swoich panów. Nie byli skuci, a ich ubiór i ozdoby nie różniły się wiele od odzieży właścicieli.

Wzdłuż całej drogi legionieści, których służba dobiegła końca, porzucali oddziały i wracali do swych wiosek, a ich miejsce w szeregach zajmowali młodzi rekruci.

Każdej nocy obozowali w jednym z ogrodzonych i ufortyfikowanych garnizonów, którymi upstrzona była droga do Zeng. Przechodzili przez obrzeża szerokiego złotego pasa, biegnącego przez całe środkowe królestwo. To stąd płynął dobrobyt Opetu, a królewscy poszukiwacze kamieni wykształcili w sobie niemal ponadnaturalną zdolność odnajdywania skał, w których kryło się złoto. Rezultatem ich wysiłków były liczne kopalnie, w których czarni niewolnicy pracujący nago w wąskich, dusznych sztolniach wydobywali z ziemi rudę. Na powierzchni była ona rozkruszana, a sproszkowaną skalę wypłukiwano z ziaren rodzimego złota w specjalnie zaprojektowanych miedzianych basenach.

Lannon wstrzymał marsz, żeby skontrolować wyrobiska, natomiast Hu podziwiał pomysłowość inżynierów.

Tam, gdzie złotoносne złoża było wąskie, zatrudniali do prac w sztolniach tylko kobiety i dzieci. Do wydobywania na powierzchnię koszy z rudą, jak również do transportu wody do kopalń położonych na suchych obszarach wykorzystywali słonie.

Udoskonalili metody podkopywania brył i kruszenia ich własnym ciężarem. Było to ryzykowne zajęcie; w jednej z kopalń Lannon i Hu nie spali całą noc, słuchając żałobnej skargi dobiegającej z kwater niewolników. Poprzedniego dnia bryła rudy załamała się przedwcześnie, przygniatając ponad setkę niewolników i kilku nadzorców.

Gnany nienasyconą ciekawością, Hu opuścił się w koszu na rudę na niższy poziom jednego z wyrobisk. Było to piekielne miejsce, wypełnione cuchnącym powietrzem, duszne i przesycone wonią potu, oświetlone migoczącymi lampkami oliwnymi. Nadzy niewolnicy harowali w ciasnych i niebezpiecznych komorach. Na skale rozpalano niewielkie ognisko, podtrzymując je, póki skała nie rozjarzyła się matowym blaskiem. Wówczas schładzano ją wiadrami cieczy, połączeniem wody z kwaśnym winem, pod wpływem której eksplodowała wśród kłębow pary, rozpadając się na drobniejsze kawałki. Te z kolei wywlekano i rozdrabniano kilofami.

Hu podszedł do ściany. Zobaczył rodzime złoto lśniące w macierzystym złożu.

Kiedy wyciągnięto go na powierzchnię, był przesiąknięty potem i pokryty brudem sztolni.

Lannon potrząsnął głową.

— Po co to zrobiłeś? Czy ptaki wydziobały ci mózg, że czołgasz się w ziemi?

W jednej z kopalń ruda została już wyczerpana aż do poziomu wód gruntowych. Uniemożliwiało to dalszą jej eksploatację, ponieważ nie znano żadnej metody usuwania wody z wyrobisk. Wybierana wiadrami wyciąganymi na łańcuchach przez niewolników rzadko obniżała swój poziom. Kopalnia musiała być zatem zwrócona Isztar, matce Księżycy i Ziemi. Była jej darem, i w podzięce za szczodrość bogini musiała otrzymać stosowną zapłatę.

Lannon, jako że było to jego prawo, wybrał posłańców, konsultując to z nadzorcami niewolników; chciał wyznaczyć tych, których strata nie umniejsza zasobu sił roboczych. Bogowie nie dbali o jakość ofiary. Dla nich każde życie było tyle samo warte.

Hu czuł ból w sercu, patrząc na tych, którzy po raz ostatni schodzili do wyrobisk. Szli, powłócząc nogami w symbolicznych okowach ofiar, zgarbieni, okaleczeni i kaszlący, gdyż płuca ich były zniszczone chorobą.

Hu wyznaczył jednego z kapłanów do nadzorowania ofiary; gdy emisariusz wynurzył się z otworu, Hu zaintonował modlitwę do Isztar, a niewolnicy przystąpili do zasypywania kopalni. Ich praca miała potrwać wiele tygodni, tak wielka była ilość materiału skalnego, jakiego należało użyć do wypełnienia wyrobiska.

Było to konieczne, by zjednać sobie przychylność matki Ziemi, a także by umożliwić tworzenie się nowych pokładów złota.

Aziru wytłumaczył potrzebę takiego zabiegu.

— To łaskawa ziemia, odpowiednia do przyrostu złota. Z powrotem umieszczamy w niej wydobytą skałę, a działanie słońca wywoła, po upływie pewnego czasu, nowy wzrost cennego metalu.

— Całe życie pochodzi od Baala — zaintonował Hu.

— Dzieci naszych dzieci podziękują nam kiedyś za to ziarno posadzone w ziemi — prorokował z dumą Aziru.

Hu był pod wrażeniem jego dalekowzroczności. Starannym pismem zanotował każdy szczegół nowo zyskanej wiedzy.

\* \* \*

Trzysta dni po opuszczeniu Opetu kolumna dotarła do stoków gór Zeng. Powietrze było tu chłodne i rześkie, ale nocą zbocza spowijała ciężka mgła

wywołująca gorączkę. Ludzie drżeli, kuląc się w płaszczach wokół obozowych ognisk.

Te wzgórza były ogrodami Opetu. Uformowano tarasy i pola uprawne, a dziesiątki tysięcy niewolników troszczyło się o winnice i gaje oliwne. Centrum, a zarazem twierdzę ogrodów stanowiło ufortyfikowane miasto na szczycie wzgórza, noszące imię dwunastego Wielkiego Lwa Opetu, Zeng-Hanno. Tu wznosiły się świątynie Baala i Isztar, religijne fortece wschodniego królestwa, w których Hu spędził dwanaście dni na debatach z kapłanami i kapłankami. Tu również musztrował i dozorował swój własny legion, jedyny spośród ośmiu legionów Opetu złożony z wojowników krwi. Ich godłem był złocisty sęp.

Czynności religijne zostały przerwane przez króla, który wezwał Ben-

Amona do towarzyszenia sobie podczas krótkiego wypadu na wschód, skąd nadeszła wiadomość, że Drawidowie oczekują Lannona, by odnowić pięcioletni traktat.

Trzej szejkowie Drawidów wyszli przybyłym na spotkanie. Byli wysocy, ciemnoskórzy i ciemnoocy, o orlich rysach znamionujących gwałtowne usposobienie. Na długich czarnych włosach nosili białe turbany, a ciała odziewali w długie do ziemi szaty, opasane szarfami naszywanymi półszlachetnymi kamieniami. Nosili przy pasie szeroki zakrzywiony sztylet, a na nogach pantofle o długich spiczastych noskach.

Ich wojownicy ubrani byli w workowate spodnie, hełmy w kształcie cebuli i zbroje ze srebrnych blach, mieli żelazne tarcze i długie, zakrzywione miecze, włócznie i krótkie, wschodnie łuki. Traktat między Drawidami i królami Opetu poprzedzało dwieście lat nieustępliwej wojny.

Dwie armie biwakowały na przeciwległych stronach rozległej doliny. Obozy rozdzielone były potokiem i cienistym, zielonym lasem. Pod jego drzewami rozstawiono namioty, w których przez pięć dni trwały uczty, targi i manewry dyplomatyczne.

Hu mówił językiem Drawidów, dlatego też był tłumaczem Lannona podczas negocjacji w sprawie traktatu o nieskrępowanym handlu i obustronnej pomocy wojskowej.

— Panie, książę Hassan interesuje się liczbą wojowników, których Opet jest w stanie wystawić w razie zagrożenia bezpieczeństwa obu narodów.

Negocjatorzy siedzieli na stertach jedwabnych poduszek o jaskrawych deseniach i barwach, pijąc sorbet, ponieważ Drawidowie nie chcieli tknąć nawet najprzedniejszych win. Jedli potrawy z baraniny i ryb przyprawione ziołami, uśmiechając się do siebie. Wierzyli sobie tak długo, jak długo nie spuszczały z siebie wzroku.

— Książę Hassan — powtórzył Lannon, pochylając głowę i uśmiechając się do niego — chciałby wiedzieć, jaką siłę jesteście w stanie przeciwstawić próbie zajęcia ogrodów Zeng i złotych kopalń środkowego królestwa?

— Oczywiście — przyznał Hu. — Co mam mu odpowiedzieć?

— Powiedz mu, że mogę wystawić czternaście regularnych legionów, wiele oddziałów pomocniczych i czterysta słoni.

— Nie uwierzy w te dane, panie.

— Oczywiście, że nie, tak jak ja nie wierzę jego danym. Ale mimo to powiedz mu. — I układali się dalej w atmosferze wzajemnego zaufania.

Zgodzili się, by nawzajem ubezpieczać swe flanki, zjednoczyć się, by utrzymać linię wielkiej rzeki przeciw inwazji wędrownych czarnych plemion, i przychodzić sobie z pomocą, gdyby granice którejs z stron zostały naruszone.

— Książę chciałby ustalić jednostkę handlu, panie. Sugeruje, że pięćset mikthali równoważy jeden palec złota Opetu.

— Powiedz mu tak uprzejmie, jak potrafisz, żeby pohuśtał się na swoich jądrach — odparł Lannon, uśmiechając się do księcia.

Uzgodnili wartość palca złota na pięćset dziewięćdziesiąt mikthali i przeszli do omawiania handlu niewolnikami oraz do klauzul dotyczących bawełny i jedwabiu. Piątego dnia zjedli razem sól i wymienili wyszukane podarunki, podczas gdy armie prezentowały swoje umiejętności i wyszkolenie. Każdy wódz chciał wywrzeć wrażenie na drugiej stronie.

— Ich łucznicy są mało skuteczni — ocenił Lannon.

— Łuk jest zbyt krótki i naciągają go do pasa, a nie do policzka — zgodził się Hu. — To ogranicza zasięg i celność.

A później, kiedy ćwiczyła piechota, dodał:

— Piechota jest lżej uzbrojona i opancerzona, panie. Nie mają toporów i wątpię, czy ich zbroja zdoła zatrzymać strzałę.

— Ale jednak poruszają się szybciej i jest w nich ognisty duch; nie lekceważ ich, Ptaku Słońca.

Przez pole przechodziły słonie dźwigające na grzbietach łuczników, którzy zasypywali wrogie linie deszczem strzał. Wielkie szare bestie rozrzuciły i rozdeptały szeregi słomianych manekinów, a ich kwik i trąbienie odbijało się od szczytów wzgórz.

— Popatrz na ich twarze — mruknął Lannon. — Księżę wygląda tak, jakby spoglądał na morze wieczności!

Rzeczywiście, Drawidowie zamilkli, pokonani, nie mieli bowiem słoni i nie opanowali sztuki ich tresury.

Kiedy Lannon i Hu odwrócili się i spojrzeli na dolinę, zobaczyli kolumnę odchodzących Drawidów wijącą się ku wschodowi. Słońce lśniło na hełmach i grotach włóczni wojowników.

— Nasza wschodnia granica jest bezpieczna przez następne pięć lat — ogłosił z satysfakcją Lannon.

— Póki księżęta nie zmienią zdania — ostrzegł Hu.

— Nie, Ptaku Słońca. Muszą honorować traktat; to leży w ich najlepszym interesie. Zaufaj mi, przyjacielu.

— Tobie ufam — oświadczył Hu.

\* \* \*

Po powrocie do Zeng-Hanno legiony zebrały się, rozpoczynając przygotowania do zaplanowanego przez Lannona wypadu za wielką rzekę.

Legion Ben-Amon był jednym z wybranych i Hu spędzał wiele czasu ze swoimi kapłanami-oficerami. Jadali z nim w kwaterach przygotowanych dla niego wewnątrz murów świątyni Baala. Hu zaprosił wielebne kapłanki Isztar, zadbawszy o wystawne dania. Dzień wcześniej polował, i dzika zwierzyna uzupełniła wołowinę, drób i ryby kupione od Drawidów, a ogrody Zeng dostarczyły swoich najlepszych owoców i win. Król był gościem honorowym. Biesiadnicy przystroili głowy wiankami z kwiatów, a wino uczyniło ich hałaśliwymi.

— Wielebna matko! — Jeden z kapłanów, młody, przystojny hulaka o imieniu Bakmor, pochylił się nad stołem w stronę najwyższej kapłanki Isztar. — Czy to prawda, że pośród nowicjuszek odkryto nową wieszczkę, która ma zastąpić zmarłą przed dwoma laty Imilce?

Wielebna matka zwróciła mądre oczy na młodego oficera.

Miała bladą skórę i puszyste białe włosy. Jej wiotkie ręce były również blade, szkieletowate, poznaczone sinymi żyłami.



— Prawdą jest, że jedna z nowicjuszek wykazuje się mądrością i wiedzą przekraczającą zdolności typowe dla jej wieku czy przygotowania. Prawdą jest również, że widziała rzeczy dziejące się po drugiej stronie grobu i czyniła proroctwa. Zakon nie zdecydował jeszcze, czy posłać ją do jego świątobliwości wielkiego kapłana, by sprawdził te szczególne umiejętności.

— Są więc jakieś wątpliwości, wielbna matko? — nalegał Bakmor.

— Zawsze są wątpliwości, mój synu — odparła kapłanka tonem jawnie strofującym zarozumiałość rozmówcy.

— Nie słyszałem o tej nowicjuszcze — oznajmił Hu z wymówką w głosie. Przez dwa lata kapłani obywali się bez usług wyroczni i usilnie poszukiwano nowego wieszca. Opłaty za wróżby i proroctwa stanowiły znaczący udział w przychodach świątyni, a i polityczne przyczyny sprawiały, że Hu intensywnie poszukiwał sukcesorki Imilce.

— Wybacz mi, ojcze. Zamierzałam omówić z tobą ten temat osobiście — szepnęła kapłanka, ale Lannon pochylił się w ich stronę i włączył do rozmowy.

— Poślijcie po nią — polecił głosem ochryplym od wina. Kapłanka zeszywniała, słysząc te słowa. — Niech zabawi nas swoimi proroctwami.

— Panie... — próbował protestować Hu, ale Lannon uciszył go.

— Poślijcie po wieszczkę — powtórzył podniesionym głosem. — Niech zdradzi nam rezultat kampanii na północy.

Kapłanka pochyliła głowę i szepnęła coś służebnicy, która zaraz wybiegła z sali.

Kiedy weszła wyrocznia, podniesione głosy i śmiechy ucichły, a wszyscy zwrócili ku niej zaciekawione spojrzenia. Była wysoką dziewczyną o cienkich przegubach i kostkach. Zielona szata nowicjuszki odsłaniała gładkie ramiona. Ciemne, miękkie włosy opadały na ramiona jak obłok. Na wysokim, wypukłym czole nosiła zawieszony na złotym łańcuszku złoty sierp księżyca, symbol Isztar, kolczyki zdobiły dwa niewielkie diamenty, lśniące jak gwiazdy.

Kolor jej zielonych oczu przypominał Ben-Amonowi basen Isztar w jaskini w Opecie. Jej pełne usta drżały lekko, zdradzając wzruszenie nieoczekiwanym wezwaniem, a policzki pokrywały się rumieńcem. A jednak jej zachowanie było pełne powściągliwości; z godnością kroczyła w kierunku Hu. Była bardzo młoda.

— Módl się za mnie, ojcze — pozdrowiła go, skłaniając głowę.

Hu przyglądał się jej zachłannie, poruszony jej bezpośredniością i godnością.

— Pozdrów swego króla, moje dziecko — mruknął. Dziewczyna odwróciła się w stronę Lannona.

— Jak ci na imię? — zapytał król. Wieszczka spojrzała na niego.

— Tanith — odparła. Było to dawne imię bogini czczonej jeszcze w Kartaginie.

— Ładne imię — kiwnął głową Hu. — Zawsze mi się podobało.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego. Ciepło uśmiechu zaskoczyło kapłana.

— Jesteś bardzo uprzejmy, ojcze — powiedziała.

W tym momencie Hu Ben-Amon zakochał się. Wpatrywał się w Tanith niezdolny się odezwać, czując, że płoną mu policzki. Szukał desperacko odpowiednich słów i nie znajdował ich.

— Przynieś poduszkę! — zawołał Lannon do niewolnika. Posadzili Tanith przed obliczem króla i kapłanów.

— Chcemy wysłuchać proroctwa — oznajmił Lannon i pochylił się ku Tanith, dysząc ciężko. Spojrzała na niego ze spokojem, bez śladu uśmiechu na ustach.

— Jeśli będzie to w mojej mocy, odkryję przed tobą wyrocznię, panie, ale najpierw musisz mnie wynagrodzić, dopiero potem zadawać pytania.

— Jakiego chcesz wynagrodzenia? — zapytał Lannon. Jego oblicze pociemniało z gniewu. Nie przywykł do podobnego traktowania.

— Ojczy, czy wyznaczysz zapłatę? — zapytała Tanith. Hu poczuł, że wstępuje w niego diabeł.

— Sto palców czystego złota — odezwał się, nim zdał sobie sprawę z tego, co robi. To była nadzwyczaj wysoka stawka, stanowiąca wyzwanie dla króla, prowokująca go do wycofania się lub zapłaty.

Tanith uśmiechnęła się, na jej policzkach ukazały się prowokacyjne dołeczki, a następnie chłodnym spojrzeniem odpowiedziała na gniewny wzrok Lannon. Hu uświadomił sobie nagle, że z jego winy dziewczyna znalazła się w niebezpieczeństwie. Lannon nie zapomni szybko tej zniewagi.

— Za taką zapłatę Wielki Lew może zadać tyle pytań, ile ma palców w dłoni władającej mieczem — dodał.

Lannon zawahał się. Hu widział, że jest on wciąż zagniewany, ale słowa kapłana udobruchały go nieco.

— Wątpię, czy jej słowa będą tak wiele warte, ale bawi mnie sprawdzenie umiejętności tej dziewczyny — mruknął. Podniósł czarę z winem i wychylił część jej zawartości, po czym otarł brodę i spojrzał na Tanith.

— Zmierzam na północ z misją. Powiedz mi o jej rezultacie — polecił.

Tanith usadowiła się na skórzanej poduszce, układając szatę wokół siebie. Lekko pochyliła głowę, a jej zielone oczy zdawały się spoglądać do wewnątrz. Zaległa pełna wyczekiwania cisza; wszyscy goście przyglądali się niecierpliwie wieszczce. Hu zauważył, że pobladły jej policzki, a wokół ust pojawiły się białe obwódki.

— Żniwo będzie ogromne — szepnęła ochryple, z dziwnie nienaturalną monotonią. — Większe niż Wielki Lew się spodziewa.

Goście poruszyli się, spoglądając na siebie i szeptem wymieniając uwagi. Lannon zmarszczył brwi, rozważając zasłyszane słowa.

— Czy mówisz o żniwie śmierci? — zapytał.

— Zabierasz śmierć z sobą, ale ona powróci z tobą nie poznana i tajemnicza — odparła Tanith.

To było niepomyślne prorocstwo. Młodzi oficerowie stali się niespokojni, trzeźwiejąc szybko. Hu chciał się wtrącić. Żałował, że do tego doszło. Znał swego króla, wiedział, że nie jest on skory do wybaczenia czy zapomnienia.

— Czego muszę się obawiać? — spytał Lannon.

— Czerni — odpowiedziała natychmiast Tanith.

— Jaką znajdę śmierć? — Lannon drżał z gniewu, jego głos był gardłowy, a jasnoblękitne oczy nieruchome.

— Z ręki przyjaciela.

— Kto będzie władał Opetem po mnie?

— Ten, który zabije Wielkiego Lwa — odparła Tanith. Lannon odrzucił czarę, która roztrzaskała się o glinianą podłogę, a wino zbryzgało stopy stojącego obok niewolnika.

— Nie ma już wielkich lwów! — krzyknął. — Zabiłem ostatniego. Czy prorokujesz zagładę rodu Barka?

— To jest już szóste pytanie, panie. — Tanith podniosła wzrok. — Nie widzę na nie odpowiedzi.

— Zabierzcie ją stąd! — ryknął Lannon. — Zabierzcie stąd tę wiedźmę!

Hu dał szybko znak wielebnej matce, aby wyprowadziła dziewczynę, niewolnikowi nakazał podać nowe naczynie Lannonowi, a innemu polecił przynieść lutnię.

Po trzeciej pieśni Lannon znów się uśmiechał.

Od czasu nieszczęsnych proroctw upłynęło pięć dni i Hu musiał użyć całej siły woli, by nie posyłać wcześniej po Tanith.

Gdy weszła, wydała mu się jeszcze świeższa i piękniejsza, niż pamiętał. Kiedy towarzysząca dziewczynie kapłanka usiadła w cieniu, Hu spacerował z Tanith wzdłuż murów. Z jednej strony mijali ulice i podwórza rojne od wojska przygotowującego się do wymarszu, a z drugiej zalesione wzgórza i tarasy, gdzie krzatali się niewolnicy.

— Przekazałem wielebnej matce instrukcję, żeby odesłała cię z konwojem do Opetu. Będziesz podróżowała z żonami króla, a w Opecie zostaniesz przyjęta do zakonu Isztar i będziesz tam oczekiwać mojego powrotu.

— Tak, mój panie. — Pokorny ton nie pasował do zuchwałego spojrzenia.

Hu przystanął i zająrzył w zielone oczy dziewczyny. Z łatwością wytrzymała jego wzrok.

— Czy naprawdę masz dar widzenia, Tanith?

— Nie wiem, panie.

— A słowa, które wypowiedziałaś do króla, co one oznaczały?

— Nie wiem. Pojawiły się w mojej głowie nieświadomie. Nie potrafię ich wytłumaczyć.

Hu skinął głową i szedł dalej w milczeniu. Dziewczynę otaczała aura wzruszającej niewinności. Hu znów się zatrzymał. Dziewczyna czekała, co powie.

— Czy kochasz bogów, Tanith?

— Kocham.

— Czy wierzysz, że jestem ich wybrańcem?

— Wierzę, ojczy — odpowiedziała z takim przekonaniem, taką szczerością i szacunkiem, że Hu pozbył się powściągliwości. Nie było już wątpliwości, że Tanith była instrumentem, który mógł być wykorzystywany tak długo, jak długo korzystano by z niego umiejętnie.

— Co jest twoim przeznaczeniem, Tanith? — zapytał nieoczekiwanie.

— Nie potrafię go dostrzec — odpowiedziała, ale zawahała się i po raz pierwszy Hu wiedział, że zabrakło jej pewności. — Ale wiem, że nasze spotkanie jest jego częścią.

Hu poczuł, że rośnie w nim serce, ale jego głos brzmiał chłodno.

— Ostrożnie, dziecko. Jesteś kapłanką poświęconą bogini. Wiesz, że nie powinnaś mówić w ten sposób do mężczyzny.

Tanith spuściła wzrok, a na jej twarzy pojawiły się rumieńce. Miękkie pukle opadły na policzek, więc odgarnęła je dłonią. Hu czuł drzenie w duszy. Obecność tej dziewczyny przyprawiała go o fizyczne cierpienie, gdyż wiedział, jak wielkie jest jego pragnienie, a ona należała do bogów, była nietykalna.

— Nie igraj z bogami — przestrzegł ją srogo. Spojrzała na niego poważnym wzrokiem, ale w zielonych oczach pojawił się błysk drwiącego uśmiechu.

— Wasza świątobliwość, źle mnie zrozumiałeś. Nie miałam na myśli nas dwojga jako mężczyzny i kobiety.

— Więc o co ci chodziło? — zapytał, ukrywając rozczarowanie.

— Znajdziemy odpowiedź, gdy spotkamy się w Opecie — wyszeptwała, a Hu rozumiał, że miesiące dzielące go od tej chwili będą mijały bardzo powoli.

\* \* \*

Lannon stał nad rzeźbioną w glinie mapą okolic wielkiej rzeki. Na wschodzie wznosiły się Obłoki Baala — potężny wodospad, gdzie rzeka opadała w dół mrocznego wąwozu, tworząc ponad równiną wilgotny obłok. Tutaj rzeka zagłębiała

się w dolinę, miejsce gorące i niezdrowe. U każdego z brzegów wznosiły się nierówne kamienne wały, gęsto zalesione i zasobne w stada słońi. Sześćset mil dalej na wschód rzeka wkraczała na terytorium Drawidów i płynęła przez szerokie napływowe niziny, zalewane podczas pór deszczowych.

Lannon wskazał generałom zarysy łądu, od czasu do czasu zwracając się o potwierdzenie swoich informacji do dowódców garnizonów, którzy strzegli rzeki przez ostatni rok. Dwudziestu mężczyzn zgromadziło się w dużym skonanym namiocie, którego boki zostały podniesione, by mogło wpadać świeże powietrze, a także po to, by poszerzyć widok na dolinę.

— Nasi szpiedzy zaznaczyli tu główne osady, w których skupiają się plemiona. Większość usytuowana jest na wyżynach o dzień marszu od rzeki. Ważne, żeby wszystkie szczyty zostały zaatakowane tego samego dnia — oświadczył Lannon i przystąpił do wyznaczania zadań każdemu z dowódców, określał miejsca przekroczenia rzeki i drogi odwrotu.

— Nie będzie niebezpieczeństwa ataku podczas marszu powrotnego tak długo, na jak długo zgnieciecie ich ducha walki pierwszego dnia. Każde z plemion jest w stanie wojny z innymi, więc nie pospieszą z pomocą sąsiadom. Jedyna możliwość niepowodzenia zaistnieje wtedy, kiedy barbarzyńcy zostaną ostrzeżeni i rozproszą się, nim zdążymy uderzyć.

Wyjaśnił szczegóły planu, rozwodząc się nad drogami zaopatrzenia i trasami marszu, aż wreszcie ustalił datę ataku.

— Dwanaście dni, licząc od dziś. Da to waszym legionom czas na przebycie rzeki i dotarcie do wielkich osad barbarzyńców.

Hu poprowadził Szósty Legion Ben-Amona do garnizonu w Sett na brzegu wielkiej rzeki, gdzie rozmieścił go w lesie. Zabronił rozpalania ognisk za dnia i nakazał staranne osłanianie ich nocą, zatrudnił ludzi do budowy tratw; ulewne deszcze na zachodzie podniosły wody w rzece, wykluczając możliwość przejścia brodem.

Mago Tellema, dowódca garnizonu, był wysokim, łysiejącym mężczyzną o cerze pożółkłej w wyniku chorobliwej gorączki panującej nad brzegami rzeki. Podczas dni wyczekiwania wydawał się wzruszająco uszczęśliwiony obecnością Hu Ben-Amona, a ponieważ ten docenił wartość informacji Tellemy, każdego wieczoru zasiadali razem do stołu, który Hu zaopatrywał w wino z obfitych zapasów przywiezionych z Zeng.

— Utrzymuję patrole na utartych szlakach, tak jak nakazałeś.

— Dobrze. — Hu skinął głową znad misy z pieczoną rybą i dzikim ryżem. — Czy zauważono zwiększoną aktywność od czasu naszego przybycia?

— Nie, wasza świątobliwość. Uzbrojona kilkusetosobowa grupa przeprawiła się ostatniej nocy i zaatakowała jeden z moich posterunków. Odpędziliśmy ją, zabijając pięćdziesięciu napastników.

— Co chcą osiągnąć poprzez takie wypadki?

— Broń i oszacowanie naszej siły.

— Czy na całej długości granicy są równie aktywni?

— Nie, ojcie. Ale tutaj, w Sett, stawiliśmy czoło jednemu z najbardziej wojowniczych plemion, Vendi. Oni są wyjątkiem; przypominasz sobie, jak przed czterema laty przeszli rzekę, zawładnęli garnizonem i opuścili dolinę...

— Tak — przerwał Hu. — Byłem z legionami, kiedy stanęliśmy naprzeciw nich w Bhor.

— Ach! Oczywiście. Teraz sobie przypominam, że twój legion znalazł się na liście honorowej. Spośród tysięcy wojowników ani jeden nie powrócił za rzekę.

— Walczyli dobrze jak na pogan — przyznał Hu.

— Rzeczywiście, ojczce, są wyjątkowi pod tym względem, a przez ostatnie lata stali się jeszcze groźniejsi.

— Widziałeś ich siedzibę?

— Nie, ale mam wielu szpiegów. Znajduje się ona na pierwszym stoku północnego wzniesienia, gdzie dopływ wielkiej rzeki Kal spływa z płaskowyżu.

— Ilu liczy mieszkańców?

— Szacuję ich liczbę na pięćdziesiąt tysięcy.

— Tak wielu?! — Hu podniósł wzrok i z ustami pełnymi ryby popatrzył pytająco na komendanta.

— Są bardzo liczny plemieniem. Nie wszyscy żyją w osadzie. Hodują ogromne stada bydła, rozrzucone na wielkim obszarze.

— Czy ich siedziby są ufortyfikowane?

— To wielka i rozległa zbieranina chat, wasza świątobliwość. Niektóre są otoczone prymitywnymi palisadami, ale mającymi służyć wyłącznie jako ochrona przed dzikimi zwierzętami.

Niewolnik napełnił winem czarę kapłana i zabrał jego pusty talerz. Hu objął naczynie dłońmi i posepnie wpatrywał się w ciemnoczerwony płyn. Jego milczenie zaniepokoiło dowódcę, który wyrzucił z siebie dręczące go pytanie:

— Czy to prawda, że król przybędzie tutaj jutro?

— Tak. Lannon Hycanus weźmie udział w obławie razem z moim legionem.

— Nigdy nie byłem mu przedstawiony — mruknął mężczyzna. Hu został szczegółowo zapoznany z karierą starszego oficera skazanego na służbę w pozbawionej większego znaczenia placówce na pustyni, bez protektora i perspektyw.

— Zarekomenduję cię królowi — obiecał. W oczach mężczyzny zauważył bezgraniczną wdzięczność.

\* \* \*

Nocą na drugim brzegu stu zbrojnych i łuczników zajęło swe pozycje.

Rzeka miała w tym miejscu trzysta kroków szerokości. Toczyła swe brudnozielone wody pomiędzy trzcinami i zwartym poszyciem gęstych lasów. Tratwy zostały zniesione nad samą wodę i połączone linami. Legiony zajmowały na nich miejsca w pięćdziesięcioosobowych grupach, a słonie przechodząc brodem przeciągały tratwy na drugą stronę.

Przeprawę zorganizowano precyzyjnie — nie pierwszy raz legion pokonywał rzekę. Niemniej zdarzyło się kilka incydentów: dwaj hoplici osunęli się z tratw i utonęli, wciągnięci w głąb przez ciężar swoich zbroi; jedna z tratw wywróciła się do góry dnem, przygniatając ludzi i ich sprzęt w płytkiej wodzie, ale wszyscy dobrnęli bezpiecznie do brzegu; jeden z legionistów zaplątał się w liny, które odcięły mu rękę poniżej łokcia. Wczesnym popołudniem przeprawa została zakończona.

Lannon zwrócił się do kapłana:

— Śmiały wyczyn, Ptaku Słońca. Teraz wyjaśnij mi porządek marszu.

Hu pozostawił jedną kohortę, by strzegła przeprawy i zgromadzonych zapasów: suszonego mięsa i ziarna w skórzanych workach. Jego legion będzie znużony, głodny i być może mocno naciskany podczas powrotu, i jeżeli wszystko odbędzie się zgodnie z planem, przybędzie wiele tysięcy żołdaków do nakarmienia.

Za zasłoną lekkiej piechoty i łuczników Hu rozpoczął marsz w kierunku wielkiej barbarzyńskiej osady Kal. Teraz można było podziwiać efekty wielotygodniowych treningów i hartowania się oddziałów podczas marszu z Zeng-Hanno. Legion posuwał się szybko, w zwartej kolumnie, co godzinę pozostawiając za sobą pięć mil. Grupy zwiadowców upewniały się, czy nikt nie niesie osadzie przedwczesnego ostrzeżenia.

Pasterze, myśliwi i zbieracze korzeni napotkani po drodze zostali zgładzeni cichym deszczem strzał lub szybkimi ciosami toporów. Ich ciała leżały wzdłuż szlaku, a mozolnie wędrująca kolumna mijała je nie patrząc. Hu spostrzegł, że zabici byli ludźmi dobrze zbudowanymi. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety mieli na sobie spódniczki ze skór zwierzęcych. Na ich policzkach i klatkach piersiowych widniały blizny znamionujące przynależność plemienną. Jak u większości plemion północy, ich skóra miała bardzo ciemny, sinawy odcień. U niektórych zniekształcone zęby, z zaostrozonymi końcami, przypominały kły rekina. Mężczyźni uzbrojeni byli we włócznie i lekkie topory o ostrzach w kształcie półksiężyca.

Legion zatrzymał się o zmroku. Wojownicy posilili się zimnym mięsem i plackami z prosa, wyciągniętymi z podręcznych toreb, a nosiciele wina uwijali się wśród nich, napełniając czarki.

— Spójrz. — Hu dotknął ramienia Lannona, wskazując wzgórze na północy. Niebo lśniło bladą poświatą, jak gdyby księżyc wschodził z niewłaściwej strony. To był odbłask tysięcy ognisk.

— Bogate żniwo. — Lannon skinął głową. — Tak jak przepowiedziała wiedźma. Hu zmieszał się, skrepowany wzmianką o Tanith, ale nie odezwał się.

— Jej słowa zaniepokoiły mnie, wiele nocy spędziłem na rozmyślaniach. — Lannon otarł zatłuszczone palce i usta nim sięgnął po czarę z winem. — Ona głosi śmierć, ciemność i zdradę ze strony przyjaciela. — Przeplukał gardło winem i wypluł je na ziemię, zanim przełknął spory łyk.

— Ona nie prorokuje, wasza wysokość — mruknął Hu. — Odpowiada tylko na pytania.

— Uważam, że to ona jest złem.

— Panie! — zaprotestował Hu.

— Nie daj się omamić ładnej buzi.

— Jest młoda i niewinna... — zaczął Hu, ale widząc, że Lannon czujnie spogląda mu w twarz, urwał.

— Kim jest dla ciebie ta wiedźma?

— Jako kobieta nie znaczy nic, należy przecież do bogini — bronił się Hu, ale Lannon chrząknął z powątpiewaniem.

— To i dobrze. Jesteś bowiem mądry, mój przyjacielu, lecz nie wiesz nic o kobietach. Musisz mi pozwolić być twoim przewodnikiem.

— Zawsze jesteś łaskawy.

— Trzymaj się od niej z daleka. Przyjmij ostrzeżenie tego, który cię kocha. Ona nie da ci niczego oprócz smutku.

— Dość długo już odpoczywamy. — Hu podniósł się i poprawił topór przy pasie. — Czas ruszać!

O północy wspięli się na niskie wzgórze, tworzące pierwszy stok płaskowyżu. Przed nimi rozciągała się rozległa niecka, pośród której wiła się ciemna rzeka Kal.

Ogniska skurczyły się do drobnych plamek czerwieni. Ciemne i bezkształtne chaty, rozrzucone gęsto bez wyraźnego planu, stanowiły rozległe zbiorowisko prymitywnych domowisk.

Stojący przy kapłanie Lannon zapytał:

— Jak zamierzasz postąpić?

— Nauczyłeś mnie chwycić zwierzynę, mój panie.

Dowódcy kohort o srogich obliczach zbliżyli się po rozkazy. Hu polecił rozstawić na wschodzie zasłonę z piechoty i łuczników. W ciągu dnia zwiadowcy schwytali sporo sztuk karłowatego bydła należącego do Vendi.

— Zabierzcie bydło z sobą. Pamiętajcie o fortelu Hannibala, posłuży nam równie dobrze nad wielką rzeką.

Lannon roześmiał się ubawiony i klepnął Hu w ramię, gdy ten przedstawił swój pomysł.

— Wzleć dla mnie, Ptaku Słońca!

— Zarycz dla mnie, Wielki Lwie — odpowiedział kapłan z uśmiechem, zapinając hełm.

W ciszy powiodł swoją piechotę ku zachodowi i rozstawił ją na kształt półksiężycy na skraju lasu ponad miastem. Zasnął na godzinę, a kiedy jeden z centurionów potrząsnął nim, by go obudzić, był zeszywniały i zziębnięty.

— Na stanowiska! — rozkazał cicho.

Rozkaz pomknął dalej, przekazywany z ust do ust. Na skraju lasu zapanował ruch. Legioniści przypasywali miecze i topory, chwyтали w dłonie drewniane pałki.

Hu spojrział na uśpione miasto, pachnące dymem ognisk, gotowanym jadem i ludzkimi odchodami. Cierpka woń dużego skupiska ludzi drażniła jego nozdrza.

— Już czas — oświadczył. Lannon skinął głową.

Kapłan odwrócił się i wydał rozkaz jednemu z centurionów. Mężczyzna pochylił się nad glinianym dzbankiem, w którym tlił się ogień, i rozdmuchał płomień na wiązce zanurzonych w smole szmat, którymi okręcony był grot strzały. Kiedy na grocie wykwitł płomień, naciągnął łuk i zwolnił cięciwę. Strzała poszybowała wysokim łukiem ku mrocznemu niebu. Wzdłuż całej linii powtarzano ten sygnał. Pomarańczowe błyski wzbijały się w ciemności.

— Nie mają żadnych straży, żadnych pikiet, niczego — zauważył pogardliwie Lannon.

— To barbarzyńcy — wtrącił Hu. — Zasługują na niewolę — orzekł król.

— Będzie im się lepiej wiodło jako niewolnikom niż jako ludziom wolnym — zgodził się z nim kapłan.

— Ubierzemy ich, nakarmimy i pokażemy prawdziwych bogów. Przybyliśmy, by wyprowadzić ich z ciemności na słońce.

Od wschodu wypadło nagle zza ściany lasu stado ryczącego, oszalałego z niepokoju bydła. Na rogach płonęły pochodnie ze smoły i traw. Gnane przez własny strach i przez pohukujących wojowników, zwierzęta wlokły za sobą palące się gałęzie. Kurz, dym i płomienie tworzyły isticie piekielną scenerię. Stado wpadło do osady, powalając kruche chaty, znacząc swój ślad płomieniami, tratując oszołomionych Vendi. Za zwierzętami biegli wojownicy.

Nasilała się wrzawa, echo tysięcy przerażonych głosów, dudnienie pędzących kopyt i eksplozje żółtych płomieni. Iskry wznosiły się ku nocnemu niebu, gdy zapłonęły suche jak huba chaty.

— Zewrzeć szereg! — wołał Hu. — Nikt się tędy nie może prześlizgnąć!

Ogień rozszerzał się szybko, oświetlając widowisko rozmigotanym pomarańczowym światłem. Vendi pędzili na oślep i krzyczeli, gdy posepny szereg wojowników schodził ku nim ze wzgórz. Pałki wznosiły się i opadały, a odgłos uderzeń o kości przypominał odgłosy pracy drwali w lesie. Padali, czarni i nadzy, wśród oślepiających płomieni bądź pełzali, wijąc się i lamentując.

Jakaś kobieta, kurczowo przyciskając do piersi niemowlę, okręciła się jak spłoszony królik i popędziła w stronę stojącej w płomieniach trzciny chaty. Zapłonęła jak pochodnia i krzyknąwszy zginęła. Hu widział tę straszliwą scenę. Jego żądza krwi przygasła.

— Stop! — zawołał.

Zwolna w tym ogromnym zamieszaniu zapanował ład. Dozorcy ustawiali schwytych Vendi w długie szeregi, piechota przeczesywała osadę. Ognie dogasały, pozostawiając jedynie czarne sterty dymiącego popiołu. Nadszedł świt, krwawy i posepny, przytłumiony spowijającym wszystko dymem.

Kiedy Hu wznosił dziękczynne modły ku czci Baala, płacz i lamenty pojmanych wzniosły się ponad głosy legionu. Kapłan pospieszył przez zniszczone miasto, wydając rozkazy i organizując odwrot. Dwie kohorty pod wodzą młodego Bakmora rozpoczęły już marsz powrotny ku rzece, pędząc przed sobą ogromne stada zdobytego bydła. Bakmor otrzymał rozkaz przeprowadzenia bydła na drugi brzeg i natychmiastowego powrotu, co miało zapewnić osłonę odwrotu.

Do Hu należało skłonienie powolnej i niezdarnej kolumny niewolników do marszu. Droga, która zabrała legionowi pół dnia i część nocy, teraz musiała potrwać dwa, a nawet trzy dni. Pojmani niewolnicy zakuci w łańcuchy poruszali się wolno, opóźniając tempo marszu. A każda godzina zwłoki groziła niebezpieczeństwem, gdyż zmęczony legion nie był sprawny tak jak zwykle.

Jeden z centurionów w poczerwiał od dymu tunice i z osmaloną brodą zatrzymał Hu.

— Panie!

— O co chodzi?

— Spójrz na niewolników. Jest wśród nich bardzo niewiele młodych mężczyzn.

Hu odwrócił się i przyjrzał jednej z grup ludzi spętanych lekkimi łańcuchami, spiętymi na szyjach jak obroże.

Spostrzegł, że były to przeważnie kobiety i dzieci. Nadzorcy niewolników oddzielili już starych i niedołącznych. Tylko nieliczni mieli postawę i wiek odpowiedni dla wojowników. Hu wybrał jednego z młodzieńców o bystrym wyglądem i przemówił w jego języku:

— Gdzie są wojownicy?

Młodzieniec wyglądał na wystraszonego faktem, że napastnik zwraca się do niego w ojczystej mowie. Spuścił wzrok i nie odpowiedział. Centurion wysunął miecz z pochwy. Błysk stali sprawił, że chłopak podniósł głowę.

— Jedna kropla krwi więcej nie sprawi nam różnicy — ostrzegł go Hu.

Chłopak wahał się jeszcze przez chwilę.

— Odeszli na północ, by polować na bawoły — odpowiedział wreszcie.

— Kiedy powrócą?

— Nie wiem. — Niewolnik wzruszył ramionami.

Hu miał teraz więcej powodów do pośpiechu. Wojownicze oddziały Vendi pozostały nietknięte, a dym przyciągnie ich jak padlina sępy.

— Każ im wstawać i ruszać — polecił centurionowi i odszedł pospiesznie.

Lannon wyłonił się z kłębow dymu w towarzystwie nosicieli broni i zbrojnych. Jedno spojrzenie na jego zaczerwienioną i pochmurną twarz wystarczyło, by Hu poczuł się niepewnie.

— Czy to ty polecisz nadzorcom niewolników, by oszczędzili tych, którzy się nie nadają do transportu? — spytał król.

— Tak, panie. — Hu poczuł nagłe zniecierpliwienie złym humorem króla. W tej chwili zajmowały go znacznie ważniejsze sprawy.

— Z czyjego upoważnienia? — indagował Lannon.

— Z upoważnienia komendanta Królewskiego Legionu.

— Rozkazałem spalenie miasta.

— Ale nie masakrę starców i chorych.

— Chcę, żeby plemiona wiedziały, że przeszedł tędy Lannon Hycanus.

— Zostawiłem świadków tego wydarzenia — odrzekł kapłan. — Jeżeli starcy będą nam ciężarem, czyż nie będą także ciężarem dla swojego plemienia? — Król stanął tuż przed nim. Hu spostrzegł rosnącą w nim wściekłość. — Wasza wysokość, jest coś ważnego, o czym muszę ci powiedzieć. — Odprowadził go na stronę. — Wojownicy Vendi uszli przed nami. Stoją w polu w szyku bojowym.



Lannon zapomniał o złości.

— Są blisko?

— Tego nie wiem, ale im dłużej rozmawiamy, tym bliżej podchodzą.

\* \* \*

Minęło południe, zanim długie szeregi powłóczących nogami niewolników zostały posegregowane i ruszyły w drogę. Pomimo rozkazów utrzymywania kolumny w zwartości i porządku szeregi zakutych Vendi rozciągnęły się na ponad cztery mile. Kolumna pełzała jak okaleczona stonoga, wijąc się wśród wzgórz i pociętych rozpadlinami dolin.

Pierwszy atak nastąpił krótko po północy. Hu był zaskoczony, nie oczekiwał bowiem ze strony dzikich plemion podobnej taktyki. Może spodziewał się kilku strażników z poderżniętymi gardłami, strzał z ukrycia, szybkiego uderzenia w słabsze miejsce szeregu, ale na pewno nie nocnego ataku w pełnym tego słowa znaczeniu, ataku wyraźnie zaplanowanego i kontrolowanego.

Wyszkolenie i dyscyplina utrzymała legion razem, gdy wrogowie spadli nań z ciemności. Walka trwała przez dwie godziny, a legion zwierał szeregi przy dźwiękach trąbek wzywających do stawienia oporu.

— Do mnie, Szósty!

— Wytrwale, Szósty!

— Trzymać się, Szósty!

Kiedy wzeszedł księżyc i oświetlił pole walki, napastnicy rozplynęli się pomiędzy drzewami i Hu mógł przejść między kohortami, szacując sytuację.

W świetle pochodni żołnierze dobijali rannych szybkimi uderzeniami mieczy, podczas gdy inni układali poległych do kremacji. Hu odczuł ulgę, widząc, że legion poniósł nieznaczne straty i że napastnicy zapłacili znacznie większą cenę za decyzję ataku.

Wielu spętanych niewolników odpowiedziało na wezwanie swych pobratymców i zgodnym wysiłkiem rozerwało kwadrat, umykając w noc. Ale ponad trzy czwarte z nich pozostało, jęcząc ze strachu, głodu i pragnienia.

Legioniści rozpalili ognie kremacyjne i wzniesli modły do Baala.

Niebawem taktyka obrona przez Vendi stała się jasna. W każdym nadającym się na zasadzkę miejscu wzdłuż szlaku kryli się łucznicy i włócznicy. Starannie rozmieszczeni, wycofywali się przed atakami ciężkozbrojnych, ale skrzydła i tył kolumny były nękane przez szybko następujące po sobie ataki.

— Nigdy nie słyszałem, żeby tak postępowali — oznajmił Lannon podczas krótkiej chwili spokoju. Zdjął hełm z głowy, żeby ochłodzić przesiąknięte potem włosy i zwilżyć winem zakurzone usta. — Vendi zachowują się jak dobrze wyszkolone oddziały.

— To coś nowego — przyznał Hu, biorąc kawałek zmoczonej tkaniny z rąk jednego z nosicieli broni. Plamy zastygłej krwi pokrywały ostrze i drzewce sępiego topora, a także twarz i ręce kapłana. — Działają z rozmysłem. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby pobici wracali.

Lannon wypluł wino na ziemię.

— Nim upłynie dzień, będziemy mieli więcej rozrywki, niż to przewidywaliśmy — roześmiał się i podał czarę z winem przyjacielowi.

Było takie miejsce, w którym szlak wiódł przez wąski strumień, następnie przechodził pomiędzy dwoma symetrycznymi, zaokrąglonymi jak dziewczęce piersi wzgórzami. Wzdłuż ścieżki prowadzącej do brodu tkwiło szesnaście włóczni, na które nabito głowy legionistów z kohorty Bakmora idącej przodem i pędzącej bydło.

— Bakmor też poniósł straty — zauważył Hu, patrząc, jak współtowarzysze pospiesznie zdejmują głowy i spowijają je w płaszcze.

— Szesnastu spośród tysiąca dwustu to jeszcze nie klęska — stwierdził Lannon. — Swoją przerażającą demonstracją ostrzegli nas, że zamierzają bronić brodu. Marna to taktyka, Ptaku Słońca.

— Być może, panie — przyznał Hu, ale powstrzymał się od dalszych komentarzy, gdy dostrzegł twarze ludzi, którzy widzieli rozszarpane gardła i zamglone oczy zabitych. Znał ten chłód, który mroził im trzewia.

Tak jak przewidział król, bród był obsadzony przez Vendi. Kiedy legion usiłował go sforsować, ataki z flanki i od tyłów nie słabły. Dwukrotnie Hu wycofywał swoich wojowników i piechotę z błota brodu, dając im czas na odpoczynek i przegrupowanie. Upalny dzień wyczerpywał siły legionistów.

Lannon otrzymał cios włócznią, która rozorała mu policzek do kości; rana wyglądała groźnie. Broda króla była zlepiona krwią i kurzem. Kiedy Hu dołączył do grupy otaczającej króla, medyk zszywał właśnie wilgotne krawędzie rany.

— Będzie po tym interesująca blizna — odezwał się ranny. — Odkryłem tajemnicę Vendi, oto ona! — Wskazał szczyt najbliższego wzgórza po drugiej stronie strumienia. Znajdował się już poza zasięgiem strzał, może pięćset kroków od legionu. Chociaż zbocza porastał las, szczyt stanowił nagą kopułę zwietrzałego granitu, a na niej stała grupa mężczyzn skupionych wokół centralnej postaci.

Hu miał zapamiętać tę postać na zawsze, tak jak ją widział tego fatalnego popołudnia. Odległość nie pomniejszała tego mężczyzny jak otaczających go towarzyszy. W jakiś niezwykły sposób oddalenie przydawało tej postaci szczególnej potęgi i czyniło ją imponującą.

Był to wysoki mężczyzna, o głowę przewyższający swoich towarzyszy. Słońce lśniło na naoliwionych czarnych mięśniach jego klatki piersiowej i ramion, a głowę przystrajało wysokie przybranie z błękitnych piór, dumnie szeleszczące na wietrze. Biodra opasywała krótka spódniczka z lamparcich ogonów. Ten człowiek był królem.

— Ach! — powiedział cicho Hu, czując, że coś się w nim poruszyło, niczym wąż rozprostowujący ciało.

Na szczycie wzgórza król Vendi uczynił szeroki gest, a zaraz potem zamierzył się ostrzem ciężkiej włóczni w kierunku brodu. Była to z pewnością jakaś komenda, ponieważ od otaczającej go grupki oderwał się goniec i pobiegł w dół zbocza, niosąc zapewne rozkaz wojownikom.

— Wreszcie plemiona znalazły sobie przywódcę — stwierdził Hu. — Powinienem był domyślić się tego wcześniej!

— Schwytaj go dla mnie. Chcę go mieć! Nic innego nie jest równie ważne. — Hu usłyszał nowy ton w głosie Lannona. Zaskoczony, odwrócił się i spojrzał na swojego króla. Zrozumiał, że Lannon się boi.

\* \* \*

Starannie wybrał czas: godzinę przed zmierzchem, gdy wydłużają się cienie, a światło traci moc. Przez całe popołudnie nękał strzegących brodu, a jego główne siły spoczywały w rezerwie ukryte w gęstym lesie na brzegu potoku. Pozwolił im odpoczywać podczas popołudniowej spiekoty, pozwolił im jeść, pić i ostrzyć miecze, a sam zajął się przygotowaniami. Wybrał pięćdziesięciu najlepszych, wywołując ich po imieniu z szeregu, po czym odprowadził ich na osłonięte tyły.

Z dna garnków zeszkrobali sadzę i dolewając oliwy, wymieszali ją na gęstą czarną masę. Zabrakło mazidła, by poczernić skóry pięćdziesięciu ludzi, więc do rąk i nóg użyli błota z rzeki. Wszyscy byli zupełnie nadzy. Kiedy spinano im u gardeł łańcuchy,

zamiast żelaznych bolców użyto cienkich suchych łądyg.

— Jesteście niewolnikami, a nie legionistami — przypomniał Hu. — Biegnijcie skuleni jak niewolnicy.

Kiedy wypadli spomiędzy drzew i pognali ku rzece, ścigani przez legionistów, ostrożnie uskakiwali przed padającymi wokół strzałami. Król Vendi spostrzegł ucieczkę niewolników i posłał dwie duże grupy, by osłaniały ich przeprawę.

Na brzegu rzeki rozgorzała gwałtowna, krwawa potyczka. Korzystając z zamieszania, Hu przeprowadził swoją grupę przez bród i ukrył ją w lesie. Między drzewami znajdował się wprawdzie niewielki oddział Vendi, ale nim jego wojownicy zdali sobie sprawę z podstępu, legionieści zrzucili łańcuchy i wycięli ich w milczącym, morderczym pośpiechu.

Już nic nie dzieliło ich od wzgórza dowodzenia. Hu poprowadził zwartą grupę, kryjącą się między drzewami. Biegli szybko; błoto odpadło, splukane z ramion i nóg podczas przeprawy przez rzekę, a pot wyżłobił ścieżki w sadzy, nadając legionistom dziki wygląd.

Bitewna wrzawa nad rzeką ucichła i las pograżył się w milczeniu, gdy Hu prowadził swój oddział w górę stoku. Byli tam wartownicy, ale nie spostrzegli dziwacznych, częściowo poczernionych postaci między cieniami drzew.

Hu wydał cichą komendę:

— Teraz! Wszyscy razem!

Wypadli z lasu i popędzili w górę granitowej kopuły. Hu biegł na czele, sadząc długimi krokami jak stary pawian.

Kiedy od szczytu dzieliło ich około dwudziestu kroków, król Vendi wyczuł obecność obcych i krzyknął ostrzegawczo do swojej świty. Hu skoczył na niego jak pies rzucający się lwu do gardła. Dwaj ze straży przybocznej króla pospieszyli, by ich rozdzielić, ale kapłan lekkim ruchem nadgarstka wywinął niedbale toporem, aż ostrze świsnęło, gdy zmieniał kierunek uderzenia, i jednym ciosem zabił pierwszego strażnika, a następnie odrąbał ramię trzymające włócznię drugiemu. Osunęli się na ziemię, a on znów znalazł się przy królu.

Był to potężny mężczyzna, bodaj najroślejszy ze wszystkich, jakich Hu dotąd spotkał. Pod lśniącą czarną skórą barków i ramion rysowały się węzły mięśni. Ściągnięta na karku biegnąca ku mocnej kości szczęki były wyraźnie widoczne. Jego głowa — okrągła i łysa — przypominała wygładzony przez rzeczne fale głaz.

Wyszedł Hu na spotkanie, lekko pochylony, trzymając włócznię, której żadne krwi ostrze celowało w brzuch napastnika. Poruszał się szybko jak lampart, natychmiast odpowiadając na atak. Hu wyczuł jego dziką siłę i energię. Powstrzymał szarżę, instynktownie odskakując w bok i ostrze królewskiej włóczni ugodziło puste miejsce.

Potężny Murzyn chrząknął i uderzył jeszcze raz, ale Hu znów uskokzył. Prostując się wysunął błyskawicznym gestem uzbrojone ramię i zakończone kolcem ostrze rozoroło odsłonięte żebra giganta. Czarna skóra rozwarła się na mgnienie i nim przysłonił je gwałtowny napływ ciemnej krwi, odsłoniła białe kości. Król zawył, mierząc na oślep w tańczącą przed nim nieuchwytną postać. Uderzenia stawały się coraz bardziej chaotyczne, ataki coraz częściej mijały się z celem, a Hu wciąż prowokował króla, wyczekując chwili odpowiedniej na ponowienie napaści. Wreszcie nadeszła i Hu przedostał się przez wirujący krąg włóczni. Wycelowawszy ostrzem topora w pachwinę olbrzyma, zatopił stal w mocnym cieple o pół cala za daleko w prawo, powalając króla tylko na kolano. Odskokzył, unikając bezpośredniego zwania. Ostrze topora poszybowało do morderczego ciosu w okrągłą czarną czaszkę, ciosu, który miał ją rozłupać.

— Na Baala! — krzyknął nagle Hu i zmienił kierunek uderzenia. Nigdy nie

dociekł, jaki impuls sprawił, że się zawahał, że obrócił broń i wyhamował impet ciosu, tak że o czaszkę króla huknęła boczna strona ostrza, z siłą wystarczającą, by powalić go bez zmysłów na ziemię, ale zbyt małą, by strzaskać kości. Szybkie spojrzenie upewniło Hu, że świta królewska leży bez życia na granitowej kopule. Natomiast legionieści skupili się dookoła swego wodza i odpoczywali wsparci na okrwawionych mieczach. Widać było, że zaskoczenie Vendi było kompletne.

Hu odwrócił się i wbiegł na najwyższy punkt wzniesienia. Nagi i brudny od sadzy i błota, zaczął wywijać toporem nad głową, otoczony wiwatującym i potrząsającym bronią oddziałem. Od strony brodu dobiegł ich dźwięk trąbki wzywającej do ataku. Zew został podjęty i przekazany od kohorty do kohorty.

Hu zobaczył Lannona, wiodącego pierwszą falę przez bród. Legion wgrzył się w szeregi pozbawionych przywódcy obrońców, przebił się, rozbijając ich i spychając zdeorganizowany motłoch z powrotem na wzgórze. Widzieli, co stało się z królem, i opuścili ich duch walki.

Ze szczytu wzgórza Hu obserwował Lannona, gdy ten w najbardziej odpowiednim momencie posyłał do walki dwie ostatnie, trzymane dotąd w rezerwie, kohorty. Dokończyły one pogromu. Porzucając broń, Vendi rzucili się do ucieczki w przesmyk pomiędzy wzgórzami.

W tej samej chwili młody przystojny Bakmor ze swymi dwiema kohortami, które pędziły schwyte bydło, wymaszerował z lasu. Powrócił w samą porę; Hu przyglądał się z uznaniem, jak wydaje swym ludziom polecenia. Kiedy słońce dotknęło czerwonopurpurowego horyzontu, trąbki jeszcze raz ogłosiły natarcie. Rzeź i chwywanie jeńców trwały do późnej nocy.

\* \* \*

Hu przeprowadził swój legion i czeredę oszołomionych niewolników pod Sett, używając holowanych przez słonie tratw. Po bitwie nad brodem marsz powrotny odbył się już bez przeszkód. Vendi zostali pokonani, wszyscy wodzowie zabici lub pojmani. Lannon tryumfował.

— Mój Ptaku Słońca! — powiedział. — Zrobiłeś więcej, niż prosiłem. Nawet ja nie domyślałem się, jak niebezpieczny wróg wyrósł w obrębie moich granic.

Gdybyśmy dali mu jeszcze rok, tylko bogowie wiedzą, jak groźny mógł się stać.

— Baal obdarzył mnie swoim uśmiechem — powiedział skromnie Hu.

— Tak jak i Lannon Hycanus — zapewnił go król. — Jakie zebraliśmy żniwo? Czy stary Rib-Addi zakończył już rachunki?

Mam nadzieję, panie.

— Poślij po niego — polecił Lannon.

Rib-Addi nadszedł ze swymi zwojami, z poplamionymi palcami, zerkając niepewnie. Odczytał listę bydła i niewolników sklasyfikowanych przez nadzorców.

— Ceny spadną, panie — oświadczył pesymistycznie. — Inne legiony też zebrały wielkie łupy wśród szczepów po drugiej stronie rzeki. Miną dwa albo trzy lata, nim targowiska w Opecie wchłoną tak wielkie bogactwo.

— Niemniej jednak łup zdobyty przez Szósty Legion Ben-Amona musi być znaczny?

— Tak jak mówisz, panie.

— Jak wielki? — spytał Lannon. Rib-Addi rozglądał się zaniepokojony.

— Mogę tylko podzielić się swymi domysłami, wasza wysokość.

— Więc spróbuj — zachęcił go Lannon.

— Nie więcej niż dwadzieścia pięć tysięcy palców, ale nie mniej niż...

— Wyczułbyś łažno nawet w alabastrowym dzbanie z pachnidłami! — złażał go

Lannon. — Nie mów mi o dolnych wartościach.

— Jak mój pan sobie życzy. — Stary człowiek pochylił głowę.

Lannon odwrócił się do przyjaciela i klepnął go w ramię.

— Twój udział wynosi jedną setną, Ptaku Słońca. Dwieście pięćdziesiąt palców. Jesteś nareszcie bogatym człowiekiem. Jak się teraz czujesz?

— Nie przyprawia mnie to o mdłości — uśmiechnął się Hu, a król roześmiał się głośno.

— Zapisz w swojej księdze, stary człowieku. Zapisz, że Lannon Hycanus zrzeka się połowy swego udziału w łupie i odstępuje go w nagrodę dowódcy legionu, Hu Ben-Amonowi, za jego zasługi podczas kampanii.

— Panie, to stanowi jedną dwudziestą — sprzeciwił się porywczy Rib-Addi. — Ta nagroda przekracza tysiąc palców! — Rachmistrz zamierzał protestować dalej, ale spostrzegł wyraz twarzy króla. — Zostanie zapisane — wymruczał więc tylko.

Hu w geście wdzięczności opadł na kolana przed Lannonem.

— Wstań! — rozkazał król z uśmiechem. — Nie płaszcz się przede mną, stary przyjacielu.

Hu podniósł się zatem i stanął u boku Lannona, gdy wywoływał on oficerów, którzy wyróżnili się w walce, i wyznaczał im nagrody.

Hu nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Jest bogaty — bogaty! Musi złożyć ofiarę bogom w podzięcie za ten szczególny dzień. W najgorszym razie — białego byka. Jak zaznaczył Rib-Addi, rynek zostanie zalany i Hu będzie mógł zdobyć zwierzę bardzo tanio. Nagle uświadomił sobie, że już nie musi oszczędzać.

Mógł pozwolić sobie na każdy luksus, jakiego niegdyś pożył, i jeszcze wystarczy na zakup posiadłości w ogrodach Zeng, jak również na udział w jednej z handlowych galer Habbakuka Lala. Złoto zapewni mu też miejsce w jednym z syndykatów władających kopalniami kruszcu, gwarantując stały dochód do końca życia. Koniec z łąkami na tunikach! Koniec z nakłanianiem domowników do ograniczenia mięsa! Koniec z tanimi, kwaśnymi winami z portowych tawern!

I nagle serce drgnęło mu z radości. Koniec z poleganiem na gościnności Lannona i dobrej woli jego młodych niewolnic! Będzie miał swoją własną! Nie. Dwie, trzy! Młode, piękne i uległe. Poczul dreszcz. Będzie mógł pozwolić sobie również na żonę. Nawet córki z wysokich rodów przymkną oczy na jego garb, oszołomione stosem złocistego metalu.

Wtem pomyślał o Tanith, a niewolnice i żony rozmyły się w mgłach wyobraźni. Kapłanka Isztar poświęcona była bogini, nigdy nie zostanie jego żoną. Hu raptem przestał czuć się bogaty.

— Nie słuchasz, co mówi do ciebie twój król? — zapytał Lannon.

Hu otrząsnął się z zamyślenia.

— Marzyłem, panie. Wybacz.

— Nie musisz już więcej marzyć — powiedział Lannon.

— O co pytałeś, Wielki Lwie?

— Powiedziałem, że powinniśmy posłać po barbarzyńcę. Możemy z nim poigrać, nim zgromadzą się legiony.

Hu spojrzął po swoich kohortach ustawionych w szeregach przed skórzaną osłoną, pod którą zasiadał król. Sztandary legionu błyszczały w słońcu, a oficerowie stali w swobodnych postawach przed swoimi ludźmi. Czekali pełni nadziei. Hu westchnął.

— Jak Wielki Lew sobie życzy.

— Wydaj rozkaz — zakomenderował Lannon.

Skuto łańcuchami przeguby i kostki pojmanego, podobnie jak gardło. Nadzorcy niewolników czuli groźną siłę emanującą z ciała czarnego człowieka; dwóch z nich dzierżyło łańcuch przykuty do obroży więźnia.

Jego skóra wydawała się teraz jeszcze ciemniejsza. Był młodym mężczyzną. Zaskoczony Hu stwierdził, że uznał go za mężczyznę w kwiecie wieku, ale było to złudzenie. Potężnie zbudowane ciało i władcza postawa czyniły króla Vendi starszym, niż był w rzeczywistości.

Hu spostrzegł, że zmagał się on z więzami, rozdzierając własne ciało, kalecząc skórę o nieustępliwe żelazne kajdany. Rana w pachwinie została już opatrzona korą i liśćmi. Przez opatrunek przesączała się wodnistożółta wydzielina. Chociaż olbrzym utykał, chociaż łańcuchy brzęczały urągliwie przy każdym jego kroku, chociaż nadzorcy niewolników ściągali więzy, jakby był schwytanym zwierzęciem, nie ulegało wątpliwości, że człowiek ten jest królem.

Stanął przed Lannonem i lekko skłonił głowę. W jego oczach błyszczało okrucieństwo; białka były brudnożółte, pokryte siateczką żyłek. Spojrzał na zdobywców z niemal namacalną nienawiścią.

— Czy to ty pojmałeś to wielkie czarne zwierzę, Hu? — Lannon wytrzymał wzrok olbrzyma. — Bez niczyjej pomocy, sam go schwytałeś? — Lannon potrząsnął głową ze zdumieniem i odwrócił się do kapłana, ale Hu obserwował króla Vendi.

— Jak ci na imię? — zapytał cicho.

Murzyn odwrócił się ku niemu, wbijając w jego oczy dziki wzrok.

— Skąd znasz język Vendi?

— Znam wiele języków. Kim jesteś?

— Manatassi, król Vendi.

Hu przełożył jego słowa Lannonowi.

— Powiedz mu, że już nie jest królem — warknął Lannon.

Manatassi wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Nawet jego uśmiech był przerażający, bo chociaż grube purpurowe wargi rozchyliły się, ukazując mocne białe zęby, to oczy wciąż zasnuwała mgła nienawiści.

— Wiele tysięcy wojowników Vendi nadal uważa mnie za króla — odparł.

— Niewolniczy król niewolniczego ludu — zaśmiał się Lannon, po czym zwrócił się do kapłana. — Co z nim zrobimy, Hu? Czyż nie jest niebezpiecznym wrogiem? Możemy sobie pozwolić na zachowanie go przy życiu?

Kapłan zastanowił się nad pytaniem. Usiłował myśleć logicznie, co jednak przychodziło mu z trudem. Poczuł nagłe i przemożne zainteresowanie Manatassim. Był pod wrażeniem jego siły i postawy, wojskowych umiejętności, przebiegłości i pomysłowości oraz tłęcej się w jego oczach niepojętej niesamowitości. On go pojmał i miał do niego prawo większe nawet niż prawo Lannona. Czuł silną pokusę, by z tego prawa skorzystał, wyczuwał bowiem nadzwyczajną sposobność. Zabrać tego człowieka ze sobą, nauczać go, cywilizować — kimże mógłby się stać! Poczuł podniecenie związane z taką perspektywą.

— Myślę, że nie — odpowiedział sam sobie Lannon. — Od pierwszej chwili, gdy go ujrzałem na szczycie wzgórza, wiedziałem, że jest niebezpieczny. Śmiertelnie niebezpieczny. Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli pozwolić mu żyć. Będzie znakomitą ofiarą dla bogów. Poświęcimy go Baalowi i wyślemy z posłaniem naszego dziękczynienia za rezultat kampanii.

— Panie! — Hu zniżył głos, by nie usłyszał go nikt poza królem. — Mam przecucie dotyczące tego człowieka. Wiem, że mógłbym go oświecić, zapoznać z prawdziwymi bogami. Jest młody, panie, mógłbym nad nim popracować, a gdy będzie gotowy, zwrócimy go jego ludowi.

— Czy ptaki wydziobały twój mózg?! — Król spojrział na kapłana ze zdumieniem. — Dlaczego mielibyśmy zwracać go jego ludowi, skoro tyle wysiłku kosztowało nas pojmanie tego olbrzyma?

— Wykorzystamy go jako sojusznika. — Hu desperacko starał się przekonać

króla do swojej idei. — Poprzez niego możemy zawrzeć traktat z plemionami. Możemy go pozyskać i wykorzystać do zapewnienia bezpieczeństwa północnych granic.

— Traktaty z barbarzyńcami! — Lannon był zły. — Cóż to za nonsens? Zapewnić bezpieczeństwo północnych granic, powiadasz? Jedno i tylko jedno zapewni im bezpieczeństwo: ostry miecz w silnej dłoni!

— Panie, wysłuchaj mnie, proszę.

— Nie, Hu. Nie zniosę tego więcej. On musi umrzeć, i to szybko. — Lannon podniósł się. — Dziś o zachodzie. Przygotuj się na to. — I odszedł.

— Wydać rozkaz do rozejścia się — polecił kapłan swoim dowódcom i ruchem głowy nakazał nadzorcom niewolników odprowadzić pojmanego. Ale Manatassi zrobił krok do przodu, ciągnąc dozorców za sobą.

— Wysoko urodzony! — zawołał.

Hu odwrócił się, zaskoczony. Nie oczekiwał, że więzień zwróci się do niego z takim szacunkiem.

— Czego chcesz? — Spojrzał na niego pytająco.

— Czy to śmierć? — zapytał Manatassi.

— Śmierć.

— Ale wstawiałeś się za mną? — nalegał Vendi. Hu kiwnął głową.

— Dlaczego? — dopytywał się Murzyn.

Hu nie potrafił odpowiedzieć. Rozłożył ręce w geście znużenia i niepewności.

— To już drugi raz. Najpierw odwróciłeś ostrze, które powinno było zabić, a teraz ujmujesz się za mną. Dlaczego?

— Nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić.

— Czujesz więź. Więź, która nas łączy — oznajmił Manatassi. Zniżył głos. — Więź dusz. Wyczuwasz ją.

— Nie. — Hu potrząsnął głową i pospieszył do swojego namiotu.

Przez większą część popołudnia pracował nad zwojami, rejestrując przebieg kampanii, opisując spalenie osady Vendi i walkę, wyliczając bitewne zaszczyty i pojmanych niewolników, łupy i chwałę, ale nie mógł zmusić się do opisania Manatassiego. Ten człowiek miał wkrótce umrzeć, niechaj więc pamięć o nim umrze razem z ciałem, niech nie trwa dłużej i nie prześladowuje żyjących. Powróciło wspomnienie słów Lannona: „czarne zwierzę” — tylko tym imieniem nazywał on skazanego króla.

Posiłek Hu zjadł w towarzystwie Bakmora i kilku innych młodych oficerów, ale jego ponury nastrój udzielił się współbiesiadnikom i posiłek zamienił się w męczarnię, a rozmowy były błahe i z trudem podtrzymywane. Później spędził godzinę ze swoim adiutantem i kwatermistrzem, omawiając sprawy legionu, po czym ćwiczył z toporem, aż jego ciało spłynęło potem. Umył się i namaścił, przebrał w uroczyste szaty i poszedł do namiotu Lannona.

Trwała tam narada; grupa doradców i urzędników króla siedziała w półkolu na skórach i poduszkach. Król podniósł głowę, uśmiechnął się i skinął na przyjaciela.

— Usiądź przy mnie, Ptaku Słońca. Potrzebna mi twoja rada.

Hu usiadł i zaczął przysłuchiwać się słowom Lannona kierującego sprawami czterech królestw z wnikliwą i śmiałą logiką. Podejmował decyzje, których konieczność rozpatrzenia dręczyłaby kapłana przez całe dni, a on nie miewał żadnych wątpliwości czy chwil wahania.

Wreszcie król odprawił dwór i zwrócił się do przyjaciela:

— Wychył ze mną czarę wina. Minie wiele dni, zanim znów trafi się nam ku temu okazja, ponieważ rankiem cię opuszczam.

— Dokąd się udajesz, panie?

— Wracam spiesznie do Opetu. Zostawiam ciebie, twoich niewolników i stada, byś zrobił z nich użytek.

Wypili razem, wymieniając na pozór swobodne uwagi starych przyjaciół, ale Hu manewrował tak, by skierować rozmowę na Manatassiego. W końcu desperacja pchnęła go do bezpośredniego wystąpienia.

— Król Vendi, panie. — Nie powiedział nic więcej, ponieważ Lannon cisnął czarą o ziemię.

— Wystawiasz na próbę naszą przyjaźń! Zatwierdziłem wyrok śmierci. Z wyjątkiem uderzenia topora sprawa jest zamknięta.

— Wierzę, że to pomyłka.

— Pozwolić mu żyć będzie znacznie większą pomyłką.

— Panie...

— Dość, Hu! Dość, powiadam! A teraz wyjdź i przystąp do ofiary.

\* \* \*

O zachodzie przywieźli króla Vendi na nadrzeczny plac, poniżej murów garnizonu w Sett. Miał na sobie płaszcz ozdobiony symbolami Baala i symboliczne łańcuchy ofiarne. Hu stał w gronie kapłanów i wielmożów. Straszliwe oczy Manatassiego zdawały się niemal wczepiać w ciało kapłana i wywlekać z niego duszę.

Hu rozpoczął rytuał, oddając pokłon płomiennemu wizerunkowi boga na zachodnim niebie, przez cały czas czując na sobie nieustępliwy wzrok więźnia.

Pomocnik kapłana wręczył mu sępi topór, wypolerowany i lśniący czerwienią i złotem w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Hu podszedł do Manatassiego.

Nadzorca niewolników postąpił do przodu i zdjął płaszcz z ramion ofiary. Obnażony olbrzym był imponujący. Z jego stóp zdjęto surowo wykonane sandały. Nadzorca czekał, trzymając w dłoniach łańcuch. Na sygnał kapłana szarpnięciem zbije ofiarę z nóg i rozciągnie ją na ziemi, odsłaniając kark.

Hu zawahał się, nie mogąc się zmusić do wydania rozkazu, zafascynowany spojrzeniem dzikich żółtych oczu. Z wysiłkiem oderwał od nich wzrok i spojrzał na ziemię. Wznosząca się dłoń zastygła w bezruchu. Hu wpatrywał się w odsłoniętą stopę Manatassiego.

Obserwatorzy poruszyli się niespokojnie, spoglądając w stronę horyzontu, gdzie słońce zapadało szybko za wierzchołki drzew. Wkrótce będzie za późno.

Hu wciąż patrzył na stopy pojmanego Vendi.

— Słońce zachodzi, kapłanie. Uderzaj! — zawołał ostro Lannon. Głos przepełniony gniewem zdawał się budzić kapłana.

Odwrócił się w stronę Lannona.

— Panie, jest coś, co musisz zobaczyć.

— Słońce zachodzi! — krzyknął niecierpliwie Lannon.

— Musisz to zobaczyć — nalegał Hu. Lannon podszedł energicznie i stanął obok.

— Spójrz! — Hu wskazał stopy króla Vendi.

Były one monstrualnie zdeformowane, głęboko rozdzielone pomiędzy palcami, tak że upodabniały się do szponów jakiegoś niespotykanego ptaka. Lannon mimowolnie cofnął się o krok, obiema dłońmi czyniąc znak słońca, by odzegnać zło.

— Ma ptasie stopy — oznajmił Hu. — Ma stopy świętego Ptaka Słońca Baala.

Od strony obserwatorów dobiegi szmer pomruków. Wyciągali szyje z zabobonna ciekawością.

Hu podniósł głos:

— Ogłaszam, że ten człowiek został naznaczony przez bogów. Jest ich ulubieńcem i nie może być złożony w ofierze.



Kiedy mówił, słońce zapadło za krawędź świata, a w powietrzu pojawił się chłód i wilgoć.

\* \* \*

Król kipiał ze złości. Jego usta i policzki zbieleły, co wyraźnie podkreśliło szramę na policzku.

— Sprzeciwiłeś mi się! — Mówił cicho, ale jego głos drżał z wściekłości.

— On jest naznaczony przez bogów!

— Nie próbuj zasłaniać się swoimi bogami, kapłanie. Obaj dobrze wiemy, że wiele wyroków Baala podejmowanych jest przez Hu Ben-Amona i dla Hu Ben-Amona.

— Wasza wysokość... — Kapłan z trudem chwycił powietrze, słysząc to straszliwe pomówienie.

— Sprzeciwiłeś mi się! — powtórzył Lannon. — Chcesz umieścić tego barbarzyńcę poza moim zasięgiem, zamierzasz wykorzystać przeciw mnie swoją siłę i wpływy.

— To nieprawda, panie. Nie ośmieliłbym się.

— Ośmieliłbyś się, kapłanie. Ty miałbyś śmiałość wyrwać ząb z paszczy żywego lwa, gdybyś miał taki kaprys.

— Panie, jestem twoim prawdziwym, lojalnym...

— Ostrożnie, kapłanie. Ostrzegam cię. Wzlatujesz wysoko ponad czterema królestwami, ale pamiętaj zawsze, że czynisz to wyłącznie dzięki mojej łasce. Ja, który cię wyniosłem, jestem władny równie łatwo stracić cię w dół.

— Wiem o tym, panie — powiedział pokornie Hu.

— Więc oddaj mi tego barbarzyńcę — zażądał Lannon.

— On nie jest mój, panie. On należy do bogów.

Król wydał z siebie wściekły ryk. Złapał ciężką amforę z winem i cisnął nią w kapłana. Hu uchylił się zwinnie.

Amfora uderzyła o skórzaną ścianę namiotu, wytraciła impet i spadła na ziemię nie tłukąc się. Wino wypłynęło i wsiąkło w suchy grunt.

Lannon poderwał się na równe nogi. Jego zaciśnięte pięści zawisły nad kapłanem, ramiona napięły się mocno. Jasnoniebieskie oczy błyszczały groźnie, a gęste włosy podrygiwały, gdy gniewnie wywijał pięściami przed nosem Ben-Amona.

— Idź! — powiedział zduszonym głosem. — Odejdź szybko... zanim... zanim ja...

Hu nie czekał na dalszy ciąg.

\* \* \*

W towarzystwie straży przybocznej Lannon Hycanus opuścił Sett. Hu z murów garnizonu obserwował wymarsz. Czuł się samotny i bezbronny, pozbawiony królewskiej łaski.

Przyglądał się niewielkiej grupie maszerującej pomiędzy szeregami legionu. Lannon, odziany jedynie w lekką tunikę, z odsłoniętą rudą głową, lśnił w porannym słońcu jak płomień latarni morskiej. Za nim podążali nosiciele broni dźwigający jego hełm i zbroję, łuk, miecz i oszczepy. Przy królewskich stopach kręcił się mały myśliwy, Buszmen Khai, cień władcy.

Legion pozdrowił Lannona. Zadzźwięczały głosy odbite od stoków wzgórz, gdy Lannon przekraczał bramę. Wyższy niż otoczenie, uśmiechał się dumny i piękny.

Spojrzał w górę i spostrzegł kapłana na murach. Uśmiech zmienił się w spojrzenie gniewne i zawzięte. Wymaszerował za bramę i ruszył drogą ku południu, biegnącą przez przełęcz i ponad wzgórzami, do środkowego królestwa.

Hu spoglądał za nim, póki nie skrył go las; następnie zszedł z murów i skierował

się do namiotu, gdzie na posianiu z suchych traw leżał niewolniczy król.

We wzrastającym upale poranka jego rany cuchnęły odrażającym odorem bagiennym.

Jedna ze starych niewolnic myła go chłodną wodą, próbując obniżyć gorączkę. Spojrzała na wchodzącego kapłana i w odpowiedzi na jego pytanie potrząsnęła tylko głową. Hu przykucnął przy sienniku i dotknął skóry Murzyna. Była sucha i gorąca jak płomień, a z gardła Manatassiego dobywały się jęki i oderwane słowa.

— Poślij po nadzorcę niewolników — polecił Hu nerwowo służebnej. — Niech zdejmie z niego te łańcuchy.

Był to zdumiewający widok: gorączka trawiła potężne czarne ciało, pod skórą zarysowywały się kości, twarz zapadała się, a skóra zdawała się sucha i pylista.

Nabrzmiała rana w pachwinie była gorąca i twarda. Z każdą godziną nieustępliwa dotąd wola życia nieustraszonego wojownika wydawała się słabnąć, jego ciało stawało się coraz gorętsze, a rana wciąż puchła.

W południe drugiego dnia Hu opuścił obóz i wspiął się na wysokie zbocze, gdzie mógł być sam ze swoim bogiem. Tutaj, w dolinie wielkiej rzeki, obecność boga słońca zdawała się przenikać wszystko, a jego gorące, życzliwe oblicze wręcz przygniatało. Wydawało się, że wypełnia całe niebo i uderza o ziemię jak młot o kowadło.

Hu odśpiewał modlitwę, ale uczynił to niedbale, niewyraźnie mamrocząc ostatnie wersy, ponieważ był zły na swoich bogów i pragnął, by odczuli to niezadowolenie.

— Wielki Baalu! — Pominął kwieciste tytuły, szybko przechodząc do zasadniczego tematu. — Postępując w myśl twoich oczywistych wskazówek, ocaliłem jednego z tych, którzy noszą twój znak. Chociaż nie zamierzam się skarżyć, chcę, byś wiedział, że nie było to łatwe zadanie. Poniosłem poważną ofiarę. Osłabła łaska króla, jaką obdarzał on wielkiego kapłana Baala. Nie myślę o sobie, naturalnie, ale jedynie o swoich wpływach jako twojego pośrednika i sługi.

Powiedział to z upodobaniem, co musiało zwrócić uwagę bogów. Czuł się w pełni usprawiedliwiony. Nastął już najwyższy czas, by poruszyć pewne kwestie i ustalić wzajemne powinności.

— Wiesz od dawna, że żaden z twoich rozkazów nie jest zbyt trudny do wykonania, że każdy ciężar, jaki kładziesz na moje barki, dźwigam z wdzięcznością, ponieważ zawsze byłem pewny twojej mądrości i woli. — Przerwał, by nabrać tchu i zastanowić się. Był zły, ale nie wolno było pozwolić, żeby gniew ujawnił się w mowie. Obraził króla, ale lepiej, by nie obrażał bogów. Pospiesznie stonował więc ostatnie słowa.

— Ale jeśli chodzi o tego naznaczonego barbarzyńcę, nie mam tej pewności. Ocaliłem go wysokim kosztem własnym. Czy twoim zamiarem jest pozwolić mu umrzeć? — Znów przerwał, pozwalając, by puenta zapadła w pamięć bogów.

— Proszę cię teraz z największą pokorą, byś zdradził swe zamiary zawsze oddanemu i posłusznemu słudze. — Jeszcze raz przerwał. Czy powinien ośmielić się użyć mocniejszych słów? Zdecydował, że nie.

Rozpostarł ramiona, czyniąc znak słońca, i odśpiewał modlitwę do Baala najpiękniej, jak potrafił. Dźwięk jego głosu rozbrzmiewający słodko w bezwietrznej, rozpalonej ciszy pustkowia musiał bogów poruszyć.

Kiedy ostatnia czysta nuta rozplynęła się w rozpalonym powietrzu, Hu zszedł do obozu i brązowym lancetem przeciął opuchliznę wokół rany Manatassiego. Pograżony w omdleniu chory krzyknął z bólu, gdy trucizna trysnęła z rany gęstym strumieniem o przykrej woni. Kapłan obłożył otwartą ranę gotowanym ziarnem zawiniętym w czystą tkaninę.

Do wieczora gorączka spadła i Manatassi zapadł w niespokojny, ale naturalny sen.

Hu stał nad nim i z uśmiechem kiwał głową. Uszczęśliwiała go świadomość zwycięstwa, wyrwania wycieńczonego olbrzyma z mrocznych szczęk śmierci. Zalała go duma, a gdy niewolnica przyniosła wypełniony po brzegi puchar przedniego wina Zeng, uniósł go, salutując śpiącemu olbrzymowi.

— Bogowie mi cię oddali. Jesteś mój. Będziesz żył pod moją opieką. Piję twoje zdrowie. — I osuszył puchar.

\* \* \*

Słabość ciała przytłaczała go, nie pozwalając opuścić twardego postania. Próbował unieść głowę albo rękę, nienawidząc się za to, że ciało zawodzi. Wolno przekręcił głowę i otworzył oczy.

Po przeciwnej stronie namiotu, na macie ze splecionych trzcin, siedział dziwny człowieczek. Manatassi przyjrzał mu się z zainteresowaniem. Mężczyzna pochylał się nad zwojem lśniącego metalu, uformowanego w cienki giętki płat, i końcem noża rył znaki na jego miękkiej powierzchni. Spędzał wiele godzin pochłonięty tym nie znanym Vendi zajęciem. Manatassi obserwował mężczyznę, dostrzegając szybkie, nerwowe, jakby ptasie poruszenia głowy i rąk, które wprawiały w ruch złote kolczyki i grube sploty włosów na plecach.

Jego głowa wydawała się zbyt duża w stosunku do zgarbionego ciała, nogi i ręce były długie i mocne, a przedramiona i wierzchy dłoni pokrywały ciemne włosy. Manatassi przypomniał sobie szybkość i siłę tego człowieka w walce. Nieznacznie uniósł głowę i spojrzał na płócienne bandaże spowijające mu podbrzusze.

Hu spostrzegł ruch chorego i podszedł do siennika. Pochylił się nad jeńcem i obdarzył go uśmiechem.

— Śpiz jak świeżo nakarmione niemowlę — powiedział. Manatassi spojrzał zdziwiony, że ten człowiek powążył się na tak obraźliwe słowa wobec króla Vendi i jeszcze uśmiechał się przy tym.

— Aia, przynieś jedzenie — zawołał Hu, sadwiąc się na poduszkach obok postania.

Jedząc z ogromnym apetytem, Manatassi niewiele uwagi poświęcał na słuchanie zabawnych opowieści garbusa o księżycu jako bladolicyj kobiecie. Dziwił się, że doświadczony wojownik może być tak naiwny. Wystarczyło przecież spojrzeć na księżyc, żeby zobaczyć, iż jest plackiem z prosa, nadgryzionym przez jedyne wielkiego boga Mitasi-Mitasi, którego ślad zębów był wyraźnie widoczny w postaci wycięcia w kolistym kształcie.

— Pojmujesz to? — zapytał Hu, a Manatassi odparł gorliwie:

— Pojmuję, wysoko urodzony.

— Wierzysz w to? — nalegał kapłan.

— Wierzę. — Udzielił odpowiedzi, która, jak przypuszczał, powinna spodobać się pytającemu.

Hu skinął radośnie głową. Jego wysiłki, by nauczać niewolniczego króla, były sownie nagradzane. Pieczołowicie objaśnił mu teorię symbolicznych wyobrażeń, dowodząc, że księżyc nie jest samą Isztar, a jedynie jej symbolem, wyobrażeniem, znakiem i obietnicą. Wyjaśnił zanikanie i ponowne pojawianie się księżycy jako symboliczne ujarzmianie kobiety przez mężczyznę, odzwierciedlane w kobiecych słabościach miesięcznych.

— A teraz o wielkim bogu Baalu — rzekł Hu. Manatassi westchnął w duchu. Wiedział, co teraz nastąpi.

Ten dziwny człowiek będzie opowiadał mu o dziurze na niebie, przez którą Mitasi—Mitasi pojawia się i odchodzi. Będzie usiłował przekonać go, że bóg jest

człowiekiem z falującą czerwoną brodą. Cóż za przekorni ludzie z tych bladych jak duchy istot! Z jednej strony dysponują bronią, mają odzież i wspaniałe posiadłości, a także wielkie doświadczenie w sprawach wojskowych i cywilnych. Widział ich w walce i przy pracy, a ich umiejętności zadziwiły go. Jak to możliwe, że ci sami ludzie nie potrafią pojąć prawd oczywistych dla Vendi?

Pierwsza świadoma myśl Manatassiego, gdy wynurzył się z oparów gorączki, dotyczyła ucieczki. Ale teraz, zmuszony przez słabość do pozostania wśród tych dziwnych ludzi, miał czas, by zmodyfikować swoje plany. Był tu bezpieczny. Przygarbiony karzeł dzierżył jakąś dziwną władzę, a on znajdował się pod jego opieką. Manatassi wiedział, że nikt nie ośmieli się go tknąć, jak długo jego nowy pan ochrania go swoją tarczą.

Drugą rzeczą, którą zrozumiał, było to, że może się tu wiele nauczyć. Jeśli zdołałby przyswoić sobie umiejętności i wiedzę tych ludzi, zdobyłby niesłychaną broń. Stałby się największym wodzem, jakiego kiedykolwiek posiadały plemiona. Wrogowie wykorzystali swoje umiejętności, by zadać mu klęskę, on z kolei zada im cios dzięki tym samym umiejętnościom.

— Czy rozumiesz? — pytał z przejęciem Hu. — Czy rozumiesz, że Baal jest panem całego nieba i ziemi?

— Rozumiem — powiedział Manatassi.

— Czy uznajesz Isztar i wielkiego Baala za bogów?

— Uznaję — zgodził się Manatassi. Kapłan wyglądał na bardzo zadowolonego.

— Uczynili na tobie swój znak; powinienesz zostać poświęcony służbie im. Kiedy dotrzemy do miasta, odprawię ceremonię w świątyni Wielkiego Baala. Wybrałem też dla ciebie imię; nie będziesz dłużej używał starego.

— Jak sobie życzysz, wysoko urodzony.

— Odtąd nazywać się będziesz Timon.

— Timon. — Niewolniczy król powtórzył zgodnie swe nowe imię.

— To imię nosił kapłan i wojownik, który żył za panowania piątego Wielkiego Lwa. Był wielkim człowiekiem.

Timon skinął głową, nic nie rozumiejąc, lecz patrząc uważnie i ucząc się.

— Wysoko urodzony — rzekł łagodnie. — Co to za znaki wydrapujesz w złotym metalu?

Hu zerwał się na nogi i schwycił złoty zwój.

— W ten sposób gromadzimy słowa, całe opowieści i pomysły. — Pogrążył się w wyjaśnieniach procesu pisarskiego. Timon szybko chwycił podstawowe zasady alfabetu fonetycznego, co dla jego nauczyciela było największą nagrodą.

Na skrawku skóry napisał imię Timona i razem przeliterowali je głośno. Timon roześmiał się radośnie, ucieszony pierwszym sukcesem.

Tak — pomyślał. — Wielu rzeczy muszę się tutaj nauczyć, a tak mało mam czasu.

\* \* \*

Wewnątrz glinianego modelu Kajusz Terencjusz Varro, konsul Rzymu, atakował po raz kolejny, rzucając swoje legiony w czuły środek linii Hannibala. Szeregi rozstąpiły się niechętnie, a tworzący je Celtowie i Galowie wycofali się na znak wodza.

— Widzisz to, Timon? To piękno, ten przejrzysty geniusz! — zawołał podniecony Hu, manipulując żetonami. Mówił w języku punickim.

— A gdzie był wtedy Marhabal? — zapytał w tym samym języku równie podekscytowany Timon. Po dwóch latach jego punicki nabrał płynności i tylko przeciągane spółgłoski szpeciły doskonałość wymowy.

— Tutaj. — Hu dotknął żetonów reprezentujących kawalerię. — Powstrzymywał wodze swojego konia.

Timon wiedział, że koń był szybkim zwierzęciem podobnym do zebry, na którym jeździli zbrojni.

— I Varro znalazł się w pułapce? — spytał.

— Tak! Tak! Hannibal rozerwał jego front i okrążył go. Co wówczas zrobił?

— Rezerwy? — domyślił się Timon.

— Tak! Zrozumiałeś! Rezerwy Nubijczyków. — Kapłan podskakiwał z podniecenia. — Jak przystało na mistrza, rzucił ich do walki w najważniejszym momencie. Varro, zachodząc z boku, ścisnął go jak w imadle, spychając jego szeregi tak, że nie mogły manewrować bronią. A wtedy co, Timon, co wtedy?

— Kawaleria?

— Ach! Kawaleria, Marhabal! Wierny brat. Mistrz jazdy, który czekał przez cały długi dzień. „Naprzód! — woła Hannibal. — Naprzód! Mój bracie, ruszaj ze swymi szalonymi Iberami!” Spadają na nich. To jest ten moment, ten najważniejszy moment. Pięć minut wcześniej byłoby za szybko; pięć minut później stałoby się za późno. Właściwa ocena sytuacji to talent wielkiego dowódcy! Talent męża stanu, kochanka, lichwiarza, kupca. Właściwe działanie we właściwym czasie.

— A rezultat, wysoko urodzony, jaki jest rezultat? — błagał Timon, drżąc z niepewności. — Zwycięstwo?

— Tak, Timonie. To było zwycięstwo. Zwycięstwo i masakra. Osiem legionów dumnego Rzymu zmiecione co do człowieka, dwie pełne armie.

— Osiem legionów, wysoko urodzony! — zachwycił się Timon. — Czterdzieści osiem tysięcy ludzi w jednej bitwie?

— Więcej! Oddziały pomocnicze również zostały rozgromione. Sześćdziesiąt tysięcy! — Hu przeciągnął dłońmi po makiecie, przewracając rzymskie legiony. — My wygrywaliśmy bitwy, Timonie, ale oni wygrywali wojny. Trzy wojny. Trzy krwawe wojny, które nas zniszczyły... — Kapłan przerwał, bo zakrztusił się. Odwrócił się szybko i podszedł do dzbanka z wodą. Timon pospieszył za nim i podtrzymał miskę, gdy Hu przemywał ręce i rozczesywał brodę. — To prowadzi nas do końca studiów nad kampaniami Hannibala, Timonie. Na zakończenie zachowałem bitwę pod Kannami.

— O kim będziemy się teraz uczyć, wysoko urodzony?

— O tym, którego sam Hannibal określił jako największego wodza wszystkich czasów.

— Kto nim był?

— Aleksander III — powiedział Hu. — Król Macedonii, który zmiażdżył perskie imperium. Wyrocznia delficka ogłosiła go niezwyciężonym, a ludzie nazwali wielkim.

Timon podał kapłanowi jego płaszcz. Hu spiął zapinkę, opuszczając granice świątyni przez niedużą bramę. Timon szedł o krok za nim. Nosił krótką błękitną tunikę domownika kapłana, lekki złoty łańcuch, sztylet i sakiewkę — przypasane u bioder oznaki zaufania, jakim go darzono. Szedł o krok za lewym ramieniem swego pana, by nie krępować ruchów ręki, która włada mieczem. Zaciskał dłoń na sztylcie.

— Wysoko urodzony, czy sposób, w jaki Hannibal otoczył Varro...

— Tak? — zachęcił go Hu.

— Czy nie mógł posłać naprzód skrzydeł, nie ustępując w centrum?

— Na tym polega różnica między obroną a atakiem — wyjaśnił Hu. Pograżyli się w omawianiu taktyki bitewnej i strategii, póki nie wyszli poza główną bramę zewnętrznych murów świątyni. Tu rozmowę uniemożliwił tłum, który spostrzegł tę dziwną parę: olbrzymiego czarnego niewolnika i jego drobnego, garbatego pana.

Pozdrawiali kapłana, tłocząc się wokół niego, by w geście powitania dotknąć ręki, wysłuchać żartów, a może i otrzymać jałmużnę z sakiewki przytroczonej do pasa.

Hu uwielbiał swoją popularność. Uśmiechał się i żartował, łagodnie przepychając się przez ciżbę. Znamienity wódz — od czasu wielkiej wyprawy po niewolników odbyły się jeszcze dwie kampanie — umiłowany kapłan, wybitny mędrzec i zdolny pieśniarz, a także zamożny filantrop był obiektem pochlebstw mieszkańców miasta.

Przeszli przez plac targowy, oszałamiający woniami przypraw i otwartych ścieków, widokami i odgłosami zwierząt i ludzi. Wśród innych niewolników stała dziewczyna o jasnej cerze — znać było domieszki krwi Yuye. Prowadzący targ, dostrzegłszy kapłana, przywołał go.

— Panie, mam dla ciebie prawdziwe dzieło sztuki, posążek z kości słoniowej. — Rozchylił płaszcz, prezentując ciało dziewczyny.

Hu roześmiał się i przecząco potrząsnął ręką. Przeszli wzdłuż kamiennego nabrzeża na brzegu jeziora, gdzie cumowały statki, niemal stykając się rufami. W otwartych lukach roili się sztauerzy ładujący i wyładowujący towary. Z tawern i winiarni sąsiadujących z portem dolatywał kwaśny odór taniego wina i wybuchy pijackiego śmiechu. Ulicznice kiwały na przechodzących z wąskich zaułków pomiędzy sklepami. Niepewne światło zmierzchu łagodziło zarysy ich mocno umalowanych policzków i ust. Hu pomyślał, jak wiele pociechy może znaleźć mężczyzna w ich ramionach.

Poza zasięgiem harmideru portowych rejonów leżały domostwa rodzin szlachetnie urodzonych i bogatych kupców każde chronione wysokim murem z gliny i rzeźbioną drewnianą bramą. Nowa rezydencja Hu Ben-Amona była jedną z najmniej pretensjonalnych budowli. Wyjście prowadziło na wąską, obmurowaną alejkę, a z dachu rozciągał się widok na jezioro.

Przeszedłszy przez bramę, Hu rzucił z siebie płaszcz, odpasał miecz i podał go Timonowi, z westchnieniem ulgi wkraczając na brukowane podwórze.

Księżniczki i księżęta już czekali na niego. Na czele czternastoosobowej grupy stały bliźniaczki, Helency i Imilce. Urosły w ciągu dwóch minionych lat, wkraczając w niewdzięczny okres dzielący dzieciństwo od kobiecości. Zbyt młode, żeby chichotać, były jednocześnie zbyt dorosłe, by powitać go pocałunkiem.

Młodszy członekowie domu Barka nie mieli takich zahamowań; ruszyli całą chmarą, porywając Hu w swoje objęcia. Religijne wychowanie dzieci z królewskiego domu było obowiązkiem, jaki nałożył na siebie Hu, i pomimo ochłodzenia stosunków pomiędzy nimi Lannon nie sprzeciwiał się temu układowi. Nie usankcjonował go, ale i nie zakazał.

Kapłan poprowadził swoich uczniów do przewiewnego salonu.

Na podwórzu jedna z królewskich piastunek odczekała, aż jej podopieczni oddalą się za kapłanem, po czym odwróciła się, szukając wzrokiem oczu Timona. Była wysoką dziewczyną o mocnych ramionach, szczupłej talii i dorodnych biodrach. Nogi również miała zgrabne i mocne, a dłonie wąskie i delikatnie ukształtowane. Włosy, naoliwione i uczesane na modłę Vendi, wskazywały, że wywodzi się z plemienia Timona. Schwytana podczas wielkiego wypadu, nie urodziła się jako niewolnica i nie pochodziła z pokornego rodu, który nie zna niczego poza niewolą. Gorzał w niej płomień, który miał rozpalić ogień Timona. Jej skóra miała nieco jaśniejszy odcień, twarz była okrągła jak księżyc, nos płaski i szeroki, usta pełne i nabrzmięte, zęby małe, równe i bardzo białe. Uśmiechnęła się do Timona.

Timon skinął głową w rozkazującym geście, a Sellene przytaknęła zgodnie. Kiedy Timon opuścił podwórze i przeszedł przez kuchnię, kierując się w stronę kwater niewolników, podążyła za nim.

Czekał na nią w swoim małym pokoiku, w którym jedynym sprzętem był

siennik z trzciny i skór. Podeszła bez wahania i oparła się o muskularną pierś, brzuch i uda Timona. Jej kragłe piersi sterczące pod purpurową tuniką domu Barka przywarły do ciała mężczyzny.

Zwrócili twarze ku sobie, pieszcząc wzajemnie swoje oczy, usta i nozdrza, przytulając się żarliwie.

— Kiedy cię obejmuję, znów jestem królem Vendi, a nie niewolniczym psem — wyszeptał Timon.

Dziewczyna jęknęła z rozkoszy.

Dłońmi, którymi mógłby wydrzeć życie z człowieka, Timon delikatnie rozluźnił tunikę Sellene. Położył dziewczynę na łóżku, a kładąc się przy niej, powiedział:

— Będiesz pierwszą z moich żon. Będiesz moją królową i matką moich synów.

— Kiedy to nastąpi? — zapytała głosem zdławionym wzruszeniem.

— Wkrótce — przyrzekł. — Już bardzo niedługo. Mam to wszystko, po co przyszedłem. Zabiorę cię na drugą stronę rzeki. Będę największym królem, jakiego kiedykolwiek miały plemiona, a ty będziesz moją królową.

— Wierzę ci — szepnęła Sellene.

\* \* \*

— Wasze wysokości, szlachetne damy! — Dzieci zapiszczały z zachwytem. Był to jeden z żartów Hu, który zwracał się tak do potomków Lannona. — Dziś mam dla was coś specjalnego.

— Co to będzie? — zapytała bez tchu Imilce.

— Tego wieczoru spotkacie się z wyrocznią Opetu — ogłosił Hu.

Wrzawa szybko ucichła. Młodsze dzieci nie zrozumiały wiele, ale zaraziła je powaga starszych, które słyszały o wyroczni: nianie często straszyły je jej imieniem. Teraz miały spotkać się z tym mitycznym stworzeniem. Atmosfera stała się nagle napięta. Wszystkie dzieci dostały gęsiej skórki.

Anna przemówiła w imieniu rodzeństwa, pytając przyciszonym głosem:

— Ale ona nas nie zje, prawda?

Kiedy Tanith weszła do komnaty, usiadła pomiędzy królewskimi dziećmi i odrzuciła kaptur z twarzy. Uśmiechnęła się i powiedziała łagodnie:

— Opowiem wam historię o zaślubinach wielkiego boga Baala i bogini Isztar. — Uśmiech i obietnica wystarczyły do złagodzenia napięcia.

Dzieci przysunęły się bliżej.

Tanith rozpoczęła opowieść należącą do religijnej mitologii, która stanowiła podstawę Święta Urodzajnej Ziemi, obchodzonego raz na pięć lat. Tego lata święto miało być obchodzone po raz sto szósty. Dziesięciodniowe uroczystości miały rozpocząć się już nazajutrz.

Tanith oczarowała młodych słuchaczy, przemawiając pięknie modulowanym głosem, nad którym tak ciężko pracował Hu. Przyswoiła też maniery i gesty, jakich ją nauczył. Hu przyglądał się jej z mieszaniną zawodowego uznania i oczarowania człowieka zakochanego.

W ciągu dwóch lat wieszczka wyzbyła się niezaradności i niepewności i chociaż nie przekroczyła jeszcze dwudziestego roku życia, emanowała wewnętrznym spokojem i pogodą myśli, niezbędnymi w jej roli jasnowidzącej i okultystycznego doradcy narodu. Nie miało żadnego znaczenia, że jej przepowiednie były opracowywane przez Hu Ben-Amona. To ona je wygłaszała i robiła to przekonywająco. Większa część materialnych sukcesów kapłana na przestrzeni dwóch ostatnich lat miała swe źródło w pytaniach i prośbach o radę, z jakimi zwracali się do wieszczki bogaci kupcy i syndykaty handlowe Opetu, i w odpowiedziach Tanith.

Suplikanci byli zazwyczaj usatysfakcjonowani radami wyroczni, mimo że pełne były niejasności, chroniących przed ewentualnymi pretensjami.

Hu Ben-Amon również był zadowolony.

W ten sam sposób, pomimo utraty posłuchu u króla, trzymał dłoń na sterze państwa. Był pewny, że Lannon Hycanus w pełni uświadamia sobie, gdzie znajduje się źródło rad i wskazówek, jakie otrzymywał od Tanith. W każdym razie regularnie odwiedzał wyrocznię w jej świątyni w grotcie przy cichym zielonym basenie Isztar.

Następnego dnia wizyta Lannona u wyroczni miała być pierwszym oficjalnym aktem rozpoczynającym Święta Urodzajnej Ziemi. I to była prawdziwa przyczyna, dla której Hu wezwał Tanith do swojej rezydencji. Musiał dokładnie ustalić z nią odpowiedzi, jakich miała udzielić na królewskie zapytania. Wiedział, o co król zapyta. Miał swoich informatorów w otoczeniu Lannona, a domyślał się, że celowo zdradzi on pytania wcześniej, wiedząc, że dotrą w ten sposób do kapłana.

Myśląc o Lannonie, kapłan nieodmiennie popadał w głęboką melancholię. Od dwóch lat obywatel się bez jego krzepiącego uśmiechu, uścisku dłoni i przyjaźni. W ciągu tego czasu poczucie straty nie stępiło się, lecz jeszcze wyostrzyło. Całymi godzinami Hu czekał na przelotne spojrzenie starego przyjaciela, naprzykrzał się innym o relacje z bankietów w pałacu, na które nie był zapraszany. W każdą rocznicę urodzin króla, jak również w rocznicę objęcia tronu, układał pieśni i posyłał je wraz z hojnym darem do pałacu. Dary pozostawały jednak bez odpowiedzi, pieśni nie śpiewano...

Hu otrząsnął się z przygnębienia i spojrzał na tę, którą kochał. Dzieci tłoczyły się wokół niej zasłuchane w opowieść.

Czteroletni Hannibal, noszący imię sławnego przodka, wdrapał się Tanith na kolana i ssąc palec, wpatrywał się w nią.

Uroczysta maska Tanith nieco złagodniała. Wśród dzieci czuła się jak dziecko. Twarz jej ożywiła się, a w głosie pojawiło się podekscytowanie. Widząc ją taką, Hu czuł, że jego miłość nabiera nowego wymiaru, serce mu rośnie, zdając się rozsadzać pierś. Jak długo musi jeszcze czekać, zastanawiał się, i na co? Minęły dwa długie, starannie planowane lata, nim pozyskał jej zaufanie. Ile czasu miało upłynąć, by zdołał pozyskać jej serce? A kiedy nawet je zdobędzie, to na co może jeszcze liczyć? Tanith była poświęcona bogini i nigdy nie będzie należeć do śmiertelnika.

Skończyła opowieść. Podniosła się wrzawa; dzieci zarzuciły ją żądaniami, groźbami i pocałunkami; Hu, udając gniew, beształ je, a one śmiały się i klaskały w dłonie z zachwytem. Zawołał opiekunki. Wśród nich była wysoka, posępna kobieta, która zawsze niepokoiła go spojrzeniem niezgłębionych ciemnych oczu.

Zwrócił się do niej:

— Sellene, zapada zmrok, powiedz Timonowi, żeby wziął lampę i odprowadził cię do wrót pałacu.

Pochyliła głowę, nie okazując wdzięczności ani urazy.

Kiedy dzieci odeszły, zjedli wieczorny posiłek we troje: Tanith, Hu i Aina, sędziwa kapłanka i przywoitka Tanith. Hu wybrał ją z dwóch powodów. Była półślepa i kompletnie grucha. Sprawdził to, czyniąc ku niej różne gesty z odległości dwudziestu kroków. Aina nie reagowała, podobnie jak wtedy, kiedy podkraść się do niej, wykrzykując prosto w ucho obraźliwe epitety.

Jedli przy przyciemnionych lampach kolację podaną przez jednego z sędziwych niewolników, a kiedy skończyli, Hu zaprowadził Tanith na taras, gdzie usiedli na trzcinowych matach i skórzanych poduszkach. Nocny wiatr znad jeziora był zimny, a gwiazdy żółte i jasne. Hu zgarbił się nad lutnią, dobywając z niej cichy, szemrzący dźwięk, który uruchamiał w podświadomości Tanith sygnał do hipnotycznego skupienia. Nim przebrzmiały ostatnie taktę, oddychała wolno i równomiernie, jej ciało



zneruchomiał, a zielone oczy nie widziały niczego.

Przebiegając palcami po strunach instrumentu, raz po raz powtarzając ten sam dźwięk, Hu zaczął mówić. Jego głos był monotony i śpiewny, łagodny, ale i podstępny. Tanith siedziała w blasku gwiazd i słuchała słów kapłana.

\* \* \*

Pierwszego dnia sto szóstego Święta Urodzajnej Ziemi Lannon Hycanus, czterdziesty siódmy Wielki Lew Opetu, udał się na czele procesji do świątyni Isztar, by wysłuchać wyroczni.

Minął ogrodzenie świątyni Baala, gdzie poświęcone wieże piętrzyły się ku słońcu, strzeżone przez wyrzeźbione monolity przedstawiające słoneczne ptaki, i gdzie czekała w milczeniu cała społeczność miasta. Kiedy dotarł do rozpadliny w czerwonej skalnej ścianie, strzegącej wejścia do świętej groty, odpiął miecz i podał go pigmejskiemu myśliwemu, a tarczę i hełm przekazał nosicielom broni. Z gołą głową i bez oręża wszedł do skalnej szczeliny.

Przeszedł przez brukowany tunel do cichej pięknej groty. Obrzeża basenu wyłożone były płytami piaskowca, a jego krawędź wieńczyło obmurowanie z tego samego materiału. Rzędy kamiennych ław wznosiły się ku prostopadłym ścianom, a pod przeciwległą ścianą, wbudowana w skałę, znajdowała się świątynia Isztar. Za portalami podtrzymywanymi przez hellenistyczne kolumny mieściły się cele kapłanek i komnata wyroczni.

Za kamiennym tronem wyroczni znajdowało się ukryte ujście do archiwów miasta, a dalej, strzeżone przez masywne kamienne drzwi i klątwę bogów: skarbiec i grobowiec królów.

Lannon zatrzymał się przy basenie, czekając na kapłankę, która wyszła go powitać i odprowadziła do krawędzi basenu. Pomogła mu zrzucić zbroję i znajdującą się pod nią odzież.

Stanął wysoki i nagi, złotowłosy i przepięknie zbudowany na szczycie schodów prowadzących w dół, do zielonej wody. Przypominał atletę. Na ramionach i karku rysowały się mocne mięśnie — znak częstego władania mieczem. Jego brzuch i boki były szczupłe, pozbawione tłuszczu. Czerwonorude włosy złociły się wokół pępka i ciągnęły się w dół płaskiego brzucha, kłębiąc się w rozwarciu nóg, kształtnych i długich.

Najwyższa kapłanka pobłogosławiła go, modląc się o łaskę bogini Isztar. Zszedł po schodach i zanurzył się w poświęconych życiodajnych wodach.

Kiedy dwie młode nowicjuszki osuszały jego ciało i odziewały w czyste szaty, Hu Ben-Amon odśpiewał modlitwę. Gdy skończył, wszystkie oczy wzniosły się ku otworowi w sklepieniu jaskini wysoko ponad basenem.

Lannon zawołał donośnym głosem:

— Isztar, matko Księżycy i Ziemi, przyjmij posłańca, którego ci wysyłamy, i usłysz nasze błaganie o łaskę.

Tłum otaczający basen uniósł wysoko dłonie, czyniąc znak słońca, a na dany sygnał z kamiennego występu, sterczącego w otworze sklepienia groty, zepchnięto ciało ofiary. Skarga skazańca odbiła się krótkim echem od ścian jaskini, milknąc, gdy uderzył o powierzchnię wody i zniknął szybko w zielonych głębinach, ściągnięty w dół ciężarem łańcuchów.

Lannon odwrócił się i przeszedł pomiędzy szeregami kapłanek w kierunku wejścia do świątyni. Sala audiencyjna wyroczni była tylko trochę większa od salonów w domach bogaczy. Lamy płonęły równym blaskiem. Płomienie miały nienaturalnie zielonkawy odcień, a kadzidła tłących się ziół były ciężkie i duszące. Za tronem

wyroczeni, od sufitu aż po wyłożoną płytami podłogę, zwisały draperie.

Wyrocznia siedziała na tronie: mała figurka spowita w białe szaty, z twarzą ukrytą w cieniu kaptura.

Król zatrzymał się na środku komnaty i nim się odezwał, przez chwilę podziwiał kroki, jakie przedsięwzięto, aby zapewnić petentowi jak największą niewygodę. Bosa, mokry po kąpieli w basenie, pozbawiony broni i strojnego ubioru, odziany w przedziwne szaty, zmuszony patrzeć w górę na postać na tronie, i do wdychania zatrutego powietrza, musiał czuć się wytracony z równowagi. Lannon poczuł gniew. Jego głos wypowiedający formułę i zadający pierwsze pytanie brzmiał szorstko.

Hu przyglądał mu się ukryty za draperiami. Delektował się fizyczną bliskością przyjaciela, przypominając sobie jego maniery i ton głosu, obserwując znajomą i ukochaną twarz, uśmiechając się na widok oczekiwanych zmian jej wyrazu — szybkie błyski gniewu migoczące w jasnobłękitnych oczach, ożywienie na dźwięk ostrzeżeń, przebłysk uśmiechu, gdy otrzymywał przychylną radę.

Tanith mówiła z tą samą śpiewną kadencją, jakiej używał Hu, wybierając odpowiedzi z szerokiego zbioru, w jaki ją wyposażył.

Kiedy Lannon wyczerpał pytania i zamierzał opuścić komnatę, rozległ się głos Tanith:

— Jest jeszcze coś.

Lannon odwrócił się zaskoczony, nieprzywykły do spontanicznych — i nie opłaconych — porad wyroczni. Ale Tanith przemówiła:

— Lew ma szakala, który ostrzega go przed zbliżającym się myśliwym, ale odpycha go od siebie.

— Słońce miało swego ptaka, który wznosił ku niemu ofiary, ale odwróciło od niego swoje oblicze.

— Dłoń miała topór, który jej bronił, ale odrzuciła go.

— O dumny lwie! O niewierne słońce! O niedbała rękę!

Za draperią Hu wstrzymał oddech. Brzmiało to bardzo sprytnie, gdy komponował te słowa, ale teraz, wypowiedziane w pustej kamiennej komnacie, wstrząsnęły nawet nim.

Oczy Lannona stały się szkliste, gdy głowił się nad niebyt subtelną zagadką, ale kiedy dotarło do niego znaczenie słów, w oczach pojawił się chłód, a do twarzy i karku napłynęła krew.

— Niech cię szlag, wiedźmo! — zawołał. — Czy muszę wysłuchiwać tego również od ciebie? Ten przeklęty kapłan prześladowuje mnie na każdym kroku. Nie mogę przejść ulicami mojego miasta, żeby nie słyszeć tłumów śpiewających jego nudne pieśni. Nie mogę zjeść we własnej jadalni, nie wysłuchując gości powtarzających jego frazesy. Nie mogę walczyć ani napić się wina, ani rzucić kości, bo jego cień stoi wciąż przy moim boku. — Dyszał ze złości, krocząc ciężko w poprzek sali audiencyjnej i potrząsając pięścią w kierunku wystraszonej twarzy wyroczni. — Nawet moje dzieci są nim oczarowane. Za zasłoną Hu czuł, że jego dusza wzlatuje na jasnych skrzydłach. Wróg nie przemawia w ten sposób.

— Stąpa dumnie i panoszy się na ulicach miasta, a jego imię powtarzane jest we wszystkich moich królestwach.

Gniew Lannona zamieniał się w sprawiedliwe oburzenie.

— Pozdrawiają go, kiedy przechodzi, słyszałem to, i na Wielkiego Baala, pozdrawiają go głośniejsz niż swojego króla.

Lannon odwrócił się tyłem do tronu, nie mogąc zapanować nad uniesieniem. Jego wzrok prześlizgnął się po draperiach i przez mgnienie Hu miał wrażenie, że zagłębia się w jego duszy. Cofnął się, gwałtownie chwytając powietrze, ale Lannon szybkim krokiem okrążył komnatę, nim jeszcze raz zbliżył się do wyroczni.

— Robi to wszystko, zapamiętaj sobie, bez mojej aprobaty. Powinien zostać wygnany... — Przerwał i znów zaczął krząć. W jego głosie zaszła zmiana; ostre tony złagodniały. Niemal niesłyszalnie powiedział: — Jakże mi brak tego okropnego człowieka.

Hu zwątpił przez chwilę, że te słowa zostały naprawdę wypowiedziane, ale prawie natychmiast głos Lannona przeszedł w krzyk.

— Przeciwstawił mi się! Zabrał to, co do mnie należało, a tego nie mogę przebaczyć!

Okręcił się na pięcie i wybiegł ze świątyni. Towarzysze broni i łowczy spostrzegli wyraz jego twarzy i śląc ostrzegawcze znaki, torowali władcy drogę do pałacu.

\* \* \*

Ostatniego dnia święta król modlił się w świątyni Wielkiego Baala, samotny w świętym gaju. Potem wyłonił się, by przyjąć odnowienie ślubów lojalności poddanych. W ceremonii mieli wziąć udział przedstawiciele dziewięciu szlachetnie urodzonych rodzin, zakon kapłanów, gildia rzemieślnicza i handlarze. Ponownie złożą przysięgę posłuszeństwa tronowi i ofiarują dary Wielkiemu Lwu.

Ben-Amon nie uczestniczył w ceremonii. W imieniu kapłanów przysięgę złożył Bakmor, który również przekazał dar. Kiedy młody kapłan i wojownik pochylił się przed nim w ukłonie, Lannon burknął cicho:

— Gdzie jest kapłan Hu Ben-Amon?

— Panie, mówię w imieniu jego i wszystkich kapłanów Wielkiego Baala. — Bakmor uchylił się od odpowiedzi.

Ceremonia zakończyła się i cały Opet pogrążył się w orgii jadła, wina, swawoli i rozpasania. Podczas gdy Lannon biesiadował ze swym dworem w pałacu, pospólstwo tłoczyło się na wąskich uliczkach, śpiewając i tańcząc. Sprzedawcy wina wędrowali swobodnie przez tłum, ale z upływem dnia poszanowanie zwyczajów i prawa słabło, zmieniając zachowanie ludzi. Ciemność miała przynieść lubieżne i swawolne hulanki. Nobliwe matrony i ich powabne córki wyslizgnęły się na ulice, otulone w płaszcze i kaptury, by przyłączyć się do rozpusty, a w najlepszym razie przyglądać się jej z błyszczącymi oczami. Na jeden dzień i jedną noc prawa społeczności zostały zawieszane i żaden z mężów ani żadna z żon nie będą mogli domagać się wyjaśnień. Tak bywało tylko raz na pięć lat.

Wczesnym popołudniem Lannon był już pijany, wylewny i szczęśliwy, podobnie jak większość jego gości. W sali biesiadnej panowała duchota. Słońce prażyło bezlitośnie w płaski dach, a żar ciał i wonie bijące z parujących półmisków z wystawnym jadłem zamieniały komnatę w piec.

Wrzawa głosów udaremniała mężne wysiłki muzyków, a sztukę nagich tancerek zakłócał huragan dojrzałych winogron, ciskanych przez młodych i uprzywilejowanych wojowników. Trafienia w różne części dziewczęcych ciał nagradzane były punktami w konkursie, a zwycięzca miał otrzymać zebrane podczas zakładów złoto.

Zaabsorbowany winem i rozmową Lannon nie uświadamiał sobie, że coś się dzieje, póki w sali nie zaległa kompletna cisza. Podniósł głowę, marszcząc brwi. Ręce muzyków zamarły nad instrumentami, tancerki stanęły jak sparaliżowane, a na twarzach gości pojawiło się zdumienie.

Mars na czole Lannona pogłębił się, gdy spostrzegł Hu Ben-Amona idącego ku niemu przez salę. Miał na sobie niebieską tunikę ozdobioną złotą nicią, a za złotym pasem wysadzany diamentami sztylet. Jego włosy i broda były starannie naoliwione i ułożone, na ramionach lśniły złote ozdoby. Z uroczystym wyrazem twarzy klęknął przed Lannonem, a jego donośny głos rozbrzmiał w sali:

— Królu, przychodzę, by odnowić przysięgę posłuszeństwa. Niechaj każdy wie, że poważam cię ponad wszystko, a moja lojalność trwać będzie wiecznie.

Zgodnie z przewidywaniem kapłana Lannon był wytracony z równowagi. Skołowaciały od wina, niezdarnie szukał odpowiednich słów, ale nim je znalazł, Hu podniósł się.

— Jako symbol mojej lojalności składam ci mój dar. — Skinął dłonią za plecami i wszystkie głowy zwróciły się ku głównym drzwiom.

Potężny Timon wkroczył dumnie do komnaty, przeszedł przez całą jej długość i zatrzymał się u boku kapłana. Spojrzał na twarz Lannona dzikimi, zamglonymi oczami.

— Na ziemię! — szepnął Hu, trącając łokciem niewolnika. Timon opadł na kolana i skłonił głowę.

— Ale on należy do bogów — sprzeciwił się opryskliwie Lannon. — Ogłosiłeś go naznaczonym, kapłanie.

Lecz Hu podjął już postanowienie, godząc się z kłamstwem i świętokradztwem, którego miał się dopuścić. Pomimo że wyjaśnił to już bogom i Timonowi, czuł się nieswojo. Było to konieczne, by odzyskać łaskę króla. Podjęcie tej decyzji nie przyszło mu łatwo. Lannon był skrupowany własną dumą. Nie potrafił zdecydować się na posunięcie, które ruszyłoby sprawę z martwego punktu. Hu musiał więc zrobić pierwszy krok. Poprosił Baala o zgodę na wyparcie się praw do niewolnika o ptasich stopach.

— Panie! — rzekł. — Myliłem się. Bogowie ukazali mi, że znaki nie były uświęcone.

Lannon zapatrzył się w kapłana. Potrząsnął nieznacznie głową, jakby nie dowierzając własnemu słuchowi.

— Chcesz powiedzieć, że oddajesz mi go bez zastrzeżeń? Że mogę go natychmiast zabić, jeżeli będę miał na to ochotę? — Wychylił się do przodu, wpatrując w kapłana. — Oddajesz mi go bez żadnych warunków?

— Oznajmiłem moją miłość do króla — rzekł Hu, trącając nogą Timona.

Mocnym, dudniącym basem Timon wygłosił swój tekst w niemal perfekcyjnym punickim:

— Przychodzę do ciebie jako żywy dowód tej miłości. Lannon opadł z powrotem na poduszki. Zamyślił się, a gdy zrozumiał, znów spochmurniał.

— Chcesz mnie uwięzić. Ciągle stawiasz jakieś warunki, ale lepiej ukryte — warknął.

— Nie, panie. To nie więzy, ale jedwabne nici przyjaźni — powiedział kapłan łagodnie. Ich spojrzenia zwały się. W Lannonie zaczął wzbierać gniew, ale Hu trwał w spokoju.

Nagle spokój kapłana pękł, a ciemne oczy zaśniły. Opadające na policzki kędziory zaczęły tańczyć od zduszonego śmiechu. Lannon otworzył usta, chcąc odrzucić dar i ofertę przyjaźni. Zamiast tego w jego gardle zagrzecotał śmiech. Śmiał się tak długo, aż po policzkach pociekły mu łzy, a między wybuchami wesołości jęczał, trzymając się za brzuch.

— Wzleć dla mnie, Ptaku Słońca — wykrzyknął, a Hu opadł obok niego na poduszki, trzęsąc się ze śmiechu.

— Zarycz dla mnie, Lwie Opetu!

Jedna z niewolnic napełniła czarę winem i zbliżyła się do nich. Kapłan napił się łąpczywie i podał naczynie królowi.

Ten wysuszył je do dna. Cienka strużka wina spłynęła z kącika ust w złocistą brodę. Roztrzaskał czarę o kamienną posadzkę i klepnął kapłana po ramieniu.

— Straciliśmy mnóstwo czasu, Ptaku Słońca. Musimy to sobie powetować. Co

uczynimy najpierw?

— Napijemy się — powiedział Hu.

— Ach! — krzyknął Lannon. — A potem?

— Zapolujemy — podsunął Hu, znając upodobania króla.

— Zapolujemy! — zawtórował Lannon. — Poślijcie po moich łowczych; wyruszamy rano na polowanie na słońce!

\* \* \*

— Isztar, matko Ziemi, twoje piękno jest tak ogromne, że tonie w nim moja dusza — mruzczał Hu, kołysząc się z wdziękiem i spoglądając na nocne niebo. Zatoczył się do tyłu, natrafiając na ścianę. Wsparłszy się o nią, kontynuował podziwianie astronomicznych niezwykłości nieba. Nad pograżonym w uciechach mieście unosiły się cztery srebrne księżycy. Hu przymknął jedno oko i trzy z nich zniknęły; otworzył je i znów się pojawiły.

— Isztar, pokieruj krokami twojego sługi — błagał, odpychając się od ściany i kierując się ku wąskiej alejce prowadzącej do portu. Potknął się o kogoś leżącego w cieniu i pochylił się nad nim.

Człowiek zachrapał, chrząknął i przewrócił się na plecy, obdarowując kapłana ciepłym, przesyconym winem oddechem. To przypomniało mu o biesiadnikach leżących wokół sali biesiadnej w pałacu. Pomiedzy nimi spoczywał i Lannon, uśmiechając się przez sen.

— Dzisiaj jesteś w dobrym towarzystwie, obywatelu Opetu — zachichotał, chwiejnie wracając na ścieżkę.

W załamaniu muru poruszył się ciemny cień. Hu spojrzał nań ciekawie. Zobaczył dwugłowe ciało, usłyszał urywane, namiętne oddechy, ciche bezładne okrzyki. Ruchy były nieznaczne, ale łatwe do rozpoznania. Hu uśmiechnął się, potknął i o mało nie upadł. Zobaczył wystraszoną twarz dziewczyny, spoglądającą z cienia.

— Niech wszystko przyniesie owoce — zaintonował uroczyście i poszedł dalej.

Jakaś postać wyłoniła się cicho z mrocznej alejki i podążyła jego śladem. Ruchy otulonego w płaszcz człowieka były ostrożne.

Refleksy płomieni lśniły brązem na nieruchomej czarnej wodzie jeziora. Wokół nich, złączone ramionami, tańczyły tłumy. Niektóre kobiety, wyzbywszy się wszelkich zahamowań, płaśły rozebrane do pasa. Po ich jasnych ciałach spływały strumyczki wina.

Hu przystanął i przyglądał się przez chwilę. Podążająca za nim osoba zwolniła kroku i wmieszała w tańczący tłum.

Kiedy Hu ruszył dalej, zakapturzona postać uczyniła to samo. Aleja prowadząca do domu kapłana pogrążona była w głębokich ciemnościach, ale w niszy nad bramą migotał przyćmiony płomyk lampy.

Doszedł do bramy i stanął w kręgu bladego światła. W tym momencie ciemna postać wyskoczyła z mroku. Dłoń zacisnęła się na przegubie kapłana, rzucając go na mur przy bramie. Wino stepiło jego refleks; zaskoczony i przestraszony obrócił twarz ku górze. Zobaczył ciemną sylwetkę kryjącą twarz w zakamarkach kaptura i nim zdołał krzyknąć, delikatne usta przywarły do jego warg ze stłumionym chichotem, a potem poczuł na swym ciele gorące piersi i uda.

To go sparaliżowało. Przez długie sekundy stał nieruchomo, a usta i zręczne dłonie drażniły go i prowokowały. Nagle z ochryplym okrzykiem wyciągnął ręce ku gorącemu ciału, które jednak cofnęło się, wyslizgując się poza zasięg jego ramion.

Skoczył ku kobiecie gwałtownie, błędząc po omacku w ciemnościach, ale ona uchyliła się zręcznie, wpadła w bramę jego domu i zatrzasnęła ją za sobą.

Klnąc desperacko, szamotał się z wrotami. Otworzył je wreszcie i wbiegł na dziedziniec.

Po drugiej stronie podwórza zamajaczyła ciemna postać znikająca we wnętrzu domu. Hu popędził za nią, potknął się, przewracając stołek, na którym niewolnik zostawił amforę i czarę z winem. Roztrzaskały się z łoskotem, rozpryskując wino po glinianej podłodze.

— Zaczekaj! — krzyknął. — Kim jesteś? Zaalarmowani hałasem niewolnicy zbiegli się, w panice chwytając broń.

— Wynoście się! — wrzasnął na nich z furją. — Wszyscy! Niewolnicy wrócili do swoich pomieszczeń.

Hu zachował dostojną postawę, póki ostatni z nich nie zniknął, po czym odwrócił się i pobiegł do sypialni.

Paliła się tu nocna lampka stojąca przy łóżku. Knot był krótko przycięty i pomarańczowa poświata pozostawiała najdalsze części pokoju w ciemności. Przy lampie stała spowita w płaszcz kobieta. Stała bez ruchu, z twarzą schowaną pod kapturem, chociaż Hu zdawało się, że dostrzega błysk światła odbitego od obserwujących go oczu.

Siła pędu wyniosła go aż na środek komnaty, aczkolwiek w niewłaściwym kierunku. Odwrócił się w stronę tajemniczej postaci, ale w tym momencie kobieta pochyliła się i zdmuchnęła płomyk lampy. Pokój pograżył się w mroku i szarża kapłana zakończyła się na ścianie. Pozbierał się pospiesznie, trzeźwiejąc szybko, i skulił się pod ścianą, nasłuchując.

Usłyszał szelest płaszcza i rzucił się w tamtą stronę. Jego palce zacisnęły się na skraju kobiecego okrycia. Rozległ się przyciszony okrzyk zaskoczenia i materiał został wyrwany z jego dłoni. Zaklął głośno i z szeroko rozpostartymi ramionami zaczął krążyć po omacku wokół pokoju.

Wyczuł ruch obok siebie, leciutki oddech, delikatne poruszenie w ciemnościach. Szybko sięgnął w tamtą stronę i dotknął gładkiej skóry. Wyczuł kształt nagich pleców i pulchną wypukłość pośladków. Z łagodnym chichotem kobieta wymknęła mu się znowu. Zastygł nieruchomo, czując serce walące w piersi. Fizyczne podniecenie przyprawiło go o ból.

Był sam z kobietą nieuchwytną jak szczupak i nagą jak noworodek. Jak skradający się lampart ruszył za nią, zrzucając tunikę i spodnie.

Dziewczyna wpadła w popłoch, niezdolna zapanować nad przyspieszonym oddechem i nerwowym chichotem. Szedł ku niej, kierując się słuchem, zbliżał się i osaczał ją w kącie przy łożu.

O mało znów mu się nie wymknęła, nurkując pod jego rękami, ale jedno z jego długich ramion owinęło się wokół kobiecych bioder. Zapiszczała, kopiąc jak schwywane zwierzę.

Zaniósł ją na grubą stertę futer pośłania.

\* \* \*

Przebudził się z wrażeniem spokoju i z poczuciem głębokiego szczęścia.

Jego ciało było zmęczone i pozbawione energii, ale umysł miał jasny i skupiony. Delikatny brzask zalewał sypialnię, a znad jeziora dobiegał krzyk wzbijających się w powietrze ptaków.

Uniósł się na łokciu i spojrzał na śpiącą dziewczynę. Ciepła wiosenna noc sprawiła, że odrzuciła nakrycie. Jej włosy były wilgotne na skroniach, a drobniutka mgiełka wilgoci lśniła również na delikatnie wydętych wargach. Spała tak lekko, że oddech ledwie poruszał masą miękkich, ciemnych włosów, opadających na policzki.

Zarzucone na głowę ramię uwypuklało piersi, duże, pełne i krągłe. Ich koniuszki wciąż były ciemnoczerwone po rozkoszach nocy. Gładka skóra miała jasny, kremowooliwkowy odcień, z którym kontrastował puszek czarnych jedwabistych włosów pod pachami i na podbrzuszu.

Patrzył z niedowierzaniem. Głos uwiązał mu w gardle. Poczłł lęk, a w końcu zabobonne przerażenie.

Dziewczyna otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

— Niech cię Baal błogosławi, ojczy — powiedziała miękko.

— Tanith!

— Tak, to ja panie. — Wciąż się uśmiechała.

— To świętokradztwo! — wyszeptał. — To obraza bogini.

— Wypieranie się mojej miłości do ciebie byłoby obrazą całej natury. — Usiadła na łóżku i pocałowała go bez śladu poczucia winy.

— Miłości? — zapytał Hu, momentalnie zapominając o swoich obawach.

— Tak, panie. — Znów go pocałowała.

— Ale... — Zająknął się, a jego policzki pokraśniały jak płonące zarośla. — Nie możesz... Jak możesz mnie kochać?

— Jakżeby nie mogła, panie?

— Ale moje ciało, mój garb...

— Kocham twoje plecy, ponieważ są częścią ciebie, częścią twojej dobroci, uprzejmości i mądrości.

Wpatrywał się w nią przez długie sekundy, po czym niezdarnie wziął ją w ramiona i zatopił twarz w pachnącej chmurze włosów.

— Och, Tanith — szepnął. — Co my teraz zrobimy?

\* \* \*

Stał o brzasku na szczycie wzgórza, czekając na swojego boga. W obozie poniżej zaczynała się krzątanina. Ogniska bładły w rozprzestrzeniającym się świetle dnia. Docierały do niego niewyraźne głosy ludzi przygotowujących się do polowania. Sześć tysięcy wojowników legionu Hu Ben-Amona, królewska świta, niewolnicy i kobiety, słonie i tragarze. Ze zdziwieniem spostrzegł, że obóz wypełnia całą dolinę po obu stronach niewielkiej rzeki spływającej ze wzgórz.

Trzydzieści mil dalej na północ wiła się leniwie zielona wstęga rzeki w niegościnnym korycie. Obozował nad nią jeden z legionów Lannona, od kilku dni nękający stada słoni żerujących wzdłuż rzeki. Dręczyli je atakami łuczniczy i oszczepnicy oraz wojenne słonie. Niepokojone stada miały opuścić dolinę i wędrować swymi pradawnymi drogami w górę stoków. Król stanął z obozem przy dobrze widocznych tropach, a poprzedniego wieczoru zwiadowcy donieśli, że stada wyruszyły już w drogę. Gromadziły się i posuwały ku wznoszącym się ścianom, a w ciągu kilku następnych dni miały wyjść z doliny długimi, majestatycznymi szeregami.

Hu zadumał się. Ubrany w lekką zbroję i sandały, oparł się wygodnie na drzewcu sępiego topora. Okazałe ostrze było okryte miękkim skórzanym futerałem, chroniąc naostrzoną krawędź i delikatne ryty.

Od dwóch tygodni, od ostatniej nocy Święta Urodzajnej Ziemi Hu, budząc się, każdego ranka rozważał swój dylemat. Wiele godzin spędzał ślęcząc nad księgami, badając role kapłanów i kapłanek, ich obowiązki, stosunek do bogów i do siebie nawzajem. Wydawało mu się na podstawie lektury, że postępuje słusznie. Nie potrafił zmusić się do nazwania stosunku z Tanith świętokradczym. Dzisiaj też przyszedł tu, by bronić swojej sprawy i otrzymać wyrok.

Słońce wystrzeliło pierwsze złociste lance zza szczytu wzgórza i Hu odśpiewał modlitwę najpiękniej, jak potrafił. Potem przedstawił swoje argumenty. Była to

skomplikowana dialektyka oparta na koncepcji ziemskiej reprezentacji i wychodząca z założenia, że to, co było słuszne pomiędzy Baalem i jego połowicą Isztar, winno być usprawiedliwione również pomiędzy ich ziemskimi przedstawicielami, aczkolwiek, rzecz jasna, nie pomiędzy kapłanką i jakąkolwiek inną osobą poza najwyższym kapłanem Baala. Hu starał się wygładzić słabe punkty swej obrony.

Zakończył słowami:

— Możliwe jest, Wielki Baalu i niebiańska Isztar, że moje wnioski są błędne. Być może zgrzeszyłem. Jeśli tak się stało, zasługuję na wasz gniew i pomimo życia spędzonego w służbie ku waszej czci zasługuję na najstraszliwszą karę! — Przerwał, chcąc wzmocnić efekt swych słów.

— Udaję się teraz na polowanie na słońce. Przysięgam że będę tam, gdzie sytuacja będzie najgorętsza, a niebezpieczeństwo największe. Jeśli zgrzeszyłem — niech powalą mnie kły bestii. Jeżeli nie popełniłem grzechu, pozwól mi żyć i powrócić na łono twojej kapłanki. Jeżeli darujesz mi życie i miłość, przysięgam, że będę pełnił służbę i obowiązki po kres moich dni i żaden mężczyzna ani kobieta nie dowie się o dyspensie, jakiej mi udzieliłeś.

Milczał przez dłuższą chwilę, po czym odezwał się znowu:

— Ty, który kochałeś, ulituj się nad tym, który również kocha.

Zszedł ze wzgórze bardzo z siebie zadowolony. Odda się w pełni bogom. Nie będzie ociążał się przed udziałem w dzisiejszej rzezi; bogowie otrzymają wiele sposobności, by okazać gniew. Był w pełni świadomy, że tylko śmierć może przeszkodzić mu w powrocie w ramiona Tanith. Smak tego owocu był zbyt słodki, by go sobie odmówić.

— Hu! — krzyknął Lannon, gdy kapłan wkroczył do obozu. — Gdzie byłeś? — Uzbrojony, spacerował niecierpliwie tam i z powrotem wzdłuż namiotu. Szybko podszedł do przyjaciela. — Dzień ucieka! — zawołał. — Nasze czaty na wzgórzach dostrzegły już zbliżające się stada.

Słońce wojenne były gotowe, kierujący nimi siedzieli już na grzbietach zwierząt. Wokół namiotu Lannona zebrała się grupa myśliwych. Pomędzy nimi Hu dostrzegł kilku spośród najświetniejszych łowców: Mursila o purpurowej twarzy, chudego i małowównego Zadała i drobnego żółtego Xhai, którego sława tropiciela jeszcze wzrosła przez ostatnie dwa lata. Z tyłu za nimi, wśród hordy niewolników, wyróżniała się kolosalna sylwetka Timona. Hu uśmiechnął się do niego i pospieszył za królem w kierunku rzędu słońi.

— Pojedziesz ze mną, Ptaku Słońca — powiedział Lannon, a kapłan odparł:

— Będę zaszczycony, panie.

Mursil podał mu łuk używany do polowań na słońce. Tylko kilku ludzi potrafiło naciągnąć tak ciężką broń. Wyrzeźbiony i twardych konarów dzikiego hebanu, miał pośrodku grubość przegubu męskiej ręki, a cięciwa wykonana była ze skręconych pasm lwich jelit. Naciągnięcie jednej z pięciostopowych strzał zakończonych ciężką stalową głowicą i wyważonych piórami dzikich kaczek wymagało niezwyklej siły ramion i mięśni klatki piersiowej. Ale zwolniona strzała mogła poszybować na odległość stu kroków i zatopić się w ciele słońia aż po lotki. Mogła dosięgnąć potężnego serca ukrytego pod żebrami, mogła wdrzeć się do masywnych różowych płuc, a wypuszczona ze szczególną zręcznością mogła przebić otwór uszny w wielkiej czaszce i znaleźć drogę do mózgu.

— Wiem, że wolisz łuk od włóczni, ojczu — mruknął z szacunkiem Mursil. — Jeśli chodzi o mnie, stare ramię nie naciągnie już cięciwy.

— Dziękuję ci, myśliwcze.

— Kołczany są pełne. Wypróbowałem i wybrałem osobiście każdą strzałę — zapewnił go Mursil.



Hu poszedł za Lannonem do miejsca, w którym klęczał jego wojenny słoń. Była to stara samica, bardziej niezawodna w bitewnym ogniu niż samiec, bardziej godna zaufania i spokojniejsza w gorączce polowania.

Wdrapał się za królem do fortecy na grzbiecie. W drewnianej skrzyni było dość miejsca dla trzech mężczyzn. Z przytwierdzonych do jej boków kołczanów wystawały groty strzał. Oszczepy leżały na przodzie. Lannon wybrał jeden i obejrzał go uważnie.

— Dobrze wyważony — orzekł i spojrzął w dół, gdzie myśliwi czekali niespokojnie, niepewni, któremu przypadnie zaszczyt towarzyszenia królowi. Spojrzenie Lannona prześlizgnęło się po nich i zatrzymało na Xhai. Wielki Lew skinął głową i mały Pigmej z zadziwiającą zręcznością zaczął wdrapywać się po boku słońca.

Z nagłym przechyłem, który cisnął kapłanem o ścianę fortecy, słoń podniósł się na nogi. Siedzący na jego grzbiecie spojrzeli w dół z majestatycznych wyżyn, gdy przewodnik pobudził zwierzę do statecznego, rozkołysanego kroku. Wkroczyli na szlak wiodący ku pochyłościom doliny.

— Wybrałem dobre miejsce — oznajmił Lannon.

W pojedynczym szeregu dostojnie maszerowało za królewskim zwierzem dwadzieścia bestii, poruszających uszami i wywijających trąbami.

— Na co polujemy, panie? Na młode czy kość słońcowa? — pytali myśliwi.

— Najpierw na młode. Treserzy prosili o dwa tuziny małych pomiędzy piątym i dziesiątym rokiem życia. Będziemy je chwycić dziś rano, ponieważ jako pierwsze będą szły płodne samice. A później zajmiemy się kością. Zwiadowcy donieśli o dużej liczbie wspaniałych samców, żerujących wzdłuż rzeki.

Niecka wybrana przez Lannona okolona była stromymi zboczami. Miała kształt okręgu o średnicy może pięciuset kroków. Ścieżka słońi wychodziła na nią przez wąski skalny przesmyk, przecinała kotlinę i pięła się stromo wyżej. Teren porośnięty był gęstym lasem. Lannon rozlokował swoje słońce w zasadzce. Zmuszono je do klęku, aby zapewnić im lepszą osłonę. Czekać, myśliwi zjedli śniadanie złożone z zimnych placków z prosa, sera i pieczonej wołowiny. Popili jadło czerwonym winem. To był myśliwski posiłek spożyty z apetytem, pobudzonym narastającym podnieceniem łowami. Jedząc, spoglądali w kierunku czujek rozstawionych w wyższych partiach stoków, których zadaniem było zasygnalizowanie nadejścia stad.

Trawę wciąż pokrywała rosa, kiedy niewielka sylwetka na tle nieba zaczęła gorączkowo wymachiwać ramionami. Lannon chrząknął zadowolony i otarł tłuszcz z ust i palców.

— Chodź, Ptaku Słońca — powiedział i jeszcze raz wspiął się na grzbiet klęczącego słońca.

Długie wyczekiwanie napinało nerwy. Nagle mały Xhai, wiercący się niecierpliwie przy boku kapłana, zmrużył ciemnożółte oczy.

— Tam są — szepnął. Niemal w tej samej chwili samotny słoń wynurzył się z przesmyku i znieruchomiał na krawędzi niecki. To była stara samica, szara, chuda, bez kłów. Podejrzliwie rozejrzała się po kotlinie, wysoko unosząc trąbę, żeby posmakować powietrza i wdmuchać je do gruczołów węchowych w dolnej wardze. Lekki suchy podmuch wpadający do kotliny oddalał od niej zapach czyhających ludzi. Słońca opuściła trąbę i ruszyła przed siebie.

Z przesmyku wyłoniła się lawina wielkich szarych ciał.

— Samice rozplodowe — mruknął Lannon.

Hu spostrzegł drepzące za nimi małe. Różniły się rozmiarami; niektóre zdawały się w pełni wyrosnięte, a inne nie były większe od dużej świni. Młodsze dokazywały hałaśliwie, piszcząc i kręcąc się pod nogami matek. Hu uśmiechnął się, widząc wysiłki malucha próbującego ssać idącą matkę, na oślep szukającego sutka swoją

miniaturową trąbą, dopóki zirytowana samica nie podniosła leżącej na ziemi gałęzi i nie zdzieliła go bezlitośnie po krzyżu.

Cała kotlina wypełniła się dzikimi słoniami. Ich szare grzbiety unosiły się nad zaroślami, przesuając się wzdłuż pradawnego szlaku wiodącego ku wyjściu z niecki.

Lannon nachylił się i dotknął ramienia tresera; wojenny słoń podniósł się, unosząc ich tak wysoko, że mogli z góry spojrzeć na teren łowów. Pozostałe słonie również wynurzały się z ukrycia z ludźmi siedzącymi na ich grzbietach. Cicho zacieśniały krąg wokół stada. Kwik i harmider czyniony przez młode tłumiły kroki oswojonych zwierząt, które szybko znalazły się tuż przy stadzie.

Lannon wybrał młodą samicę z wyrosniętym cielakiem i wychyliwszy się z fortecy, cisnął oszczepem w jej kark. Samica zakwiczała z bólu i strachu. Jaskrawoczerwona krew z przeciętej arterii trysnęła z czubka jej trąby. Śmiertelnie zraniona, zatoczyła się w tył. Z pozostałych fortec również posypały się oszczepy. Słonie rzuciły się do ucieczki; las zadrżał od ich galopu.

Pomimo obietnicy danej bogom Hu nie podniósł swego łuku, przypatrując się rzezi przerażonych bestii. Zobaczył starą samicę najeżoną strzałami i oszczepami, szarżującą na jednego z wojennych słoń i powalającą go na kolana. Oddaliła się truchtem, wciąż ogarnięta bitewnym szaleństwem, upadła i zdechła. Zobaczył małego słonia trafionego przez pomyłkę, usiłującego wyrwać strzałę ze swego boku i kwiczącego żałością, kiedy kolczaste ostrze nieustępliwie zagłębiało się w ciało. Zobaczył i innego, daremnie próbującego ożywić dotykiem swej małej trąby bezwładnie leżącą matkę.

Lannon krzychał podekscytowany, ciskając oszczepy w karki i kręgosłupy ze śmiertelną precyzją. Wokół pojawiły się wielkie martwe cielska. Jedna z samic zaatakowała z boku; rozszoszona stara królowa, wielka i silna, rzuciła się do walki. Lannon odwrócił się w jej stronę, zaparł się o ścianę fortecy i cisnął oszczep, ale stara królowa podniosła trąbę i ostrze trafiło ją w głowę, głęboko wgrzyzając się w mięsiste, czułe okolice poniżej oczu. Zakwiczała z bólu, ale nie ustała w pędzie i Hu z zalem uniósł swój łuk. Wiedział, że słonica będzie szarżowała do upadłego i tylko śmierć może ją zatrzymać. Podniosła głowę i trąbę, szykując się do zadania ciosu. Hu dostrzegł szeroko rozdziawioną paszczę i obwisłą wargę. Naciągnął cięciwę i zwolnił strzałę, mierząc w tylną część gardła zwierzęcia. Niemal cała strzała znikła w rozwartej paszczy, słonica opadła na zad, wstrząsana dreszczami, a w rannym gardle zabulgotał zduszony ryk.

Zabili czterdzieści jeden samic. Dziewięć słońiątek zostało uznanych przez treserów za zbyt młode, by mogły przeżyć bez matek, więc zgładzono je. Inne zostały otoczone przez specjalnie wytresowane samice i odprowadzone od krwawiących zwłok matek. Do południa praca była ukończona, a na placu rzezi pojawili się niewolnicy, którzy oprawiali powalone słonie i odnosili mięso na stojaki wędzarni. Przypominająca rzeźnię niecka wypełniła się cuchnącymi wyziewami, a w górze zaczęły krążyć ciemne chmury padlinożerców, niemal przysłaniając słońce.

Lannon zjadł południowy posiłek w towarzystwie dworu i mistrzów łowiectwa. Świeże zapiekane flaki, przyprawione gorącym sosem paprykowym, gotowane serce słonia nafaszerowane ryżem i oliwkami, tace złotych placków z prosa i niezawodna zawartość glinianych amfor zaspokoili apetyt łowców.

Król w doskonałym humorze spacerował wśród swoich ludzi, żartując, temu i owemu udzielając specjalnej pochwały. Wciąż rozgorączkowany po niedawnym polowaniu, zatrzymał się koło kapłana i chcąc mu dokuczyć, powiedział:

— Mój biedny Ptaku Słońca, podczas całego polowania wypuściłeś zaledwie jedną strzałę.

Hu miał już na końcu języka beztróską odpowiedź, kiedy nagle Zadał, łowczy ze

środkowego królestwa, wybuchnął śmiechem.

— Czy to łuk był dla ciebie zbyt twardy, wasza świątobliwość, czy zwierzyna zbyt dzika? — zapytał.

Zapadła dojmująca cisza i wszystkie twarze zwróciły się ku szczupłemu, smągłemu mężczyźnie o wąskich, szyderczych ustach i jasnych oczach.

Minęło kilka sekund ciszy, nim Zadal zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. Rozejrzał się szybko i z dreszczem lęku spostrzegł, że obecni patrzą na niego jak na skazańca. Obok rozległ się cichy, lecz dobitny głos:

— Jesteś już trupem.

Pospiesznie, z prawdziwym strachem, Zadal spojrział na Hu Ben-Amona. Zbyt późno przypomniał sobie o reputacji kapłana. Mówiono, że nie żyje już nikt z tych, którzy drwili z jego garbu, wzrostu czy odwagi. Z ulgą dostrzegł lekki uśmiech kapłana i ostrożnie wytarł dłonie w rąbek tuniki.

— Dzięki ci, Wielki Baalu — powiedział cicho Hu, uśmiechając się nieznacznie. — Masz rację przypominając mi o mojej obietnicy. Trzymałem się z dala od polowania. Wybacz mi, Wielki Baalu. Teraz dam ci szansę.

— Zadału... — zaczął cicho. Wszyscy pochylili się, chcąc usłyszeć padające słowa. — Czy polecisz ze mną na skrzydłach burzy?

Zebrani poruszyli się, słysząc wyzwanie. Wymieniając pospieszne komentarze, obserwowali twarz Zadała. Pobladał a usta ścisnęły się w wąską białą linię.

— Zakazuję — oświadczył dobitnie Lannon. — Nie pozwolę ci na to, Hu. Jesteś dla mnie zbyt cenny, by trwonić życie w...

Hu przerwał mu spokojnie:

— Wasza wysokość, to sprawa honoru. Nazwał mnie tchórzem.

— Nikt nie polował w ten sposób od pięćdziesięciu lat — sprzeciwił się Lannon.

— To zbyt długo — uśmiechnął się Hu. — Prawda, Zadału? Obaj wskrzesimy ten zwyczaj.

Zadal patrzył na niego z trwogą, przeklinając swój niesforny język.

— A może zwierzyna jest dla ciebie zbyt dzika? — spytał kapłan.

Przez długie sekundy wydawało się, że Zadal odrzuci wyzwanie, ale nagle skinął głową.

— Jak sobie życzysz, wasza świątobliwość.

Wiedział, że towarzysze mieli rację. Był już martwy. Niewolnicy pozbierali do dwóch wielkich koszy zawartość jelit martwych słońi. Kiedy rozebrani do naga Hu i Zadal rozsmarowywali po swoich ciałach żółte łajno, dobiegł ich głos Bakmora rozmawiającego z Mursilem.

— Nie wierzę, żeby dało się zabić dorosłego samca toporem. To tylko jakaś niesamowita forma samobójstwa.

— Dlatego nazywają to lotem na skrzydłach burzy.

Odchody słońiowe wydzielały ohydny odór, na tyle mocny, by zamaskować woń człowieka. To była jedyna ochrona, na jaką mogli liczyć myśliwi, jedyna szansa dostania się w pobliże bestii. Ostry zmysł węchu to główna obrona słońia, gdyż jego wzrok jest słaby.

Timon oddalił się od świty króla i pomógł kapłanowi, rozprowadzić łajno po plecach. Szybko zrozumiał, na czym miały polegać łowy.

— Wysoko urodzony, boję się o ciebie — powiedział łagodnie.

— Sam się o siebie boję — przyznał Hu. — Rozetrzyj je grubo, Timon. Wolę śmierdzieć niż zginąć.

Hu spojrział w dół stromego stoku rozszerzającego się ku dolinie. Droga słońi wiała się zygzakami przez rzadki las. Tam zagrodzą drogę następnemu stadu.

Kapłan rozejrzał się wokół; spostrzegł myśliwych, którzy rozsiedli się wzdłuż

grani, wybierając najdogodniejsze punkty obserwacyjne. Napotkał spojrzenie Zadała, umazanego żółtymi nieczystościami od głowy aż do stóp. Jego dłoń zbyt mocno zaciskała się na drzewcu topora. W ciemnych oczach widniał strach, widoczny również w napiętej postawie. Hu uśmiechnął się do niego, ciesząc się niepokojem młodego człowieka. Zadał odwrócił głowę. Wargi mu drżały.

— Jesteś gotowy? — zapytał Hu. Zadał kiwnął głową. Nie mógł zaufać głosowi.  
— Chodź więc — powiedział Hu, ruszając w dół pochyłości.

Na ścieżce pojawił się Lannon. W jego oczach czaiło się przeczucie czegoś złego, a uśmiech nie maskował zmartwienia.

— Ten głupiec Zadał przemówił w pośpiechu. Nie miał zamiaru cię obrażać. Nikt nie wątpi w twoją odwagę, Hu, poza tobą samym. Nie staraj się jej dowieść za wszelką cenę. Moje życie będzie niepełne bez Ptaka Słońca.

— Panie... — powiedział tylko Hu ochryplym głosem. Troska Lannona poruszyła go głęboko.

— Pierwszy cios jest najbardziej niebezpieczny. Uważaj, by bestia padając nie przygniotła cię.

— Będę pamiętał.

— I nie zapomnij wykapać się, nim zasiądziesz ze mną do dzisiejszej wieszery — dodał król.

Dwukrotnie podczas tego popołudnia niewielkie stada słońi mijały ich, przesuając się szybko między drzewami w górę zbocza. Za każdym razem Hu przecząco potrząsał głową, pozwalając im przejść spokojnie, ponieważ były to tylko samice oraz młode byki.

Dzień zbliżał się do końca i Hu zaczął odczuwać ulgę. Być może bogowie wydawszy łaskawy wyrok nie wystawią go na próbę?

Siedzieli cicho obok ścieżki, ukryci za małpimi winoroślami zwisającymi z jednego z drzew. Łajno zaschło na ich ciałach drażniąc skórę. Hu siedział z sępiem toporem ułożonym na kolanach, przyglądając się ścieżce z nadzieją, że nic nie pojawi się na niej przed zmrokiem i będzie mógł zrezygnować z tego szaleństwa, do którego pchnął go honor. Dziwne, beczynność stepia nawet najostrzejsze namiętności — pomyślał i uśmiechnął się krzywo, gładząc drzewce topora.

U stóp stoku dostrzegł poruszenie się czegoś szarego, co przypominało dym snujący się między drzewami, i poczuł, że cierpnie mu skóra. Zadał także to zauważył; zaprzestał niecierpliwego wiercenia się.

Czekali. Nagle spomiędzy drzew wyłoniły się dwa słońie. Dwa wielkie, stare byki z ciężkimi kłami kroczyły godnie w górę zbocza. Dzielił je dystans stu kroków. W stąpnięciach zwierząt znać było czujność i rozwagę, co znaczyło, że niedawno je niepokojono, a może zraniono.

— Weźmiemy te dwa — szepnął Hu. — Wybierz, którego chcesz zaatakować.

Zadał milczał przez chwilę, spoglądając na słońie okiem znawcy. Prowadzący samiec był starszy, jeden z jego kłów był odłamany tuż przy wardze. Wyglądał szczuplej i zwinnie niż jego towarzysz, a fakt, że prowadził, wskazywał na jego większe doświadczenie, większą czujność, natomiast ułamany kieł zdawał się świadczyć o możliwości nieobliczalnego zachowania bestii.

— Drugi — szepnął.

Hu skinął głową, gdyż oczekiwał takiej decyzji.

— Cofniemy się teraz. Musimy zaatakować równocześnie.

Porzucił schronienie pod wiszącymi pędami i przemknął wzdłuż ścieżki, oddalając się od Zadała na odległość równą tej, która dzieliła słońie.

Hu opadł w kępę szorstkiej trawy przy szlaku słońi i obejrzał się za siebie. Słońie kroczyły równym krokiem w kierunku myśliwych. Prowadzący samiec minął

kryjówkę Zadała i szedł dalej. Hu spostrzegł, że odstęp między bykami zmniejszył się. Słoń Zadała dotrze do niego, zanim prowadzący dojdzie do kępy, w której leżał Hu.

Gdyby jeden z myśliwych zaatakował za wcześnie, drugi słoń stałby się czujniejszy, a niebezpieczeństwo zwielokrotniłoby się. Hu wiedział przy tym, że nie może liczyć na rozwałę Zadała. Ten człowiek będzie myślał wyłącznie o sobie.

W tym momencie ujrzał Zadała opuszczającego swoje schronienie w pnącach i cicho wybiegającego na ścieżkę za drugim samcem. Jego słoń był wciąż o pięćdziesiąt kroków od kryjówki łowcy.

Zadał podążał za swoim słoniem, biegnąc tuż za nim. Hu poczuł przelotny podziw. Być może źle go ocenił, być może Zadał będzie się trzymał za słoniem, czekając, aż Hu zdąży zająć swą pozycję.

Wtedy zobaczył wznoszący się topór i błysk opadającego ostrza. Rozległ się ryk bólu i trwogi. Samiec Hu zerwał się do biegu. Pędził w jego stronę, aż wypełnił mu całe pole widzenia.

Hu podniósł się z ukrycia, oceniając, że ma tylko kilka krótkich chwil na zadanie ciosu. Potem słoń umknie.

Długimi skokami pognął wzdłuż wznoszącej się ścieżki, wiedząc, że jeśli się przewróci, stoczy się ze zbocza. Z całych sił wyciągając długie nogi, zbliżył się do zadu słonia.

Przy każdym kroku, gdy olbrzymi ciężar szarego cielska opadał na tylne nogi zwierzęcia, ścięgnią biegnące od kolan do pięt napinały się pod pofałdowaną skórą. Grube węzły ścięgien pęczniały i wybrzuszały się, przejmując przy każdym kroku cały ciężar słonia.

Hu zmienił kierunek biegu, przebiegając za zwierzem a kiedy ścięgnią najbliższej nogi naprężyło się, ciął je ostrzeni sepiego topora.

Samiec pochylił się gwałtownie, tracąc równowagę, gdy noga ugięła się pod nim, zatańczył dziko na skraju ścieżki opierając ciężar ciała na zdrowej nodze.

— Na Baala! — krzyknął podekscytowany Hu, jeszcze raz unosząc topór. Drugie ścięgnią rozdzieliło się równie gładko i wielka bestia runęła na ziemię. Hu uskoczył przed upadającym cielskiem.

Tańcząc wokół pólśiedzącego zwierzęcia, Hu szykował się do zadania ostatecznego ciosu, wiedząc, że ma tylko kilka sekund, by wykorzystać moment zaskoczenia, kilka sekund, nim okaleczone zwierzę znajdzie nowy punkt oparcia, a zarazem zobaczy przeciwnika, i rozpaczliwie szukał swojej szansy.

Samiec dźwignął się na przednie nogi, wlokąc za sobą sparaliżowany zad. W bezrozumnym szale wyrывał drzewa, zataczając straszliwą trąbą dzikie kręgi i orząc ziemię jedynym kłębem.

Hu podbiegł, lekko nurkując pod młócacą trąbą. Ze wzniesionym nad głową toporem wskoczył na szeroki grzbiet samca.

Sękaty kręgosłup rysował się wyraźnie pod pomarszczoną suchą skórą, wielkie stawy słonia naprężyły się. Hu uderzył. Morderczy cios zmiażdżył kość i rozerwał miękki rdzeń kręgosłupa. Samiec zadrzał i upadł na ziemię, wstrząsany śmiertelnymi drgawkami.

Hu zeskoczył z pulsującego jeszcze ciała i oddalił się skokiem poza zasięg nóg i trąby zdychającej bestii. Poczuł krzepiące uczucie tryumfu i ulgi. Dokonał tego — przeleciał na skrzydłach burzy — i przeżył.

Odwrócił się. Zadał popełnił błąd. Jego drugi cios nie trafił w ścięgnią; słoń stał na trzech nogach, ale zwinnie i szybko osaczał polującego nań człowieka. Zadał odrzucił topór i biegł zakosami w górę stoku. Samiec zakwicział przeraźliwie z wściekłości i wyciągnąwszy trąbę dosięgnął Zadała. Owinał trąbę wokół jego ciała i cisnął nim wysoko w powietrze, ponad wierzchołki najwyższych drzew. Ciało Zadała obracało

się bezwładnie w powietrzu, po czym spadło na skalistą powierzchnię. Słoń oparł jedną nogę na plecach człowieka i trąbą oderwał mu głowę, jakby zabijał kurczaka, i rzucił ją za siebie. Potoczyła się w dół zbocza, podskakując jak piłka.

\* \* \*

— Nadaję ci nowy tytuł. — Lannon podniósł czarę z winem, a wśród wojowników zapadła pełna wyczekiwania cisza. — Oddaję cześć człowiekowi, który przeleciał na skrzydłach burzy.

Hu spuścił skromnie wzrok, rumieniąc się nieznacznie.

— Hu Ben-Amon — Topór Bogów! — zawołał Lannon. Goście podjęli okrzyk, salutując bohaterowi zaciśniętymi pięściami.

— Wypij, mój Ptaku Słońca! — Lannon podał kapłanowi własną czarę.

Hu wysączył wino, uśmiechając się do otaczających go towarzyszy. Tej nocy nie będzie zaglądał zbyt głęboko do naczynia z winem. Nie chciał, by przyćmiło uczucie radości. Bogowie udzielili mu odpowiedzi! Siedział milcząc w samym środku hałaśliwej biesiady, ledwie słysząc śmiech i żarty. W duszy słodki głos śpiewał jedno słowo: „Tanith! Tanith!”

Kiedy podniósł się do wyjścia, Lannon zaczął ciągnąć go za skraj tuniki.

— Nie wyjdiesz stąd na własnych nogach. Zasłużyłeś na to, by odnieść cię na posłanie! Wyzywam cię na pojedynek.

Hu odrzucił wyzwanie. Roześmiał się i potrząsnął głową.

— Jedno wyzwanie dziennie wystarczy, panie, błagam.

Noc była cicha, a niebo jasne od gwiazd. Dzienny skwar osłabł, a tchnienie nocnego wiatru na twarzy przypomniało Hu pieśczętą jedwabistych włosów Tanith.

— Iszta! — Bogini wynurzyła się spoza doliny. Żłocisty dysk jej oblicza oświetlił ziemię łagodnym blaskiem. — Matko Ziemi, dziękuję ci — wyszeptał Hu. Poczuł łzy szczęścia spływające po policzkach.

Zawrócił w kierunku swojego namiotu.

— Tanith — szeptał. — Tanith.

Szedł wśród cieni, gdy jego uwagę zwrócił jakiś ruch. Przystanął. Przy jednym z ognisk przykucnęła kobieca postać — niewolnica przy żarnach.

Blask ognia uwydatniał jej powabne rysy i lśnił na ciemnej skórze. Hu rozpoznał Sellene. Niewolnica podniosła wzrok, spoglądając wyczekująco. Z ciemności wyszedł mężczyzna, a twarz dziewczyny zapłonęła uwielbieniem i pozbawioną wszelkiego wstydu miłością. Mężczyzna wszedł w krąg światła. Jedno spojrzenie na potężne ciało i okrągłą łysą głowę wystarczyło kapłanowi, żeby rozpoznać Timona.

Sellene podeszła szybko do Timona i objęła go. Potem obwąchali swoje twarze w dziwnym miłosnym powitaniu pogan, tuląc się do siebie. Hu uśmiechnął się z czułością. Jako kochanek darzył sympatią wszystkich kochanków.

Timon wyswobodził się z objęć dziewczyny i trzymając ją za ramiona, cicho coś tłumaczył. Dobiegło Hu stłumione dudnienie głosu niewolnika; dziewczyna przyjęła jego słowa skinieniem głowy.

Timon zniknął pomiędzy namiotami. Sellene podeszła do żaren i napełniła prosem skórzany worek, po czym rozejrzała się ukradkiem i odeszła w mrok śladem kochanka. Hu uśmiechnął się.

„Muszę pomówić z Lannonem — pomyślał. — Mógłbym pomóc tym dwojgu połączyć się”.

W namiocie zdjął z półki złoty zwój i rozpostarł go na palecie. Wyregulował knot lampy, ujął narzędzia do rycia i zaczął zapisywać poemat do Tanith.

Jej włos jest ciemny i miękki jak dym płonących papirusów ponad jeziorem —

napisał, zapominając natychmiast o spotkaniu Timona i Sellene.

Wyczerpanie zmogło go krótko po północy. Oparłszy się o paletę, zasnął z policzkiem na miłosnym poemacie do Tanith. Płomień lampy zaczął kopcić, przygasł i zniknął.

O świcie potrząsnęły nim czyjeś szorstkie dłonie. Oszołomiony, otworzył oczy. Stał nad nim łowczy Mursil.

— Wielki Lew posłał mnie po ciebie, wasza świątobliwość. Psy są na smyczach, a nadzorcy niewolników już się zebrałi. Dwoje niewolników uciekło w nocy; król zaprasza cię do wzięcia udziału w pościgu.

Wpółprzebudzony Hu wiedział, kim są zbiegli.

— Głupcy — wyszeptał. — Och, co za głupcy. — Podniósł wzrok na Mursila. — Nie — oznajmił. — Nie pójdę. Źle się czuję. Powiedz królowi, że jestem chory.

\* \* \*

Sellene stała w cieniu, nasłuchując pijackich wrzasków i wybuchów śmiechu w królewskim namiocie. Pod krótkim płaszczem ukryła skórzany worek z ziarnem, wiązkę płatów uwędzonego mięsa i mały gliniany garnuszek. To było jedzenie dla obojga na cztery dni, a do tego czasu przekroczą już wielką rzekę. Sellene przepełniał strach, a jednocześnie czuła uniesienie. Planowali tę chwilę od dwóch lat, a teraz, kiedy nadeszła, łyż wzruszenia pojawiały się na okrągłej twarzy dziewczyny.

Wreszcie przyszedł Timon. Cicho pojawił się u jej boku. Ujął ją za rękę i poprowadził do obrzeży obozu. Zobaczyła, że też ma na sobie płaszcz, sponad ramienia wystaje mu łuk i kołczan, a do biodra ma przypasany krótki żelazny miecz, mimo że niewolnikowi nie wolno było nosić broni, a jedyną karę za złamanie tego zakazu stanowiła śmierć.

Przy bramie palisady stało dwóch wartowników, i kiedy Sellene odezwała się do nich, oferując swe wdzięki, Timon gołymi rękami skrzył im karki, chwytając każdego jedną dłonią i potrząsając tak, jak pies trzęsie szczurem. Żaden nawet nie krzyknął. Timon delikatnie złożył martwe ciała i wyszedł z Sellene na zewnątrz.

Przeszli przez nieckę, w której oprawiano słonie. Noc wypełniła się ohydny dźwiękami uczujących padlinożerców. Hieny i szakale walczyły z sobą o krwawe ochłapy i odłamki kości. Z nagim mieczem w dłoni Timon przeprowadził Sellene na drugą stronę, i chociaż hieny zaczęły skradać się w ich stronę z wyciem i chichotem, dotarli do przesmyku i skierowali się wzdłuż ścieżki ku dolinie. Jasno świecący księżyc ułatwiał im szybki marsz. Zatrzymali się tylko raz u brodu strumienia, żeby odetchnąć i napić się wody, po czym pospieszyli dalej na północ.

Raz natknęli się na lwa. Był to wielki samiec, którego głowa, otoczona ciemną kryzą grzywy, lśniła w blasku księżyca upiorną szarością. Przez długie sekundy patrzyli na siebie, aż lew zawarczał cicho i skoczył w zarośla przy ścieżce. Niedawno jadł i dwa ludzkie ciała nie wzbudziły jego zainteresowania.

Księżyc — cztery dni po pełni — przetoczył się przez rozgwieżdżone niebo i opadał ku mrocznemu horyzontowi. Kiedy zaszedł, tylko niewyraźna poświata gwiazd oświetlała uciekinierom drogę. Sellene potknęła się na jakiejś nierówności gruntu i upadła.

Timon usłyszał jej okrzyk i odwrócił się szybko. Leżała na boku, pojękując cicho.

— Zraniłaś się? — zapytał, opadając przy niej na kolana.

— Moja kostka... — wyszeptała głosem ochryplym z bólu.

Timon obmacał jej nogę. Kostka już była gorąca. Timon czuł, jak nabrzmiewa pod jego dłonią i przybiera kształt twardej kuli.

Odciał mieczem pas skóry ze swojego płaszcza i obwiązał kostkę ściśle, tak jak

nauczył go Hu. Pracował w gorączkowym pośpiechu, czując grozę związaną z opóźnieniem marszu.

Kiedy dźwignął Sellene na nogi, krzyknęła, wspierając się na zranionej stopie.

— Możesz iść? — spytał mimo to Timon. Spróbowała zrobić kilka bolesnych nierównych kroków; ciężko dyszała z bólu. Kurczowo przywarła do niego i rozpaczliwie potrząsnęła głową.

— Nie mogę. Zostaw mnie tutaj.

Timon opuścił ją na ziemię, wyprostował się i odpiął swoją broń oraz zapasy. Zatrzymał tylko krótki miecz. Złożył i związał dwa skórzane płaszcze w pętlę, którą owinął Sellene. Zawiązał koniec pętli wokół karku i ramion i podniósł dziewczynę. Skryła się w jego ramionach, obejmując rękami barki Timona. Połowa ciężaru jej ciała opierała się na pętli zawieszanej na karku kochanka. Ruszył przed siebie długimi krokami, zmierzając w dół stromej ścieżki wiodącej na dno doliny.

Do rana pętla otarła skórę na jego karku, pozostawiając na ciemnej szyi krwawą pręgę. Upał wzmógł się, wysysając z Murzyna resztki energii. Jego stopy już dawno utraciły chyżość; posuwał się naprzód tylko siłą woli.

Na krawędzi jednej z trawiastych łąk zatrzymał się i oparł o pień drzewa. Nie chciał złożyć dziewczyny na ziemi w obawie, że nie znajdzie dość sił, aby dźwignąć ją ponownie. Jego usta były białe i okolone zaschlą śliną, a oczy pocięte siatką czerwonych żyłek. Pierś unosiła się i drżała od ciężkiego oddechu.

— Zostaw mnie, Timon — wyszeptwała Sellene. — Inaczej zginiemy oboje.

Timon nie odpowiedział, ale niecierpliwym ruchem głowy nakazał ciszę.

Wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Ona też słyszała słabe i odległe ujadanie psiej sfory.

— Już za późno — powiedział. Rozejrzał się szybko, szukając miejsca do stoczenia walki. Nie mógł liczyć na to, że zdołają ująć przed psami.

— Wciąż jeszcze możesz uciec — nalegała. — Rzeka nie jest daleko.

— Nie ucieknę bez ciebie — odparł.

Przylgnęła do niego, kiedy poniosł ją do miejsca, w którym z ziemi wynurzała się macierzysta skała. Rozrzucone kawałki rozkruszonego granitu przypominały ruiny starożytnego zamku.

Ułożył Sellene delikatnie pomiędzy skałami, opierając plecami o jeden z kamieni. Złożył płaszcz i umieścił go jak poduszkę pod jej głową, po czym przykucnął obok i pieścił jej twarz i szyję z zaskakującą jak na tak potężnego mężczyznę delikatnością.

— Zabiją nas — powiedziała Sellene. — Zawsze zabijają tych, którzy uciekają.

Timon nie odpowiedział; jego palce delikatnie gładziły policzek dziewczyny.

— Zabijają w najstraszniejszy sposób — powtórzyła Sellene, odwracając głowę, żeby na niego spojrzeć. — Czy nie lepiej, gdybyśmy umarli już teraz, zanim dopadną nas psy? — Nie odpowiedział, więc po krótkiej chwili ciągnęła: — Masz miecz, Timon. Dlaczego go nie użyjesz?

— Jeżeli jest z nimi mały kapłan, to mamy pewną szansę. Ma on władzę nad królem. Poza tym pomiędzy nim a mną jest coś. To więź. On nas ocali.

Psy były już blisko i zdawało się, że ich ujadanie stało się bardziej natarczywe, kiedy poczuły wyraźniejszy trop. Timon wstał i wyjął miecz z pochwy. Wyszedł spomiędzy skał i spojrzał ku pochyłości. Pół mili dalej z lasu wypadała psia sfera. Trzydzieści wysokich, silnych psów, o długich łapach i szorstkiej brązowej sierści, z wilczymi łbami i kłami. Były tresowane do ścigania i chwytania zdobyczy.

Timon poczuł, że ciepnie mu skóra, kiedy patrzył, jak rozciągnięta sfera rwie w ich stronę. Za nią biegli opiekunowie stada w charakterystycznych zielonych tunikach i z batami w dłoniach.

Dalej widać było słonie. Było ich pięć, a w fortcach na grzbietach siedzieli wojownicy i nadzorcy niewolników. Słonie z łatwością nadażały za sferą, idąc



równym krokiem, który pozwalał im pokonywać pięćdziesiąt mil dziennie.

Timon osłonił oczy i starał się wyłowić wzrokiem charakterystyczną postać kapłana wśród ludzi w fortcach. Ale słonie wciąż były zbyt daleko, choć sfera zbliżała się szybko.

Starannie owinał płaszcz wokół lewego ramienia i mocno ujął miecz, zataczając nim krótki łuk, by rozluźnić mięśnie.

Prowadzące psy dostrzegły go między skałami i głębokie, regularne ujadanie od razu przeszło w gorączkowy skowyt. Uszy zwierząt trzepotały, a ich długie różowe jęzory zwisały spoza białych kłów.

Timon cofnął się do miejsca, w którym leżała Sellene, by strzec jej przed rozwścieczoną, hałaśliwą sferą.

Pierwszy z psów rzucił się na niego, kłapiąc w skoku wilczą paszczą.

Timon trafił go ostrzem miecza w podstawę gardła, zabijając bestię natychmiast, ale nim zdołał uwolnić ostrze, skoczył inny pies. Timon wepchnął zawinięte w płaszcz ramię w jego szczęki i ciął mieczem trzeciego.

Zaroily się wokół, a on kłuł, ciął i uderzał. Trzepnął ramieniem, w które wczepił się pies, miażdżąc mu żebra o skałę, ale następny zatopił kły w jego łydce, ciągnąc go gwałtownie i pozbawiając równowagi. Wbił więc ostrze miecza w kudłaty grzbiet i pies zaskowyczał, zwalniając uścisk szczęk.

Następny skoczył mu do twarzy, ale tego uderzył w łeb rękojeścią miecza. Wielkie futrzaste cielsko grzmotnęło go w pierś, rozrywając kłami mięśnie na ramieniu.

Było ich zbyt wiele. Opadły go, rwąc ciało, dusząc swą masą i siłą. Opadł na kolana, jedną ręką utrzymując spienione, śliniace się zwierzę z dala od swojego gardła i twarzy, a zęby innego rozdierały tymczasem plecy, brzuch i uda.

Wtem pojawili się treserzy. Batami rozpędzili sferę, przywołali zwierzęta po imieniu, odciągnęli je w tył i uwiązali na smyczach.

Timon wolno uniósł się z ziemi. Zgubił miecz, a jego spocone ciało pokryte było krwią spływającą z głębokich ran.

Podniósł wzrok na piętrzącego się przed nim słonia. Nadzieja zgasła, kiedy zorientował się, że wśród łowców nie ma Hu Ben-Amona, a Lannon Hycanus, Wielki Lew Opetu śmieje się głośno.

— Niezła ucieczka, niewolniku — szydził Lannon. — Myślałem już, że uda ci się dotrzeć do rzeki. — Spojrzał na leżącą Sellene. — A więc moi myśliwi mieli rację. Po śladach poznali, że kobieta skręciła nogę i że musisz ją nieść. Szlachetny gest, niewolniku, niezwykle jak na poganina. Niemniej jednak drogo za to zapłacisz. — Lannon odszukał wzrokiem jednego z nadzorców. — Niewiele byśmy zyskali, zabierając was z sobą. Tutaj wykonamy wyrok.

Timon podniósł głowę i odezwał się mocnym, czystym głosem.

— „Jestem żywym symbolem tej miłości”.

Lannon poderwał głowę, przypominając sobie te słowa. Uśmiech zamarł mu na wargach; wpatrywał się w niewolniczego króla, wpijając wzrok w jego zamglone żółte oczy. Przez długie sekundy życie Timona wisiało na włosku, gdy nagle Lannon spuścił wzrok.

— Bardzo dobrze. — Skinął głową. — Przypomniałeś mi o obowiązkach wobec przyjaciela. Uhonoruję to, ale przysięgam, że będziesz żył, przeklinając chwilę, w której wypowiedziałeś te słowa. Będziesz żył, lecz cały czas będziesz tęsknił do słodczy śmierci. — Z twarzą zastygłą w zimnym gniewie Lannon odwrócił się jeszcze raz do nadzorca niewolników. — Ten człowiek nie zostanie skazany, ale ogłaszam go „niepoprawnym”. Zostanie zakuty w łańcuchy o wadze dwóch talentów.

Oznaczało to niemal sto funtów kajdan noszonych w dzień i w nocy, w czasie marszu i podczas snu.

— Wyślij go do kopalni w Hulya i powiedz jej nadzorcy, że ma go posłać do pracy na najniższych pokładach.

Lannon znów spojrzał na twarz Timona.

— Kobieta nie może rościć sobie praw do mojej protekcji, niemniej jednak zabierzemy ją z sobą. Przykujcie ją do fortecy jednego ze słoni.

Po raz pierwszy Timon okazał się nie tak niewzruszony, za jakiego pragnął uchodzić. Zbliżył się do króla i w geście błagania podniósł fatalnie poharataną rękę.

— Panie, ta kobieta jest ranna. Nie może chodzić.

— Będzie musiała — powiedział Lannon. — Jeśli jednak nie zdoła, będzie wleczona. Ty pojedziesz na grzbiecie słonia i będziesz dodawał jej otuchy. Wystarczy ci czasu, aby ocenić, czy szybka śmierć, którą ci ofiarowałem, nie byłaby cenniejsza od życia, które na mnie wymogłeś.

Skuto przeguby rąk Sellene lekkim łańcuchem, długim na dwadzieścia kroków. Drugi koniec łańcucha przytwierdzono do tylnej ściany fortecy na grzbiecie słonia.

Timon, skuty masywnymi kajdanami przymocowanymi do szyi i kostek, został posadzony na słoni. Posadzili go tak, żeby odwrócony twarzą do tyłu mógł obserwować Sellene, stojącą samotnie i kołyszącą się lekko na jednej nodze. Twarz miała poszarzałą z bólu, ale usiłowała uśmiechnąć się do niego.

Pierwsze szarpnięcie ruszającego słonia powaliło ją na ziemię pokrytą ostrym łupkiem i kępami suchej trawy. Zwierzę wlokło ją po ziemi pięćdziesiąt kroków, zanim zdołała podnieść się i potykając się pokuśtykać za krocącym słoniem. Jej kolana i łokcie pokryte były otwartymi ranami, a ciało na brzuchu i piersiach głęboko rozorane.

Tuzin razy padała i wstawiała znowu, a za każdym razem jej ciało było coraz bardziej sponiewierane i pokaleczone. Krótco przed zachodem upadła po raz ostatni.

Spętany łańcuchami Timon złożył przysięgę. W gniewie, żalu i bólu, patrząc na pozbawione życia ciało Sellene, podrygujące na nierównym gruncie, pozostawiające na suchej afrykańskiej ziemi wilgotny rdzawy ślad, ślubował zemstę. Potem zapłakał, po raz ostatni w życiu ulegając pokusie łez, które mieszały się z krwią i kurzem pokrywającym jego ciało.

\* \* \*

Hu Ben-Amon wrócił do Opetu w środku nocy, przespał pięć godzin, a teraz, wykąpany i odziany w najlepsze szaty, posłał niewolnika, by wezwał wyrocnię Opetu. Zapomniał o krwi i emocjach, jakie przeżywał na stokach doliny wielkiej rzeki, z góry ciesząc się ponownym spotkaniem z Tanith. Zapomniał też o zmasakrowanym ciele Sellene, przywleczonej do obozu przez wojennego słonia, o wysokiej postaci Timona, skurczonej pod ciężarem łańcuchów, odprowadzanego przez nadzorców niewolników, i o strasznych, oskarżających oczach zwróconych ku kapłanowi, o skutych przegubach wzniesionych w geście groźby, a może błagania — tego nie wiedział. Bat nadzorcy niewolników z jękiem przeciął powietrze i wgryźł się w czerń barków, zostawiając grubą jak palec pręgę na ciele Timona.

Po raz pierwszy Hu poczuł się od niego uwolniony i już bez przeszkód oddał się myślom o swej miłości.

Ściągając usta, ostrożnie odmierzył z niebieskiej szklanej fiolki cztery krople przezroczystego płynu do naczynia z winem. Zatkaną butelkę i zamieszał wino palcem wskazującym, po czym zamyślony oblizął go i zmarszczył nos, czując nikły, jakby nieco zbutwiały, smak narkotyku. Żeby go ukryć, dołał trochę dzikiego miodu, spróbował jeszcze raz i nareszcie zadowolony ustawił czarę na jednym z drewnianych taboretów stojących przy stercie poduszek. Stał tam też talerz z plackami i

słodyszami. Hu nakrył naczynie z winem kawałkiem jedwabiu i z przyjemnością spojrzął na efekt swych przygotowań. Wziął lutnię, wszedł po schodach na dach i usiadł na okalającej go balustradzie. Nastroił instrument i przeciągnął palcami po strunach. Obserwował wąską alejkę prowadzącą do bramy domostwa.

W jaskrawym świetle poranka wody jeziora były tylko nieznacznie ciemniejsze niż niebo. Wiatr marszczył powierzchnię w drobne fale. Jedna z galer Habbakuka Lala mknęła pod wielkim żaglem w stronę portu. Morskie ptaki ścigały ją, szybując wokół rufy.

Ponad jeziorem rozbudowywały się wysokie chmury, zwiastujące burzę. Będzie padać jeszcze przed zachodem — pomyślał.

Zaparło mu dech, melodia zamarła pod palcami, kiedy dwie kobiece sylwetki skreśliły w alejkę i podeszły do bramy. Obie miały na sobie szorstkie brązowe szaty z kapturami, jakie nakładały kapłanki Isztar wyruszające poza granice królestwa. Ale obszerne okrycia nie mogły ukryć szybkich kroków i młodzieńczej postawy wyższej postaci ani wieku i irytacji pochylonej sylwetki kuśtykającej z tyłu. Starczy głos, zdyszany i wysoki, nawoływał z rozdrażnieniem:

— Pani, wolniej! Błagam cię.

Uśmiechnął się. Niewolnik otworzył bramę, a gdy dwie postacie przechodziły przez dziedziniec, Hu dobył z lutni pojedynczą rozkazującą nutę. Tanith znieruchomiała. Stara, głucha opiekunka wkroczyła do domu, mruczając i mamrocząc coś pod nosem, a Tanith spojrzała w górę na siedzącego na balustradzie kapłana.

Zaczął śpiewać, a dziewczyna zsunęła kaptur z twarzy i opuściła go na ramiona. Potrząsnęła głową, rozpuszczając tym gestem włosy i przyglądając się Hu zielonymi oczami z wniebowziętym i uroczystym wyrazem twarzy. Hu śpiewał pieśń, którą ułożył na pustkowiach, pieśń do Tanith, zapisaną w złotej księdze, a gdy ostatnia słodka nuta uleciała w powietrze jasnego poranka, policzki Tanith poróżowiły, a usta zaczęły drżeć.

Hu zszedł po schodach.

— Jesteś moją duszą — rzekł łagodnie, a ona pochyliła się ku niemu, jak gdyby popchnięta siłą, której nie mogła się przeciwstawić.

— Panie, nie mogę sobie zaufać, gdy znajduję się przy tobie w miejscu, w którym wiele oczu może nas zobaczyć.

Boję się, że mogłabym zdradzić się z moją miłością nawet przed ślepcem. Bądź silny za mnie.

Kiedy przechodzili przez główny pokój, Tanith potknęła się lekko i na moment przywarła do Hu.

— Och! Nie zniosę tego.

— Jeszcze chwilę, moja ukochana — powiedział drżącym głosem. — Jeszcze tylko krótką chwilę.

Stara kapłanka siedziała już na poduszkach i bezzębnymi dźwiękami żuła kawałek placka. Mamrotała gorzko o swoich bólach i cierpieniach, upuszczając na suknię okruchy placka.

Hu stanął za jej plecami i podniósł przygotowaną czarę z winem. Bezpieczny z racji głuchoty starej kapłanki, zapytał Tanith:

— Mocną ma głowę?

— Jak mężczyzna — uśmiechnęła się Tanith. — Chociaż nie chce się do tego przyznać.

— Uskarża się na bóle w klatce piersiowej albo ma kłopoty z oddychaniem?

— Nigdy. — Tanith była zaintrygowana. — Dlaczego pytasz?

— Wpuściłem do wina kilka gwiazdnych kropli — wyjaśnił Hu. — Ale nie chcę, żeby zasnęła na zawsze.

— Och, ojcze, jakże jesteś przebiegły. — Klasnęła w dłonie dziecinnym gestem, który zawsze poruszał go do żywego.

— Ile kropel? — spytała.

— Cztery.

— Być może i kilka więcej jej nie zaszkodzi — powiedziała Tanith. — Nie widziałam cię od wielu tygodni, wasza świątobliwość. Tak wiele mamy do omówienia.

Podczas całej rozmowy stara kapłanka kiwała głową, robiąc mądre miny, zupełnie jakby rozumiała każde słowo. Hu przyglądał się jej przez chwilę, po czym stanowczo odegnał pokusę.

— Nie! — oznajmił. — Cztery wystarczą. — Podszedł do kapłanki.

Pomarszczona twarz pojaśniała w bezzębnym uśmiechu, a para kościstych dłoni, na których wyraźnie rysowały się starcze plamy i błękitne żyły, sięgnęła po czarę.

— Masz wielkie serce, wasza świątobliwość — zaskrzeczała.

Usiedli i rozmawiając przyglądali się jej niespokojnie. Starucha przedłużała sobie przyjemność, sączyła wino i głośno delektowała się jego smakiem, zanim zdecydowała się przełknąć z młaśnięciem.

— Odkąd się rozstaliśmy, dużo myślałem o tym, co się wydarzyło między nami — powiedział Hu, nie patrząc na Tanith.

— I ja nie myślałam o niczym innym.

— Jako człowieka, którego życie zostało poświęcone służbie bogom, martwiło mnie, że zgrzeszyliśmy przeciw nim.

— Nie może być grzechu w czymś, co daje tak wiele szczęścia...

— Poprosiłem bogów, żeby wyznaczyli mi próbę, próbę mojego grzechu. — Ciągłe nie patrzył w jej stronę.

— Chyba nie wystawiłeś się na żadne niemądre ryzyko, prawda?

— To była uczciwa próba; bogowie nie oszukiwali. Zrozumiała go aż za dobrze.

— Zakazuję ci robienia tych wszystkich głupich rzeczy, jakie robią mężczyźni.

Drzę na samą myśl o tym, jakiego szaleństwa dopuściłeś się tam, na pustkowiu. — Była naprawdę zła.

— To było konieczne. Musiałem dać bogom sposobność do wyrażenia gniewu.

— Równie dobrze mogli wyrazić gniew za pomocą pioruna albo padającego drzewa! Nie życzę sobie, żebyś ich prowokował!

— Tanith, pozwól mi, proszę...

— Widzę, mój panie, że będziesz wymagał w przyszłości ściślejszego nadzoru. Chcę kochanka, a nie bohatera.

— Ale, Tanith, odpowiedź bogów była łaskawa. Nie muszę już żyć w poczuciu winy.

— Ja nigdy nie czułam się winna, ani wtedy, ani teraz Ale, wasza świątobliwość, pogniewam się, a przy moim zblednie gniew boży, jeśli jeszcze raz bez potrzeby zaryzykujesz życie.

Hu odwrócił się w jej stronę ze smutkiem w oczach.

— Och, Tanith, cóż ja bym bez ciebie zrobił?

— Ten problem, mój panie, nigdy się nie pojawi.

W tej samej chwili pusta czara po winie wyslizgnęła się z palców starej kapłanki i potoczyła po glinianej podłodze, a kapłanka wydała długi pomruk zadowolenia i pochyliła się. Hu złapał ją i delikatnie ułożył na poduszkach, poprawiając jej suknię.

Wyprostował się i popatrzył na stojącą przy nim Tanith. Zwrócili się ku sobie i objęli. Jej usta były lśniące, chłodne i zachłanne, włosy łaskotały policzki, a ciało śmiało napierało na niego.

— Tanith — wyszeptał. — Och, Tanith, tak wiele mam ci do powiedzenia.

— Panie, masz głos najpiękniejszy ze wszystkich. Twoja mądrość jest czczona w czterech królestwach, ale proszę cię, zamilknij już. — Oswobodziła się łagodnie z jego objąć, ujęła go za rękę i wyprowadziła z komnaty.

\* \* \*

W ciągu następnych miesięcy opiekunka Tanith rozwinęła w sobie osobliwe upodobanie do wina kapłana. Podczas świątynnych uct przywykła do wypowiadania lekceważących opinii o jakości wina serwowanego przez wielebną matkę, w sposób najmniej życzliwy porównując je z innym, zawsze kończąc słowem modlitwy za kapłana.

— To zacy człowiek — mówiła swoim słuchaczkom. — Czy opowiadałam wam już o Rastafie Ben-Amonie, świętym ojcu za panowania czterdziestego czwartego Wielkiego Lwa, kiedy byłam nowicjuską? Cóż to był za człowiek! Jej spojrzenie zmętniało, a z ust spłynęły niteczki śliny.

— Pił! — powiedziała z cnotliwym oburzeniem. — Walczył! Robił też inne rzeczy... — W zadumie pokiwała głową. — Okropny, okropny człowiek! — Uśmiechnęła się czule do odległych wspomnień.

\* \* \*

Ze skórzanej rury sklezionej smołą wydobywały się wątle podmuchy powietrza. Pompowane przez wielkie miechy z powierzchni powietrze traciło tu, siedemdziesiąt stóp pod ziemią, swą świeżość.

Timon oparł się o wilgotną skałę, przyciskając twarz do wylotu rury i wdychając skąpe podmuchy w piekielnym skwarze i przesiąkniętej siarką atmosferze podziemnego wyrobiska. Schudł i pod czarną skórą wyraźnie rysowały się wszystkie żebra i mięśnie. Głowa, z wychudzonymi policzkami i zapadniętymi oczami, w których wciąż jednak tlił się płomień nieposkromionego ducha, wyglądała jak czaszka.

Cały nagromadzony wcześniej tłuszcz wytopił się do cna w nieustannej harówce i upale. Nawet teraz połyskliwa wilgoć przeciskała się przez pory skóry i lśniła na bliznach krzyżujących się na plecach i opasujących klatkę piersiową, bliznach, które znaczyły też ramiona i nogi, bliznach dawno zasklepionych w grube szramy i błyszczące wyłobienia, bliznach świeżych i różowych, bliznach pokrytych grubymi strupami, spod których sączyła się gęsta wydzielina. Pęta zwisały z szyi, przegubów i kostek Timona. Łańcuchy wytarły na karku i kończynach szorstkie zrogowaciałe kręgi, znak niewolników, noszony przez nich do końca życia.

Głęboko wciągnął powietrze; jego pierś falowała, nabrzmiewała i opadała, żebra pod skórą unosiły się i opadały. Wokół kłębił się dym tłumiący blask lamp.

Od pięciu dni usiłovali skruszyć masę twardej zielonej skały, kryjącej złotą żyłę. Szesnastu ludzi zginęło uduszonych parą i dymem, powalonych przez spiekotę na rozżarzone podłoże. Ich ciała zetknąwszy się z gorącą skałą oddzielały się od kości płatami, wydzielając przykrą woń.

Z szybu opuszczano na splecionej trzciniowej linie wielki bukłak, wykonany z całej skóry wołu, mocno zaszyty i uszczelniony smołą. Mieścił w sobie czterdzieści galonów mieszaniny kwaśnego wina i wody.

Timon zmoczył swój skórzany płaszcz w drewnianym korycie z brudną, ciepłą wodą, a potem kolejno zanurzał w niej stopy, moczając sandały. Ich podeszwy były wzmocnione pięcioma warstwami skóry, chroniącymi nogi przed żarem. Zarzucił płaszcz na ramiona, związał wokół ust i nosa szmatę, zaczerpnął jeszcze jeden

oddech z rury i wstrzymał go w płucach. Wtedy zanurkował pod zwisający bukłak i wziął na ramiona jego ciężar. Sięgnął w górę, szarpnięciem zwolnił węzeł i pochylony pod ciężarem wora powłókł się w stronę tunelu.

Kiedy zbliżył się do ściany, z wilgotnych podeszew sandałów trysnęły krople wody, a skóra zaczęła wydzielać odstręczającą woń. Przez grubą warstwę podeszew Timon wyczuwał żar podłoża. Skwar bijący ze ścian atakował jak uderzenia młota, był jak fizyczna siła trudna do pokonania, z którą musiał się zmagać, by posuwać się naprzód.

Na pracę nie pozostało mu wiele siły. Już teraz nadwerężone płuca falowały ociężale, ale nie ośmielił się zaczerpnąć tchu w pomieszczeniu wypełnionym trującym dymem. Upał wprost parzył odsłoniętą skórę ramion i twarzy, a stopy rozdzierał ostry ból, gdy skała przepalała kolejne warstwy ochronnych podeszew.

Kiedy doszedł do czoła wydrążenia, uwolnił ramiona od ciężaru bukłaka. Jęknął z bólu, bo nieostrożnie dotknął łokciem skały, która błyskawicznie spaliła skórę.

Opuścił bukłak na podłóżo, okręcił się i pobiegł z powrotem przez trujące wyziewy i skwar w dół tunelu, pobrzękując łańcuchami. To był moment, w którym najczęściej ginęli ludzie, gdyż gorąca skała zbyt szybko przepalała skórzany bukłak — często zdarzało się, że tragarz nie zdążył opuścić strefy zagrożenia.

Za plecami Timona bukłak rozerwał się z trzaskiem, a czterdzieści galonów cieczy połało gorącą skałę, wywołując eksplozję. Odłamek trafił Timona w tył głowy ostrą jak brzytwa krawędzią, rozcinając skórę. Zatoczył się, starając się nie utracić jednak równowagi, gdyż wiedział, że upadek na rozpalone podłóżo oznacza śmierć. Utrzymał się jakoś na nogach i dotarł do koryta z wodą. Pospieszenie zanurzył głowę w brudnym, mętym płynie. Gdy woda i krew spływały po jego ciele, kurczowo zacisnął dłonie na rurze powietrznej i dysząc chwycił hausty powietrza. Kaszał wstrząsany nudnościami, a oczy zalewały łyzy bólu.

Kilka minut trwało, nim odzyskał siły na tyle, żeby dowlec się do drabiny prowadzącej na wyższy poziom. Kiedy się wspinał, opuszczano następny bukłak. Timon skulił się przy ścianie wąskiego szybu. Pokonał pięćdziesiąt stóp w ciemności, aż wreszcie wpełzł do słabo oświetlonej, nisko sklepionej pieczary.

Nadzorca niewolników spostrzegł go.

— Dlaczego opuściłeś swoje stanowisko? — Długi bicz ze skóry hipopotama okręcił się wokół żeber Timona, który drgnął z bólu.

— Moja głowa... — wysapał. — Jestem ranny. Nadzorca podszedł bliżej i obejrzał rozcięcie na tyle głowy, z którego wciąż sączyła się krew.

— Wobec tego odpocznij. — Odwrócił się w kierunku przykucniętych postaci, z których wszyscy należeli do „niepoprawnych”. Nosili oni takie same ciężkie okowy jak Timon, ich ciała były jednakowo pokiereszowane i wyniszczone. Nadzorca szturchnął jednego z niewolników końcem bata.

— Ty następny. Szybko!

Niewolnik wstał i powłócząc nogami odszedł w stronę Szybu. Szedł sztywno — wilgoć wyrobisk siedziała w każdej Jego kości. Na brzegu szybu przystanął i zajrzał ze strachem do dymiącego otworu.

— Ruszaj się! — warknął nadzorca. Bicz świsnął w powietrzu i z trzaskiem opadł na plecy niewolnika.

Timon usiadł, opierając łokcie na kolanach i chowając twarz w dłoniach. Płuca zdawały się pękać od dymu, a skaleczenie na głowie piekło i bolało. Żaden ze współtowarzyszy niedoli nawet na niego nie spojrział. Każdy tkwił we własnym piekle. Człowiek siedzący obok Timona zaczął kasłać. Umierał na chorobę płuc. Pył z rozdrobnionej skały wypełnił mu płuca, tężając w nich jak zaprawa. Nikt się nie poruszał, nikt nie odzywał.

Młodszy z nadzorców zaczął kroczyć niespokojnie tam i z powrotem przed szeregiem przykucniętych postaci. Był to śniady, brodaty mężczyzna, po części Yuye, prawdopodobnie wyzwoleniec. Nosił lnianą tunikę i lekką zbroję, na tyle wszakże mocną, by zatrzymać ostrze sztyletu, oraz żelazny hełm chroniący czaszkę przed nierównym sklepieniem tunelu. Miał przypasany krótki miecz i pałkę nabijaną żelaznymi gwoździami. Był bezlitosny i okrutny. Wybrano go do pracy z „niepoprawnymi” z uwagi na jego brutalność.

Zawsze pracowało tu dwóch nadzorców. Drugi był starszy, o siwej brodzie i bladej, niezdrowo wyglądającej twarzy. Okrucieństwem dorównywał młodszemu.

Z mrocznej gardzieli sztolni pięciokrotnie buchnął gęsty pióropusz dymu.

— Dość! — ryknął młodszy z nadzorców. Niewolnik wyczołgał się z wykopu i legł na jego krawędzi, kaszląc i wymiotując. Jego ciało pokrywał osad popiołu, potu i błota. Z ust sączyła się żółć.

— Zabrać go — zakomenderował nadzorca i dwóch niewolników podeszło powłócząc nogami i zawlokło chorego na ławę.

Oczy młodszego z nadzorców prześlizgnęły się wzdłuż rzędu. Niewolnicy zeszywnieli z lęku.

— Ty! — Ostry koniec bicza zatrzymał się na zebrze Timona. — Nie skończyłeś swojej zmiany.

Nikt nie miał tu prawa do odwołania, protesty byłyby głupotą. Wiadomo było o tym od dawna. Timon wstał więc i powłókł się w stronę szybu. Zanim opuścił się w głąb, zawahał się przez moment. Zbyt długo jednak; bicz ze skóry hipopotama przypomniał mu o jego obowiązkach.

Timon podniósł ramiona, chcąc osłonić ciało, i łańcuch rozhuśtał się. W nagłym paroksyzmie gniewu i bólu Murzyn zakręcił ciężkimi kajdanami w tej samej chwili, gdy nadzorca uniósł bat do następnego uderzenia. Łańcuch owinał się wokół jego przedramienia gruchocząc je. Nadzorca cofnął się z okrzykiem zgrozy; złamana ręka zwisała bezwładnie wzdłuż jego ciała. Zaalarmowany zamieszaniem starszy nadzorca — znajdujący się o pięćdziesiąt kroków dalej — wydobył miecz. Kontuzjowany również sięgnął lewą ręką po swój miecz.

Gdzieś głęboko pod pokładami otepienia, w pustce niemal zezwierzęconego umysłu Timona, zatliła się iskra. Przypomniał sobie nagle naukę Hu Ben-Amona: „Jeśli masz dwóch wrogów, rozdziel ich, a potem zaatakuj słabszego”. Wywijając łańcuchem, skoczył w stronę młodszego, który zaraz padł w błoto.

Timon przeskoczył nad nim i żelaznym zatraskiem na przegubie zatrzymał cios drugiego miecza. Wstrząs przeszył bólem całe ramię. Uchylił się przed następnym uderzeniem, zarzucił zwój łańcucha na szyję nadzorcy i mocno zacisnął. Zaatakowany upuścił miecz.

Timon zorientował się, że warczy jak pies, szarpiąc i wciąż zacieśniając łańcuch. Nagle dłonie nadzorcy opadły bezwładnie, pomiędzy nabrzmiąłych warg wydostał się język, a w ciężkim powietrzu rozszedł się cierpki odór fekaliów. Timon pozwolił martwemu nadzorcy osunąć się na ziemię i podniósł z błota jego miecz.

Odwrócił się do jego młodszego kolegi, który, otumaniony, z trudem dźwignął się na kolana. Był bez hełmu; do piersi kurczowo przyciskał złamaną rękę. Timon jednym ciosem rozplatał mu czaszkę. Ciało osunęło się w błoto.

Murzyn szybko rozejrzał się po pieczarze. Od zadania pierwszego ciosu upłynęło ledwie kilka chwil i żaden z osłupiałych niewolników nie był jeszcze w stanie zorientować się, co się dzieje.

Spojrzał na miecz, który trzymał w dłoni, na pociemniałe od błota i krwi ostrze. Czuł, że znów staje się mężczyzną.

Spojrzał na niewolników siedzących na ławie. Żaden nawet nie drgnął. Ich

spojrzenia były zmętniałe, świadczące o zupełnym ośpieniu. To już nie byli ludzie. Timon poczuł chłód lęku. Potrzebował mężczyzn.

Znalazł się taki, imieniem Zama. Był to człowiek w wieku Timona, dziki niewolnik, schwytany za rzeką. Nosił więzy od niespełna roku. Patrząc na niego, Timon dostrzegł, że ożywił mu się wzrok, że unioś podbródek i zacisnął szczęki.

— Młot! — polecił Timon. — Przynieś młot!

Zama wzdrygnął się. Wiele wysiłku woli kosztowało go wyrwanie się z letargu.

— Pospiesz się — ponaglił go Timon. — Mamy mało czasu.

Zama przyniósł jeden z żelaznych młotów górniczych o krótkim trzonku. Timon czuł, że serce pęcznieje mu z radości. Znalazł prawdziwego mężczyznę! Wyciągnął przed siebie przeguby, nie wypuszczając z dłoni skrwawionego miecza.

— Rozbij łańcuchy! — rozkazał.

\* \* \*

Lannon był zadowolony, ale starał się nie okazywać tego. Stał przy oknie, spoglądając w stronę portu, gdzie przy kamiennym nabrzeżu cumowało pięć galer. Lannon okręcił wokół palca kosmyk włosów i uśmiechnął się ukradkiem.

Za jego plecami pedantyczny Rib-Addi czytał księgi, rozczesując palcami rzadką siwą brodę.

— Tego dnia przywieziono do Opetu z południowych równin pięćdziesiąt osiem dużych kłów słoniowych, ważących razem sześćdziesiąt dziewięć talentów.

— Doglądałeś ważenia? — zapytał król.

— Jak zawsze — zapewnił Rib-Addi. Jego urzędnicy podnieśli głowy znad zapisków i widząc, że oblicze Wielkiego Lwa łagodnieje, uśmiechnęli się przymilnie, kiwając głowami.

Lannon chrząknął i znów odwrócił się w stronę okna, a Rib-Addi podjął czytanie monotonnym głosem; król czuł, że jego uwaga rozprasza się, chociaż podświadomość wciąż czuwała, szukając fałszywych nut w głosie rachmistrza. Rib-Addi miał zwyczaj nieznacznie podnosić głos, gdy dochodził do fragmentu, który mógł obudzić niezadowolenie Wielkiego Lwa. Jeżeli zatem zaniżał raporty i nie kończył ocen, Lannon natychmiast to wychwytywał. To utwierdziło Rib-Addiego w przekonaniu, że Wielki Lew jest finansowym geniuszem i że niczego nie da się przed nim ukryć.

Myśli Lannona dryfowały swobodnie, skacząc z tematu na temat. Wspomniał Hu Ben-Amona; poczuł chłodny powiew. W tej przyjaźni tkwiła skaza. Stosunek kapłana do króla uległ niezrozumiałej zmianie. Lannon odrzucił myśl, że spowodowana być mogła długim ochłodzeniem stosunków. Tu chodziło o coś innego! Hu odsunął się od króla, stał się tajemniczy. Rzadko spędzał noce w pałacu i nie uczestniczył w królewskich ucztach. Często, gdy Lannon posyłał po niego nocą, niewolnik wracał z wiadomością, że Hu jest chory albo że śpi lub pisze.

Król zmarszczył brwi. Usłyszał wznoszący się głos Rib-Addiego i odwrócił się szybko.

— Co?! — ryknął.

Twarze obecnych poszarzały ze strachu. Urzędnicy pilnie pochylili głowy nad zwojami.

— Panie, w południowej części kopalni nastąpił ciężki zawal — wyjąkał Rib-Addi. Przestało już go zdumiewać, że wśród masy liczb Lannon natychmiast wychwycił spadek wydobycia w jednej z tuzina kopalń cyny w środkowym królestwie.

— Kto jest tam nadzorcą? To objaw beztroski, której nie będę tolerował. Zagrożone zostało wydobycie, straciliśmy wartościowych niewolników. Wolę



wydawać więcej na drewno z przeznaczeniem na stemple, bo w ostatecznym rozrachunku jest to tańsze.

Rib-Addi podyktował odpowiedni rozkaz jednemu z pisarzy, a Lannon, zapatrzony w widok za oknem powrócił do myśli o Hu Ben-Amonie. Przypomniawszy sobie, że obecność kapłana dodawała wszystkiemu smaku, czyniąc sukcesy cenniejszymi, a rozczarowania i porażki łatwiejszymi do przezwyciężenia. Wszystko, co najlepsze, zdarzało się w obecności Hu.

W rzadkiej chwili szczerości Lannon zdał sobie sprawę, że Hu Ben-Amon jest jedyną istotą, którą mógł uważać za przyjaciela.

Pozycja króla izolowała go od innych. Nie mógł zbliżyć się do nikogo w poszukiwaniu spokoju i ciepła, którego pragnął nawet władcy. Żony i dzieci bały się go; czuły się nieswojo w obecności Lannona i odchodziły z wyraźną ulgą.

W całym królestwie tylko jeden Hu, dzięki swym cechom, był w stanie uczynić życie swego władcy przyjemniejszym.

Potrzebuję go — pomyślał. — Potrzebuję go bardziej, niż on mógłby potrzebować mnie. Jego kochają wszyscy, ale jest on jedynym człowiekiem, który naprawdę mnie kocha. — Uśmiechnął się, kiedy przypomniał sobie, jak Hu sprzeciwił mu się, i że to przede wszystkim on, Lannon Hycanus, czterdziesty siódmy Wielki Lew Opetu, cierpiał, gdy rozeszły się ich drogi.

Nie pozwolę mu odejść znowu — poprzysiągł sobie. — Nie pozwolę, żeby jeszcze raz oddalił się ode mnie, jak wówczas. — Wciąż nie opuszczał go nastrój wyjątkowej szczerości. Zorientował się, że jest zazdrosny o swojego kapłana. — Zniszczę wszystko, co pojawi się między nami. Potrzebuję go.

Pomyślał o ostatniej wyprawie legionu Hu Ben-Amona. Czy rzeczywiście była to sprawa tak niezwykle pilna, że najwyższy kapłan musiał wyruszyć w liczącą czterysta mil podróż, zabierając z sobą dwie kohorty legionistów, a także kapłankę i wyrocznię Opetu, aby poświęcić bogini jakąś mało ważną świątynię w opustoszałym garnizonie? Lannon odniósł wrażenie, że wspomniana świątynia to tylko pretekst i że Hu opuszcza Opet z jakiegoś innego, osobistego powodu, pozostawiając króla znudzonego, samotnego i przewrażliwionego. A Hu wiedział, że Lannon planuje ucztę z okazji swoich urodzin...

Szczęk stóp zbrojnych przerwał te myśli. Do komnaty wpadło trzech wysokich wojskowych; towarzyszył im centurion w zakurzonym płaszczu i zmatowiałej zbroi. Kurz pokrywał jego brodę, grubą warstwą zalegał na sandałach i nagolennikach. Znać było, że człowiek ten przybywa wprost z drogi.

— Panie! Wieści najgorsze z możliwych.

— Co się stało?

— Powstanie niewolników.

— Gdzie?

— W Hulya.

— Ilu?

— Bardzo wielu. Nie znamy liczby buntowników. Ten człowiek — wskazał na centuriona — widział to.

— Mów! — rozkazał Lannon.

— Byłem na patrolu, wasza wysokość. Z pięćdziesięcioma ludźmi przeczesywalismy północne terytorium. Zobaczyliśmy dym, ale zanim dotarliśmy do kopalni, było już po wszystkim. Obalili mury i wyrznęli załogę garnizonu. Odeszli! Wszyscy poza chorymi i kalekami.

— Ilu zostało?

— Około dwustu.

— Co z nimi zrobiliście?

— Poszli pod miecz.  
— Dobrze! — Lannon skinął głową. — Mów dalej.  
— Podążaliśmy za główną grupą uciekinierów. Kiedy wychodzili z Hulya, było ich ponad pięć tysięcy. Szli na Północ.  
— Na północ! — warknął Lannon. — Do rzeki, oczywiście.  
— Szli wolno, bardzo wolno. W czasie marszu plądrowali i palili. Mogliśmy iść za nimi, kierując się znakami dymu i sępów. Ludność umyka przed nimi, pozostawiając cały dobytek. Pustoszą ziemię jak szarańcza.  
— Ilu ich jest? Ilu? — dopytywał się Lannon. — Musimy wiedzieć!  
— Otworzyli kopalnie w Hulya, Tuye i inne. Niewolnicy pracujący w polu też przyłączają się do nich — odpowiedział centurion.  
— Jakich sił trzeba, żeby zatrzymać ten marsz? — zapytał król szorstko. — Ile legionów zostało zmobilizowanych?  
— Dwa legiony przebywają w Zeng — wyjaśnił oficer.  
— Nie będziemy w stanie przerzucić ich na czas — odparł Lannon.  
— Jeden legion w Opecie.  
— Zbyt daleko, zbyt daleko — burknął Lannon.  
— I jeszcze dwa wzdłuż południowego brzegu wielkiej rzeki.  
— Rozrzucone po odległych garnizonach. Wszystkie inne zostały rozpuszczone?  
— spytał Lannon. — Jak długo potrwa zwołanie ich?  
— Dziesięć dni.  
— Za długo! — warknął Lannon. — Musimy zdławić to powstanie z największą bezwzględnością. Rebelia to plaga, rozprzestrzenia się jak ogień w suchych kępach papirusów. Musimy ją zdusić. Do ostatniej iskierki. Jakimi jeszcze siłami dysponujemy?  
— Jest jeszcze jego świątobliwość... — mruknął nieśmiało oficer. Lannon wlepił w niego wzrok. Zapomniał o kohortach kapłana! — Jest teraz w Sinal, dokładnie na trasie marszu niewolników.  
— Hu! — powiedział cicho Lannon.  
Milczał, gdy jego oficerowie pograżyli się w ożywionej dyskusji.  
— Ma z sobą tylko dwie kohorty, tysiąc dwustu ludzi, nie może więc podjąć walki z taką armią.  
— Nie armią, ale niewolniczym motłochem.  
— Niemniej jednak jest ich około trzydziestu tysięcy.  
— Nie zapewnimy mu wsparcia na czas.  
— Byłoby szaleństwem przeciwstawić się takiej masie, panie, a Ben-Amon nie jest głupcem, nie podejmie walki tak nierównej.  
Wszyscy spojrzeli na Lannona, oczekując jego opinii. Uśmiechnął się.  
— Uraduję was. Ben-Amon podejmie walkę. W miejscu i w czasie, jakie jego świątobliwość sam sobie wybierze. W ciągu czterech godzin wyruszę ze wszystkimi dostępnymi siłami, żeby wspomóc Legion Ben-Amona. Ogłoście rozkazy mobilizacyjne dla wszystkich rozpuszczonych legionów i poślijcie gońców do Zeng.

\* \* \*

— Czy będzie bitwa? — spytała Tanith. Jej zielone oczy skrzyły się niecierpliwością, a usta rozchyliły się wyczekująco. — To znaczy prawdziwa bitwa, taka, o którejś śpiewasz?

Kapłan chrząknął, nie podnosząc głowy znad palety pisarskiej, gdzie formułował rozkazy dla dowódcy garnizonu w Sett.

Zbierz wszystkie oddziały znajdujące się w granicach twojego sektora i trzymaj je w obrębie murów garnizonu. Poinformuj mnie o stanie zapasów oszczepów, strzał i innej broni. Jaką liczbą słoni dysponujesz? Rozkaż patrolom rzeczonym, by zakotwiczyły pod murami i oczekiwały moich poleceń. Informuj mnie o stanie rzeki, o tym, które z brodów nadają się do przejścia. Przybędę objąć komendę w ciągu sześciu dni. Moim zamiarem jest przeszkodzenie wrogowi w przekroczeniu rzeki...

Tanith ześlizgnęła się z łoża, stanęła za plecami Hu i położyła palec na jego uchu.

— Panie.

— Proszę cię, Tanith. Jestem teraz bardzo zajęty. To Pilne.

— Nie bardziej niż odpowiedź na moje pytanie: czy będzie bitwa?

— Tak — odparł niecierpliwie. — Będzie na pewno.

— Jak dobrze! — Tanith klasnęła w dłonie. — Jeszcze nigdy nie widziałam prawdziwej bitwy.

— I teraz też nie zobaczysz! — odparł stanowczo, wracając do pisania. — Wyjedziesz jutro rano na słoniu z eskortą pięćdziesięciu ludzi. Zostaniesz w Opecie, póki cała ta sprawa się nie zakończy.

Tanith wróciła do łoża i rzuciła się na nie. Rąbek tuniki podjechał do góry i odsłonił gładkie uda. Patrzyła na tył głowy Hu, a jej usta zacisnęły się w wąską linię.

To tylko twój plan! — pomyślała.

Leżała nie śpiąc. Słuchała rozmów Hu Ben-Amona i oficerów omawiających szczegóły kampanii. Jej namiot położony był w bliskiej odległości od namiotu kapłana, a nie oświetlona przestrzeń pomiędzy nimi pozwalała przemykać się niepostrzeżenie obok wartowników. Wyprawa do Sinal była pomysłem Hu, długotrwałą schadzka, a zarazem ucieczką od zakazów Opetu.

Po drugiej stronie namiotu sędziwa kapłanka Aina mamrotała przez sen. Tanith podniosła jeden ze swoich sandałów i cisnęła w jej stronę. Aina czknęła i ucichła.

Tanith była zbyt podekscytowana rozwojem wypadków, by myśleć o zaśnięciu. Dzika niewolnicza armia zmierzała w tym kierunku, dziesiątki tysięcy dzikusów, którzy zostawiali za sobą ofiary gwałtu, mordu i spaloną ziemię.

Przez cały dzień w obozie pojawiali się uchodźcy, a każdy z nich przynosił świeże opowieści o okrucieństwach zbiegłych niewolników. Miał im stawić czoło Hu Ben-Amon i jego nieliczny oddział bohaterów, a na każdego żołnierza Hu przypadało dwudziestu rebeliantów. Tanith nie zamierzała tego przegapić. W jej pojęciu rezultat był z góry przesądzony. W balladach zawsze zwyciężali bohaterowie. A Hu był w dodatku ulubieńcem bogów, a więc człowiekiem niezwyciężonym. Szkoda tylko, że ulubieniec bogów był po męsku nieznośny, ale Tanith postanowiła go przechytryć.

Było już sporo po północy, gdy usłyszała oficerów głośno zbierających się do wyjścia z namiotu kapłana. Usiadła i spróbowała zmusić się do płaczu. Zazwyczaj przychodziło jej to łatwo. Wystarczyło przypomnieć sobie o szczeniaku, jakiego miała w dzieciństwie. Zabił go lampart. Ale tej nocy sztuczka nie podziałała, dziewczyna musiała więc uciec się do tarcia oczu knykциями.

Hu już leżał. Knot lampy przycięty był tak nisko, że kąty namiotu tonęły w ciemności. Kiedy Tanith wślizgnęła się do namiotu, kapłan poderwał się, lecz zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, padła na łoże obok niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Drżała.

— Co się stało, moja miła? — Przestraszył się.

— Och, panie, miałam straszny sen. Złowróżbny sen.

Hu poczuł na plecach i karku lodowaty dreszcz. W ciągu dwóch lat zrozumiał, że Tanith naprawdę posiadała dar przewidywania. Wykazywała niezbitą zdolność dostrzegania przyszłości, od drobnych incydentów aż do spraw najdonioślejszych. Jeśli udzielał jej jakichś rad, dotyczyły wyłącznie przyziemnych zagadnień. Szczerze

podziwiał jej zdolności.

— Szłam nocą przez pole oświetlone jedynie ogniami stosów pogrzebowych — opowiadała Tanith. — Płakałam, panie. Nie wiem dlaczego, ale ogarniało mnie uczucie wielkiej straty. Musiała odbyć się wielka bitwa; pole było usiane bronią i połamanymi tarczami. Nastąpiłam na sztandar Szóstego Legionu, Ptaka Słońca, porzucony i zdeptyany.

Hu zadrżał z lęku i gniewu: Ptak Słońca na ziemi! To był symbol nie tylko legionu, ale i jego osobisty totem.

— Potem przyszła do mnie nasza pani, Isztar, a srebrne łzy płynęły po jej twarzy. Była bardzo piękna i bardzo smutna. Przemówiła do mnie z naganą; „Powinnaś była zostać przy nim, Tanith. Nigdy by do tego nie doszło, gdybyś była przy nim”.

Pomimo ogarniającego go zabobonnego lęku Hu poczuł iskierkę zwątpienia. Położył dłonie na ramionach Tanith i odsunął ją lekko, żeby jej się przyjrzeć. Był podejrzliwy. Ta opowieść brzmiała zbyt gładko, a wiedział przy tym, że Tanith niełatwo rezygnuje z tego, co sobie wymarzy.

— Tanith — powiedział surowo. — Wiesz, jak poważną sprawą jest przekręcanie słów bogów.

— O tak, panie — przytaknęła żarliwie.

— Twoje proroctwa są świętą powinnością — kontynuował.

Tanith wytarła policzki. Przypomniała sobie, jak Hu używał tej świętej powinności do sterowania politycznym i ekonomicznym życiem narodu, nie wspominając już o korzyściach osobistych. Nie mogła odmówić sobie złośliwej przyjemności odplacenia mu jego własną monetą.

— Wiem o tym dobrze.

Wpatrywał się w jej twarz, ale nie dostrzegał na niej żadnych oznak podstępu. Niezdolna dłużej wytrzymać badawczego spojrzenia ciemnych oczu, Tanith jeszcze raz ukryła twarz w szyi Hu i czekała w milczeniu. Cisza trwała przez długi czas, nim wreszcie Hu przyznał się do porażki.

— Dobrze — powiedział burkliwie. — Zatrzymam cię przy sobie, jeżeli takie jest życzenie bogini.

Tanith przywarła do niego i uśmiechnęła się tryumfalnie, kryjąc twarz w kosmykach jego brody.

\* \* \*

Przez pięć dni Hu obserwował i sprawdzał poruszającą się masę ludzką, ciągnącą ku wielkiej rzece jak ogromna czarna meduza. Zawsze jednak wycofywał się, utrzymując swoje nieznaczące siły w gotowości i pod ścisłą kontrolą, używając ich rozważnie i oszczędnie. Piątego dnia połączył się z garnizonem w Sett.

Mago, starszy rangą dowódca, oddał pod rozkazy Hu Ben-Amona tysiąc ośmiuset łuczników i piechurów, dwanaście wojennych słoni, dwie galery patrolowe, po sto wiosel każda, i cały arsenał garnizonu.

Hu powitał go w południe upalnego dnia na niewysokim wzgórzu dwanaście mil od rzeki i odprowadził na stronę.

— Jestem zaszczycony, mogąc służyć pod twymi rozkazami, ojcze. Mówią, że chwała spływa na tych, którzy idą pod sztandarem Ptaka Słońca — rzekł Mago.

— Ręczę, że okazji do okrycia się chwałą starczy dla wszystkich — powiedział ponuro Hu. Wyciągnął dłoń w kierunku rozległych zalesionych równin. — Oto oni!

Niewolnicza armia posuwała się jak ogromna kolumna poszukujących pożywienia mrówek. Jasna mgiełka pyłu unosiła się nad korony drzew.

— Jaka myśl nawiedza twój umysł, kapitanie? — zapytał cicho Hu, gdy Mago

przyglądał się odległej armii.

— Z tego miejsca, panie, wyglądają jak każda inna maszerująca armia — mruknął niepewnie zapytany.

— I nie dziwi cię to? Przecież to nie jest armia, Mago, to tylko bezładny tłum zbiegłych niewolników. A jednak poruszają się jak armia.

Mago skinął szybko głową.

— Tak! Tak! Ktoś nimi dowodzi, to widać. To prawda, nie można było oczekiwać takiej dyscypliny po zbiegłych niewolnikach.

— Jest jeszcze coś — dodał Hu. — Zobaczysz to za chwilę, ponieważ zorganizowałem małe przedstawienie. Uważam, że należy urozmaicać dietę mnóstwem pieprzu. Za moment dokonamy najazdu na ich wozy z żywnością, a wtedy zobaczysz, co mam na myśli.

Milczeli przez chwilę, obserwując wrogów wolno przesuwających się w ich stronę.

— Jaki jest stan rzeki, Mago? — spytał nagle Hu.

— Bardzo niski, panie.

— Czy bród jest przejezdny?

— Można przebyć go pieszo. Woda w najgłębszym miejscu sięga po szyję, ale nurt jest bystry. Kazałem przeciąć liny kierunkowe. Hu skinął głową.

— Idą w stronę brodu pod Sett. Byłem tego pewny od chwili, gdy wybrali przełęcz Lulule. I tam właśnie ich zniszczymy — oświadczył stanowczo.

Mago spojrzał na niego z ukosa.

— „Zniszczyć” wydaje się dziwnym słowem w ustach wodza trzytysięcznej armii, mówiącego o trzydziestotysięcznym przeciwniku...

— Panie! — zawołał jeden z oficerów. — Zaczął się atak! Hu pospiesznie dołączył do grupy.

— Aha! — powiedział zadowolony. — Bakmor wybrał dobry moment.

Ze starannie przygotowanej zasadzki pięciuset wojowników ciężkiej piechoty Bakmora natarło na skrzydło kolumny niewolników. Faworyt kapłana wypatrzył słaby punkt w ochronnej zasłonie czarnych włóczników, a jego rycerze toporami wysiekli sobie drogę do wozów z zaopatrzeniem. Woźnice zeskakiwali z zaprzężonych w woły wozów i uciekali, kobiety niosące na głowach kosze z ziarnem rzucały je na ziemię i biegly z przeraźliwym krzykiem za woźnicami.

Napastnicy szybko wybili woły i zwalili na stertę kosze z ziarnem. Rozdmuchali ogień w glinianych dzbankach i w ciągu paru minut zrabowane zapasy żywności stały w płomieniach.

— Spójrz! — Hu wskazał Mago reakcję niewolników na niespodziewaną napaść. Od czoła i końca kolumny oddzieliły się formacje włóczników, rozpoczynając klasyczny manewr oskrzydłający. Ich przemieszczenie przeprowadzone zostało z precyzją pozostawiającą wiele do życzenia: wolne i niezdarne, wyglądające niemal na parodię przegrupowania, ale jednak rozpoznawalne jako manewr.

— Znakomicie! — zawołał Mago. — Dowodzi nimi prawdziwy żołnierz, a co najmniej ktoś obeznany ze strategią wojskową.

— Bakmor wie, co robić — zapewnił go Hu.

Kiedy wypowiadał te słowa, odległy oddział uformował szybko czworobok, pancernego zółwia z tarcz, i przebiegł pomiędzy opasującymi go ramionami włóczników. Za nimi płonęły wozy z zaopatrzeniem, a czarny, gęsty dym wzbijał się ponad wierzchołki drzew.

— Dobrze! Dobrze! — Hu uśmiechał się z zadowoleniem i ulgą, klepiąc się rękami po udach. — Świetnie zrobione! A teraz niech ich przywódca pokaże, że jest równie wielkim kwatermistrzem jak taktykiem! Dziś wieczorem z ich obozu

dochodzić będzie burczenie głodnych brzuchów. — Hu ujął Mago pod ramię i odciągnął na bok. — Czarę wina? — zaproponował. — Obserwowanie i czekanie wywołuje jeszcze większe pragnienie niż wywijanie toporem.

Mago uśmiechnął się.

— Jeśli mowa o winie, wasza świątobliwość, mam kilka amfor z winem, które nie obrazi podniebienia nawet tak wybrednego jak twoje. Czy zjesz dziś ze mną kolację?

— Będę oczekiwał jej z najwyższą niecierpliwością — zapewnił go Hu.

\* \* \*

Wino było znośne, a po posiłku Hu i Tanith śpiewali razem dla gości. W kompozycji kapłana, miłosnym duecie między Baalem i Isztar, Tanith śpiewała partię bogini głosem słodkim i przyjemnym dla ucha, interpretując bardziej sugestywne i dwuznaczne wersy ze skromnie spuszczonego oczyma, co wywoływało okrzyki i śmiech gości. Hu zignorował wołania o bis i poważniejąc odłożył lutnię na bok. Zaczął mówić o zbliżającej się bitwie, przestrzegając Mago i oficerów przed lekceważeniem wroga.

— Niewiele brakowało, a drogo bym zapłacił za pomyłkę — powiedział. — Kusiło mnie, żeby wybadać środek kolumny całą swoją siłą. Okazało się, że jest miękki jak świeżo zagniecione ciasto. Poczulem, że mogę ich rozgromić, odnieść zwycięstwo jednym uderzeniem. Gdy ich środek załamywał się, mogłem przebić się i rozdzielić ich. — Przerwał i uczynił znak słońca. — Chwała Baalowi, że tuż przed wydaniem rozkazu zamiany ostrożnego wypadu w atak bogowie udzielili mi ostrzeżenia.

Całe towarzystwo przybrało stosownie uroczyste miny a niektórzy w ślad za kapłanem uczynili znak słońca.

— Spojrzałem po nieprzyjacielskich flankach, które naturalnie zachodziły na moje, i spostrzegłem, jak pewnie stoją. Odniosłem wrażenie, że ustawiono tam najsolidniejsze i najlepsze oddziały, i przypomniałem sobie, jak Hannibal wciągnął w pułapkę rzymskiego konsula. — Przerwał nagle, a na jego twarzy zaświtał błysk zrozumienia. — Kanny! Hannibal! — Wyraźnie przypomniał sobie glinianą makietę bitwy pod Kannami i ustawione na niej żetony. Przypomniał sobie czarną twarz, napiętą i zasłuchaną. — Timon — wyszeptał. — To musi być on!

\* \* \*

Wokół niego znajdowała się armia, potężne skupisko czarnej społeczności, głodne, wyleknione i niespokojne. Płomienie ognisk wykwiwały na południowym brzegu wielkiej rzeki jak ogrodowe kwiaty, barwiąc nocne niebo pomarańczową poświatą. Ognie rozpalono po to, by ogrzały zbuntowanych niewolników. Nie mieli żywności. Nie mieli nic do jedzenia od dwóch dni, ponieważ wróg spalił wozy z zapasami.

Timon chodził nerwowo pomiędzy swymi ludźmi. Widział, jak kulą się wokół ognisk. Głód powodował, że uczucie chłodu wzrastało. Szeptali i lamentowali, napełniając obóz syczącym szmerem, przypominającym odgłosy dobiegające z ula.

Nienawidził ich. Byli bezwolnymi niewolnikami. Jeden na pięćdziesięciu był mężczyzną, jeden na stu — wojownikiem. Gdy Timon tęsknił do chwili, gdy zaciśnie dłoń na drzewcu wojennej włóczni, oni byli jak złamana gałązka. Na błyskawiczne wypadki wroga reagowali powoli i niezdarne. W pięciu nie dorównywali jednemu wojownikowi przeciwnika. Timon tęsknił do ludzi ze swojego plemienia, pragnąc przekazać im to, czego sam się nauczył, wpoić im swoją determinację, przekonać do

konieczności zemsty.

Na brzegu rzeki zatrzymał się i spojrzął na gładką, czarną toń. Na powierzchni wody tańczyły odbicia gwiazd, a na płycznach brodu tworzyły się spiralne zawirowania, jak gdyby w głębinach krył się jakiś potwór.

Trzysta kroków dalej, w połowie szerokości rzeki, znajdowała się mała wysepka, pochłaniana zwykle przez wody przypiływu. Jej powierzchnię pokrywał gruby osad naniesionego przez wodę drewna i splątanych papirusów. To była pierwsza stacja na drodze przeprawy. Tam Timon umocuje liny ze skręconej kory, które splatali jego ludzie. Zainstaluje liny o świcie i spróbuje przeprowadzić całą armię w ciągu jednego dnia. Wiedział, jak ciężkie będą przy tym straty. Ludzie byli słabi z głodu, zmęczenia i ran; liny były wątle, prąd wartki i zdradziecki, a wróg szybki i nieubłagany.

Poszedł w dół rzeki, mijał wartowników, rozmawiał z nimi cicho, zatrzymywał się, by zbadać kręgi splecionych lin, które leżały już gotowe nad brzegiem, aż wreszcie wyszedł poza obręb obozu.

W dole rzeki, tysiąc kroków dalej, a więc, jak go nauczono, o jedną rzymską milę, znajdował się garnizon Sett. Na jego murach płonęły pochodnie. W ich świetle Timon widział poruszających się czujnie wartowników.

W spokojnej zatoczce kołysały się zakotwiczone galery patroli rzecznych. Z wyciągniętymi wiosłami i zwiniętymi żaglami wyglądały jak wielkie gady. Timon spoglądał na nie z niepokojem. Nigdy nie widział okrętów wojennych w akcji i nie wiedział, czego się po nich spodziewać. Kiedy Hu Ben-Amon opowiadał o wielkich bitwach morskich Rzymian, Greków i Kartagińczyków, nie zwracał na to uwagi. Teraz żałował, że nie potrafi choć w przybliżeniu ocenić groźby, jaką stanowiły te dziwne konstrukcje.

Woda niosła ku niemu słabe głosy i chociaż nie odróżniał poszczególnych słów, znajoma modulacja punickiej mowy umacniała jego nienawiść. Słuchał, czując, że gdzieś w głębi jego duszy rodzi się gniew. Pragnął rzucić się na wroga i zniszczyć go. Pragnął zatrzeć wszelki ślad, wszelkie wspomnienie o tych strasznych ludziach o jasnej skórze, ludziach o niezwykłych umiejętnościach, sile i niewyobrażalnym okrucieństwie, ludziach czczących obcych bogów.

Stojąc w ciemnościach i patrząc na odległą fortecę, przypomniał sobie Sellene wleczoną po wyboistym gruncie. Wspomnił niewolników lamentujących w kazamatach Hulya, świst i razy bicza, pobrzękiwanie ciężkich łańcuchów, uniemożliwiający oddychanie żar, głosy nadzorców, które wraz z tysiącem innych wspomnień rozpały i napiętnowały jego umysł. Rozmasował zgrubiałe stwardnienia na przegubach rąk i uświadomił sobie, że przepełniające go uczucia zagrażają rozsądnemu działaniu. Bał się, że fale nienawiści zaleją zdrowy rozsądek, tak jak rozpalona lawa zalewa wszystko wokół. Jego jedynym pragnieniem było zniszczenie wrogów, zatarcie po nich wszelkich śladów!

Zaskoczony, zauważył, że drży, że ciało dygocze z nienawiści. Ogromnym wysiłkiem woli spróbował nad nią zapanować. Pomimo nocnego chłodu po jego twarzy i piersi spływał pot.

Jeszcze nie nadszedł mój czas — pomyślał. — Ale wkrótce nadejdzie.

Tuż obok zamajaczyła jakaś postać. Odwrócił się szybko.

— Zama? — spytał.

Usłyszał potwierdzającą odpowiedź i uwagę:

— Nadchodzi świt.

— Tak. — Timon skinął głową. — Czas zaczynać.

\* \* \*

Z wielką czułością Tanith splatała Hu brodę, a potem zawinęła ją na podbródku i usztywniła tak, by nie zaczepiała o zbroję i aby nie mógł za nią chwycić zdesperowany przeciwnik.

Pracując szeptała pieszczotliwie czułe słówka, charakterystyczne dla bezdzietnej kobiety. Przemawiała do kochanka tak, jak gdyby mówiła do syna. Hu siedział w milczeniu na poduszkach, delektując się zręcznym i delikatnym dotykiem jej dłoni, tkliwymi słowami i łagodnym głosem. Wszystko to było tak różne od tego, co przynieść miał dzień. Kiedy Tanith podniosła się i poszła po ciężką zbroję, odniosła nagłe wrażenie straty.

Pomogła mu nałożyć zbroję, uklękła, by zawiązać taśmy nagolenników, układała fałdy obszernego płaszcza, i chociaż cały czas na jej twarzy widniał uśmiech, Hu słyszał trwogę w jej głosie.

Pocałował ją niezgrabnie i przycisnął do siebie. Drgnęła, gdy żelazna zbroja uraziła jej piersi, nieznacznie odsunęła się, lecz zaraz poddała się pieszczotom.

— Och, Hu — wyszeptała. — Mój panie, moja miłości! Stara kapłanka odsunęła trzciniową matę i weszła do komnaty. Spostrzegła przytuloną parę, która zapomniała o całym świecie. Aina wpatrywała się w kochanków schorowanymi, starymi oczyma, a usta jej wykrzywiły się w bezzębnym grymasie. Cofnęła się, cicho spuszczać matę.

Wreszcie Tanith odsunęła się. Podeszła do ściany, o którą obok łóża kapłana stał oparty sępi topór, podniosła go i odwinęła z ostrza miękką skórzaną osłonę. Uniosła ostrze do ust i pocałowała je.

— Nie zawieź go! — wyszeptała i podała Hu Ben-Amonowi.

W ciemnościach przedświtę grupa gorliwych oficerów stała na wale fortecy, patrząc w górę rzeki, gdzie obozowała wroga armia. Wszyscy byli w pełnym uzbrojeniu i spożywali poranny posiłek stojąc. Hałaśliwie pozdrowili kapłana i Tanith. Tanith przyglądała się im i przysłuchiwała, gdy zaczęli rozmawiać na temat nadchodzącej walki. Nie mogła pojąć, że z entuzjazmem małych chłopców traktują nieuchronność zadawania śmierci, a nawet jej poniesienia.

Poczuła się wyobcowana z tego tajemniczego kręgu mesach spraw i przestraszona zmianą, jaka zaszła w kapłanie.

Jej łagodny poeta, poważny nauczyciel i nieśmiały kochanek płonął tym samym zapałem wojennym co jego towarzysze. W nerwowych ruchach rąk, w plamach rumieńców na policzkach i wysokim chichocie, z jakim pozdrawiał jednego ze zwiadowców Bakmora, rozpoznała wszystkie oznaki podekscytowania.

— Nadszedł nasz dzień. Dość już czekania — oznajmił Hu, patrząc w górę rzeki na poświatę brzasku. Nad rzeką zalegały ciężkie zasłony mgły, a dym z tysięcy obozowych ognisk zasnuwał pola. Hu spacerował niespokojnie. — Niech będzie przeklęta ta mgła! Nie widzę, czy zawiązali już liny w poprzek brodu.

— Czy mam posłać jedną z galer na zwiad w górę rzeki? — spytał Mago.

— Nie. — Kapłan machnął niecierpliwie ręką. — Wkrótce wszystkiego się dowiemy, poza tym nie chcę zbyt wcześnie zwracać ich uwagi na galery. — Podeszedł do balustrady, na której rozstawiono jedzenie. Nalał sobie czarę wina słodzonego miodem i wzniosł ją w stronę kompanów. — Oby wasze miecze miały jasne ostrza!

Kiedy słońce wynurzyło się zza czerwonego, zamglonego horyzontu, Hu zaintonował pieśń powitalną do Baala, a potem, stojąc z odkrytą głową, zwrócił uwagę bogów na zamiar stoczenia niebawem bitwy. W mocnych, acz pełnych szacunku słowach przekonywał swych bogów, że chociaż ludzie, którymi dowodzi, są najlepszymi wojownikami, to jednak przewaga wroga jest tak znaczna, iż będzie potrzebował asysty, jeśli ma przetrwać ten dzień. Liczy więc na współpracę bogów. Uczynił znak słońca i żwawo odwrócił się ku swojemu sztabowi.

— Znacie swoje pozycje i obowiązki. — Kiedy oficerowie się rozchodzili,



odciągnął na stronę Bakmora. — Masz człowieka, który mógłby strzec kapłanki?

Bakmor skinął na posiwiałego starego piechura, który stał nie opodal. Mężczyzna podszedł.

— Znasz swoje obowiązki? — zapytał Hu. Żołnierz kiwnął głową.

— Pozostanę przy kapłance przez cały dzień.

— Nie spuszczaaj jej z oczu ani na moment — przykazał Hu.

— A jeśli wróg odniesie zwycięstwo i zaistnieje groźba, że wpadnie w ich ręce?

— Dobrze — przerwał ponuro Hu. — Jeśli to będzie konieczne, niech cios będzie szybki i pewny.

Odwrócił się od rozmówców i zszedł na brzeg, gdzie czekała mała łódź, mająca dowieźć go do galery.

Stał przy nadbudówce łodzi i czekał. Słońce było już wysoko i mgła rzedła. Galera kołysała się na dziobowej kotwicy, ustawiona pod prąd. Wioślarze siedzieli na swoich ławach, złożywszy tarcze i broń u stóp. Wiosła ułożyli na płask w pogotowiu.

Niewolnicza armia rozpoczęła przeprawę. Z południowego brzegu rzeki przeciągnięto dwadzieścia lin biegnących ku leżącej pośrodku nurtu wysepce, a teraz ciągnięto je do północnego brzegu.

Bród zatłoczony był wielką masą ludzi borykających się z wodą. Przywierając do lin z kory, brnęli ciężko w kierunku wyspy. Widać było tylko ich głowy, długie linie czarnych punkcików, wokół których wirowała woda. W rzece znajdowało się już może piętnaście albo dwadzieścia tysięcy niewolników, a ich liczba rosła, w miarę jak hordy z południowego brzegu wkraczały do wody i chwytaly liny.

Wszystko odbywało się tak, jak zakładał Hu. Grupa na południowym brzegu skurczy się do rozmiarów, które ułatwią zadanie niecierpliwym wojownikom Bakmora. Hu uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak złościć musi młodego dowódcę ta zwłoka. Jeszcze czekamy — zdecydował Hu, patrząc na pierwszych niewolników wyłaniających się z zielonych wód i z ulgą wspinających się na brzeg wysepki; ich ciała połyskiwały w porannym słońcu wilgotną czernią.

Ich radość jest przedwczesna — pomyślał Hu. Od wolności oddziela ich jeszcze północny kanał rzeki. Na razie zaczęli zapełniać wysepkę, a za ich plecami liny gięły się pod ciężarem ludzkich ciał. Był to długotrwały spektakl: niezliczone szeregi wciąż brnęły przez wodę, a na południowym brzegu masa czarnych niewolników zdawała się nie maleć.

Jeśli to był Timon, to nauczył się dość, by zatrzymać swoich najlepszych ludzi w tylnej straży. Hu spojrział na tych, którzy czekali na swoją kolejkę przy linach. Wydawało się, że są bardziej zrównoważeni i lepiej uzbrojeni niż ci na przodzie. Musiał pozwolić, żeby ich liczba jeszcze bardziej się zmniejszyła, nim zaryzykuje atak nieznaczących sił Bakmora.

Znów spojrział na bród; szeregi głów pełzły wolno ku północnemu brzegowi rzeki. Teraz zrozumiał, jak trudnego wyboru musi dokonać. Jeśli jeszcze bardziej opóźni natarcie, wielu zbiegów wymknie się z pułapki, uchodząc w gęste lasy na północy. Ale jeśli uderzy, zanim uciekną, oznaczać to będzie zmuszenie Bakmora do walki ze znacznie przewyższającą go siłą. Wybór był niełatwy; kapłan zamyślił się głęboko. Podjął decyzję, gdy pomyślał o chwili, gdy będzie składać raport królowi. „Żaden nie uszedł, wasza wysokość”. Był niemal pewny reakcji Lannona: „Nie wątpiłem w to, Ptaku Słońca”.

Hu odwrócił się do stojącego obok kapitana galery.

— Podnieś sztandar! — rozkazał cicho. Natychmiast przekazano polecenie to na przedni pokład.

Złoty bitewny sztandar wzniósł się na maszt.

Z pokładów wioślarzy dał się słyszeć chrapliwy okrzyk radości. Hu spostrzegł

wojenny sygnał powtórzony na drugiej galerze.

Marynarz na dziobie zamachnął się toporem, odcinając linę kotwiczną, i galera rozpostarła skrzydła wiosła. Zanurzały się, przesuwały i unosiły, wilgotne i lśniące. Statek parł do przodu walcząc z prądem. Galery mknęły jedna przy drugiej.

— Steruj w środek ich linii — polecił Hu kapitanowi — Pędzili w stronę lin podobnych do sznurów czarnych pereł. Pomimo szumu wody i skrzypienia wiosła Hu usłyszał narastający zgiełk przerażonych ludzi, którzy spoglądali na złowrogie statki zbliżające się z ogromną prędkością.

Spojrzał w dół. Zobaczył zwrócone ku sobie twarze i przerażone oczy. Zdusił w sobie rodzącą się litość. To nie byli ludzie! To byli wrogowie.

Łucznicy stojący na dziobie zaczęli zasypywać przepływających się potokiem strzał. Hu ujrzał strzałę trafiającą jednego z nich wprost w twarz; mężczyzna wyrzucił ręce do góry i zniknął porwany przez prąd.

Galera wdarła się w mocno obciążone liny, zwalniając i lekko przechylając się, gdy opór na moment zahamował jej pęd. Ale zaraz liny trzasnęły i rozprysły się na boki pod okutym żelazem dziobem, a prąd porwał je razem z trzymającymi się ich ludźmi na głębokie wody pod mury garnizonu, gdzie już czekali łucznicy.

Galery przedarły się przez mieliznę, szorując kiłami o skaliste dno brodu, i z powrotem wpłynęły na głęboką wodę. Hu z rufy spojrzał na rzekę. Od brzegu do brzegu wypełniona była krzyczącymi, tonącymi ludźmi. Niektórzy przywierali do zwieszających się nad wodą gałęzi drzew, inni do śliskich skał wystających z toni albo do dryfujących kawałków drewna i papirusowych mat. Cała wyspa pokryta była cizbą przemoczonych drżących ludzi, a następni grzęznąc i szamocząc się na płyciznach wciąż usiłowali znaleźć na niej choć skrawek miejsca.

Było ich tak wielu, że sprawiali na Hu wrażenie tysięcy niespokojnych mrówek. Odegnął od siebie tę myśl, szykując się do wydania następnego rozkazu.

Kapitan galery spoglądał na niego wyczekująco, a na dziobie czekali marynarze uzbrojeni w wielkie tuby. Patrzyli w górę ku nadbudówce, skąd paść miał rozkaz.

— Dobrze, kapitanie — powiedział Hu, przypominając sobie, że przecież ścigani to tylko mrówki, a nie ludzie.

Kapitan galery już wyrzaskiwał rozkazy, a okręt obracał się burtą w kierunku prądu. Druga galera wykonała ten sam manewr. Z obu dziobów wysunęły się śmiercionośne dysze „ogni Baala”, tajnej broni Opetu.

Tryskająca z nich ciecz osiadała na powierzchni wody, pokrywając ją gładką warstwą.

I nagle w jakiś magiczny sposób ciecz eksplodowała zmieniając się w ścianę ognia, tak że cała powierzchnia rzeki pokryła się pomarańczowymi płomieniami, z których wzbijały się kłęby smolistego, gęstego dymu.

— Na święte imię Baala — wyszeptał Hu, patrząc, jak płomienie sięgają w dół rzeki, rozprzestrzeniając się na jej całą szerokość. Dym przesunął się ponad zatłoczoną wyspą, a gdy opadł, ukazały się zwęglone ciała, leżące w wysokich tłących się stertach, a drewno i papirus płonęły jak stosy pogrzebowe.

Ściana ognia przeniosła się już w dół rzeki, mijając mury fortecy, osmalając roślinność na obu brzegach i wymiatając z wody wszelkie życie. W ciągu kilkunastu minut zginęło dwadzieścia tysięcy rebeliantów, a ich zwęglone ciała spływały ku morzu albo osiadały jak wraki na brzegach i w zakolach rzeki.

Kiedy płomienie przygasły, Timon ze zgrozą wpatrywał się w dzieło zniszczenia. Nie mógł uwierzyć w straszliwą, zabójczą moc, której był świadkiem. Nie mógł uwierzyć, że połowa armii po prostu przestała istnieć. Został z niewielką garstką podkomendnych.

Ci, którzy pozostali, byli wprawdzie jego najlepszymi ludźmi, ale wiedział, że nie

będą w stanie stawić czoła czekającym kohortom. Chociaż miał świadomość, że musi wydać rozkazy przed atakiem, który miał lada moment nastąpić, wciąż tracił cenne sekundy na tęskne wpatrywanie się w północny brzeg rzeki, na którym leżał jego kraj. Obawiał się, że został od niego odcięty, być może — na zawsze.

Galery tkwiły sto kroków od brzegu, zwrócone dziobami w jego stronę. Wyglądały jak jakieś potwory. Kiedy patrzył na nie teraz, po tym, jak widział je w akcji, czuł na karku lodowatą dłoń strachu.

W pobliżu rozległ się ryk zarówno nacierających, jak i broniących się oraz szczęk tarcz i broni. Tak jak się obawiał, nastąpił drugi atak — rozpoczęty z precyzją i w najwłaściwszym momencie. Wróg zaatakował tyły w chwili, gdy ludzie Timona, zdjęci grozą, nie byli zdolni do walki.

Timon czuł wciąż narastający gniew, co raptem dodało mu sił, jak i umocniło w nienawiści do przeciwnika. Gniew i nienawiść — siły, na których opierała się cała jego egzystencja. Gniewało go, że musi walczyć z tymi ludźmi tak marną bronią. Włączając się do walki, powtórzył przysięgę, jaką składał już ze sto razy. „Utworzę z mojego ludu armię, która dorówna tym bladokórym diabłom”.

Utorował sobie drogę przez zwartą masę ludzi. Atakujący spychali rebeliantów do rzeki, ścieśniając ich tak mocno, że nie byli w stanie manewrować bronią.

Droga przez rozkołysane morze czarnych ciał była koszmarem. Timon wyrzaskiwał rozkazy, usiłując zmusić ludzi do posuwania się do przodu, starając się rozciągnąć ich w szereg, ale jego głos ginął w bitewnej wrzawie i nawet jego ogromna siła fizyczna nie znaczyła nic wobec ścisku.

Ponad głowami swoich ludzi dostrzegał wrogie hełmy i powiewające na nich pióra. Miecze i topory wznosiły się i opadały w równym rytmie. Ludzie Timona porzucali broń i próbowali przebić się przez zwarty tłum towarzyszy. Ścisk nasilał się tłamsząc czarne szeregi i spychając je ku rzece.

Ponad głowami nacierających łuczniczy i oszczepnicy miotali deszcz pocisków w środek sił Timona, zwartych tak gęsto, że martwi nie padali na ziemię, lecz utrzymywali się w pozycji stojącej.

Galery podpłynęły cicho do brzegu, a stojący na wysokich nadbudówkach łuczniczy również dziesiątkowali wrogie szeregi. Brzeg zaczął się zapadać pod naciskiem tysięcy ciał, a żywi i martwi ześlizgiwali się w wodę.

Wkrótce rzeka przybrała kolor intensywnej czerwieni.

— Rzeka krwi, wasza świątobliwość — zauważył dowódca galery. — Słyszałem, jak śpiewają o tym poeci, ale dopiero pierwszy raz to widzę.

Hu kiwnął głową. Bitwa osiągnęła punkt równowagi. Nacisk kohort Bakmora, nawet wzmocnionych oddziałami Mago, nie był w stanie zepchnąć wroga już ani jarda dalej. Wkrótce napór musi osłabnąć, ponieważ wojownicy zaczynają odczuwać znużenie. Kiedy się to stanie, niewolnicza armia skoczy w przód jak zwolniona cięciwa łuku. Trzeba zdobyć się na ostatni wysiłek, by zepchnąć niewolników do rzeki, póki jeszcze istnieje możliwość dokonania tego.

— Naprzód, Bakmor! — mruzczał niecierpliwie Hu. — Oślepiła cię krew? Czy bitewne żądze pozbawiły cię rozsądku? Teraz twoja chwila, ale krótka! Naprzód, Bakmor, naprzód! — błagał, i nagle odetchnął z ulgą.

— W samą porę!

Stłoczone resztki armii Timona zaatakowane zostały przez wojenne słonie Bakmora. Trąbiąc i kwicząc ogromne zwierzęta wdarły się w szeregi rebeliantów, miażdżąc je i ciskając przerażonych niewolników ku niebu. Z tysięcy gardeł wyrwał się rozpaczliwy okrzyk zgrozy i armia Timona zawróciła w stronę wody.

— Teraz! — zawołał Hu, i galery skierowały się ku brzegowi. Na mieliźnie z ich pokładów wysypało się czterystu ciężkozbrojnych, z Hu Ben-Amonem na czele.

Jego ludzie usiłowali dotrzymać mu kroku; w Szóstym Legionie honorowe miejsce podczas bitwy znajdowało się bowiem u boku najwyższego kapłana. Ale parł on do przodu tak chyżo, że tylko najlepsi nadążali za nim.

— Na Baala! — Zbierali krwawe żniwo, aż ziemia pod ich stopami zmieniła się w czerwone błoto.

Hu dostrzegł przywódcę niewolników.

— Timon! — zawołał desperacko.

Zamglone oczy czarnego olbrzyma zwróciły się ku wołającemu. Przypominały oczy lamparta schwytanego w pułapkę, okrutne i bezlitosne.

— Wyzywam cię! — krzyknął Hu. — Walcz ze mną!

W odpowiedzi Timon wyprostował się i cisnął włócznią. Hu uchylił się, a ostrze prześlizgując się po jego hełmie zatoneło w szyi stojącego obok wojownika, który krzyknawszy padł u stóp kapłana.

Timon odwrócił się i trzema krokami dopadł brzegu rzeki. Skoczył w krwawą wodę i zaczął ją młócić potężnymi rękami, tak jak uczył go Hu.

Kapłan również dotarł do brzegu, zerwał hełm i zbroję, odpiął nagolenniki i zrzucił sandały. Pozostawił na sobie jedynie pas z toporem. Spojrzał w stronę rzeki. Timon znalazł się już poza zasięgiem strzał łuczników stojących na brzegu, w połowie drogi na wyspę. Kapłan skoczył i płasko padł na wodę. Zaczął płynąć, rozgarniając krwawą wodę długimi ramionami.

Na wyspie Timon znalazł broń: włócznie spalonych żywcem wojowników, których szczątki zalegały ziemię grubą warstwą.

Kiedy Hu znalazł oparcie dla stóp i zaczął brnąć ku wyspie, Timon cisnął pierwszą włócznią. Hu odbił ją ruchem topora, trafiając czysto w dużą głowicę o kształcie motyla i posyłając ją w powietrze lekko jak owada.

Timon rzucił jeszcze raz, i jeszcze raz, ale bezskutecznie. Hu nacierał, zbliżając się przez skalistą, usianą zwłokami ziemię, parując każdy cios Murzyna głowicą topora, tak że wszystkie włócznie, jakie Timon zebrał, padały na skalne podłoże.

Zdesperowany Murzyn pochylił się i dźwignął jeden z rzecznych głazów, wielki jak ludzka głowa. Uniósł go wysoko oburącz, zrobił krok do przodu i cisnął. Kamień zawadził o ramię kapłana, zbijając go z nóg i wytrącając topór z dłoni.

Timon natarł na niego, wiedziony gniewem i nienawiścią. Hu odbił się od ziemi i skoczył ku napastnikowi. Czubkiem głowy ugodził go poniżej żeber, pozbawiając olbrzyma tchu. Ten zgiął się i opadł na kolana, obiema rękami obejmując klatkę piersiową.

Hu stanął nad nim i złączył dłonie, tak jak robili to gladiatorzy. Młot jego pięści trafił Timona tuż pod uchem, powalając go na ziemię.

— Nie mogę cię zabić, Timonie. — Głos Hu Ben-Amona docierał do Murzyna z wielkiej oddali. — Chociaż zasługujesz na śmierć. Zdradziłeś moje zaufanie; podniosłeś miecz na mnie i mojego króla. Zasługujesz na śmierć.

Przed oczami Timona pojawiła się twarz kapłana. Zorientował się, że leży na plecach, z szeroko rozpostartymi ramionami. Kiedy spróbował się poruszyć, okazało się, że skórzane więzy, mocno zasupłane i przytwierdzone kołkami do ziemi, unieruchamiają go skutecznie. Znajdował się na północnym brzegu wyspy, niewidoczny dla obserwatorów z południowego brzegu, sam na sam z kapłanem.

Na skale tuż obok płonęło niewielkie ognisko. Hu rozniecił je z tłących się resztek, a teraz rozgrzewał w nim szerokie ostrze włóczni o ułamanym drzewcu.

— Zostało nam mało czasu. Wkrótce przyjdą tu moi ludzie, a wtedy nie będę w stanie ich powstrzymać — wyjaśnił rzeczowo. — Złożyłem przysięgę bogom, więc nie mogę ukarać cię tak, jak na to zasłużyłeś. Ale znam swe obowiązki wobec króla i narodu. Nie mogę pozwolić, żebyś jeszcze raz obrócił przeciw nam swój miecz. I

choć nienawidzę wszystkiego, co się wiąże z Rzymianami, muszę teraz użyć ich sposobu, by powstrzymać cię przed dalszym uszkodzeniem memu krajowi.

Hu wstał i pochylił się nad Timonem.

— Pomyliłem się co do ciebie. Cóż, nikt nie jest w stanie ujarzmić dzikiego lamparta. — Trzymał w prawej dłoni sępi topór. — Nigdy nie byłeś Timonem, na zawsze pozostałeś Manatassim. Różnimy się tak duchem, jak różny jest kolor naszej skóry. Nigdy nie było między nami żadnej więzi, wbrew temu, co twierdziłeś. Chociaż nasze usta przemawiały tym samym językiem, to uszy słyszały inne dźwięki. Twoim przeznaczeniem jest niszczyć wszystko to, co dla mnie drogie, wszystko, co mój naród zbudował i o co się troszczy. Moim przeznaczeniem jest strzec tego do ostatniej kropli krwi. — Przerwał, a gdy odezwał się znowu, w jego głosie pojawił się szczery żal. — Nie mogę cię zabić, ale muszę mieć pewność, że już nigdy nie użyjesz miecza.

Zaśpiewał sępi topór. Timon krzyknął, a potem załkał cicho, gdy jego odrąbana prawa dłoń zadrżała w skurczach na ziemi.

Hu wyciągnął z ognia rozpalone ostrze włóczni i przytknął je do obficie krwawiącego kikuta. Zasycało przypiekane ciało i spod ostrza wydobył się kłęb dymu. Hu rozciął więzy krępujące Timona.

— Odejdź — powiedział. — Musisz sam poradzić sobie z przebyciem rzeki. Moi ludzie przyjdą wkrótce, żeby przeszukać wyspę.

Timon powłókł się na brzeg, ale na skraju wody obejrzał się. Jego wielkie czarne ciało pokryte było ranami i bliznami, a oczy wciąż straszne.

Wolno opuścił się do wody, przyciskając do piersi krwawy kikut. Uniósł go prąd, a Hu obserwował, jak głowa płynącego oddala się od wyspy, aż wreszcie niknie za zakrętem rzeki poniżej fortu. Hu pochylił się, podniósł z ziemi odciętą dłoń i wrzucił do ogniska, przykrywając ją stosem drewna.

\* \* \*

Bakmor wykopał doły kremacyjne na brzegu rzeki i razem z kapłanem przeszedł wzdłuż szeregu poległych wojowników złożonych na marach z drewna. Rozpoczęła się ceremonia pożegnania. Hu zatrzymał się i spojrzał na starego Mago. Po śmierci twarz dowódcy garnizonu przybrała wyraz dostojeństwa, jakiego brakowało jej za życia.

— Jak słodki jest teraz smak chwały, Mago? — spytał łagodnie Hu. Wydawało mu się, że Mago się uśmiecha.

Kapłan odśpiewał modlitwę do Baala i zapalił ogień stosów.

Kiedy wrócił ze swymi wojownikami do Sett, znalazł Tanith w jej komnacie. Płakała, jej twarz była blada, a pod oczami widniały sine cienie.

— Bałam się o ciebie, panie. Serce we mnie płonęło. Byłam jednak bardzo dzielna pomimo trwogi. I dopiero gdy powiedzieli mi, że jesteś bezpieczny, rozplakałam się. Czyż to nie głupie?

Obejmując ją mocno, zapytał:

— Czy było tak, jak opiewają to poeci? Czy było to wspaniałe i heroiczne?

— Tylko przerażające — szepnęła Tanith. — Bardziej przerażające od najstraszliwszych snów. To było wstrętne, tak wstrętne, że nie ma mowy o żadnym pięknie. — Zamilkła, przeżywając wszystko jeszcze raz. — Wy, poeci, nigdy nie opowiadacie o krwi, o krzykach rannych i całej grozie walki.

— Nie — przyznał. — Nigdy tego nie robimy. Przebudził się w nocy. Tanith siedziała obok niego na posłaniu. Lampka nocna była przyciemniona, ale widział ciemne plamy oczu dziewczyny.

— Co cię gryzie? — zapytał.  
Milczała przez chwilę, zanim odpowiedziała:  
— Jesteś taki łagodny, taki miły. Jak więc możesz robić tak okrutne rzeczy, jakie robiłeś dzisiaj?  
Zamyślił się.  
— Spełniałem swą powinność — wyjaśnił.  
— Powinnością była rzeź tych nieszczęśników? — zapytała niedowierzająco.  
— Według prawa zbuntowani niewolnicy zasługują na śmierć.  
— Więc prawo jest złe — oznajmiła żarliwie.  
— Nie. — Hu potrząsnął głową. — Prawo nigdy nie jest złe.  
— Jest! — Tanith była bliska łez. — Jest!  
— Prawo jest wszystkim, co oddziela nas od próżni, Tanith. Bądź posłuszna prawu i bogom, a nigdy nie zaznasz strachu.  
— Prawo powinno być zmienione.  
— Zmień je, proszę bardzo, ale póki tego nie zrobisz, przestrzegaj go.  
O świcie następnego dnia do Sett przybył Lannon Hycanus na czele dwóch legionów z pięćdziesięcioma słoniami.  
— Obawiam się, że byłem zbyt zachłanny, panie — powiedział Hu, witając go przy bramie. — Nie zostawiłem ci ani jednego rebelianta.  
Lannon wybuchnął śmiechem, objął kapłana i obrócił go twarzą w stronę swojego sztabu.  
— Który z was powiedział, że Ben-Amon nie będzie walczył?  
Wieczorem, gdy jeszcze był trzeźwy, Hu zaśpiewał balladę, którą skomponował dla upamiętnienia bitwy nad Rzeką Krwi. Lannon lał łzy słuchając słów poety, a gdy pieśń ucichła, krzyknął do swoich oficerów:  
— Wstydzić się będziemy przez wieki, że tego dnia nie staliśmy u boku Ben-Amona w Sett. — Król wstał.  
— Nadaję ci tytuł Wielkiego Wodza wszystkich legionów Opetu. Nadaję ten tytuł tobie, Hu Ben-Amonie, Toporze Bogów.  
A potem król i kapłan zgodnie upili się do nieprzytomności.

\* \* \*

Gondweni był jednym z dwustu wodzów plemiennych Vendi, a jego terytorium stanowiła pocięta nierównościami ziemia wąwozu Kal, ziemia wygnanych.  
Wódz był gruby i dobrze mu się powodziło, ponieważ był człowiekiem roztropnym. Regularnie zostawiał niewielkie dary soli i mięsa na wzgórzach, dokąd przychodzili po nie banici. Jako człowiek roztropny dzielił się żywnością i dawał schronienie samotnym wędrowcom, zmierzającym w stronę wzgórz i wracającym stamtąd, a kiedy opuszczali osadę, pamięć o nich zniknęła również.  
Którejś nocy przy jego ognisku zasiadł wysoki, posępny nieznajomy, który chętnie przyjął zaoferowany mu posiłek i piwo. Gondweni wyczuwał moc tego człowieka, kryjącą się za niewzruszonym, pokrytym bliznami obliczem o zimnych żółtych oczach. Poczł dziwną sympatię do przybysza, mówił więc więcej, niż miał w zwyczaju. Chociaż posługiwał się językiem plemienia Vendi, obcy nie tylko zdawał się nie wiedzieć nic o polityce i sprawach plemienia, ale nie znał nawet imienia największego króla, który nastał po Manatassim, wprowadzonym przez białe diabły przybyłe zza rzeki.  
— Z sześciu braci Manatassiego pięciu umarło szybką i zagadkową śmiercią po wypiciu specjalnie warzonego piwa, przygotowanego przez jednego z braci, Khaniego. Tylko Khani przeżył tę ucztę. — Gondweni zachichotał, pokiwał głową i

mrugnął porozumiewawczo do nieznanego.

— Teraz on jest naszym królem, Wielkim Czarnym Bykiem, zbieraczem daniny, Piorunem Niebios, tłustym lubieżnikiem Vendi z pięciuset żonami i pięćdziesięcioma młodymi chłopcami. — Gondweni splunął w ogień, po czym pociągnął łyk wina i podał naczynie nieznanemu. Gondweni zauważył, że nie ma on prawej dłoni i przytrzymuje kufel kikutem.

— A co z doradcami Manatassiego, dowódcami jego oddziałów, jego braćmi krwi? — zapytał obcy. — Gdzie oni są?

— Większość z nich w brzuchach ptaków. — Gondweni wyrazistym ruchem przeciągnął palcem po gardle.

— Większość?

— Niektórzy przeszli na stronę Khaniego i zjedli z nim sól; inni rozpostarli skrzydła i odlecieli. Niektórzy są moimi sąsiadami, wodzami wygnanych. Nie chylą głowy przed nikim i czekają na wzgórzach, choć sami nie wiedzą, na co.

— O kim mówisz?

— Zingala na przykład...

— Zingala, kowal? — zapytał niecierpliwie obcy. Wyraz twarzy Gondweniego uległ zmianie. Obrzucił swego gościa czujnym spojrzeniem.

— Wydaje mi się, że wiesz więcej, niż powinieneś — rzekł cicho. — Czas już spać. — Wstał i wskazał chatę. — Tam rozłożono matę dla ciebie. Przyślę dziewczynę, żeby uprzyjemniła ci czas.

Pragnienia nieznanego wyładowały się jak szalejąca burza na nie stawiającym oporu ciele dziewczyny. Gondweni usłyszał jej bolesny krzyk. Leżał nie śpiąc, niespokojny i zamyślony, a gdy o brzasku udał się do chaty obcego, ujrzał tylko znużoną dziewczynę pogrążoną we śnie. Mężczyzna zniknął.

\* \* \*

Ścieżka w wąwozie była ciemna, porośnięta mchem i śliska. Z wysokiej ściany opadał srebrzysty wodny pył, który wiatr roznosił we wszystkich kierunkach. Delikatna chłodna mgiełka osiadała na twarzy wspinającego się Manatassiego.

Na płaskim odcinku drogi zatrzymał się, żeby odpocząć. Kikut prawego ramienia wciąż sprawiał mu ból.

Wysoko nad jego głową, na szczycie urwiska, odcinając się od jasnego nieba, widniała pomniejszona przez odległość sylwetka mężczyzny. Stała nieruchomo, ale właśnie ten jej bezruch był bardzo niepokojący.

Manatassi zjadł kawałek placka, zaczerpnął łyk lodowatej wody ze strumienia i podjął dalszą wspinaczkę. Na szczycie zjawiły się już następne sylwetki. Inne wyrastały cicho na stromych i łatwych do obrony miejscach szlaku i przyglądały się uważnie wędrowcowi.

Na ogromnym głazie, wysokim na czterdzieści stóp, blokującym drogę przez wąwóz stanął wysoki mężczyzna, dobrze umięśniony i solidnie uzbrojony. Manatassi rozpoznał go. Człowiek ten był niegdyś kapitanem jednego z królewskich regimentów.

Manatassi zatrzymał się u stóp głazu i zsunął płaszcz z głowy, ukazując twarz. Ale dawny kapitan nie poznał króla w sponiewieranej postaci, zniekształconej przez bicz i pałkę, cierpienie i nienawiść.

Aż tak się zmieniłem — pomyślał pośpiesznie. — Nikt mnie nie rozpoznaje?

On i mężczyzna na głazie patrzyli na siebie wyczekująco, aż wreszcie Manatassi odezwał się:

— Szukam Zingali, kowala.

Wiedział, że chociaż Zingala przyłączył się do wychodźców, tak sławny rzemieślnik wciąż musi mieć licznych klientów, którzy go szukają. Przypuszczał zatem, że samotny i nie uzbrojony zostanie przepuszczony, skoro sprowadza go tutaj interes.

Wartownik ruchem głowy wskazał gardziel wąwozu i Manatassi poszedł we wskazanym kierunku.

W górę urwiska prowadziły wykute w czarnej skale stopnie. Kiedy wszedł na wierzchołek, czekali tam już milczący, uzbrojeni ludzie. Otoczyli go, gdy wkraczał na ścieżkę prowadzącą przez gęsty las porastający szczyt góry.

Poczuł dym z kowalskich palenisk. Ścieżka kończyła się naturalnym amfiteatrem skalnym, nieką o średnicy stu kroków, w której Zingala doskonalił swe rzemiosło.

Stary mistrz stał przy jednym z palenisk i wrzucał do niego rudę, pieczołowicie wybierając każdą bryłę. Uczniowie stali wokół niego w postawach pełnych szacunku, gotowi do przykrycia rudy warstwą wapnia i węgla drzewnego.

Zingala uniósł się znad pieca i rozprostowując obolałe mięśnie grzbietu przyglądał się mężczyźnie nadchodzącemu w towarzystwie eskorty. Było coś znajomego w jego chodzie, w sposobie trzymania ramion, w pochyleniu głowy. Zingala opuścił ręce wzdłuż boków i zamarł w oczekiwaniu. Rysy przybysza obudziły coś tkwiącego w pamięci. Wpatrywał się w oczy — żółte, dzikie i o wymownym wyrazie.

Zerknął na stopy nieznajomego i ujrzał głębokie wycięcie pomiędzy palcami. Krzyknął i padł twarzą na ziemię. Chwycił zdeformowaną stopę Manatassiego i postawił na swojej oszronionej siwizną głowie.

— Rozkazuj mi! — zawołał. — Rozkazuj, Manatassi, Wielka Czarna Bestio, Piorunie Niebios.

Inni usłyszawszy królewskie imię również padli, jakby ugodził ich piorun.

Manatassi spojrział na grupę wyjętych spod prawa, oddających mu cześć ludzi i przemówił cicho, ale głosem, który zapadł głęboko w ich serca:

— Jest tylko jeden rozkaz, który wam wydaję, a brzmi on: posłuszeństwo.

\* \* \*

Piec miał kształt brzucha ciężarnej kobiety.

Zingala wprowadził do otworu wykonany z koziego rogu wylot miecha. Cała praca odbywała się według ściśle określonego rytuału: uczniowie śpiewali pieśń narodzin, spocony Zingala w skórzanym fartuchu mozolił się jak akuszerka, dmąc w skórzane miechy.

Kiedy wreszcie wyciągnięto glinianą zatyczkę i płynny metal pociekł do glinianych szablonów, wśród obserwatorów rozległ się pomruk ulgi i okrzyki gratulacji.

Używając syderytowego kowadła i zestawu młotów, Zingala wykuł lwią łapę z pięcioma masywnymi pazurami. Spiłował ją, wyrównał i wypolerował, a potem rozgrzał jeszcze raz i zahartował w krwi lamparta i tłuszczu hipopotama.

Jeden z kaletników wykonał oprawę ze skóry słonia i ukształtował ją tak, by pasowała do kikuta ramienia Manatassiego. Żelazne szpony przytwierdzono do skózanego gniazda i przywiązano do ręki króla.

Khani, władca Vendi i wymuskany przyrodni brat Manatassiego, był właśnie ze swoją kobietą, kiedy żelazne pazury rozerwały mu czaszkę.

\* \* \*

Sondala, król Buthelezi, miał wielu poddanych i mnóstwo bydła, a niewielkie



pastwiska i niedostatek wody nie pozwalały ani ludowi, ani stadom przetrwać pory suszy.

Sondala był niskim, żyłastym mężczyzną o nerwowym spojrzeniu. Ze wszystkich szczepów rozsianych wzdłuż wielkiej rzeki jego plemię było ostatnim, które przyszło z północy. Osiedliło się więc na jedynym wolnym terenie wciśniętym pomiędzy ziemię potężnego szczepu Vendi z jednej strony i biało odzianych, długobrodych, brązowoskórych Drawidów z drugiej. Król Sondala, pragnąc zapewnić przetrwanie swemu szczepowi, gotów był nastawić uszu na wszelkie propozycje.

Siedział przy ognisku i uśmiechał się, rzucając ukradkowe spojrzenia na posepną postać, siedzącą po przeciwnej stronie chaty — króla o zniszczonej twarzy, ptasich stopach i żelaznej dłoni w kształcie lwiej łapy.

— Masz dwanaście regimentów, a każdy z nich liczy dwa tysiące ludzi — powiedział Manatassi. — Masz też, według ostatnich szacunków, sto dwadzieścia siedem tysięcy krów, byków, cieląt i wołów.

Sondala uśmiechnął się niepewnie, zaskoczony dokładnością wywiadu Manatassiego.

— Gdzie znajdziesz żywność, trawę i wodę dla tylu stworzeń? — spytał Manatassi.

Sondala uśmiechnął się i słuchał dalej.

— Dam ci pastwiska i ziemię, ziemię bogatą w owoce i soczystą trawę, ziemię, którą twoi ludzie przemierzać będą przez dziesięć pokoleń, nie docierając do jej granic.

— Czego chcesz w zamian? — wyszeptał w końcu Sondala, wciąż uśmiechnięty, mrugając powiekami.

— Chcę, żebyś oddał pod moją komendę swe regimenty. Chcę ująć w dłoń twoją włócznię. Chcę twej tarczy, żeby towarzyszyła mi w marszu.

— A jeśli odmówię? — zapytał Sondala.

— Wówczas cię zabiję — oświadczył Manatassi. — A potem zabiorę twoje regimenty i twoje bydło, z wyjątkiem dziesięciu sztuk, które złożę w ofierze na twoim grobie, by oddać cześć twojemu duchowi. — Manatassi uśmiechnął się, co wyglądało na grymas zmasakrowanej twarzy.

— Jestem twoim psem — powiedział Sondala ochryplym głosem i klęknął przed przybyszem. — Rozkazuj.

— Mam tylko jeden rozkaz — oznajmił łagodnie Manatassi. — Brzmi on: posłuszeństwo!

\* \* \*

W ciągu roku Manatassi zawarł przymierze z Vingo, Satassa i Bey. Pobił Xhota w jednej bitwie, stosując taktykę nie znaną wcześniej. Król Xhota, jego żony, dworzanie i książęta zostali pojmani w ciągu dwudziestu minut po rozpoczęciu walki. Zamiast, jak to było w zwyczaju, masakry mężczyzn, chwytania kobiet i bydła, Manatassi nakazał tylko udusić króla i jego rodzinę, a potem zgromadził pobite regimenty, wciąż nietknięte i dowodzone przez dotychczasowych dowódców, i nakazał im złożenie przysięgi posłuszeństwa. Przysięga brzmiała niczym odgłos grzmotu, zdając się poruszać liśćmi na drzewach i kołysać podstawami skał.

W drugim roku, gdy minęła pora deszczów, Manatassi pomaszerował na zachód, aż do wybrzeża, atakowanego bezustannie przez zimne zielone fale. Stoczył cztery bitwy, udusił czterech królów, ułożył się z dwoma innymi, i powiększył swe siły o następne sto tysięcy ludzi.

Ci, którzy przebywali blisko wielkiej czarnej bestii, wiedzieli, że rzadko sypia.

Wydawało się, że Manatassiego pcha jakaś potężna siła, która nie pozwala mu na odpoczynek czy rozrywki. Jadł nie czując smaku pożywienia, niedbale, jakby tylko dorzucał drewno do ognia. Nigdy się nie śmiał, a uśmiech pojawiał się na jego twarzy tylko wtedy, gdy któreś z zadań wykonane było w satysfakcjonujący go sposób. Kobiety traktował lekceważąco i brutalnie, co sprawiało, że drżały i płakały. Nie pragnął towarzystwa żadnego ze swoich ludzi.

Tylko raz jeden z jego poruczników dostrzegł u króla ludzką emocję. Znajdowali się wówczas na wysokich żółtych wydmach na zachodnich krańcach lądu. Manatassi stał z boku, spowity w skórę lamparta; błękitny pióropusz jego nakrycia głowy poruszał się pod wpływem zimnego powiewu.

Nagle któryś z jego kapitanów krzyknął i wskazał na morze. Z dala od brzegów, po niespokojnej srebrzystej toni, majacząc we mgle jak statek-widmo, mknęła jedna z galer Opetu. Z pojedynczym żaglem wydętym pasatem i z rzędami wiosł rytmicznie zanurzających się w wodzie ślizgała się po falach w drodze na północ, do Kadyksu.

Kapitan krzyknął ponownie i wszyscy odwrócili się w stronę króla. Jego twarz błyszcząca i ociekająca potem, a zza zaciśniętych szczęk dobywał się odgłos jakby dwóch ocierających się o siebie skał. W oczach Manatassiego wpatrzonych w galerę płonęły ognie szaleństwa, a ciałem wstrząsały drgawki.

Kapitan podbiegł, przekonany, że król uległ atakowi nagłej gorączki. Dotknął jego ramienia.

— Wysoko urodzony... — zaczął.

Manatassi odwrócił się ku niemu, ogarnięty szaleństwem, i żelazne pazury rozorały twarz nieszczęsnego kapitana.

— Tam! — zawył, wskazując znikającą galerę. — Tam jest wasz wróg. Zapamiętajcie go dobrze!

\* \* \*

Każdy dzień przynosił nowe radości. Tanith nie mogła uwierzyć, że to już pięć lat, odkąd ona i Hu zostali kochankami; tak szybko czas ten upłynął. I oto zbliżało się kolejne Święto Urodzajnej Ziemi.

Tanith roześmiała się głośno, wspominając sposób, w jaki uwiodła Hu. Planowała powtórzenie tego przedstawienia podczas nadchodzącego święta.

— Dlaczego się śmiejesz, dziecko? — wymamrotała Aina, rzucając z głębin kaptura kpiące spojrzenie.

— Ponieważ jestem szczęśliwa, matko.

— Och, żeby tak znów być młodą! Nie przypuszczasz nawet, czym jest starość. — Aina rozpoczęła jeden ze swoich monologów, kiedy Tanith prowadziła ją przez portową dzielnicę obok tawern i rzucających złośliwe uwagi ulicznicy do miejsca, w którym w kamiennym nabrzeżu wykute były stopnie.

Zbiegła po schodach i lekko wskoczyła na pokład niewielkiego żaglowca, przycumowanego do żelaznego pierścienia.

Hu wyszedł z ciasnej kabiny ubrany w strój rybaka, z opaską na głowie. Nie zdążył na czas, żeby pomóc Tanith wejść na pokład.

— Spóźniłaś się.

— Ukarzę cię za twoją impertynencję, gdy tylko znajdziemy się poza zasięgiem ich wzroku — ostrzegła Tanith.

— Nie mogę się doczekać! — Wyszczrzył zęby i pomógł starej Ainie przeleźć przez nadburcie.

Tanith pobiegła na przód, by rzucić cumy dziobowe.

Hu usadowił się na rufie z wiosłem pod pachą, a Tanith usiadła tak blisko, jak

tylko mogła nie dotykając go. Zrzuciła płaszcz; ubrana była w lekką bawełnianą tunikę, obszytą złotą nicią, przepasaną ciężkim złotym łańcuchem, który niegdyś podarował jej Hu.

Jej włosy rozwiewały się jak czarny dym, a policzki poróżwiały. Hu wpatrzył się w nią, a ona śmiała się radośnie.

Wiatr dął z burty, a kiedy skręcili w stronę wysp, podmuchy wzbijały z fali krople wody, które rosły twarze. Pomimo prażącego słońca woda była zimna. Hu pewnie prowadził łódź przez niemal niewidoczne kanały wśród trzciny, aż wreszcie wpłynęli do spokojnej i osłoniętej laguny, której powierzchnia pokryta była ciemnozielonymi liśćmi lilii wodnych i rozgwieżdżona błękitem i złotem ich kwiatów. Szybujące nad powierzchnią ptactwo taptało się i pluskało w wodzie.

Wiatr ucichł; Hu ujął w dłoń długi drąg i stojąc na rufie przepchnął łódź do brzegu, na którym lśnił osłepiająco biały piasek. Wskoczył do głębokiej po kolana wody i wyciągnął łódź na brzeg.

Pomiędzy wypolerowanymi czarnymi głazami powyżej plaży Hu rozpiął markizę z kawałka żagla i pomógł Ainie przebrnąć przez piasek, po czym zainstalował ją pod osłoną.

— Czarę wina, matko? — zaproponował troskliwie.

— Jesteś zbyt łaskaw, wasza świątobliwość.

Zostawili ją tam chrapiącą cichutko w cieniu i poszli wzdłuż plaży za zakole zatoki. Na twardym, czystym piasku pod palmami Hu rozpostarł swój płaszcz. Zrzucili ubrania i położyli się obok siebie; rozmawiali, śmiali się i kochali.

Później kąpali się w czystej wodzie, a kiedy położyli się na płyciźnie, poddając się leniwym uderzeniom drobnych fal, ławice srebrzystych, długich na palec rybek muskały ich nagie ciała. Roześmiana Tanith wdrygała się, gdy bezzębne pyszczki łaskotały jej skórę.

Wyszli z wody, żeby osuszyć się w słońcu. Hu spojrzał na stojącą nad nim Tanith. Jej nasiąknięte wodą włosy spadały ciężką czarną falą na plecy i piersi. Słońce lśniło na jej gładkiej skórze, a krople wody na rzęsach połyskiwały tęczowo. Stała dumnie pod jego badawczym spojrzeniem, obejmując dłońmi piersi.

— Widzisz we mnie jakąś zmianę, święty ojcze? — zapytała zaczepnie.

Hu uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Popatrz uważniej — zachęciła go.

Wydało się, że piersi Tanith są większe i bardziej spiczaste niż zwykle. Zauważył też, że siateczka sinawych żyłek wyraźniej rysuje się pod jej białą skórą.

— Tak? — spytała Tanith, przeciągając dłońmi ku zagłębieniu podbrzusza. — A tutaj? Nie widzisz żadnej różnicy? — Wypięta brzuch i zaczęła się śmiać.

— Obrastasz w tłuszcz — upomniał ją Hu, wtórując jej śmiechem. — Za dużo jesz.

Tanith potrząsnęła głową.

— To, co tutaj mam, święty ojcze, z całą pewnością nie przedostało się przez usta. Śmiech z wolna zamarł mu w gardle, a na twarzy pojawił się wyraz osłupienia.

\* \* \*

Leżał w ciemności, wciąż otumaniony. Nie mógł uwierzyć, że jedno z ziaren, które tak beztrudnie rozsiewał, zapuściło korzenie. Czy kapłanek Ishtar nie uczono sekretnych sposobów zapobiegania takim wypadkom? Było to wydarzenie porównywalne z trzęsieniem ziemi, sztormem czy klęską w bitwie. Coś trzeba będzie z tym zrobić, coś radykalnego.

W umyśle kapłana pojawiła się myśl o przerażających wiedźmach, które

mieszkały na brzegu jeziora, a których zajęciem było naprawianie takich błędów kobiet. Natychmiast jednak porzucił tę myśl.

— Nie! — powiedział głośno. Przez chwilę wsłuchiwał się w oddech Tanith, mając nadzieję, że jej nie obudził. Zaczął zastanawiać się nad sytuacją. Być może nie zachodzi potrzeba aż tak radykalnego działania, być może nastąpi konieczność zorganizowania uroczystości poświęcenia kolejnej świątyni, gdzieś w odległym zakątku królestwa, i tam, z dala od podejrzliwych oczu i pracowitych języków, Tanith będzie mogła urodzić mu syna? Nie będzie trudno znaleźć mamkę. Wielu weteranów jego legionu, ludzi okaleczonych w bitwach, prowadziło spokojne życie w jednej z posiadłości Hu. Ludzi, którzy gotowi byli kłamać, kraść, oszukiwać i umrzeć dla Hu. Ludzi, których płodne żony miały piersi obfite i pełne pokarmu.

Tak często, jak tylko pozwalałyby na to okoliczności, mogliby jeździć tam, by widywać swojego syna. Hu mógł sobie już wyobrazić szczęśliwy śmiech i tłusty brzuszek gaworzącego malca.

Ostrożnie sięgnął pod koc i lekko oparł dłoń na nagim brzuchu Tanith.

— Nic nie poczujesz — szepnęła. — Nie zrobiłam tego, czego nauczyły mnie kapłanki. To było bardzo niegodziwe z mojej strony, prawda? Czy jesteś na mnie zły, panie?

— Nie — odparł Hu. — Jestem bardzo szczęśliwy.

— Miałam nadzieję, że będziesz — zachichotała zadowolona. Przytuliła się do niego i dodała sennie: — To znaczy wtedy, gdy już oswoisz się z tą myślą.

Stukanie i okrzyki przebudziły ich oboje. Hu wygramolił się z łoża i zanim się jeszcze całkiem rozbudził, złapał swój sępi topór. Kiedy minęło zamieszanie, domowi niewolnicy dowiedzieli się, że nocni goście są oddziałem królewskiej straży.

Usłyszawszy tę informację, Hu odłożył topór i zapalił lampę.

— Święty ojciec... — Jeden z niewolników załomotał w drzwi sypialni.

— O co chodzi?

— To straż króla. Wielki Lew nie może zasnąć. Prosi cię, abys wziął lutnię i przybył do niego.

Hu usiadł na krawędzi łożka i klnąc cicho, ale treściwie, przebierał palcami we włosach, usiłując otrząsnąć się z resztek snu.

— Czy słyszysz, wasza świątobliwość?

— Słyszę — burknął Hu.

— Wielki Lew zapowiedział swej straży, by nie przyjmowała żadnych usprawiedliwień. Ma czekać, aż się ubierzesz, i odprowadzić cię do pałacu.

Hu wstał i sięgnął po tunikę, ale gdy napotkał wzrok Tanith, zawahał się. Jej oczy w blasku lampy wydawały się ogromne, a wzburzone włosy nadawały jej wygląd dziecka. Hu uniósł skraj koca i wślizgnął się do łożka.

— Powiedz królowi, że skaleczyłem się w palec, że boli mnie gardło, a struny lutni popękały. Poza tym jestem pijany — zawołał i wziął Tanith w ramiona.

\* \* \*

Szejk Hassan zanurzył palce w srebrnej czarze, po czym wytarł je w skrawek jedwabiu.

— Chce wyrzucić na nas wrażenie swoim pokazem siły — mruknął Omar, jego młodszy brat.

Hassan spojrział na niego. Omar był znanym dandysem. Jego broda była wymyta, wyperfumowana i rozczesywana tak długo, aż zaczęła lśnić. Szaty brata wykonane były z najdelikatniejszego jedwabiu, a pantofle i kamizelka niknęły wprost pod ciężkimi złotymi haftami. Nosił na palcu krwistoczerwony rubin wielkości męskiego

kciuka. Oczy młodego człowieka były zamglone od narkotycznego dymu nargile stojącej na poduszce obok niego; strojniś i z całą pewnością pederasta, ale i człowiek o przenikliwym umyśle i intuicji, na której Hassan polegał.

Siedzieli pod starym figowcem, którego szeroko rozpostarte gałęzie zapewniały głęboki cień. Dhow, która przywiozła ich na spotkanie, leżała na białym piasku plaży niedalekiej wysepki. Ze swojego punktu obserwacyjnego widzieli kanały, piaszczyste ławice i głębokie baseny wielkiej rzeki.

Na ławicach i na płycznach leżały stada manatów: wielkie szare kształty podobne do rzecznych kamieni, na których beztrudno sadowiły się białe czaple.

Północny brzeg rzeki porastała cienka wstęga ciemnozielonej roślinności, ustępująca dalej miejsca nagim brunatnym wzgórzom. Kraina sprawiała wrażenie przeklętej i opuszczonej. Wzgórza o półokrągłych szczytach były jałowe i pępne. Między kępami rzadkiej suchej trawy widać było nagą ziemię, a martwe drzewa wznosiły ku niebu powykręcane konary.

Kiedy szejkwowie przyglądali się ponuremu krajobrazowi, sceneria uległa nagłej zmianie. Ponad wzgórzami rozpostarł się szary cień, jak gdyby słońce przysłoniła burzowa chmura.

— Tak — powiedział Omar. — Ten pokaz ma dodać mocy jego słowom.

Hassan strzyknął w kurz strumieniem jasnoczerwonego soku i wytarł brodę jedwabiem. Przyglądał się ożywionym raptem wzgórzom i rozprzestrzeniającym się ceniom. Nigdy przedtem nie widział tak ogromnego zbiorowiska ludzi. Regimenty i szwadrony przesuwały się w uporządkowanych szeregach, aż pokryły całe wzgórza. Hassan poczuł niepokój, ale jego twarz pozostała nieruchoma, oczy poważne i tylko długie brązowe palce, obejmujące kurczowo wysadzaną diamentami rękojeść sztyletu, zdradzały zdenerwowanie. Nie oczekiwał niczego takiego. Przybył tu, spodziewając się rozmów na temat handlu i wspólnych granic z nowym czarnoskórym cesarzem, który wyłonił się z tajemniczej i mało znanej krainy za rzeką. Nagle znalazł się w obliczu jednej z największych armii, jakie kiedykolwiek widział świat. Zastanawiał się, czy sam Aleksander dowodził kiedyś taką masą ludzi.

Pociągnął z fajki, wstrzymał przez chwilę dym, po czym wypuścił go wąską smugą.

— Chce wyrzucić na nas wrażenie — powtórzył Hassan.

— Jeśli taki miał zamiar, to mu się udało. Na mnie wywarł wrażenie — stwierdził Omar.

Wciąż nowe regimenty pojawiały się na tle nieba w zwartych, uporządkowanych kolumnach. Zawracały i schodziły w równym szyku, jakby kierowała nimi jedna myśl. Tak jak ławice ryb albo migrujące ptaki, które poddają się nie wypowiedzanym komendom. Wydawało się, że zamiast zbiorowiska poszczególnych wojowników szejkwowie mają przed sobą jeden organizm, rozrośnięty, ale skoordynowany bez zarzutu. Hassan obserwował prezentację wojsk i pomimo południowego skwaru — drżał.

Ruch na północnym brzegu zamarł, a nad zwartymi szeregami czarnych wojowników zaległa ciężka cisza. Milczenie i bezruch wydawały się obserwatorom jeszcze groźniejsze niż przemarsz. Nad doliną zawisła pełna oczekiwania cisza. Wrażenie narastającego napięcia stawało się tak nieznośne, że Hassan zaklął.

— Nie będę się poniżał dla kaprysu dzikus. To zniewaga. Idziemy! Jeśli chce rozmawiać, będzie musiał przyjść do nas. — Wbrew własnym słowom opadł jednak z powrotem na poduszki i czekał na reakcję brata.

— Wygląda na to — powiedział Omar — że świat, który znamy, zmienił się, bracie. Wczorajsze prawdy zdezaktualizowały się.

— Co zatem radzisz?

— Poznajmy nowe prawdy i przeanalizujmy je. Być może jest w nich coś, co będziemy mogli wykorzystać.

Na wzgórzach powstało jakieś zamieszanie. Szeregi zafalowały, tak jak falują wierzchołki trzciny, kiedy przemyka wśród nich lew. Szejkowie wyteżyli wzrok, przywołując do siebie strażę, ale ich słowa zginęły w oceanie dźwięków. Ziemia zadrżała, miazdżona setkami tysięcy stóp; powietrze zadrgało od łoskotu włóczni uderzających o tarcze i uszu braci doszedł jednobrzmiący okrzyk dobywający się z tysięcy gardeł wojowników pozdrawiających swego króla.

Potężny odgłos przetoczył się przez dolinę i zamarł wśród ech odbitych od nieba i wzgórz. Znow zapadła cisza, a następnie z wysokiego brzegu opuszczono do wody dużą łódź i pięćdziesięciu wioślarzy skierowało ją ku wyspie.

Na białą plażę wyszedł ogromny mężczyzna i ruszył samotnie w kierunku wielkiego figowca, pod którym siedzieli szejkowie. Już sam fakt, że przyszedł bez eskorty, symbolizował jego wzgardę wobec szejków, świadomość własnej potęgi.

Miał na sobie płaszcz z lamparciej skóry, a na nogach sandały. Nie nosił żadnych ozdób ani broni. Stanął wysoki i posepny przed szejkami, którzy zdawali się maleć przy jego potężnej postaci.

Spojrzał na nich żółtymi, dzikimi oczami drapieżnego ptaka, wzrokiem, który zdawał się przenikać na wskroś.

— Jestem Manatassi — powiedział głębokim, dudniącym głosem. — Jestem Czarną Bestią.

Wiedzieli o nim dość, by nie okazać zdziwienia, że tak swobodnie posługuje się ich rodzimym językiem.

— Jestem Hassan, szejek Sofala, ksiązę Monomatapa i wicekról cesarza Czana.

— Kochacie żółty metal — powiedział Manatassi. Zabrzmiało to jak oskarżenie. Hassan wyglądał na wytrąconego z równowagi. Z niepokojem spojrzał na brata.

— Tak — potwierdził Omar. — Kochamy go.

— Dam wam go tyle, ile zapagniecie — rzekł Manatassi. Omar oblizał wargi, a na jego twarzy odbiła się chciwość.

Uśmiechnął się wyczekująco.

— Musisz mieć mnóstwo tego cennego surowca? — wyraził przypuszczenie Hassan. Bezpośrednie przejście do spraw handlowych było niesmaczne. Jednak ten człowiek był dzikusiem i nie rozumiał subtelności dyplomacji. A złoto warte było nietaktu, zwłaszcza że chodziło o ilości, którymi musiała dysponować ta czarna bestia bez ogłady. — Skąd ono pochodzi? — zapytał.

— Ze skarbcza Lannona Hycanusa, Wielkiego Lwa Opetu i władcy czterech królestw — powiedział Manatassi.

Hassan spochmurniał.

— Nie rozumiem...

— Wobec tego jesteś głupi — oświadczył czarny władca. Brązowa twarz Hassana pociemniała jeszcze bardziej. Już miał zareagować ostro, kiedy poczuł palce brata ostrzegawczo ściskające jego przegub.

— Wyjaśnij to — poprosił Omar. — Czy masz zamiar wyruszyć na wojnę z Opetem?

— Zniszczę ich! Zniszczę ich naród, ich miasta i bogów. Nie zostawię po nich żadnego śladu; nikt nie może ujsć z życiem. — Olbrzymi Murzyn zaczął dygotać. Na pełnych purpurowych ustach pojawiła się ślina, a zniekształcone rysy pokryły się warstwą potu.

Omar uśmiechnął się lekko.

— Słyszeliśmy o bitwie w miejscu zwanym Sett...

Manatassi wydał bolesny ryk. Skoczył w kierunku szejków, wyciągając spod

płaszcz żelazną dłoń. Zatrzymał ją tuż przed twarzą Omara, który rzuciwszy się w tył przylgnął do brata.

— Nie drwij ze mnie, mały brązowy człowieczku, nie drwij ze mnie, bo wyrwę z ciebie wątrobę.

Omar zajęczał ze strachu. Po jego twarzy spłynęły strumyczki potu.

— Pokój! — interweniował pospiesznie Hassan. — Mój brat chciał tylko zauważyć, że niełatwo będzie pokonać legiony Opetu.

Manatassi dyszał ciężko, wciąż trzęsąc się z wściekłości. Odwrócił się, podszedł do brzegu i zapatrzył się w wodę. Jego ramiona unosiły się i opadały, pierś z trudem chwyciła powietrze, ale uspokajał się powoli. Niebawem wrócił pod figowiec.

— Widzicie ich? — Pokazał swoją armię, która wciąż ciemniała na wzgórzach.

— Jest ich wprawdzie bez liku, ale czy to wystarczy? — dociekał Hassan. — Porywasz się na potężnego wroga.

— No to patrzcie! — powiedział Manatassi i uniósł żelazną dłoń. Jego kapitan podbiegł natychmiast i przyklęknął przed nim.

Manatassi rzucił kilka słów w języku ludu Vendi i wskazał na rzekę. Kapitan zerwał się z wyrazem radości na czarnej twarzy. Zasalutował, pobiegł z powrotem na brzeg i wskoczył na dziób łodzi, która natychmiast pomknęła w stronę północnego brzegu rzeki.

Szejkowie z zainteresowaniem obserwowali wojowników, którzy uformowawszy dwie grube kolumny schodzili do wody.

— Nie mają żadnej broni — zawołał cicho Hassan.

— Oni są nadzy — dodał Omar. Jego strach osłabł, zastąpiony przez erotyczną ciekawość, z jaką przyglądał się czarnym żołnierzom wychodzącym na płycznę.

Uformowawszy szyk w kształcie rogów bawolich otoczyli jedną z piaszczystych ławic i chociaż wysoka po pierś woda krępowała ich ruchy, ukończyli swój manewr, zanim stary hipopotam obudził się z drzemki.

Otoczony zwierz dźwignął się ociężale, rozejrzał się wokół malutkimi różowymi oczkami; pięć ton brylastego mięsa obciążonego grubą szarą skórą, upstrzoną na podbrzuszu plamami różu. Nogi zwierzęcia były krótkie, grube i potężne, a kiedy otworzył paszczę i ryknął, ukazały się wielkie pożółkłe kły, którymi mógłby z powodzeniem przegryźć łódź.

Zerwał się do nieporadnego galopu, zostawiając w miękkim piasku głębokie odciski stóp, i zaatakował ścianę czarnych ciał, które zagradzały mu drogę do głębokich basenów rzeki. Wpadł na płycznę, rozpryskując spienioną wodę, a przed nim mur czarnych ciał zwierzał się i pogrubiał, kiedy linia wojowników szykowała się do stawienia czoła szarżującemu zwierzęciu.

Wielki samiec wpadł na ludzką ścianę w pełnym galopie, rozrzucając czarne ciała tak jak wiatr rozrzuca śmieci. Kłapiąc paszczą, przedzierał się przez szeregi i odnosiło się wrażenie, że nic nie może przeciwstawić się jego niszczycielskiej sile. Musiał się przebić, by dotrzeć do bezpiecznego schronienia w głębinach rzeki. Ale wojownicy roili się wokół niego i szarża zwierzęcia wyraźnie słabła, chociaż jego ryk wydawał się jeszcze groźniejszy, a kłapanie kłów tnących żywe ciała niosło się aż do obserwatorów na wyspie.

Manatassi stał nieruchomo, lekko pochylony. Na jego pokrytym bliznami czole pojawiły się niewielkie zmarszczki, a żółte oczy uważnie śledziły krwawe widowisko.

Woda w rzece pieniała się i skrzyła. Ryk zwierzęcia przybrał nowy ton, zabarwiony paniką, a ono samo zniknęło z pola widzenia pod nawalą nagich ciał. Jak skorpion zaatakowany przez armię mrówek, tu i tam ukazywał tylko fragmenty cielska. Widać było wyraźnie, że hipopotam zwolnił bieg ku głębinie wplątawszy się w żywy mur wojowników. Woda wokół nich pociemniała od krwi, a poturbowane ciała zaczęły

odpadać jak syte kleszcze od skóry wołu. Spływały w dół leniwego nurtu, ale w miejsce zabitych tłoczyli się następni żołnierze.

W jakiś niewyjaśniony sposób całe kłębowisko zaczęło wolno toczyć się przez mielizny w kierunku wyspy, zostawiając za sobą czarnoskóre zwłoki.

Dobrnęli wreszcie do wyspy i wyszli z wody — tysiąc, może dwa tysiące ludzi — dźwigając wyczerpanego, ale wciąż walczącego hipopotama. Samiec rzucał się gwałtownie na boki i ci, którzy znajdowali się w zasięgu jego szczęk, ginęli. Wielki łeb i wnętrze paszczy zwierzęcia pokryte były plamami krwi jego ofiar.

Znacząc swój szlak martwymi i straszliwie okaleczonymi ludźmi, donieśli starego samca do miejsca, w którym stał Manatassi.

Kapitan wystąpił chwiejnie do przodu, podtrzymując dłonią zdrowej ręki ramię odcięte powyżej łokcia kłapnięciem potężnych szczęk. Podał królowi ostrą włócznię. Manatassi podszedł do zwierzęcia i kiedy jego ludzie opuścili kolosa na ziemię, wbił włócznię w jego gardło. Uderzenie rozerwało aortę, z której trysnęła ciemną fontanną krew i zwierzę skonało z rykiem, który odbił się echem od wzgórz.

Manatassi cofnął się i patrzył niewzruszenie, jak jego ludzie dobijają rannych towarzyszy szybkimi ciosami skracającymi mękę. Kapitan podszedł do wodza i klęknął, przyciskając do piersi kikut ramienia. W oczach Manatassiego błysnęła duma. Ciosem żelaznego pazura zmiażdżył czaszkę rannego, po czym odwrócił się i podszedł do szejków. Uśmiechnął się smutno, widząc zdumienie w ich oczach.

— Macie jeszcze wątpliwości? — zapytał. Po chwili Hassan odezwał się:

— Czego od nas chcesz?

— Dwóch rzeczy — odparł Manatassi. — Wolnego dostępu do rzeki przez wasze terytoria dla moich armii. Musicie zerwać pakt o wzajemnej pomocy z Opetem. Poza tym chcę broni z żelaza. Moi kowale musieliby mieć jeszcze dziesięć lat, żeby uzbroić tak wielu ludzi. Dlatego potrzebuję waszej broni.

— A w zamian oddasz nam złoto Opetu i kopalnie środkowego królestwa?

— Nie! — warknął ze złością Manatassi. — Możecie zabrać całe złoto. Dla nas nie ma ono żadnego znaczenia. To przeklęty metal, miękki i bezużyteczny. Możecie wziąć wszystko, co zgromadził Opet, ale kopalnie środkowego królestwa już nigdy nie będą pracować. Żaden człowiek nie zejdzie więcej pod ziemię, by znaleźć tam okrutną śmierć.

Hassan chciał się sprzeciwić. Bez złota środkowego królestwa jego egzystencja straci sens. Mógł sobie wyobrazić wściekłość cesarza Czana, kiedy dowie się on o utracie szlaków handlowych do krainy złota. Palce Omara ostrzegły go w porę przed przeciwstawieniem się czarnoskóremu władcy.

— Przyjdzie jeszcze czas na szczegóły. — Hassan zrozumiał ostrzeżenie. Zdusił w zarodku swój protest i uśmiechnął się do Manatassiego. — Dostaniesz swoją broń. Dopilnuję tego.

— Kiedy?

— Wkrótce — obiecał Hassan. — Kiedy tylko moje statki powrócą z ziemi za wschodnim morzem.

\* \* \*

Lannon zestarzał się w ciągu tych trzech lat — pomyślał Hu. Bruzdy, które na królewskim obliczu wyrył niepokój, przyćmiły młodzieńczą urodę przyjaciela. Zmarszczki rysowały się również wokół jego ust, ale tylko uważne spojrzenie mogło je dostrzec.

Ciało Lannona wciąż było młode i krzepkie. Kiedy stał nagusieńki na dziobie, przyjąwszy postawę harpunnika, pod naoliwioną skórą grzbietu wyraźnie widać było



każdy miesiąc. Słońce ozłociło skórę na kolor ciemnego miodu. Był wspaniałym mężczyzną, wyniesionym przez bogów ponad wszystkich. Hu poczuł przygnębienie, kiedy porównał ciało króla ze swoim.

W jego umyśle poczęły formować się słowa ody o urodzie władcy. Kiedy mocnymi pchnięciami prowadził łódź po gładkich wodach jeziora, pełne zachwyty słowa wirowały w jego myślach jak rozdmuchiwane przez wiatr liście, a potem nagle zaczęły układać się w desenie. Tak narodziła się nowa pieśń.

Lannon wpatrzony w wodę dał znak, nie odwracając głowy. Hu odwrócił łódź wprawnym pchnięciem drąga. Ciało Lannona w płynnym dynamicznym ciśnieniu długiego harpuna w lustro wody wyzwoliło powstrzymywaną dotąd energię. Woda zabulgotała i zawirowała, a lina zwinięta na dnie łodzi zaczęła zsuwać się za burtę.

— Ha! — krzyknął Lannon. — Czyste trafienie! Pomóż mi, Hu! — Razem skoczyli do liny, śmiejąc się z podniecenia, a potem klnąc, kiedy zapiekły palce ocierane jej splotami. Wspólnymi siłami spowolnili ucieczkę ryby. Łódź dryfowała na środek jeziora, kiedy ryba zanurzyła się głębiej, wlokąc ją za sobą.

— Na święte imię Baala, zatrzymaj ją, Hu — wysapał Lannon. — Nie pozwól jej uciec głębiej, bo ją stracimy.

Szarpnęli linę. Mięśnie na ramionach i barkach kapłana napięły się jak ciało pytona i ryba zawróciła.

Wciągnęli swój łup pod burtę łodzi, a kiedy na powierzchnię wyłonił się wąsaty łeb, Lannon zawołał:

— Trzymaj!

Hu okręcił linę wokół przegubu i zaparł się całym ciałem o pokład. Łódź przechyliła się niebezpiecznie, kiedy Lannon złapał pałkę i dzielił nią lśniący czarny łeb.

Ryba zaczęła się szarpać oszalałymi ruchami, zalewając łowców wodą.

— Mocniej! — wrzasnął Hu. — Zabij ją! — Na wpół oślepiiony bryzgami wody Lannon walił w olbrzymi pysk. Niektóre z uderzeń trafiały w burtę łodzi, z której posypały się drzazgi.

— Nie w łódź, głupcze! Bij w łeb! — krzyczał Hu. Wreszcie ryba znieruchomiła i kołysała się lekko przy burcie. Śmiejąc się, sapiąc i przeklinając, przeciągnęli przez jej skrzela linę i wciągnęli ją na pokład. Prześlizgnęła się po nadburciu, czarna i śliska, ze srebrną plamą brzucha i wyłupiastymi oczami. Wąsy ponad rozdziawionym pyskiem wciąż jeszcze drżały. Cielsko, dwukrotnie dłuższe niż ciało kapłana i zbyt grube, by dało się objąć ramionami, wypełniło dno łodzi.

— Ależ potwór! — wydyszał Hu. — Największy, jakiego widziałem.

— Nazwałeś mnie głupcem — przypomniał Lannon.

— Nie, wasza wysokość, mówiłem do siebie. — Hu wyszczerzył zęby i odkorkował amforę z winem.

Lannon uniósł swoją czarę i uśmiechnął się do przyjaciela.

— Wzleć dla mnie, Ptaku Słońca.

— Zarycz dla mnie, Wielki Lwie. — Jednocześnie opróżnili czary i roześmiali się beztrudno jak dzieci.

— Musimy częściej znajdować czas na podobne wyprawy — rzekł Lannon. — Starzejemy się zbyt szybko, bo nasze troski i obowiązki pochłaniają nas bez reszty. Obaj wpadliśmy we własne sidła. Byłem szczęśliwy przez te kilka ostatnich dni, naprawdę szczęśliwy, po raz pierwszy od wielu lat. — Niemal nieśmiało spojrzął na przyjaciela. — Dobrze mi z tobą, kapłanie. — Wyciągnął rękę i niezdarnie klepnął go w ramię. — Nie wiem, co zrobiłbym bez ciebie. Nie opuszczaj mnie nigdy.

Hu zaczerwienił się, czuł się skrępowany; nie podejrzewał króla o podobne nastroje.

— Nie, wasza wysokość — zapewnił ochryple. — Zawsze będę przy tobie.  
Lannon roześmiał się, rozładowując napięcie. On również czuł się niezręcznie.

— Słodki Baalu, stajemy się sentymentalni jak dziewczyny. To starość, nie sądzisz? — Ostentacyjnie przechylił czarę z winem, unikając wzroku przyjaciela. — W jeziorze są jeszcze ryby, a do końca dnia mamy godzinę czy dwie. Nie zmarnujmy ich.

O zmierzchu wrócili do miejsca, w którym, pod pełnymi wdzięku palmami na brzegu jeziora, stała ich stara, zaniedbana chałupa. Kiedy Hu przeprowadził już łódź wokół cypla i trzcinowych zarośli, ujrzeli galerę zakotwiczoną w zatoce. Na szczycie masztu widniał sztandar rodu Barka, a na dziobie i rufie płonęły latarnie. Refleksy światła tańczyły na ciemnych wodach, a dźwięk głosów niósł się czysto i wyraźnie.

Hu zatrzymał łódź i oparł się o wiosło. Obaj milczeli, patrząc na czekający statek. Lannon odezwał się pierwszy:

— Dopadły nas obowiązki, Hu. — Jego głos był zmęczony i pełen rezygnacji.

\* \* \*

Lampa zawieszona na łańcuchu pod sufitem kabiny na rufie oświetlała twarze, w nienaturalny sposób uwydatniając policzki i nosy, ale pograżając w cieniu oczy. Oblicza ludzi skupionych wokół stołu były zawzięte, na co wpłynęły słowa posłańca z północy. Chociaż był młody i — jak wynikało z odznak — służył w wojsku od roku, jego postawa zdradzała wysoki ród, a raport brzmiał nadzwyczaj klarownie.

Opisał niepokój, jaki od kilku tygodni zapanował wzdłuż północnych granic: drobne incydenty, ruchy wielkich gromad ludzi widzianych z oddali, ognie i dymy rozległych obozów. Szpiedzy donosili o dziwnych zdarzeniach, o nowym bogu ze szponami orła i pazurami lwa, który obiecał powieść swe plemiona ku ziemi pełnej traw i wody. Wywiadowcy zaobserwowali liczne statki Drawidów, żeglujące wzdłuż wschodnich krańców wielkiej rzeki — niezwykle goście w tych rejonach; donosili o tajemnych spotkaniach jakichś ludzi...

Niepokój zataczał coraz szersze kręgi i wywoływał ogromne poruszenie; narastało napięcie, piętrzyły się zagadki. Widać było, że zbiera się na burzę. Nadchodzące zdarzenia wyczuwano, ale nie rozumiano ich, gdyż wszystko, co się działo, było całkiem nowe.

Lannon słuchał raportu w milczeniu, lekko zmarszczywszy brwi. Siedział z podbródkiem opartym na dłoni.

— Mój komendant nakazał mi ostrzec cię, byś nie uznał tego wszystkiego za pohukiwanie sów.

— Nie ma obawy. Znam dobrze starego Marmona. Nie wzywa węża, by rozprawił się z robakiem.

— Jest coś jeszcze — dodał chłopak i położył na stole skórzany wór. Rozluźnił rzemień i wytrząsnął z worka szereg przedmiotów z metalu. — Jeden z naszych patroli rzecznych zaskoczył bandę pogan usiłujących przeprowić się pod osłoną nocy. Nieśli te rzeczy.

Lannon podniósł jedną z ciężkich głowic włóczni i obejrzał ją uważnie. Kształt i wykonanie były bardzo charakterystyczne. Spojrzał na kapłana.

— Co ty na to? — zapytał. Jeszcze zanim Hu zabrał głos, Lannon wiedział, że się nie myli.

— To robota Drawidów. Nie ma wątpliwości — potwierdził jego spostrzeżenie kapłan.

— W rękach pogan?

— Może znaleźli to przy martwych Drawidach albo ukradli?

— Może — rzekł Lannon. Milczał przez dłuższą chwilę, po czym spojrzał na

młodego oficera. — Dobrze się sprawiłeś — powiedział.

Młodzieniec zarumienił się z radości. Lannon zwrócił się do Habbakuka Lala.

— Czy możesz zabrać nas do Opetu jeszcze tej nocy? Admirał z uśmiechem skinął głową.

Lannon i Hu stali razem na rufie i patrzyli na swoją wyspę niknącą w mroku, kiedy galera nabierała szybkości i zostawiała ślad lśniący w blasku księżyca.

— Zastanawiam się, kiedy tu wrócimy — powiedział cicho Lannon. Hu poruszył się niespokojnie, ale milczał. — Czuję się tak, jakbym coś tu zostawił. Coś cennego, czego już nie odzyskam. Czy też to czujesz, Hu?

— Być może chodzi o naszą młodość, Lannonie. Myślę, że tych kilka dni właśnie ją zamknęło. — Znów umilkli, kołysząc się w rytm łagodnego ruchu galery.

Kiedy wyspa zginęła im z oczu, Lannon odezwał się jeszcze raz:

— Wysłałem cię na granicę, Hu. Bądź moimi oczami i uszami, stary przyjacielu.

\* \* \*

— To nie potrwa długo, najdroższa — zapewniał Hu, chociaż Tanith nic nie mówiła, pochłonięta jedzeniem ciemnych winogron. — Wrócę, zanim zauważysz, że mnie nie ma.

Tanith skrzywiła się, jak gdyby trafiła na gorzkie grono. Hu z niepokojem przyglądał się jej twarzy. Była pogodna i miła, ale i nieustępliwa, jak twarz bogini.

Poznał już wszystkie nastroje Tanith, każdą zmianę wyrazu jej twarzy, która zwiastowała nowe nastroje. Zafascynowany, patrzył, jak przemienia się z dziecka w dojrzałą kobietę, z pączka w kwiat. Przyglądał się jej z miłosnym oddaniem, ale wiedział, że nie opanował sztuki uśmierzenia jednego z nastrojów tej kobiety.

Tanith koniuszkami różowego języka oblizwała długi, spiczasty kciuk i palec wskazujący, a potem z zainteresowaniem obejrzała całą dłoń, obracając ją na wszystkie strony.

— Nie ma nikogo innego, komu król mógłby zaufać na tyle, by powierzyć mu tę misję. To sprawa najwyższej wagi — wyjaśniał Hu.

— Jestem tego pewna — mruknęła Tanith, wciąż oglądając swą dłoń. — Tak samo, jak nie było nikogo innego, z kim mógłby polować na ryby.

— Posłuchaj, Tanith — tłumaczył Hu. — Lannon i ja jesteśmy towarzyszami od dzieciństwa. Dawniej często pływaliśmy na wyspy łowić ryby. Ten ostatni wypad był jak pielgrzymka do miejsc naszej młodości.

— A ja siedzę tutaj sama z dzieckiem w brzuchu.

— To było tylko pięć dni — przypomniał Hu.

— Tylko pięć dni! — przedrzeźniała go. Rozpalające się policzki sygnalizowały przemianę lodu w ogień. — Przysięgam na moją miłość do bogini, że nie rozumiem cię! Zapewniasz mnie o swojej miłości, ale gdy tylko Lannon kiwnie palcem, biegniesz do niego, dysząc jak psiak, i kładziesz się na grzbiet, żeby podrapał cię po brzuchu!

— Tanith! — Hu uśmiechnął się. — Przysięgłbym, że jesteś zazdrosna!

— Zazdrosna?! Tak? — Tanith złapała misę na owoce. — Ja ci pokażę zazdrosną! — Cisnęła misę, a zanim zdążyła ona spaść na podłogę, kobieta szukała już następnych pocisków.

Stara Aina, drzemiąca w ciepłe słońca na krańcu tarasu, przebudziła się w samym środku kłótni i przyłączyła się do umykającego kapłana. Znaleźli schronienie za załomem muru, skąd Hu przeprowadził ostrożne rozpoznanie terenu. Z wnętrza domu dobiegał płacz Tanith.

— Gdzie ona jest? — zapytała drżącym głosem Aina.

— W domu — odpowiedział Hu, wyczesując z brody kawałki owoców i wycierając plamy z tuniki.  
— Co robi?  
— Płacze — odparł Hu.  
— Idź do niej — poleciła Aina.  
— A jeśli znów mnie zaatakuje? — zapytał niespokojnie.  
— Daj jej klapsa. A potem pocałuj. — Posłała mu bezzębny uśmiech.  
— Wybacz mi, święty ojciec — szepnęła Tanith. Hu poczuł na szyi jej gorące łzy.  
— To było dziecinne z mojej strony, wiem, ale każda chwila, którą spędzam bez ciebie, jest utratą części mojego życia.

Hu objął ją i głaskał ciemne włosy. Tulił Tanith, czując, jak pęcznieje w nim serce i rośnie siła miłości. Wsłuchiwał się w drogi głos, a oczy napełniały mu się łzami.

— Czy nie mogłabym pojechać z tobą i tym razem? — Spróbowała jeszcze raz go namówić. — Proszę, mój ukochany.

Jego odpowiedź była pełna współczucia, lecz stanowcza:

— Nie. Będę jechał szybko, a ty jesteś już w trzecim miesiącu.

Wreszcie pogodziła się z decyzją. Usiadła na poduszkach i wytarła oczy. Jej uśmiech był tylko odrobinę smutny, gdy poprosiła:

— Opowiedz mi jeszcze raz, co załatwiłeś na przyjęcie dziecka.

Usiadła obok łagodna i ciepła. Jej jasna skóra na nieznacznej wypukłości brzucha i wzbierających piersiach lśniła w blasku lamp. Bacznie słuchała, kiwając głową i uśmiechając się, a czasem przerywała wypowiedź kochanka okrzykami radości, kiedy opowiadał o przyszłości — o mamce, którą wybrał, mieszkającej w rześkim i zdrowym powietrzu gór, o posiadłości w Zeng. Mówił o tym, jak zdrowo dorastać będzie ich dziecko i o tym, z jaką radością będą je odwiedzać.

— Je? — zapytała figlarnie Tanith. — W żadnym razie, panie, na pewno — ją!

— Jego! — poprawił Hu. Roześmiali się oboje, chociaż pod wesołością Tanith krył się smutek.

To nie tak miało być, jak opowiadał Hu. Nie potrafiła tego zobaczyć, nie mogła dostrzec przyszłego szczęścia, nie potrafiła wyobrazić sobie śmiechu dziecka ani ciepła jego ciała.

Ciemne zasłony czasu rozwarły się na moment i, jak to czasem bywało, przez mgnienie ujrzała przyszłość; zobaczyła mroczne kształty, ludzi i rzeczy, które ją przeraziły.

Przytuliła się do Hu, zasłuchana w jego głos. Czerpała z niego otuchę i siłę. W końcu zapytała cichutko:

— Jeśli przyniosę lutnię, to zaśpiewasz dla mnie? Zaśpiewał jej odę do Tanith, w której pojawiły się nowe strofy. Za każdym razem, gdy ją śpiewał, dodawał kolejne.

\* \* \*

Marmon był jednym z wodzów, gubernatorem północnego królestwa, a zarazem dowódcą legionów i fortów strzegących północnej granicy.

Był wypróbowanym przyjacielem Hu Ben-Amona, starszym od niego o trzydzieści lat, a łączyło ich zamiłowanie do wiedzy. Marmon był biegłym historykiem, fanatykiem dziejów oręża, a Hu pomagał mu przy spisaniu historii trzeciej wojny z Rzymem. Był wysokim, kościstym mężczyzną z grzywą srebrnych włosów, z których był nadzwyczaj dumny, zawsze świeżo umytych i wytwornie ułożonych. Miał skórę gładką jak dziewczyna i mocno naciągniętą na sterczących kościach czaszki, a przebyta gorączka nadała żółtawy odcień cerze i oczom.

Należał do najbardziej zaufanych wodzów imperium. Od dwóch dni on i Hu

dyskutowali o sytuacji na granicy, ślęcząc nad mapą terytorium. Marmon wskazywał miejsca, do których pasowały odpowiednie części układanki. Zręczne palce wodza dotykały żetonów, prowadziły linie przez obszary niepokoju, a Hu słuchał i zadawał pytania.

Pod koniec drugiego dnia razem spożywali wieczorny posiłek, siedząc na wałach fortecy, gdzie mogli cieszyć się chłodnym zefirkiem. Niewolnica namaściła ich kończyny wonnym olejkiem, żeby odstraszyć moskity. Marmon własnoręcznie napełnił czarę kapłana, choć sam nie pił. Malaria rujnuje też wątrobę; dla niego wino było trucizną.

Hu podziękował Baalowi za odporność na niszczącą chorobę, która panowała na gorących nizinach bagien i rzeki. Jego umysł zmagał się z myślą: Dlaczego choroba zabija jednych, innych okalecza, a jeszcze innych zostawia nietkniętych? Dlaczego atakuje tylko na nizinach, a chłodne wyżyny są od niej wolne?

Będzie musiał kiedyś głębiej się nad tym zastanowić; może uda się znaleźć odpowiedź na te pytania.

Marmon zaczął coś opowiadać. Hu poniechał swych rozważań i skoncentrował się na słowach wodza.

— Rozbudowuję wciąż siatkę szpiegów, na których mogę polegać — mówił Marmon. — Mam ludzi, którzy składają mi regularnie raporty.

— Powiniennem spotkać się z nimi — wtrącił Hu.

— Wolałbym, żeby do tego nie doszło, wasza świątobliwość... — zaczął Marmon, ale ujrawszy wyraz twarzy kapłana, zmienił zdanie. — Oczekuję jednego z nich w ciągu najbliższych dni. To jeden z moich najbardziej godnych zaufania informatorów; nazywa się Storch i jest byłym niewolnikiem z plemienia Vendi. Dzięki niemu rekrutuję wielu szpiegów po drugiej stronie rzeki.

— Porozmawiam z nim — powiedział Hu. Zmienili temat, kiedy Marmon poprosił kapłana o radę w sprawie swojego manuskryptu, i pograżyli się w przyjacielskiej dyskusji.

Tymczasem zapadł zmrok i służący zapalili pochodnie. Marmon rzekł:

— Panie, moi oficerowie zwrócili się do mnie z pewną prośbą. Niektórzy z nich nigdy jeszcze nie słyszeli twojego śpiewu, a pozostali chcieliby usłyszeć go ponownie. Nalegają, wasza świątobliwość. Wierzę, że zadośćuczynisz ich prośbie.

— Poślij do mojej kwatery po lutnię.

— Pomyśleliśmy już o tym, święty ojcze.

Hu śpiewał pieśni legionów, biesiadne, marszowe, frywolne oraz pieśni chwały. Oczarowani oficerowie stłoczyli się wokół niego na dziedzińcu, a zwykli żołnierze gromadzili się w grupkach nieco dalej, gotowi w każdej chwili przyłączyć się do refrenu.

Było już późno, kiedy przez ścisk przedostał się adiutant i szepnął coś Marmonowi. Ten kiwnął głową i odesłał go, po czym zwrócił się do kapłana:

— Wasza świątobliwość, zjawił się człowiek, o którym mówiłem.

Hu odłożył lutnię.

— Gdzie jest?

— W mojej kwaterze.

— Chodźmy do niego.

Storch był wysoki i podobnie jak większość Vendi szczupły i zgrabny, chociaż jego czarną skórę szpeciły na ramionach zgrubiałe szramy po biczu.

Zauważył spojrzenie kapłana i ciaśniej owinał się płaszczem, zakrywając blizny. Hu odniósł wrażenie, że dostrzegł w oczach byłego niewolnika wyzywający błysk, chociaż jego twarz pozostała niewzruszona.

— Storch nie zna punickiego — wyjaśnił Marmon. — Ale ty, ojcze, znasz

przecież jego rodzimy dialekt.

Hu skinął głową. Szpieg patrzył na niego przez chwilę, nim zwrócił się do Marmona. Jego głos był cichy i spokojny.

— Nasze porozumienie stanowiło, że nikt inny nie ujrzy mojej twarzy — przypomniał.

— To co innego — wyjaśnił szybko Marmon. — Nie stoi przed tobą zwykły człowiek, ale najwyższy kapłan Opetu i wielki wódz wszystkich armii króla. — Przerwał na moment. — To jest Hu Ben-Amon!

Szpieg skinął głową. Jego twarz w dalszym ciągu pozbawiona była wyrazu, nawet wtedy, kiedy Hu odezwał się w jego ojczystym języku.

Rozmawiali przez godzinę, aż wreszcie Hu przeszedłszy na punicki zwrócił się do Marmona:

— Jego raport jest sprzeczny z twoimi słowami. — Hu zmarszczył brwi i zaczął nerwowo bębnić palcami po stole. — Ten człowiek nawet nie słyszał o bogu z lwimi pazurami ani też o regimentach wyszkolonych wojowników.

— Odcinek rzeki, którym Storch się zajmuje, jest spokojny. Tamte meldunki pochodzą z ziem położonych dalej na wschód — wyjaśnił Marmon.

— Masz tam szpiegów? — zapytał Hu.

— Kilku — przytaknął Marmon. Hu zastanowił się przez moment.

— Wobec tego skieruję się na wschód — oznajmił. — Wyruszę o brzasku.

— Galera patrolowa przybędzie za pięć dni.

— Z pokładu statku wiele nie zobaczę; wolę pójść pieszo.

— Przygotuję eskortę, która będzie czekała przed wschodem słońca — zaproponował Marmon.

— Nie! — Hu odrzucił ofertę. — Sam będę podróżował szybciej, nie wzbudzając przy tym niczyjego zainteresowania. — Jeszcze raz spojrzął na Storcha. — Ten człowiek mógłby być moim przewodnikiem, jeśli, jak powiadasz, można mu zaufać. Marmon przekazał Murzynowi rozkaz i dodał:

— Możesz teraz odejść. Zjedz i odpocznij. A przed wschodem słońca bądź gotowy.

Hu długo spoglądał za oddalającym się Storchem.

— Ile mu płacisz? — zapytał.

— Niewiele — przyznał Marmon. — Sól, paciorki, garść miedzianych ozdób.

— Zastanawiam się, dlaczego on to robi — powiedział z namysłem Hu. — Dlaczego pracuje dla nas, skoro nosi jeszcze na ciele świeże ślady więzów.

— To już tylko on wie — rzekł Marmon. — Widziałem zbyt wiele dziwnych zachowań ludzi, żeby pytać ich o motywy postępowania.

— Ja zawsze staram się dociec przyczyn ludzkich postępów — mruknął Hu, wpatrzony w korytarz, w którym zniknął szpieg. Niepokoiło go, że zdrada tego człowieka tak silnie poruszyła jego własne poczucie honoru.

\* \* \*

Wysiłki, podejmowane w ciągu czterech następnych dni, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na temat szpiega, nie przyniosły rezultatów. Storch był człowiekiem milczącym, odzywał się tylko wtedy, gdy go o coś pytano wprost, a i wtedy odpowiadał nader powściągliwie. Nigdy nie patrzył przy tym prosto w oczy; jego wzrok błędził po twarzy kapłana.

Hu czuł się nieswojo w jego towarzystwie; znał on jednak na pamięć każdy zakręt rzeki i każdą nierówność terenu, co było niezwykle cenne dla podróżującego kapłana.

Zatrzymali się w dwóch fortach na południowym brzegu. Od stacjonujących tam

ludzi Hu zebrał ważne wiadomości z pierwszej ręki: dwukrotnie odnajdowali oni ślady wielkich grup, przekraczających rzekę w niewyjaśnionym celu. Inne dane, świadczące o aktywności nieznanego przeciwnika, zaniepokoiły kapłana, tym bardziej że pozostawały w sprzeczności z zapewnieniami Storcha o spokoju panującym za rzeką.

Posuwali się szybko i cicho, prześlizgując się przez zwarty gąszcz doliny jak leśne duchy. Wyruszyli wieczorami, nocę spędzali na wędrówce i odpoczywali w czasie upału. Jedli niewiele, oszczędnie gospodarując zawartością worka z prosem, nie chcieli bowiem tracić czasu na łowy.

Czwartego dnia dotarli na szczyt niewielkiego granitowego wzgórza, z którego mogli przyjrzeć się rozległej dolinie, rozciągającej się pomiędzy łagodnymi stokami. Najodleglejsze jej rejony ocieniała niebieskawa mgiełka. W tym właśnie miejscu rzeka zataczała wielki łuk ku południu.

Aczkolwiek lśniąca pętla skracającej rzeki miała jakieś dwadzieścia mil długości, to obszar między jej brzegami nie wynosił więcej niż pięć mil. Mieścił się tam przysadzisty, zwarty blok garnizonu.

Hu wpatrywał się w zakręt, rozważając wybór pomiędzy całodzienną mozolną wędrówką wzdłuż brzegu a szybkim przecięciem przewężenia pętli, pomimo pewnego ryzyka wiążącego się z taką decyzją.

— Storch — powiedział. — Możemy przebyć rzekę? Czy są tam jacyś ludzie?

Murzyn jak zwykle odwrócił wzrok uciekając oczami przed badawczym spojrzeniem kapłana. Siedział nieporuszenie na granitowej kopule, jak gdyby nie usłyszał pytania.

— Będzie szybciej, jeżeli przepawimy się przez zakręt, ale czy to bezpieczne? — chciał wiedzieć Hu.

— Dowiem się — odpowiedział Storch. — Poczekaj tu na mnie.

Wrócił na godzinę przed zmrokiem i poprowadził Hu w stronę brzegu, gdzie wśród trzciny ukryte było wąskie czółno wydrążone z pnia drzewa. Drewno było przeżarte przez robactwo i wydzielało odór zepsutych ryb. Hu stał się podejrzliwy.

— Gdzie je znalazłeś?

— W dole rzeki obozuje rodzina rybaków.

— Ilu ich jest?

— Czworo — odparł Storch.

— Vendi?

— Nie, to ludzie Sofia.

— Wojownicy?

— Rybacy. Starzy ludzie o siwych włosach.

— Powiedziałeś im o mnie?

— Nie.

Hu zawahał się, usiłując pochwycić spojrzenie Storcha; obawiał się dostrzec w nim ślad zdrady.

— Nie — zdecydował. — Nie przepawimy się. Pójdziemy dookoła, dłuższą drogą. — To była próba. Czekał na reakcję Storcha, na jego argumenty, próbę przekonania go do podjęcia przepawy.

— Ty decydujesz. — Storch kiwnął głową i zaczął przykrywać łódź trzcina.

— A zresztą dobrze. Zawieź mnie na drugą stronę — postanowił Hu.

Storch skorzystał z siły prądu, żeby przepawić kruchą łódeczkę na drugi brzeg. Kormorany były skrzydłami o wodę, usiłując unieść się w powietrze, czekoladowe i białe ptaki jacana rozbiegały się wśród lilii, a złowieszcze, podobne kłodom drewna krokodyle ześlizgiwały się z brzegów do głębokiej wody.

Wylądowali na błotnistej plaży, wydeptanej przez zwierzynę zmierzającą do

wodopoju, i Storch ukrył czółno. Poprowadził kapłana ku łąkom jasnozielonej bagiennej trawy. Brnęli wśród wysokich do pasa, gęstych łądyg, czepiających się ubrań. Nasycona wilgocią ziemia ugięła się pod stopami.

Pośrodku polany Storch stanął nagle i ruchem ręki nakazał kapłanowi zatrzymać się. Wyciągnął głowę i zaczął nasłuchiwać. Przez długą chwilę trwali w bezruchu, po czym Storch, poleciwszy Hu pozostać w miejscu, ostrożnie ruszył do przodu.

Sto kroków dalej zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na kapłana. Po raz pierwszy na jego twarzy odmalowały się uczucia: radość i szalone uniesienie. Podniósł prawą rękę i wycelował ją w postać kapłana.

— Tam jest! Bierzcie go! — zawołał w języku plemienia Vendi.

Trawa zaszeleściła i zakotłosała się, jak gdyby prześlizgnął się po niej podmuch silnego wiatru, i wojownicy Vendi poczęli wyłaniać się ze swoich kryjówek. Szeregi formowały się wokół Hu, otaczając go szczelnie. Tarcze tworzyły zwartą ścianę. Pióropusze na głowach falowały groźnie.

Hu rozglądał się gorączkowo, szukając drogi ucieczki. Nie było żadnej; zerwał więc błyskawicznie skórzany pokrowiec z ostrza sępiego topora i skoczył jak pies rzucający się do gardła ofiary.

— Na Baala! — krzyknął, atakując zwarty mur czarnych ciał.

\* \* \*

— Co za nieświeże powietrze! — poskarżył się Lannon, oddychając głęboko. — Czy nie ma sposobu na doprowadzenie tu przewodów wentylacyjnych?

— Wasza wysokość! — Rib-Addi nie potrafił ukryć zgrozy. — Pomyśl, co to oznacza. Chcesz tu wpuścić robotników? Czy możesz sobie wyobrazić, co będą potem opowiadać? Ich informacje rozpalą chciwość wszelkich zbójów w czterech królestwach!

Usytuowanie i zawartość królewskiej składnicy były dotąd pieczołowicie strzeżoną tajemnicą, najlepiej strzeżoną tajemnicą imperium, znaną tylko kilku osobom: królowi, najwyższemu kapłanowi i kapłance, Rib-Addiemu oraz czterem urzędnikom skarbcza.

— Poślemy ich do bogów, gdy tylko zakończą pracę — wyjaśnił rozsądnie Lannon.

Rib-Addi zamrugał oczami ze zdziwienia. Nie przyszło mu do głowy tak radykalne rozwiązanie. Podrapał się po brodzie, głęboko zamyślony.

— Przez przewody wentylacyjne mogą się dostać złodzieje, gryzonie i wilgoć — powiedział.

— Och, już dobrze! — Lannon porzucił temat, wiedząc, że Rib-Addi sprzeciwia się zmianom tylko dlatego, że chodzi o zmiany. To, co było dobre przez minione dwieście lat, musiało być według niego dobre i przez następne dwieście.

Lannon przyglądał się ostatniej przesyłce złotych szeptaków z kopalni, z czcią dokładanych do stosów ułożonych już w niszach skarbcza. Rib-Addi pedantycznie odnotowywał liczby na swoich zwojach, a Lannon zatwierdzał je, gryzmołąc przy każdej pozycji swój znak.

Czwórka zaufanych urzędników wymaszerowała z podłużnej komnaty wypełnionej bezcennymi skarbami. Kiedy wspinali się po spiralnych schodach, Rib-Addi plombował żelazne drzwi. Wycisnął na glinianej tabliczce znak Wielkiego Lwa. Masywna kamienna płyta z głuchym trzaskiem wślizgnęła się na swoje łożysko.

Lannon uczynił znak słońca przed boskim wizerunkiem na drzwiach, po czym wraz z Rib-Addim, jak zwykle rozprawiającym o zawartości skarbcza, przeszedł wzdłuż archiwów. Na półkach wypełnionych zapisami dziejów królestwa nie



pozostało już wiele miejsca. Wkrótce trzeba będzie pomyśleć o rozszerzeniu katakumb w taki sposób, by nie uszkodzić ich obecnego układu.

Wyszli przez główny portal, zakryty ciężkimi skórzanymi zasłonami, do pomieszczenia straży. Wejścia strzegli oficerowie Szóstego Legionu. Dniem i nocą przebywało ich tu dwóch, a centuria wybranych żołnierzy Legionu Ben-Amona gotowa była na każde ich wezwanie.

W labiryncie świątyni Ishtar Rib-Addi uniżenie pożegnał Lannon a i zgięty w pół wycofał się wraz ze swoimi czterema podwładnymi.

W asyście czterech kapłanek nagi Lannon odbył rytualną kąpiel w basenie, a kiedy odziewały go w tunikę suplikanta, włożył rękę pod szatę jednej z nowicjuszek. Wyraz twarzy dziewczyny nie uległ zmianie; zachłannie przywarła ciałem do dłoni Lannon a, po czym cofnęła się. Kiedy zmierzał wzdłuż korytarza w kierunku komnaty audiencyjnej, podniósł dłoń, by przyglądać wąsy, i ukradkiem wciągnął w nozdrza zapach dziewczyny, który przylgnał do jego palców.

Wszystkie nowicjuszki były gorące jak placki z prosa świeżo zdjęte z blachy; oblubienice bogów, zmuszone zadowalać się ukradkowymi zalotami kapłanów i strażników świątyni. Lannon uśmiechnął się na myśl, jak wiele z nich korzysta z dobrodziejstw Święta Urodzajnej Ziemi. Jakże często popełniały śmiertelny grzech świętokradztwa z jakimś otulonym w gruby płaszcz i zamaskowanym kapłanem!

Znów zbliżało się to święto. Obchody miały rozpocząć się za dwa tygodnie i jak zawsze król czekał ich z niecierpliwością. Odczuł nagły żal, kiedy przypomniał sobie, że Hu najprawdopodobniej nie zdąży powrócić z północy na czas, aby włączyć się do obchodów święta. Królewska radość przygasła. Nastroje Lannon a zawsze zresztą cechowała zmienność. Nim przeszedł tuzin kroków, jego dobry humor całkiem się ulotnił. Kiedy władca wszedł do sali przyjęć, był mocno nachmurzony.

Spojrzał na wyrocznie siedzącą na tronie jak statuetka z kości słoniowej, z rękami złożonymi na łonie. Jej twarz przypominała maskę: czoło pobielone sproszkowanym antymonem, powieki lśniąco metalicznym błękitem i usta błyszczące jaskrawym szkarłatem. Lannon znalazł ujście dla swego złego nastroju.

Kiedy pochylił się w niedbałym ukłonie, uprzytomnił sobie, jak często ta wiedźma krzyżowała mu plany i wyprowadzała go z równowagi. Nie cierpiał tych wróżbiarskich sesji, chociaż przyznawał, że w jakiś osobliwy sposób fascynowały go. Zdawał sobie sprawę, że często przepowiednie Tanith były zwykłym śmieciem, inspirowanym prawdopodobnie przez aktywne politycznie duchowieństwo. Zdarzały się jednak i wnikliwe komentarze, i znakomite rady, a czasem słowa cenne jak grudki najczystszej złota. W czasie regularnych wizyt Lannon wsłuchiwał się pilnie w proroctwa, starając się uchwycić wszelkie niuanse w głosie wieszczki. Podobnie jak Rib-Addi, Tanith zdradzała się sposobem, w jaki wypowiadała proroctwo. Lannon był czuły na wszelkie subtelności intonacji, a jeszcze bardziej na rozwlekły, monotony ton wieszczki wygłaszającej swe proroctwa wysokim głosem.

Staął przed nią, szeroko rozstawiając nogi i opierając pięści na biodrach. Z królewską arogancją, pogłębioną jeszcze przez zły humor, zadał pierwsze pytanie.

Tanith nienawidziła sesji z Wielkim Lwem. Wzbudzał w niej strach. Czuła się jak zamknięta w klatce z pięknym, lecz dzikim drapieżcą o niewyczerpanej energii i trudnym do przewidzenia zachowaniu.

Zazwyczaj towarzyszył jej w tych spotkaniach ukryty przed królewskim wzrokiem Hu, którego obecność dodawała jej otuchy. Tego ranka jednak była samotna i chora.

Dziecko w jej łonie ciążyło niczym kamień. Wstała apatycznie z łóżka, blada i mokra od nocnego potu. Zmusiła się do zjedzenia lekkiego śniadania przygotowanego przez Ainę. Zaraz jednak zwróciła je, gnębiona przyprawiającymi o zawrót głowy nudnościami.

Wciąż czuła w głębi gardła gorzkokwaśny smak, a spływający pot drażnił nieprzyjemnie ciało. Poczwała nagle, że brak jej powietrza, że słabnie, lecz w tej samej chwili król burkliwym tonem zadał pytanie.

Jej odpowiedzi były pustymi słowami, wypowiedzianymi bez przekonania. Z wysiłkiem próbowała się skoncentrować, by przypomnieć sobie, co Hu polecił jej przekazać.

Król zaczynał się niecierpliwić. Spacerował tam i z powrotem, rozpraszając Tanith jeszcze bardziej. Poczwała, że pot spływa jej po twarzy; z trudem zapanowała nad chęcią wytarcia jej. Nagle wyobraziła sobie cudownie chłodną wodę na omszałych kamieniach, swe nagie ciało zanurzające się w zielonej toni i unoszące się na powierzchni, z rozrzuconymi włosami przypominającymi kłacza wodnych roślin.

— Dalej, wiedźmo! Co mnie czeka w przyszłości? Zadałem ci proste pytanie. Odpowiedz!

Król zatrzymał się przed nią z jedną nogą na stopniach tronu, z cofniętymi ramionami, i wysunął do przodu biodra w ordynarnym męskim geście. Jego przystojną twarz zniekształcił szydery grymas.

Tanith gorączkowo szukała właściwych słów, gdy nadeszła kolejna fala nudności. Poczwała pot przesączający się przez cieką warstwę szminki oraz silne zawroty głowy.

Twarz Lannona skurczyła się gniewem. Tanith zaś odniosła wrażenie, że pogrążyła się w ciemności. Na końcu długiego pasma mroku widziała twarz króla płonąca jak złocista gwiazda. Słyszała dziki ryk, łoskot wiatru szalejącego wśród drzew. Potem odgłos wiatru ucichł w oddali, a w jego miejsce pojawił się jakiś głos. Głos był mocny i wysoki, równy i monotony, głos kobiety głuchej albo oszołomionej dymem narkotycznej fajki. Z pewnym zdumieniem Tanith zorientowała się, że głos ten dobywa się z jej gardła.

— Lannonie Hycanusie, Wielki Lwie Opetu, lepiej nie pytaj o przyszłość, bo twoja przyszłość to tylko mrok i śmierć.

Zobaczyła grozę na twarzy Lannona; ujrzała, jak jego nagle pobladłe policzki przybierają kolor białego marmuru, a usta zaciskają się w surową linię.

— Lannonie Hycanusie, więźniu czasu chodzący za prętami swojej klatki, czeka cię tylko ciemność.

Lannon kręcił głową, usiłując zaprzeczyć słowom wyroczni. Złote loki, wciąż wilgotne po rytualnej kąpieli, falowały mu na ramionach. Uniósł obie dłonie w znaku słońca, starając się oddalić słowa, które trafiły jego duszę jak strzały z łuku.

— Lannonie Hycanusie, twoi bogowie przemijają, wzlatują ku górze, pozostawiając cię czerni. Lannonie Hycanusie, który szukasz prawdy o przyszłości, wiedz, że czyha ona na ciebie, tak jak lew czyha na nierozważnego wędrowca.

— Sekutnico! — wrzasnął król. Rzucił się w stronę wieszczki, przeskakując stopnie tronu. — Czary! — Uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Kolejne ciosy odrzucały jej głowę w tył i na boki. Spod zsuniętego kaptura wysypały się splątane ciemne włosy. Odgłos uderzeń rozlegał się głośnie echem, ale Tanith nie wydała żadnego dźwięku. Jej milczenie spotęgowało gniew Lannona. Złapał dziewczynę za piaszcz i zwał z tronu.

— Czarownico! — krzyczał, ciągnąc ją po schodach. Upadła ciężko i spróbowała się podnieść, ale kopniak Lannona trafił ją w brzuch, zginając obolałe ciało w pół.

Lannon ryczał wymierzając kopniaki i rozglądał się w poszukiwaniu przedmiotu, którym mógłby zabić tę kobietę za słowa, które wygłosiła.

Nagle komnata wypełniła się kapłankami i Lannon cofnął się, ciężko dysząc. W jego oczach widniały błyski szaleństwa.

— Wasza wysokość! — Wielebna matka podeszła do niego.

Jego szal przygasał, ale władca wciąż trząsał się z gniewu, a jego zbieleiałe wargi drżały. Odwrócił się i wyszedł z komnaty, nie patrząc nawet na Tanith jęczącą na posadzce.

\* \* \*

Duchowna Rada Isztar, zebrana w komnacie wielebnej matki, wysłuchiwała skierowanego do niej żądania Wielkiego Lwa. Kapłanki siedziały w ciszy, pogrążone w rozmyślaniach. Rada składała się z najwyższej kapłanki i dwóch doradczyń, starszych kapłanek, które w przyszłości miały objąć sukcesję po wielebnej matce.

— Mamy oddać jedną z nas doczesnemu ciału Wielkiego Lwa? Jakiż precedens w ten sposób stworzymy? — spytała siostra Alma. — O jakąż zbrodnię oskarżane jest to dziecko? Jeśli nawet zbłądziła, naszą rzeczą jest osądzić ją i ukarać. Musimy chronić się nawzajem, nawet gdyby oznaczało to przeciwstawienie się woli króla.

— Czy zakon może sobie pozwolić na taki gest? — zapytała siostra Haka o twarzy pokrytej krostami i silnie zarysowanych szczękach. Mówiła głębokim, niemal męskim głosem. Nie miała jeszcze czterdziestu lat i było pewne, że przeżyje wielebną matkę. Jeszcze do niedawna wydawało się, że to ona stanie wkrótce na czele zakonu. Kiedy jednak w Opecie pojawiła się nowa wyrocznia, pozycja Haki została zachwiana. Tanith stała się jej groźną rywalką, a poza tym siostra Haka miała jeszcze intymny rachunek do wyrównania z tą dziewczyną. Nie zapomniała, że Tanith odrzuciła jej awanse. Wciąż zresztą tęskniła do tej dziewczyny; marzenia o niej zakłócały jej sen, a gdy w ciemnościach tuliła którąś z nowicjuszek, wyobrażała sobie, że to Tanith.

— Czy jesteśmy dość silne, by sprzeciwić się żądaniu króla? — zapytała, patrząc na swe towarzyski. Wszystkie przecież wiedziały, że nikt — szlachetnie urodzony, kapłan, przyjaciel czy wróg — nie sprzeciwił się dotychczas żądaniom królewskim.

Cisza przedłużała się, aż wreszcie siostra Aima zaniosła się gwałtownym kaszlem, po czym splunęła grudką krwawej flegmy i wytarła usta wilgotną szmatką.

Niewiele ci już zostało, starucho — pomyślała siostra Haka. Zatroskaną miną maskowała swą głęboką satysfakcję.

Znów zapadła cisza, a następnie wielebna matka odezwała się z wahaniem:

— Być może trzeba będzie dowieść, że dziewczyna zgrzeszyła, że popełniła czyn karalny.

To było wszystko, czego potrzebowała siostra Haka. Bez wahania podjęła atak.

— Poślijcie po tę dziewczynę — poleciła. — Musimy ją wypytać.

Tanith weszła do komnaty prowadzona przez Ainę. Obie kuśtykały zgięte wpół. Stara kapłanka mamrotała słowa otuchy.

— To dziecko zostało skrzywdzone — zaskrzeczała w obliczu rady. — Czy nie ma w was litości? Dlaczego ją wzywacie? Widzicie, w jakim jest stanie?

— Milcz, starucho — powiedziała beznamiętnie siostra Haka. Patrzyła na Tanith, której spuchniętą twarz pokrywały wielkie sińce.

— Pozwólcie jej usiąść — zażądała Aina. — Jest słaba i chora.

— Nikt nie siada przed radą — zaprotestowała siostra Haka.

— W imię bogini.

— Nie bluźnij, starucho.

— Proszę tylko o litość.

— Mówisz za dużo — ostrzegła ją siostra Haka. — Zostaw dziewczynę i odejdz!

Aina chciała zaprotestować, ale siostra Haka podniosła się z wyrazem furii na twarzy. Jej głos był ochrypły z gniewu.

— Odejdz! — powtórzyła.

Aina poczłapała więc do siebie, burcząc coś pod nosem, a słaniająca się na nogach Tanith pozostała przed obliczem rady. Siostra Haka opadła na stół i spojrzała na swą rywalkę. Nie musiała się spieszyć. Miała cały dzień na dręczenie Tanith. Ta świadomość sprawiła jej przyjemność.

Tanith ogromnym wysiłkiem woli wyprostowała się. Ołowiany ciężar w podbrzuszu i nogach przytłaczał ją. Niewiele robiła sobie z pytań, którymi zasypywały ją siostry. Haka chciała się dowiedzieć, co doprowadziło króla do furii. Dowodziła, że zakon znalazł się w niebezpieczeństwie z powodu gniewu Lannona. Wciąż pytała o jedno:

— Co mu powiedziałaś?

— Nie pamiętam, siostrze. Nie pamiętam — szeptała Tanith.

— Chcesz nam wmówić, że łatwo zapominasz słowa, które wywołują tak okropne konsekwencje? Mów, co mu powiedziałaś!

— To nie były moje słowa.

— Więc czyje? — Siostra Haka pochyliła się do przodu. — Czyje były to słowa, jeśli nie twoje? Bogini?

— Nie wiem — odparła Tanith. Nagle westchnęła ciężko, gdyż szarpnął ją ból w podbrzuszu.

— Czy przemawia przez ciebie bogini? — powtórzyła siostra głosem mrocznym i okrutnym. Była jak jastrząb rzucający się na wróbla.

— Och, proszę! — wyszeptała Tanith, pochylając się lekko z rękoma przyciśniętymi do brzucha. — Och, proszę, to boli. Och, jak boli!

Coś spłynęło nagle pod stopy Tanith, mocząc przód jej tuniki i rozpryskując się ciemnoczerwonymi kroplami na płytach posadzki. Powoli, jakby z oporami, Tanith zgięła się i upadła na bok, podciągawszy kolana. Jęczała cicho.

Siostra Haka zerwała się z miejsca i pochyliła nad dziewczyną. Z lesbijską ciekawością uniosła skraj jej tuniki i brutalnie rozsunęła kolana.

Wyprostowała się z uśmiechem i spojrzała na pozostałe kapłanki.

— Tu masz swój grzech, święta matko. Oto dowód przestępstwa! — Popatrzyła na okrwawione ciało leżące u jej stóp. — Świętokradztwo! — wygłosiła szorstko oskarżenie. — Świętokradztwo! Zbrodnia przeciw bogini!

\* \* \*

— Nie powiem — rzekła stanowczo Tanith. Siniaki zniknęły, opuchlizna zmniejszyła się trochę, ale pod okiem wciąż widniała plama koloru śliwki, a usta nosiły ślady uderzeń. Złożona niemocą, przeleżała dziesięć dni i wciąż była osłabiona. — Nie zszargam słowami swego uczucia. Nie powiem wam jego imienia.

— Wiesz, że to grzech śmiertelny. Twojemu życiu zagraża niebezpieczeństwo — przypomniała wielebna matka. — Już odebrałyście mi życie. Już się dokonało. Zabierzcie więc resztę. — Tanith popatrzyła prosto na siostrę Hakę, a potem na Lannona Hycanusa, który stał przy oknie komnaty. — Chcecie mnie zabić. I nic tego nie zmieni. Dobrze więc, odejdę, pieszcząc w myślach imię ojca mojego dziecka.

— Jesteś głupia i uparta — odezwała się siostra Haka. — Przecież i tak się tego dowiemy.

— Dlaczego to takie ważne? — spytała Tanith. — Wszystko sprowadza się do tego, że stanęłam pomiędzy tobą i twoimi ambicjami. — Tanith popatrzyła prosto w oczy siostry Haki. Zauważyła, że jej słowa wywołały na mało urodziwej twarzy ciemny rumieniec.

Tanith uśmiechnęła się i skierowała następne słowa do Lannona.

— Wszystko sprowadza się do tego, że jestem źródłem proroctwa. Chcesz więc

mnie zniszczyć. Chcesz, żeby bogowie cofnęli wyrok, jaki na ciebie wydali. Na próżno, Lannonie Hycanusie. Wieją już wiatry przeznaczenia, sfera losu rozpoczęła łowy.

— Dość! — warknął Lannon, wychodząc na środek komnaty. — Nie mam czasu. Nie będę dłużej wysłuchiwał twoich idiotycznych mów. — Spojrzał na siostrę Hakeę. — Przyprawcie opiekunkę tej wiedźmy.

Kiedy oszołomiona Aina stanęła przed królem, spojrzął na nią wzrokiem pozbawionym wyrazu.

— Wyznaczono ci obowiązki. Nie wypełniłaś ich. Wymień imię buhaja, który dosiadał naszej jałówki — zażądał.

Aina zaniósła się jęklivymi słowami sprzeciwu; wypierała się wiedzy na ten temat. Padła przed Lannonem na kolana, pełzała u jego stóp i całowała brzeg jego tuniki, śliniąc się ze strachu.

Zirytowany Lannon odepchnął ją od siebie i znów spojrzął na siostrę Hakeę.

— O ile mi wiadomo, nie uchylasz się przed męską pracą — powiedział.

Siostra Haka przytaknęła, oblizując usta. W jej oczach zalśniły okrutne błyski.

— Najpierw złam jej ramię — polecił Lannon. — A wiedźma niech stanie blisko i przygląda się.

Siostra Haka poderwała Ainę na nogi, trzymając ją mocnymi brązowymi rękami, których wierzch pokryty był czarnymi włoskami. Aina zaczęła się szarpać, skrzecząc ze strachu. Haka unieruchomiła ją i wykręciła rękę do tyłu.

— Zaczekajcie! — zawołała Tanith. — Zostawcie ją!

— Puść ją — polecił Lannon.

Tanith podeszła do starej kapłanki i tkliwie ucałowała jej czoło i policzek. Aina szlochała.

— Wybacz mi, dziecko. Tak mi przykro. Powiedziałyby im. Wybacz mi.

— Spokojnie, matko. Spokojnie. — Tanith poprowadziła ją do drzwi i łagodnie wypchnęła z komnaty. Wróciwszy stanęła przed królem.

— Powiem jego imię, ale tylko tobie.

— Zostawcie nas — rozkazał Lannon.

Członkinie rady wstały i gęsiego wymaszerowały z komnaty.

Kiedy zostali sami, Tanith wymówiła imię swego kochanka z dumą i wyzwaniem w głosie. Lannon cofnął się jak uderzony w twarz.

— Od jak dawna jest twoim kochankiem? — zapytał wreszcie.

— Od pięciu lat — odpowiedziała.

— Więc to tak... Wygląda na to, że dzielił swą miłość między nas dwoje.

— Nie, wasza wysokość. Ja miałam ją całą.

— Jesteś mądra, że używasz czasu przeszłego — stwierdził Lannon. Stanął przy oknie. Spojrzał na jezioro. Nic nie może stanąć między nami — pomyślał. — Potrzebuję go. Potrzebuję go!

— Co to będzie, wasza wysokość? Trucizna czy sztylet? W jaki sposób zabijesz kapłankę Isztar? Zapomniałeś już, że należę do bogini?

— Nie zapomniałem. Wyślę cię do niej dziesiątego dnia Święta Urodzajnej Ziemi. Udasz się do niej jako posłanka Opetu.

— Hu nie pozwoli na to — wyszeptała przerażona Tanith.

— Hu jest na północy, daleko od Isztar.

— Znienawidzi cię. Stracisz go na zawsze — ostrzegła.

— Nigdy się nie dowie, że to ja wydałem taki rozkaz. Nigdy się nie dowie, że go zdradziłaś, że podałaś mi jego imię. Ty musisz go stracić! Widzisz, potrzebuję go, a moje pragnienia są ważniejsze niż twoje.

\* \* \*

Najpierw nieśli go w lektyce, gdy był nieprzytomny, a także i później, kiedy ciągle był zbyt słaby, żeby iść. Nie wiedział, jak długo i w którym kierunku zmierzali.

Później, kiedy zmusili go już do marszu, związali go i zasłonili mu oczy, tak że uświadamiał sobie tylko nacisk stłoczonych wokół ciała, a także odór potu i zjełczanego tłuszczu, którym się smarowali. Nie odpowiadali, gdy pytał; ich brutalne ręce ponaglały go do marszu, a ostrze włóczni kłuło, kiedy się opierał.

Był potłuczony, posiniaczony, głowę pokrywały mu guzy i strupy, całe ciało nosiło ślady bijatyki. Nie odniósł jednak poważniejszych ran. Wyglądało to tak, jakby napastnicy unikali zadawania mu ciosów śmiertelnych czy uszkadzających nieodwracalnie ciało.

Już pierwszej nocy, kiedy zatrzymali się na popas, Hu zaczął zastanawiać się nad możliwością ucieczki, ale gdy spróbował unieść zasłaniającą mu oczy opaskę, mocny cios w twarz wyperswadował mu ten pomysł. Nakarmili go garścią rozgotowanego prosa i kawałkiem fatalnie ususzonego mięsa, nadpsutego i lekko cuchnącego. Zjadł łapczywie.

Następnego dnia wyruszyli wczesnym rankiem. Kiedy Hu poczuł na twarzy promienie słońca, a przez opaskę spostrzegł światło, cicho odmówił modlitwę do Baala i poprosił go o wsparcie.

Tego samego dnia uświadomił sobie, że teren pod stopami wyrównuje się, jakby wyszli na otwarte równiny. W nozdrzach czuł woń krowiego łajna, dymu i ludzkich siedzib. Ponad dudniący rytm bosych stóp eskorty i szelest ich fartuchów wzniósł się tumult głosów i wzmożonej krzątaniny. Powietrze aż drżało od dźwięków i ruchu wielu postaci. Podobny odgłosom pszczelego ula pomruk ostrzegł Hu, że otaczają go setki ludzi.

Nareszcie zatrzymali się. Stał słaby i spragniony pod gorącym słońcem, skrępowany linami, które wrzynały się w skórę, obolały od razów. Wolno mijał czas. Czekający wraz z nim mężczyźni milczeli.

W końcu rozległ się donośny głos. Napięte nerwy Hu drgnęły. Głos przemówił w języku ludu Vendi:

— Kto szuka tego, który ma pazury lwa, kto szuka tego, który ma stopy ptaka?

Hu nie odezwał się, czekając na jakieś wskazówki, które podpowiedziałyby mu, jak ma postąpić. Ku swemu zdziwieniu poczuł chłodne dotknięcie żelaza na przegubach i ruch ostrza przecinającego więzy. Zaczął rozcierać palce, by przywrócić w nich krążenie krwi. Potem podniósł ręce do opaski na oczach, oczekując ciosu, ale nic się nie wydarzyło. Zsunął więc szmatę i zamrugął niepewnie.

Jego oczy szybko przywykły do blasku pełnego dnia. Gdy rozejrzał się wokół, zamarło mu serce. Stał na środku rozległej, lekko wklęsłej niecki, otoczonej niskimi pagórkami.

Z wyjątkiem kolistego obszaru o średnicy stu kroków, w którego centrum się znajdował, ziemia była czarna od wojowników. Z lękiem patrzył na nieprzebrane ich masy, nie będąc w stanie oszacować ich liczby. Nie przypuszczał dotąd, że na tej ziemi żyje tak wielu ludzi. To był koszmar; wrażenie nierzeczywistości pogłębiał groźny bezruch czarnych hord. Tylko pióra na ich głowach kołysały się ospale.

Upał i ścisk pozbawiał go tchu. Rozpaczliwie rozejrzał się wokół, szukając drogi ucieczki. Daremnie. Tuż obok stał Storch trzymający na ramieniu sępi topór. Hu odczuł gniew z powodu zdrady, jakiej dopuścił się ten człowiek, ale wydało mu się to zarazem dziwnie nieistotne wobec potworności nowego doznania.

Storch nie patrzył na niego. Wpatrywał się w grupę Vendi stojących wokół niewielkiego kopca na końcu polany. Kopiec był nagi, ale przyciągał uwagę obecnych jak pusta scena przed pojawieniem się szczególnej atrakcji.

Ponownie rozległ się ten sam głos:

— Kto szuka Wielkiej Czarnej Bestii, łowcy lwów? Wciąż trwała cisza i bezruch. I nagle ludzkie mrowie poruszyło się, kiedy na kopczyk wszedł jakiś mężczyzna.

Wysoka korona żurawich piór na jego głowie i wysokość wzniesienia, na którym stanął, czyniły go podobnym bogom. Szaty z lamparcich skór zwieszały się ku ziemi, a on stał nieruchomo, przypominając wysokie drzewo rosnące wśród szeleszczącej trawy.

Storch złożył u stóp króla sępi topór.

Hu wyprostował się, lekceważąc ból ogarniający całe ciało. Starał się nie utykać, gdy szedł w kierunku kopca. Spojrzał na wyniosłą postać.

— Powiniennem być się domyślić — powiedział po punicku.

— Powinieneś być mnie zabić — odrzekł Manatassi i spomiędzy fałd szaty wyciągnął żelazny szpon. — Zamiast uzbroić mnie w to.

— Nic nie rozumiesz — rzekł Hu. — Nie moją sprawą było odbierać ci życie.

Złożyłem przysięgę.

— Jeszcze jeden, który dotrzymuje słowa — odparł Manatassi.

Hu daremnie szukał w jego głosie śladów drwiny.

— Nie ma innego sposobu na życie. — Hu poczuł znużenie. Zrezygnowany, oczekiwał na śmierć.

Manatassi uniósł żelazny pazur, wskazując nieprzeliczone szeregi swojej armii.

— Widzisz, jaką włóczęgię wykułem?

— Widzę. — Hu skinął głową.

— Kto mi się oprze? — spytał Manatassi.

— Wielu spróbuje — powiedział Hu.

— Będziesz wśród nich?

Hu uśmiechnął się.

— Nie sądzę, żebym miał taką szansę.

Manatassi spojrział na małego garbusa w postrzępionej tunice, ze zmierzwioną brodą, o posiniaczonej twarzy i ramionach, ale wciąż niepokornego, choć przecież ważył się jego los.

— Nikt z moich ludzi nas nie rozumie — powiedział Manatassi. — Możemy rozmawiać swobodnie.

Hu skinął głową, zaskoczony.

— Proponuję ci życie, Hu Ben-Amonie. Przyjdź do mnie, daj mi swoją przyjaźń i obiecaj posłuszeństwo, jakie okazywałeś Wielkiemu Lwu Opetu, a dożyjesz późnej starości.

— Dlaczego mnie wybrałeś? — spytał Hu.

— Czekałem na ciebie. Wiedziałem, że przyjdiesz. Moi szpiedzy obserwowali cię, a sam los doprowadził do mnie.

— Dlaczego ja? — powtórzył Hu.

— Potrzebuję cię — oświadczył Manatassi. — Potrzebuję twojej wiedzy, twojego zrozumienia i twojego człowieczeństwa.

— Wybaczasz mi, że pozbawiłem cię dłoni?

— Mogłeś pozbawić mnie życia.

— Wybaczasz niewolniczy bicz w kopalniach?

— Tego nie wybaczę nigdy — warknął Manatassi. Jego twarz ściągnęła się, a oczy rozjarzyły się przydymioną żółcią. — Ale nie ty wymierzałeś ciosy.

— Wybaczasz masakrę pod Sett? — prowokował Hu.

— Jesteś także żołnierzem.

Manatassi drżał i Hu uświadomił sobie, że stąpa po krawędzi otchłani, ale uważał, że musi poznać siłę tego człowieka i rozszyfrować jego słabości.

— Do czego jestem ci potrzebny? — zapytał.  
— Chcę, byś pomaszerował przy moim boku przeciw Opetowi, jego okrucieństwu i strasliwym bogom — oznajmił Manatassi. — Z tobą przy boku i z tą armią za plecami zawładnę całym światem.  
— Nie mogę tego zrobić.  
— Dlaczego? Powiedz mi, dlaczego? Opet to zło, które musi być zniszczone.  
— To moja ziemia, mój naród, moi bogowie; nie mogą być dla mnie złem.  
— Myślałem, że jesteś człowiekiem rozsądnym — burknął Manatassi.  
— Rozsądek może zawieść człowieka bardzo daleko, ale w pewnej chwili musi on zaufać raczej swojemu sercu.  
— Więc odmawiasz mi?  
— Tak.  
— Wybierasz śmierć?  
— Tak.

Manatassi wznosił rękę i żelazne pazury zaśniły w blasku słońca. Hu wiedział, że kiedy ta dłoń opadnie, on zginie. Czekał, zmuszając się do zachowania spokoju.

Manatassi odwrócił się. Po chwili westchnął i powoli opuścił strasliwą dłoń.

— Kiedyś oszczędziłeś mnie — powiedział. — Teraz ja oszczędzę ciebie.

Hu odczuł ulgę tak wielką, że niemal porażającą. Nie chciał umierać; jego myśli pobiegły do Tanith i dziecka. Miał ich zobaczyć. Poczł łomot serca.

— Wracaj do Opetu. Wracaj do swojego króla. Powiedz mu, że Manatassi, Wielka Czarna Bestia, przybędzie z północy, by go zniszczyć.

— Masz zamiar ostrzec wroga? — zdziwił się Hu. — Czy tego cię uczyłem? Manatassi uśmiechnął się.

— Ostrzeżenie nic nie pomoże. Opowiedz swemu królowi o tym, co tutaj widziałeś, powiedz mu o tej armii. Niech poczuje chłód w sercu. Powiedz mu, że nadchodzę i że nie oszczędzę nikogo. Nadchodzę szybko.

Manatassi podniósł sępi topór i podał go kapłanowi.

— Idź! — powiedział. — Rachunki między nami zostały wyrównane. Nie jesteś mi nic winien i ja nie jestem winien nic tobie. Kiedy spotkamy się znowu, zabiję cię.

Patrzyli na siebie, stojąc na tyle blisko, by się dotknąć, ale odległość, jaka ich dzieliła, była w rzeczywistości większa niż ta, która rozdziela krańce oceanu.

Hu odwrócił się i utykając odszedł korytarzem utworzonym przez szeregi wojowników. Nikt nie zagroził mu drogi.

\* \* \*

— Matko, nie wolno ci się martwić — wyszeptła Tanith. — To nie była twoja wina.

— Powiedziałałabym im — wymamrotała Aina. — Wiem, że bym im powiedziała. Siostra Haka przeraża mnie.

— Ale nie powiedziałaś — pocieszyła ją Tanith. — Dobrze strzegłaś naszego sekretu. My sami nie wiedzieliśmy, że się domyślasz.

Aina postawiła przy łóżku Tanith miskę z jedzeniem i uśmiechnęła się z zadumą.

— Byliście tacy szczęśliwi. Z radością patrzyłam na ciebie. On jest dobrym człowiekiem, pomimo tego nieszczęsnego garbu. Jest łagodny i miły.

Tanith przesunęła się na posłaniu, robiąc miejsce dla Ainy.

— Usiądź przy mnie na chwilę, matko. Czuję się przeraźliwie samotna, tak ciężko mi czekać.

Aina spojrzała ze strachem na okratowane drzwi.

— One nie lubią, kiedy zostają tu długo.



— Proszę... — nalegała Tanith. — Tak niewiele czasu nam pozostało. Aina kiwnęła głową i zebrawszy fałdy szaty, usiadła na posłaniu. Tanith pochyliła się w jej stronę i szepnęła gorączkowo:  
— Wysłałaś posłańców? Znalazłaś kogoś, kto poszedł?  
— Wysłałam dwóch młodych wojowników. Uwielbiają świętego ojca jak boga. Powiedziałam im, że jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie i że on musi tu przybyć najszybciej, jak potrafi.  
— Myślisz, że go odnajdą?  
— Jest sto dróg, którymi mógł pójść, kraj jest rozległy. Nie chcę cię okłamywać, dziecko; nie mają wielkich szans.  
— Wiem — powiedziała Tanith. — A jeśli nawet go odnajdą, to czy zdąży wrócić na czas? A jeśli tak, to czy może zrobić coś, żeby Wielki Lew zmienił zdanie?  
— Jeśli powróci na czas, będziesz uratowana. Znam go.  
— Czekaj na niego, Aino. Jeśli powróci, idź do niego po kryjomu i powiedz, że król dowiedział się o nas. Musisz go ostrzec, ponieważ i on jest w niebezpieczeństwie.  
— Ostrzegę go — obiecała Aina.  
— Modlę się do wszystkich bogów, by jak najprędzej wrócił do Opetu. Nie chcę umierać, matko. Tak wiele jeszcze mogłam otrzymać od życia, ale dni mijają szybko. Już szósty dzień święta. Jeśli Hu nie przybędzie na czas, zginę za cztery dni.  
— Spokojnie, dziecko — załkała Aina. Przytuliła dziewczynę i pogłaskała. — Bądź dzielna, bądź dzielna.  
— To niełatwe — powiedziała Tanith. — Ale spróbuję. — Wyślizgnęła się z uścisku Ainy i usiadła wyprostowana. — Musisz już iść, matko. Inaczej Haka znów będzie się nad tobą znęcać.

\* \* \*

Wartownik czuwający na murach fortecy w Zanat, na południe od wielkiej rzeki, ujął lekko oszczep i zsunął go poniżej poziomu balustrady. Przyjrzał się stojącej pod murem dziwacznej postaci. Przybyły miał brudne i zmierzwiłone włosy, był bez zbroi, a jego tunika zwisała w strzępach.

Wydawało się, że jest ranny, gdyż stał zgięty w pół w nienaturalnej pozie, pochylony pod ciężarem wielkiego topora

— Jak brzmi twoje imię i co cię tu sprowadza? — zawołał wartownik.

Wędrowiec podniósł wzrok.

— Jestem Hu Ben-Amon, wielki kapłan Baala i wojownik Opetu. Moje sprawy są sprawami króla.

Wartownik zerwał się i odłożył oszczep na stojak. Zorientował się, że niewiele brakowało, by zrobił z siebie głupca. Zgarbione plecy kapłana i jego topór są słynne w każdym z czterech królestw i powinienem był rozpoznać je od razu — łajał się, zbiegając na podwórze. Zawołał oficera straży, informując go o przybyciu dostojnego gościa.

Ledwie uchylili bramę, Hu wszedł do środka i lakonicznym: „Dość tych nonsensów”, uciął wojskowe saluty.

Oficer straży był przerażony tak bezceremonialnym odrzuceniem ukochanego obrzędu legionu. Z trudem opanował grymas niechęci. Ta historia oraz opowieść o zebraczym stroju kapłana wzbogacą i tak ogromny zbiór legend, które towarzyszyły temu znakomitemu małemu człowieczkowi.

Hu przemaszerował wzdłuż szeregu pośpiesznie zwołanych strażników.

— Gdzie jest dowódca twierdzy? — zapytał oficera.

— W swojej kwaterze, wasza świątobliwość.

— Dzięki Baalowi! — westchnął Hu.

Z wilczym apetytem zjadł dużą porcję zimnego mięsa zawiniętego w dwa placki z prosa i popił czarą czerwonego wina. Jedząc nie przestawał wydawać poleceń.

Skryba Marmona pospiesznie notował każdy punkt, z trudem nadażając za potokiem słów kapłana. Marmon siedział na swoim taborecie w kącie pokoju. Jego srebrne włosy lśniły jak letnia chmura burzowa, a przystojna twarz zdradzała niepokój.

Z trudem mógł uwierzyć w to, co słyszał, choć nie wątpił w słowa Hu Ben-Amona. Zdał sobie sprawę z zaniedbań, jakich się dopuścił. To on powinien był odkryć śmiertelne zagrożenie, które wyrosło u granic królestwa. Być może spędzał zbyt wiele czasu na marzeniach i wspomnieniach o dawnych czasach; być może się zestarzał i stracił cechy niezbędne dowódcy garnizonu. Zastanawiał się, jaką cenę przyjdzie mu za to zapłacić. Ani Hu Ben-Amon, ani Wielki Lew Opetu nie byli ludźmi, którzy przeoczą zaniedbania, jakich Marmon się dopuścił.

Słuchał, jak Hu wydaje rozkazy stawiające w pogotowiu wszystkie garnizony, mobilizujące wszystkie rozpuszczone legiony. Posłańcy wysłani we wszelkie zakątki kraju nieśli zwoje z rozkazami, których wykonanie miało postawić całe imperium w stan gotowości wojennej. Marmon dziwił się odwadze człowieka, który podejmował samodzielnie decyzje tak wielkiej wagi. Musi przecież uzasadnić konieczność ich podjęcia przed królem i radą wysoko urodzonych. Może zostać przez nich uznany winnym strat i szkód, jakie mogą wynikać wskutek wstrzymania całej gospodarki kraju i handlu. Od decyzji Hu zależeć mogło jego życie oraz dalsze istnienie Opetu.

Obserwując zdecydowanie kapłana, wątpił, czy on sam kiedykolwiek był tak głęboko przeświadczony o słuszności swoich działań. Na miejscu Hu z pewnością posłałby po rozkazy do Opetu, narażając w ten sposób na niebezpieczeństwo kraj i naród. Hu powiedział bowiem wyraźnie, że chodzi o przetrwanie. Zagraża im wróg tak ogromnie przewyższający ich liczebnością, że los Opetu zależy już praktycznie tylko od bogów.

Hu podpisał ostatni zwój i nagle opuściła go energia. Dopiero wtedy Marmon zorientował się, że kapłan jest krańcowo wyczerpany. Słaniał się na nogach i jeszcze bardziej przyginał pod brzemieniem ogromnego znużenia.

Marmon zerwał się z taboretu i podszedł do niego. Hu odepchnął pomocne ramię i jeszcze raz spróbował zebrać siły.

— Muszę wyruszyć do Opetu — powiedział. Mówił niewyraźnie, jakby był pijany. — Jaki mamy dziś dzień, Marmonie? Chyba straciłem rachubę czasu.

— Jest siódmy dzień święta, wasza świętobliwość.

— Święta? — Hu spojrzał na niego oszołomiony.

— Urodzajnej Ziemi — przypomniał Marmon.

— Nie przypuszczałem, że już tak późno! Masz słońca, na którym mógłbym pojechać do Opetu?

— Nie, wasza świętobliwość — powiedział z żalem Marmon. — Nie mamy żadnych słońc.

— Wobec tego pójde pieszko — oznajmił Hu z rezygnacją.

— Najpierw musisz odpocząć.

— Tak — zgodził się Hu. — Muszę odpocząć. — Pozwolił, żeby Marmon odprowadził go do komnaty sypialnej. Padł na łóżko i zapytał: — Jak długo potrwa droga do Opetu, Marmonie?

— Jeśli będziesz szedł szybko, sześć dni. Jeśli będziesz biegł, pięć.

— Będę biegł — zapowiedział Hu. — Obudź mnie o zmierzchu. — I zapadł w sen.

Spoglądając na uśpioną postać, Marmon poczuł głęboki podziw dla wielkiego

serca tego małego wojownika, zazdrościł mu jego siły i energii, które zawsze stawiały go na czele grupy. Cieszył się, że właśnie Hu Ben-Amon poprowadzi ich w godzinie ciężkiej próby.

Nagle przypomniał sobie posłańca z Opetu, młodego wojownika Szóstego Legionu, który wstąpił do garnizonu poprzedniego dnia niosąc pilną wiadomość dla wielkiego kapłana. Generał zastanawiał się przez chwilę, po czym zdecydował się nie zakłócać snu kapłana. Powiadomi go o słowach posłańca o zmierzchu, gdy Hu wstanie.

Hu obudził się o zmroku, zjadł lekki posiłek i naoliwił ciało. Dwadzieścia minut później wybiegł przez bramę garnizonu w otoczeniu piętnastu eskortujących go legionistów. Gdy już zniknęli w mrocznych i cichych lasach na południu, Marmon przypomniał sobie o wiadomości przekazanej przez młodego żołnierza.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wysłać za Hu gońca, ale wiedział, że żaden biegacz nie doścignie kapłana. Chyżość jego długich nóg była niemal przysłowiowa.

I tak wkrótce będzie w Opecie — pomyślał Marmon. Szedł wzdłuż balustrady, aż dotarł na drugi koniec fortecy. Stał tam, póki nie zapadły ciemności, wpatrzony w groźną północ, i zastanawiał się, kiedy nadciągnie wróg.

\* \* \*

Duchowna Rada przysłała do celi Tanith rankiem dziewiątego dnia Święta Urodzajnej Ziemi. Na czele kroczyła wielebna matka, wątła i krucha, o niespokojnych oczach.

— Mamy dla ciebie radosną wiadomość, dziecko — zwróciła się do Tanith.

Ta usiadła szybko na posłaniu, czując gwałtowne dygotanie serca. Być może Wielki Lew zmienił zdanie...

— Och, wielebna matko! — wyszeptwała. Czują łzy ulgi zbierające się pod powiekami. Wciąż była słaba i wyczerpana po stracie dziecka; niewiele było potrzeba, by doprowadzić ją do łez.

Wielebna matka mamrotała coś niewyraźnie, nie patrząc na dziewczynę, niezdolna spojrzeć jej w oczy. Przez chwilę Tanith czuła się oszołomiona. Nie mogła pojąć słów o precedensie i prawie zakonu, póki nie zerknęła na twarz siostry Haki. Jakże jasno błyszczały te okrutne oczy, jaka zachłanność i pożądlivość wykrzywiła rysy tej smagłej twarzy.

Wtedy Tanith zrozumiała, że wyrok nie został zawieszony.

— ...i w swojej mądrości król wybrał ciebie, przyznał ci wielki zaszczyt dostarczenia bogini posłania Opetu — kontynuowała swą wypowiedź wielebna matka.

Nie przyszły, żeby ją uwolnić, ale by przypieczętować jej los. Siostra Haka uśmiechała się.

— Musisz być wdzięczna, moje dziecko. Król daje ci wieczne życie. Będziesz żyła w chwale przy boku bogini — dodała wielebna matka, a kapłanki zawtórowały jej:

— Dzięki Isztar! Dzięki Baalowi!

Wielebna matka ciągnęła:

— Musisz się przygotować. Przyślę Ainę, żeby ci pomogła. Dobrze zna ścieżki posłańców, ponieważ służyła już wielu wybranym. Pamiętaj o modlitwie, dziecko. Módl się, by bogini cię przyjęła.

Tanith patrzyła na nie z twarzą pozbawioną kropli krwi. Nie chciała umierać. Na usta cisnęły się jej słowa: „Oszczędźcie mnie. Jestem młoda. Chcę zaznać jeszcze trochę szczęścia, jeszcze trochę miłości”.

Duchowna Rada wymaszerowała z pokoju, zostawiając dziewczynę samą. Dopiero teraz łzy pociekły jej z oczu i zawołała głośno:

— Hu, przybądź do mnie! Proszę, przybądź do mnie!

\* \* \*

Wyrwał się z lepkiego, głębokiego snu. W uszach wciąż rozbrzmiewał mu krzyk z nocnego koszmaru. Trwało chwilę, nim uprzytomnił sobie, gdzie jest, i zorientował się, że obudził go przerażający sen.

Leżał w cieniu dzikiego figowca. Po pozycji słońca prześwitującego przez gałęzie drzewa poznał, że spał zaledwie godzinę. Nogi wciąż ciążyły mu jak ołów, ciało miało zdrętwiałe i pozbawione energii po dwóch dniach wyętej wędrowni.

Chciał zdrzemnąć się jeszcze przez trzy, cztery godziny, ale senny koszmar nie pozwalał mu zamknąć oczu.

Oparł się na łokciu, zaskoczony wysiłkiem, jaki musiał w tę czynność włożyć, ale wnet przypomniał sobie, że w ciągu dwóch dni przebiegł ponad dwieście mil. Popatrzył na resztki swojej eskorty. Zostało ich tylko trzech — o wynędzniałych twarzach, wyczerpanych, wyglądających na martwych, śpiących w pozycjach takich, w jakich padli na ziemię. Dwunastu wojowników zostało gdzieś po drodze, niezdolnych utrzymać tempa, jakie narzucił Hu.

Z trudem dźwignął się na nogi. Nie mógł spać, nie mógł odpoczywać, gdyż prześladowała go groza, a bezpieczeństwo króla i jego ziemi zależało od wytrzymałości kapłana.

Sztywno zwlókł się na dno niewielkiego strumienia i klęknął na białym jak cukier piasku. Ochlapał ciało czystą wodą, mocząc tunikę i brodę, po czym wspiął się na brzeg i spojrzał na śpiących ludzi. Zrobiło mu się ich żal, ale nie mógł sobie pozwolić na litość:

— Wstawać! Ruszamy do Opetu!

Jednego z nich nie mogli dobudzić, chociaż Hu kopał go w żebra i bił otwartą dłonią po twarzy. Zostawili go jęczącego przez sen.

Dwóch pozostałych podniosło się z wysiłkiem; z trudem poruszali zeszywniałymi nogami i rozglądali się półprzytomnym wzrokiem.

Przez pierwszą milę Hu szedł, rozluźniając obolałe mięśnie i wlokąc za sobą eskortę. Potem przerzucił sępi topór z jednego ramienia na drugie i zaczął biec długim, sprężystym krokiem, podobnym do truchtu antylopy.

Jeden z legionistów krzyknął, gdy nogi ugięły się pod nim, i runął jak długi na ziemię. Był wykończony; leżał, jęcząc z bólu skurczonych i nadwerężonych mięśni.

Drugi biegł dalej za kapłanem. Jego krok stawał się coraz pewniejszy, w miarę jak mięśnie rozluźniały się i napływała do nich świeża krew.

Biegli, gdy słońce wznosiło się do zenitu; biegli, gdy zaczęło się chylić ku zachodowi.

Daleko w przodzie nad horyzontem unosiły się chmury zwiastujące jezioro Opet, latarnię nadziei. Hu biegł z twarzą uniesioną ku chmurom. Instykt wiódł jego stopy, a wola syciła wycieńczone ciało, pozwalając mu biec nawet wtedy, gdy wypaliła się cała fizyczna siła.

W ostatnich słabych promieniach słonecznych wieże i mury Opetu lśniły barwą różu, a powierzchnia jeziora płonęła złotem.

Hu wbiegł na drogę, po której wędrowały karawany; przebiegał obok innych, pokrytych kurzem, podróżników którzy rozpoznając go, wołali:

— Módl się za nas, święty ojciec.

— Niech cię Baal błogosławi, wasza świątobliwość. Pośrodku przesmyku

prowadzącego do brzegu jeziora i miasta legionista zawołał czystym, mocnym głosem:

— Wybacz mi, święty ojcze. Nie mogę biec dalej. — Kolana ugięły się pod nim, stracił poczucie kierunku i zбочzył na skraj szlaku. Jego twarz zniekształcił ból pękającego serca. Padł twarzą na ziemię i legł martwy.

Hu Ben-Amon pobiegł dalej. Straż pałacowych bram dostrzegła go z oddali i rozsunęła wrota.

\* \* \*

Tanith obudziła się pod łagodnym dotknięciem dłoni. W świetle lampki płonącej przy posłaniu ujrzała pochyloną twarz Ainy. Spostrzegła, że starcze oblicze wykrzywia bezzębny grymas, a małpie oczy skrzą się wśród siatki głębokich zmarszczek.

— Obudziłaś się, dziecko?

— Co się dzieje, Aino? — Usiadła szybko. Uśmiech staruszki rozpałił w niej ogień nadziei.

— Przybył! — oznajmiła tryumfalnie Aina. — Święty ojciec powrócił.

— Jesteś pewna? — dopytywała się Tanith.

— Słyszałam krzyk na ulicach. Całe miasto jest poruszone. Mówią, że przybiegł z Zanat w trzy dni; mówią, że umarło piętnastu ludzi, którzy próbowali dotrzymać mu kroku.

— Och, Aino! — Tanith objęła starą kapłankę i przytuliła się do niej. — Jeśli przybył tak szybko, to znaczy, że już wie.

— Oczywiście, że wie. Jakż byłby inny powód do tak szaleńczego biegu? Jeden z wojowników musiał dotrzeć do niego z moim posłaniem. Wie wszystko. — Kiwała z przekonaniem głową. — Wie!

— Gdzie on teraz jest? — Tanith śmiała się, uszczęśliwiona. — Wiesz, gdzie on jest?

— U króla. Poszedł prosto do pałacu.

— Och, dzięki bogini i wszystkim bogom — westchnęła Tanith. — Poszedł użyć swojego wpływu na Wielkiego Lwa. Myślisz, że mu się uda, Aino? Czy król zmieni zdanie?

— Oczywiście. Wątpisz w to? Jeśli Hu Ben-Amon się uprze, to nawet sam Baal zmieni zdanie.

— Och, jaka jestem szczęśliwa, matko! — Tanith przylgnęła do Ainy. Nawzajem dodawały sobie otuchy. Wreszcie Tanith odsunęła się.

— Idź do niego, Aino. Czekał przed pałacem. Powiedz mu wszystko i wróć do mnie z wiadomością od niego.

Kiedy Aina zbierała się do wyjścia, Tanith przywołała ją.

— Powiedz mu, że kocham go nad życie i nad bogów.

— Cicho! Cicho, dziecko. Ktoś może cię usłyszeć. Kiedy została sama, z uśmiechem ułożyła się na posłaniu.

— Nie dbam o nic — szepnęła. — Hu jest tutaj i wszystko inne nie jest ważne.

\* \* \*

Król słuchał słów kapłana z rosnącym osłupieniem. Kiedy Hu pojawił się nie zapowiedziany i nie oczekiwany, przez głowę Lannona przebiegła myśl, że w jakiś sposób dowiedział się o ofierze, która miała być złożona podczas jutrzejszej ceremonii. Zastanawiał się, czy nie odmówić Hu audiencji; rozważał różne preteksty

uniknięcia spotkania, ale Hu wpadł do sypialni w otoczeniu przestraszonych i protestujących strażników.

Lannon podniósł się nagi z łoża swojej najmłodszej żony, ale słowa gniewu zamarły mu na ustach, gdy spostrzegł stan przyjaciela.

— Wybacz mi, wasza wysokość. Przynoszę straszne wieści.

Lannon patrzył na niego z lękiem; brudna i zakurzona tunika, nie uczesane włosy i broda, oblepiona suchą skórą czaszka i płonące szaleństwem oczy w sinych, zapadniętych oczodołach.

— O co chodzi, Hu? — Podszedł szybko do kapłana i podtrzymał go braterską dłonią.

Rada Dziewięciu, wszystkie szlachetne rody Opetu, zebrała się na nocnej sesji, żeby w pełnej grozy ciszy wysłuchać sprawozdania Hu Ben-Amona. Kiedy ochryplym głosem wypowiedział ostatnie słowa i osłabły osunął się na stół, rozległ się szmer zarzutów, lamentów i wątpliwości.

— Powiedziano nam, że ten czarny olbrzym został zabity pod Sett!

— Powiedziano wam tylko, że pod Sett zgładziłem wiele tysięcy. Nie wymieniałem imion — rzekł Hu.

— W jaki sposób tak potężna armia mogła zostać zebrana bez naszej wiedzy? Kto za to odpowiada?

— Została skoncentrowana poza naszymi granicami — odparł Hu. — Nie można za to nikogo winić.

— A co z kopalniami? Musimy zapewnić im ochronę!

Hu uśmiechnął się słabo.

— Taki właśnie mamy zamiar.

— Dlaczego na granicy znajduje się tylko jeden legion?

— Bo odmówiliście pieniędzy na więcej!

Zwrócili się przeciw niemu. Ich słowa z trudem przebijały się do mózgu Hu przez mgłę wyczerpania.

— W jaki sposób przeszedłeś nietknięty przez linie wroga?

— Czy ten Timon nie był przypadkiem twoim protegowanym?

— Znasz go dobrze; uczyłeś go, prawda?

— Dość! — Głos Lannona przerwał te pytania. — Jego świątobliwość wezwał naród do walki. Pokazał mi kopie zwojów, które zamierzam ratyfikować.

— Czy nie powinniśmy trochę poczekać? — zapytał Philo. — Czy nie działamy zbyt pośpiesznie?

— Na co chcesz czekać? — krzyknął Hu. — Aż ostrzem włóczni rozplątają ci brzuch albo obetną jądra?

Lannon podpisał rozkazy wojenne tuż przed świtem i zwolnił Radę Dziewięciu słowami:

— Spotkamy się ponownie w południe, po końcowej ceremonii Święta Urodzajnej Ziemi. Przejrzyjcie swoją broń i pożegnajcie się z rodzinami.

Kiedy zostali we dwóch, powiedział łagodnie:

— Śpij tutaj, Hu. Nic więcej nie możesz na razie zrobić.

Spóźnił się ze swą propozycją. Hu spał już z głową opartą o stół. Lannon podniósł go z taboretu i zaniósł jak uśpione dziecko do sypialni. Przy drzwiach postawił wartownika.

— Nikomu nie wolno budzić świętego ojca — poinstruował go. — Nikomu! Rozumiesz?

Nadchodził świt. Ofiara zostanie złożona za kilka godzin, a król wiedział, że Hu pogrążony jest w głębokim śnie, który może trwać nawet kilka dni. Zostawił go i poszedł wykapać się i przebrać przed procesją.

\* \* \*

Aina zarzuciła na głowę kaptur płaszcza, skrywając twarz. Kościste dłonie schowała w szerokich rękawach i zdmuchnęła lampę.

Stała w ciemności, zastanawiając się nad tym, jak postąpić. Nie mogła czekać, aż wielki kapłan wyjdzie z pałacu. Miała dostęp do pałacowych kuchni. Tamtejszy majordomus był wnukiem jej najmłodszej siostry. Często zachodziła tam na posiłek, jakże odmienny od pożywienia w świątyni. Wszyscy pałacowi niewolnicy znali ją. Powinno być proste zasięgnięcie informacji, w którym miejscu budowli o ścianach z gliny i krętych korytarzach przebywa wielki kapłan.

Ostrożnie rozchyliła zasłony celi i wyjrzała na zewnątrz. Na końcu korytarza paliła się pochodnia rzucająca wąty krąg światła. Aina nie dostrzegła postaci przyczajonej w ciemnym załomie korytarza, póki ta nie stanęła przed nią.

— Jeszcze nie śpisz, staruszko? — zapytał miękko głęboki głos i mocna dłoń zacisnęła się na jej przegubie. — Udajesz się z wizytą w środku nocy? Czy dlatego, że słyszałaś, iż Hu Ben-Amon powrócił do Opetu?

— Nie! — załkała Aina. — Przysięgam. — Szarpnęła się słabo. Wolną ręką siostra Haka rzuciła jej z głowy kaptur i spojrzała prosto w oczy.

— Szłaś do Hu Ben-Amona, prawda?

— Nie! Przysięgam. — Aina zobaczyła śmierć na twarzy siostry Haki. Zaczęła krzyczeć, lecz krzyk ten był wąty jak szum wiatru. Urwał się gwałtownie, gdy silna dłoń siostry opadła na jej usta.

Zza drzwi po drugiej stronie korytarza wyjrzała przestraszona twarz.

— Wracaj do łóżka! — warknęła siostra Haka i nowicjuszka cofnęła się pospiesznie.

Haka wepchnęła kruche ciało Ainy za zasłonę i cisnęła na posłanie. Zakryła dłonią jej twarz i nozdrza, drugą ręką przyciskając staruszkę do łóżka.

Aina rozpoczęła gorączkową walkę o życie; jej stopy łomotały w ścianę, a ręce próbowały dosięgnąć twarzy napastniczki. Ale szybko było po wszystkim; uciszyła się i znieruchomiała. Jeszcze przez długą chwilę siostra Haka zaciskała dłoń na martwych ustach i nozdrzach starej kapłanki.

Wreszcie z satysfakcją skinęła głową, starannie wyprostowała rozrzucone kończyny uduszonej i wyszła z celi. Przez wąską szparę okna pierwsze światło dnia padło na twarz Ainy. Jej usta były otwarte, w oczach malowała się groza, a na czoło opadł kosmyk siwych włosów.

\* \* \*

Lannon był przekonany o konieczności szczególnie starannego przeprowadzenia finalnego rytuału święta. Było oczywiste, że zawisła nad nim groźba niewyobrażalna, że przeciw Opetowi wystąpił wróg potężny i bezwzględny. W całej długiej historii kraju nie było takiego zagrożenia.

Słowa wyroczni przemawiały przeciw królowi, być może więc zarówno on sam, jak i jego królestwo narazili się na gniew bogów...

Lannon wiedział, że losy narodów zależą nie tylko od postępowania ludzi; bitew nie wygrywa się samymi mieczami. Wiedział, że na dzieje narodów wpływają czynniki spoza tego świata — czasem złośliwe, czasem łaskawe. Wiedział też, że można niekiedy przebłagać rozgniewanego boga i zjednać sobie jego przychyłość.

Kiedy wielebna matka prowadziła z nim na brzegu basenu Isztar rozmowę religijną, ze szczególną troską przestrzegał poprawności swoich odpowiedzi. Kiedy

składał ślubowanie bogini, w jego głosie brzmiała autentyczna szczerść.

Kapłanki otoczyły go i ich lekkie dłonie pomogły królowi pozbyć się szat z purpurowego jedwabiu. Prąd zimnego powietrza owiał nagie ciało, gdy kroczył w stronę krawędzi basenu. Zszedł po kamiennych stopniach i zanurzył się w przejrzystej zielonej wodzie. Jego ciało prześwitywało białą spod warstwy wody, a długie złociste loki i broda lśniły wilgocią, gdy kapłanki czerpały wodę dużymi muszlami i polewały mu głowę.

Kiedy wynurzyli się z basenu, Lannon czuł się duchowo oczyszczony, tak jakby święte wody splukały z niego troski i uzbroiły go przeciw niebezpieczeństwu. Jego religijna wiara nie była zbyt głęboka, ale w tej chwili czuł dziwne uniesienie. Cieszył się, że wybrał dla bogini tak ważnego posłańca jak Tanith.

Jego własne, małostkowe i osobiste, motywy nie miały już żadnego znaczenia. Wysyłał do bogini kapłankę, nawiedzoną przez bogów wyrocznię, osobę szczególnie godną posłannictwa, jakie jej powierzono. Z pewnością bogini spodoba się ofiara i zwróci swoje łaskawe oblicze ku dzieciom Opetu oraz rozpostrze swe skrzydła nad narodem w czasie próby.

Kapłanki wytarły go do sucha; jego mocne mięśnie wyraźnie rysowały się pod skórą nóg, ramion i szerokich barków. Dwie kobiety nasunęły mu przez głowę szatę z białego jedwabiu, koloru radości. Wielebna matka zawiesiła mu na szyi girlandy szkarłatnych lilii o ciężkim, słodkim zapachu.

To była chwila, w której powinna zabrzmieć modlitwa do bogini, a zaraz potem nastąpić miało złożenie ofiary. Cisza trwała jeszcze przez moment, po czym wśród ścian jaskini zadźwięczał mocny głos.

Lannon odwrócił się, przestraszony, szukając wzrokiem śpiewaka. Znał dobrze ten głos, jego melodyjną moc, głębię i niepowtarzalny tembr. Jego ramiona pokryła gęsia skórka. Głos odbijał się echem od ścian świątyni, zdając się burzyć lustro zielonej wody.

Lannon wpatrywał się w kapłana, który wystąpił z szeregu szlachetnie urodzonych i oficerów, ze śpiewem szedł wolno w stronę władcy. Jego ramiona były szeroko rozpostarte w znaku słońca, a przez otwarte usta, w których lśniły mocne białe zęby, dobywał się boleśnie piękny głos. Modlitwa skończyła się i Hu stanął przy boku króla. Jego twarz wciąż była ściągnięta znużeniem, oczy podkrążone sinymi plamami, a cera pergaminowa, ale kapłan uśmiechał się do Lannona z wyrazem zwykłego przywiązania.

— Hu! — szepnął przerażony Lannon. — Dlaczego przyszedłeś? Poleciałem, żeby ci nie przeszkadzano.

— W tych czasach moje miejsce jest przy tobie.

— Nie powinienesz być przychodzić — rzekł Lannon. To nie mieściło się w jego planach. Nie przewidywał obecności kapłana podczas śmierci wiedźmy. Nie chciał tortuować go tym strasznym uczynkiem. Zastanowił się, czy nie powinien przerwać ceremonii, wycofać ofiary i polecić kapłanowi, by opuścił świątynię.

Zdawał sobie wszakże sprawę, że w ciągu kilku najbliższych chwil rozstrzygnąć się może los imperium. Czy wstrzymanie ceremonii nie rozgniewa bogini? Czyjego powinności wobec kapłana były większe niż obowiązki wobec Opetu? Czy nie było już za późno? Czy bogowie i demony nie drwiły z niego; czy nie słyszał ich piekielnego śmiechu, którego echo rozbrzmiewało w pustce jego duszy?

Zdezorientowany i strwożony wpatrywał się w kapłana. Zrobił krok w jego stronę, wyciągając rękę w błagalnym geście, jakby prosił o zrozumienie i wybaczenie.

— Potrzebuję cię — powiedział ochryplym głosem.

Hu ujął jego dłoń. Nie zrozumiał gestu Lannona; odebrał go jako gest przyjaźni. Z dumą uśmiechnął się do króla i przyjaciela, i zaczął śpiewać pieśń ofiarną.



Jego głos wzbijał się na skrzydłach orłów, wzlatując ku ofiarnej platformie u sklepienia jaskini, wysoko ponad głowami. Oczy wszystkich obecnych podążyły za wzrokiem kapłana. Gdy przestał śpiewać, zaległa pełna napięcia cisza.

\* \* \*

Tanith nie mogła uwierzyć w to, co się wokół niej działo. Kiedy o świcie ktoś wszedł do celi, była przekonana, że to Hu przyszedł ją zabrać. Była to jednak siostra Haka.

Kapłanki zabrały ją ze świątyni i poprowadziły tajemnymi stopniami na szczyt urwiska górującego nad Opetem. Na samej górze stała kamienna budowla kryta dachem z trzciny, która kryła ziejący otwór nad basenem Isztar. Ubrały ją w bogato zdobione ofiarne szaty i wplotły kwiaty we włosy.

Potem zawiesiły jej na szyi ciężkie złote łańcuchy, a na rękach i nogach bransolety, aż ugięła się pod tym ciężarem. Wiedziała, że to należy do ceremonii, jak również i to, że ozdoby mają szybko wciągnąć ją w głąbie zielonego basenu, basenu, który nie ma dna, basenu, przez który dotrze na łono bogini.

Uroczyście, zachowując kompletną ciszę, posadziły ją przy niewielkim stoliku. Tłoczyły się wokół niej, podsuwając jadło i wino. To była uczta pożegnalna, uczta na cześć tej, która wyrusza w długą podróż. Tanith wysączyła nieco wina, z nadzieją, że rozgrzeje jej zlodowaciałą duszę.

Hu! — pomyślała. — Gdzie jesteś, ukochany?

Wreszcie kapłanka podeszła do drzwi i skinęła na pozostałe; wszystkie młode i silne. Było ich piętnaście, o wiele więcej niż potrzeba, by pokonać ewentualny opór ofiary.

Skupiły się wokół Tanith, jeszcze nie groźne, choć w najwyższym stopniu zdeterminowane. Patrzyły na nią wzrokiem pozbawionym wyrazu.

— Chodź — powiedziała jedna z nich.

Tanith wstała. Wyprowadziły ją przez drzwi w blask słońca. Przed sobą ujrzała wykutą w skale platformę, wystającą nad ciemnym otworem w ziemi.

Ścieżka wiodąca do platformy ofiarnej usiana była żółtymi kwiatami mimozy. Ich zapach w ciepłym nieruchomym powietrzu był intensywny; kwiaty pękały pod stopami Tanith uginającej się pod ciężarem złotych łańcuchów i przerażenia.

Nagle stanęła jak wryta, słysząc dobiegający z otworu głos, stłumiony przez odległość i odbijający się mocnym echem od ścian jaskini. Tego głosu, tak czystego i pięknego, nie mogła pomylić z żadnym innym.

— Hu! — szepnęła. — Mój panie! — Ale nadzieja szybko zgasła, ponieważ głos kapłana zaintonował pieśń ofiarną.

To Hu posyłał ją do bogini. Przed Tanith rozwarły się wizje piekła i pustki. Spostrzegła, że tkwi w sieci jakiegoś monstrualnego spisku, którego nie pojmowała; Hu zwrócił się zdradziecko przeciwko niej. To on składał ją w ofierze bogini.

Nie było więc już po co żyć. Jakże łatwo przyszło zrobić tych kilka ostatnich kroków...

Kiedy stanęła na krawędzi platformy, rozłożyła ramiona w symbolu słońca i zajrzała w mroczne wnętrze groty. Wody basenu były nieruchome i ciemne. Na jego brzegu stali król i kapłan. Spoglądali ku górze, ale było za daleko, by Tanith mogła odczytać wyraz ich twarzy. Wszystko, co wiedziała, to to, że Hu wciąż intonuje ofiarną modlitwę.

Poczuła, że rośnie w niej gniew i nienawiść. Nie chciała umierać z takimi namiętnościami. Bojąc się jednak, iż wypełnią całkowicie jej serce, podeszła chwiejnie do przepaści nad zielonym basenem. Kiedy poczuła, że traci równowagę,

głos kapłana urwał się nagle w połowie słowa.

Zawisła nad przepaścią i nagle była już w powietrzu, szybując ku głębi basenu. Jeszcze raz usłyszała głos Hu, zmieniony rozpaczą:

— Tanith!

Uderzyła o powierzchnię wody z siłą, która zdusiła życie, a ciężkie ozdoby wciągnęły ją w przejrzyste głębiny tak szybko, że Hu dostrzegł tylko krótki błysk złota głęboko w dole, jak gdyby ogromna ryba w pogoni za żerem odwróciła się do góry brzuchem.

\* \* \*

Manatassi przekroczył wielką rzekę zimą pięćset czterdziestego trzeciego roku od założenia Opetu. Wykorzystał chłodną porę, by przeprowadzić swoje armie przez dolinę, w której poziom wody był najniższy. Przeprowadził trzy armie. Najmniejsza, licząca jedynie siedemdziesiąt tysięcy wojowników, przedostała się przez rzekę na zachodzie i zdruzgotała tamtejsze garnizony, a następnie szybko ruszyła ku zachodnim brzegom jeziora Opet, gdzie wąski kanał zapewniał galerom Opetu dostęp do morza. Nazywano go Rzeką Życia, arterią, która karmiła serce Opetu.

Armia najeźdźców przerwała tę arterię, uwalniając niewolników zatrudnionych przy pogłębianiu kanału, wyrzynając tamtejszy garnizon oraz nadzorców. Większa część floty Habbakuka Lala znajdowała się wówczas na brzegu, gdyż właśnie czyszczono kadłuby okrętów. Galery zostały spalone tam, gdzie leżały, a żeglarze wrzuceni żywcem do ognia.

Potem dowódca zablokował kanał. Wojownicy wraz z dziesiątkami tysięcy wyzwolonych niewolników rozbili niewielkie granitowe wzgórze nad Rzeką Życia i zrzucili głazy do najwęższego odcinka rzeki, czyniąc go niemożliwym do przebycia dla statku. Była to praca porównywalna — jeśli chodzi o wysiłek w nią włożony — z budową piramidy Cheopsa.

W tym samym czasie inna, większa armia przekroczyła na wschodzie terytorium Drawidów i jak czarna lawa zalała wzgórze Zeng.

Trzecia i największa, w sile prawie trzech czwartych miliona ludzi, przepłynęła rzekę pod Sett. Manatassi, który dowodził nią osobiście, wybrał to miejsce jako symbol zemsty.

Marmon, który pospieszył mu na spotkanie ze swoim jedynym sześciotysięcznym legionem, został zdruzgotany w błyskawicznej i krwawej bitwie. Generał uszedł z pola walki i zginął od własnego miecza pośród płonących ruin Zanat.

Manatassi już bez przeszkód wkroczył na drogę prowadzącą do Opetu. Jego armia rozciągała się na trzy mile. Była to masa, której ogrom spowolnił tempo marszu do majestatycznego pochodu.

Oddziały dowodzone przez Manatassiego przetoczyły się przez kraj. Nie brały jeńców — ani mężczyzn, ani kobiet, ani dzieci. Nie zbierały łupów, paląc odzież, księgi i skóry, tłukąc dzbany i czary, rzucając wszystko na jeden wielki stos pogrzebowy narodu. Wojownicy podpalali budowle, a potem rozrzucaли jeszcze gorące kamienne płyty. Nienawiść, podsycana dziełem zniszczenia, zdawała się rozprzestrzeniać jak ogień, a jej płomień wznosił się tym wyżej, im większe było poprzednie żniwo.

Siła bojowa Opetu liczyła dziewięć legionów. Jeden, z Marmonem na czele, został starty w proch na północy, a dwa inne rozgromione na tarasach Zeng. Nieliczni, którzy ocalili, schronili się w fortcach na szczytach wzgórz.

Pozostałe sześć legionów wymaszerowało z Opetu pod wodzą Lannona Hycanusa naprzeciw wrogiej armii. Do starcia doszło o sto pięćdziesiąt mil na północny wschód

od Opetu. Lannon odniósł zwycięstwo, dzięki któremu odzyskał dwie mile terytorium i zyskał jeden dzień wytchnienia, ale kosztowało go to cztery tysiące zabitych i rannych.

Bakmor, który dowodził Legionem Ben-Amona w zastępstwie wielkiego kapłana, przyszedł do namiotu Lannona, kiedy niebo lśniło jeszcze luną pogrzebowych stosów, a woń palonych ciał odbierała resztki apetytu.

— Wróg zostawił na polu czterdzieści osiem tysięcy poległych — oznajmił tryumfalnie Bakmor. Lannon zauważył, że zniknął młodzieńczy wigor mówiącego. — Za każdego z naszych zabiliśmy tuzin wrogów — kontynuował Bakmor.

Lannon podniósł wzrok. Siedział na poduszkach, podczas gdy medyk opatrywał niewielką ranę na jego ramieniu. Włosy i broda Bakmora były sztywne od zaschniętego potu i krwi, a na przystojnej twarzy pojawiły się zmarszczki i bruzdy.

— Kiedy będziecie znów zdolni do walki? — spytał król.

— To był ciężki dzień... — stwierdził Bakmor. Legion Ben-Amona stawiał zdecydowany opór podczas tych desperackich godzin, gdy zdawało się, że linie muszą się załamać pod nawałą czarnych ciał.

— Kiedy? — powtórzył król.

— Za cztery albo pięć dni — powiedział Bakmor. — Ludzie są wycieńczeni.

— Muszą być gotowi wcześniej — oświadczył Lannon.

Walczyli już następnego dnia. Bitwa była równie desperacka i kosztowna jak poprzednia. Lannon znowu odniósł zwycięstwo, ale nie mógł już utrzymać pola i musiał zostawić ponad tysiąc swoich rannych hienom i szakalom, gdy wycofał się ku nowym liniom obronnym na wzgórzach.

Walczyli znowu pięć dni później i jeszcze pięciokrotnie w ciągu następnych siedemnastu dni. Ostatniego dnia obozowali dwanaście mil od Opetu, a sześć legionów Lannona skurczyło się do trzech.

Nie miało praktycznie znaczenia, że wojska Opetu wygrały osiem wielkich bitew. Kiedy padł Zeng, tylko garstka wojowników przetrwała, by opisać jego los. Miasta były palone i równane z ziemią, ogrody wycięte i także wypalone.

Kopalnie środkowego królestwa zostały zniszczone, uwolnieni niewolnicy przyłączyli się do hord Manatassiego, a szyby zasypywano ziemią i odłamami skał.

Kanał na Rzece Życia został zadławiony głazami, zagradzając resztkom floty Habbakuka Lala ostatnią drogę ucieczki, a ze wschodu i zachodu zbliżały się kolejne armie, przyłączające się do tryumfalnego pochodu Manatassiego.

Pomimo krwawego żniwa, jakie Lannon zebrał wśród oddziałów Manatassiego, siły wroga wydawały się nie uszczuplone. Za każdym razem, kiedy Lannon osadzał swoje sztandary i stawał, by powstrzymać marsz czarnych wojowników, nowe hordy rzucały się do ataku. Chociaż wyrzynali je dziesiątkami tysięcy, wykrwawiały się też legiony królewskie. Z każdym dniem były coraz bardziej wyczerpane, a rozpacz pogłębiała osłabienie ich ducha bojowego.

Siedemdziesiątego pierwszego dnia jeden legion wyróżnął nocą swoich oficerów i małymi grupkami rozpląnął się w ciemnościach. Zatrzymując się tylko po to, by zabrać kobiety z wiosek rozrzuconych wokół Opetu, żołnierze zniknęli na południu.

Bakmor ścigał ich przez jakiś czas i przywłókł ze sobą setkę zakutych w łańcuchy, by postawić ich przed obliczem króla. W żyłach wszystkich z nich płynęła krew Yuye, co w hierarchii społecznej Opetu stawiało ich tylko o stopień wyżej od wyzwolenców. Należeli do najniższej klasy, której przyznano przywilej noszenia broni w imieniu króla. Wydawało się, że nie docenili tego zaszczytu. Śmiały w obliczu śmierci, ich rzecznik powiedział królowi:

— Gdybyś dał nam coś, o co moglibyśmy walczyć, choćby pozycję lepszą niż ten psi los, jaki nam przypaść, zostalibyśmy przy tobie.

Lannon rozkazał wrzucić go do wrzącej wody za zuchwałość i wycofać dwa pozostałe legiony do Opetu.

Nocą obozowali nad brzegiem jeziora poza murami miasta. Lannon spoglądał ku północy. Widział ognie biwakowe armii Manatassiego, rozrzucone na wzgórzach jak pole żółtych stokrotek. Wyglądało na to, że Manatassi powoli zaciska pętlę wokół królewskich sił.

Bakmor odnalazł króla na obrzeżach obozu, przyglądającego się pozycjom wroga. Szybko podszedł, przynosząc pierwszą dobrą od wielu dni wiadomość.

— Przynoszę wieści o Hu Ben-Amonie, wasza wysokość. Lannon ożywił się.

— Gdzie on jest? Żyje? Wrócił? — dopytywał się. Dopiero co rozmyślał nad tym, jak bardzo brakuje mu małego kapłana. Nie widział go od dnia, kiedy Hu wybiegł z jaskini Isztar w samym środku ceremonii ofiarnej Święta Urodzajnej Ziemi.

Chociaż Lannon przeprowadził drobiazgowe dochodzenie, a nawet ofiarował sto palców złota za każdą informację, Hu zniknął bez śladu.

— Wrócił? — Ileż razy w czasie długich nocy Lannon tęsknił za towarzystwem, radą i pogodnym usposobieniem Hu. Jakże często wsłuchiwał się w zgiełk bitwy, czekając na znajome: „Na Baala!”, i świst wielkiego topora. — Gdzie on jest? — zapytał.

— Na wyspie. Widział go rybak.

\* \* \*

Hu oddał się rozpacz. Stracił rachubę czasu; kolejne dni mijały, przechodząc łagodnie w następne. Większość czasu spędzał przy zwojach. Przywiózł z sobą pięć złotych ksiąg, a kiedy opuszczał chatę, chował je pod materacem.

Pisał wyłącznie o Tanith, o swojej do niej miłości i o śmierci kochanki. Początkowo pracował przez całe noce i dni, ale kiedy zużył resztkę oliwy do lampy, noce spędzał na wędrówkach wzdłuż plaży i słuchaniu szumu fal oraz wiatru znad jeziora.

Żywił się małżami i rybami, które odpływ uwięził na płycznach. Chudł i mizerniał, a jego włosy i broda zmierzwiły się, gdyż przestał o nie dbać. Bezgraniczny smutek nadawał jego oczom wygląd człowieka na wpół szalonego.

Wiele pozbawionych nadziei dni minęło, zanim dojrzał w nim gniew i uraza. Gdzieś z głębi duszy wypływały myśli mroczne i groźne jak rekiny zwabione zapachem krwi.

Pochylając się nad dymiącym ogniskiem, rozmyślał o swoim kraju i swoich bogach. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest to kraj oddający się gromadzeniu bogactwa, nie zważający na ludzkie cierpienia. Lekkomysłni bogowie zaś żądali wciąż ofiar; byli chciwi i żarłoczni.

Hu odszedł od ogniska i zbliżył się do brzegu. Usiadł na piasku, a woda obmywała mu stopy. Wciąż pogrążony był w mrocznych myślach, przez które chwilami przebijały się wspomnienia o Tanith.

Myślał o bogach, którzy wybrali na ofiarę ukochaną swojego oddanego sługi. Czegóż jeszcze mogli od niego zażądać, zastanawiał się. Oddał im wszystko, co było mu drogie, a oni wciąż chcieli więcej.

Jakże okrutne było z ich strony, że wybrali Lannona na wykonawcę swej woli. Żałował teraz, że nie powiedział Lannonowi o Tanith. Gdyby król wiedział o tej miłości, uchroniłby ukochaną swego przyjaciela. Tego Hu był pewny. Początkowo nienawidził wprawdzie Lannona jako człowieka, który wyznaczył Tanith na ofiarę, potem jednak dopuścił do głosu rozsądek. Zdał sobie sprawę z tego, że Lannon działał w dobrej wierze. Nie wiedział przecież o jego związku z Tanith. Wiedział tylko, że naród znalazł się w strasliwym zagrożeniu i potrzeba mu szczególnie godnego

postańca. Niechętnie przyznał, że sam być może postąpiłby podobnie.

Nagle poczuł, że jego nienawiść obraca się przeciw tym, którzy pchnęli Lannona do okrutnego czynu — przeciw bezlitosnym bogom.

Zza jeziora wyłonił się Wielki Baal w całym swoim majestacie, lśniący złotem i purpurą. Ponad wodami Hu dostrzegł czerwonawe klify i wieże Opetu daleko na horyzoncie. Wiedziony wieloletnim nawykiem podniósł się, rozpostarł ramiona i otworzył usta, by odśpiewać modlitwę. Nagle zatrzęsł się z gniewu. Płomienne porywy wzbierające w jego duszy i rozpalające nienawiść stały się ogniami pogrzebowego stosu, na którym spłonęła jego wiara.

— Przeklinam cię! — zawołał. — Czego jeszcze chcesz ode mnie, pożeraczu istnień? Jak długo mam być twoją zabawką?!

Wymachiwał wyzywająco pięściami w stronę wschodzącego słońca. Twarz wykrzywiła mu się, a z oczu pociekły łzy, spływając na splątaną brodę. Wszedł do wody.

— Jak długo mam zaspokajać twój okrutny apetyt, morderco? Ilu potrzeba jeszcze niewinnych dusz, żeby zaspokoić twą żądzę krwi? — Opadł na kolana, zapadając po pas w wodę. — Wypieram się ciebie! — krzyknął. — Ciebie i twojej bezkrwistej małżonki. Nie chcę ciebie; nienawidzę cię. Słyszysz? Nienawidzę cię!

Umilkł i pochylił głowę. Woda falowała łagodnie wokół niego. Po chwili zaczerpnął jej w dłonie i obmył twarz. Potem podniósł się i wrócił do chaty na plaży. Czuł się tak, jakby po długich zmaganiach zrzucił ciężkie okowy; odczuwał spokój, wypływający z nieodwołalnej decyzji. Nie był już kapłanem.

Zjadł kawałek wędzonej ryby i wypił czarę wody, nim znów podjął pracę przy zwojach. Pisał o Tanith, usiłując przypomnieć sobie każdy ton jej głosu, każdy uśmiech i ruch brwi, sposób, w jaki się śmiała i w jaki trzymała głowę. Pragnął uczynić ukochaną nieśmiertelną za pomocą słów.

Kiedy wreszcie oderwał wzrok od zwoju, mrużąc krótkowzroczne oczy, spostrzegł, że dzień się kończy i cienie palm rzucają na żółty piasek plaży tygrysie pasy. Znów pochylił się nad zwojem i podjął pracę.

Na piasku rozległ się chrzęst kroków i czarny cień przysłonił światło.

Hu podniósł głowę. W drzwiach chaty stał Lannon Hycanus.

— Potrzebuję cię — rzekł.

Hu nie odpowiedział. Siedział zgarbiony nad zwojem i patrzył na Lannona, mrugając powiekami.

— To właśnie na tej wyspie obiecałeś, że nigdy mnie nie opuścisz — kontynuował król. — Pamiętasz?

Hu wciąż patrzył na niego. Zobaczył na twarzy przyjaciela głębokie bruzdy, wryte przez cierpienie, a także ciemne kręgi wokół oczu płonących w wychudzonej twarzy. Dostrzegł szary odcień skóry i błysk srebrzystych włosów w królewskiej brodzie i na skroniach. Zobaczył na wpół zaleczone rany i świeże plamy wydzieliny na lnianych bandażach. Zobaczył człowieka, który dotarł do granic siły i determinacji.

— Tak — powiedział. — Pamiętam. — Wstał i podszedł do Lannona.

\* \* \*

Przez całą noc siedzieli obok siebie przy ognisku w chacie i rozmawiali.

Lannon opowiedział Hu o przebiegu kampanii i stanie państwa, jak również o strategii stosowanej przez wroga.

— Zbyt wiele nadziei pokładałem w słońcach wojennych. Wiara w nie opierała się na kruchych podstawach. Straciliśmy większość zwierząt już w pierwszej utarczce. Wrogowie użyli włóczy zanzurzonych w jądzie pszczoł. Dowiedziałem się od jednego

z jeńców, że odymiali setki uli i pracownicy wyciskali truciznę z każdego żądła. Piekący ból doprowadzał słonie do szaleństwa. Siały popłoch w naszych własnych szeregach i musieliśmy użyć przeciw nim ostrzy włóczy.

Wyćwiczyli też atletów, którzy wskakiwali na grzbiety słoni. Na wpół skakali sami, na wpół wyrzucani byli w górę przez swoich towarzyszy i koziołkowali w powietrzu jak zawodowi akrobaci, zabijając przewodników słoni, a potem wbijając sztylety w karki zwierząt.

— To ja jestem temu winien — odezwał się Hu. — Powiedziałem Timonowi o podobnej taktyce, której Rzymianie użyli przeciw słoniom Hannibala. Nie zapomniał ani słowa z moich nauk.

Potem Lannon opowiedział o każdej z bitew, które, chociaż zwycięskie, pozostawiały Opet coraz słabszym; o powolnym odwrocie przed czarnymi hordami; o narastającej wśród legionów rozpacz; o dezercjach i buntach; o zniszczeniu większości floty na plażach i o zablokowaniu kanału.

— Ile statków pozostało?

— Dziewięć galer — odparł Lannon. — I wiele łodzi rybackich.

— Wystarczy, żeby nas przenieść na południowy brzeg jeziora?

— Nie. — Lannon potrząsnął głową. — Nie wystarczy.

Rozmawiali przez całą noc, a o mrocznej godzinie poprzedzającej pierwszy błysk brzasku Lannon zadał pytanie, które przez cały czas cisnęło mu się na usta. Wiedział, że Hu oczekuje na nie.

— Dlaczego mnie opuściłeś? — spytał miękko.

Hu zastanowił się nad odpowiedzią. Blask ogniska oświetlał od dołu jego twarz, pozostawiając oczy w głębokim cieniu.

— Nie wiesz? — zapytał, patrząc uważnie na króla.

— Wiem tylko, że wykrzyknąłeś imię kapłanki, a potem wybiegłeś ze świątyni.

Hu w dalszym ciągu przyglądał się twarzy Lannona, szukając w niej śladu winy, oznaki oszustwa. Nie znalazł. Twarz przyjaciela była zmęczona i napięta, ale blade oczy patrzyły prosto i szczerze.

— Co to było, Hu? — nalegał król. — Głowiłem się nad tym przez wiele dni. Co sprawiło, że wybiegłeś ze świątyni?

— Tanith. Kochałem ją.

Lannon wpatrzył się w przyjaciela strwożony i wstrząśnięty.

— Mój przyjacielu, co ja ci uczyniłem?! Nie wiedziałem, nic nie wiedziałem!

Hu spuścił wzrok i patrząc w płomienie westchnął.

— Wierzę ci.

— Pomódl się do Baala o wybaczenie dla mnie — szepnął

Lannon, dotykając jego ramienia. — Bo to ja jestem przyczyną twojej rozpacz.

— Nie, Lannonie — odparł Hu. — Już nigdy nie będę się modlił. Straciłem moją miłość i wyparłem się bogów. Nie zostało mi nic.

— Ciągłe jeszcze masz mnie, stary przyjacielu — powiedział Lannon.

— Tak — zgodził się Hu. — Ciągłe jeszcze mam ciebie. Zanieśli złote zwoje i sępi topór na plażę, gdzie Bakmor i załoga łodzi rybackiej czekali na nich cierpliwie, i wczesnym rankiem popłynęli do Opetu.

Legiony pozdrowiały króla i kapłana przechodzących przez obozowisko. Hu poczuł łzy wzruszenia.

— Nie zasługuję na to — wyszeptał. — Opuściłem ich. A powinienem był być z nimi.

Chociaż dwa pozostałe legiony zostały zrekonstruowane z resztek oryginalnych dziewięciu, wydawało się Hu, że zbudowano je na fundamentach Legionu Ben-Amona. Wszędzie dostrzegał znajome twarze, uśmiechające się do niego z szeregów.

Zatrzymywał się, by porozmawiać z ludźmi, starając się, żeby jego głos brzmiał pogodnie, mimo że widział spustoszenie, jakie walki uczyniły wśród wojowników.

Spostrzegł, jak bardzo wyczerpani są zmęczeniem, które trawiło zarówno dusze, jak i ciała. Uśmiechy ich gasły szybko, a radosne okrzyki opornie dobywały się z wyschniętych gardel. Ale wciąż nie tracili ducha walki. Byli szczęśliwi, że żadna z chorób, które tak często towarzyszą obozującej armii, nie osłabiła ich jeszcze bardziej. Regularnie zmieniali miejsce pobytu, by nie pozostawać w jednym na tyle długo, aby zanieczyścić ujęcia wody albo dopuścić do rozkładu stosów nieczystości.

Tysiące ludzi obozujących na brzegu jeziora wciąż przedstawiało krzepiący widok. Kiedy Hu przechodził między nimi, poczuł iskierki wiary i nadziei rozgrzewające duszę. Być może da się jeszcze coś wydobyć z tych zmęczonych wojowników.

Zjadł z Lannonem południowy posiłek w towarzystwie oficerów. Blisko spichlerzy Opetu nie brakowało ziarna, mięsa ani wina. Ucztowali i wznosili toasty, a ich ludzie radowali się podwójną racją wina, którą przydzielił Lannon. Po południu pozwolił nawet wpuścić do obozu kobiety. Był to przywilej przyznawany zazwyczaj tylko po wielkim zwycięstwie; nigdy przed bitwą. Kobiety całymi tysiącami wyległy z miasta. Wiele z nich było żonami na jeden tylko dzień i dla więcej niż jednego męża.

— Pozwólcie im się nacieszyć — powiedział Lannon z lekkim żalem w głosie, maszerując przez obóz w eskorcie oficerów i wybranych legionistów. — Bogowie dobrze wiedzą, że wielu z nich robi to po raz ostatni. Ale dopilnujcie, żeby żadna z kobiet nie została tu po zachodzie.

Było coś rozpaczliwie beznadziejnego w tej masie parzących się ciał, jak gdyby gesty miłości mogły zażegnać rzeź, która miała wkrótce nastąpić.

Lannon zostawił pogrążonych w szaleństwie ludzi i forsownym marszem zaprowadził swą grupę na niewielkie wzniesienie nad urwiskiem, skąd rozciągał się widok na brzegi jeziora, dwadzieścia mil w każdym kierunku. Stali tam przez wiele godzin, obserwując hordy Manatassiego wylewające się ze skalnych wąwozów na łagodne brzegi jeziora. Odzywali się rzadko, ponieważ widok wroga mroził dusze nawet najdzielniejszych.

Wyglądało to tak, jakby czarne pytony wypełzały z gniazda rozwijając swe sploty, wylewając się z niego grubymi kolumnami. Czarne szeregi zdawały się nie mieć końca. Rozprzestrzeniały się i pęczniały we wszystkich kierunkach. Wydawały się tak nieuchronne jak przyływ. W obliczu tej potęgi ludzie Lannona stali milczący i posepni.

\* \* \*

Manatassi założył obóz na brzegu jeziora; jego przednie straże znajdowały się zaledwie pięć mil od obozu króla Opetu. Chociaż tylne szeregi armii nie wyłoniły się jeszcze spomiędzy wzgórz, równina była gęsta od czarnych regimentów.

Lannon i Hu opuścili wyżynę o zmierzchu. Jasna plama gwiazdy Isztar zawisła nad miastem. Kapłan odwrócił od niej wzrok.

Zeszli do portu i przyglądali się zaokrętowaniu kobiet i dzieci na galery Habbakuka Lala. Będą kotwiczyć z dala od brzegu nocą i przez następny dzień, póki nie rozstrzygnie się bitwa. Jeżeli los zwróci się przeciw Opetowi, a Hu wiedział, że tak właśnie musi się stać, skierują się na południe, na drugi brzeg jeziora, starając się ujść Manatassiemu. Mężczyźni, którzy ocaleją, podążą za nimi własnymi ścieżkami.

Na pokładach galer nie było miejsca dla wszystkich. Pierwsze wsiadały kobiety rodziny królewskiej i rodzin wielmożów, po nich kapłanki i rodziny bogatych kupców. W pewnej chwili powstało zamieszanie, kiedy tłum kobiet Yuye i

wyzwoleńców usiłował wtargnąć do portu i zająć miejsca na pokładach. Żeglarze Habbakuka Lala odpendzili je pałkami. Hu współczuł kobietom osłaniającym głowy przed ciosami. Jedna z nich, młoda dziewczyna Yuye, usiadła oszołomiona na płytach nabrzeża, pochylając głowę nad dzieckiem, które trzymała na łonie. Krew spływała po grubych splotach jej czarnych włosów, tworząc na kamieniu ciemne plamy.

Lannon pożegnał się ze swoimi żonami i dziećmi na pokładzie okrętu flagowego. Był pełen godności i jakby nieobecny, gdy kobiety kolejno podchodziły, by klęknąć przed nim na chwilę. Za nimi tłoczyły się dzieci, ale Lannon ledwie na nie spojrział.

Bliźniaczki wyrosły na dorodne panny na wydaniu, piękne i pełne wigoru, z długimi jasnymi włosami splecionymi w grube warkocze. Podeszły ucałować kapłana, a on ochrypłym głosem wypowiadał słowa pożegnania. Młodsze dzieci, nieświadome grozy położenia, zmęczone i rozdrażnione, sprzeczały się albo kwiliły w ramionach niań.

Łódź wioząca przyjaciół z powrotem na brzeg prześlizgnęła się po czarnej powierzchni, na której tańczyły odbite światła pochodni. Tłum na nabrzeżu stał zwarty i milczący; niechętnie rozsunął się, by zrobić przejście. Hu odczuł boleśnie ten posepny, wyraźnie wrogi nastrój. W otoczeniu eskorty ruszyli pospiesznie przez miasto, kierując się w stronę obozu.

Na ulicach płonęły ogniska, wokół których trwało pijaństwo i hulanki. Mieszkańcy dolnego miasta korzystali z ostatnich godzin przed nastaniem bitwy. Hulanki były jeszcze dziksze niż te, które kończyły święta religijne. Mężczyźni i kobiety tańczyli nadzy wśród strzelających płomieni albo leżeli w kałużach własnych wymiotów, zamroczeni winem, inni parzyli się bezwstydnie na oczach gawiedzi. Hu zobaczył kobietę chwiejnie idącą w ich stronę w podartej i poplamionej winem tunice, zwisającej w strzępach z białych ramion; spod strzępów odzienia sterczała krągła, pełna pierś. Kobieta potknęła się i wpadła w ognisko; jej włosy stanęły w ogniu. W cieniach domów i ciemnych alejkach dały się dostrzec przemykające postacie, ugięte pod ciężarem łupów. Hu wiedział, że to rabusie przystąpili do plądrowania opuszczonych domów bogaczy. Miał nadzieję, że służący wciąż strzegą jego domu, niemniej poczuł lęk, gdy przypomniał sobie o złotych księgach.

— Wasza wysokość, wyświadczyć mi łaskę — powiedział, kiedy ramię przy ramieniu mijali aleję prowadzącą do jego domu nad jeziorem.

— O co chodzi, Hu? — zapytał zirytowany Lannon.

— Muszę pożegnać się z domownikami. Niewolnicy muszą zostać zwolnieni z obowiązków, a kosztowności ukryte, przede wszystkim zaś złote zwoje.

— Jak chcesz — przystał Lannon. — Ale nie trać czasu. Wracaj jak najszybciej.

Sędziwi niewolnicy nie mogli zrozumieć, dlaczego Hu ich odprawia.

— To jest nasz dom! Nie wyrzucaj nas — błagali. Hu nie potrafił im wyjaśnić, dlaczego powinni odejść. Zostawił ich siedzących razem w kuchni, oszołomionych i wylękniętych.

W towarzystwie jednego z młodszych niewolników, uginając się pod znacznym ciężarem zwojów, przeszedł przez świątynię Baala i szczelinę prowadzącą do jaskini Isztar. Grota była cicha i opustoszała. Wszystkie kapłanki znajdowały się już na pokładach galer w porcie. Hu zatrzymał się nad brzegiem basenu i spojrział w jego przepastną otchłań.

— Zaczekaj na mnie, ukochana — powiedział. — Niedługo podążę twoim śladem. Zatrzymaj dla mnie miejsce przy sobie.

Przeszli przez salę audiencyjną wyroczeni. W komnacie za nią natknęli się na oficerów strzegących świątyni. Pozdrowili Hu radośnie.

— Słyszeliśmy, że nie żyjesz, wasza świątobliwość.

— Czy wciąż mamy obowiązek strzec świątyni, święty ojczy?



— Zwolnij nas, wasza świątobliwość. Pozwól walczyć u twego boku.

Pomogli mu umieścić zwoje w glinianych dzbanach i zaplombować je złotymi pieczęciami. Potem przenieśli dzbany do archiwów i ustawili na kamiennych półkach, zakrywając je rzędami mniejszych naczyń.

Hu poprowadził czterech oficerów i setkę żołnierzy do obozu, pozostawiając świątynię bez dozoru. Lannon przywitał go z ulgą.

— Wątpiłem już, czy wrócisz, Hu. Myślałem, że los znów może nas rozdzielić.

— Złożyłem ci obietnicę, wasza wysokość — uspokoił go. — Zobacz, co mam dla ciebie. — Wyprowadził go z namiotu, żeby pokazać mu strażników świątyni. — Stu najlepszych wojowników Opetu, wartych tyle samo co kohorta Yuye.

Lannon roześmiał się z ulgą.

— Hu, mój cudotwórco! — Odwrócił się do strażników i popatrzył na nich. Byli wypoczęci, ich wypolerowane zbroje błyszcząły, a postawa kontrastowała korzystnie z bitewnym znużeniem reszty armii.

Król przemówił do oficerów:

— Jesteście moją strażą przyboczną. Kiedy rozpocznie się bitwa, zostaniecie przy mnie i Hu Ben-Amonie.

W wielkim skórzanym namiocie Lannon i Hu omawiali plan bitwy, rozważając, jakich formacji można użyć, opracowując warianty na różne ewentualności, a skrybowie notowali ich rozkazy. Naradę wciąż przerywali oficerowie i adiutanci, pytający o polecenia albo relacjonujący posunięcia wroga.

Rib-Addi wszedł do namiotu, żebrząc o posłuchanie. Zacierał nerwowo dłonie, szarpał brodę i szeptał porozumiewawczym tonem.

— Skarbiec, wasza wysokość. Czy nie powinniśmy przenieść go w bezpieczne miejsce?

— Powiedz mi, które miejsce jest bezpieczne — burknął Lannon, zerkając znad makiety, nad którą on i Hu przygotowywali rozkazy. — Nikt przecież nie wie o drzwiach słońca. Zostaw skarb tam, gdzie jest. Niech czeka tam, aż po niego wrócimy.

— Strażnicy zostali wycofani — narzekał Rib-Addi. — To nie jest w porządku...

— Posłuchaj mnie, starcze. Na przeniesienie skarbu potrzeba tysiąca ludzi i dziesięciu dni. Nie mam ani ludzi, ani czasu. Odejdź, zostaw nas. Ważniejsze sprawy wymagają teraz naszej uwagi.

Co może być ważniejszego od złota i skarbów? — pomyślał Rib-Addi.

Przed północą Lannon wyprostował się i przeciągnął dłonią po złocistych lokach, pokrytych koronką siwizny. Westchnął głośno. Wyglądał na chorego i zmęczonego.

— To wszystko, co możemy zrobić, Hu. Reszta jest w rękach bogów. — Objął przyjaciela i poprowadził do zasłony przy wejściu. — Czara wina, haust powietrza znad jeziora i spać.

Stanęli przed namiotem, popijając wino. Chłodna bryza znad wody trzepotała kitami bitewnych sztandarów.

Coś, co wydało się początkowo wielkim brązowym psem, zwiniętym w kłębek przy ścianie namiotu, poruszyło się na dźwięk głosów. Hu rozpoznał małego buszmeńskiego łowcę, Xhai, wiernego jak zawsze, śpiącego przy wejściu do namiotu swego pana. Zerwał się, uśmiechnął i podszedł, by kucnąć u stóp Lannona.

— Próbowalem go odesłać — powiedział Lannon. — Nic nie rozumie. Nie chce odejść. Nie wydaje mi się konieczne, by i on musiał umierać, ale nie potrafię zmusić go, żeby poszedł własną drogą.

— Niech idzie tropić ślady — zaproponował Hu. Lannon spojrział na niego zamyślony.

— Jakie ślady?

— Wyślij go na poszukiwanie śladów wielkiego lwa na południowym brzegu. Uwierzy ci.

— Tak, w to uwierzy — przyznał Lannon. — Powiedz mu, Hu.

Posługując się jego językiem, Hu wyjaśnił małemu złotemu człowieczkowi, że król pragnie jeszcze raz zapolować na wielkiego lwa. Xhai zmrużył skośne oczy, wyszczerzył zęby i kiwnął głową, szczęśliwy, że może przydać się człowiekowi, którego uważał za boga.

— Musisz wyruszyć od razu — powiedział Hu. — To bardzo ważna sprawa.

Xhai objął kolana Lannona, nisko pochylając głowę, po czym zrolował swoją matę i zniknął wśród obozujących wojowników. Kiedy odszedł, zapanowała cisza. Po chwili Lannon zapytał:

— Przypominasz sobie proroctwo, kapłanie?

Hu skinął głową, wspominając usta wypowiadającej je Tanith.

— Kto będzie władał po mnie Opetem?

— Ten, który uśmierci wielkiego lwa. Pamiętał również następne proroctwo.

— Czego muszę się strzec?

— Czerni. — Hu odwrócił się i popatrzył na północ, gdzie czaiła się wielka czarna bestia, gotowa do skoku.

Myśli Lannona podążały tym samym tropem.

— Tak, Hu — mruknął. — Czerni! — Wysączył resztę wina i cisnął puste naczynie w ogień. W powietrze uniosła się fontanna iskier.

— Z ręki przyjaciela — powtórzył ostatnie proroctwo. — Zobaczmy — powiedział. — Zobaczmy. — Spojrzał na Hu i dostrzegł wyraz jego twarzy.

— Och, wybacz mi. Nie chciałem dolewać oliwy do ogniska twego smutku. Nie powinienem był przypominać ci dziewczyny.

Hu również dopił wino i wrzucił czarę do ognia. Nikt nie musiał przypominać mu o Tanith; zawsze towarzyszyła mu w myślach.

— Odpocznijmy teraz — zaproponował.

\* \* \*

Obudziły go krzyki i dźwięk trąbek. W pierwszej chwili pomyślał, że nieprzyjaciel przeprowadza nocny atak na obóz. Narzucił zbroję, porwał sępi topór i potykając się wyszedł z namiotu, wciąż gmerając przy paskach napierśników.

Nocne niebo rozjaśniał blask podobny jutrzence, ale wznosił się z innego kierunku, znad jeziora, rozświetlając wieże i mury miasta.

Lannon dołączył do niego wpółspiący i klnąc szamotał się ze zbroją i hełmem.

— Co się dzieje, Hu? — zapytał.

— Nie wiem.

Stali wpatrzeni w poblask, który wciąż przybierał na sile. Stało się w końcu tak jasno, że przyjaciele mogli wyraźnie zobaczyć swoje twarze.

— Port! — zrozumiał wreszcie Hu. — Flota! Kobiety!

— Miłosierny Baalu — westchnął Lannon. — Chodź! — Pobiegli.

Manatassi, zanim podpalił wyciągnięte na brzeg galery, zabrał z nich dobrze zapamiętane spod Sett rury. Po krótkich eksperymentach zrozumiał, na jakiej zasadzie działają. Mechanizm był prosty, uzależniony głównie od prądu i kierunku wiatru. Przetransportował śmiertcionośne urządzenia lądem i zainstalował na dziobach dwóch uprowadzonych łodzi rybackich, których załogi, składające się z doświadczonych żeglarzy, chętnie przyłączyły się do niego.

Wiatr wiejący w stronę brzegu idealnie odpowiadał zamiarom Czarnej Bestii; cicho podprowadził łodzie do wyjścia z portu. Sam zajął miejsce na pokładzie jednej

z nich. Stał teraz na rufie spowity w płaszcz z lamparcich skór i patrzył szalonym wzrokiem na strumienie tryskające nad powierzchnią zmarszczoną wiatrem wody i eksplodujące fontannami płomieni.

Niesiony przez wiatr płomień przetoczył się przez port zwartą ścianą, szumiąc jak gigantyczny wodospad i rozjaśniając niebo luną fałszywego świtu.

Hu stał obok Lannona na nabrzeżu. Cały basen portu wypełniony był żółtymi płomieniami, które przysłaniały rozgwieżdżone niebo chmurami czarnego dymu.

Galery Habbakuka Lala wznosiły się jak wyspy w morzu ognia. Pokłady okrętów zatłoczone były kobietami i dziećmi wszystkich najznamienitszych rodów Opetu. Ich krzyk przebijał się przez głuchy ryk płomieni.

Stojący na brzegu nie byli w stanie udzielić im żadnej pomocy. Stali zupełnie bezsilni, wpatrując się, jak płomień dopadają drewnianych kadłubów oraz lin cumowniczych i pędzą w górę na zatłoczone pokłady.

Jak mrówki na kawałku płonącego polana ludzie rzucali się we wszystkich kierunkach i dreptali bez celu, aż płomień otoczyły ich zwartą masą i przerzuciły się na ciała.

Jedna z galer zaczęła dryfować w stronę brzegu. Przepalone liny kotwiczne puściły, a wiatr popychał ją i kołysał łagodnie, aż maszt i takielunek zaczęły zataczać ogniste kręgi. Na wysokiej nadbudówce rufy, przywierając kurczowo do siebie, rozpoznawalne dzięki jasnym włosom oświetlonym przez ogień, stały Helency i Imilce, bliźniacze córki Lannona Hycanusa.

Nim galera dotknęła kamiennej kei nabrzeża, pokrył ją całun płomieni.

Dwie łodzie rybackie postawiły żagle i wzięły kurs na północ, gdzie armia Manatassiego ożywała jak budzący się potwór.

\* \* \*

To jest właśnie odpowiedni nastrój na stoczenie ostatniej bitwy: smutek i gniew — myślał Hu, krocząc u boku Lannona wzdłuż szeregów.

Słońce stało wysoko. Po lewej stronie leżało lazurowe jezioro, upstrzone białymi drobnymi falami, wzniesionymi przez poranną bryzę. Wodne ptactwo szybowało nisko w luźnych kluczach. Dalej wznosiły się urwiste zwały klifów.

Spoglądając na jezioro i skały, Hu dostrzegał w nich tylko punkty, gdzie zakotwiczy swoje flanki.

Rozległą równinę przed murami miasta pokrywały niskie zarośla i nieliczne drzewa.

Za plecami mieli budowle i ulice dolnego miasta, labirynt niskich glinianych ścian i płaskich dachów, a dalej masywne kamienne mury świątyni, ponad którymi widniały wierzchołki słonecznych wież.

To było dobre miejsce do stoczenia ostatniej walki: słabe przedpole z mocnymi skrzydłami i otwartą drogą odwrotu.

Lannon przeszedł wzdłuż szeregów. Sprężysty krok nie pasował do zmęczonych oczu i posępnej twarzy człowieka, który dopiero co widział, jak jego najbliżsi palą się żywcem, a on sam nie jest w stanie im pomóc. Hu podążył tuż za nim. Szedł długim, ciężkim krokiem, tak dobrze znanym tu wszystkim. Na ramieniu niósł topór, a jego dopasowana do wygiętego grzbietu zbroja była wypolerowana i lśniąca. Za nim szedł Bakmor z grupą oficerów.

Legiony czekały już w bitewnych formacjach. Hu na próżno szukał skazy w ich rozstawieniu. Na przedzie znajdowała się zasłona z lekkiej piechoty; każdy z ludzi uzbrojony był w wiązkę oszczepów oraz boczną broń. Za nimi ulokowano ciężką piechotę, potężnych mężczyzn wyposażonych w topory i włócznie, dźwigających na

sobie ciężkie zbroje; stanowili ostoję legionów. Pod silnym naciskiem przeciwnika lekkozbrojni mogą schronić się pomiędzy ich szeregami, pozwalając wrogowi trwonić siły na zmagania z solidną rafą pancerzy ciężkozbrojnych.

Na tyłach znajdowali się łucznicy. Ustawieni byli w równe bloki, z których mogli wypuszczać zmasowane skrzydła strzał ponad głowami piechurów. Za nimi stali tragarze, gotowi w każdej chwili pospieszyć ze świeżą wiązką oszczepów i strzał, workami zimnego mięsa i kukurydzianych placków, amforami wody i wina, zapasowymi hełmami, mieczami, toporami i wszystkim tym, co w czasie bitwy mogło się zużyć lub zniszczyć.

Początkowo przemarsz Lannona wzdłuż szeregów odbywał się w ciszy. Ludzie stali w swobodnych pozach, oparci na broni. Niektórzy pozdejmowali hełmy, inni przetykali ostatnie kęsy pożywienia. Na wszystkich twarzach widniał ten sam wyraz spokoju weteranów, którzy wiele razy chodzili pod ramię z Panią Śmiercią, dobrze znali jej ohydny twarz i zgniłą woń oddechu. Wielu z nich nosiło jeszcze świeże ślady jej szponów, lecz na obliczach nie było strachu.

Hu czuł pokorę, kiedy napotykał poważne spojrzenia, i dumę, kiedy jeden z wojowników wyszczerzył zęby i krzyknął głośno:

— Brakowało nam ciebie, wasza świątobliwość.

— Dobrze być znów z wami — odparł Hu.

Wśród tych, którzy go słyszeli, rozległ się pomruk uznania. Kiedy ruszył dalej, w ślad za nim rozszerzał się szmer ożywionych głosów. Szybko rzucane żartobliwe uwagi zmniejszały dystans między kapłanem i żołnierzami.

— Zostaw kilku dla nas, Ptaku Słońca — zawołał posiwiały centurion.

— Myślę, że wystarczy ich dla każdego z nas — uśmiechnął się Hu.

Nad głowami wojska pyszniły się sztandary, jaskrawe od lśniącego złota i wielokolorowych jedwabnych kit. Za plecami Lannona stanęła setka mężczyzn straży przybocznej. Spojrzał na precyzyjnie rozstawione kohorty, na słońce skrzące się na ich hełmach.

Wspaniali ludzie, odpowiedni, by stoczyć wraz z nimi ostatnią bitwę, wspaniali również dlatego, że przyjemnie będzie zginąć w ich towarzystwie — pomyślał król.

Rozluźnił hełm i zdjął go z głowy.

— Wina! — zawołał.

Tragarze rzucili się pędem w jego stronę, niosąc czary i amfory. Wino pochodziło z najlepszych zapasów, było gęste i czerwone jak krew.

Hu zasalutował oficerom wzniesioną czarką, po czym odwrócił się w stronę Lannona. Spojrzenia przyjaciół spotkały się na dłuższą chwilę.

— Wzleć dla mnie, Ptaku Słońca — powiedział miękko Lannon.

— Zarycz dla mnie, Lwie Opetu — odparł Hu. Wypili, rozbili czarki i roześmiali się. Otaczający ich ludzie słyszeli ten śmiech, który dodawał im odwagi.

Manatassi ruszył. Nadszedł frontem wypełniającym całą równinę — od brzegu jeziora po podnóża urwisk. Nadszedł z krzykiem pięciuset tysięcy gardeł, rytmicznym tupotem gołych stóp i szcękaniem broni. Nadszedł z niezliczonymi szeregami, nie kończącym się pochodem. Nadciągnął jak burzowa chmura, krokiem równym i wolnym. Jego wojsko było ciemne jak noc i liczne jak żdźbła trawy na polach.

Hu poprawił hełm i zacisnął pasek. Rozpiął skórzany pokrowiec sępiego topora, patrząc, jak Manatassi zbliża się niczym olbrzymia bestia, zwieńczona pióropusami i ostrzami włóczni migocących w słońcu jak owadzie oczy.

To odpowiedni nieprzyjaciel do stoczenia ostatniej bitwy — pomyślał. — Nie będzie hańbą ulec tej sile.

Manatassi parł naprzód, a kurz podnoszący się spod miliona dudniących stóp, okrywał wszystko szarym całunem.

Hu poczuł suchość w ustach i mrowienie w całym ciele, krew coraz szybciej krążyła w żyłach. Wysoko uniósł sępi topór, spojrział na lewo i prawo, upewniając się, że każdy z dowódców łuczników dostrzegł jego sygnał.

Sto pięćdziesiąt kroków. Czarny przyptyw sunął ku nim; śpiew wrogich wojowników znów zmienił ton, przechodząc w przeraźliwie wysoki tryl. Hu poczuł, że włosy stają mu dęba, a wnętrzności przewracają się.

Nadchodzili wyjąc, tupiąc, bębniąc włóczniami o tarcze, pochylając głowy i podrzucając wysokie pióropusze. Hu stał niewzruszenie, dzierżąc mocno swój topór.

Sto kroków; Hu opuścił topór i powietrze wypełniło się świstem, jakby szumem skrzydeł dzikich kaczek.

Strzały wzbity się w górę, zawisły na moment w powietrzu i opadały falami gęstymi jak chmury szarańczy. Wśród czarnej bestii rozległ się pomruk, ale wciąż zbliżała się wytrwale. Każda luka w jej szeregu była natychmiast wypełniana, a polegli znikali wśród napierających ciał.

Lekka piechota rozproszyła się przed zmasowanym naporem, cofając się w szeregi ciężkozbrojnych. Manatassi z impetem uderzył w środek ich linii.

Wydawało się, że nic go nie powstrzyma, że jest zbyt ciężki, zbyt wielki i silny. Że musi przebić się na wylot przez linię lśniących hełmów.

Lecz nagle w jakiś niewiarygodny sposób czarna masa przestała posuwać się naprzód, waląc się w stosy jak kłody drewna zablokowane na rzece. Napierające z tyłu szeregi krępowały ruchy tych, którzy byli już na czele, zamykając ich w krwawej kotłowninie, rzucając na ostrza włócznie legionów Ben-Amona.

Nagle czarni zaczęli się wycofywać, wchłaniani przez tylne szeregi jak morze wchłania fale cofające się ze stromego brzegu.

Natychmiast wrócili oszczepnicy, przesączając się przez szeregi ciężkozbrojnych, by nękać cofających się, a krzyk centurionów niósł się aż do miejsca, w którym stał Hu.

- Zewrzeć szeregi!
- Oszczepy tutaj!
- Zapęlnić lukę!
- Do mnie! Do mnie!

Manatassi cofnął się i skupił, szykując się do nowego ataku. Znowu uderzył z całym impetem.

W południe Lannon ze swym towarzystwem został zepchnięty z punktu obserwacyjnego, gdyż walka rozgorzała tuż obok. Sztandary wycofano do tyłu.

Hu posłał na pierwszą linię swoje ostatnie rezerwy, zatrzymując przy sobie tylko straż świątyni i skupiając ją wokół sztandarów. Czarne fale wciąż wściekle atakowały nieprzyjacielskie linie w straszliwie niezmiennym rytmie.

Hu powoli ustępował im pola, za każdym razem cofając się nieco, by na nowo skonsolidować szeregi. Były już rozciągnięte tak szeroko, że zdawało się, iż kolejny napływ czarnych musi je rozedrzeć, a jednak wciąż trwały.

Później znaleźli się w dolnym mieście, tocząc walkę na ulicach. Hu stracił możliwość obserwowania przebiegu bitwy. Widział tylko wąskie uliczki wypełnione grupami legionistów powstrzymujących uparty napór czarnych wojowników.

Został wciągnięty do bezpośredniej walki. Niewielka grupa dzikookich czarnych wystrzeliła z szeregu w jego kierunku; ich ciała lśniły od potu i tłuszczu, a twarze pomalowane w pasy białą ochrą nadawały im potworny i nierzeczywisty wygląd. Hu wyciął ich szybko i posłał szwadron strażników świątyni w wyrwę, jaka się utworzyła opodal.

Wiedział już, że bitwa wymknęła się spod kontroli. On i król zostali odizolowani, zdolni jedynie do kierowania tymi, którzy znajdowali się w zasięgu ich głosów.

Z jakiejś odległej części pola dobiegł zwierzęcy ryk tryumfu. Lannon złapał Hu za ramię i wrzasnął mu prosto w ucho:

— Sądzę, że się przedarli.

Bitwa była skończona. Hu wiedział, że wróg już przelewa się przez liczne wylomy w strzaskanych liniach obrońców miasta. Teraz przystąpi do ostatecznego pogromu. Cud nie nastąpił — ostatnia bitwa skończyła się klęską.

— Wycofujemy się do świątyni! — zawołał Lannon. Armia Opetu już nie istniała, rozbita na setki oddzielnych grupiek zdesperowanych mężczyzn zjednoczonych w swojej ostatniej walce, w której nie brano jeńców, a jedynym wyjściem była śmierć.

Dwaj przyjaciele zebrali strażników świątyni i pobiegli ulicą, przeciwstawiając wrogowi pancierz tarcz.

Hordy Manatassiego znalazły się za ich plecami, oddzielając od świątyni. Podłożyli ogień pod dolne miasto; płomienie ogarniały je szybko.

Pod osłoną dymu bocznymi uliczkami przedostali się do świątyni. Główna brama była otwarta i nie strzeżona. Strażnicy umknęli, a na opustoszałym dziedzińcu panowała cisza. Hu i jego ludzie walczyli na stopniach, a Lannon zamykał wrota. W ostatniej chwili wbiegli przez zwierające się skrzydła bramy.

Odpoczywali oparci na skrwawionej broni, rozluźniali hełmy i wycierali pot zalewający oczy.

— A wschodnia brama? — zapytał Hu. — Czy ktoś jej strzeże? Posłałeś ludzi, żeby ją zamknęli?

Lannon spojrzał na niego skonsternowany. Milczenie było jednoznaczną odpowiedzią.

— Wy tam! — Hu poderwał ludzi szybkim ruchem ręki. — Za mną!

Ale było już za późno. Przez mniejsze wrota wlewał się potok czarnych wojowników.

— Uformować czworobok! — krzyknął Hu. — Wycofujemy się do jaskini.

Znów ustawili się w szyku żółwia i ruszyli przez dziedziniec, otoczeni rojem wojowników, niezdolnych przedziurawić ich skorupy. Kłęby dymu z palącego się miasta wirowały wokół, dusząc i oslepiając.

Nagle człowiek obok kapłana krzyknął i chwycił się za pachwinę. Spomiędzy jego palców trysnęła krew i ranny osunął się na kolana. Ziemia, po której brnęli, usiana była czarnymi ciałami, powalonymi przez łeb żółwia. Musieli przechodzić ponad nimi. Wojownicy udający martwych zaczęli nagle „powracać do życia”, przetaczając się szybko na grzbiety i wbijając ostrza pod zbroje przechodzących nad nimi nieprzyjaciół.

Hu krzyknął ostrzegawczo, ale za późno. Wróg wdarł już się do wnętrza żółwia, dźgając i siekąc wokół siebie.

Żółw rozpadł się na tłum pojedynczych postaci, na które rzucił się czarny rój.

— Za mną! — Hu zwołał Lannona, Bakmora i kilku innych. Wyrwali się z ciżby i zwartą grupą popędzili w stronę szczeliny grotu. Dym był tak gęsty i oleisty, że krztusili się w biegu. Hu wywijał toporem, torując drogę. W pięciu dopadli wejścia do jaskini, ale Bakmor otrzymał pchnięcie w żebra. Przycisnął pięść do rany, usiłując zatamować krew. Hu przerzucił topór do drugiej ręki i pomógł rannemu wspiąć się po stopniach wiodących do szczeliny. Na szczycie schodów Bakmor potknął się i opadł na kolana.

— To koniec — wykrztusił.

Hu podniósł go, wniósł do środka i oparł o ścianę jaskini.

— Bakmor... — wysapał. Odchylił mu głowę i zajrzał w szkliste, martwe oczy. Hu opuścił delikatnie głowę zabitego i podniósł się.

— Nadchodzą! — zawołał Lannon.

Hu złapał topór i skoczył w stronę króla. Razem wyszli na spotkanie czarnych wojowników tłoczących się w korytarzu. We czwórkę — Lannon, Hu i dwóch legionistów — utrzymywali wejście tak długo, że zamknęli je stertą ciał martwych napastników.

Potem nadeszli łucznicy i przez korytarz pomknęły pierwsze strzały. Jedna z nich ugodziła legionistę w gardło; z jego ust trysnęła krew i męczyzna osunął się na ziemię.

— Tu nie mamy osłony! — zawołał Hu. — Cofamy się do świątyni.

Pobiegli wzdłuż korytarza wypełnionego świstem strzał. Jedna z nich uderzyła w hełm Hu i odbiwszy się, skrzesała snop iskier uderzając w ścianę, inna znalazła szew na zbroi ostatniego z legionistów i utkwiała w jego kręgosłupie. Nogi ugięły się pod trafionym. Rozpaczliwie wbił palce w ziemię, wlokąc okaleczone ciało jedynie siłą ramion.

— Łaski, panie — jęknął, przerażony perspektywą ostrza rozdzierającego wnętrzości. — Nie zostawiaj mnie, wasza świątobliwość.

Hu zawrócił i zawołał:

— Biegnij, Lannonie. Zaraz cię dogonię.

— Niech cię Baal błogosławi, wasza świątobliwość — zawołał legionista. Zerwał z głowy hełm i pochylił głowę, odsłaniając kark.

— Znajdź spokój! — rzekł Hu. Ciosem topora oddzielił głowę rannego od tułowia i zerwał się do ucieczki. Strzała trafiła go tuż pod okiem i rozplątała policzek aż do ucha. Hu wyrwał ją i pobiegł za Lannonem.

Razem przebiegli przez świątynię Isztar. Kroki odbiły się echem od sklepionych ścian. Okrążyli spokojny zielony basen i dobiegli do drzwi w tej samej chwili, gdy wokół zabrzęczał następny rój strzał. Kiedy wbiegali do wnętrza, Lannon potknął się.

— Możemy ich tu zatrzymać? — wydyszał.

— Nie. — Hu stanął dla nabrania tchu. — Archiwa! — Nagle spojrzał na Lannona. — Co się stało, wasza wysokość?

— Mnie też trafili. — Strzała sterczała ze spoiny królewskiej zbroi poniżej lewej pachy. Kiedy Hu zobaczył kąt, pod jakim się wdarła, poczuł rozpacz. Grot musiał znajdować się blisko serca. Rana była śmiertelna.

— Jak to wygląda? — zapytał król. — Nie czuję bólu, Hu. Nie powinno być źle.

— Masz szczęście — odrzekł przyjaciel. Złamał strzałę, zostawiając tylko krótki kikut wystający z rany. — Chodź — powiedział i łagodnie opierając dłoń na ramieniu Lannona przeprowadził go przez świątynię w kierunku archiwów.

— Słoneczne drzwi? — spytał Lannon.

— Na samym końcu — odparł Hu. — Dopiero wtedy, gdy wszystko inne zawiedzie. — Ruszyli w stronę kamiennych nisz.

— Twoja twarz! — Lannon przyjrzał się Hu w słabym świetle pochodni, dostrzegając głębokie cięcie biegnące przez policzek.

— Bez wątplenia wyszło jej to na dobre — chrząknął Hu. Oderwał pas tkaniny ze swojej tuniki i zawiązał na ramieniu Lannona niezdarny temblak, po czym pochylił głowę, nasłuchując kroków.

— Zbliżają się — powiedział.

W tej samej chwili pierwszy ze ścigających przeszedł przez pomieszczenie straży i zajrzał do archiwów. Drżące światło pochodni wyolbrzymiło jego sylwetkę. Był ogromny i czarny, lśniący od potu i farby. Hu poczuł jego gorący, piżmowy zapach, podobny do woni drapieżnego kota.

Wynurzył się z niszy i stanął w kręgu światła; w języku ludu Vendi rzucił wyzwanie. Wojownik skierował się w jego stronę. Tarcze zwarły się ze szczękiem, a echo powtórzyło go w całej świątyni.

Pika na końcu sępiego topora wgrzyła się głęboko w ciało czarnego wojownika. Król, utykając, wyłonił się z niszy i stanął przy boku przyjaciela. Przeszli nad drgającymi zwłokami i ramię przy ramieniu ruszyli wzdłuż korytarza na spotkanie spieszących ku nim napastników.

\* \* \*

Manatassi stanął w świątyni Isztar. Minęła już północ, ale wokół płonęły liczne pochodnie, a nawy zatłoczone były wojownikami. Było ich tak wielu, że Manatassi nakazał zburzyć wewnętrzne ściany, żeby zapewnić wszystkim dostęp do wylotu tunelu.

W mrocznej, złowrogiej kamiennej gardzieli, która połknęła już tak wielu jego ludzi, wciąż kryły się te dwa walczące diabły Opetu, opierając się wszelkim wysiłkom czarnych wojowników. Nawet teraz wywlekano z wejścia zabitych i ciężko rannych. Jeden z nich miał ramię odrąbane ponad łokciem. Nie wydawał żadnego dźwięku, przyciskając kikut, ale jego oczy w świetle pochodni były wielkie i zbolące.

Manatassi znał broń, która zadawała te rany. Jego gniew i nienawiść rozpały się na nowo, zmagając się z zabobonnym lękiem. Kiedy był niewolnikiem, wystarczająco wiele dowiedział się o bogach Opetu, by poznać ich kolosalną potęgę, ich siłę i okrucieństwo. Bał się ich; wiedział, że stoi teraz w ich twierdzy, w świętym miejscu tych strasznych bóstw. Przypomniawszy sobie opowieści, jakie słyszał o podziemiach za świątynią Isztar. Wiedział, że strzeże ich klątwa. Z pewnością to była przyczyna, dla której ci dwaj ukryli się w tej mrocznej dziurze.

Jego gniew ochłodził, zmrożony przez religijną trwogę. Wiedział, że biali bogowie patrzą teraz na niego. Chciałby z tym skończyć — zniszczyć to miejsce i odejść — lecz dwaj przekłeci, acz nieustępliwi mężczyźni wciąż mu się opierali.

— Ogień! — powiedział. — Wykurzimy ich z nory jak dzikie psy.

Wzniecili ognisko przy wejściu do tunelu i podsycili je zielonymi gałęziami. Gęsty, kwaśny dym wypełnił świątynię i tunel. Otoczyli wejście do korytarza, kaszląc i krztusząc się dymem, trzymając w pogotowiu swoją broń. Wiedzieli, że żaden człowiek nie wytrwa długo w tunelu. Dym musiał wygnać tych dwóch na zewnątrz, ale upłynęła godzina, a na korytarzu nie dało się dostrzec najmniejszego ruchu.

Ogień wypalił się, pozostawiając stos tłących się polan, a dym zaczął się stopniowo rozwiewać. Manatassi rozkazał zalać resztki ognia wodą z basenu. Jeszcze raz spojrzeli na ciemny korytarz, w którym wciąż unosiły się pasma dymu. Podłogę korytarza pokrywał dywan czarnych ciał.

Tłumiąc w sobie zabobonny lęk, Manatassi wyrwał pochodnię z rąk stojącego obok wojownika. Trzymając ją wysoko nad głową, przeszedł nad rozgrzаныmi, skwierczącymi kłodami i wszedł do korytarza. Kroczył pomiędzy trupami, a bosa stopy przywierały do lepkiej od krwi posadzki. Pochodnia rzucała żółte światło na kamienne nisze i wypełnione półki. Manatassi znał zawartość glinianych dzbanów. Często asystował kapłanowi przy jego pracy.

Rozejrzał się, szukając jakiegoś śladu po nim, ale daremnie. Otaczały go tylko czarne ciała.

Dotarł do końca korytarza, a blask pochodni oświetlił wyryty wizerunek; Manatassi rozpoznał symbol boga słońca. Jego odwaga stopniała w obliczu namacalnego świadectwa boskiego działania.

Ujrzał błysk na podłodze pod wizerunkiem słońca.

Stłumił westchnienie grozy. To był sępi topór, leżący pod wizerunkiem boga jak ofiarny dar.

Odeszli do swoich bogów. Wyprowadzili mnie w pole. Odmówili prawa do



zemsty i wprowadzili w śmiertelne zagrożenie ze strony nieziemskich mocy.

Manatassi cofał się, póki wizerunek boga nie pogrążył się w mroku, a potem odwrócił się i wybiegł. Obejrzał się na gardziel tunelu.

— Sprowadźcie kamieniarzy spośród niewolników. Zapieczętujcie wejście. Tam jest zło. Zamknijcie je.

Pobiegli wypełnić rozkazy. Manatassi poczuł, jak powraca mu odwaga, a wraz z nią gniew i nienawiść.

— Zniszczę to zło. Rzucam klątwę na to miejsce. Klątwę, która trwać będzie po wieki. Spalcie tu wszystko. Zniszczcie. To zło, które będzie wygnane z ziemi i umysłów ludzi.

Kamieniarze zablokowali wejście do grobowca królów. Pracowali z wprawą, jaką zdobyli w Opecie, a gdy skończyli, po wejściu nie został najmniejszy ślad.

Wówczas Manatassi zniszczył miasto. Zabijał każdą żywą istotę i wrzucał ją w ogień, który szalał przez wiele dni. Potem popatrzył na mury i wieże i wycelował w nie żelazny pazur. Tysiące jego ludzi rozebrało je, blok po bloku. Mury, słoneczne wieże i piękną świątynię Isztar. Dotarli aż do samych fundamentów. Zerwali kamienne posadzki. Zburzyli kamienne nabrzeża portu. Pracując jak milion mrówek, starli miasto z powierzchni ziemi. Zanieśli wszystkie kamienne bloki do jaskini i wrzucili do bezdennej zielonej basenu. Zburzyli całe miasto i oddali je bogini. Basen był tak głęboki — a może bogini tak żarłoczna — że połknął je bez śladu, a poziom przejrzystości zielonej wody nie podniósł się nawet na palec.

Kiedy Manatassi opuścił teren Opetu i pomaszerał na północ, by ukończyć dzieło zniszczenia, nie zostawił za sobą nic oprócz popiołu roznoszonego przez wiatr.

Rozpostarł swoje regimenty jak sieć ponad czterema królestwami, nakazując im zniszczenie wszelkich śladów miast, kopalń i ogrodów stworzonych przez naród Opetu. Jego nienawiść nie płonęła już ostrym blaskiem. Tliła się jak ogień w zgłiszczach lasu, pozostawiając w nim jedynie mroczną pustkę. Jego potężne ciało stało się skorupą, żółte oczy zmatowiały i zobojętniały.

Przyszedł do Zimba, otoczonego wysokimi murami miasta w środkowym królestwie, i pozbawił życia wszystkich jego mieszkańców. Miasto, tak jak jego ciało, stało się puste.

Owinał się w futrzany pled i ułożył przy ognisku. Rano był już zimny i sztywny.

Pochowali go pod murami miasta, a potem zaczęli się kłócić i walczyć z sobą, gdyż Manatassi nie wyznaczył sukcesora. Każdy z dowódców obwołał się królem i armia podzieliła się na sto szczepów.

Imię Manatassiego i miasto Opet zniknęły z pamięci ludzkiej.

\* \* \*

Kiedy Buszmen Xhai zestarzał się i wiedział, że umiera, powrócił do miejsca, gdzie kiedyś był Opet.

Jeziro skurczyło się, jego brzegi odsunęły się na dwadzieścia mil od czerwonych urwisk, a wody stały się słonawe, płytkie i ciepłe.

Xhai przeszedł przez miejsce, w którym wznosiła się świątynia Baala, nie rozpoznając go, dopóki nie spostrzegł szczeliny w czerwonej skale prowadzącej do jaskini Isztar.

Odpoczywał na brzegu basenu; rozpałił niewielkie ognisko i usiadł przy nim, zwyczajem starego człowieka mamrocząc sam do siebie. Kiedy wspomnienia przesuwają się przed jego oczami, wyolbrzymione i wspaniałe, zapragnął naraz je utrwalić.

Podniósł pas, do którego przywiązane były nieduże rogowe dzbanuszki z

barwnikami, pozatykane kawałkami drewna, i podszedł do tylnej ściany jaskini.

Na najgładszym miejscu nakreślił węglem drzewnym zarys postaci. Pracował powoli, ostrożnie i z wielką starannością. Potem wymieszał barwniki i zaczął malować dumną, boską sylwetkę o białej twarzy, czerwonozłotej brodzie i majestatycznej męskości. A kiedy pracował, zdawało mu się, że ze skał, z głębin grobowca królów dobiegają szepty duchów.

— Hu, zimno mi. Wyświadcz mi łaskę, stary przyjacielu. Podaj mi przyjazną dłoń, o której mówiła wyrocznia.

— Nie mogę, Lannonie. Nie mogę tego zrobić.

— Jest mi zimno i cierpię. Jeśli mnie kochasz, zrób to.

— Kocham cię.

— Wzleć dla mnie, Ptaku Słońca.

Stary człowiek pracował, a wzdłuż urwisk szeptał wiatr. Jego szept brzmiał jak westchnienie człowieka, który stracił swoją miłość i kraj, wyparł się swoich bogów i okazał miłosierdzie przyjacielowi. Człowieka, który wyciąga miecz, wspiera go mocno w zagłębieniu podłogi, kieruje ostrze pod własne żebra i osuwa się na nie, jeszcze zmatowiałe od krwi przyjaciela.

THE RAND DAILY MAIL, 27 maja

Śmierć multimilionera.  
Louren Sturvesant umiera na tajemniczą chorobę

BOTSWANA. Znany milioner, finansista i sportowiec, pan Louren Sturvesant z Johannesburga, zmarł tu wczoraj po krótkiej chorobie.

Sturvesant odwiedzał tereny odkrytego niedawno w Botswanie starożytnego miasta kartagińskiego. Przywódca ekspedycji, doktor Benjamin Kazin, nabawił się tej samej choroby, która uważana jest za zakaźną.

Doktor Kazin został odwieziony do Johannesburga. Rzecznik prasowy miejscowego szpitala określił jego stan jako krytyczny.

THE FINANCIAL GAZETTE, 28 maja

Anglo—Sturvesant traci 97 punktów  
Panika na giełdzie

HOLLARD STREET. W następstwie doniesień o śmierci Lourena Sturvesanta, przewodniczącego Anglo—Sturvesant, notowania Grupy Kompanii Sturvesanta na giełdzie w Johannesburgu gwałtownie spadły.

THE STAR, 3 czerwca

Znany archeolog odzyskuje świadomość

JOHANNESBURG. Według oświadczenia rzecznika prasowego szpitala doktor Benjamin Kazin odzyskał dziś przytomność po dziesięciodniowej śpiączce.

Doktor Kazin jest dyrektorem Instytutu Antropologii i Prehistorii Afryki, a także odkrywcą starożytnego kartagińskiego miasta Opet. Ucierpiał z powodu zarażenia się rzadkim grzybem podczas prac na miejscu swojego ostatniego znaleziska. Dziś doktor Kazin przyjął swoją asystentkę, doktor Sally Benator, która po wizycie powiedziała, że jej szef czuje się o wiele lepiej, ale wciąż jest przygnębiony śmiercią pana Sturvesanta.

THE STAR, 6 września

Ślub znanego archeologa

KAPSZTAD. Odkrywca miasta Opet, doktor Benjamin Kazin, poślubił w dniu dzisiejszym swoją długoletnią asystentkę, doktor Sally Benator. Po krótkiej ceremonii panna młoda powiedziała, że miesiąc miodowy zamierza spędzić z mężem na terenie miasta Opet.

THE TIMES, 20 kwietnia

Uhonorowany archeolog

LONDYN. Nadzwyczajne walne zgromadzenie członków Królewskiego Towarzystwa Geograficznego uhonorowało w dniu dzisiejszym doktora Beniamina Kazina wysoko cenionym Medalem Założyciela i Patrona.

Po spotkaniu odbyła się krótka uroczystość, podczas której w siedzibie towarzystwa zawieszono portret doktora Kazina, pędzla znanego artysty Pietro Annigoniego.

Doktorowi Kazinowi towarzyszyła żona, doktor Sally Kazin, poprzednio Benator, która jest znaną postacią w kręgach archeologicznych. Małżonkowie przed powrotem do Afryki spędzą dwutygodniowe wakacje w Bretanii.

Akcja książki, pasjonującej opowieści przygodowej z niezwykle dramatycznym wątkiem miłosnym, rozgrywa się w dwóch płaszczyznach historycznych oddalonych od siebie czasowo o blisko dwa tysiące lat.

Lotnicze zdjęcie skrawka półpustynnego obszaru Botswany, kraju w Afryce Południowej, prowadzi młodego naukowca dr. Beniamina Kazina do najbardziej sensacyjnego odkrycia archeologicznego XX wieku — ruin zaginionego miasta Opet, założonego przez uchodźców ze zburzonej przez Rzymian Kartaginy. Obok bezcennego archiwum z zapisem dziejów nieznaney współczesnym cywilizacji, kryją one ludzkie dramaty i namiętności, niezienne od wieków. Co stało się z jego mieszkańcami, ostatnim królem Lannonem Hycanusem i oddanym mu kapłanem i kronikarzem Hu Ben-Amonem? Dokąd odeszli? Gdzie ukryli złoty skarb niewyobrażalnej wartości, o którego istnieniu mówią odnalezione zwoje z pismem punickim? W poszukiwaniu odpowiedzi na te pytania członków ekspedycji nie powstrzyma żadne niebezpieczeństwo ani nawet zdrada...

WILBUR SMITH, najbardziej znany współczesny pisarz afrykański, cieszy się ogromną popularnością w wielu krajach świata. Łączny nakład jego książek ukazujących się w 20 językach przekroczył 70 milionów egzemplarzy; wiele z nich sfilmowano.

Kohorta — około sześciuset żołnierzy